

Kir Bułyczow

Zamach na Tezeusza

Przełożyli Eugeniusz Dębski Jerzy Rossienik

Kir Bułyczow

Zamach na Tezeusza

Przełożyli Eugeniusz Dębski Jerzy Rossienik

Agentka Inter-Galaktycznej Policji Kora Orwat miała dwuletniego bratanka. Kora obiecała mu zrobić na drutach rękawiczki. Żeby wywiązać się z tej obietnicy poleciała w ubiegły piątek do Boliwii i kupiła tam wspaniałą wełnę z alpaki. Alpaka to, jak wiadomo, udomowiona hybryda wigonia z guanako.

W sobotę rano Kora spakowała torbę, chcąc udać się do rodzinnej wsi do babci Nastii i tam w ciszy, popijając ciepłe mleczko, zrobić te jednopalczaste rękawiczki-łapeczki.

W torbie znajdowało się już wszystko, co może się przydać we wsi, ale Kora nagle przypomniała sobie, że chciała jeszcze raz przeczytać „Listy” Marka Aureliusza i odświeżyć tym sposobem zardzewiały z powodu nieużywania język łaciński. Przeszła do salonu, żeby odszukać książkę.

I nagle poczuła, że w jadalni ktoś jest.

Dziwne uczucie.

Nieludzkie. Obce, niemal nie odczuwalne.

Kora przejechała dłonią po biodrze i nachmurzyła się – nie wzięła ze sobą blastera, kiedy pakowała się na wyjazd do babci.

Uciekać? Ukryć się? Przez znane jej pieczary wiać za rzekę?

– Nie śpiesz się, Koro – rozległ się matowy, niski głos komisarza Milodara.

Komisarz stał na środku salonu i rozglądał się rzeczowo.

– Gdzie kupiłeś materiał na kanapę? – zapytał, jakby nie wiedział o swoich agentach wszystkiego. W tym przypadku pamiętał, że Kora w ubiegłym tygodniu zakończyła remont mieszkania. Natomiast tajemnicą poliszynela było, że Milodar zamierzał się żenić.

– Proszę siadać, szefie – rzekła Kora. – Prawdy nie da się wystać.

– Dziękuję, postoję – uśmiechnął się komisarz i Kora zrozumiała, że odwiedził ją nie sam Milodar, a jego hologram, dlatego tak dziwnie zareagowała na jego pojawienie się w mieszkaniu!

Komisarz ostrożnie oparł się plecami o wypchanego pasiastego niedźwiedzia, którego Kora w ubiegłym roku gołymi rękami położyła na Cukarce.

– Nie częstuję pana kawą – powiedziała Kora.

– Słusznie, bo się śpieszę – odparł komisarz. – Chcę cię zaprosić na stadion.

– Niech pan nie wariuje, szefie. Za dziesięć minut odlatuję na wieś do swojego bratanka Gierasika.

– Wspaniale – odezwał się komisarz. Łagodny uśmiech rozjaśnił jego oblicze – zmarszczki pojawiły się na opalonej skórze obok błękitnych oczu, białe zęby błysnęły w promieniach południowego słońca. Milodar odsunął z czoła siwy kosmyk – kto inny z siwymi włosami wydaje się starszy, Milodar – męźniejszy. – Wspaniale – powtórzył. – Na żadną wieś nie pojedziesz. Idziemy na stadion Wembley.

– Komisarzu, to nie czas ani miejsce na żarty!

– Na żarty zawsze jest czas – odparował komisarz. – Mężczyzna od razu zapytałby, na jaki mecz się wybieramy. Ciebie to nie interesuje?

– Nie gram w piłkę. Nie oglądam meczów, nie cierpię futbolu – Pomyśl, że jesteś na służbie i wykonujesz szczególnie ważne zadanie!

– Ani mi się śni.

– Jesteś zwolniona z InterGpolu!

– Od dawna marzę o zwolnieniu z tej pańskiej omszałej organizacji!

– Koro, zdobyłem dla twojej babci nasiona dyni zwyczajnej i marchwi odmiany „Buratino”.

Pamiętasz, jak się upominała o nie?

– Komisarzu, jest pan na dodatek starym obłudnikiem, chytrusem i kłamcą. Gdzie są nasiona?

– Zaraz po meczu.

– Co to za mecz?

– O, to już lepiej, przyjaciółko, znacznie lepiej!

– Proszę wreszcie powiedzieć!

– Rosja – Argentyna, finał Pucharu Świata.

– Czy to już dziś?

– Widzę, że za bardzo nie znasz się na futbolu, kruszyno.

– Nie cierpię takiego traktowania.

– A na inne nie zasługujesz. Agent InterGpolu zobowiązany jest, rozumiesz, zobowiązany do wiedzy o pewnych podstawowych sprawach. Na przykład, musi znać wynik działania dwa razy dwa, liczbę „pi” oraz datę i wynik meczu Rosja – Argentyna w finale pucharu Świata.

– Nasiona ma pan przy sobie?

Hologram poklepał się po kieszeni na piersi.

– Może jednak poinformuje mnie pan, po co mnie tam wlecze? Może jakiś młodszy pracownik sektora marzy, by znaleźć się na moim miejscu?

– Oczywiście.

– A bilet na mecz kosztuje pewnie fortunę?

– Na pewno.

– No to powie pan czy nie?

– W żadnym wypadku.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zamierzam powierzyć ci sprawę, której specyfikę określa wynik finałowego meczu Pucharu Świata w piłce nożnej.

– Zabiję pana, komisarzu – oświadczyła Kora i, wzięwszy ze stojaka pogrzebacz, ruszyła w stronę Milodara, żeby wprowadzić groźbę w czyn.

Odruchowo odsunął się, kiedy Kora wzięła zamach. Wyciągnięta do przodu łapa wypchanego niedźwiedzia przeszła hologram i wysunęła się z piersi komisarza. To był koszmarny widok.

Kora upuściła pogrzebacz i rzekła:

– Szkoda, że nie jest pan prawdziwy.

Milodar w końcu zauważył, że z jego piersi sterczy łapsko niedźwiedzia z wysuniętymi do przodu szponami, zrobił krok do przodu.

– Na stadionie będę najprawdziwszy z możliwych. Takie są zasady.

Milodar słyszał w firmie z tego, że zawsze łamał wszystkie zasady.

Wejście na stadion Wembley-2 znajduje się w okolicy stacji metra „Sportiwnaja”. W tym kierunku podążają specjalne pociągi od stacji „Park Kultury”, „Sokolniki” i „Łubianka”. Podstawiane są z wyprzedzeniem, na długo przed początkiem meczu, na peronach zbiera się barwny tłum – prawdziwi piłkarscy kibice. Ale co się działo w tym, od miesiąca oczekiwanym dniu finału – trudno opisać! Fantastycznie wzbogacili się sprzedawcy gwizdków, daszków słonecznych albo przeciwdeszczowych, różnych napojów i innych drobiazgów.

Puste, ciemne pociągi z wielkimi napisami nad przednimi szybami: „Stadion Wembley” wpadały na oświetlone perony stacji, a po chwili rozsuwały się drzwi z napisami „Nie opierać się”, we wnętrzu zapalały się światła i tłumy kibiców, jeszcze spokojnych, jeszcze pokojowo nastawionych, wlewały się do wagonów, wypełniały je aż do całkowitego, dobrodusznego wypełnienia. Wagony w mgnieniu oka przesiąkały trudnym do opisanego skomplikowanym zapachem tytoniu, piwnego oddechu, oleju silnikowego, potu i pasty do butów, ale wtedy pociąg ruszał i rozpędzał się, pędząc coraz szybciej w głąb tunelu, i zapachy wylatywały przez otwarte górne szyby okien i zostawały w ciemnościach tuneli.

Kibice, dzieląc się bojowym duchem, usiłowali śpiewać pieśni swej młodości. Zachowywali się tak, jakby starali się przestrzegać reguły gry, których Kora, przyciśnięta przez tłum do Milodara, nie znała. Więcej – jako doświadczony agent InterGpolu była zmieszana i niemal przestraszona tym, że Milodar, po raz pierwszy, od kiedy pamiętała, pojawił się cieleśnie, i to tak blisko – świetnie czuła jego pierś, ręce, wyczuwała oddech, twardy wąs łaskotał ją w policzek.

– Ja też czuję się zagubiony – przyznał Korze, pieszcząc oddechem jej ucho. – Pewnie już czas, bym się ożenił.

Znalazł sobie czas na marzenia!

Komisarz Milodar był najlepszą partią i starym kawalerem, na którego polowało, przestrzegając albo i nie przestrzegając reguł gry, kilka tysięcy urodziwych i nieurodziwych mieszanek Galaktyki. Być może, twierdziły złe języki, specjalnie wymyślił dla siebie zasady: nigdy i nigdzie nie pokazywać się cieleśnie, ponieważ obawiał się porwania. Na pewnych planetach dorastają odważne i bezstresowe dziewoje, gotowe do porwania i zhańbienia mężczyzny, który wpadł im w oko. Tylko wąski krąg najwyższych szarż InterGpolu i, być może, najbliżsi przyjaciele komisarza wiedzieli, że Milodar był już żonaty, ale, niestety, pod powłoką pięknej dziewczyny ukrywało się niezbyt sympatyczne stworzenie z pewnego peryferyjnego globu, które miało nadzieję tym sposobem omotać komisarza, szantażować go i przeniknąć do najskrytszych sekretów Ziemi. Co prawda to nie troska o bezpieczeństwo Ziemi spowodowała, że Komisarz stał się zatwardziałym kawalerem, chociaż zachował szczere uczucie do wrażej powłoki, wykonanej przecież tak znakomicie! Kochał ją nawet i teraz, i do tej chwili zachował trójwymiarowe zdjęcia swojej pierwszej żony, mimo że jej prawdziwe macki i zuchwy dawno już zgniły na pewnym odległym cmentarzysku, w pasie Asteroid.

Niedawno Milodar interesował się pływaniem synchronicznym i nie opuszczał ani jednych zawodów, w których uczestniczyły bliźniaczki Julietta i Makbetta Żyliny. Ale którą z nich się

interesował i która z nich podarowała mu klips do nosa, pozostawało tajemnicą nawet dla Kory.

Pociąg pędził ku stacji przeznaczenia, nie zatrzymując się na niektórych stacjach, podporządkowany swemu celowi – dowieźć swą partię, swój tysiąc kibiców na Wembley-2 i nikogo nie interesowało, w jaki sposób osiągnie swój cel.

Ktoś zaczął rytmicznie klaskać. Ta-ta, ta-ta-ta! Cały wagon to podchwycił, nawet Kora wiedziała, jak interpretować te klaski i tupania w podłogę – stare jak cały świat zawołanie: „Spar-tak – mistrzem jest!”

Wagon kiwał się, kibice tupali i klaskali, podkrecając się. Milodar, korzystając z niezwyklej sytuacji, głaskał biodro Kory, na szczęście było tak ciasno, że głaskał przy okazji również biodra innych kibiców, za co w końcu oberwał od rudego krzywonosego sąsiada, który nawet w tej ciasnocie zdołał przyłożyć nieźle komisarzowi, dodając mentorskim tonem:

– My tu nie po to się zebraliśmy.

– Zniszcz go! – syknął rozjuszony komisarz.

W InterGpolu działa takie prawo: komisarze i superkomisarze sami nigdy nie parają się gwałtownymi czynami. Przywołują w tym celu agentów.

– Ale ja się z nim zgadzam – powiedziała Kora. – Nie po to tu jesteśmy.

– A po co? – mało logicznie zapytał komisarz.

Ale pociąg już hamował przed peronem stacji „Stacja Wembley-2”.

Dalej to już poniósł ich tłum, musieli tylko przestawiać stopy, żeby nie upaść i nie dać się rozdeptać.

Wszystkie linie schodów w metrze jechały tylko do góry, a i tak z trudem dawały sobie radę z ludzką rzeką, ale nikt nie narzekał, ludzie nawet jakoś dziwnie cieszyli się, już smakując przyjemność, jakiej będą zażywać przez najbliższe dwie godziny.

Na ulicy było pochmurno – pogoda zmieniła się w czasie, kiedy jechali metrem. Kora odnotowała ten fakt i chciała podzielić się nim z komisarzem, ale natychmiast o tym zapomniała.

Od stacji metra „Sportiwnaja” do stadionu prowadziła szeroka asfaltowa droga, przechodząca pod nasypem kolei żelaznych, po przekroczeniu którego otwierała się przed zachwyconymi spojrzeniami kibiców panorama ogromnego stadionu.

Tu już łatwiej było się przemieszczać, tłum nie był tak zbity.

– Milodarze, wyjaśnij mi, co to za mecz – poprosiła Kora.

– Ciszej bądź – przestraszył się komisarz. – Bo jeszcze cię usłyszy jakiś kibic! Zabijają!

– Za co?

– Za to, że zajmujesz cudze miejsce. Może przez ciebie nie dostał się na stadion prawdziwy miłośnik rosyjskiej drużyny.

– Dobrze, niech więc pan mówi cicho – zgodziła się Kora.

– Dziś odbywa się tu finał mistrzostw świata w piłce nożnej za rok dwa tysiące szósty.

– Jaki?

– Dwa tysiące szósty – powtórzył Milodar.

Coś poruszyło się w pamięci Kory. Ale co to było?

– Proszę dalej.

– Gry finałowe odbywają się w Londynie, na stadionie „Wembley” – kontynuował komisarz, zataczając ręką koło, a Kora skinęła głową – wiedziała przecież, że zbliżają się do stadionu „Wembley”. I że znajduje się w Londynie.

– Naprawdę w Londynie? – zapytała.

– Nikt nie sądził, że drużyna rosyjska dotrze do ćwierćfinału. Bo żeby tak się stało, musiałyby wyeliminować drużynę Niemiec. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem.

– Wygraliśmy w dogrywce – powiedział Milodar. – Dotarliśmy do półfinału, gdzie spotkaliśmy się z gospodarzami turnieju – Anglikami. Mam kontynuować czy przypomniałaś sobie?

– Kontynuować.

– W półfinale nie mieliśmy żadnych szans. Bilety na „Wembley” kosztowały po tysiąc funtów szterlingów.

– A dziś?

– Dzisiaj są tańsze – machnął ręką Milodar, który chciał kontynuować opowiadanie. – Mecz zaczął się bez żadnego zwiadu. Już w ósmej minucie Johnson – ta czarna torpeda – przyłożył głowę w dolny prawy róg i po zabawie. Charitonow nie miał najmniejszych szans.

– Coś mi znajomo brzmi to nazwisko – zauważyła Kora.

– Nic dziwnego! – odezwał się idący obok groźnie wyglądający mężczyzna w panamie. – Nie ma drugiego takiego bramkarza na całym świecie. Przecież to on obronił karnego Maradony Juniora!

– Chwila, proszę się nie wtrącać! – rozeźlił się Milodar. – Kto tu opowiada? Ja czy pan?

– Nie złość się, stary – wtrącił się chudy Krysznaita z brudnym warkoczykiem z tyłu głowy. – Każdy chce się podzielić wrażeniami. Trzeba kochać ludzi.

– Nie wszystkich! – odparował Milodar. – Mam, młody człowieku, taką specjalizację: wybieram kogo kochać, a kogo ukarać.

– Myli się pan – z godnością, choć cicho odpowiedział Krysznaita. – Nawet krokodyl ma prawdziwych przyjaciół.

– Krokodyle nie popełniają przestępstw – nie zgodził się z nim Milodar.

– No to będziecie słuchali czy tak sobie po próżnicy będziemy szli? – rozżłościł się groźnie wyglądający mężczyzna. – Chcę opowiedzieć, jak Charitonow grał w młodzieżowej szkole sportowej.

A ponieważ nikt nie wiedział, jak występował Charitonow w barwach młodzieżowej szkoły sportowej, to otaczający zamilkli i uważnie wysłuchali opowieści groźnego mężczyzny, który snuł opowieść o chorowitym chłopczyku, któremu zabraniano grać nawet w szachy, ale który to chłopczyk uciekł niani pewnego dnia, zobaczył, jak trenuje bramkarz Czerczesow i wybrał swą drogę życiową. W tajemnicy przed rodzicami zaczął oblewać się o świcie lodowatą wodą i godzinami wisiał na futrynie drzwi, by wzmocnić i wydłużyć swe ramiona.

Słuchając tak tej niedokończonych, niestety, sagi doszli do bramy stadionu, los wskazał Krysznaitcie miejsce w tym samym rzędzie, o dwa miejsca w lewo. Pomachał Korze jak starej znajomej i podał jej suchy placek z sezamu. Kora z wdzięcznością przyjęła placek, chociaż komisarz ostrzegł ją, że może być zatruty – podejrzliwość była mocną stroną jego natury. Dzięki niej wydostawał się z całkowicie beznadziejnych sytuacji, ponieważ przed czasem domyślał się niebezpieczeństwa.

Obłoki zakryły słońce, dzień nie był upalny, jakby specjalnie stworzony na ważne piłkarskie spotkanie.

Siedziało się w ciasnocie. Zapewne więcej sprzedano biletów, niż było miejsc, ale nikt nie narzekał na ścisk; wręcz przeciwnie, wszyscy dzięki temu czuli duchową bliskość, albowiem, za

wyłączeniem mizernych grupiek na przeciwległej trybunie, wymachujących biało-niebieskim argentyńskimi flagami, reszta stadionu była swoja, rosyjska, zjednoczona i niepokonana.

Na boisko wybiegł sędzia – Mulat z Trynidadu, o czym poinformował Korę sąsiad z prawej, zbudowany wyłącznie z kanciastych kości emeryt, z wojskową lornetą, w mundurze bez naszywek, ale z licznymi baretkami medali.

Problem Mulata z Trynidadu był gorąco roztrząsany na trybunie, ponieważ zachodziło podejrzenie, że znajdzie on wspólny język z Argentyńczykami. Postraszy ich Argentyna swoją marynarką wojenną – i co ma zrobić taki Trynidad? Dlatego trybuna za lewą bramką skandowała:

– Try-ni-da-dzie, won stąd dzia-dzie!

Stróżów porządku, wszystkich, łącznie z żołnierzami wojsk wewnętrznych, ściągniętych z Tuły, okrzyki te niepokoiły. Dawali temu wyraz, odwracając głowy w tamtym kierunku, a niektórzy zaciskali pięści. A w garściach trzymali pałki.

Na stadionie podniosła się wrzawa – w rządowej loży pojawił się prezydent oraz niektórzy działacze FIFA i premier Argentyny – madame o posępnej urodzie.

Sędziowie wywołali drużyny na boisko.

Wybiegli równoległymi rzędami: niebiesko-biali – Argentyńczycy i czerwono-biali – swoi, rosyjscy.

Stadion oszalał, krzyki i duchota niemal zemdlify Korę. Ileż ludzi zejdzie dziś z powodu ataku serca i udaru? – pomyślała.

Przecież – podsumujmy – ona sama, niedawno ukończyła dwadzieścia pięć lat, miała sto siedemdziesiąt pięć centymetrów harmonijnie rozwiniętego ciała i piękną twarz, ona, która ukończyła szkołę, potem wydział prawa Moskiewskiego Uniwersytetu i Wyższą Szkołę InterGpolu, wygrała mistrzostwo świata w skoku wzwyż, wyszła za mąż, po roku rozstała się z mężem, przeboleła tę tragedię, pracowała na osiemnastu globach, trzykrotnie zmieniała zmasakrowane ciało, sama zabiła czterech zatwardziałych przestępców – w sumie, krótko mówiąc – była jednym z najcenniejszych agentów InterGalaktycznej Policji.

A na stadionie „Wembley-2” omal nie zemdliała!

Bramka niebiesko-białych była po prawej, bramka czerwono-białych – po lewej.

Od pierwszej chwili gospodarze rzucili się do szturm.

O ile dla Argentyńczyków przegrana w tym meczu byłaby tylko i wyłącznie tragedią narodową, po której prezydent musiałby ustąpić, krwawi generałowie wszczać terror, piłkarze ukryć się na emigracji, a masy pracujące stałyby się jeszcze biedniejsze, to dla gospodarzy, dla Rosjan, porażka oznaczała upadek honoru całego narodu. Rosjanie nie potrzebowali drugich miejsc, które im wszyscy proponowali. Oni biorą wszystko albo nic. Tak powiedział car Iwan Groźny, wjeżdżając do wziętego przez siebie grodu Kazań wierzchem na białym rumaku, a strateg i taktyk Żuków powtórzył te słowa, wchodząc do Berlina pod Bramą Brandenburską. Innymi słowy – Trynidadzie, won stąd, dziadzie!

Pewne ekonomiczne problemy, łącznie z problemami narodowościowymi i społecznymi, były bezpośrednio związane z wynikiem tego meczu. Oczekiwano nań i w Moskwie, i w Tulę, ale też w Tbilisi, Uład-Ude i w kilku innych gorących punktach. Właśnie tym można było wytłumaczyć fakt, że londyński stadion „Wembley” był w dziewięćdziesięciu procentach zapełniony przez Rosjan.

Pierwszy cios zadał Pierwuchin.

Pierwszy – Pierwuchin, to połączenie wywołało na trybunach uśmiechy i oklaski. Ale kiedy tenże

Pierwuchin usiłował strzelić na bramkę spoza linii pola karnego, to jakiś bezczelny argentyński obrońca po chamsku ściał go na murawę. I wtedy rosyjscy kibice zaczęli się niepokoić, ponieważ sędzia z Trynidadu, czego się można było spodziewać, nie tylko nie odgwizdał karnego, ale nawet banalnego rzutu wolnego.

Oburzenie na stadionie opadło dopiero po dłuższej chwili, kiedy udało się Rosjanom przeprowadzić składny atak, zakończony nieudanym strzałem Żeleźniaka.

Kora, nie będąc aktywnym kibicem, rozglądała się, przyglądała publiczności i starała się odgadnąć, po co komisarz Milodar tracił czas i państwowe pieniądze na taką rozrywkę wątpliwego kalibru. A ponieważ za dobrodusznymi maskami komisarz ukrywał zimny i wyrachowany, a nawet okrutny umysł wszechświatowego intryganta, to Kora niemal zwichnęła sobie mózg, usiłując rozwikłać zagadkę ich obecności na stadionie. I doczekała się, że przegapiła moment, kiedy do bramki jej rodaków wpadł głupi, kretyński, przypadkowy i niesprawiedliwy gol.

O tym, że był niezasłużony i przypadkowy dowiedziała się Kora z ust Milodara, którego energicznie poparli sąsiedzi, szczególnie ten z prawej, kanciasty staruszek z baretkami. Głośno domagał się on powtórzenia, żeby wszyscy zobaczyli, że gol padł ze spalonego, a na dodatek strzelony był ręką. W szale staruch zaczął tłuc Korę pięścią w plecy, to bolało, ale dziewczyna rozumiała, że musi wytrzymać, ponieważ biedny weteran nie wiedział, co czyni.

Z trybuny rozległo się kilka wystrzałów – żołnierze w kamizelkach kuloodpornych rzucili się po schodach, żeby ująć zakłócającego spokój kibica, mecz na chwilę został przerwany, a spiker przez megafony ostrzegł, że w przypadku jeszcze jednego choćby strzału, stadion „Wembley-2” zostanie zdyskwalifikowany na zawsze, a drużyna Rosji przegra walkowerem z wynikiem 0:3.

Stadion zaszumiał w bezsilnym szale, jak dziki zwierzę, który wpadł we wnyki. Starzec z prawej powtarzał jak zaklęcie:

– Nie, no poczekajcie tylko, ja tu wrócę! Tylko przyniosę erkaem z domu... Puśćcie mnie, idę po erkaem!

Okrzyk weterana wzbudził zachwyt sąsiadów, łącznie – ku zdziwieniu Kory – z Milodarem. Oczy komisarza świeciły złowieszczym blaskiem sprawiedliwego sędziego. Wszyscy zaczęli wstawać, przesuwać się, żeby weteran mógł szybciej skoczyć po erkaem, a Kora miała szczęście – teraz jej sąsiadem z prawej stał się bardzo miękki, o sennym wyglądzie młodzian ze słuchawkami i taką nieobecną miną, że można było sądzić, iż przyszedł na stadion się zdrzemnąć.

Groźby pozbawienia rosyjskiej drużyny należnego jej zwycięstwa odniosły skutek. Winni zostali ekstrahowani z trybun, wyprowadzeni ze stadionu, a jeden z sędziów bocznych, którego dosięgła kula, co prawda już w końcowej fazie swej paraboli, opuścił boisko na noszach. Zamiast niego pojawił się rezerwowo, niestety, też z Trynidadu.

Mecz trwał.

Krysznaita podał Korze jeszcze jeden placek, zawinięty w kawałek papieru z numerem telefonu i propozycją spotkania w celu rozważenia problemów duchowych. Milodar, widząc, że Kora czyta coś z tej kartki, błyskawicznie wyrwał ją z jej ręki i przeżuł. Krysznaita cicho zapłakał. Na boisku działy się rzeczy wielkie, ponieważ Maradona Junior upadł na polu karnym i udawał, że złamano mu nogę. Ale kto mógł mu tę nogę złamać, skoro dookoła nie było nikogo, poza biało-niebieskimi! Nawet jeśli ktoś mu tę nogę złamał, to musiał to być argentyński obrońca Juan Obermuller, prawdopodobnie potomek oświęcimskiego kata.

Stadion ryczał, usiłując w ten sposób przekonać władze o przekupności Trynidadczyków, o tym,

że Maradona Junior sam sobie tę nogę złamał, aby dostać karnego i może nawet złamał ją sobie wcześniej, wczoraj albo przedwczoraj, pod znieczuleniem ogólnym.

Na bieżni pojawiły się trzy samochody strażackie i zaczęły groźnie wymachiwać ryjkami węży, jakby wyszukując dla siebie ofiary.

Sędzia z Trynidadu ruszył ku białej plamie, z której egzekwuje się jedenastometrowy rzut karny do rosyjskiej cierpiętniczej bramki. Maradona Junior został zniesiony z boiska, a cały stadion zaczął wyć, żeby zastraszyć trynidadzkiego sędziego. Ale widocznie płacono mu w galaktycznych kredytach, więc nie dało się sędziego wzruszyć.

Christofor Cortez, o ksywce Buenos Aires, zbliżył się do piłki i ustawił ją sobie, nie zwracając uwagi na bezładne strzały z trybun. Opędzając się od pocisków metalową rękawiczką, odszedł na jakieś dziesięć metrów. Nasz bramkarz Charitonow kiwał się, jak pantera przed skokiem, i wraz z nim kiwał się cały stadion. Nawet Kora poczuła strach na myśl o tym, co się zaraz stanie.

Narastając niczym odległa na początku lawina, wypełniając sobą całe nad stadionem powietrze, powstał nad nim głuchy wielotysięczny gwizd.

Korze wydawało się, że ten gwizd przydusi do trawy, spłaszcy nieszczęsnego napastnika Argentyńczyków, który musiał się rozpędzać, ciągnąć na swoich plecach ten wielotonowy ciężar.

Ale, wydzierając nogi z murawy, rozpaczliwie dążąc do piłki, mimo wszystko dobiegł do niej i uderzył tak, jakby był to wielokilogramowy odważnik...

Piłka wolno potoczyła się po trawie, z trudem dotarła do bramki, a tam, podskoczywszy widowiskowo, bramkarz Charitonow nakrył ją ciałem i znieruchomił, jakby dokonał niewyobrażalnego wyczynu, rzuciwszy się na piłkę z wysokości kilkupiętrowego budynku.

Ale jakże ten czyn uskrzydlił stadion! Jak wszyscy krzyczeli i cieszyli się, śpiewali i płasali, pili wódkę, krytą w kieszeniach i pod pachami, śpiewali pieśni patriotyczne.

Załamany napastnik włókł się ku środkowi boiska, a nasi, jakby wstąpił w nich duch wojny i Wiktorii, runęli na bramkę przeciwnika.

Uderzenie Żelubko trafiło w poprzeczkę, a ta rozdzwoniła się, jak maszt trafiony piracką kulą, Kusiucki walnął piłką w bramkarza, który został na noszach zniesiony z boiska i zastąpiony przez młodego i nieostrzelanego.

Szturm na argentyńską bramkę niewątpliwie zakończyłby się golem, gdyby nie kolejny przypadek. W czasie gdy obrońcy Argentyny wybijali panicznie piłkę gdzie się dało, byle dalej od własnego pola karnego, jeden z takich przypadkowych wykopów trafił prosto pod nogi Juana Obermullera, i ten Argentyńczyk niemieckiego pochodzenia zupełnie przypadkowo znalazł się na środku boiska całkowicie sam z piłką przy nodze.

Przez kilka sekund Juan stał i zastanawiał się: posłać piłkę na trybuny czy oddać swojemu bramkarzowi. Trener Argentyńczyków machał do niego spoza linii autowej, sugerując jakieś diabelskie zagrywki i sugestie te odniosły skutek: może niespecjalnie szybko, ale jednak ruszył Juan na rosyjską bramkę, a nasi napastnicy, nie doczekawszy się od niego podania czy wybicia na aut, pognali za nim. Ale spóźnili się. Ponieważ Juan spotkał się z Charitonowem, który dość lekkomyślnie opuścił bramkę, kiwnął rosyjskiego bramkarza i pędził na jego bramkę. Charitonow gonił Juana Obermullera, żądając by ten zatrzymał się i przestał zachowywać po chamsku, nasi napastnicy pędzili za Charitonowem i obsypywali go ostatnimi słowami, sędzia biegł za nimi wszystkimi...

Niektórzy z kibiców, ci, co siedzieli w pierwszych rzędach, zrozumieli, czym może się ta afery skończyć i zaczęli wybiegać na bieżnię, ale też nie nadążali. Snajperzy, którzy mogliby sięgnąć Juana,

niestety, wystrzelali amunicję wcześniej i tylko jeden fotoreporter zdążył wybiec na boisko i rzucić się pod nogi Argentyńczyka. Ale ten kompletnie nie zwrócił uwagi na ofiarny czyn i, wturlawszy piłkę do bramki, sam też do niej wpadł.

– Gdzież nasi weterani? – darł się Milodar. – Gdzie ci weterani z erkaemami?

Weteranów nie było. Sprzedajny sędzia zaliczył gola, a bohater fotoreporter wstał, wyjął piłkę z siatki i uciekł z nią, dając tym znać, że żadnego gola nie było, ponieważ nie było też piłki.

Krysznaita podał Korze placek sezamowy, a ta zaczęła podejrzewać, że w tajemnicy kibicuje Argentyńczykom. Sąsiad z drugiej strony, w nausznikach, siedział z zamkniętymi oczami i błogo się do siebie uśmiechał. Jakiś dziwny człowiek.

Kiedy po pięciominutowej przerwie, podczas której żołnierze odbijali z rąk kibiców to, co było kiedyś napastnikiem Obermullerem, i odnosili to do szpitala polowego, gra została wznowiona. Na tablicy płonął wynik „2: 0” dla Argentyny.

Do końca pierwszej połowy zostawało jeszcze kilka minut, stadion przytulnie szumiał, nie mogąc wymyślić, czym by tu zaskoczyć przeklętych Argentyńczyków.

I nagle skądś dobiegł okrzyk:

– Plusz-kin... Plusz-kin... Plusz-kin...

– Plusz-kin! PLUSZ!!! KIN!!!

Stadion skandował to słowo, jakby to było „Hura!”

– Co to? – zapytała Kora grubego sąsiada. Ten nie słyszał.

– Co to? – zapytała Kora Milodara.

– Ach, daj mi spokój – odpowiedział komisarz. – Nic z tego nie będzie!

W tym momencie rozległ się gwizdek sędziego i drużyny przy akompaniamencie wycia i ryku publiczności ukryły się w podziemnych tunelach, by wylizywać rany i planować nowe ataki.

– Chodźmy do bufetu – zaproponował Korze Milodar. Dziewczyna w pierwszej chwili chciała odmówić – taki stan psychofizyczny stu tysięcy ludzi wprawiał ją w złe samopoczucie, ale Milodar upierał się, by Kora zakosztowała do końca całego zestawu męskich przyjemności. Tak więc Kora, by nie spierać się z przełożonym, poszła z nim pod trybuny, gdzie panował hałas, było nakopcone, śmierdziało piwem, walały się na podłodze puszki po piwie i butelki po wódce „Smirnowskaja”, gdzie posępnie hałasowali rozsierdzeni kibice, przypominając pszczeli rój, gotowy rzucić się na przechodnia, który nieopatrznie przygniótł królową.

Korze nie smakowały kanapki, które zdobył dla niej Milodar, podobnie jak piwo, przyniesione przez Krysznaitę, który, uznając siebie za ich starego znajomego, przywłókł się tu za nimi.

– Kim jest ten Pluszkin? – zapytała Kora, żeby jakoś podtrzymać wątlą rozmowę.

– Nic z tego, nie będzie – powiedział Krysznaita i wsunął Korze do Kieszeni kartkę z numerem swojego telefonu.

Ale komisarza takie tanie sztuczki nie denerwowały, wyjął tę kartkę z kieszeni i połknął, nawet jej nie przeżuwając.

– Pluszkin – powiedział – został usunięty ze składu drużyny jeszcze przed mistrzostwami świata. I słusznie.

– Za co? – zapytała Kora.

– To był niezły napastnik...

– Znakomity napastnik – dodał Krysznaita.

– Ale prowadził niesportowy tryb życia – powiedział Milodar.

– W zasadzie to wszyscy prowadzą niesportowy tryb życia. – Krysznaita wyjął z kieszeni notes i napisał na kartce swój telefon. – Ale tu chodziło o zasady.

– Właśnie tak – zasady – zgodził się Milodar i odebrał Krysznaitcie notes. – Pluszkin zyskał nadwagę.

– No to co? – zdziwiła się Kora,

– Miał przykazane – uważaj na nadwagę, a on nie uważał.

– Ale co w tym takiego przestępczego?

– Nawet sam prezydent nakazał Pluszkinowi, by zrzucił zbędne kilogramy.

– A on nie zrzucił – powiedział Krysznaita. Nie miał już na czym pisać, więc pokazywał numer na palcach. – Tylko dodawał następne kilogramy.

– I zaczął źle grać w piłkę?

– Nikt tego nie wie – przyznał komisarz Milodar. – Przecież nie został dopuszczony.

– Ale dlaczego?

– Bo podłoże tego było amoralne – powiedział Krysznaita. – Cieleśnie zakochał się w pewnej kobiecie. A ta powiedziała mu, że chce, by był gruby i ładny. Mimo że kierownictwo drużyny i państwa żądało od Pluszkina sportowej i wysokiej formy, i smukłej figury, ten zaczął bezczelnie obżerać się, łamać reżim przygotowań...

– A ona? – zapytała Kora.

– Kto – ona? – nie zrozumieli jej pytania mężczyźni.

– Kobieta. Pokochała go?

– O tym historia milczy – oschle rzucił Milodar, jakby Kora dopuściła się jakiegoś faux pas.

– Nie – ze smutkiem w głosie odezwał się Krysznaita. – Oświadczyła, że tusza psuje mężczyznę. Że nie może kochać człowieka, który dla rozpustnej kobiecej miłości dopuścił się złamania reżimu treningów, dopuścił się zdrady interesów drużyny i sportu jako takiego... Odeszła od niego do prezesa spółki akcyjnej „Wielki Uczciwy Sport”.

– A on? – zapytała Kora przepełniona współczuciem do piłkarza.

– A on, jak powiadają niektórzy, gra w drużynie podwórkowej.

– Drugie dno tej afery tworzyły wielkie interesy monopoli – zauważył Milodar. – Młody człowiek tego nie wie.

– I nie chcę wiedzieć – oświadczył z godnością Krysznaita. – Jestem zwolennikiem miłości duchowej, wolnej od cielesnych uciech. Rozumie mnie pani? – Skierował namiętne i dwuznaczne spojrzenie na Korę, jakby proponował, by nie wierzyła w jego słowa.

W tym momencie w przejściach i podziemnych korytarzach rozległy się dzwonki i gwizdki, i widzowie, dojadając swoje sandwicze i dopijając piwo, popędzili na trybuny.

Druga połowa rozpoczęła się od huraganowych ataków drużyny rosyjskiej. Wydawało się, że gol wisi w powietrzu, tak mawiają komentatorzy. Ale wisił ciągle w miejscu i nijak nie mógł dowisieć do argentyńskiej bramki. Argentyńczycy, a ich liczba uległa pewnej korekcie, ponieważ już trzech czy czterech graczy wyeliminowali z gry rosyjscy obrońcy, a limit zmian Argentyna już wyczerpała, nadal bezczelnie się bronili; ich bramkarz chwycił wszystkie strzały, nawet te kierowane w oddalone rogi bramki. Po trybunach niczym ładunek elektryczny przeleciała wieść, że prezydent obiecał autorom rosyjskich bramek po samochodzie marki mercedes-łada, ale to tylko wzmoгло zamieszanie na boisku i hałas na trybunach.

A kiedy niewydarzony wzrostowo i nieprzyjemny dla oka, niemal czarnoskóry Caravello, wlokąc na ramionach i plecach czterech wspaniałych rosyjskich obrońców, wpakował Rosji trzecią bramkę, a podli Trynidadczycy mieli odwagę ją zaliczyć, ciężka cisza zapanowała nad stadionem. Wolno wstał i skierował się do wyjścia prezydent, pomaszrowali do wyjść najbardziej słabi duchem kibice.

Ale podstawowa masa jakby obudziła się po chwili, ocknęła się z szoku i zaczęła skandować coraz głośniej i głośniej:

– Plusz-kin! Plusz-kin! Plusz-kin!

Nad stadionem rozległ się mechaniczny głos z potężnych głośników:

– Szanowni goście stadionu „Wembley”! Informujemy, że napastnik Pluszkin jest zdyskwalifikowany przez federację za złamanie reżimu treningowego i antypatriotyczne zachowania.

– Plusz-kin! Plusz-kin!

Mecz został zatrzymany. Wszyscy rosyjscy piłkarze, nie zwracając uwagi na piłkę, przyłączyli się do ryku tłumu:

– Plusz-kin! Plusz-kin!

Argentyńczycy, prawdziwi sportsmeni, na dodatek pewni już zwycięstwa, także zatrzymali się i zaczęli krzyczeć:

– Pluszcz-kin! Pluszcz-kin!

Nawet przekłęci trynidadzcy sędziowie, poddawszy się woli narodu, krzyczeli:

– Pluszy-ki! Pluszy-ki!

– Jasne – powiedział wtedy sąsiad Kory z prawej, ściągając z uszu słuchawki. – Jak mnie wyrzucano z drużyny, to nikt słowa w mojej obronie nie powiedział.

Zdjął ciemne okulary i włożył je do górnej kieszeni marynarki.

– A teraz, widzicie ich, potrzebne są im moje nogi? Czy nie mam racji?

– Ma pan całkowitą rację, panie Pluszkin – odpowiedziała Kora sympatycznemu grubasowi. – I jest mi bardzo smutno, że pańskie oddanie, wierność i uczciwość nie znalazły należytej oceny. Ale jeśli jest pan wolny jutro wieczorem, to mogę pana zaprosić na kolację ze sobą.

Milodar tak głośno zgrzytnął zębami, że wielu pomyślało, iż wali się wieża z reflektorami. Krysznaita też usłyszał słowa Kory i rozszłochał się.

– Dziękuję ci, miła dziewczyno – powiedział piłkarz. – Ale, niestety, ciągle jestem wierny tej parszywej suce, to znaczy Tamarce. Ale jak pani sądzi – czy warto, abym wyszedł na boisko?

W tym momencie znowu ożyły megafony. Ale tym razem rozległ się z nich dość wulgarny głos kobiety:

– Słuchaj, Sława Pluszkin, mówi Tamara. Wybaczyłam ci. Jeśli wyjdiesz na boisko, to ja wrócę do ciebie.

– Uuuuuuuuu! – ryknął stadion.

Ryknął z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony – gardził Tamarką, która zdradziła takiego bohatera, z drugiej – miał nadzieję, że wezwanie odniesie odpowiedni skutek.

– Oszuka cię – powiedział Milodar. – Słyszę obok niej męski oddech.

– Wiem – odrzekł ze smutkiem Pluszkin. – Ale nie mogę nie posłuchać.

Wstał, a w pierwszej chwili nikt na stadionie go nie poznał. Zanim zaczął schodzić w dół, Pluszkin szepnął do Kory:

– Już zrzuciłem sześć kilo.

Uścisnął jej rękę swoją silną, miękką dłonią i wolno zaczął schodzić w dół, w kierunku boiska.

A na spotkanie Pluszkinowi już pędzili garderobiani i asystenci ze strojem rosyjskiej drużyny.

Stadion poznał już swojego idola. Kibice wyli jak wilki w lesie. Argentyńczycy stali zmieszani i już żalowali swojego rycerskiego zachowania, słów i gestów. Podbiegli do trynidadzkiego sędziego i zaczęli pokazywać na zegarek i ponaglać, by uruchomił czas. A tymczasem kierownictwo ich drużyny już otoczyło łóżę komisarza, udowadniając, że Pluszkin nie jest zgłoszony do gry. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się te wszystkie pertraktacje, ale w tym momencie Pluszkin, kołyszając się, wybiegł na boisko.

I stadion, przygotowany niemal na każde rozwiązanie, zamarł na ten widok. Przecież w wielu domach wisiały zdjęcia Pluszkina, ale nikt nie podejrzewał, że człowiek może tak przytyć. Wydawało się, że Sława nie jest w stanie przebiec nawet trzech kroków.

Kibice zaczęli gwizdać, ale jak skazańcy, niezbyt głośno.

Sędzia w odpowiedzi dotknął swojego gwizdka.

Jeśli zegar boiskowy nie kłamał, to do końca meczu pozostało mniej niż pół godziny.

I mecz potoczył się dalej, a wszystkie zmiany zostały już dokonane.

Tyle że w akompaniamencie rechotu z trybun, kiedy okrążył i niezgrabny Pluszkin w żaden sposób nie mógł podskoczyć czy dosięgnąć piłki. I im bardziej rechotał stadion, tym bardziej złościł się napastnik. Kora czuła to wyraźniej od wszystkich, ponieważ jej spodobał się ten mężczyzna, gotów do takich poświęceń z powodu uczucia.

Wyczekała więc i doczekała do takiej chwili, kiedy przez pół sekundy hałas na trybunach ucichł – krzyknęła głośno i takim tonem, który spowodował, że jej głos dotarł do uszu napastnika:

– Sława, ja ciebie rozumiem!

Sława znieruchomiał i popatrzył do góry. Jego zalane tłuszczem oczka wyszukały na trybunie Korę. Podniósł do niej tłustą łapkę, uśmiechnął się – może właśnie takiej przyjaznej duszy mu brakowało.

Akurat w tym momencie zbliżył się doń szczupły i smukły jak pień topoli oraz bezczelny jak rosyjski bankier, Christofor Cortez, który wyraźnie zapragnął strzelić czwartą bramkę rosyjskiej drużynie i udowodnić całemu światu, że prawdziwego futbolu w tym kraju nie znają.

Grubas Pluszkin nie wydawał mu się godnym rywalem, szczególnie że Cortez, jak wszyscy

piłkarze, słyszał tragiczną historię swojego rosyjskiego kolegi i zapewne nawet mu współczuł. Ale w sporcie współczucie pozostaje poza ogrodzeniem stadionu. Sport nie zna litości.

Ale nie taka łatwa to była sprawa! Zręcznym ruchem ciała Pluszkin odciął Corteza od piłki i ten nawet się nie zorientował, że nadal biegnie w kierunku rosyjskiej bramki, ale już bez piłki, a ta, jak przyklejona do nogi Pluszkin, mknie ku innej bramce.

Argentyńczycy zmuszeni byli do zmobilizowania całej swej obrony, żeby w końcu zwalić Pluszkin z nóg tuż przed swoim polem karnym; być może wszystko skończyłoby się inaczej, gdyby któryś z rosyjskich graczy domyślił się, co jest grane i pośpieszył Pluszkinowi na pomoc. Choćby po to, by otrzymać od niego podanie. Ale nikt nie pośpieszył.

Ale kiedy doszło do rzutu wolnego, przybiegli wszyscy i zapomnieli o Pluszkinie, który, rzecz jasna, sam chciał wykonać ten wolny. Ale ponieważ nikt go nie zauważył, to potruchtał do swojej bramki – poza nim i bramkarzem wszyscy strzelali Argentynie gola.

Ale nie strzelili.

Muru z ośmiu graczy Żeleźniak nie rozwalił, natomiast Caravello natychmiast przejął piłkę i pognął na rosyjską bramkę.

I nikt nie stawał mu na przeszkodzie.

Tylko niezgrabny Pluszkin, którego mógł ograć każdy. Z martwej ciszy Pluszkin domyślił się, że dzieje się coś niedobrego i odwróciwszy się, zobaczył, jak dziesięć metrów od niego pędzi Caravello.

Jaki bies wszedł na Pluszkin, nie wiedział nikt, poza Korą.

Piłkarz trzema susami dogonił Caravello i wślizgiem posłał piłkę na trybuny.

Stadion zatrzęsł się od oklasków.

Oklaski nie spodobały się kolegom z drużyny Pluszkin. Tak więc kiedy Chochriański wyrzucał piłkę z autu, to przymierzył i cisnął w twarz Pluszkin, ale ten udał, że tak miało być – odchylił się lekko, przyjął piłkę na głowę i żonglując nią, pognął na bramkę Argentyńczyków, przy czym nikt nie mógł zatrzymać go ani odgwizdać złamania przepisów – każdy może, jeśli potrafi, donieść piłkę do bramki przeciwnika na głowie.

Już na polu karnym Sława przerzucił piłkę sobie na lewą nogę i huknął nią pod poprzeczkę.

Oczywiście, teraz szalał już nie tylko stadion. Koledzy z drużyny rzucili się do całowania i ściskania Pluszkin, szczypali go i tłukli przy tym, ale Sława nie miał im tego za złe. Dla niego najważniejsze było to, że zrobił swoje.

Prezydent wrócił do rządowej łóży.

„Mercedes-łada” został wytoczony na bieżnię.

A czas płynął.

Koledzy z drużyny źle podawali do Pluszkin. Każdy wołał sam strzelić gola, ale nie wychodziło im to. I oto cały już stadion krzyczał:

– Oddaj Pluszkinowi, ofermo!

Nikt nie chciał oddawać Pluszkinowi, bo w ten sposób przyznałby się do bycia ofermą, ale do linii bocznej podbiegli trenerzy z przewodniczącym federacji i kazali piłkarzom grać na Pluszkin, bo w przeciwnym wypadku anulowane zostaną wszystkie zagraniczne kontrakty, a moskiewskie mieszkania odebrane.

Wtedy piłkarze zaczęli się ruszać żwawo.

Zaczęli, choć nie chcieli, podawać do Pluszkin, choć niestarannie i niedokładnie, ale ten wpadł

w trans i dokonywał cudów.

Stadion szalał z radości i nadziei.

Na sześć minut przed końcem meczu Pluszkin strzelił drugiego gola. Wynik zmienił się na 3: 2 dla Argentyny.

Przeciwnicy starali się powalić Pluszkina, ale nie dawał się powalić, bo był przecież okrągły. Turlał się tylko i znowu był na nogach.

Kora zwróciła uwagę, że jej nowy przyjaciel zmienia się w oczach.

Na trybunach zauważyło to wiele osób. Widocznie tłuszcz Pluszkina był taki napływowy, niestały.

Kiedy dwie minuty przed końcowym gwizdkiem Pluszkin strzelił swoją trzecią bramkę, był już trzy razy szczuplejszy niż na początku połowy.

A w ostatnich sekundach meczu, kiedy trynidadzki sędzia podnosił do ust gwizdek, ale nie śpieszył się, bo nie chciało mu się biegać po boisku dodatkowe trzydzieści minut, Pluszkin został w końcu powalony na polu karnym. Wtedy z ulgą sędzia podyktował rzut karny, ale strzelił gola nie Pluszkin a Żeleźniak. I temu Żeleźniakowi podarował Pluszkin jeden ze swoich trzech mercedesów, bo sponsorzy nawet nie mieli czwartego wozu.

Stadion szalał, a wielu szlochało.

Mnóstwo ludzi wybiegło na boisko, żeby podrzucać graczy.

Ale większość z nich uciekła, a wtedy ludzie zaczęli podrzucać trynidadzkich sędziów.

Pluszkin również uciekł, ponieważ kibiców zmyliła ta jego postura – gruby jest czy już nie?

W ciemnych okularach i w starym ubraniu wszedł na trybunę, gdzie Milodar i Kora czekali, aż spłynie tłum, żeby spokojnie wyjść ze stadionu.

– Przyjmuję pani zaproszenie – zwyczajnie powiedział do Kory.

– W żadnym wypadku! – wrzasnął Milodar. – Jutro Kora będzie na drugim końcu Galaktyki!

– Poczekam – powiedział piłkarz.

– Nie – sprzeciwiła się Kora. – Bez takich komplikacji. Co pan robi dziś wieczorem?

– Tylko nie to! – krzyknął Milodar.

– Tylko nie to! – krzyknął Krysznaita.

– To jest wyjście! – ucieszył się Pluszkin.

– To niemożliwe! – Milodar był niezłomny.

– Możliwe! – odpowiedziała Kora.

– Zrozumiesz mnie za dziesięć minut – powiedział komisarz.

– Jeśli zrozumiesz, to przepraszę – uprzejmie odpowiedziała Kora i zwróciła się do piłkarza: –

O siódmej przy wejściu do Domu Filmu na ulicy Wasiljewskiej. Tam, gdzie jest neon „Restauracja”.

– Idziemy, idziemy – Milodar pociągnął Korę za rękaw. – Czekają na nas.

Kora podała dłoń Pluszkinowi, a ten czule ją uścisnął. Dłoń i palce sportowca były ciągle ciepłe i silne, ale straciły swoją uprzednią miękkość.

Wraz z wesołym, hałaśliwym tłumem wyszli ze stadionu i we wrzącym strumieniu rozradowanych ludzi podążali do metra.

Wkrótce podjechał pociąg. Miał napisane: „Finał – Centrum”.

Pociąg pędził bez przystanków. Było w nim ciasno, ale wesoło. Nawet Korze nie przeszkadzały te rozmowy i pieśni, ponieważ czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za historyczne zwycięstwo ojczystego sportu.

Po kilku kolejnych minutach pociąg zatrzymał się na stacji „Łubianka”, tłum pasażerów wylał się na peron.

Ludzie uspokajali się i wolno rozchodzili w różne strony.

Coś dziwnego działo się z Korą.

– Milodarze – zapytała. – Gdzie myśmy byli?

– Na stadionie „Wembley”, na finale mistrzostw świata między Rosją a Argentyną. – Na stadionie Wembley w Londynie – powiedziała Kora. Komisarz uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Stadion „Wembley” znajduje się w Londynie – stwierdził Krysznaita. – Do widzenia.

Rozpłynął się w tłumie.

– Milodarze, wyjaśnij mi jednak, co się stało?

– Nic szczególnego. Byliśmy na stadionie...

– Stop! Przypomniałam sobie! Ten mecz odbył się w dwa tysiące szóstym roku. W Londynie. Ale przecież dzisiaj...

– Tak, minęło trochę lat.

– Ale my byliśmy na stadionie!

Rozmawiając, wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce na skwerze placu Łubianka, żeby wypalić po papierosie. Tak w ogóle to Kora nie paliła, ale teraz była podniecona...

– To była wirtualna rzeczywistość. VR. Słyszałaś o czymś takim?

– Oczywiście, że tak, czytałam o tym.

– Ale nie próbowałaś jeszcze na sobie?

– Nie.

– No to pokazałem ci, co to jest. Ponieważ przyjdzie ci pracować w VR.

– Czy to znaczy, że wszystko to nam się tylko wydawało?

– Czyżbyś odczuwała to jak halucynacje?

– W żadnym wypadku.

– To samo odczuwali inni widzowie.

– Ale oni wiedzieli, że to tylko widowisko?

– Wirtualna rzeczywistość jest tworzona przez gigantycznej mocy komputery, które przenoszą ludzi do odpowiedniej rzeczywistości, a ona jest całkowicie oczywista i indywidualna.

– Ale ja mogłabym przysiąc, że nikt na stadionie nie wiedział, jak się skończy mecz, chociaż powinni to wiedzieć.

– W przeciwnym przypadku nie byłoby sensu wydawać na bilet ekwiwalentu miesięcznej pensji profesora. Ale w chwili, kiedy specjalny pociąg-translator zbliża się do peronu metra, ludzie przełączają się ze swej rzeczywistości na tę wirtualną.

– I zapominają, gdzie są?

– Wiedzieli tylko, że jadą na wspaniałe widowisko piłkarskie.

– A dlaczego nikt nie był rozczarowany?

– Niby dlaczego? Każdy otrzymał to, czego chciał.

– Ilu ludzi tak naprawdę w tym uczestniczyło?

– Głuptasie, wszyscy widzowie na stadionie byli prawdziwi. Ta fabuła VR jest w Rosji tak popularna, że raz w miesiącu kibice wypełniają całkowicie stadion na Łużnikach.

– To znaczy – wiedzą, że idą na Łużniki, a myślą, że na Wembley.

– Widzisz, pierwsza komplikacja! Nie pierwsza to sprzeczność, nie ostatnia.

- A gruby Pluszkin?
- Zmarł ze starości pół wieku temu.
- Czy to znaczy, że mecze są różne?
- Wynik ogólny – cztery – trzy dla Rosji jest stały. Ale w ramach tego wyniku możliwe są różne warianty.

– Ale przecież ja tam kibicowałam, potraćali mnie jacyś ludzie, piłam piwo, słyszałam te ryki, byłam tam!

- Oczywiście, że byłaś.
- I poza mną sto tysięcy ludzi?
- Sto tysięcy.
- I prezydent?
- Jakaś tam liczba ludzi jest mirażami, hologramami. To piłkarze, sędziowie, prezydent.
- Chcesz mi powiedzieć, że sto tysięcy ludzi kupuje bilet na mecz, który odbył się sto lat temu, zapomina po drodze, w jakim roku żyją, spędzają dwie godziny w niewiedzy o końcowym wyniku meczu i przypominają sobie dopiero w drodze powrotnej do domu?

– Właśnie tak, moja ty mądrutka!

– A pan to wszystko wiedział?

– Ja nie byłem zakodowany. Przecież byłem w pracy.

– A dlaczego ja zostałam ogłupiona?

– Ponieważ chciałem ci pokazać, jak przekonująca jest VR, tworzona przez komputer.

– Ogłupił pan sto tysięcy ludzi!

– Nie ogłupiłem, a pokazałem im superwidowisko! Przecież wiesz już, że są ludzie, którzy chodzą na ten mecz co miesiąc – i takich są tysiące. To ich najważniejsza rozrywka w życiu.

– Paskudny narkotyk!

– Niby dlaczego? Człowiek otrzymuje ładunek dobrego samopoczucia na cały miesiąc. To jest jak miłość. Póki się całujesz, nie boli cię nawet ząb. Do narkotyków ludzie się przyzwyczajają, a wirtualna rzeczywistość jest jak dobra książka, jak film. Podoba ci się – to obejrzyj jeszcze raz. Nie udało się zobaczyć – też nie katastrofa.

– W kinie siedzi się na sali i nie uczestniczy w akcji.

– Nieprawda, w dobrej – tak. Możesz wyobrazić siebie na miejscu bohatera.

– Ale nie mogą cię zabić.

– Z wirtualnego stadionu też wracasz żywa. Firma ci to gwarantuje.

– Uczestnictwo jest więc pozorne.

– Nie, uczestnictwo jest prawdziwe.

Palce Kory wymacały w kieszeni kurtki coś miękkiego. Wyciągnęła placek sezamowy, ten, który otrzymała na stadionie od Krysznaity.

– Wygląda, że niepotrzebnie miotam się po Galaktyce – rzekła Kora. – Ryzykuję życiem, nawet czasem ginę, sama zabijam ludzi... Po co? Można pójść sobie na stadion...

– Uciekłabyś z tego stadionu natychmiast po tym, jak domyśliłabyś się, że to zabawka, przyprawa do mdłego życia. Na twoim stadionie nie ma widzów, są tylko prawdziwi sportowcy.

– Proszę mnie nie pocieszać, komisarzu – zaprotestowała Kora.

Zdawała sobie sprawę, że z wypoczynku w ojczyestej wsi nici.

Przy wyjściu z metra czekał na nich szary, z niebieskim pasem, służbowy flyer InterGpolu,

wywołany przez Milodara przy pomocy łączności intuicyjnej...

Musieli pobiec do maszyny, przykrywając głowy programami ze stadionu. Mżył smętny jesienny deszczyk.

Komisarz wyjął z kieszeni dwie niepozorne paczuszki.

– To są nasiona dla twojej babci. Dotrzymuję słowa!

Po sześciu minutach flyer dostarczył ich do sanatorium „Uzkoje”, znajdującego się za Muzeum Paleontologicznym na peryferiach Moskwy. Tam, pod jednym ze stawów, znajdowała się tajna baza moskiewskiego sektora InterGpolu.

Zeszli betonową rurą i minawszy stalowe drzwi, znaleźli się w białym korytarzu. Sufit przeciekał w kilku miejscach. Ściany od dawna prosiły się o porcję farby. Ale Kora nie powiedziała tego komisarzowi. Ciągle łamała sobie głowę nad celem zaproszenia jej tutaj.

Weszli do gabinetu szefa.

Nic nie wskazywało na to, że znajdują się pod stawem w zaniedbanym parku, może tylko ta miedziczka w kącie, do której kapłała woda... Puszyste dywany i niskie fotele sprawiały, że gabinet był na egzotyczny, wschodni sposób przytulny.

– Siadaj, Koro – rzekł komisarz – i czuj się jak u siebie w domu.

To było poważne ostrzeżenie. Komisarz nigdy nie był miły w stosunku do swych agentów, jeśli nie zagrażało im śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Co będziesz pić? Whisky z wodą sodową? Czy dżin z tonikiem?

– Przecież pan wie, że piję wyłącznie wódkę „Absolut” – odpowiedziała Kora, starając się panować nad sobą i nie okazywać lęku.

Zadanie musiało być śmiertelnie niebezpieczne.

– Zaraz zobaczysz przestraszoną, zrozpaczoną kobietę. Musisz współczuć jej w tej rozpacz – powiedział Milodar, podając Korze wysoki kieliszek do połowy wypełniony lodowym kruszywem i cząstkami cytryny, powierzchnię tworzyła kołysząca się warstewka wódki.

– Muszę?

– Nie musisz udawać. Jej rozpacz jest prawdziwa i głęboka. A my musimy jej pomóc.

– Na czym polega jej żal? – ostrożnie zapytała Kora. Wiedziała, że InterGpol aktywnie bęła się w wielkiej galaktycznej polityce.

– Boi się, że straci swego jedyne go bratanka. Jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

– Mamy go uratować?

– Właśnie.

– Dlaczego?

Milodar postawił swój kieliszek na brzegu stołu i zaczął wyliczać na palcach:

– Po pierwsze, jesteśmy humanitarni. I każde ludzkie życie jest dla nas wartością samą w sobie.

– Komisarzu, nie jesteśmy na przesłuchaniu w parlamencie.

– Nie bądź bardziej cyniczna, niż jesteś naprawdę, agentko Orwat.

– Nie da się być bardziej cyniczną ode mnie – rzuciła Kora, łykając z kielicha.

Oczywiście, nie był to żaden „Absolut”, tylko coś ze średniej klasy, ale nie oczekiwała niczego innego od komisarza. Ten westchnął i wyliczał dalej, zginając palce:

– Po drugie, śmierć tego młodego człowieka zada śmiertelny cios korporacji VR, której akcje w połowie należą do rządu Ziemi, a z tego dochodu są utrzymywane przedszkola...

– Przytuliska dla kalek, samotnych matek i byłych piłkarzy – dodała Kora. A wypowiedziane słowo zmusiło do energicznej pracy jej umysł. – Korporacja VR... Ach, nie przypadkowo zaprowadził mnie pan dziś na stadion.

– Ja niczego nie robię przypadkowo.

– A ten młody człowiek ma zginąć na stadionie?

– To nie takie proste. Jeśli pozwolisz mi dokończyć, to dowiesz się wielu ciekawych rzeczy.

– Słucham uważnie.

– Oderwawszy się od naszego spokojnego życia, nie zauważyłaś zapewne, jak głęboko weszła w nią wirtualna rzeczywistość. Stadion, na którym dziś byłaś – to jakby szczyt góry lodowej, widoczny i powszechnie znany. Wszyscy chcemy oglądać Bajkę o Wielkiej Wiktorii... Ale podstawowe źródło dochodów VR, a zatem i naszej ojczystej planety, to nie te prymitywne masowe widowiska. – A co?

– Niewiarogodnie kosztowne i starannie przygotowane indywidualne rajdy.

– Co to znowu jest?

– Dalszy krok w rozwoju gier komputerowych. Stajesz się jej bezwarunkowym uczestnikiem. Nie kierujesz działaniami innych postaci, a sama trafiasz w określone sytuacje. Żyjesz w nich, z nich wracasz do rzeczywistości z sińcami, guzami i doświadczeniem życiowym. Ale na pewno wracasz i koniecznie – żywa. Tak więc... – Milodar zagiął trzeci palec. – Uratowanie tego pomysłu zależy od nas, ciebie i mnie. Jeśli ktoś zginie w trakcie takiego wirtualnego rajdu, to będzie oznaczało, że w samym założeniu, w idei, tkwi błąd.

Kora dopiła wódkę, poturlała po języku kawałeczek lodu, podała komisarzowi kieliszek. Chcąc go wziąć, Milodar musiał wyprostować palce.

– Proszę nie żałować mi słów, szefie – poprosiła Kora. – Przecież pan chce, żebym coś zrozumiała?

– Masz rację, niech to licho – zgodził się komisarz. – Specjalnie dla ciebie, ciemnej baby, wyjaśniam, że w takim indywidualnym rajdzie możesz sobie zażyczyć baśniową albo, powiedzmy, historyczną rolę. Możesz stać się Joanną d'Arc...

– I dokonać żywota jako dziewica na stosie?

– Wolisz „na stosie” czy „dziewica”?

– I tak źle, i tak niedobrze.

– W ostatniej chwili wyciągnie się ciebie ze stosu, do tego właśnie jest powołana nasza służba opresyjna i asekuracyjna.

– A czy to znaczy, że mogę być Messaliną?

– Dobrze myślę, że to prostytutka?

– Czy markizą de Pompadour?

– Na pewno prostytutka! Kochanka d'Artagnana. Czytałem. Co to za jakieś zбочzone ukierunkowanie wyobraźni?

– Przecież to wyobraźnia. A w życiu jestem typową Joanną d'Arc.

– Tak?

Milodar zamieształ się, nie wiedział – wyklócać się czy zgodzić.

– Proszę kontynuować, komisarzu. Tylko krótko. Co więc się stało?

– Pewien młody człowiek zamówił podróż do starożytnej Grecji. – Do Sokratesa mu się zachciało?

„No, niezła ta wódeczka. Może i nie „Absolut” ale co najmniej „Stolicznaja”, co najmniej”.

– Niezupełnie. On sobie zamówił żywot Tezeusza.

– Tezeusza? Coś mi świta. To nie on ganiał po labiryntach i wymyślił walki byków?

– Niemal masz rację, chociaż twoje wykształcenie nie jest, niestety, najwyższych lotów.

– Przysięgam sobie kiedyś, że nigdy nie będę kompetentniejsza od swojego przełożonego – zripostowała Kora.

– W takim razie podpowiem ci nieco. Tezeusz jest jednym z mitologicznych herosów. Coś między Heraklesem i Peryklosem. Czy mówią coś ci te imiona?

Kora ponownie podała komisarzowi swój kieliszek, a ten ruszył do barku i zaczął go napełniać, ale układ pleców wyraziście świadczył, że oczekuje odpowiedzi.

– Herkules to marka odżywki dla niemowląt – powiedziała Kora. – A Perykles – to coś związanego z rozstrojem żołądka.

Boże, pomyślała, jakie to romantyczne. Ciekawe, ile kosztuje taka podróż? Szkoda, że nigdy nie odkładała niczego z pensji albo premii, bo teraz mogłaby sobie kupić życie Afrodyty albo Heleny. Niechby pouganiali się za nią Odyseusze i Telemachowie. Herkules – to wulgarnie, ten ciągle kogoś niechcący zabijał...

– Dobra, i tak będziesz musiała powtórzyć sobie starożytną Grecję...

– Po co? – zdziwiła się Kora.

– Jak to po co? Od godziny usiłuję ci powiedzieć, że masz udać się do mitologicznej starożytnej Grecji, by odszukać tam Tezeusza.

– Komisarzu, wszystko pan mówił, tylko nie to!

Kora wyrwała z ręki Milodara kieliszek i wypila zawartość duszkiem.

– Denerwuję się – powiedziała.

Na ścianie rozjarzył się kwadrat ekranu – pokazało się na nim sympatyczne oblicze sekretarki Milodara, Praskowii Charłowej, nieszczęsnej kobiety, uratowanej – jak głoszą plotki – przez komisarza Milodara z rąk siepaczy Pugaczowa.

– Miły panie – zaśpiewała sekretarka – przyszła pani N.

– Proszę wprowadzić – polecił Milodar.

Drzwi otworzyły się. Przemknęła przez nie otulona różowym puchem kobieta w średnim wieku z niewielkim diademem w fioletowych włosach.

– Proszę wejść, Wasza Wysokość – powiedział, kłaniając się, Milodar.

Przez całe pięć lat pracy w InterGpolu Kora nie widziała, by komisarz komukolwiek się kłaniał.

– Proszę pozwolić, księżno, że przedstawię – kontynuował komisarz. – Agentka Kora Orwat, o której pani mówiłem. Agent numer trzy. Co oznacza, że jest trzecim co do jakości agentem w naszej firmie.

Kobieta posłała Korze smutny, królewski uśmiech i podała jej rękę w białej rękawiczce – ręka pofrunęła znacznie wyżej niż do zwyczajnego uścisku dłoni, jakby do pocałunku, ale Kora, będąc przekonaną demokratką, wykorzystwała przewagę wzrostu i tylko delikatnie ścisnęła łapkę jej wysokości.

– Ale dlaczego ma pan dla mnie tylko agenta numer trzy, komisarzu? – zapytał gość niemal niesłyszalnym, delikatnym i nawet nieśmiałym głosem. – Gdzie są ci dwaj lepsi?

„Ach, ty zołzo – pomyślała Kora. – Masz co najmniej pięćdziesiątkę na karku, a ubierasz się jak własna wnuczka”.

– Agent numer jeden zaginął bez wieści w jednym z kraterów Wenus. Szukamy go... szukamy od sześciu lat. Agent numer dwa tydzień temu przeszedł na emeryturę.

– No to odwołajcie go z tej emerytury!

– Niestety, raczej się nie uda. Marzył o niej przez ostatnie sto trzydzieści lat.

Wtedy jej wysokość przymknęła się, przemaszerowała do największego fotela i usiadła z gracją prawdziwej księżnej.

– Dziewczyna jest wprowadzona? – zapytała.

– Najogólniej – tak – odpowiedział Milodar, merdając niewidzialnym ogonkiem.

Kora nabrała ochoty wstać, podejść do szefa i sprawdzić, czy mu gdzieś przypadkiem nie wystaje ów ogonek.

– Wydaje mi się nieco mało zwrotną – oświadczyła madame.

– W wirtualnej rzeczywistości pani Gustaw może być prawdziwym Tezeuszem, czyli niemal gigantem.

– Ach, jakie to głupie! – zakrzyknęła madame i zarumieniła się, skonfundowana jakimiś własnymi myślami. Kiedyś, stosunkowo niedawno, musiała być bajecznie piękna – istnieje taki rodzaj bezcielesnej, nietrwałej urody – uroda różowej z błękitnym odcieniem cery, jasnoblond rudawych kędziorów, szczupłych dłoni, zwieńczonych delikatnymi smukłymi paluszkami, no a oczy... Oczy natura daje takiej piękności pastelowe, przejrzyste i świetliste, patrzy się człowiek i widzi jakby poranne błękitne niebo. Taka uroda gaśnie szybko, i nie daj Bóg ratować ją przy pomocy kremów, gorsetów czy masażu – cera staje się krucha i papierowa, oczy stają się wodniste, a ręce ze szczupłych zmieniają się w chude.

Ale madame Ragoza, bo tak zwała się księżna, ostatnia na tym świecie zgodziłaby się z nieubłaganym działaniem natury. Widziała siebie nie w lustrze, a na portrecie, namalowanym przez najlepszego salonowego malarza jej państwa dwadzieścia pięć lat temu.

Madame Ragoza była bardzo wpływową damą z pewnego globu, który nie zrodził własnej cywilizacji, a tylko taką, posiłkującą się wspomnieniami o Ziemi; tym niemniej od dawna był już niepodległy i dzielił się na pół tuzina królestw i republik. Niektóre były znane tylko autorom informatorów, a inne, jak na przykład ojczyzna Ragozy, były znane w Sztacie Generalnym Galaktyki, a jej sprawy wewnętrzne były przedmiotem troski wielkich polityków. W górskich rejonach królestwa znajdowała się dolina, gdzie nie wiadomo dlaczego zgromadziła się dolna połowa „układu okresowego”. Wydobycie pierwiastków okazało się zajęciem nieskomplikowanym, co powodowało, że na ojczyznę Ragozy ciągle napadali sąsiedzi, po kolei podbijając jej ziemie i zapładniając jej dziewice, i dopiero w ostatnich latach Ragoza stała się przedmiotem tuzina międzyplanetarnych umów, które nie zawsze były realizowane, ale nie były też łamane jawnie, ponieważ pieczę nad nimi sprawowało Centrum Galaktyczne.

Szlachetnie urodzeni z Ragozy, a także uzdolniona młodzież plebejskiego pochodzenia, przylatywali na Ziemię, w miarę możliwości pobierali nauki w Harvardzie, Czernogółowce i Heidelbergu albo, wpadając na handlu narkotykami, bawili jakiś czas w więzieniach typu Sing-Sing czy Lefortowo.

Na Uniwersytet Moskiewski, kolebkę nauk humanistycznych, przyjechał również następca ragozyjskiego tronu Gustaw-Rosario-Joachim, który, gdy tylko nadeszły najbliższe wakacje letnie, skierował swe kroki do zarządu kompanii VR, by poddać się prawdziwemu sprawdzianowi, wybierając najtrudniejszy rajd VR.

Tego typu sprawdziany na planecie Ragozy były czymś nowym, więc decyzja księcia, wywoławszy spore zdziwienie jego rodziny i znajomych, została ukryta przed prostym ludem – piekarzami, górnikami, farmerami i elektrykami. Książę Gustaw był jedynym bezpośrednim następcą tronu. Prawa pozostałych pretendentów były wątpliwe lub nie istniały wcale. To, oczywiście, nie przeszkadzało różnym partiom politycznym w popieraniu pretendentów, pomaganiu im, popychaniu i poszturchiwaniu, każąc wątpić w pozytywne wyniki walki o władzę w państwie, w przypadku, gdyby coś się stało z księciem Gustawem.

O tym właśnie opowiedział Milodar Korze w obecności damy Ragozy, a ta słabym głosem, jakby dopiero co wbiegła po schodach na dwunaste piętro, uzupełniła:

– Osoba następcy tronu jest święta.

Po czym zamilkła na długą chwilę, oczekując zapewne, że słowa te wprawiają Korę w drżenie. Nie wprawily, wywołały natomiast pytanie:

– Skoro tak go szanujecie, to po co wypuściliście z ojczyzostego globu? Niechby się uczył w domu.

– Nasz chłopiec – powiedziała madame Ragoza – musi mieć prawdziwe wykształcenie. Nadszedł czas, by Ragoza stanęła w pierwszych szeregach światowych mocarstw. Do tego potrzebny nam jest oświecony monarcha. Rozumie mnie pani, duszyczko?

Od dawna nikt nie nazywał Kory duszyczką. To słowo miało protekcyjnalne zabarwienie. Ale przecież nie będzie się obrażała na tę ruinę!

– A co studiuje? – zapytała Kora.

– Gustaw uczy się na wydziale prawa, specjalizacja – prawo międzynarodowe. Ale prócz tego uczęszcza na wykłady z fizyki teoretycznej i mineralogii. Jak wiadomo, nasze największe bogactwo to kopaliny, pierwiastki ziem rzadkich...

Wypowiedziawszy tyle trudnych słów, madame Ragoza opadła na oparcie fotela. Była wyraźnie znużona.

– Dżin z tonikiem? – zapytał Milodar.

– Kropoleczkę, na samo dno – przyzwoliła madame. – Skąd pan zna moje gusta?

– Przygotowaliśmy się do spotkania – odparł Milodar. – Przecież to naturalne!

– Czyżby? – madame obdarzyła Milodara płonąącym błękitnym spojrzeniem. Widocznie dopiero teraz dojrzała w nim mężczyznę, i zainteresowało ją to. Korze wcale się to nie spodobało.

Póki komisarz przygotowywał drink dla damy, Kora milczała i myślała: czy ma sama podejść do barku i przygotować dla siebie nową porcję, czy poprosić Milodara, by nie zapomniał i o drugiej madame. W końcu jest znacznie bardziej apetyczna niż ten spróchniały mół!

Milodar zapewne skórą pleców wyczuł jej wyrzut, łokcie mu zadygotały, odwrócił się, podał kieliszek madame Ragozie i powiedział, nie wiadomo dlaczego do niej, a nie do Kory kierując słowa:

– Nasza agentka Orwat, niestety, nie może napić się z nami – nie zażywa napojów alkoholowych.

– Ach, jaka szkoda! – zawołała madame Ragoza, odbierając kieliszek z rąk komisarza i dotykając jego palców końcami swoich fioletowych paznokci. – Mając takie dzikie nawyki, niczego nie osiągnie ani w towarzystwie, ani w życiu. Obowiązki towarzyskie wymuszają na nas umiejętność pochłaniania różnego świństwa całymi beczkami.

Z tymi słowy subtelną damę przechyliła kieliszek i przełknawszy dżin, wypłuła kostki lodu na dywan. Milodar rzucił się do zbierania ich – bardzo szanował swój dywan, przywieziony z jakiejś młodzieńczej ekspedycji, od ostatnich kanibali Arkadii. W jego wzory wplecione zostały włosy ofiar

walk plemiennych.

Kora uznała, że wcale nie jest aż tak zainteresowana zadaniem, istoty którego jeszcze nie poznała. Czas było pokazać się na scenie.

Poderwała się raźnie i, póki Milodar pełzał po dywanie, dwoma krokami dopadła barku, odkorkowała butelkę z wódką „Absolut” i naląła nieco ponad połowę szklanki. Z tym łupem zamierzała wrócić na swoje miejsce, ale powstrzymał ją cienki okrzyk madame Ragozy:

– Nie mogłabyś, duszyczko, dolać mi do szklanki tegoż napoju?

– Z przyjemnością – odparła Kora i poczuła jak jej stosunek do tej księżnej zmienia się na przeciwny.

Sławetne opanowanie Milodara zawiodło go w tym momencie. Nie dozbierawszy wszystkich kostek lodu, poderwał się i potraktował je czubkiem buta. Kostki wzleciały w powietrze i wybiły na szybie okna werbel niczym z erkaemu.

– Bardzo tu miło – powiedziała madame Ragoza. – Bardzo. Przyjęła z rąk Kory kieliszek, stuknęła się z nią, damy wypily – Więc jest pani dopiero trzecią na liście agentów? – zapytała Korę.

– To przesada – powiedziała Kora. – Ale myślę, że w drugiej dziesiątce jestem.

– Z każdą chwilą jest pani milsza – stwierdziła krucha istotka.

Milodar powrócił na swoje miejsce – naprzeciwno madame Ragozy i odezwał się głosem wielkiego szefa, który spóźnił się na naradę:

– No to jak, kontynuujemy?

I udał, że panie piją sok pomarańczowy. – Oczywiście, w dobrych domach nie jest to przyjęte – oświadczyła madame, własnoręcznie skierowawszy się do barku i dolewając do kieliszka z butelki. Policzki jej zaróżowiły się, odmłodziła o dobre dwadzieścia lat. – Ale mój Gustaw to takie niezwykle dziecko. Nigdy nie interesowały go myśliwskie wyczyny i bójki, sam nauczył się czytać i pisać, potem zaczął liczyć. Kiedy miał dziesięć lat, musieliśmy zwolnić całą kadrę profesorską, ponieważ już niczego nie mogła go nauczyć.

– To być nie może! – zakrzyknął Milodar, starając się przejąć inicjatywę. – A co potem?

Madame Ragoza obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, jakby pytając: a co tu robi ten człowiek? Milodar, nieprzyzwyczajony do takich spojrzeń, zmieszał się i zamilkł.

– W tej chwili Gustaw ma dwadzieścia lat. Jest niewątpliwie najbardziej wykształconym i najpoważniejszym człowiekiem na naszym globie, nie mówiąc o państwie Ragoza. Z nim wiążą się wszystkie nasze nadzieje na postęp. Już nie wspomnę, ile znaczy dla mnie osobiście. Po tym jak jego rodzice zginęli z rąk zamachowców, a władza przeszła w ręce Rady Regentów, stałam się jego najbliższą krewną. To mój rodzony bratanek, syn mojego ukochanego brata. Rozumiecie sytuację?

– No to po co on się wpakował w ten VR rajd? Lepiej by przeszedł się na Mont Everest – wyraziła przypuszczenie Kora.

– Może zrobię kawy? – zapytał Milodar.

– Zrób, gołąbeczku – zgodziła się madame Ragoza.

– Może urządził sobie rodzaj testu? – zapytała Kora.

– To nie jest takie proste – westchnęła księżna.

– Może trzeba kogoś zlikwidować? – zapytał z kuchni Milodar.

– Jaki pan wulgarny, komisarzu – odparła madame. – Problemów ludzkich nie rozwiąże gwałt.

– Rozwiąże, rozwiąże! – wesoło zapewnił ją komisarz. – Nie ma człowieka, nie ma problemu.

Wyczytałem to w jakimś starożytnym manuskrypcie.

Wszedł z tacą w rękę i postawił ją na stolik prasowy.

– Musi się pan ożenić – powiedziała madame Ragoza.

– Próbowałem tego – odparł Milodar. – Ale bez wzajemności moje związki rozpadały się.

– Znajdę panu kobietę ze szlachebnym pochodzeniem, jakąś hrabiankę.

– I dostanę w wianie kupę krewniaków o wątpliwym pochodzeniu! O, dziękuję bardzo! Już lepiej proszę poszukać mi kogoś w sierocińcu...

Damy roześmiały się z powodu szczerzego strachu Milodara.

– Poza tym jestem aktualnie zakochany.

Milodar rozlewał kawę do filiżanek. Jego ręka drżała.

– To jest szlachebne zajęcie, godne mężczyzny – westchnęła madame Ragoza, pokazując w ten sposób, jak gorzką jest świadomość, że to nie w niej się kocha. – Kimże jest pańska szczęśliwa wybranka?

Milcz, w myślach rozkazywała Kora komisarzowi. Po co masz bezcześcić naszą ojczystą planetę w oczach światowej opinii publicznej?

Ale Milodar nie posłuchał niewypowiedzianej na głos rady.

– Dwie szczęśliwe wybranki – oświadczył. – Bliźniaczki.

– I którą pan wybrał?

– Jeszcze nie zdecydowałem – odpowiedział Milodar. – Najprawdopodobniej wybiorę obie.

– Jak to? Przecież u was panuje monogamia?

– Nie wiem co u nas panuje, nie wiem! Ale proszę się postawić na moim miejscu. Jeśli ożenię się z Juliettą, to Makbetta wyjdzie za mąż za kogoś innego i będzie mu się oddawała!

– Może tak musi być dla jej szczęścia?

– Ale ja ich nie odróżniam! – krzyknął Milodar. – Zabiję każdego, kto odważy się ożenić z siostrą mojej żony, ponieważ nie będę wiedział, z kim się ożenił: z siostrą mojej żony czy z nią samą.

– Obawiam się, że to przekracza granice mojego pojmowania – przyznała zaskoczona madame Ragoza. – Pan chyba stanowi zagrożenie dla otoczenia.

– Na razie nie ma nikogo na moje miejsce – powiedział Milodar. – Jestem mądry, zdecydowany, chytry, szybki, oddany sprawie, doceniają mnie przełożeni i kochają podwładni, prawda, agentko Orwat?

– Co do miłości – ostrożnie odpowiedziała Kora – to chyba pan z nią przesadza. Ale żyję w przekonaniu, że każdy nowy przełożony jest gorszy od poprzednika. To pangalaktyczna reguła. Dla mnie lepszy jest ten, do którego już się przyzwyczaiłam.

– Nie jest to może najmądrzejsza odpowiedź, ale lepsza taka niż żadna – zauważył Milodar. – Według mnie, trochę odeszliśmy od głównego tematu. Przecież to pani za pośrednictwem konsula przekazała mi, że rozmowa jest pilna i nadzwyczaj ważna. Odłożyłem wszystkie sprawy bieżące i w celu zapoznania mojego agenta z rzeczywistością wirtualną zawiozłem go na stadion, gdzie obejrzelśmy mający miejsce sto lat temu dramatyczny mecz piłki nożnej.

– Sto lat temu! – wyrwało się Korze. Zrobiło jej się smutno na wspomnienie Pluszkina. Wódka zaczynała działać. – Oni wszyscy już dawno nie żyją...

– Ach, przypomniałem sobie – spodobał ci się ten grubas! – powiedział Milodar. – Ale on jest owocem wirtualnej rzeczywistości.

– Ja też coś takiego przeżywałam – oświadczyła porcelanowa księżna, łykając wódkę z kieliszka, jakby to była lemoniada. Widocznie poczuła się już całkiem swojsko w gabinecie groźnego

komisarza. – Zakochałam się w portrecie. Kupiłam go, powiesiłam w sypialni i poleciłam swoim technikom, by wyszukali wszystkie dane dotyczące tego... rycerza, który zginął trzysta lat temu, i kazałam odtworzyć hologram według jego szkieletu...

– Rozkopała pani grób?

– A co miałam zrobić, skoro się zakochałam? – odpowiedziała rezolutnie madame Ragoza. – Pamiętaj, że w miłości nie uznaję granic i reguł. Nie daj Bóg, byś się znalazła na mojej drodze.

Zadziwiła tym Korę. Oto siedzi przed nią krucha, pokryta glazurą różowa istotka, w jej wytwornej ręce drży kieliszek z wódką „Absolut”, i grozi Korze swoją wulkaniczną namiętnością. Czemu nie, pomyślała Kora, taka to i otłuć może. Właśnie otłuć.

– Odtworzyli mi go. Niemal prawdziwego. Trójwymiarowego... I musiałam wyłączyć.

– Dlaczego?

– Och, ci pochlebcy-malarze!.. Na portrecie był tak wyidealizowany, że poznałam go tylko po wąsach. Od tego czasu nie pozwalam sobie na zakochywanie się w mężczyznach... Z rzadkimi wyjątkami.

– Madame Ragoza – wtrącił się Milodar. – Jeśli nie sprawi to pani trudności, to proszę kontynuować opowieść.

– Z przyjemnością. Duszyczko, dolej kapkę tego wspaniałego napoju. Dziękuję. Na czym stanęliśmy?

– Na tym, że pani siostrzeniec został sierotą i zdał na Uniwersytet Moskiewski.

– Słusznie. A teraz wybiera się do starożytnej Grecji, gdzie go zabiją i zostaniemy bez następcy tronu...

– Wybrał dla siebie los Tezeusza? – zapytał Milodar.

– Właśnie tak. Właśnie Tezeusza. To jakiś archiwalny Grek, który przez całe życie ryzykował nim i szalał. Jeszcze bym zrozumiała, gdyby wybrał dla siebie los Homera...

– Homer był ślepy.

– Albo Napoleona.

– Skończył na zesłaniu.

– Albo, w końcu, jakiegoś boga – Dionizosa czy Hermesa. To by mnie nie niepokoiło.

– Ależ nie powinna się pani niepokoić w żadnym z tych przypadków – powiedział Milodar. – Dopiero co rozmawiałem z szefem kompanii VR. Przysięgają, że ich przygody są całkowicie bezpieczne. W ani jednym indywidualnym rajdzie w ostatnim roku nie było przypadku śmiertelnego. Sińce, guzy, zadrapania, w najgorszym przypadku połamane ręce... Ale wszyscy wrócili do tatusia, mamusi i cioci.

– Obawiam się, że może dość do wyjątku – odparła madame Ragoza. – Nie pędziłabym do was przez pół Galaktyki tylko z powodu rozchwiania własnego systemu nerwowego.

– Skąd się biorą pani obawy?

– Najpierw to były tylko plotki – głos księżnej zadrżał: wódka podziałała i na nią. – Było ich coraz więcej i więcej, i więcej, póki nie zalały całej stolicy.

– Jakie?

– Bardzo konkretne. Że nasz drogi Gustawek postanowił udać się na rajd VR i nie wróci stamtąd żywy.

– A skąd się brały te plotki, kto je rozpущcza? – zapytał Milodar.

– Nie wiadomo. Musiałam udać się do wyroczni Czeluści. Ona... mi powiedziała: „Twój Gustaw

wyruszy w VR rajd i tam go załatwią. Wszystko jest już przygotowane”.

– Kto to jest wyrocznia Czełusci? – zapytała Kora.

– Już wszystko wyjaśniam – powiedziała księżna. – Wyrocznia... przepraszam, gdzie tu jest toaleta? Niedobrze mi, niech to licho! Czym napoiłście swojego gościa, co?

Księżna poderwała się z kanapy, a Kora musiała chwycić ją na ręce i zanieść do łazienki, gdzie miała miejsce nieestetyczna scena, po czym Kora doprowadziła do porządku księżnę, a Milodar przywołał jej ochronę, składającą się z dwóch ponurych młodzianiaszków. Jeden z nich zarzucił sobie księżnę na ramię, jakby była workiem kartofli, a drugi szedł za nim, z blasterem w rękę, rozglądając się nerwowo na boki, jakby oczekiwał nieoczekiwanej napaści.

Na progu zatrzymał się i, patrząc na Milodara, powiedział:

– Nie wolno tej starej pudernicy dawać wódki, czy tak trudno się tego domyślić?

– Trudno – odparł z godnością Milodar. – Tak szczerze, to nie sprawia wrażenia alkoholiczki.

– A ty sprawiasz wrażenie myśliciela – bezczelnie rzucił ochroniarz.

Milodar natychmiast wyszarpnął z kieszeni blaster, a młodzian nie tylko wyszarpnął swój, ale i otworzył bez uprzedzenia ogień – dobrze przynajmniej, że Milodar i Kora przyzwyczajeni byli do reagowania na ogień przeciwnika już w momencie zginania się jego palca wskazującego. Oboje zdążyli ukryć się za kanapą, której oparcie natychmiast poszło w drzazgi.

Ze ściany z hukiem zwałił się wspaniały obraz Botticellego „Wenus z obcym niemowlęciem”, przestrelony i nadpalony, żyrandol kiwnął się i gruchnął na dywan, rozpadając na mnóstwo odłamków.

– Wspaniale, chłopcy! – rozległ się z korytarza głos madame Ragozy.

Całe to towarzystwo zniknęło, a Milodar natychmiast przywołał do gabinetu rachmistrzów, by podliczyli straty i wystosowali pozew do królestwa Ragoza, jeszcze zanim statek kosmiczny z madame Ragozą na pokładzie spróbuje zwać z Ziemi.

Póki buchalterzy, przekrzykując się i jęcząc z oburzenia, liczyli i potrajali straty, Milodar schował swój blaster.

– I tak nie mógłbym wystrzelić – powiedział. Podeszedł do biurka, w roztargnieniu przeszedł przez nie i usiłował usiąść w fotelu, ale, rzecz jasna, zwałił się na podłogę. Dopiero na poziomie dywanu udało mu się powstrzymać swój upadek.

– Jak pan się zręcznie podmienił! – zdziwiła się Kora. – Przecież na stadionie był pan sobą, a tu już – hologram!

– Ach, to proste – opowiedział Milodar. – Przecież wychodziłem do kuchni zaparzyć kawy i tam dokonałem podmiany. Nie podobała mi się ta księżna. Nie lubię pijących starszych pań.

– Nie powinien był pan przypadkiem i mnie uprzedzić? – zauważyła Kora. – Mogli mnie podziurawić.

– Och, najwyżej by cię zabili – machnął ręką bezlitosny komisarz.

– Znaleźlibyśmy dla ciebie nowe ciało, jeszcze lepsze od tego.

– Jeszcze czego! – oburzyła się Kora. Gdyby nie świadomość, że zamiast szefa znajduje się w gabinecie jego hologram, już dawno wydrapałaby mu oczy. – Urządza mnie moje ciało. A pan jest zdradliwą kanalią, szefie!

– Nie, jestem tylko rozsądnym działaczem państwowym – odparł ten. – Agentów można mieć, ilu dusza zapragnie. A komisarzy można z trudem policzyć na palcach.

Kora miała swoje zdanie na ten temat, ale nie podzieliła się nim z szefem, ponieważ nie chciała

stracić pracy. Jeśli ktoś zwalnia cię z InterGpolu, to od razu lądujesz na zapomnianej przez boga i diabła asteroidzie na peryferiach Galaktyki na stanowisku naczelnika miejscowego komisariatu. I wkrótce kończysz żywot z powodu przypadkowej kuli albo noża w pijackiej burdzie. Takie jest życie...

– Proszę wybaczyć, szefie – powiedziała Kora, biorąc się w garść.

– Będziemy coś z tym robili czy niech sobie madame Ragoza wynosi się do swojego królestwa?

– Rad bym zapomnieć o niej. Nie lubię dam, mających takich bezczelnych ochroniarzy.

A właśnie, kto ich zlikwiduje – ty czy Iwanów?

– Proszę posłać Rabinowicza. On ostatnio dużo gada o humanizmie.

– Dobry pomysł, Koro – pochwalił ją komisarz.

– Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Czyżby to nie było jasne? Oczywiście, że bierzemy się za tę robotę. Ponieważ taka jest decyzja Galaktycznego Sztabu. Czy nam się to podoba, czy nie.

– No to proszę mnie zwolnić...

– Nie zwolnię. Jesteś aktualnie jedynym moim ładnym i doświadczonym agentem płci żeńskiej.

W mitologicznej Grecji odgrywa to znaczącą rolę.

– Dlaczego?

– Proszę, weź te książki. Tu są mity greckie. Neihardt, Kun, Plutarch. Przeczytaj wszystko co możesz o Tezeuszu i jego krewnych.

– Komisarzu!

– Od sześćdziesięciu lat jestem kemisarzem, nie przypominaj mi więc. Ale najpierw polecisz czarterem do królestwa Ragozy.

– A to po co?

– Musisz się spotkać z wyrocznią Czeluści i dowiedzieć się, dlaczego uważa ona, że książę Gustaw zostanie zamordowany podczas wirtualnego rajdu. Jaki ptaszek jej to wyśpiewał. Jasne?

– Czy naprawdę nie ma nikogo inne...

– Są! Ale to nie twoja sprawa. Ty powinnaś zobaczyć możliwie dużo postaci tego dramatu, zrozumieć, jakie istnieją między nimi stosunki, podział sił, i zdecydować – zabiją Gustawa czy tylko nastraszą. W czasie tej podróży odświeżysz swoją wiedzę z dziedziny mitologii i starogreckiego.

– Nigdy nie znałam tego języka.

– No to poznasz w stopniu doskonałym jeszcze przed rozpoczęciem rajdu.

– Jakiego znowu rajdu?

– A jak inaczej odszukasz księcia Gustawa i jak będziesz go chronić?

– Czyżby wszystko było już postanowione?

– Moja droga Koro, nie wyobrażasz sobie, ile na galaktycznym rynku warta jest ta dolina w królestwie Ragoza, gdzie znajdują się rzadkie pierwiastki.

– Mogę odejść? – ponurym głosem zapytała Kora.

Wszystko, co się tu dzisiaj wydarzyło, nie podobało się jej.

– Idź, idź... Zresztą, czekaj!

– Co znowu?

– Nie tak bezczelnie, agencie! Popatrz, która z nich bardziej ci się podoba?

Milodar podał Korze dwie holografie młodych ślicznych brunetek, podobnych do siebie jak dwie krople wody, zwłaszcza że obie miały na nosach klamerki do bielizny.

- A te klamerki po co? – zainteresowała się Kora już domyśliwszy się, że uczestniczy w kolejnej próbie rozwiązania zadania z kozłem Buridana. Czy może z osłem?
- Moje narzeczone – mistrzyni Taganrogu w pływaniu synchronicznym. Ta z prawej to Julietta, a z lewej – Makbetta... Nie, poczekaj, może odwrotnie?
- No to jak się pan nauczy je odróżniać, wtedy może pan pokazać.
- Więc ty też ich nie rozróżniasz?
- A po co ja mam rozróżniać?
- Może i masz rację... Dobra, idź, na co czekasz? Lot na Ragozę za dwie godziny. Jeszcze się musisz spakować.
- Dlaczego mi pan wcześniej nie powiedział? Nie zdążę.
- Jak nie zdążysz, to nie masz co robić w InterGpolu. Tak sobie gaworząc, rozstali się.

Na statku „Nirwana”, należącym do Związku Planet Buddyjskich, Kora zobaczyła panią Ragozę w towarzystwie jednego ochroniarza. Drugiego sprzątnął Rabinowicz. Ale Kora nie zbliżała się do tej pary, a zresztą nie byłoby to łatwe, ponieważ madame Ragoza leciała klasą „luks”, gdzie pasażer sam mógł wyłowić sobie w niewielkim basenie jesiotra na kolację, gdzie orzechy kokosowe spadały z palm na życzenie klienta, a w restauracji słuch pieściła orkiestra jazzowa pod dyktando Duke’a Ellingtona, starannie i doprawdy wysmienicie zrekonstruowanego przez inżynierów genetycznych.

Kora przebywała w kajucie standardowej klasy drugiej, chwała Bogu, że przynajmniej sama, bo oszczędny Milodar śmiało mógłby wpakować ją do dwumiejscowej. Otrzymywała posiłki z owalnego otworu w ścianie nad stolikiem, pod napisem w kilku językach galaktycznych: „Wykorzystane naczynia należy wrzucać do dezintegratora”.

Tak więc Kora obserwowała madame Ragozę tylko wtedy, gdy ta spacerowała po galerii, zerkając czasem w dół, ale nie widząc ani Kory, ani innych zwykłych pasażerów, ponieważ od strony kabin „luks” galeria jakby szybowała nad bezkresną równiną, a szklany sufit, na który gapiła się, zadzierając głowę Kora, rękami zręcznych inżynierów zmieniony był w zielone morze dżungli. Od czasu do czasu ze splotów gałęzi wlatywały egzotyczne ptaki i rozlegał się ryk małp i leopardów.

Całą drogę Kora, będąc agentem zdyscyplinowanym, poświęciła na poznanie języka starogreckiego, którym najchętniej posługiwał się Zeus i jego krewni, a także na zapoznanie się z zyciorysem Tezeusza, którego różne źródła traktowały różnie.

Mimo że nie miało to z jej punktu widzenia większego znaczenia podczas wykonywania zadania, najpierw wyjaśniła, kim był i skąd się wziął. Przecież, szczerze mówiąc, do tej chwili знаła Tezeusza tylko z jednego wyczynu: on to pokonał słynny Labirynt, odszukał tam dzikiego Minotaura i zaszlachtował go, stając się pierwszym w historii Ziemi torreadorem. Czyżby księżę Gustaw postanowił wyruszyć w VR rajd tylko po to, by jeszcze raz zarznąć biednego byka? Dziwne!

Ojcem Tezeusza, jak wyjaśniali wszyscy autorzy, był niejaki Egeusz, który potem swoim imieniem nazwał morze. Królował w Atenach, które naówczas nie były jeszcze stolicą Grecji, ale, jak rozumiała Kora, były dość małym miastem. Tenże Egeusz drogę do władzy miał nieleką, posiadał złośliwych bratanków, mających ochotę na odebranie mu Aten. Byli to synowie jego brata Pallasa, zwano ich hurtowo Pallantydami i liczono, że było ich około pięćdziesięciu, co dowodzi, że Pallas musiał mieć kilka żon albo często je zmieniał. Pallantydzi nijak nie mogli się doczekać, aż wuj Egeusz zemrze i starannie pilnowali, by przypadkiem nie ożenił się i nie dochował następcy tronu.

Sprawa zaczynała intrygować Korę, z przyjemnością czytała ustęp Plutarcha, potem rzuciła się do Kuna albo Neihardta, by skonfrontować dane przy pomocy przesłuchania krzyżowego.

Egeusz, rzecz jasna, chciał mieć dzieci, ale obawiał się o ich los w pałacu, po którym miotały się tuziny bratanków, wszyscy uzbrojeni i niebezpieczni.

Wtedy, pod pozorem wizyty u wyroczni i sąsiadów, Egeusz zaczął wyjeżdżać z Aten. Dotarł do znanej dziś powszechnie wyroczni delfickiej.

W encyklopedii świata starożytnego było o niej wiele ciekawych informacji. Okazało się, że

wyrocznią nie był jakiś jeden człowiek, ale cały najważniejszy religijny ośrodek w starożytnej Grecji, u podnóża góry Parnas. Znajdowała się tam świątynia Apollona. Była to najbogatsza świątynia kraju, ponieważ Grecy byli narodem przesadnym i, gdy tylko było to możliwe, żadnej poważnej sprawy nie zaczynali bez zasięgnięcia rady kapłanów wyroczni, urzędujących w świątyni. A rady proroków, jak zawsze i wszędzie, nie mogły być bezpłatne. Encyklopedia twierdziła, że w czasie wojen i najazdów świątynia ta była grabiona i burzona w pierwszej kolejności, ale zaraz potem była odtwarzana do jeszcze wspanialszej postaci, póki ostatecznie nie zburzył jej bizantyjski imperator Teodozjusz, który będąc już chrześcijaninem, przepowiedni konkurentów nie cierpiał.

Obok świątyni znajdował się hippodrom, teatr i nawet galeria malarstwa, z której do naszych czasów nie zachowały się żadne obrazy. W świątyni Apollona przechowywana była niezmiernie ważna relikwia – półokrągły kamień, meteoryt, noszący nazwę Pępek Ziemi. Stąd w ogóle wzięto się to określenie. Dla Greków wszystko było niezmiernie proste: uważali, że Zeus kiedyś tam zajął się geodezją, w tym celu z zachodniego i wschodniego krańca Ziemi wypuszczono na jego rozkaz jednocześnie dwa orły. Spotkały się one dokładnie w okolicy wyroczni delfickiej i od tej chwili wszyscy już wiedzieli, że środek Ziemi znajduje się właśnie tu. Kora odruchowo uśmiechnęła się: Grecy byli przekonani, że Ziemia jest płaska. A może w tamtych czasach naprawdę była płaska?

Co do jednego mylili się Grecy – Kora pamiętała, jak opowiadano jej, że babcia Nastia, kiedy Kora była malutka, wmawiała jej, że środkiem Ziemi jest Plac Czerwony. Jakie orły i z jakich końców Ziemi wypuszczała w tym celu babcia, nie wyjaśniła.

W głębi świątyni siedziały Pytie – tak nazywano się kapłanki wyroczni delfickiej. Początkowo była to jedna Pytia, potem, kiedy nie nadążała już z pracą, wynajęto jeszcze dwie, żeby praca szła na trzy zmiany.

Przepowiednie Pytii powstawały w sposób następujący. Najpierw wypijały wodę ze święconego źródła, następnie przeżuwały kilka listków święconego lauru i siadały na złotym trójnogu, stojącym dokładnie nad szczeliną, z której snuł się trujący opar, zrodzony w trzewiach Ziemi. Aktualnie szczelina była zamknięta i nie udało się ustalić składu gazu, który doprowadzał Pytię do podniecenia. Ale trzeźwi greccy obserwatorzy twierdzili, że Pytia, przeżuwszy kilka liści i podtruta gazem, zaczynała pleść niewiarygodne bzdury, a otaczający usiłowali z jej bredzenia wysnuć jakiś sens. Żeby było to możliwe, obok zawsze siedziało kilku delfickich kapłanów, którzy specjalizowali się w dyplomacji. Ci przekładali majaczenia na normalny grecki, ale zawsze starali się, by przepowiednia była możliwie zagmatwana. Zresztą, tak zawsze postępowały rasowe wyrocznie. Do historii przeszedł pewien wspaniały przykład sprytu kapłanów z Delf. Kiedyś do Pytii przybył król Lidii Krezus, najbogatsze skąpiradło tamtych czasów. Miał ochotę na wojnę z Persami, ale był ciekaw, jak się ona zakończy. Tak więc Pytia nałykała się gazu i zaczęła mamrotać coś niezrozumiałego. Kapłani naradzili się i oświadczyli królowi, że wyrocznia ustami Pytii powiedziała: „Krezus, Halis przekroczywszy, do upadku wielkiego państwo doprowadzi”. Halis była rzeką graniczną, a wielkim państwem w rozumieniu Krezusa była Persja.

Zostawiwszy kapłanom niemąłą zapłatę za dobrą wróżbę, Krezus ruszył na wojnę, a na drodze spotkał, według Herodota, wielkiego mędrca Solona, któremu oświadczył, że jest teraz nie tylko najbogatszym, ale i najszcześliwszym człowiekiem w świecie. Na co Solon odparł: „Kiedy będziesz umierał, wtedy dokonuj podsumowania”. Czy jakoś tak.

Krezus wykpił pesymizm znanego uczonego i pośpiesznie przekroczył Halis. Przekroczył, doznał porażki z ręki Persów, został wzięty do niewoli przez Kserksesa i wkrótce uduszony. Ale przed śmiercią zdążył jeszcze wywołać międzynarodowy skandal, żądając satysfakcji od Pytii i kapłanów wyroczni.

Na co kapłani uprzejmię odparli:

– W życiu jeszcze nie daliśmy dokładnej przepowiedni. Przecież powiedzieliśmy, że wielkie państwo Lidia upadnie z powodu buty Krezusa. Trzeba było słuchać, co się do ciebie mówi, a nie tego, co chciałeś usłyszeć.

Oto do jakiego typu ludzi udał się po poradę Egeusz.

Historia nie zdradza, jakie pytanie zadał Egeusz wyroczni, ale sądząc z odpowiedzi, można się domyślić i pytania:

Oto co odpowiedziała Pytia (po redakcji kapłanów i obróbce poety): „Dolnego końca bukłaka nie rozwiąż, wojownik potężny, wcześniej, niż odwiedzisz naród z granic ateńskich”.

– Co to znaczy? – zakrzyknął król Egeusz. – Ja chcę się ożenić, a wy mi tu o bukłakach!

Ale kapłani nic więcej nie powiedzieli i zmieszany Egeusz wrócił do domu.

Jego droga wiodła, co sprawdziła w atlasie Kora, na południowy wschód, w stronę Aten. Ale zamiast skorzystać z prostej drogi, udał się na południe, do Argolidy i zatrzymał się w miasteczku Trojzena, gdzie panował król Pitteus. W tym czasie w Grecji było niemal tyłu samo królów, co wieśniaków. Trojzena była, jeśli przyłożyć naszą skalę, niewielką wsią, ale skoro Pitteus uważał siebie za władcę, a jeszcze się przechwalał powinowactwem z jakimiś drugorzędnymi bogami, to i cieszył się pewnym mirem – wszak ówczesni Grecy byli ludźmi łatwowiernymi.

Pitteus musiał znać Egeusza, bo ten na pewno przyjeżdżał do Aten na zakupy.

Przy kolacji gość poskarżył się na wyrocznię delficką. Co to za bukłak? Co to za granice ateńskie?

Pitteus nadstawił ucha. Ogarnęło go przecucie powodzenia.

Zaczął dolewać wina zmęczonemu drogą gościowi i w końcu ten zgodził się pójść do sypialni.

Gdy tylko Egeusz zasnął, Pitteus przywołał swoją córkę o imieniu Ajtra. Córka jak to córka, niczym specjalnym się nie wyróżniała, za męża trudno było ją wydać, ponieważ wiano było mizerne, a urody jej brakowało. A tu taki fart!

– Córku! – szeptał gorączkowo Pitteus. – Ani słowa mamie, bo tego nie wytrzyma. Mam dla ciebie propozycję, której realizacja uczyni nas bogatymi i znanymi.

– Mów, papo – powiedziała mądra córka.

– W sypialni gościnnej chrapie król Aten Egeusz.

– Słyszałam.

– Dopiero co przepowiedziano mu w świątyni Apollona – i Pitteus powtórzył córce przepowiednię. Ta najpierw nie zrozumiała, ale kiedy tata stuknął ją dwukrotnie w głowę berłem, zakrzyknęła:

– Dolny koniec bukłaka – to ta rzecz, co ją mają mężczyźni, tak?

– Moja ty mądra!

– A rozwiązać ją oznacza...

– A ty będziesz w tym uczestniczyła!

– Ależ co też tata, przecież jestem dziewczyną!

– Dzisiaj w nocy staniesz się matką wielkiego księcia i przyszłego władcy stołecznego miasta!

– Ach, papo, wstydzę się! – odpowiedziała Ajtra, ale nie dyskutowała dłużej z rodzicem.

Tata własnoręcznie odprowadził ją do sypialni, w której chrapał Egeusz, popchnął ją w kierunku łoża, a później dziewczyna już sama zajęła się dalszymi działaniami.

I udało się jej. Co mówi o pewnym życiowym doświadczeniu Ajtry. Chociaż, myślała Kora, może

krzywdę księżniczkę. Czasem może się udać i bez doświadczenia życiowego.

Rano Egeusz z pewnym zdziwieniem odkrył na swoim ramieniu kobietą główkę.

Poderwał się z łoża, obudzona jego ruchem Ajtra zerwała się również, starając się szczupłymi rączkami zasłonić ciało.

Tu, rzecz jasna, wparował ojciec i zaczął się strasznie ciskać, że niby Egeusz, napiwszy się do oporu, złamał prawo gościnności, zhańbił córkę gospodarza i teraz zamierza pryskać.

– Nic nie pamiętam, słowo honoru, nic nie pamiętam – powiedział Egeusz i poszedł na śniadanie.

Przy posiłku Pitteus otworzył gościowi oczy na wydarzenia ubiegłej nocy.

– Przypomnij sobie, zarazo – powiedział do młodego króla – co Pytia przepowiedziała.

– Dolnego końca bukłaka nie rozwiązuje, wojownik potężny – rzekł Egeusz. – I tego, zanim nie odwiedzisz narodu z granic ateńskich.

– No to teraz słuchaj, co mówi doświadczenie życiowe – powiedział Pitteus. – Naród z granic ateńskich – to my, Trojczycy, bo do nas macie morzem pół dnia drogi. Jasne?

– Jasne.

– Dolny koniec bukłaka, to, wybaczone, twoje męskie przyrodzenie. A rozwiązać je, oznacza spać z kobietą. Przecież nie mogły ci Pytie powiedzieć tego bardziej prosto, to są wstydlive dziewczyny.

– Rozumiem – powiedział zmieszany Egeusz.

– Skrzywdziwszy więc moją niewinną córkę, w sumie, spełniłeś przepowiednię Pytii. Rozwiązałeś w granicach. Tak więc wybaczymy ci i gadajmy o ślubie.

Egeusz, który w gruncie rzeczy nie był świnią, nawet ucieszył się, ponieważ chciał mieć rodzinę i dziecko. Ale rozsądnie sprzeciwił się swojemu potencjalnemu teściowi:

– Nie mogę narazić na ryzyko życia twojej miłej córki. Jak tylko mój wuj i jego synowie dowiedzą się, że się ożeniłem, i to jeszcze z twoją córką, zabijają. Masz jakąś armię?

– Jaka tam armia – może z tuzin hoplitów się znajdzie.

– A z ich strony stoi pięćdziesięciu herosów, co jeden to straszniejszy.

– No to bierz moją córkę i jedźcie gdzieś daleko, ukrywajcie się w górach i lasach, bierz przykład z herosów starożytności, w końcu jakoś tam twoi znaczni krewni może się ruszą i obronią cię...

Mówiąc to, Pitteus wcale tak nie myślał – swojej córce życzył tronu w Atenach. W najgorszym przypadku pozostawała mu nadzieja, że minionej nocy udało się począć następcę tronu.

Na to samo liczył również Egeusz.

Nie mógł obiecać Ajtrze wieńca i szczęścia rodzinnego, ale zgodził się zostawić w Trojzenie dowód swojego ojcostwa. Zdjął sandały i odpiął swój miecz. Zwykły miecz, niezły nawet, a na rękojeści – rodowy herb, wizerunek węża. Potem powiedział Pitteusowi: „Kiedy urodzi się mój syn i podrośnie, niech podniesie tę skałę i wydobędzie spod niej obuwie i broń. I niech idzie do mnie. Poznam go od razu”.

I z tymi słowy Egeusz uniósł ciężką skałę i przydusił nią miecz i sandały. Następnie pocałował na pożegnanie Ajtrę, kazał jej pilnować ich dziecka i odjechał do Aten...

A Korze znudziło się czytanie tych bajek i wyruszyła na tańce do wspólnego salonu.

Codziennie Kora zaczytywała się nie tylko literaturą popularną, ale również źródłową w języku starogreckim, i dlatego szybko nasiąkla szczególną, upajającą, wietrzną, upalną atmosferą starożytnej Hellady.

Już nie mogła się oderwać od nieczytanych od dawna stron starych ksiąg i dowiedzieć się, co jeszcze wymyślił chytry intrygant Pitteus. Zresztą, o jego umyśle pochlebnie wyrażali się jemu współcześni. A jak się miały sprawy Ajtry? Czy nie zaokrąglił się brzusek pod dziewczęcym chitonem? Jak uda jej się wytłumaczyć niespodziewaną ciążę? Starożytni Grecy w takich przypadkach często zwalali wszystko na przelatującego obok boga – bogowie byli rozpustni, namiętni i całkowicie nieodpowiedzialni. Dzieciaczka zmajstrować – owszem, a na wychowanie podsuwali go komu innemu.

Ale tego wieczoru Korze nie udało się kontynuować czytania i nie dowiedziała się, jak skończyła się historia nieładnej Ajtry. Bowiem gdy skończyła przyglądać się wesołym tańcom w salonie i skierowała na basen, żeby popływać przed snem, drogę zastąpił jej ochroniarz madame Ragozy.

– Pani agent – powiedział, patrząc obok tej mizernej istoty, jaką była Kora. – Jej wysokość pozwala dostąpić ci łaski obcowania z nią. Tak więc pośpieszaj z powrotem, przepełniona szczęściem.

– Słuchaj-no, przekaż swojej madame, że ze mną tak się nie rozmawia. Jeszcze nie zdecydowałam, czy potraktuję z wyrozumiałością jej chęć spotkania. Tak więc pośpieszaj z powrotem, przepełniony szczęściem.

– Jak to, jak to? – rozżłościł się ochroniarz, zmarszczywszy niskie czoło w przekraczającej jego możliwości próbie ogarnięcia sytuacji.

Kora doświadczoneym spojrzeniem obrzuciła jego mięśnie i zrozumiała, że nie jest to dla niej przeciwnik. Może i był napompowany, ale całkowicie głupi. Takiego powali każdy chłopiec z sekcji dżudo.

– Wykonać – poleciła Kora i kontynuowała marsz po strój kąpielowy szerokim pustym korytarzem do swojej kajuty. – Bo ci się przydarzy to, co twojemu koledze.

Ochroniarz, co wyraźnie świadczy o jego ograniczoności, dogonił ją i chwycił za łokieć.

– Ty mi tu, do kogo mówię...

Głupiec, chwycił za łokieć, co jeszcze dodatkowo ułatwiło Korze zadanie. Poruszyła lekko łokciem, ochroniarz poleciał do tyłu i tak nieszczęśliwie wyrznął swoją małą, krótko ostrzyżoną główką w ścianę, że minęło dobre dziesięć minut, zanim zdołał podnieść się i wrócić do swojej pani, żeby zameldować o nieudanym zakończeniu misji.

Tymczasem Kora zdążyła się przebrać i dojść do basenu, niewielkiego, pięćdziesięciometrowego, całkowicie pustego o tej porze, gdy większa część pasażerów już śpi, a pozostali bawią się w restauracjach czy na dyskotekach albo zabawiając się erotycznymi lub geograficznymi rajdami VR – małymi przygodami przypominającymi sny.

Kiedy, przepłynąwszy pod wodą pół setki metrów, Kora wynurzyła się przy przeciwległym brzegu basenu, zobaczyła, że siedzi tam madame Ragoza, przy jej stopach na krawędzi basenu czeka wielka butla wódki „Absolut”, wiaderko z lodem i dwa kieliszki.

– Za spotkanie – powiedziała do Kory.

– Podróżujemy w różnych klasach – odpowiedziała Kora i zanurkowała ponownie. Kiedy pokazała się na powierzchni, księżna, subtelna i krucha, jak nigdy przedtem, stała na brzegu basenu.

– Proszę poczekać – zawołała do Kory. – Przecież to nie ja kupowałam pani bilet. Widocznie wasza firma oszczędza na wygodzie podróży agentów i jest mi z tego powodu bardzo przykro. A pani mi się podoba, a kiedy już przejdzie do pracy do mnie, będzie zawsze latała ze mną w „luksie”. Jak się pani podoba taka perspektywa?

Oczywiście, madame Ragoza miała całkowitą rację, i było to tym bardziej bolesne, że Kora od kilku w końcu lat przestrzegała absolutnej wierności InterGpolowi i osobiście Milodarowi, otrzymując w zamian same policzki i szturchańce. Każdy ochroniarz w banku czy na parkingu zarabiał dwa razy więcej od niej.

Tak sobie smutno rozmyślając, Kora zanurkowała na dno basenu i zaległa tam, na jakiś czas odłączając oddech. Mogła w ten sposób przebywać pod wodą dobre dziesięć minut. Po pięciu zrobiło jej się nudno i zdecydowała, że księżna pewnie już sobie poszła.

Nic podobnego. Księżna siedziała na krzeselku i ciągnęła z kieliszka wódkę. Boże, pomyślała Kora, jakie ona ma szczupłe nóżki – chyba przez całe życie drżała, czy aby się nie połamała!

– Nie złoścę się na panią! – krzyknęła madame Ragoza do Kory. – Rozumiem, że jest pani człowiekiem społecznym i samotnym.

– Dlaczego od razu samotna! – zdziwiła się Kora, odrzucając głowę do tyłu, żeby włosy ułożyły się na szyi równo i prosto. – W każdej chwili...

– Ach, od iluż już tysięcy lat my, kobiety, powtarzamy ten zwrot – westchnęła księżna. – Ale to nie likwiduje naszej samotności.

– Byłam mężatką – oświadczyła Kora. – I nie sprawił mi ten stan przyjemności.

– Nieprecyzyjny komunikat – sprzeciwiła się księżna. – Najpierw sprawiał przyjemność, ale skończyło się to wcześniej, niżbyś sobie życzyła. Na tym polega nieszczęście wszystkich nieudanych małżeństw. Zapominamy pierwsze noce, a pamiętamy ostatnie dni, chociaż w miłości najpiękniejszy jest tylko początek.

Kora wyszła z wody i usiadła na skraju basenu. Księżna podała jej kieliszek.

– To nie sportowe – pić w basenie – powiedziała Kora.

– Nikt nie patrzy. Wszyscy poszli spać. A drzwi pilnuje mój ochroniarz. Przy okazji – przepraszam, że musiał sprawić pani ból.

– Mnie? Ból?

– W korytarzu, kiedy przekazał pani moje zaproszenie – pani odpowiedziała mu niegrzecznie i musiał nieco ścisnąć pani piękne paluszki.

– To ci heros, ten łgarz! – sapnęła Kora. – Może go pani tu przywołać?

– Proszę bardzo – zdziwiła się księżna i strzeliła palcami.

W palcach widocznie miała mikronadajnik, ponieważ po sekundzie drzwi otworzyły się i pojawił się ochroniarz. Na czole miał ciemniejącego guza.

– To ten – powiedziała Kora. – Niech podejdzie i pokaże, w jaki sposób ścisnął moje piękne paluszki.

– Ach, nie warto – powiedział ochroniarz. – Już pani wybaczyłem.

– Mam nadzieję, że nie zalatuje od niego tchórzem? – zapytała Kora.

– Giera, podejdź do dziewczyny – rozeźliła się księżna. – Co to za cyrki? I nie sprawiaj jej więcej bólu. Przecież wiem, jak potrafisz być brutalny.

Zapewne, zrozumiała Kora, nie jest chłoptaş tylko ochroniarzem.

Giera podszedł i zatrzymał się o trzy kroki od kobiet.

– No, pokaż, pokaż – zażądała Kora. Nie znosiła, kiedy za jej plecami rozpuszczane są plotki, i to takie poniżające. – Pokaż, jak mnie męczyłeś!

Te słowa, wypowiedziane z charakterystycznym kobiecym szyderczym zaśpiewem, odniosły skutek. Giera runął na Korę. I to chodziło.

Odsunęła się nieco w bok, wystawiła nogę, popchnęła przelatujący obok stukilogramowy pocisk i ten runął mniej więcej na środek basenu; połowa chyba wody wychlusnęła na brzeg, omal nie przytopiwszy subtelnej księżnej, która zajęła się ratowaniem butelki z wódką. Sam ochroniarz poszedł na dno i księżna, gdy doszła do siebie, zaczęła błagać Korę, by ta wyciągnęła Gierę na brzeg, póki jeszcze żyje.

Po tym incydencie Kora i madame Ragoza przeszły na drewnianą ławeczkę i zajęły się pokojową konsumpcją wódeczki. Przy czym należy zauważyć, że piła przede wszystkim madame Ragoza, a Kora, mimo że przeszła specjalny trening w tym kierunku, często opuszczała kolejkę i wylewała wódkę na podłogę – to na wspomnienie niedawnej popijawy u komisarza Milodara.

– Przyjdzie mi zmieniać ochronę – ze smutkiem rzekła madame Ragoza. – Nie spełnia moich wymogów.

– Proszę się nie denerwować – powiedziała Kora – w końcu jestem zawodowcem. Gdybym nie potrafiła sobie z nim poradzić, nikt by mnie nie wysłał na poważne zadanie. A te wasze miejscowe pacany do takiego pilnowania, bójek i walenia po pyskach nadają się jak najbardziej.

– Ale dobrze strzelają – uzupełniła madame Ragoza.

– No i widzi pani – na dodatek dobrze strzelają. Z procy?

– Z czego? Ach, raczy pani sobie żartować? Z blastera!

– Proszę mi opowiedzieć o wyroczni – poprosiła Kora. – Właśnie czytam sobie o starogreckich wyroczniach, a wy, jak się okazuje, macie swoją własną!

– Od samego początku wyczuwałam, że pani mi nie wierzy – powiedziała księżna. – Posłali panią, żeby mnie zdemaskować?

– Nie, żeby sprecyzować zeznania i dowiedzieć się, skąd wyrocznia miała dane, które tak panią zaniepokoiły.

– Z nieba – wyjaśniła z niezachwianą pewnością w głosie księżna. – On ma bezpośredni kontakt.

– No i dobrze, a ja właśnie chcę sprawdzić wyłącznik – powiedziała Kora.

Wypiły, patrząc jak Giera dochodzi do siebie.

– Kobieta w dzisiejszych czasach powinna umieć się obronić – zauważyła madame Ragoza.

– Mam nadzieję, że to nie jest dla pani problem?

– To kwestia odpowiedniego wychowania. W naszej, dziewczyno, szlachetnej rodzinie koniecznie przechodzi się szkolenie w zemście.

– Czy to jest trudne szkolenie?

– Na trzy-cztery lata.

– A jakie przedmioty?

– Obowiązkowo – intryga, trucizny, przygotowanie pułapek, teoria donosu... Sporo tego.

– I zatruta broń?

– Oczywiście. – Madame Ragoza zręcznym ruchem wyciągnęła z szerokiego pasa sztylet, giętki i cienki, a ostry tak, że jego ofiarą stał się przelatujący przypadkowo obok komar: Kora zdążyła zauważyć, że ostrze odcięło mu nogę.

Sztylet zniknął w fałdach odzieży równie błyskawicznie, jak się z nich wyłonił.

– Jest pani niebezpieczniejsza ode mnie – przyznała Kora.

– Oczywiście – zgodziła się księżna – jestem wszak od ciebie szlachetniejsza.

Nie był to dla Kory argument, ale nie wszczyniała o to kłótni.

– Chcę ci opowiedzieć o swoim bratanku – powiedziała madame Ragoza, gdy butelka była już niemal pusta. – Gustaw jest cudownym człowiekiem, uczciwym chłopcem, nie chce być naszym królem. Kiedy go znajdziesz i porozmawiasz z nim szczerze i otwarcie, to zobaczysz, że dla niego najważniejsza jest fizyka i szczęście ludu.

– Tego się nie da pogodzić – zauważyła Kora.

– A on potrafi. Popatrz na jego zdjęcie.

Madame wyjęła z torebki wytworny albumik ze zdjęciami księcia Gustawa. Oto on w niemowlęcym wieku, leży w kołysce, uginając nóżki w kolanach i wykonując paluszkami jakieś niespieszne ruchy. A uśmiecha się głupiutko-głupiutko... Oto chłopczyk podrosł – ma kędzierzawe włosy i jest poważny. Stoi oparty łokciem o jakiś ozdobny filar, ma na sobie przepasaną koszulę i krótkie spodenki. A tu księżę w mundurze gwardii, gotów do przyjęcia defilady pułku, którego jest dowódcą. Mundur leży na nim nieco krzywo, hełm zjechał na brwi, wyraz twarzy wyraźnie cierpiętniczy.

– Defilad i parad nie znosi – wyjaśniła księżna. – Uczestniczył w nich z poczucia obowiązku, ponieważ naród tego od niego oczekiwał...

Następne foto – księżę już na Ziemi, w zwyczajnym, nie rzucającym się w oczy studenckim ubraniu. Na nosie – okulary. Z jakiegoś powodu księżę nie chce nosić soczewek kontaktowych, jak reszta ludzkości, a przedkłada nad nie staromodne okulary.

– Ma dużą wadę wzroku? – zapyta! Kora.

– Nosi okulary do czytania – wyjaśniła księżna. – A poza tym daje sobie radę bez nich.

Oto jeszcze jedno zdjęcie – księżę w bibliotece Uniwersytetu Moskiewskiego. Siedzi przy stoliku, światło lampy pada na stronicę otwartego foliantu, księżę jest tak pochłonięty czytaniem, że nie zauważył nawet fotografa. Ma teraz długie ciemne włosy, dłuższe niż oczekiwała tego Kora. Na końcach zwijają się w loki. Dolną wargę Kora oceniła jako przesadnie pulchną i nieco kapryśną, nos miał małą krzywiznę. Jeśli odpowiednio się go ubierze, w Grecji może ująć za aborygena.

Oto, chyba, ostatnie zdjęcie. Zrobiono je na ulicy. Wesole studenckie towarzystwo śmieje się z czegoś przed obiektywem. Pierwszy od prawej – Gustaw. Obok niego niezbyt wysoka dziewczyna z szerokimi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczami. Trzyma księcia za rękę. Pewnie to jest ta Buriatka, o której tak poważnie mówiła księżna.

– Z powodu tej dziewczynki wszystko się zaczęło – powtórzyła księżna zarzut.

– Nie wydaje mi się – powiedziała Kora. – Na tym zdjęciu to ona trzyma się jego, a nie na odwrót.

– To wszystko azjatycka przewrotność! Nie minął semestr, a odeszła od niego do studenta Łukawego. W marcu urodzi im się dziecko. Sprawdzaliśmy.

– Dlaczego chce mnie pani przekonać do straszliwej winy tej dziewczyny, która dawno już przestała myśleć o Gustawie, a i on pewnie przestał o niej myśleć?

– Nie zrozumiała mnie pani! Odchodząc od niego, ta Buriatka nadłamała w Gustawie pewność siebie, tak niezbędną dla osoby królewskiego rodu.

– Jest pani pewna, że to właśnie jej wina?

– Ona jest przyczyną.

– Ach, więc były też i inne powody, które woli pani przemilczać?

– Pozostałe przyczyny były wtórne. – Madame Ragoza potrafiła być uparta.

– Pomoże mi pani poznać je w Ragozie?

– Nie – zdecydowanie odcięła księżna. – Nie zapraszałam pani do Ragozy i nie zamierzam się tam panią opiekować.

– A ja byłam przekonana, że działam w pani interesie i na pani prośbę. Obawiam się, że tego zdania był też komisarz Milodar.

– Nigdy, panienko, nie przemawiaj w imieniu swego Milodara. To najsprytniejsza bestia, z jaką przyszło mi zetknąć się w ostatnich latach. Znieważył mnie swoją nieufnością, wysyłając ciebie na przesłuchanie!

– A do czego by to było komisarzowi potrzebne? – obruszyła się Kora. – Jeszcze wczoraj nie wiedział nawet o pani istnieniu. Przyleciała pani na Ziemię, poskarżyła się, otrzymała...

– Głupiaś! Twój komisarz służy InterGpolowi. InterGpol – Centrum Galaktycznemu. Centrum Galaktyczne kontroluje nasze cenne surowce. A może nawet się okazać, że ma połowę akcji kompanii „Wirtualna Rzeczywistość”. Też się temu nie zdziwię. Dlatego interesy jakiejś tam księżnej są tylko pretekstem do mieszania się w nasze sprawy wewnętrzne.

– To po co się pani do nas zwróciła?

– Żeby potem nie było gadania, że się do was nie zwróciłam – dość zagadkowo odpowiedziała księżna.

Kora przez chwilę nie wiedziała, o co może jeszcze zapytać... Ciszę przerwała znowu madame Ragoza. Pochyliła się do przodu, przewróciła połowicznie opróżnioną butelkę i z zainteresowaniem przyglądała się, jak wódka cienkim strumykiem spływa do basenu.

– Podoba mi się pani – powiedziała, zapatrzona w strumyk wódki. – I mam nadzieję, że znajdę w pani sojusznika. Mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Jeśli wszystko zakończy się ku obopólnemu zadowoleniu, to czeka panią zasłużona nagroda. Obiecuję pani ragoskie szlachectwo i majątność w dobrym rejonie. Nie odmówi pani?

– Nigdy wcześniej nie proponowano mi szlachectwa i majątku. Więc po prostu boję się odmówić – powiedziała Kora. – Bo następnym razem nikt już nie zaproponuje.

– Podoba mi się pani poczucie humoru – powiedziała księżna.

„Naprawdę ma nadzieję mnie przekupić czy to tylko gra? I ma nadzieję dowiedzieć się, po co lecę na Ragozę? Zresztą, powiedziałam jej prawdę. A w prawdę najtrudniej jest uwierzyć.”

– Jeśli znajdzie pani dla mnie kilka minut – powiedziała Kora, starając się przejąć inicjatywę – to chciałabym zadać kilka pytań.

– Już przesłuchanie? – z omdlewającym uśmiechem zapytała madame Ragoza.

– Nie, ciekawość.

– Jestem, dziewczyno, do twojej dyspozycji.

Madame Ragoza podniosła butelkę i przekonała się, że zostało w niej akurat na jedną porcję.

Wypiła ją z gwinta.

Kora cierpliwie czekała, aż madame Ragoza skończy butelkę. Po ostatnim łyku księżna rzuciła butelkę przez ramię. Spoza drzwi na basen wyskoczył mały zręczny robocik, który gracko podskoczył, schwycił butelkę i zniknął. Kora pomyślała, że być może trzyma się go specjalnie w tym celu – moi mieszkańcy Ragozy mają dziwny zwyczaj ciskania pustych butelek przez ramię.

– Dlaczego milczysz, dziecko? – zapytała madame Ragoza. – Przecież już się zaprzyjaźniamy?

– Proszę mi opowiedzieć o Ragozie.

– Do tego służą informatory.

– Wolalabym usłyszeć o monarchii z pani ust – prostymi słowy i tak, żebym nawet ja zrozumiała co, jak i do czego.

– Jakaż naiwna chytrność! – zakrzyknęła madame Ragoza. Przymknęła powieki promienistych oczu i zamyśliła się.

– Najważniejsza rzecz – powiedziała w końcu – to ta, że na Ragozie istnieją dwa najstarsze klany. My – Ragoza, i drugi – klan Dormirów – młodsza i niegodna odnoga królewskiego rodu, nie mająca prawa do tronu, ale nierzadko wzniecająca powstania przeciwko prawowitej władzy. Gustaw jest naszą nadzieją, Clarence – z klanu Dormirów – to nadzieja brudnej opozycji.

Ta informacja to już było coś.

– Czy to oznacza, że pani bratanek wiąże swoje prawa do tronu z wynikami VR rajdu? Czy taka wyprawa może mieć jakieś skutki?

Przecież to samo, co oczekiwać wyników po przeczytanej książce czy obejrzanym filmie.

– Ale on w tym uczestniczy!

– Czy istnieje coś takiego jak jakość uczestnictwa?

– Jak widzę, pani dalej nic nie rozumie! Oczywiście, że można uczestniczyć pozytywnie albo negatywnie. Można stać się sławnym w VR rajdzie albo całkowicie nawalić.

– A kto o tym będzie wiedział?

– Duszko, pani jakby się wczoraj urodziła! Przecież firma VR wydaje certyfikat powodzenia! W każdym razie u czterech książąt królewskiej krwi i dwóch hrabiów wiszą takie certyfikaty na ścianach gabinetów. A u innych dwudziestu nic nie wisi, choć uczestniczyli w rajdach. Rozumie mnie pani?

– Jeszcze niezupełnie – przyznała Kora. – Przecież w czasie podróży w wirtualnej rzeczywistości nie zagraża nikomu śmierć, więc czego uczestnicy mają się obawiać?

– Bać się można wielu rzeczy prócz śmierci – odparła księżna, zaciągając się. – Bólu, poniżenia, gwałtu, narzuconej miłości albo nienawiści. Po to wymyślono strach, żeby człowiek drżał przed jego pyskiem i tracił swoją godność. Nie tak znowu wielu młodych ludzi z naszej planety decyduje się na VR rajd, chociaż pokutuje niepisane prawo, według którego następcą księstwa czy wielkiej fortuny powinien zaliczyć przynajmniej niewielki taki rajd. Przypuśćmy, że może pani się stać towarzyszem Kolumba i najgorsze, co może pani grozić, to choroba morska albo bezczelne usiłowania stęsknionych za miłością towarzyszy z kubryków, jeśli wie pani, co mam na myśli...

Księżna wypuściła smuzkę dymu. Nad basenem rozciągnął się obłoczek zakazanego narkotyku.

– Albo strzała Indianina, wycelowana w nieosłonięty zbroją tyłek.

Krucha porcelanowa lady była zimna i cyniczna. Co tak naprawdę nią kieruje? Ten zimny cynizm to maska czy też miłość do zaginionego bratanka jest maską? Czy wszystko to tylko przejawy wielkiej polityki małej Ragozy?

– To znaczy – zapytała Kora, odwracając się, by nie wdychać dusznego dymu – że pani bratanek wybrał jakiś niezwykle rajd?

– Jak mógł komisarz poskąpić pani tej informacji!

– Nie zdążył – odparła Kora. – Kiedy dotarła do niego pani skarga, to przede wszystkim wezwał mnie i zabrał na stadion, żeby pokazać czym jest wirtualna rzeczywistość. W ostatnich latach pracowałam w prymitywnych warunkach i trochę odstaję od współczesnych rozrywek.

– Szczęśliwe dziecko. Gdybym miała syna i gdybyś była wystarczająco błękitnej krwi, to ożeniłabym go z tobą.

– Po co?

– Wyobraź sobie – wyznała malutka księżna. – Wszyscy mają ochroniarzy. Dwa metry w barach, dwa centymetry czoła. A ja bym miała ładniutką dziewczynę. Tyle, że gdybym powiedziała: „Bierz ich!” – rozrzucalabyś to bractwo gołymi rękami!

– Nie wiedziałam, że jest pani tak krwiożercza, madame Ragoza.

– W naszym terrarium ze skorpionami nie da się inaczej – oświadczyła księżna. – A moja krwiożerczość jest tylko obroną przed chamstwem. Jestem jak to malutkie, słabe zwierzątko, które rzuca się na ogromnego smoka w obronie swoich dzieci. Owszem, szczerzę zęby. Ale, między nami, moje zęby nigdy nie nadawały się do kąsania. I gdyby nasz cały klan nie był wymordowany w wyniku spisku Montegasków, to pozostałabym delikatnym kwiatuszkiem, takim, jakim stworzyła mnie natura.

Porcelanowa księżna rozejrzała się ze smutkiem w poszukiwaniu butelki. Nie znalazła i zadowolona się zaciągnięciem papierosem.

Jacyś hałaśliwi turyści wtargnęli na basen, wymachując ręcznikami i nadmuchiwanyymi kołami ratunkowymi. Księżna pstryknęła palcami i w drzwiach pojawili się dwaj ochroniarze. Wybuchło jakieś zamieszanie, kotłowanina, piski... Kora już miała wstać, by ukrocić to chamstwo, ale usłyszała, że przywódca turystycznej rodziny mówi przeproszającym tonem:

– Ależ nie wiedzieliśmy, że basen jest zamknięty z powodu przeglądu profilaktycznego. Przepraszamy, nigdzie nie było to napisane... i zapanowała cisza. Turyści należeli do tej większości populacji Galaktyki, która jest przekonana, że skoro mówi się im „Nie wolno”, to znaczy, ten zakaz ma jakieś racjonalne uzasadnienie. W rzeczywistości zakazy z reguły nie mają racjonalnych podstaw, a są wyłącznie spowodowane czyjąś zachcianką.

– Mój bratanek wybrał unikatowy, najtrudniejszy i najdroższy VR rajd – jak gdyby nigdy nie kontynuowała księżna. – Nawet Odyseusz i Herakles mieli prostsze zadania do wykonania od Tezeusza. Zapoznała się już pani z jego życiorysem?

– Czytam właśnie – ucziwie przyznała się Kora. – Mam ze sobą książki i kasety.

– Proszę uważnie czytać. Jeśli wyruszy pani za nim do wirtualnej rzeczywistości, to proszę uwzględnić, że jest to najokrutniejsza ze wszystkich możliwych rzeczywistości.

– Czy on tak bardzo chciał sprawdzić siebie?

– Nie wiem, co chciał sprawdzić! – Pusty kieliszek księżnej poleciał do Ijasenu. Nie utonął od razu, a najpierw podskoczył na wodnej gładzi, rozbił ją i dopiero zanurzył się w głębinie. – Wiem, że z jego głupiej zachcianki skorzystają nasi wrogowie. I zginie nasz ród, i będą wymordowani wszyscy Ragoza do siódmego pokolenia.

– Czy naprawdę tak się to u was poważnie traktuje? – zapytała Kora.

– Nie poważnie, a podle – odpowiedziała księżna i zwinęła się w kłębek na ławeczce.

Ochroniarz zauważył ten ruch, podszedł do ławeczki, chwycił kruchą i nieważką księżną na ręce

i wyniósł z sekcji basenu, starając się nie napotykać spojrzenia Kory.

Kora musiała zanurkować, wyjąć kieliszek z dna, potem wysuszyła włosy. Do swojej kajuty trafiła dopiero po pół godzinie. Zanim zasnęła, poznała tylko niewielki fragment życiorysu swojego herosa.

Tezeusz dorastał w spokojnej Trojzenie, mieszkał w pałacu władcy, przypominającym wielki wieśniaczy dom. Przesadnie ciekawscy sąsiedzi i przechodnie interesowali się, jak Ajtra urodziła dziecko bez męża i widocznego ukochanego. Król Pitteus, zaniepokojony reputacją domu i losem swego wnuka, któremu zagrażało pięćdziesięciu stryjów, szczegółowo opowiedział ciekawskim, jak to jego umiłowana córka kąpała się w morzu, ujrzał ją sam bóg Posejdon i zapalał ku niej nieposkromioną namiętnością. Gonił ją aż do przybrzeżnych krzaków, a potem dopadł pod pewnym drzewem figowym, i to tak skutecznie, że córka stała się niepoślubioną małżonką, jakich – jak wiadomo – Posejdon ma po kilka w każdym królestwie. Jeśli któryś ciekawski nie wierzył Pitteusowi, ten radził mu udać się do najbliższej świątyni Posejdona i wyjaśnić problem z kapłanem albo nawet wyjść na brzeg i zwrócić się bezpośrednio do ojca dziecka. Nikt tak nie robił – prościej było uwierzyć albo udać, że się wierzy staremu królowi.

Chłopiec, któremu nadano imię Tezeusz, rósł i był dzieckiem ruchliwym, sprytnym, skorym do awantur. Ale chłopiec był w sumie niegłupi, ładny i dobrze zbudowany.

Matka nie szalała za nim i marzyła o tym, by chłopiec odziedziczył Trojzenę, ale stary Pitteus miał inne plany. Chodziło o to, że nie zamierzał zrezygnować z wysokiej stawki, o którą rozpoczął grę kilka lat temu: Ateny albo nie!

Starł się przyspieszyć dorastanie Tezeusza, ćwiczył jego ciało, zmuszał do biegania, podnoszenia ciężarów, zapasów z rówieśnikami, nie zapominając, co trzeba mu przyznać, i o umysłowym rozwoju dziecka. Czytania, pisania i podstaw filozofii uczył chłopca znany w tych krajach uczony Konnidas, o którym Plutarch napisał, że „Ateńczycy do dziś składają mu w ofierze barana w podziękę za Tezeusza. Pamiętają o nim i czczą go nieporównanie wyżej niż Silamoha i Parrasjosa, uwieczniających Tezeusza na obrazach i w popiersiach”. Wygląda na to, że Plutarch czyni aluzję do większego poważania przez Ateńczyków nauki niż sztuki.

„O matko”, przerwała sobie samej senna Kora. Ilość wódki, jaką musiała przełknąć w ciągu ostatnich dwóch dni w towarzystwie kruchej, porcelanowej księżnej, maltretowała jej żołądek i mózg. „Po co mam wiedzieć, czego uczył się Tezeusz, którego pewnie nawet nie zobaczę? Może książkę Gustaw już jest w domu i uczy się fizyki?”

Tymczasem Tezeusz dorastał, a nadmiernie czynny Pitteus raz w tygodniu po treningu prowadził go do wielkiego głazu, leżącego na podwórzu domu i kazał podnosić go. Chłopiec posłusznie starał się, ale kamień nie miał zamiaru nawet drgnąć, a matka Tezeusza Ajtra krzyczała przez okno:

– Proszę przestać znęcać się nad dzieckiem, bo jak się naderwie, to kto go będzie leczył? Rupturę będzie miał przez całe życie!

Ale po tygodniu wszystko się powtarzało. I tak rok po roku.

Tezeusz nawet nie podejrzewał, że pod kamieniem, którego ciągle nie mógł poruszyć, leżą ojcowe sandały i miecz, przedmioty, które odmienia jego życie i życie pobliskich państw.

Kiedy skończył dwanaście lat, dziadek wziął go na spacer po okolicy i zatrzymał się przed dużym odłamek skały, leżącym na poboczu drogi, dosłownie o sto kroków od domostwa Pitteusa.

– Mój chłopcze – powiedział dziadek, głaszcząc kędzierzawą siwą brodę. – Muszę zdradzić ci sekret. Pod tą skałą leżą sandały i miecz twojego ojca Egeusza, który rządzi w sławnym mieście

Ateny.

– Jak to? – zapytał chłopiec. – Przecież opowiadano mi, że moja mama została zgwałcona...

– Tezeuszu! Gdzieś ty się nasłuchał takich słów?

– Wybacz, dziadku, chciałem powiedzieć, że moją mamą zawładnął sam Posejdon. Miałem więc nadzieję, że będę jego synem.

– Nikt ci nie odbiera Posejdon. Możesz sobie uważać go za ojca do woli! On będzie ci jakby ojcem numer jeden, a za ojca numer dwa, ale realnego, ziemskiego i potrzebnego ci w przyszłości, będziemy uważali króla Egeusza.

Tezeusz zastanawiał się chwilę. Musiał rozważyć wszystkie za i przeciw, wszak mimo swoich ledwie dwunastu lat był nader rozwiniętym wyrostkiem. Dlatego w końcu skinął głową i zapytał, dlaczego sandały i miecz leżą pod głazem.

Taka reakcja na komunikat dziadka jest, rzecz jasna, niezbyt zrozumiała i nawet niewiarygodna, jeśli chodzi o chłopca z naszych czasów. Taki dzieciak wie, że jego tata jest albo generałem, albo szoferem generała. Ale na dwóch ojców dzieciak się nie zgodzi. W Grecji życie było prostsze. Było tam pełno dzieci, które całkowicie oficjalnie uznawane były przez kogoś ze śmiertelnych oraz przez przelatującego obok boga. Dwuojcostwo było bardzo korzystne i otwierało polityczne perspektywy. Dlatego Tezeusz wcale się nie zdenerwował, dowiedziawszy się, że poza bogiem ma też ojca krwi królewskiej.

– Te przedmioty – wyjaśnił dziadziuś – włożył pod głaz Egeusz.

– Po co?

– Widocznie chciał, abyś był silny i zdecydowany.

– Czyli jak choroba, pieluchy prać, do szkoły odprowadzać, to wy z mamą musicie się starać?

A tata to od razu chciałby herosa?

– zapytał Tezeusz, nie kryjąc ironii.

– Chłopcze, nie wolno tak mówić o własnym królewskim ojcu – odpowiedział dziadek. – Lepiej spróbuj podnieść tę skałę.

Tezeusz spróbował, ale nic z tego nie wyszło. Wrócił więc z dziadkiem do domu.

A Egeusz tymczasem zapomniał o przelotnej miłosnej przygodzie. Więcej nawet – ożenił się w końcu, i to tak szczęśliwie, że cała zawistna pięćdziesiątka przymknęła usta i wycofała się do swoich niewielkich majątków.

Ale wszystko na tym świecie ma swój koniec. Tezeusz rósł, mądrzał, poszerzał horyzonty, sporo czasu spędzał w gimnazjone, zajmował się sportem i w końcu wyrósł na świetnego zucha, jednego z silniejszych w Trojzenie. Nie wiemy, jak się prowadził, ale nie ma też doniesień o jakichś szczególnie niewybrednych czynkach. Z przyszłych jego dokonań i czynów stanie się jasnym, że był dobrym druhem, gotowym dla przyjaciół na poświęcenie i ryzyko. Nie skarżył się na Tezeusza również jego mentor Konnidas. W sumie, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych greckich herosów, Tezeusz wyrósł na miłego, dobrego młodzieńca.

W końcu nadszedł wielki dzień dla starego Pitteusa.

W obecności dziadka, matki i kilku sług, Tezeusz podniósł kawał skały.

– Szanowni pasażerowie proszeni są o chwilę uwagi. Nasz liniowiec mija w bezpośredniej bliskości system planetarny Wartlos. Pasażerów wysiadających na Wartlos z przesiadką na lokalny rejs na Ragozę, prosimy o przybycie na dolny pokład i zgrupowanie się przy terminalach A i B.

– Z A do B przelewa się woda-a... – przeciągając się, powiedziała Kora. Wczoraj zasnęła nad historią losu herosa Tezeusza; budzący ją głos pokładowego informatorium zmieniło wszystkie te opowieści o przygodach i cudach w zwyczajne bujdy. Jak się ma Tezeusz do przesiadki na terminalu B?

W kajucie było dziwnie zimno i wilgotno. Kora włączyła toaletkę, ścianka naprzeciwko łóżka zsunęła się, odsłaniając muszlę i umywalkę. Bardzo sprawne, ale zgoła nieromantyczne.

Pakowanie odbyło się w try miga, co prawda bagaż Kory nie był zupełnie zwyczajny: mało kto wozi na pokładzie kosmicznego liniowca archaiczne księgi w oprawach i z literami, układającymi się w tekst na papierowych stronach.

Kora wybrała najskromniejszy z posiadanych strojów – tu jej zadaniem było bycie nikim, niczym, niewidzialną. Uchem otwartym na szept, okiem czujnym... Jej tu nie ma, jest tylko odbiornik informacji, co prawda osobiście znany księżnej madame Ragozie.

Nikt jej nie witał, poza opanowanym agentem Kosmofloty, stosunkowo młodym człowiekiem z małą blizną na podbródku. Agent miał sympatyczny uśmiech, a na imię – Michel.

Niewielka sala Kosmoterminalu na Ragozie była wypełniona hałaśliwymi witającymi. Okazało się, że madame Ragoza cieszy się tu popularnością nie mniejszą niż gwiazdy muzyki pop czy sportowcy w innych krajach. Pewien siwowłoso, odziany w haftowany szlafrok pan nałożył na różową szyjkę madame Ragozy girlandy z fioletowych kwiatów. Do obejmowania i całowania policzków rzuciło się kilkadziesiąt dam w różnym wieku, w kapeluszach o połach tylko wielkich i połach wielkości lądowiska dla śmigłowców. Nie wiadomo dlaczego sporo witających przyprowdziło ze sobą domową zwierzynę, stąd sporo było miauczenia, szczekania i beczenia. Nieopodal Kory zatrzymało się sympatyczne dziewczę z zadartym nosem, trzymające klatkę, w której krzątała się mała papużka. Przedstawiciel Kosmofloty Michel przedstawił ją jako Weronikę, która miała odwiedzić Korę do hotelu. Sam musiał zostać jeszcze w porcie, żeby załatwić pocztę.

Dziewczyny wolno przebijały się przez tłum, papużka pokrzykiwała na psy i koty, madame Ragoza zauważyła Korę, pomachała do niej szczupłą rączką i uśmiechnęła się... „I uśmiechnęła się królowa uśmiechem pełnym łez, pełnym łez...” – to był fragment jakiegoś romansu, który lubiła podśpiewywać sobie babcia Nastia w wołogodzkiej wsi.

Samochodem, dziesięcioletnią limuzyną, wymalowaną jak cyrkowy klaun, a kierowaną przez leciwego szofera, udały się do hotelu.

Za oknami przesuwiał się zwyczajny, specjalnie niczym nie odbiegający od sztampy, przygraniczny, przyterminalowy kolonialny świat, przypominający Ziemię, cofniętą o kilka dziesiątków lat, i jednocześnie znajdujący się już w strefie wpływów Centrum Galaktycznego, pozbawionego przeszłości, pamięci i tradycji. Na Ragozie jeszcze nie opanowano porządnie

sprzątania śmieci, ale budynki miały imponować: skopiowany nie wiadomo z czego gmach parlamentu, Sądu Najwyższego i Opery, a ten ostatni wykorzystywany na Giełdę. Samochodów było mało – eksport międzygwiazdny był kosztowny, a własne duplikatory, jak to one, ledwo-ledwo zipsyły.

Po drodze do hotelu Weronika zadrezczała Korę pytaniami o księcia Gustawa – okazało się, że należy do armii jego wielbicielek. O tym, że książę, kierując się pobudkami patriotycznymi, postanowił sprawdzić siebie, zanim zasiądzie na prawdziwym tronie, a w tym celu wyruszył na nieprawdopodobnie trudny i niebezpieczny VR rajd, wiedziała i Weronika, i pewnie cała Ragoza. Dziewczyna przycisnęła do piersi rękę i szepnęła:

– A zna pani największą tajemnicę?

– Nie, czcigodna Weroniko – uprzejmie odpowiedziała Kora.

– Proszę przysiąc na zdrowie mojego ptaszka, że ten sekret zostanie między nami.

Między nimi nie było specjalnie dużo miejsca na sekrety, ponieważ dziewczyna przywarła do Kory rozpalonym bokiem, ale Kora nie oponowała i natychmiast złożyła odpowiednią przysięgę.

– No więc, niech pani wie – głośnym szeptem oznajmiła dziewczyna. – Nasz książę podczas tego VR rajdu ma być zabity. Co za potworność!

– A pani skąd to wie?

– To straszliwa tajemnica.

Na skrzyżowaniu jakiś gazeciarz wsunął przez otwarte okno wozu gazetę. Dziewczyna rzuciła mu monetę i otworzyła gazetę na pierwszej stronie.

Znajdował się tam dość tandetnie wyretuszowany portret Kory, opatrzony notką: „Agent InterGpolu numer zero-zero-trzy przybył do stolicy Ragozy, by przeprowadzić wstępne śledztwo z powodu zbliżającego się zabójstwa księcia Gustawa. Zabójcy, jak się podejrzewa, zamierza szukać w jednym z wyższych klanów”.

Przetłumaczywszy te słowa, dziewczyna powiedziała:

– Boję się o pani życie. Postarają się od pani uwolnić. I były to prorocze słowa.

Właśnie w tym momencie z tłumu ludzi, czekających przy krawężniku na zmianę świateł, wysunął się ciemnowłosy młodzieniec w czarnych okularach i w granatowym płaszczu, by cisnąć granatem w samochód Kory. Granat eksplodował pod kołami, drzwi po drugiej stronie zostały wyrwane z zawiasów i dziewczyny wypadły na ulicę pod koła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów, które, na szczęście, zatrzymały się z piskiem, co spowodowało, że poza zadrapaniami większych obrażeń nikt nie odniósł.

Niestety, zginęła papużka – upadł na nią kierowca. W czasie, kiedy Weronika szlochała nad ciałkiem ptaka, a tłum, oczekujący pogotowia, emanował oburzeniem, szofer powiedział:

– Dosięgną pani, nie mam wątpliwości – dosięgną!

– Ale komu ja tu przeszkadzam?

– Przeszkadza pani moźnym tego świata – odpowiedziała z tłumu wysoka kobieta z dużą wysłużoną skórzaną teczką pod pachą. – Nasz książę Gustaw zaginął, ale my, reprezentanci prostego ludu, nie tracimy nadziei na jego powrót. A jesteśmy przygniatającą większością populacji tego globu.

Kobieta nagle rzuciła się do ucieczki, za nią rzucili się inni gapie, bo przestrzeń dookoła nagle wypełniły wozy policyjne, a policjanci od razu zaczęli odsuwać ludzi jeszcze dalej, otaczać jezdnię, szukać odłamków granatu i zadawać głupie pytania. Potem przyjechała karetka i zabrała wszystkich

poszkodowanych.

Pierwsza przesłuchaniu została poddana Weronika, która co kilka chwil zaczynała szlochać z żalu za ptaszkiem, ale Kora umiejętnie kierowała nurt rozmowy w odpowiednią stronę.

Siedziały oklejone plastrami i na chybicka obandażowane w poczekalni Pogotowia Ratunkowego i czekały aż z centralnej rozdzielni przywiozą szczepionkę przeciwko tężcowi. Medyk wstrząśnięty tym, że zajmuje się kuracją agenta InterGpolu, wyjaśnił, że szczepionki i inne cenne leki znajdują się w centralnym magazynie, co pozytywnie wpływa na użytkowanie, ale Weronika, gdy tylko lekarz wyszedł z pokoju, wyjaśniła, że centrum rozdziału znajduje się w elitarniej lecznicy, ponieważ dobre lekarstwa są przywożone z Ziemi albo Centrum Galaktycznego i są zbyt drogie, by zużywać je na byle kogo.

– Wcześniej – prowadziła Weronika wykład na popularnym poziomie – żyliśmy w zacofanym, można powiedzieć, średniowiecznym społeczeństwie – bo tak często się zdarza, gdy część cywilizowanej populacji odrywa się od reszty i ulega otorbieniu. Stopniowo, w miarę nawiązywania kontaktów, rozprostowaliśmy swoje skrzydła, ale stało się tak, że jako pierwsze rozprostowały je szlacheckie klany, te, które wzbogaciły się na kopalinach i teraz nie zamierzają dzielić się nimi z resztą społeczeństwa.

– Gdzie się pani kształciła? – Korę zdziwił bezbłędny, a nawet nudnawy język rozmówczyni.

– Proszę nie uważać nas za zacofanych dzikusów – uśmiechnęła się Weronika. – Uczyłam się w stołecznej szkole, niektórzy wykładowcy byli aż z Ziemi. Na kontraktach. Potem zdałam na wydział chemii – to nie takie łatwe dla zwyczajnej dziewczyny, nawet przy tym nie szlachcianki.

Kora zgodziła się, że nie jest to łatwe.

– Potem nie mogłam znaleźć pracy – kontynuowała Weronika.

– Klany, które podzieliły między siebie Dolinę, nie są zainteresowane tym, by wydobywano tam dużo minerałów. One już wzbogaciły się w czasie gorączki metali rud rzadkich i zainwestowały swoje kapitały w fundusze Centrum Galaktycznego. Tak więc miałam sporo szczęścia, znalazłszy zatrudnienie u Michela... to znaczy w Kosmoflocie. I nie żałuję tego, słowo honoru, że nie żałuję!

Dziewczyna zakochała się w tym swoim Michelu, domyśliła się Kora.

– Rozumiem, że bogactwo globu stało się jednocześnie hamulcem jego rozwoju – powiedziała.

– Słusznie! Siedemnaście rodów, dzielących władzę w Raguzie – to potomkowie załogi pierwszego zwiadowczego statku, który odkrył Dolinę. Od tego czasu mocno trzymają władzę. Dla nich wygodna jest monarchia i zasady feudalne.

– A was to śmiesz?

– Nas to nie śmiesz. Nas to smuci. Żyjemy jak w zamkniętej puszczy. Dlatego takie nadzieje pokładamy w księciu Gustawie.

– Dlaczego?

– Ponieważ od chwili, kiedy ukończył szkołę, nie ukrywał obrzydzenia do klanowego rezerwatu. I fakt, że poleciał pobierać nauki na Ziemię, też wiele znaczy, rozumie pani?

– Rozumiem z tego, że na Ragozie znajdzie się sporo osób, które ucieszą się, gdy księżę nie

wróci?

– Niestety, tak. Przecież pani widzi... – Weronika pogłaskała pustą, pokancerowaną klatkę. Papugę już zakopała na klombie przed wejściem do poczekalni. Rozpląkała się, a Kora cierpliwie czekała, aż się uspokoi.

– Ona była jak człowiek – powiedziała Weronika. – Wszystko rozumiała i – moim zdaniem – była mądrzejsza od wielu ludzi. A oni ją zabili.

– Klany podzieliły między siebie Dolinę? – zapytała Kora. – Tak.

– Ale nie są one równe między sobą?

– Oczywiście, że nie. Są klany bogate i są takie... tylko z nazwy.

– A klan Ragozy?

– Ten jest najsilniejszy. Z niego zazwyczaj wybierani są królowie.

– Zawsze był na pierwszym miejscu?

– Jak by to powiedzieć... Oczywiście są tacy, którym się to nie podoba. Na przykład klan Dormirów. Mają księcia Clarence'a. Uważają, że tron należy się jemu... Ale to wszystko jest takie złożone i nieciekawe.

– Może niezbyt ciekawe dla tych, co tu mieszkają od zawsze, ale dla mnie to interesujące. Przecież muszę zrozumieć, co zagraża waszemu Gustawowi.

W tym momencie do poczekalni wpadli lekarze z paczką, zawierającą specstrzykawki i specsurowice. O czym informowali pacjentki podczas całego zabiegu szczepienia.

Potem dziewczyny i szofer zostali zwolnieni. Ale nie było w szpitalu samochodu, który mógłby dowieźć ich do hotelu. Musiały iść pieszo, ale do hotelu „Luks” nie było wcale daleko.

W hotelu zostały zaatakowane przez niewielką hordeę dziennikarzy, którzy już wiedzieli o zamachu. Okazało się, co było i tak jasne, że granat cisnął jakiś przeciwnik Ziemi, całkowity szaleniec, którego umieszczono już z powrotem w szpitalu psychiatrycznym.

Do pokoju udało im się dotrzeć dopiero po pół godzinie; Kora opadła bez sił na łóżko.

– Nie jestem już pani potrzebna? – zapytała Weronika. Wyglądała fatalnie – włosy rozczochrane, cała pokryta plastrami, w rękę trzymała pustą klatkę.

– Jestem pani bardzo wdzięczna – powiedziała Kora. – Ale teraz muszę wypocząć, by jutro móc się spotkać z wyrocznią Czeluści.

– Ojej, po co to pani?

– Jutro, jutro wszystko opowiem – obiecała jej Kora.

Następnego ranka, o w pół do ósmej, zadzwonił przedstawiciel Kosmofloty Michel i poinformował, że zamówił już śniadanie w restauracji hotelowej.

Kora wstała, przeklinając globy, na których pracusie zaczynają życie od wysłuchania piania koguta. Michel nie był sam. Obok niego stała Weronika, odświeżona, pachnąca, pulchna i malutka. Tylko jedna rzecz zakłócała tę harmonię – starannie wymodelowane kawałeczki plastra, naklejone na wczorajsze zadrapania.

– Jak się pani czuje? – zapytał Michel, smutny jak francuski mim.

– Wszystko się zagoiło albo zagoi – odpowiedziała Kora. – Najważniejsze, że miałyśmy szczęście.

– Kto miał, ten miał – powiedział Michel i Kora go zrozumiała.

A Michel pragnął wyjaśnić powody swojego smutku, ale był człowiekiem delikatnym i dlatego nie otworzył ust.

Weszli do długiej, niskiej sali restauracyjnej. Śniadanie było fatalne, Michel ulokował Korę w najlepszym hotelu stolicy, ale tutejsi kucharze starali się kultywować brytyjskie tradycje kolonialne. Kora wyobraziła sobie gniew Milodara, gdy ten dowie się o wydatkach poniesionych przez firmę z powodu lekkomyślności Kosmofloty.

Brytyjskie tradycje wyrażały się owsianką i jajecznicą na bekonie. Ale owsiankę przygotowywano tu z larw jakichś drobnych motyli, a jajecznicę z jaj jaszczurki kuruany. Na szczęście Kora dowiedziała się o tym wcześniej i ograniczyła się do słabiutkiej „importowanej” herbaty i wczorajszej bułeczki. Natomiast pracownicy Kosmofloty rzucili się na darmowy posiłek, jakby specjalnie pościli przez dwa tygodnie. Żeby rozwiać wątpliwości Kory Michel bąknął, że koszt posiłku jest ujęty w preliminarzu wydatków, a Weronika od dawna marzyła o skosztowaniu jaj kuruany.

– Koro – wyznał Michel, przyjaźnie usposobiony do Kory – muszę pani powiedzieć, że troszczę się o panią z powodu oficjalnego zlecenia InterGpolu. Oficjalnego. Nie wolno inaczej – gdybym robił to w sekrecie, to od razu by wysłali mnie stąd, bo i tak podejrzewają, że jestem nie tyle agentem Kosmofloty, ile InterGpolu. Śmieszne, prawda?

Ale w oczach Michela nie było uśmiechu. Kora zrozumiała, że rzeczywiście jest on agentem InterGpolu i posłusznie roześmiała się za niego.

– Weronika powiedziała mi, że wczoraj plotkowałyście panie o klanach i księciu Gustawie. Naiwnie i po kobiecemu, prawda?

– Oczywiście, nic ciekawego – odpowiedziała Kora, a Weronika radośnie się uśmiechnęła.

W odróżnieniu od Ziemianina Michela była przecież zastraszoną mieszkanką tej planety.

– I dokąd się pani wybiera? Jakie zabytki chciałaby pani zobaczyć? Wodospady? Rezerwat sów?

– Na razie interesuje mnie jedna rzecz – tak zwana wyrocznia Czełuści. Kiedy mogę ją odwiedzić?

– Dzwoniłem tam z samego rana – powiedział Michel, przyznając się tym sposobem do tego, że omówił już program z Weroniką. – Jest zgoda na dzisiejszą audiencję. Mniej więcej o jedenastej. Zazwyczaj trzeba się zapisywać z rocznym wyprzedzeniem.

Weronika zaczęła wygładzać obrus.

– Może nie warto się z nim spotykać – bąknęła.

– Dlaczego? Jest mi potrzebny jako świadek w sprawie, którą się zajmuję.

– Ten cały jasnowidz, to złośliwy reakcjonista. – Weronika przeszła na szept. – Wszyscy wiedzą, że przepowiada tylko te nieszczęścia, które są wygodne dla możliwych tego świata. Aż do przesady... Powiedz, Michel, no powiedz...

– Jest bardzo popularny – ostrożnie oznajmił Michel, rozejrzawszy się uprzednio. – I wpływowy. Ale w sumie to Weronika ma rację. Wiele osób uważa, że utrzymują go pewne mocne klany.

– Dokładnie mówiąc – klan Dormirów, do którego należy księżę Clarence – sprecyzowała Weronika.

– Rywal Gustawa? – Kora już zaczynała wyczuwać niuanse lokalnej polityki.

– Właśnie! – powiedział Michel. – Ale wszystko to byłoby tylko śmieszne, gdyby on kłamał. Ale on przepowiada! Przepowiada najważniejsze wydarzenia! Nie ma pani pojęcia, jak bardzo ludzie mu wierzą.

– Aż do przesady – przytaknęła Weronika. – Nie jestem przesadna, dlatego czasem aż mnie napawa lękiem jego zręczność. Może za tym coś się kryje... Przecież espowie istnieją?

– Jak na razie nie spotkałam żadnego w Galaktyce – odpowiedziała Kora. – Ani jednemu espowi nie udało się zakłócić praw fizyki. Mnie to cieszy.

– Szkoda – rzuciła Weronika. – Nie znosiłam w szkole fizyki i ciągle miałam nadzieję, że kiedyś ujawnią się magowie albo czarodzieje, którzy tę przeklętą fizykę skasują.

– A przy okazji gramatykę? – zapytała Kora.

– Ach – zgodziła się Weronika – mówiąc tak, leje pani miód na moje rany!

– Więc co on przepowiada? – zapytała Kora.

– Nieurodzaje i susze – pisnęła Weronika.

– Też mi wynik!

– Na jego utrzymaniu znajduje się zastępca dyrektora centrum meteorologicznego – oświadczył Michel. – Ale to tajemnica.

– Bo co – zabijają? – zapytała Kora.

– Nie, wyśmiejają, a potem wpakują do czubków.

– Aż tak niedobrze?

– Źle, bo wyrocznia wiecznego życia... – Jak?

– Oficjalnie nazywa się Amitajus, Budda Wiecznego Życia. Więc kiedy przepowiedział w ubiegłym roku nadgraniczne starcia niewielkich dwóch klanów, to rody te zmobilizowały siły i zaczęły wojnę na granicy.

– A jak przepowiedział przerwanie tamy w Górnorzeczu? Pamięta pan? – zapytała Weronika.

– Niestety, pamiętam. Tama rzeczywiście runęła. Z powodu wybuchu. A kto ją wysadził – do dziś nie wiadomo. Ale przepowiednia się ziściła, to najważniejsze! I zginęło kilkaset osób.

– Jedni go kochają i drżą... – powiedziała Kora.

– A inni nienawidzą i też dygocą – powiedział Michel, który jako Ziemianin miał prawo do sceptycyzmu.

Weronika przykryła jego dłoń swoją, chcąc go uspokoić.

– Tu wszędzie są uszy – powiedziała szeptem.

– Prekognita lubi występować w telewizji, wyklądać, zaklinać wodę, przepowiadać wyniki miejscowych wyborów... A jego hasło to: „Ja nigdy się nie mylę!”

– „I jeśli przepowiem dzień swojej śmierci, to umrę tegoż dnia”! – dokończyła cytat Weronika.

– Jestem przekonany, że w królestwie są tysiące osób, które marzą o takiej jego przepowiedni – cicho powiedział Michel, wpatrując się we wzór na obrusie.

– Najprawdopodobniej nie doczekacie się – powiedziała Kora. – Tacy ludzi potrafią się pilnować.

– Obawiam się, że tak właśnie jest – zgodził się Michel. – No to co – jedziemy?

Kiedy wyszli do holu hotelu, obszernego, ale niskiego, Weronika, ciągle półgłosem, zapytała Korę:

– A o co chce go pani zapytać, jeśli to nie tajemnica?

– Dla was – nie. Ten prorok powiedział madame Ragozie i, możliwe, nie tylko jej, iż księżę Gustaw zostanie zamordowany podczas VR rajdu.

– Wszyscy to wiedzą! – przytaknęła Weronika. – Ja sama to pani mówiłam.

– Ale mnie interesuje – skąd on ma tę informację – powiedziała Kora.

– Stąd – Michel wskazał sufit. Przepuścił Korę przez drzwi.

– Kochany Michelu – powiedziała Kora. – Jak i pan wierzę w prawa fizyki, a one mówią: słuchy

i plotki rozchodzą się od człowieka do człowieka bez pośrednictwa sił wyższych, zajętych swoimi sprawami.

- Dobra teoria – zgodził się Michel.
- To aksjomat – sprzeciwiła się Kora.

Było chłodno, zbierało się na deszcz. Michel nerwowo otworzył parasol, potem zamknął go.

Kora zapytała:

- A gdzie pana samochód?

Widząc, jak Michel drgnął, zorientowała się, że popełniła gafę. I od razu zrozumiała, jaką. Kora przyleciała ze świata, gdzie samochody, czy podobne do nich środki transportu, istnieją w ilości całkowicie pokrywającej popyt. Jeśli komuś stało się coś z flyerem czy mobilem, to brał z parkingu inny egzemplarz. Ale teraz znajdowała się w innym świecie. W świecie, gdzie wóz jest wyznacznikiem pozycji, samochody są przedmiotami deficytowymi i niedostępnymi dla większości mieszkańców.

- Pana samochód został zniszczony przeze mnie – powiedziała Kora.
- Napiszę i wyślę na Ziemię raport – powiedział Michel. – Przyślą mi nowy wóz za dwa lata.

A do tego naganę... Jak mam w takich warunkach efektywnie pracować?

- Jak tylko wrócę na Ziemię, od razu zamelduję w Kosmoflocie..
- Będą bardzo mili i uprzejmi. To mistrzowie w splewianiu nieprzyjemnych klientów.
- Ale jak pan będzie działał bez wozu?

– Będę wynajmował, dopóki nie przyleci statek. A poza tym... jakoś się obejdem. Istnieją przecież środki komunikacji społecznej – powiedział Michel, wruszając ramionami i stając się jeszcze bardziej podobnym do francuskiego mima.

- To nie są środki komunikacji społecznej – obruszyła się dziewczyna. – To społeczna granda!
- Weroniko!

Michel uniósł rękę. Zatrzymała się taksówka.

- Do wyroczni – powiedział Michel.

Kierowca rzucił pasażerom kosę spojrzenie, ale nie odezwał się.

- Ciekawe, komu mogłam się tu aż tak narazić? – zapytała Kora.
- Pewnie klanowi Dormirów – wyraziła przypuszczenie Weronika. – To oni chcą zabić naszego

Gustawa, by tron przypadł tępemu Clarence'owi.

Wysłuchawszy Weroniki, Kora zwróciła się do Michela.

– Nie wiem – padła cicha odpowiedź. – Nie mogę odpowiedzieć, co jest wygodniejsze dla klanu Ragozy, osadzić na tronie właściwego króla z własnego klanu, który stawia sobie za zadanie likwidację systemu klanowego i przemianę Ragozy w państwo nowego typu... albo dogadać się z innymi klanami i oddać tron obcemu, ale działającemu zgodnie z linią polityki wysokich rodów?

Weronika jęknęła:

- Jak możesz tak myśleć?

Samochód skręcił w palmową aleję bogatej dzielnicy.

– Proszę być ostrożną – szepnęła Weronika na ucho Korze. – Jeśli on przepowie komuś śmierć, to ten człowiek naprawdę umiera. Już były takie przypadki... I proszę go nie drażnić.

- Nie jest to moim zamiarem – przyznała Kora.

Przed wzorzystymi kutymi wrotami Kora pożegnała się i wysiadła z samochodu.

W bramie przywitał ją majordomus w liberii z żelaznym pastorałem w dłoni.

Kora popatrzyła na żaróweczki układające się w szyld nad bramą: „Wyrocznia Czełusci”.

– Co to oznacza? – zapytała. – Macie tu gdzie zapadnię?

– Wszystko zostanie pani objaśnione – odpowiedział majordomus.

– Pan augur oczekuje panią w gościnnym, właśnie przy zapadni.

Fontanny pomrukiwały perliście, ptaki wtórowały fontanom, a motylki, kołujące nad klombami i rabatkami, usiłowały dopasować się do kolorytu rosnących tam kwiatów.

Pan wyrocznia czy też pan augur powitał Korę w holu. Stał, opierając się o biały bok marmurowej Wenus.

– Koro, kochana – powiedział. – Jakże miło i czule jest znowu cię widzieć!

Augur zdziwił Korę. I nie tyle dziwnym powitaniem, co tym, że nie był wcale starym człowiekiem, miał jakieś trzydzieści pięć lat, był starannie uczesany i odziany. Jedno pasmo włosów miał ufarbowane na niebieski kolor, zawijając się, opadało ono na prawe oko – dokładnie tak, jak u znanego piosenkarza, którego imię Kora, ku swojemu zawstydzeniu, zapomniała.

– Bardzo mi miło – powiedziała Kora, podchodząc do augura z wyciągniętą dłonią. – Ale nie pamiętam, gdzie się spotkaliśmy.

– Ach, Koro, Koro – powiedział z wyrzutem jasnowidz. Uśmiechał się dobrodusznie i chytrze jednocześnie. Z bliska okazało się, że jest niewiarygodnie gibką osobą, jakby zamiast kości miał jakieś jędrne gumowe pręty. – Przecież byliśmy przyjaciółmi w naszym poprzednim życiu, w końcu dwudziestego wieku... Ty byłaś cesarzową Józefiną, a ja marszałkiem Fouchem.

Mimo ograniczonych wiadomości z historii Kora od razu zrozumiała, że robią ją w konia albo sam augur nie czytał niczego, poza kryminałami Chayce’a i Szejnina.

– Ach, przepraszam – zaczęła w podobnym tonie. – Jakże mogłam zapomnieć! Przecież to pan zdobył Bastylię i podarował mi pocztówkę z jej widokiem!

– Nie Bastylię – sprecyzował augur – a Ismail. Ale czy to takie ważne?

Gestem zaprosił Korę do błękitnego salonu. Ściany, sufit i nawet podłoga tego obszernego pomieszczenia były ze szkła, za szkłem znajdowała się warstwa wody, podświetlona błękitnymi lampami. W wodzie pływały małe rybki i kijanki. Widok robił duże wrażenie i nie był pozbawiony estetycznego oddziaływania.

Na środku podłogi znajdował się ciemny otwór o średnicy mniej więcej trzech metrów.

– O oto i czeluść – niemal czule powiedział wróżbita. Niezauważalnie dla otoczenia, choć nie dla bystrego oka Kory, nacisnął czubkiem buta na przycisk, nieco wystający z podłogi przy drzwiach, a wtedy z czarnej studni buchnął kłęb niebieskiego dymu.

– Siły piekielne – niedbale i niemal wesoło oświadczył prekognita. – Właśnie z nich nabieram zdolności widzenia przyszłości.

Wskazał na złoty trójnóg, na którym leżała poduszcзка, Kora zrozumiała, że właśnie na tym trójnogu wtedy zasiada.

– A gdzie jest drugi przycisk? – zapytała.

– Jaki drugi przycisk? – Augur zrobił się czujny.

– Na który pan nadeptnie, żeby dym przestał się ulatniać. – Kora wskazała pierwszy przycisk przy drzwiach.

– Ach, to kompletnie nie ma związku – rzucił niedbale augur. – A właśnie, zapomniałem się przedstawić. Zazwyczaj ludzie zwracają się do mnie moim mistycznym imieniem Amitajus, to znaczy Budda Wiecznego Życia.

– Kora Orwat, agent InterGpolu – odpowiedziała Kora. – A jakie jest pana prawdziwe imię?

– Mam setki imion, a wszystkie prawdziwe. Ale przyjaciele z dzieciństwa nazywali mnie Oliverem. Oliver Judgeson – to brzmi, muszę przyznać!

Usiadł na trójnogu obok wyrwy. Kora odwróciła się w poszukiwaniu jakiegoś siedziska.

– Przyjdzie ci stać, przyjaciółko z poprzedniego życia – powiedział Amitajus. – W mojej obecności nikt nie siedzi.

– W poprzednim życiu – zauważyła Kora – byłeś znacznie lepiej wychowany.

– Źle mnie rozumiesz – odpowiedział Budda Wiecznego Życia. – Subiektywnie chciałbym, żebyś siedziała w mojej obecności albo leżała, a ja żebym stał albo leżał u twych stóp. Ale moje położenie zobowiązuje mnie do wywyższania się ponad ciebie. Nie złość się, kochanie, nie mogę walczyć z opinią społeczną. Tutaj nie tylko ściany, ale również sufit ma uszy i oczy. Żyjemy w zacofanym, naszpikowanym przesądami społeczeństwie.

Kora, rzecz jasna, mogłaby usiąść na podłodze, ale nie interesowały jej w tej chwili problemy etykiety, a fakty. Przepowiednia śmierci Tezeusza w czasie VR rajdu, sądząc z wypowiedzi jego ciotki Ragozy, pochodziła właśnie z tego błękitnego salonu. Ktoś musiał ją tu sflancować. Raczej nie zrodziła się sama w umyśle augura, który ciągle walczył o maksymalnie wysoką własną pozycję. Ale niczego z góry nie można było przesądzać, dlatego Kora kontynuowała rozmowę, stojąc.

– Szanowny Buddo – powiedziała – przeleciałam połowę Galaktyki, żeby móc się rozkoszować obserwowaniem twego mistrzostwa.

– Co to oznacza?

– Chcę, byś przepowiedział mi los księcia Gustawa.

– To niemożliwe – uśmiechnął się prekognita.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mogę przepowiadać los tylko własny lub najbliższych osób. Przepowiadanie na zamówienie dla osób trzecich jest grzechem, jest nieetyczne i – co najważniejsze – oszukańcze. Gdybym reprezentował inne stanowisko, przybiegaliby do mnie złośliwi sąsiedzi albo rywalizujący w miłości i wszelka przestępcza hołota.

– Dlaczego więc madame Ragoza dowiedziała się o losie Gustawa?

– Madame Ragoza – oby jej dni upływały w dobrobycie – jest najbliższą krewną naszego przyszłego władcy i króla. Jak więc mogłem jej odmówić? Jeszcze mi miła własna skóra, przepraszam za takie prostackie sformułowania.

– I co pan jej powiedział?

– Powiedziałem to, co zobaczyłem w kłębach dymu, które wypłynęły z tej czeluści, sięgającej jądra planety.

– I co pan zobaczył?

– Widziałem zniknięcie ciała księcia Gustawa w tajemniczym kataklizmie, mającym miejsce w obcym dla nas świecie. Bez nadziei na wskrzeszenie. Ostateczny terminalny zgon.

– To się nie zdarza. Zawsze można wyszukać lub wyhodować inne ciało.

– To się zdarza. Ludzie umierają na wieki, o ile uszkodzony zostaje mózg.

– Pan to powiedział madame Ragozie? Dlaczego panu uwierzyła?

Augur Amitajus przecesał długim pomalowanym paznokciem wąsik, przypominający kreskę wykonaną węglem pod długim cienkim nosem.

– Wszyscy mi wierzą – powiedział.

– Chce pan powiedzieć, że jest pan prawdziwą wyrocznią?

– Oczywiście, jestem wielkim prekognitą. Widzę przyszłość.

– Co pan plecie! – obruszyła się Kora. – Aksjomat Wunderkinda głosi, że przyszłości nie można zobaczyć, ponieważ jeszcze nie istnieje!

– Jedni nie mogą zobaczyć – spokojnie odpowiedział augur – a inni mogą. We wszechświecie żyją tylko dwaj czy trzej tacy geniusze jak ja. Mogę zajrzeć w przyszłość w dowolnej chwili.

– Pomaga panu dym? – zapytała Kora.

– Tak, dym też. Gdyby znała pani historię, to wiedziałaby, że wyrocznia delficka siedziała na trójnogu nad specjalnym dymem i wchodziła w trans.

– Teraz wszystko rozumiem – westchnęła Kora. – Czytał pan coś z takich przystępnych popularyzatorskich opracowań, ale nie doczytał, że wyrocznia to tylko termin, to symbol, a nie człowiek. A w trans wchodziły, jak to się pan wyraził, Pytie.

– Właśnie – niepewnie przytaknął augur Amitajus – właśnie Pytie. Skrzydlate boginie! Widziałem je, kiedy latałem w przeszłość!

– I to właśnie ten dym podpowiedział panu, że Tezeusza zabiją podczas VR rajdu? – zapytała Kora. – Terminalnie?

Wyciągnęła stopę i koniuszkiem buta leciutko dotknęła przycisku w podłodze. Kłęb dymu posłusznie buchnął z czeluści. Zapach dymu był nieprzyjemny, z domieszką czegoś, może nawet piekielnego.

– Proszę tu nie szaleć! – wrzasnął prekognitą. – Zniszczę panią! Mało pani niedawnego zamachu? Może być następny, udany!

– O tym też pan słyszał, Judgeson?

– Nie Judgeson, a Budda Wiecznego Życia, Amitajus!

– Powiedz mi, Buddo Wiecznego Życia, czy o zamachu na mnie też ci powiedział dym?

– Oczywiście – odpowiedział jasnowidz, odsuwając stopą czubek buta Kory, żeby odzyskać kontrolę nad emisją dymu.

– Teraz zaś zostanę zabita skutecznie?

– Skutecznie – mruknął, ciągle jeszcze naburmuszony augur.

– Wyjaśnij mi, Buddo Wiecznego Życia – poprosiła Kora możliwie uprzejmie. – Komu na tym szlachetnym globie aż tak zależało za skórę? Przecież przyleciałam tylko na jeden dzień, żeby porozmawiać z panem i zaraz wracam.

– Wygląda, że komuś zależało – odpowiedział prekognita wstrętym tonem chłopca, który wie coś niemiłego o starszej siostrze, ale nie zamierza tego powiedzieć.

– Zobaczyłam coś, czego nie powinnam była zobaczyć?

– Być może.

– Czy usłyszałam?

– Niewykluczone. – Gospodarz pokiwał stopką obutą w złoty bucik.

O panie, ileż czasu musi spędzać przed lustrem!

– I teraz nieodwołalnie zostanę zabita?

– Jeszcze dziś – uśmiechnął się promiennie przepowiadacz przyszłości.

– Ale pragnę uprzedzić – oświadczyła Kora, choć nie można powiedzieć, by odczuła przyjemność słysząc takie kategoryczne słowa – że jeśli dziś nie zginę, wtedy dezawuuje to pana osobę.

Augur nie zrozumiał słowa.

– Wyjaśniam – kontynuowała Kora. – Rozgłoszę na całym świecie, że jest pan papłą, która nie przepowiada żadnej przyszłości. Że nie mógł pan załatwić zwykłego agenta.

– Nikt ci nie uwierzy – powiedział prekognita. – A mnie wierzą wszyscy i to tak mocno, że sam się czasami siebie boję. Jeśli mówię, że będzie wojna, to oni zaczynają ją dokładnie w podanym przeze mnie terminie. Jeśli przepowiadam śmierć, człowiek kładzie się i przestaje przyjmować pożywienie.

– Gdzieś już o czymś takim słyszałam.

– Nigdzie nie mogłaś tego słyszeć, bo ja jestem unikatowy.

– Ostatnie pytanie i już sobie idę na spotkanie śmierci.

– Proszę bardzo.

– Kto – mimo wszystko – poradził panu rozpowszechnić plotki o śmierci następcy tronu?

– A ta znowu swoje! – wrzasnął prekognita. Nacisnął przycisk i zniknął w obłoku dymu.

Buchnął stamtąd zapach piekła i rozległy się przekleństwa pod adresem Kory.

Dobre uczynki powinny przynosić zyski – to zasada zdrowego rozsądku. Co oznacza, że należy się śpieszyć z dobrymi uczynkami, bo zginiesz, nie zdążywszy przynieść pożytku tym dobrym ludziom, którzy przez ciebie mogli ucierpieć.

Kora złapała taksówkę, ale nie wzięła pierwszego wozu, a dopiero trzeci. Od tej chwili nie mogła sobie pozwolić na ryzyko.

Za nią ruszył inny wóz, omal jawnie. Może to był ogon, może ochrona. Tak naprawdę niczego to nie zmieniało.

Zamierzała wykonać kilka prozaicznych ruchów, nie kryjąc się zupełnie. Co prawda wolałaby jechać po bardziej zaludnionych ulicach. Z jakiegoś powodu zabójcy wolą strzelać w takich cichych zaułkach.

Oto i centralna poczta.

Kora wbiegła na piętro, do sali łączności kosmicznej, i po przejściu do wewnętrznej sali operatorskiej pokazała dyżurnemu swoją oznakę i numer. Widocznie nie było dlań tajemnicą, że przebywa na ich planecie agent interGpolu – od razu zaprowadził Korę do najświętszego ze świętych miejsc: pokoju grawitacyjności z Centrum Galaktycznym. Nie znając kodu dostępu, nie wszedłby tu nawet władca Ragozy.

Teraz Kora musiała zacząć kłamać.

Kłamać nie lubiła, chociaż od czasu do czasu przychodziło jej łągać dla dobra służby. Teraz jednak sytuacja odbiegała od normy, może dlatego była mało przyjemna. Ale nie było wyjścia. Kora świetnie wiedziała, że trzymając się prawdy, niczego nie osiągnie, a tylko zepsuje sobie reputację.

Otrzymała kanał po pięciu minutach. Sprawdziła w tym czasie izolację komory łączności.

Milodara nie musieli szukać.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku? Wiesz już, kto produkuje te plotki? – zapytał.

– Coś tam wiem. Atak przy okazji, przeżyłam zamach na siebie.

– Czyli nieudany? – rzeczowo zapytał komisarz.

– Skończyło się na kilku szwach i sińcach.

– Masz szczęście – powiedział Milodar tak, jakby sam kierował tymi zamachami, a teraz złościł się, że nic z nich nie wyszło.

– Proszę mi pilnie przydzielić dziesięć tysięcy trzysta dwadzieścia dwa ecu na łapówkę. Pieniądze muszę mieć, jak tylko dotrę stąd do banku.

– A jaka to odległość? – zapytał Milodar, nawet nie próbując poddawać w wątpliwość żądania agenta, który – znając psychologiczną konstrukcję przełożonego – zażądał absurdalnie sprecyzowanej kwoty.

– Dziesięć minut przebieżki.

– Ktoś za tobą wisi?

– Augur pół godziny temu powiedział mi, że ostatni udany zamach będzie miał miejsce dziś.

– Pilnuj się trochę. – Słysząc było, jak Milodarowi zadrżał głos. – Obiecałaś bawić się na moim

weselu.

– Wiele teraz zależy od pana. Pieniądze na stół!

– A nie da się mniej? – Komisarz uświadomił sobie, że nawet się nie potargował z Korą.

– Nie da się. Mogę zawalić całą operację.

– Wierzę ci, dziecko – powiedział Milodar.

Kora przerwała łączność, podziękowała dyżurnemu, zapytała, czy budynek ma tylne wyjście.

– Odprowadzę panią – odparł dyżurny. Po drodze powiedział, że w dzisiejszych gazetach wiele się pisało o zamachu na Korę. Podobno przed wieczorem ma mieć miejsce kolejny zamach, już udany. – Mimo wszystko, to chamstwo, nie sądzi pani?

Prowadził Korę podziemnym tunelem, wzdłuż którego ścian i sufitu ciągnęły się, czasem zwisając luźno, liczne przewody.

– Zgadzam się z panem całkowicie – powiedziała Kora. – A kto, jak pan sądzi, za tym stoi?

– Informację rozpowszechnia wyrocznia Czeluści – szepnął dyżurny. – A jemu podpowiada młodszy Clarence, z klanu Dormirów.

– Po co mu to?

– Proszę się pochylić, w tym miejscu kopie prądem – uprzedził dyżurny. – Clarence słucha rad Clarissy. On sam jest na to za głupi.

– Dziękuję – powiedziała Kora. Właśnie dotarli do uchylonego luku, prowadzącego na podwórze poczty. Kora wolałaby porozmawiać jeszcze chwilę, człowieka ciekawi wszystko, co dotyczy jego własnego zabójstwa, ale dyżurny pożegnał się i uciekł, zasłaniając się pilnymi sprawami. Dla niego śmierć Kory była sprawą nieprzyjemną, ale w końcu nie osobistą.

„Tak więc, myślała Kora, przemieszczając się podwórkami i zaułkami w kierunku banku centralnego, mamy niteczkę: augur – madame Ragoza – niejaki Clarence młodszy z klanu Dormirów, który to ród, jeśli się Kora nie myliła, był głównym rywalem Gustawa w walce o tron, i może nim zawładnąć, jeśli Minotaur nadzieje na rogi księcia Gustawa.” Ale kim jest Clarissa i dlaczego chce zabić Korę? W rozgrywce pojawiła się nowa osoba, a to zawsze zabawie dodaje uroku.

Bez przygód, jeśli nie liczyć krótkiej potyczki z wałęsającymi się tu kundlami, których Kora niechętnie odpędziła od kubła ze śmieciami, dotarła do banku. Przy wejściu do budynku toczyło się zwyczajne życie, niczego podejrzanego Kora nie zauważyła.

W środku od razu podeszła do oczekującego jej menedżera. Grawiprzekaz cztery minuty temu znalazł się w banku. Kora poprosiła o wydanie jej całej kwoty gotówką, co nikogo nie zdziwiło, ponieważ na Ragozie nie istniały jeszcze takie zabawki jak karty kredytowe czy skanery laserowe.

Siedem tysięcy wypłacono w złotych monetach, znajdujących się w trzosiku dobrze przytroczonym przez Korę do pasa. Nikt w tym mieście nie pomyśli, że można tak lekkomyślnie spacerować po ulicach, wiedząc, że co wieczór trzy godziny programu radiowego zajmuje wyliczenie przypadków napaści, gwałtów i zabójstw.

Pozostałe pieniądze, w dużych banknotach, włożyła do portfela.

Wszystkie te operacje zostały wykonane w gabinecie dyrektora banku, na jego oczach. Ten starał się nie okazywać swego zdumienia; w końcu – powiedział na pożegnanie – co kraj, to obyczaj.

W końcu Kora zadzwoniła do przedstawicielstwa Kosmofloty. Michel był w pracy, cieszył się, że Kora jeszcze żyje. Agentka zaproponowała, by się spotkali – potrzebuje pomocy w wyjaśnieniu pewnego istotnego dla sprawy szczegółu. Michel zapytał tylko, gdzie i kiedy. Kora jawiła mu się już czymś w rodzaju żywiołu, z którym zwykli śmiertelnicy nie polemizują i nie walczą.

– Proszę również, by obecna była przy tym Weronika – powiedziała Kora.

– Ojej, ona już poszła do domu – odpowiedział agent. – Obawiam się, że nabawiła się lekkiego wstrząśnienia mózgu.

– Proszę ją wezwać, Michel. Wiem, co jej pomoże. Michel nie odpowiedział. Trząśnięcie o swoją Weronikę i chciał, by Kora, od której dolatywał zapach bliskiej śmierci, jak najszybciej stąd odleciała.

– Odlatuję dziś w nocy – powiedziała Kora. – Wydawało mi się, że w rozkładzie był lot lokalny na zewnętrzny glob.

– Słusznie! – W głosie Michela słychać było nieukrywaną ulgę. – Oczywiście, że stamtąd odleci pani lepiej i bezpieczniej niż od nas.

– Za pół godziny czekam na was w podziemnym garażu domu towarowego – powiedziała Kora.

– Poznała już pani ten garaż?

– Wiele rzeczy już znam – odparła Kora. – Zjedźcie tam z kawiarni dolnego pasażu.

– Za pół godziny? Postaram się zdążyć. Jeśli Weronika będzie mogła...

– I proszę nie przyprowadzać za sobą ogona – poprosiła Kora. – Zaczynają mnie irytować niespodziewane spotkania.

Odwiesiwszy słuchawkę, podziękowała dyrektorowi banku za cierpliwość, zaprosiła go na Ziemię, a ten uprzejmie przyjął zaproszenie, choć nie uzgadniali, gdzie i kiedy się spotkają, jakby sugerując przez to, że dwie tak znane osoby zawsze jakoś się odnajdą w przestrzeniach Galaktyki.

Kora podziękowała za propozycję towarzyszenia jej.

Dzień już się kończył, na ulicach było tłoczno z powodu śpieszących do domów urzędników, wolne strumienie pojazdów zrywami pokonywały przestrzeń, przy tym nowiutkie ziemskie mercedesy, z młodymi arystokratami albo bankierami w swoim wnętrzu, od czasu do czasu usiłowały wzlecieć nad strumieniem innych pojazdów, policjanci machinalnie i rutynowo gasili zapał kierowców.

Jeśli ktoś w tej chwili usiłowałby zabić Korę, musiałby mocno przedzierać się przez tłum.

Ale Kora nie zatrzymała się na stopniach banku, tylko zbiegła po stopniach za plecami dobrze zbudowanego jegomościa w obszernym płaszczu, schyliła się, wtopiła w tłum i już po dziesięciu minutach znajdowała się w centralnym domu towarowym, zajmującym cały kwartał.

Wszystkie swoje sprawy w domu towarowym załatwiła w ciągu dziesięciu minut, albowiem moc czystego złota w skórzanym mieszk, z sygnaturami Banku Centralnego, wywieriała na sprzedawcach wrażenie prawdziwie nieodparte.

Agent Kosmofloty i jego pomocnica spóźnili się o dobre dziesięć minut – trafili dokładnie w godzinę szczytu, a bez samochodu, nawet bez takiego kiepskiego pojazdu, jakim dysponowała tu Kosmoflota, miasta nie można było przebyć, ponieważ elektryczne dyliżanse i pociągi lokalnych kolei poruszają się wolno, a w szczycie są tak zapchane, że na stacjach końcowych dyżurują specjalne karetki pogotowia, do reanimacji tych, którzy nie wytrzymali trudów podróży.

Zjechali windą w dół.

Kora, stojąc za szeroką kolumną podziemnego garażu i uważnie obserwując, czy nie idzie za nimi ogon, zobaczyła ich od razu, gdy tylko wyszli z windy i zatrzymali się obok kabiny.

– Jeśli jej tu nie ma, to może to oznaczać tylko jedno... – zaczął Michel.

W słabym świetle garażu wyglądał na bladoliczego brata wszystkich ludzi.

– Że ją straciliśmy? – zapytała Weronika.

Dziewczyna mocno trzymała Michela za rękę i oczekiwała czegoś strasznego.

– Dziękuję, że tak szybko tu przybyliście – powiedziała głośno Kora, nie chcąc wystraszyć ich nieoczekiwanym pojawieniem się.

Winda zahuczła i pojechała do góry. W podziemiu zrobiło się jeszcze ciemniej.

Uśmiechnięta Kora podeszła do nich.

– Nie złościć się, że zmusiłam was do spotkania.

– To nasz obowiązek – z ulgą odpowiedział agent Kosmofloty.

– Jeśli mamy mówić o długach – powiedziała Kora – to proszę... – Wykonała ręką szeroki gest, wskazując na nowiutki mikrobus, marzenie każdej kompanii kosmicznej – ze składanymi skrzydłami, na powietrznej poduszce, mogący zmieniać się w sypialny wagonik lub ciężarówkę o nośności szesnastu ton, a jednocześnie – w normalnych warunkach – w komfortową dziesięciomiejscową limuzynę.

– Co to jest? – zapytał agent.

– Zwracam dług – powiedziała Kora. – Przeze mnie straciliście wóz. Bez samochodu nie sposób tu pracować. Wasza Kosmoflota przyśle wam nowy pojazd za pół roku, a na pewno będzie to coś przestarzałego i potwornie niewygodnego.

– Och, ma pani rację! – wtrąciła się Weronika. – Już tak było w ubiegłym roku.

Pocałowała Korę i pociągnęła nosem wzruszona.

– Ale skąd pani wzięła pieniądze? – zapytał podejrzliwy Michel.

Był jeszcze bardziej blady niż uprzednio. Wiedział, że Kora, jak i on, jest urzędnikiem państwowymi, to znaczy człowiekiem stosunkowo ubogim.

– Chodźmy, odjedziemy gdzieś w jakieś ciche miejsce, gdzie będziemy mogli coś przekąsieć. Miałam trudny dzień – uchyliła się od odpowiedzi Kora.

Wskazała Michelowi fotel kierowcy, a sama usiadła z tyłu. Obok Michela usiadła Weronika, wzruszona dziewczyna ciągle starała się dotknąć Kory, pogłaskać ją.

– Ale musi pani mi powiedzieć – upierał się Michel – jak zdobyła taką sumę? Przecież to niemożliwe.

– Gdybym powiedziała komisarzowi, że chcę kupić samochód, który przeze mnie straciła Kosmoflota, to odpowiedziałby mi...

– Wiem, co by odpowiedział – uśmiechnął się Michel, a szczęśliwa Weronika roześmiała się.

– Powiedziałam mu, że to pieniądze na pilną łapówkę, na brudne sprawy, na sekretne zabójstwa i inne świństwa – powiedziała Kora. – Więc nawet nie pisał.

– Wierzę pani – powiedział Michel. – I tym bardziej jestem wdzięczny.

– Kiedy będzie pan parkował przy lokalu – uprzedziła go Kora – proszę tak to urządzić, żeby od strony ulicy nikt nie widział, że nim przyjechałam. Chyba że chce pan, by ten wóz też wyleciał w powietrze.

Michel starannie wykonał polecenie. Widać było, że już jest niewolnikiem swojego autka. Weszli do niewielkiej podmiejskiej knajpki, gdzie serwowano dary położonego nieopodal górskiego jeziora – cudowne delikatne kraby i zupę żółwiową.

– Czego się pani dowiedziała od wyroczni, jeśli to nie jest tajemnicą? – zapytała Weronika.

Jej oczy lśniły jak bombki na noworocznej choince, a plastry w żaden sposób nie szpeciły cudownej twarzyczki.

– Stało się to, czego się spodziewałam – on uchylił się od odpowiedzi. Ale potem pewien

człowiek podał mi dwa nazwiska. Ponieważ jedno z nich jest mi nieznane, to oczekuję waszej pomocy.

– W każdej sprawie – zapewnił ją Michel.

– Co wiecie o księciu Clarensie i dziewczynie o imieniu Clarissa?

Kora już wcześniej odnotowała, jak zmienił się stosunek rozmówców do niej. Godzinę temu była nie tylko sojuszniczką, współbojowniczką, ale emocjonalnie obcą osobą, która wciągnęła ich w problemy i narażała na niebezpieczeństwo. Ale w tej chwili stała się przyjacielem; nie dlatego, że przekupiła ich, a dlatego że zatroszczyła się o nich, a to jest wielka różnica. W końcu Kora rozumiała, że sama też mogła znaleźć się na miejscu tych ludzi. Jeśli rano tylko starali się jej pomóc, to teraz chcieli zrobić dla niej wszystko, co tylko w ich mocy.

– O Clarensie już pani słyszała – powiedział agent Kosmofloty. – Sam jest niczym, ale za jego plecami zgrupowali się wszyscy ci ludzie, którzy są przeciwni Gustawowi. Jeśli Gustaw zginie, to Clarence nagle będzie miał szansę odepchnięcia klanu Ragozy od władzy...

– A nasza planeta pozostanie taką starą wiedźmą, jaką jest dzisiaj – odważnie oświadczyła Weronika.

Właścicielka takiego mikrobusu mogła pozwolić sobie na odwagę.

– Czy to znaczy, że jest żywotnie zainteresowany śmiercią Gustawa?

– Nigdy nic takiego nie powiedział, ale jego świta nie kryje nadziei. Na dodatek krążą mgliste słuchy o pojedynku między Gustawem i Clarence’em z powodu Clarissy.

– Pojedynek? Odbył się? Kto zwyciężył?

– Ludzie mówią – Weronika zmieszana się. Zawsze niemiło jest źle mówić o swoim idolu – że Gustaw uchylił się od pojedynku i odleciał na Ziemię.

Kora odsunęła talerz z niedojedzonym krabem, mimo że danie było fantastyczne.

– Proszę mi jeszcze opowiedzieć o Clarissie. Co to za femme fatale? – poprosiła.

– Wcale nie fatalna – zaproponował Michel. – To piękna i miła dziewczyna. Miss Ragozy z ubiegłego roku. Kiedy Gustaw przyjechał tu na wakacje – zakochał się w niej.

– To dlaczego wszyscy o niej milczą? – zawołała Kora.

– Nie pytała pani o nią – odparł agent Kosmofloty.

– To jest paskudna sprzedajna szmata – rzuciła nagle ochryłym głosem Weronika. Jakby szykowała się na tortury i postanowiła nie dać się złamać.

Po raz pierwszy w obecności Kory Weronika miała inne zdanie niż jej Michel. Agentka odgadła sedno konfliktu – Clarissa musiała być ładna i cieszyć się reputacją kusicielki.

– Proszę mi wybaczyć – zwróciła się Kora do Weroniki – co takiego zrobiła ta sprzedajna szmata?

– Przecież tak nie wolno, to nieładnie! – powiedział z wyrzutem Michel.

– Michelu, nie przerywaj mi! – powiedziała Weronika, mimo że agent Kosmofloty nawet nie usiłował tego robić. – Wszyscy wiedzą, że Gustaw podczas ubiegłorocznych wakacji zakochał się na śmierć w tej amatorce mężczyzn i pieniędzy, i nawet ogłosił zamiar ożenku z nią po ukończeniu uczelni. Czy nie tak było, Michelu?

– To nie były oficjalne oświadczenia.

– Gustaw jest ponad to! Dał słowo Clarissie. Z jej powodu popełnił przestępstwo...

– Proszę nie mówić zagadkami, błagam! – odezwała się Kora.

– Mówi się...

– Koro, to są tylko plotki – uprzedził Korę Michel.

– Właśnie ich zbieraniem zajmuję się na tej planecie – odparła Kora. – Tak więc taki gatunek informacji mnie nie dziwi. Mów dalej, Weroniko.

– Pod jakimś pretekstem zmusiła go do zastawienia rodzowego majątku.

– Więc Gustaw nie jest bogaty?

– Po śmierci rodziców, cały majątek i działki z rzadkimi rudami przeszły pod zarządek klanu. Jeśli Gustaw zostanie królem, to będzie też przywódcą klanu. W tej chwili przewodzi mu madame Ragoza.

– A on zastawił majątek rodowy?

– Weronika ma rację – wtrącił się Michel. – Wygląda, że Gustaw naprawdę nie śmierdzi groszem. A kiedy na dodatek wyruszył na Ziemię, to jego akcje jeszcze bardziej poszły w dół. Zaczęto przeciwko niemu spiskować, coraz częściej mówiło się, że kraj potrzebuje prawdziwego władcy, twardej ręki, a nie jakiegoś, nie wiadomo gdzie wykształconego okularnika. Rozumie pani?..

– Z trudem – przyznała Kora.

– Kiedy Gustaw odleciał, Clarissa zaczęła prowadzić... jak by to powiedzieć... taki nieco roztargniony tryb życia... Zewnętrznie – skromnisa, cicha myszka... a tymczasem czaiła się i czyhała na księcia Clarence'a.

– No, miała sporo pomocników, którzy popychali ją w jego ramiona – dodał Michel.

– A jej, z tym swoim zamiłowaniem do bicepsów, szybkich samochodów i skórzanych kurtek, trudno było nie wylądować w objęciach Clarence'a – kontynuowała Weronika. – Ten to ma bicepsy – o, takie! Na nogach mięsny – jeszcze większe! Ale główkę – o taką, malutką!

– Nie przesadzaj – uśmiechnął się Michel.

– Księżę Clarence jeszcze nie zdążył nawet podejść do małp, od których inni pochodzą – oświadczyła z mocą Weronika. – I właśnie to oczarowało naszą kicię.

– Mimo wszystko – jesteś dla niej okrutna. Ja natomiast przypuszczam, że naprawdę zakochała się w księciu Clarensie.

– Pewnie. Tyle że wcześniej zgodziła się uczestniczyć w zмовie przeciwko Gustawowi, bo gdyby udało się księcia zabić i przejąć tron, to miałyby dwie sroki: tron i Clarence'a.

– A dlaczego nie podoba jej się tron plus Gustaw? – zapytała Kora z góry znając odpowiedź.

– Dlatego, że już była kochanką Clarence'a i zaprzyjaźniła się z tymi ludźmi, którzy na tronie widzieli właśnie jego.

– Może wystarczy, przyjaciele. Już niemal wszystko rozumiem.

– Proszę poczekać! Jeszcze nie wszystko opowiedzieliśmy!

– rzuciła Weronika. – Czy nie interesuje pani, co się wydarzyło na balu, kiedy Gustaw dwa miesiące temu przyleciał na wakacje?

– Ciekawe – przyznała Kora.

– Szansę na to, że ta opowieść jest prawdą, są minimalne – powiedział Michel.

– Ale kuzynka mojej koleżanki była na tym balu! – obruszyła się Weronika. – Przecież ci opowiadałam.

Michel ze smutkiem ustawił stożek z brwi i wycofał się z rozmowy.

– Gustaw niczego nie podejrzewał! – dramatycznie zawołała Weronika. Na szczęście knajpka była pusta. – Przyjechał na bal z Clarissą. A tam już wszystko było przygotowane. On zaprosił Clarissę do tańca, ale wyprzedził go, a nawet odepchnął Clarence. Michel, nie rób takich min – widziało to pół tysiąca osób! Tak, Clarence odepchnął Gustawa i zaprosił Clarissę do tańca. Gustaw

przełknął to i udał, że nic się nie stało. Następny taniec. To samo. I wtedy Gustaw zwrócił Clarence'owi uwagę na niestosowność postępowania. Przypomniawszy, że Clarissa jest z nim. A Clarence zaśmiał mu się w twarz w obecności wszystkich arystokratów królestwa i obraził, nazywając mołem książkowym, który nie ma szans na taką babę jak Clarissa. A Gustaw nawet w tym momencie jeszcze niczego się nie domyślał. Stał jak głupi i powtarzał Clarence'owi: jak ci nie wstyd.

– Weroniko!

– Widziało to pięćset osób.

– Przepraszam, ale to naprawdę widziało pięćset osób – powiedział kelner. – Teść mojego kuzyna był tam we własnej osobie. Jest pułkownikiem gwardyjskich motocyklistów.

– Widzisz! – ucieszyła się ze wsparcia Weronika. – I co dalej?

– Dalej Clarence nazwał Gustawa żalosnym tchórzem.

– No wiesz!

– A Gustaw musiał domyślić się i wyzwać Clarence'a na pojedynek na pałki.

– Na co?

– Na pałki! Pojedyunki są dozwolone tylko dla arystokracji. A od dwustu lat odbywają się wyłącznie na pałki.

– Zwariować można – powiedziała Kora. – Gdzie mnie zaniósł!

– Zgadza się z panią – wtrącił się ponownie kelner. – Kompletnie barbarzyński obyczaj.

– Gustaw powiedział: „Clarensie, czy ty rozumiesz, że teraz będę zmuszony wyzwać się na pojedynek?” To był koszmar. Clarissa rechotała na całe gardło, Clarence też zaczął się śmiać. Wtedy Gustaw odwrócił się i wyszedł z sali.

– I co dalej?

– Nic! – odpowiedziała Weronika. – To tajemnica. Pojedyнку nie było. Nikt niczego nie zrozumiał. Ci spiskowcy znakomicie sobie wymyślili, jak pozbyć się Gustawa w tradycyjny sposób, a tu pojedynek się nie odbył. Teraz wiele osób pogardza Gustawem i mówi, że taki tchórz nie zobaczy pojedyunku za skarby świata.

– Weroniko, tego nikt nie wie! – powiedział Michel.

– Tego bym nie była pewna – powiedziała zamyślona Kora. – Ile mamy czasu do tego lokalnego rejsu?

– Około czterech godzin – powiedział Michel.

– W takim razie muszę porozmawiać ze świadkiem.

– Z jakim świadkiem? – zapytał Michel.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? – zawołała Weronika. – Oczywiście, że z Clarissą. Prawda?

– Prawda. Co ona teraz robi?

– Przyczaiła się. Ludzie mówią, że spotyka się z Clarence'em w tajemnicy.

– Czeka, aż książę zginie na Ziemi podczas tego rajdu – oświadczył kompetentny kelner. – Podać lody czy śpieszy się pani?

– Dziękujemy, śpieszymy się – odpowiedziała Kora.

– W takim razie proszę o trzy minuty, a ja opowiem, co przekazał mi teść mojego kuzyna. Pamiętam jego opowiadanie co do słowa.

– Proszę mówić – przyzwoliła Kora, zerknąwszy na zegarek.

– Książę Gustaw powiedział, że nigdy w życiu nie bił się na pałki i nie wie, jak to się robi, ale

jest przekonany, że dowolny pojedynek z człowiekiem, który w szkole zamiast kuć algebrę i zastanawiać się, jak może z pożytkiem działać dla własnego narodu, wymachiwał maczugami i kijami, będzie zwyczajnym zabójstwem. A on, Gustaw Ragoza, nie zamierza występować w roli barana. Tak więc wyrusza na Ziemię, tam ukończy uniwersytet, a za pół roku, kiedy będzie miał już dyplom, wróci do domu i przed koronacją gotów będzie spotkać się z Clarence'em i dać mu satysfakcję. Żebyście widzieli, co się wtedy działo! Wrzaski, śmiechy, kpinki i nawet okrzyki aprobaty!

– Dlaczego okrzyki aprobaty? Jeśli dobrze zrozumiałam, to książe stchórzył i stracił twarz? – zapytała Kora.

– To niezupełnie prawda – powiedział kelner. – Przecież w sali balowej było niemało ludzi, którzy rozumieli, że Gustaw został wciągnięty w pułapkę i ma być zabity przez konkurenta. A Gustaw, choć na pierwszy rzut oka niby stchórzył i poprosił o coś niewyobrażalnego – o półroczne przesunięcie pojedynku – to postąpił w rzeczywistości bardzo mądrze. Po co ma nadstawiać łba pod obcą pałę? Przy tym formalnie nie złamał żadnych reguł, ponieważ prawem obrażonego jest wyznaczyć czas i miejsce pojedynku. Co zrobił. A że za pół roku... Po prostu nikt wcześniej na to nie wpadł.

– Kiedy zatem ma wrócić książe Gustaw? – zapytała Kora.

– Za pół roku. Kiedy zda egzaminy państwowe i otrzyma dyplom. Na ten termin została wyznaczona koronacja.

– Dlaczego?

– Rada Regentów przekaze władzę monarsze w dniu osiągnięcia przezeń pełnoletności. A to się stanie właśnie za pół roku. Wtedy książe Gustaw ukończy dwadzieścia lat i cztery dni.

– Co to za dziwny wiek? – zdziwiła się Kora.

– Dla was – dziwny, dla nas – zwyczajny – odpowiedziała Weronika. – Od dawna, od czasu, kiedy był koronowany pierwszy król Słonecznej Dynastii. Miało się to odbyć w dniu jego dwudziestych urodzin. Ale akurat przed rozpoczęciem ceremonii koronacyjnej zaczął lać upiorny deszcz. Nasi przodkowie nie potrafili wtedy budować dachów, musieli więc ukryć się w jaskiniach i przeczekać ulewę. A deszcz szalał przez cztery doby. Tak więc koronowano pierwszego monarchę dopiero, gdy skończył dwadzieścia lat i cztery dni. I od tego czasu...

– Rozumiem – powiedziała Kora. – Od tego czasu czekacie, aż się skończy deszczyk.

Nikt się nie roześmiał.

– Dziękuję – powiedziała Kora do kelnera. – Bardzo pan pomógł InterGpolowi.

– Być nie może!

– Nie cieszy się pan?

– Jestem teraz zagranicznym szpiegiem.

– Nie powiem o tym nikomu – pocieszyła go z uśmiechem Kora.

Odszukanie właściwego adresu w sposób nie zwracający uwagi zabójców, polujących na Korę, nie było łatwe. Michel kilka razy zatrzymywał wóz w wąskich, pustych wieczorem zaułkach, a Weronika wyskakiwała z mikrobusu i znikła w ciemnych bramach albo szeptem wymieniała kilka zdań z babciami przesiadującymi na ławeczkach na skwerach, obsadzonych jednakowymi liliowymi kwiatami.

Potem włączyła do budki telefonicznej i po dziesięciu minutach, kiedy już wydało się Korze, że zapomniała o istnieniu agentki i po prostu obgadywała z koleżanką krój nowej sukienki, wreszcie wróciła.

– Wejść tam – powiedziała – i powiem jej, o co chodzi. Znamy się trochę. Potem my sobie pojedziemy, nie chcę, żeby Michel ryzykował życiem. On tu musi pracować. Poczekamy w Kosmoporcie i załatwimy w tym czasie bilet na ten lokalny lot.

– Masz rację – zgodziła się Kora, doceniająca oddanie osób trzecich. I sama rada była być oddaną. Przecież w jej życiu osobą bliską była tylko babcia Nastia... jeśli nie liczyć Milodara, który poświęcił ją, jak poświęcił wielu innych agentów, gdy tylko będą tego wymagały okoliczności.

Samochód zatrzymał się, nie dojeżdżając pięćdziesiąt metrów do wąskiego budynku, wciśniętego między inne podobnej wielkości domy, ze śladami niegdyś jaskrawych, teraz wyblakłych farb na frontonach. Wyróżniał się z otoczenia tylko niedawno pomalowanymi zieloną farbą drzwiami.

Ulica była pusta, jeśli nie liczyć kobiety z wózkiem. Zanim ktokolwiek wyszedł z wozu, odsiedzieli we wnętrzu dobre trzy minuty. Po tym czasie uznali, że nikt ich nie śledził.

W końcu Weronika wyskoczyła z mikrobusu i bez pośpiechu podeszła do zielonych drzwi. Zastukała wiszącym na łańcuszku drewnianym młotkiem. Drzwi uchyliły się, Weronika wśliznęła się do wnętrza. Kora z Michelelem czekali. Milczeli. Michel zerkał co i rusz na zegarek, denerwował się.

Weronika wyszła z domu i podeszła do wozu. Kora uchyliła drzwi. Dziewczyna wskoczyła do wnętrza.

– Potrzebuje pieniędzy – powiedziała. – Bez forsy nie będzie rozmawiać.

– Ile? – zapytała Kora.

– Dwadzieścia złotych monet. Ma pani tyle?

Nie była to wielka suma, w gruncie rzeczy mała część tego, co Kora wydała na nowy samochód dla Kosmofloty. Następnie Weronika oddała jej swoją obszerną, haftowaną pelerynę.

– To na pamiątkę – powiedziała. – I w dowód wdzięczności.

– Dziękuję – powiedziała Kora. – W tym z daleka nikt mnie nie rozpozna.

Weronika uśmiechnęła się. Pocałowały się jak siostry.

– Najważniejsze, to proszę pamiętać, że Clarissa choruje na pazerność. Blask złota doprowadza ją do szału.

– Dziękuję, uwzględnię to.

Gdy tylko Kora wyszła z samochodu, ten ruszył gwałtownie z miejsca. Weronika odwróciła się i pomachała Korze ręką na pożegnanie. Kora podeszła do zielonych drzwi, te uchyliły się,

zapraszając ją do środka.

– Prędej! – dał się słyszeć gwałtowny kobiecy głos. Drzwi zatrzasnęły się, gdy tylko Kora przekroczyła próg, szcęknęła zasuwa, brzęknął łańcuch.

W malutkim przedpokoju, w którym zmieścił się tylko wieszak na okrycia wierzchnie i skąd prowadziły dwie pary drzwi i wąskie schody na górę, stała niewielkiego wzrostu przygarbiona kobieta, w workowatej szarej sukni.

Widząc malujące się na twarzy Kory zdziwienie, powiedziała:

– Jestem babcią Clarissy. Obawiamy się zamachu.

– Proszę wejść – uzupełnił niski, z lekką chrypką, głos z bocznych drzwi.

Kora weszła. W pokoju czekała na nią Clarissa. Przyczyna wszystkich nieszczęść księcia Gustawa.

– Proszę wejść i usiąść, agentko Orwat – powiedziała gospodyni. – Im krócej będziemy rozmawiały, tym lepiej dla nas obu. Powiedziano mi, że jest pani gotowa kupić informacje.

Kora mogła teraz przyjrzeć się rozmówczyni, mimo że story w oknie były opuszczone, a lampa pod sufitem uwiła gniazdko w małym jedwabnym abażurze.

Clarissa wyglądała jak urodzona królowa – nie z powodu pochodzenia, rangi czy tytułu – ale z powodu postawy, figury, głosu, profilu, całego zestawu tych czasem nieuchwytnych elementów twarzy, figury, które z kobiety czynią cesarzową, nawet jeśli urodziła się ona na śmietniku. Ale nie wiercie temu, że cesarzowe rodzą się na śmietnikach, to się zdarza tak rzadko, że potwierdza tylko przeciwieństwo reguły.

W tym momencie Clarissa miała na sobie cerowany domowy szlafroczek i kapcie, co wcale nie psuło wspaniałego wrażenia ogólnego, pogłębionego jeszcze niewinnym spojrzeniem ufnych fiołkowych oczu spod dłu-u-ugich rzęs; wszystko to świadczyło o jednym i niewątpliwym: ta cesarzowa to bardzo droga i bardzo grzeszna zaraza.

Clarissa poprawiła swoje naturalne, wspaniałe i niemal nietknięte grzebieniem włosy.

Kora, nie ustępująca jej wzrostem, może i była silniejsza, może nawet szybsza i zgrabniejsza od Clarissy, ale poczuła nagle braki w swojej figurze – po prostu stanęły tu naprzeciwko siebie gracia owczarka, lwicy, dzikuski wobec gracji łani czy charcicy.

Uznawszy swoją względną porażkę, Kora przeszła do salonu, wypieszczonego jak kącik przy łóżeczku staruszki w przytułku. Przy oknie, zasłoniętym szczelną, chociaż nieco wytartą zasłoną, stało niewielkie biurczko z zeszytami i podręcznikami – nie wiadomo dlaczego, właśnie ono zwróciło uwagę Kory.

Clarissa przechwyciła to spojrzenie i zauważyła:

– Zdecydowałam, że kiedy moja pozycja się polepszy, to pójdę na uniwersytet. Ale, szczerze mówiąc – uśmiechnęła się lekko, chyba po to, by pokazać perłowe ząbki – źle uczyłam się w szkole, traktowałam ją lekkomyślnie. Muszę więc teraz nadrabiać, doganiać i doganiać... Dziś, na przykład, pomyślałam z rana, że nie pamiętam, gdzie i kiedy miała miejsce bitwa za czasów Aquenzuara?

– I?

Clarissa uśmiechnęła się przebiegle.

– Męczyło mnie to aż do śniadania, przejrzałam wszystkie podręczniki i nawet encyklopedię. A pani nie wie?

– Proszę mi wybaczyć, ale kiepsko znam historię waszej planety.

– Oczywiście, to, co koniecznie musi wiedzieć każdy nasz patriota, dla was, mieszkańców

Centrum Galaktycznego – krzątająca myszy...

Kora skwitowała milczeniem jej słowa. Nie przychodziło jej do głowy nic, czym mogłaby pocieszyć tę ślicznotkę.

– I wie pani co? – nagle zawołała Clarissa głosem prymuski. – Przypomniałam sobie tę datę!

„Gdzie w niej rodzi się głos? – pomyślała Kora. – Pewnie gdzieś za pępkiem. Po drodze nabiera aksamitu i tej chropowatej dźwięczności.” Ta myśl pomogła jej pokonać hipnotyczne oddziaływanie Clarissy.

– Proszę się podzielić ze mną tym odkryciem – poprosiła Kora.

– Okazuje się, że Aquenzuar był przywódcą wojujących mnichów, którzy wygrzebali pieczarę Skąpych Łez, a bitwa miała miejsce za Kenzuara. Wyobraża sobie pani, jaka jestem głupia?

Mówiąc to, nie uśmiechała się. Wskazała Korze niską kuszetkę, a sama usiadła na chwiejnym krześle. Między nimi sterczał róg biurka.

Clarissa postukała w biurko długim wypielęgnowanym paznokciem.

– Gdyby nie babcia, miałabym zniszczone dłonie – oświadczyła nagle. – Tyle jest prania i zmywania naczyń!

– Ile jestem pani winna za informację?

– Moja sytuacja finansowa nie jest szczególnie dobra – oficjalnym tonem poinformowała ją ślicznotka. – Stałam się igraszka w brudnej grze politycznej.

– Obiecano pani za to zapłacić?

– Proszę nie opowiadać głupot. Z takimi ludźmi nie gra się na pieniądze. W przeciwnym przypadku tracą do człowieka szacunek, a wtedy nie zyska nic. Liczyłam na małżeństwo z Gustawem.

– Obiecał się z panią ożenić?

– Przysiągł mi miłość. Byłam na tyle naiwna i ufna, że oddałam mu wszystkie pieniądze na zakup podręczników do fizyki.

W starych romansach pisało się w takich przypadkach, że oczy heroiny zamgliły się łzami. Kora zobaczyła właśnie to zjawisko – oczy Clarissy zamgliły się. Z fiołkowych stały się jakby szare, bez dna, i nieprzejrzyste jak opale.

– Czyżby nie miał swoich pieniędzy na książki?

– A skąd niby ma mieć pieniądze? – niedbale machnęła ręką ślicznotka. – Jeśli jakieś ma, to te, co mu ciocia Ragoza dawała na cukierki.

Oczy Clarissy nieoczekiwanie zmieniły barwę i stały się zielone. To było coś, nawet jak na tak piękną kobietę.

– Kłamie pani? – zapytała Kora.

– Zazwyczaj o kłamstwa oskarżają mnie porzuceni kochankowie.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Bo nie chciałam odpowiedzieć. – Clarissa roześmiała się niskim, dźwięcznym głosem greckiej bogini.

Babcia brzęczała filiżankami w kuchni, za cienką ścianką.

– Rozumiem więc, że oddała pani wszystkie swoje skromne oszczędności na zakup podręczników do fizyki... Proszę mi wybaczyć, zaraz się rozplączę...

– Proszę bardzo, w tym miejscu niejeden już szlochał – odparła Clarissa.

– Ale potem okazało się, że nie jest pani godzien.

– Oczywiście, że nie jest godzien. Poleciał na Ziemię i nie zabrał mnie ze sobą, chociaż tak

chciałam dostać się na uniwersytet! – Clarissa pieszczotliwym gestem pogłaskała zeszyt, leżący na brzegu biurka.

– Rozumiem, że to on jest winien waszego zerwania?

– To nie jest takie proste. – Clarissa przywróciła swym oczom barwę fiołkową. – Musiałam odbyć nieprzyjemną rozmowę z madame Ragozą. Stara miotła uprzedziła mnie, że nie przeżyję nawet dnia po ślubie z Gustawem. Wyobraża pani sobie mój stan? Dziewczyna, dopiero co po szkole, zupełnie niewinna, rozdygotana z powodu pierwszej miłości, dopiero co po utracie dziewictwa – i nagle słyszy takie coś od kobiety, w której widziała swe oparcie i przyszłą matkę, zamiast tej alkoholiczki, która porzuciła mnie w sierocińcu!

– Czy tak to właśnie sformułowała – że nie przeżyje pani dnia?

– U nas nic nie mówi się dosłownie. – Clarissa odrzuciła z czoła krnąbrny lok. – Madame Ragoza zapytała mnie, jaki mam stosunek do wywaru z larwowych orzeszków. O koszmarze, pomyślałam sobie. To mój koniec!

– Dlaczego?

– Dlatego, że to straszliwa trucizna, na którą nie ma ratunku. Połowa mordów z naszej historii to wynik działania tej trucizny. Najpierw ofiara traci włosy, potem zęby, wreszcie miękną jej kości... I żaden lekarz niczego nie wykryje, nie udowodni, ponieważ człowiek przy tym ciągle jest całkowicie zdrowy. I tak właśnie umiera – całkowicie zdrowy.

– Uwierzyła jej pani?

– Kto by mnie obronił? Nie należę do żadnego klanu, nie mam nawet starszego brata.

– A księżę Gustaw?

– Przecież mnie rzucił! Wymienił mnie na swoje egoistyczne zainteresowania. Och, jak ja go nienawidzę!

Kora nie wiadomo dlaczego uznała, że zaraz oczy Clarissy zapłoną żółtym płomieniem. Ale nic takiego się nie stało. Ślicznotka po prostu patrzyła na Korę swymi fiołkowymi oczami i tylko jej paznokcie wystukiwały jakiś nerwowy rytm na blacie biurka.

– W trakcie jego nieobecności znalazła pani sobie innego wielbiciela?

– Och, widzę, że już mnie opłotkowano, oczerniono! – westchnęła Clarissa. – Niczego innego nie oczekiwałam. Wie pani, na czym polega moje nieszczęście?

– Na czym?

Spojrzenie Clarissy zagłębiało w głąb duszy i błagało o litość.

– Na mojej urodzie. Wszyscy mężczyźni planety pragną, bym należała do nich. A ja pragnę domu, rodziny, dzieci, uczelni, cichego rodzinnego szczęścia. Rozumie mnie pani?

– Staram się zrozumieć. Ale nie jest to łatwe.

– Bo ja też nie jestem tak prosta, jak się niektórym wydaje. Powszechny jest, nie wiadomo dlaczego, pogląd, że umysł i uroda nie mogą współgrać. Jak geniusz i zbrodnia. A ja powiadam tak: mogą istnieć obok siebie, geniusz, zbrodnia, rozum i uroda!

– Spośród wszystkich wielbicieli wybrała pani księcia Clarence’a?

– Nie miałam wyboru. Uważałam za swój moralny obowiązek doczekać powrotu niewiernego Gustawa, a Clarence mógł mnie obronić. Nic więcej.

– I co się stało?

– Gustaw znowu mnie zdradził. Tak na niego czekałam, a on mnie oszukał! Na pierwszym balu. Może pani sobie wyobrazić, że nie zgodził się pojedynkować z mojego powodu? Jaka podłość, jakie

okrucieństwo? Okazało się, że droższe mu jest jego własne nikczemne życie niż moje szczęście!

Babcia wniosła tacę z dwoma filiżankami herbaty i ubogą garstką herbatników na talerzyku z wyszczerbioną krawędzią. Clarissa chciała, by Kora uświadomiła sobie stopień jej ubóstwa. Babcia postawiła tacę na stole.

– Czyżby księżę Clarence wcale pani nie pomagał? – zapytała Kora, wzrokiem szacując pokój z wytartymi zasłonami, skrzypiącymi meblami i starannie zacerowanym kilimkiem, przedstawiającym staw z łabędziami.

– Gdybym się poniżyła do przyjmowania prezentów od mężczyzn, przestałabym siebie samą szanować – twardo oświadczyła Clarissa.

– Lepsze jest szlachetne ubóstwo, niż sprzedajne bogactwo!

Babcia, ciągle jeszcze stojąca obok biurka, zaczęła klaskać. Babcia miała dłonie młodej kobiety.

– Właśnie dlatego – kontynuowała Clarissa, opuściwszy wzrok. Cień jej długich rzęs legł na policzkach, jak pręty więziennej kraty.

– Właśnie dlatego zgodziłam się przyjąć panią i sprzedać dane... O ile te dane nie dotyczą strategicznych interesów mojej ojczyzny.

– Brawo! – krzyknęła nikłym szeptem babcia. Kora popatrzyła na swoją filiżankę. Para, unosząca się nad nią, była odrobinę ciemniejsza od pary nad filiżanką Clarissy. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach migdałów i jeszcze jakiś inny, ale bardzo niebezpieczny zapach. Cóż, mieszkanko Clarissy to całkiem dobre miejsce na to, by spełniły się przepowiednie wyroczeni. A jeśli ciało Kory zniknęłoby potem, to InterGpol miałby problemy z udowodnieniem, że ktoś jest winien jej śmierci. Clarissa przechwyciła spojrzenie gościa.

– Nie smakuje pani herbata? – zapytała. – Proszę spróbować. Na pewno pani posmakuje.

– A dlaczego babcia nie wypije z nami? – zapytała Kora. – Przecież też lubi herbatę.

– Ja już piłam – pisnęła babcia. – W kuchni.

– Nalegam – powiedziała wolno i wyraźnie Kora – by babcia upiła z mojej filiżanki.

– Myśli pani, że chcę ją otruć? – zdziwiła się Clarissa. – Och, jakie to podłe!

Kątem oka Kora widziała, że babcia przesuwa się w kierunku drzwi.

– Jeśli babcia nie chce herbaty – powiedziała – to możemy się zamienić filiżankami, szanowna Clarisso.

– Z przyjemnością – odpowiedziała piękność bez zmrużenia oka. Sięgnęła szczupłutką, ozdobioną złotymi bransoletami ręką, chwyciła filiżankę i powąchawszy ją, rzuciła: – Co za świństwo!

Po czym błyskawicznym i precyzyjnym ruchem wyrzuciła filiżankę przez otwarte okno.

Dał się słyszeć stłumiony brzęk, filiżanka stłukła się po zderzeniu z jezdnią. W tej samej chwili, jakby podporządkowując się poleceniu wyrażonemu tym dźwiękiem, babcia wyskoczyła na główkę przez to samo okno. Kora zdołała tylko zobaczyć czarne spodnie, ukryte pod długą czarną spódnicą.

– Ot i wszystko – powiedziała Clarissa. – Teraz możemy spokojnie dokończyć rozmowy. Zgadza się pani?

Takiego przeciwnika jeszcze Kora nie spotkała.

– Zgoda – powiedziała, starając się nie uśmiechać, by dramatycznej sceny nie zmienić w kabaretową scenkę rodem z „czarnego humoru”.

– No to proszę pytać, a ja będę podawała cenę... o ile znam na pytanie odpowiedź – zaproponowała Clarissa.

Przez otwarte okno usłyszały słaby jęk. Potem ktoś niewyraźnie zaklął... Dziewczęta zamilkły.

Usłyszały, jak ktoś pokuśtykał, wzdychając i pojękując przy tym przy każdym kroku.

– Kim była ta „babunia”? – zapytała Kora.

Clarissa przymknęła oczy, zastanawiała się chwilę, otworzyła oczy i powiedziała z pasją, która miała świadczyć o tym, że myśli o pieniądzach są jej wstrętne:

– Dziesięć złotych monet.

Kora odliczyły kwotę i położyła trzos z pieniędzmi na stole, obok prawej ręki.

– To był ten, kto nie znosi, kiedy jego przepowiednie się nie spełniają. Jest gotów na wiele, żeby udowodnić światu swoją nieomyślność.

– Czyżby to sam mister Oliver Judgeson, Budda Wiecznego Życia skakał przez to okno?

Clarissa roześmiała się szczerze. Wyśmiawszy się, powiedziała:

– W miarę możliwości unikajmy nazwisk, dobrze?

– Dobrze.

– Pani następne pytanie?

– Interesuje mnie, kto chce zabić księcia Gustawa.

– To zbyt skomplikowane. W tej sprawie zderzają się interesy różnych ugrupowań – odpowiedziała Clarissa. – Nie mogę podać pani pełnych i niezawodnych danych. – Westchnęła, po wypowiedzeniu tak trudnej kwestii. Wyglądało, że jest z siebie zadowolona.

– A w przybliżeniu?

– To będzie kosztowało... Czterdzieści monet, nie będzie za drogo?

Kora otworzyła woreczek i zaczęła odliczać złote monety. Clarissa poruszała precyzyjnie pomalowanymi wargami, jakby pomagając Korze liczyć.

Następnie Clarissa przysunęła stosik monet do siebie i powiedziała:

– W przybliżeniu – madame Ragoza.

Kora uniosła brwi, udając, że jest zdziwiona. Tę wersję przekazał jej już Michel.

Clarissa niewłaściwie zinterpretowała ruch brwi Kory, jako oznakę niedowierzania.

– Proszę się nie dziwić! – zawołała, starając się uczciwie zapracować na swoje monety. – Niech pani sobie wyobrazi sytuację madame Ragozy! Przywódcy klanów nie są zadowoleni z tego księcia. Komu są potrzebni reformatorzy z podręcznikami fizyki w zębach? Dobra, myśleli, że mu przejdzie, że wszystko się ułoży. Nie, nie układa się. Więcej nawet powiem – gdyby nie ten pojedynek, Gustawowi i tak by coś podrzucono. Jakiś wypadek samochodowy, lawinę, powódź... Mało to sposobów na załatwienie następcy tronu? Sądzę, że jego wrogowie dawno już przeciągnęli madame Ragozę na swoją stronę. Nie tyle ważne jest, kto siedzi na tronie, co żeby ktoś na nim siedział. Rozumie pani?

– Rozumiem – zgodziła się Kora.

– Najpierw wymyślili więc, że zginie podczas pojedynku.

– Pojedynek był zmanipulowany?

– Kto się tego nie domyślił do tej chwili, ten nie ma czego szukać w polityce! – oświadczyła Clarissa tonem młodej cesarzowej. Nie ulegało wątpliwości, że młoda ślicznotka dla siebie zarezerwowała w polityce znaczącą rolę.

– A pani wtedy...

– Ja jestem ofiarą! Klasyczna owca na ołtarzu!

– Dziękuję, rozumiem.

– Proszę sobie oszczędzić tych uśmieszków, Koro – wytknęła jej minę cesarzowa. – Bez tych

kpinek w oku. Życie jest okrutną zabawą.

– Czy to oznacza, że Gustaw wszystkich wykiwał?

– Och, proszę sobie nie wyobrażać, że księżę jest taki sprytny! Stchórzył i chciał zyskać na czasie, ponieważ Clarence zrobiłby z niego kotlet. Ale jeśli uda mu się wrócić z VR rajdu, to wtedy wszystkim skomplikuje życie. Jeśli pojedynek się odbędzie i Gustaw zostanie zabity – to, mimo że mieści się to w ramach starych tradycji, to jednak pozostanie smród. Wiele osób zrozumie, że tym sposobem pozbyto się prawowitego władcy, a klan go nie obronił... Nie, madame Ragozie ten odłożony pojedynek stoi kością w gardle. Jeśli kiedyś zgodziła się na ten plan, to teraz przeklina ów dzień i godzinę. Ale gdyby Gustaw zniknął bez śladu w odmętach wycieczki w VR, to nikt na Ragozie nie będzie winien. I nie będzie afery. Nawet lepiej – klan Ragoza będzie mógł wysunąć nowego kandydata, na przykład księcia Biskera... Inne wielkie klany też się na to zgodzą, każdy lepszy od Gustawa. Zresztą, poza mną, wszyscy będą się cieszyli ze śmierci księcia.

– Dlaczego pani jest wyjątkiem? – zdziwiła się Kora.

– Bo on jest moją pierwszą nieszczęśliwą miłością – przyznała Clarissa. Sama już w to uwierzyła. – Dręczył mnie, a kobiety nie zapominają o cierpieniu.

– Gustaw nie może zrezygnować z pojedynku? Odwołać go? – Tylko nie to! Po takim oświadczeniu zbierze się sąd honorowy.

Gdyby dotarł do tronu i zakazał pojedynków, będąc już monarchą, to musieliby przełknąć tę pigułę. Och, jak ja nimi wszystkimi gardzę! Nadęte indory, z mocy urodzenia, widzicie ich, powołani do obżerania się homarami i ostrygami. Tymczasem prosty lud...

– Clarisso!

– Od dwudziestu trzech lat tak mnie wołają! Są jeszcze jakieś pytania?

– Mówisz, że Ragoza przybiegła do interGpolu z żądaniem ratowania bratanka...

– Żeby nikt potem nie wskazał jej palcem i nie powiedział, że jest organizatorem i pomysłodawcą tego mordu. Płaci mi pani, moja złota, piątkę za dodatkowe informacje.

– To nie była informacja, a rozmyślanie.

– Koro, masz jeszcze w mieszkaniu ze dwie setki, a może i więcej. I żałujesz mizernej piątki dla biednej dziewczyny?

Kora w milczeniu odliczyła trzy monety. Clarissa zapytała:

– Może zaparzę kawę? Nie obawiaj się, nie mam własnej trucizny.

– Obejdziemy się bez kawy. Wkrótce odjeżdżam. Powiedz mi jeszcze, kto opowiedział augurowi o spisku przeciwko Gustawowi?

– Dziesięć monet. Z góry. Kora odliczyła pieniądze.

– Każdy dzieciak wie, że Gustaw jest na celowniku.

– Nie odpowiedziałas na pytanie. Dzieciaki wiedzą o tym dziś. Ale kiedy wszystko było planowane, dzieciaki nie były do spisku dopuszczane.

– Jestem niemal pewna, że madame Ragoza dobrze zapłaciła prekognicie, żeby ten dokonał takiej przepowiedni. To jakby sam los ustami wyroczni ogłasza wyrok. Ładne, prawda?

– To znaczy – zapytała Kora – że pani przyjaciel augur jest osobą zainteresowaną.

– Dlaczego?

– Nie znosi, kiedy jego przepowiednie się nie spełniają. To jego motto firmowe: „Wszystkie moje przepowiednie się spełniają!”. Mnie już też nienawidzi, bo mu psuję statystykę.

– Po pierwsze – oficjalnym tonem oświadczyła Clarissa – to nie jest mój przyjaciel. On jest po

prostu bardzo namolny i potrafi wykorzystać moje ubóstwo. A tak w ogóle to potrafi tylko powarkiwac gdzieś z kąta czy dosypać człowiekowi do herbaty angielskiej soli.

– To się teraz nazywa angielską solą?

– Proszę sprawdzić tam pod oknem.

– Zuch – pochwaliła Clarissę Kora. – Pani wie, że nasza rozmowa jest nagrywana.

– Byłabyś kretynką, gdybyś nie nagrywała. Twój przełożeni zabiliby cię za takie niedbalstwo.

– Ty i augur mieliście nadzieję, że po wszystkim zabierzecie sobie nagranie. Ale teraz chcesz zostawić potomności coś w stylu zapewnienia o swojej niewinności. Być może to był tylko taki żarcik?

– Tak, chcieliśmy po prostu zażartować – posłusznie potwierdziła Clarissa.

– Ostatnie pytanie – powiedziała Kora – i już sobie idę.

– Szkoda – westchnęła piękność. – W mieszkaniu jest jeszcze tyle miejsca na ładne rzeczy!

– Jaka jest w tym rola twojego przyjaciela Clarence'a?

– Nie chce mi się powtarzać, że ten człowiek nie jest moim przyjacielem. I tak pani mi nie uwierzy. Ale naprawdę – obraził mnie, ponieważ pożąda tylko mojego pięknego ciała, a kompletnie nie interesuje go moja dusza, wyobraża sobie pani?

– Nie, nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić. Więc uczestniczy w spisku?

– Dziesięć złotych.

– Masz.

– Albo – jeszcze lepiej – piętnaście, – Nie.

– No dobrze, dobrze! Chociaż nie jest miłe widzieć tak młodą osobę do takiego stopnia ogarniętą wirusem skąpstwa.

– To są pieniądze do rozliczenia.

– Żartuję.

– No to co z tym Clarence'em?

– Jest zbyt głupi, żeby uczestniczyć w spiskach. Nikt go nie wciągnie.

– A dałby się skusić?

– Nie znosi okularników i prymusów. A przede wszystkim Gustawa.

– Dziękuję – powiedziała Kora. – Było mi przyjemnie panią poznać. Muszę przyznać, że jeszcze nie widziałam w życiu tak pięknej kobiety.

– Jest mi szczególnie miło usłyszeć to z pani ust, ponieważ mam powody, by wierzyć w pani obiektywizm – odparła mile połechtana Clarissa. – Pozwoli pani, że odprowadzę ją na strych?

– Po co?

– Chciałabym, żeby miała pani choć minimalną szansę na przeżycie.

Weszły na drugie piętro. Małe drzwiczki prowadziły na strych zagracony starymi meblami i skrzyniami.

– Strasznie nie lubię niczego wyrzucać – przyznała się Clarissa. – Pewnie z wiekiem wyjdzie ze mnie skąpiradło.

W mroku widać było tylko białka oczu i zęby Clarissy. Światło nocnego miejskiego nieba przenikało przez półokrągłe okienko.

Okienko zaskrzypiało, jęknęło tak, że dźwięk ten było słycać w promieniu trzech kwartałów. Odczekały kilka sekund. Kora znalazła w ciemnościach chłodne palce Clarissy i uścisnęła je.

Dach był wilgotny i śliski od rosy czy może niedawnego deszczu. Na sąsiednim dachu wydzierał

się kot, obłoki pędziły po niebie stadami, po kolei odsłaniając oba księżyce: różowy – większy i malutki – błękitny. Przy drabinie przeciwpożarowej czekał na Korę komitet powitalny, ale miała szczęście: zamachowcy byli tak przekonani o swoim sukcesie, że nie strzelali do niej, póki nie zeszła na ziemię. Może chcieli się zabawić? Tak więc, czując ich oddechy i widząc ich cienie, skoczyła po prostu z wysokości piętra, czym zaskoczyła morderców. Kora rzuciła się do ucieczki, z tyłu rozległy się strzały, ale spóźnione.

Na głównej ulicy oczekiwał ją samochód. Niski czarny, opancerzony. Zamykał wylot uliczki. Kora rozpędziła się i skoczyła szczupakiem, przeleciawszy nad dachem wozu, przeturlała się i skoczyła do bramy.

Nie dawała napastnikom szansy dokładnego wycelowania do siebie, ale strzelających było tak wielu, że ktoś w końcu musiał do niej trafić. Za skrzydłem bramy odkryła przechodnie podwórko, tam zgubiła – na dwie czy trzy sekundy – prześladowców.

Przy następnej bramie, wylotowej, stał mikrobus. Drzwiczki od jej strony były otwarte, Kora z rozbiegu wskoczyła do wnętrza, wóz ruszył do przodu, od razu nabierając zabronionej prędkości.

Kora zapytała Michela:

– Jak mnie znaleźliście?

– Tak nam wyszło, że jeśli będzie pani uciekała od Clarissy, to na pewno tym podwórkiem – wyjaśniła Weronika. – Chodziłam do szkoły w tej okolicy, zawsze uciekaliśmy z lekcji do kina tymi podwórkami.

Kora nie zadawała więcej pytań. W duchu ciągle pytała siebie: czy zabójcy znaleźli się pod drabiną przeciwpożarową dlatego, że Clarissa podsunęła im drogę ewakuacji po dachu? I inaczej – czy Michel i Weronika znaleźli się w tej bramie naprawdę dlatego, że Clarissa i Weronika uciekały tędy z lekcji?

Do Kosmoportu dojechali bez przeszkód. Tam wraz z Michelelem przeszła służbowym przejściem do pojazdu odbywającego lokalny lot. Za pół godziny miał dotrzeć do sąsiedniego systemu planetarnego. Nie było sensu czekać na inny tego typu lot – radio podało, że rozpoczęto poszukiwania Ziemiarki Kory Orwat, która w ataku szaleństwa usiłowała zabić i ograbić eks-miss Ragozy, Clarissę K.

– Jak mi powiedział pewien agent Kosmofloty, mój niespełniony zgon to pierwsza nieudana przepowiednia wyroczni od kilku lat – powiedziała Kora, składając Milodarowi raport z krótkiej delegacji do królestwa Ragozy.

Komisarz słuchał Kory niezbyt uważnie – jakaś część jego umysłu zajęta była myślami o narzeczonych-pływaczkach i o tym zamierzał porozmawiać z Korą, gdy tylko ta skończy rozliczenie wyprawy. Znajdował się o trzy tysiące kilometrów od moskiewskiej bazy InterGpolu, w pensjonacie „Uzkoje”, gdzie w gabinecie masażu Kora dochodziła do siebie po ryzykownych przygodach na Ragozie. Z tego powodu hologram komisarza czasem drżał albo nawet rozdwajał się. Najprawdopodobniej komisarz znowu ukrył się w basenie do pływania synchronicznego w Taganrogu. A łącze z Taganrogiem zawsze było kiepskiej jakości.

Tym niemniej nie przegapił najważniejszych elementów meldunku Kory.

– Czyli – powiedział, wysłuchawszy opowieści – nie wykonałaś zadania. Jak zwykle.

– Nie wykonałam – zgodziła się Kora. – Jak zwykle.

Masażystka Tatiana, kobieta o gołębiim sercu i mięśniach sztangisty, odwróciła Korę na plecy, przymierzając się do przeliczenia jej żeber od frontu. W tym momencie zobaczyła na boku pacjentki siniak tak wielki i tak intensywnej barwy, że nie wytrzymała i zakrzyknęła:

– Rety, ludziska!

Okrzyk zdradzał plebejskie pochodzenie Tatiany: urodziła się pod Nikołajewem, i choć życie i praca rzuciły ją z jednego końca Układu Słonecznego w drugi, a nawet poza jego granice, to każde lato spędzała w rodzinnej wsi, gdzie jej mąż łowił byczki w zatoce, a wszystkie trzy córki doprowadzały do szału miejscowych kawalerów.

Milodar drgnął i chwycił za blaster, ale natychmiast przypomniał sobie, że nic mu nie zagraża, więc przyjrzał się Korze. Nie można powiedzieć, by jakoś szczególnie było mu jej żal – komisarz Milodar miał serce z kamienia. Gdyby musiał litować się nad każdym agentem, to nie miałby kiedy pracować i mocować się z wrogami Związku Galaktycznego. Ale zdziwienie okazał.

– Czym tak oberwałaś? – zapytał. – Psychem?

– Słowo honoru, nie pamiętam – przyznała się Kora. – Zdążyłam kilka razy znaleźć się w opałach. To jest chyba ślad po ostatniej przygodzie. Otoczył mnie pluton snajperów, a ja, jak na złość, musiałam schodzić po drabinie przeciwpożarowej.

– Wracamy do sprawy – powiedział komisarz, zerknąwszy na zegarek. Trening jego narzeczonych miał się ku końcowi, a on zamierzał odprowadzić je do hotelu, żeby nie miały okazji do poznania kogoś z przyjezdnych tureckich sportowców. – Zapewniasz mnie, że augura powiadomiła o zamachu madame Ragoza, a ja ci powiadam, że zostałaś otumaniona i oszukana. Madame Ragoza sprawia na mnie bardzo, ale to bardzo pozytywne wrażenie.

– Mimo wszystko uważam – powiedziała Kora – że Clarissa ma rację: prekognita wiedział o tym zamachu od madame Ragozy, po czym tę plotkę przekształcił w fakt z życia. Ten człowiek jest straszliwie rozpieszczony, egoistyczny aż do bólu, pyszny, ale wystarczająco przy tym mądry, by

starannie obserwować sytuację w państwie. Zabójstwo Gustawa, historia z tym jego nieszczęsnym pojedynkiem i VR rajdem dla takiego augura to żyła złota. Nie mógł więc stać z boku.

Tatiana delikatnie i jednocześnie zdecydowanie masowała bok Kory; ta odczuwała ból, ale nie okazywała tego – Tania miała język ostry jak żądło i nawet najtwardsi z agentów starali się nie okazywać słabości w jej łapach.

– To się sprowadza do tego, co powiedziałem – nie wykonałaś zadania – powtórzył Milodar.

– Gdyby pan naprawdę myślał, że to wszystko jest trywialne i banalne, że przylecę na Ragozę, a tam od razu podadzą mi na tacy fakty i domysły na deser na złotym spodeczku, to nie zaczęlibyśmy działania od wyprawy na łuznikowski Wembley – rzuciła Kora.

Tatiana gwałtownie odwróciła ją na brzuch, żeby zająć się wybroszyną na biodrze. Z szafy, na jej znak, wyskoczył mały wieloręki robocik i zajął się powierzchownymi ranami Kory.

– Sam bym chciał znaleźć się w wirtualnej rzeczywistości – powiedział Milodar. – To ciekawe i pouczające. Dla ciebie również.

– Proszę nie udawać, komisarzu – odparła na to Kora. – Dla mojej przyjemności, to pan by nawet palcem nie kiwnął. Szczególnie, będąc zakochanym w synchronicznych pływakach.

– To widać?

– To widzi cała Ziemia – odpowiedziała Tatiana. – Lepiej, żeby się pan wreszcie ożenił.

– Ale z którą z nich?

– Czy tak gada chłop? – zapytała Tatiana robota.

Ale ten nie umiał mówić. Może właśnie dlatego do niego skierowała to pytanie.

– No dobrze! – machnął ręką na babskie gadanie komisarz. – Od samego początku wiedziałem, że sprawa nie jest prosta, szczególnie że wzięło ją pod lupę Centrum Galaktyczne. Madame Ragoza też mnie niepokoi... Powtórz, co powiedziała Clarissa o jej ewentualnej roli w spisku przeciwko Gustawowi?

– Taśma z zapisem została wysłana do pana i najpewniej leży w prawej górnej kieszeni marynarki – spokojnie powiedziała Kora.

– Lepiej od ciebie wiem, co i gdzie leży... – komisarz umilkł i zrobił krok przed siebie. To znaczy – jego hologram zrobił krok przed siebie. – Koro – zapytał nagle zaniepokojonym głosem. – Odpowiedz mi, tylko szczerze – co to za czerwona wysypka na twoim prawym pośladku?

Kora nie była w stanie udzielić odpowiedzi, ponieważ w ostatnich dniach mało zajmowała się tym fragmentem swego ciała. Odpowiedziała za nią Tatiana:

– To ślad po odłamkach pocisku wybuchowego, już w końcowym momencie lotu – poinformowała komisarza. – A tak naprawdę, to nie chłopska sprawa przyglądać się dziewczęcemu tyłkowi. Jak się ubierze, to i obaczycie.

– Tatiano Pietrowna, jesteśmy – przypominam – na służbie – oficjalnym tonem powiedział Milodar.

Był wyraźnie rozczarowany, że jego mała zemsta nie udała się.

– Clarissa uważa, że madame Ragoza jest najbardziej ze wszystkich ludzi zainteresowana śmiercią bratanka. Ona potrzebuje nie zhańbionego krewnego, po co jej zabity w pojedynku książę? Musi zachować władzę swojego klanu. Gotowa jest poświęcić dla tego celu wszystko.

– Paradoksalne, ale przekonujące – zgodził się Milodar. – Kogo jeszcze mamy na liście podejrzanych?

– Oczywiście Clarence’a. On chce tronu i ma nań szansę po pojedynku. Ale jeszcze większe, jeśli

Gustaw zaginie bez wieści w odmętach wirtualnej rzeczywistości. Na dodatek nie cierpi Gustawa. Zresztą, akurat Clarence'a nie udało mi się zobaczyć.

– Jeszcze jeden błąd! – natychmiast odezwał się komisarz.

– Miałaś do dyspozycji dobę. W takim czasie Napoleon zdobył Bastylię.

Wiedza historyczna komisarza pozostawiała wiele do życzenia, ale pasja, z jaką przytaczał „fakty historyczne”, nie miała granic.

– Kto to taki, ta Bastylia? – zapytała okrutna Tatiana.

– Jego pierwsza żona – krótko rzucił Milodar. – Kogo jeszcze podejrzewamy?

– Mam listę tych, co do których wiemy, że mają wyraźne podstawy, by żywić wrogie zamiary względem Gustawa. Poza nimi jest pewnie jeszcze wielu takich, którzy życzą mu śmierci, ale nas o tych życzeniach nie powiadomili. Obawiam się, że do tego grona należy zaliczyć również śliczną Clarisę.

– Odrzucamy tylko życzliwych – powiedział Milodar. – Musimy mieć tylko tych, którzy coś na tym zyskają.

– A Bastylia śmierć Napoleona nic nie dała? – zapytała Tatiana.

– Tatiano Pietrowna, proszę się nie wtrącać do rzeczowej rozmowy! – ryknął Milodar. – Co ma do tego śmierć Napoleona?

– A czy ona go nie otruła? – zapytała Tatiana. Kora usiłowała, nie zwracając na siebie uwagi, uszczypnąć rozochoconą masażystkę, ale palce ześlizgiwały się jej z biodra twardego jak marmur.

– To nie była jego ostatnia żona! – krzyknął Milodar.

– Oj, wybaczta, wuju – opamiętała się Tatiana. – Żem zapomniała, że on zmarł na Helenie.

– Właśnie! – podsumował komisarz. – I pamiętaj, że mam moralne prawo nie znać szczegółów z życia starożytnego wodza. Minęło czterysta lat od czasu, kiedy wziął Moskwę.

– Trzysta – skorygowała go Kora.

Milodar pomilczał chwilę, potem zerknął na zegarek.

– Dobrze – powiedział. – Jako dialektycy rozumiemy, że nawet niepowodzenie ma swoje dobre strony. Mimo wszystko – byłaś w ich gnieździe, popatrzyłaś na nich, poznałaś kilku, zapamiętałaś ich oblicza. Może się to przyda w dalszym śledztwie. Jutro masz wolne, odpoczywasz, wylegujesz się w centrum medycznym, potem ruszasz do starożytnej Grecji.

– A on już tam jest? – zapytała Kora, a nieprzemyślane pytanie wywołało wybuch sarkazmu jej szefa.

– A jak myślisz? – zapytał. – Gdyby jeszcze chadzał na wykłady, czy puścilibyśmy go na VR rajd? Oczywiście, że cała ta historia zaczęła się dlatego, że on już tam jest. Od dawna! Lada moment osiągnie pełnoletność i wyruszy na wędrowkę. Wtedy będą mu groziły niebezpieczeństwa i burze.

– Podniesie głaz i wyjmie sandały? – zapytała Kora.

– Widzę, że co nieco wychwyciłaś z lektur, które ci zaleciłem.

– A jak ja tam pojedę? – zapytała zmieszana Kora. – Kim będę?

– O tym dowiesz się jutro o siedemnastej zero-zero, kiedy to masz spotkanie z prezesem koncernu VR doktorem Hermesem-Połońskim. Szczegóły jutro. Odpoczywaj, kuruj się. Na mnie czas.

Komisarz zaczął wolno rozpląwać się w powietrzu. Kiedy zostało po nim tylko lekkie lśnienie, nagle odezwał się ponownie, tyle że głos jego brzmiał głucho i z oddali:

– Kiedy będziesz pisała kosztorys wyprawy, napisz oświadczenie, w którym prosisz, by koszt podarowanego koleżkom z Kosmofloty wozu został odliczony od twojej premii za rozwiązanie

sprawy zabójstwa Tezeusza.

– Komisarzu, przecież oni stracili samochód z naszego powodu! I tak bardzo mi pomogli!

– Nie zamierzam płacić z funduszu InterGpolu za niesłychane skąpstwo Kosmofloty. Nie zamierzam, i koniec!

I w tym momencie komisarz ostatecznie rozpułnął się w powietrzu, a Kora pozostała sama ze swoimi bolesnymi myślami i równie bolesnymi odczuciami. Tatiana i robot zabrali się do niej pospołu.

– A to chłopaczycho – z oburzeniem powiedziała Tatiana, mając na uwadze Milodara. – Wszędzie ma donosicieli i kablarzy. Aż myśleć hadko!

Prezes wszechpotężnego koncernu „Virtual Reality”, doktor Hermes-Połoński pochodził z Krymu. Prawdziwe jego kształty i wymiary kryła terakotowej barwy tunika. Na głowie miał starannie ufryzowaną i wypomadowaną czarną perukę, otoczoną wieńcem laurowym.

Przywitał Korę w obszernym gabinecie, naśladowującym atrium, wewnątrz starogreckiego domostwa, zamiast biurka zobaczyła marmurowy postument, na którym stał komputer, drukarka, faks i supergalafaksetta. Obok aparatury leżała długonoga dziewczyna w lekkiej tunice, osłaniającej tylko jedną pierś. Dziewoja miała gęsią skórkę i była nieco sinawa z zimna. Malutka poduszeczka pod łokciem nie chroniła przed lodowatym kontaktem z marmurem.

Prezes koncernu VR doktor Hermes-Połoński, uniósłszy pulchne, niemowlęce niemal łapki, pofrunął między kolumnami, zamierzając elegancko powitać gościa, ale nieszczęśliwie utknął między nimi.

Wyciągnął w końcu swój brzuch ze szczeliny, przez którą swobodnie przedarłby się hipopotam, i odnalazłszy obejście, dotarł do Kory.

– Ach, jakież to wspaniały gość nas odwiedził! – zaśpiewał doktor Hermes-Połoński. Pochylił się do ręki Kory, co nie wymagało w jego przypadku szczególnego wysiłku, ponieważ był niższy od Kory akurat o dwie głowy. – Marzyłem o tym spotkaniu. Kocham tylko wysokie kobiety.

Oczy miał doktor Hermes-Połoński malutkie, brązowe, płonęły w nich maleńkie złote iskierki. Kora pomyślała, że może ten pan nie jest prawdziwy, może jest tylko wirtualnym fenomenem, a oczy są receptorami.

– Jestem prawdziwy – odgadł jej myśli prezes koncernu VR. – Co rano budzę się przekonany, że zmienię w końcu swoją odpychającą powierzchowność – mogę to uczynić w każdej chwili! Ale powstrzymują mnie od tego wielbicielki.

– Nie! – wykrzyczała wyuczone przeczenie dziewczyna przy komputerze. Biedaczka zmarzła tak, że jej głos drżał. Ale krzyczała profesjonalnie, głośno i przekonująco: – Pozostań taki, jakim jesteś!

– Mam do pana prośbę – proszę trochę ogrzać to pomieszczenie. Pana asystentka zupełnie zamrznie – powiedziała Kora. – A potem proszę zająć się swoim wyglądem.

– Naprawdę? – zdziwił się doktor. – Anastazjo, czy to prawda?

– O nie, mój umiłowany idolu! – odparła sina dziewczyna.

– Ale ja marznę – powiedziała Kora.

– A mnie jest gorąco – replikował gospodarz. – Mnie jest ciągle gorąco.

– No to proszę przynajmniej coś podłożyć pod swoją wielbicielkę. Ma sińce na całym ciele. Leżał pan kiedyś na zimnym marmurze?

– Ach, co za gapa ze mnie! Co za gapa! – zmartwił się doktor Hermes-Połoński. – Co za niedopatrzenie! Rzeczywiście – siniaki... i tu siniec, i tu drugi...

– To przejdzie! Wcale mnie to nie boli! – sprzeciwiała się dziewczyna na marmurze.

– Odejdź, mój skarbie, jesteś zwolniona. Poszukamy kogoś bardziej gruboskórnego.

Doktor Hermes-Połoński wypchnął dziewczynę za drzwi, ta jęczała i przysięgała dozgonną miłość.

Kora przeklinała w duchu swój zwyczaj wtykania nosa w nie swoje sprawy.

– Tak więc – doktor Hermes-Połoński odwrócił się do Kory.

– A z ciebie zrobimy amazonkę. Którą pierś ci usuniemy, żeby wygodniej było strzelać?

– Prawą – posepnie mruknęła Kora. – Czy pan tylko udaje chama, czy jest nim naprawdę?

– Miałem trudne dzieciństwo – odparł doktor Hermes-Połoński.

– Uchylę przed tobą rąbka tajemnicy. Nie jestem doktorem, nie Hermesem i nie Połońskim. Ale jestem prezesem VR. To wystarczy! Więc tak, wchodzisz w rajd wirtualny w roli królowej amazoнок. To będzie kosztowało tyle co nic: noc ze mną.

Kora rozejrzała się zdumiona. Milodar spóźniał się, a ten maniak seksualny musiał być samozwańcem – prawdziwy by się tak nie zachowywał.

– Wzywamy chirurga do usunięcia piersi? – zapytał.

– Coś się panu pomyliło – powiedziała Kora. – Jestem agentką interGpolu.

– Nie znoszę tej instytucji. Wie pani dlaczego? Obawiam się, że prędzej czy później ichni komisarz dobierze się do mnie... Albo ja do niego. To żart, skarbie. Mam nadzieję, że ty też żartowałaś?

W tym momencie w kącie pomieszczenia cicho zmaterializował się komisarz Milodar. Widocznie usłyszał ostatnie słowa doktora Hermesa-Połońskiego.

– Na razie jeszcze nie dobierałem się do ciebie, ty stary oszuście!

– przywitał się czule komisarz. – Zabieraj łapy od mojej agentki, bo nie ręczę za całość twojej osoby.

– Ach, Milodarze! – Doktor Hermes-Połoński był ucieleśnieniem gościnności. – Tak się cieszę z tej wizyty. Czy widział już pan mój sad? Przyprawiono was od głównego wejścia, a ono jest mało reprezentacyjne.

Kora rzeczywiście wchodziła przez bramę nudnego szklanego wieżowca na rogu Nikolskiej i Borszczowa.

Prezes – ciągle rozpluwający się w ukłonach – przepuścił Korę przodem, w kolumnadę. Milodar wolno szedł za nią, omijając przedmioty, żeby nikt postronny nie zauważył, że jest hologramem.

Za domem znajdował się cudowny sad. Drzewka pomarańczowe kwitły, wyrównaną ziemię przykrywała warstwa płatków glicynii.

– Ostrożnie! – krzyknął prezes.

Kora obejrzała się i zobaczyła, że wali na nią olbrzymi dzik. Białe, z wysoką grzywą i ogromnymi kłami. Kora ledwo zdążyła uskoczyć, ale wpadła w kłujący krzew. Doktorowi Hermesowi poszło jeszcze gorzej. Dzik zaczepił kłami o jego chlamidę i szarpnął ją tak, że Hermes upadł i poturlał się po ziemi, a dzik, wystraszony nie mniej niż prezes VR, usiłował wyrwać się z tkaniny, darł ją kłami i ostrymi kopytami.

Kora rzuciła się na pomoc mecenasowi, ponieważ nie widziała w pobliżu nikogo z jego służących. Skoczyła na dzika tak, by obiema stopami uderzyć go w bok. Skok się udał. Zaskoczony i oszalały potwór upadł i natychmiast stracił swoją przewagę nad ludźmi. Kora zwała się na dzika, przycisnęła do ziemi jego łeb. Małe oko dzika patrzyło na Korę wściekle i tępo.

Hermes-Połoński, popiskując i pojękując, wypełzł spod dzika i resztek swojej chlamidy.

– Proszę się pośpieszyć, doktorze – wykrztusiła Kora. – Zaraz opuszczą mnie siły.

– Ach, wasza mać! – ryknął Hermes-Połoński, wyskakując w końcu z odzienia i ukazując światu czerwone gatki. – Gdzie są wszyscy? Pozwaliam was!

Wystraszywszy się, że groźba jest realna, że wszystkich drzwi posypali się rzeczowi i energiczni młodzieńcy i mężczyźni – od ciężko uzbrojonych hoplitów do sekretarzy w szarych garniturach i bordowych krawatach. Chwilę potem, rozepchnąwszy całe to towarzystwo, na łękę wypadł przerażający brodac z w skórzanym fartuchu, z ramionami metrowej chyba szerokości. Pierwszy dopadł dzika, co zresztą łatwo było wytłumaczyć, ponieważ reszta nie kwapiła się do kontaktu ze zwierzem. Brodac zręcznie zarzucił sobie zwierzę na ramię, łokciem odepchnął Korę i ciężko stąpając, pobiegł z nim w kierunku najbliższych drzwi.

– To nasz idiota treser – posepnie rzucił doktor, podnosząc się z ziemi. – Potrzebuje pani pomocy medycznej?

– Jeśli ma pan plaster, gazę i surowicę przeciwtężcową, to obejdę się bez pana medyków.

– Proszę zaprowadzić – rzucił Hermes-Połoński do jednego z sekretarzy. – Ja idę się przebrać.

– Idę z tobą – zaproponował Korze Milodar, niewidoczny w czasie ostatnich kilku minut.

– Tylko nie to!

Kora wiedziała, że komisarz nigdy do końca nie jest przekonany, gdzie jest sam, a gdzie jego hologram, dlatego nie wtrącał się do potyczki z dzikiem.

Przypatrując się sobie w lustrze, Kora pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu w tak krótkim czasie nie nabawiła się tylu powierzchownych, ale bolesnych i brudnych ran. Dobrze by było, by ten trend ustał.

Niestety – sukienka była zabrudzona i pomięta, ale kiedy już miała zadzwonić do miejscowych zaopatrzeniowców, drzwi do łazienki uchyliły się i pojawiła się w szczelinie kobieca ręka. Ręka trzymała wieszak, a nim wisiała niezła paryska sukienka, akurat w rozmiarze Kory. To pogodziło ją z rzeczywistością. Albowiem nie raz już w życiu spotkała się z takim obrzydliwym momentem, kiedy właśnie potrzebnego rozmiaru nie ma w sprzedaży. Jakaś liliputka, metr dwadzieścia w peruce – proszę bardzo, ma wszystko, a ty, człowieku, możesz sobie chodzić w prześcieradle!

Kiedy Kora znowu pojawiła się w ogrodzie i rozejrzała po otoczeniu, to odkryła, że część roślinności już zniknęła, a do atrium prowadzi wyłożona marmurem ścieżka, której dziesięć minut temu tu nie było.

Za kolumnadą znalazła przytulny i przestronny jednocześnie gabinet prezesa VR. Sam doktor Hermes-Połoński wstał na jej widok zza wielkiego, wyłożonego zielonym sukniem stołu. Jego starszawa sekretarka, siedząca na prawo od drzwi przy metalowym cienkonogim stoliku, uprzejmie uśmiechnęła się i zamarła niczym dobrze ułożony psiak.

Doktor Hermes-Połoński miał teraz na sobie poważny szary garnitur, białą koszulę i czekoladowy krawat. Od czasu ich ostatniego spotkania w wyglądzie prezesa zaszły spore zmiany. Po pierwsze, stracił swoją perukę ze złotym wieńcem i wyłysiał, po drugie, prawy policzek zdobił szary plaster, a pod okiem widniał niewielki, przypudrowany siniec.

– Proszę o wybaczenie, agentko Orwat – powiedział prezes, wyciągając do Kory obie ręce. – Jak sama pani rozumie, wydarzenia nieco wyrwały się spod kontroli. Biały dzik, którego szykujemy dla Heraklesa, był dziś w podłym humorze. A treser niedokładnie zamknął wybieg i stracił przez to premię kwartalną. Mam nadzieję, że mój prezent, sukienka, przypadła pani do gustu?

Milodara nigdzie nie było widać.

Przechwyciwszy i właściwie zinterpretowawszy jej spojrzenie, doktor Hermes-Połoński powiedział:

– Komisarz musiał nas opuścić i polecieć do Taganrogu. Prosił, bym zrobił dla pani wszystko, co

należy.

– Wielkie dzięki – powiedziała Kora. – Mam nadzieję, że mi pan pomoże.

– Moja pomoc – uśmiech lekko zmienił układ ust prezesa – zacznie się od tego, że nie powiem komisarzowi, ile kosztuje pani olśniewająca sukienka.

Doktor Hermes-Połoński był człowiekiem przenikliwym – jeśli Milodar dowie się, że przyjęła prezent przekraczający wysokość jej rocznych apanaży, to najprawdopodobniej wyrzucają z InterGpolu. I słusznie zresztą. W historii wielu tajnych instytucji upadek agenta zaczyna się od małego prezenciku od szczodrego klienta.

– Proszę siadać – powiedział prezes, nie oczekując podziękowania za prezent. – Najprawdopodobniej wydaje się pani, że godzinę temu widziała apogeum namiętności paranoika. Ale tak naprawdę to zapoznawałem panią z możliwościami wirtualnej rzeczywistości. Zastała mnie pani w chwili powrotu ze starożytnego Rzymu, gdzie musiałem szukać naszego agenta i dlatego odgrywałem rolę Nerona. Wróciwszy, byłem jeszcze pod wpływem tamtej, nieprawdziwej rzeczywistości, i – skoro już pani weszła – zaprezentowałem całą tę bzdurę... Najlepiej zapomnijmy o tym.

„Ciekawe, pomyślała Kora, co takiego specyficznego neronowskiego mi pokazał? Jeśli to był Neron, to nie dlatego, że grał taką rolę w pracy, a dlatego, że miał taką naturę. O tym należy pamiętać, choć nie należy mówić. Przecież stara się przeszyć cię, Koro, spojrzeniem, dojrzeć, czy uwierzyłaś tłustemu wujkowi. Nie, nie uwierzyłaś, widzi to, ale uważa, że wykorzystujesz sytuację do prywatnego rozkoszowania się. Żeby odpocząć? Żeby się rozładować? Nieważne, ważne jest to, że podobni ludzie łatwo się korumpują i poddają szantażowi.”

– Dziękuję za lekcję – powiedziała Kora. – Ale te blizny... i moja podarta sukienka!

– Przecież powiedziałem pani, że dzik to tutejsza rzeczywistość. Dlatego nasze, pani i moje sińce, to przewinienie tresera. Ale proszę pamiętać, że skoro wybiera się pani w indywidualny rajd, to nabawi się tam sińców i guzów jak w prawdziwym życiu. Proszę zadawać pytania. Jestem gotów odpowiedzieć.

– Muszę odnaleźć księcia Gustawa.

– Wiem o tym i postaram się pomóc. Ale po co to pani?

– Gdzie on jest w tej chwili? Co robi?

– Elzo – zwrócił się prezes do sekretarki – proszę połączyć się z Zarządem Nadzoru. Niech sprawdzą, co aktualnie porabia obiekt Tezeusz.

– Już wykonuję, panie doktorze – odpowiedziała sekretarka i włączyła komputer.

– Czy czas w wirtualnej rzeczywistości płynie w naszym tempie? – zapytała Kora.

Pytanie ucieszyło doktora Hermesa-Połońskiego.

– Mądre pytanie – pochwalił Korę. – Nieźle wytresował was Milodar. Od razu chwyta cie byka za rogi.

– To przecież podstawowe pytanie – zaprzeczyła Kora. – Od tego pytania zależy, ile czasu spędzi Gustaw w VR, póki nie przeżyje całego herosowego życia Tezeusza.

– Czas w VR płynie na zasadzie grzbietu górskiego – wyjaśnił doktor Hermes-Połoński. Dał znak i sekretarka zaczęła notować jego wypowiedź. – Proszę sobie wyobrazić pasmo Himalajów. Składa się ono z wielu różnych szczytów. Ale pani powinna znać Everest czy Annapurnę – tak, chyba wystarczą te dwa szczyty. I już pani wie, że mowa jest o Himalajach, o nieosiągalnych górskich szczytach. W myślach zobaczyła pani Everest lub Annapurnę – czyli całe pasmo. Całe Himalaje.

– Genialne – powiedziała sekretarka.

Ta sekretarka, jak i poprzednia, też była zakochana w tłuściochu. Ale staż jej miłości w tym przypadku wynosił co najmniej ćwierć wieku.

– Czy to znaczy, że przeżywamy w tamtym życiu tylko najważniejsze momenty?

– Właśnie, już mówiłem, że jest pani mądrą kobietą – pochwalił prezes. – Co pamięta pani z piątej klasy? Co robiła pani wtedy trzeciego października? Ha, nigdy sobie pani nie przypomni! Ale pierwszą wyprawę na lodowisko w tamtym roku czy słodkie wspomnienie, kiedy to Kola Konin szarpnął panią za warkocz – to zostaje do śmierci. Jasne?

– Ile czasu zajmuje więc ludzkie życie?

– Tezeusz zginął niejako starzec – jakby trochę od rzeczy odpowiedział doktor Hermes.

– Ile ma tam być?

– Kilka tygodni – padła odpowiedź. – Ale nawet taki rajd jest czymś rzadkim. Monitoring i cała obsługa indywidualnego rajdu o tym stopniu skomplikowania kosztuje masę pieniędzy i naukowych wysiłków. Musieliśmy ograniczyć dwukrotnie swoją normalną działalność.

– Proszę nie przesadzać, panie prezesie – rzucił Milodar, wychodząc ze ściany gabinetu i zbliżając się do wolnego fotela. – Może ze dwa procenty mocy... sprawdzałem.

– Ale pan nie jest w stanie sobie wyobrazić, co to znaczy – jeden procent mojego potencjału! – krzyknął doktor Hermes-Połoński, unosząc ręce do góry, jakby wzywał bogów na świadków.

Sam fakt pojawienia się w gabinecie komisarza nie zdziwił prezesa, kogoś innego może przeraziłaby łatwość, z jaką przenikał do jego świątyni prywatności detektyw. Ale człowiek mający na co dzień do czynienia z wirtualną rzeczywistością nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

– Gdzie jest w tej chwili książę Gustaw? – zapytał Milodar.

– Gdzie jest ten niedojda, niech go diabli?! – krzyknął Hermes.

Sekretarka posłusznie pokiwała szpakowatą głową:

– Dane już spływają. Męski głos zameldował:

– Agent czternaście-bis wszedł w długotrwały sen, który potrwa czterdzieści minut, podczas których stanie się on starszy o rok i dwa miesiące.

– Możemy go zobaczyć? – zapytał Milodar.

– Wirtualna rzeczywistość nie pozwala na wizualizację obiektu, ponieważ realnie nie istnieje on dla ludzkiego oka.

– No to jak go kontrolujecie, niech to licho!

– My go nie kontrolujemy, niech to licho! – Bezcielesny głos komputera zakpił z komisarza, ale zrobił to tak obojętnie, że nawet nie wypadło się rozzłościć.

Milodar odsapnął i zwrócił się do prezesa:

– Dla mnie proszę dzin z tonikiem. I odrobinę soku z cytryny, dwie krople.

– Zapomina się pan, komisarzu – odparł doktor Hermes-Połoński, a komisarz, uświadomiwszy sobie gafę, uśmiechnął się nieszczercze:

– Starzeję się – powiedział. – Zapomniałem, że jestem tu hologramem.

Wstał z fotela, przeszedł przez ścianę i zniknął.

– Dlaczego po prostu nie można powiedzieć księciu Gustawowi, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo, powinien przerwać rajd i wrócić do akademika? – zapytała Kora.

– Bzdura, bzdura i jeszcze raz bzdura! – zawołał komisarz, wracając przez ścianę. Tym razem trzymał w ręku szklaneczkę z kostkami lodu, w drugiej – butelkę dzinu. Znowu usiadł w fotelu i nalał

sobie do szklaneczki. – Po pierwsze, nie zechce przerwać rajdu, ponieważ chce zostać herosem. W przeciwnym wypadku nie bawiłby się w to, a zaliczył drugi dyplom z ekonomii. Rezygnacja na tym etapie i to przy odłożonym pojedynku, jest dla niego równa śmierci.

– A po drugie – zakończył za komisarza doktor Hermes – nie jest łatwo to zrobić, ponieważ księżę Gustaw jest aktualnie zakodowany tak, że uważa siebie za Tezeusza.

– No i to by było na tyle – podsumował Milodar. Mężczyźni triumfująco popatrzyli na Korę, jakby zwyciężyli ją po rozpaczliwej walce.

– Mam rozumieć, że jeśli wyślecie tam człowieka i poprosicie go, by sprowadził Tezeusza z powrotem, to Gustaw zwyczajnie nie zrozumie, o co chodzi?

– Dokładnie tak, moja mądra – przytaknął Hermes.

– A więc należy go stamtąd zabrać siłą. Żeby uratować.

Po tych słowach wszyscy obecni zrozumieli, że Kora wcale nie ma ochoty wyruszać na wycieczkę do tej dzikiej przeszłości.

– Nasza kompania – doktor Hermes-Połoński machnął ręką do sekretarki, by ta nie zapomniała utrwalić jego mądrych i podsumowujących dyskusję słów – nigdy nie zgodzi się na przerwanie rajdu, nawet jeśli popiera to cała Galaktyka.

– Dlaczego? – zdziwiła się Kora.

– Dlatego, że nie zdołamy zachować w tajemnicy takiego incydentu. A w wyniku tego utracimy wszystko – i honor, i klientelę. Dziś wyciągamy z rajdu klienta Gustawa, ponieważ jakaś zwariowana intrygantka czy szurnięty augur wykrzyczeli wam do ucha, że zamierzają go wykończyć. A jutro przybiegnie do nas mąż klientki i zażąda jej powrotu, ponieważ sam nie potrafi sobie zrobić sałatki z oliwek.

– Proszę nie przesadzać – bąknął Milodar.

– Mowa jest nie o przesadzie – rozłościł się prezes VR. – Mówimy o zasadach, pryncypiach. Ludzie wyruszają w rajdy jak w niebyt, przekonani, że na jakiś czas będą kimś innym. A jeśli zaczną podejrzewać, że ich szef może ich wyrwać z tego, bo zachorował buchalter i nie ma go kim zastąpić? Możemy przejść na handel garnkami.

– A gdybyśmy udowodnili, że na księcia Gustawa szykuje się zamach?

– Proszę bardzo. Ale jestem pewien, że nigdy i za skarby świata nie zdołacie przedstawić takich dowodów. Zresztą – próbujcie.

Z lekkością, zadziwiająco jak na tak grubego i nie tak młodego człowieka, doktor Hermes-Połoński podskoczył i usiadł na biurku. Biurko zaskrzypiało i zachwiało się, ale wytrzymało.

– Ale jeśli zostanie zabity, to będzie pan odpowiadał według paragrafów z obowiązującego kodeksu! – rozłościł się Milodar, który nie znosił sprzeciwu i dyskusji ze sobą, w szczególności takich, w których nie wygrywał.

– Nikt jeszcze nie zginął podczas rajdu, jeśli sam tego nie chciał – powiedział doktor Hermes-Połoński.

– Ale ktoś już zginął? – zapytała Kora.

– Droga mądralo – cierpliwie odpowiedział prezes, wyraźnie sympatyzujący z agentem numer trzy. – Proszę pozwolić mi wyjaśnić, jak nie można i w jaki sposób da się zginąć podczas VR rajdu. Jak już miałem przyjemność wam mówić, odchodząc w przeszłość, wchodząc w postać, przyjmujecie jej pochodzenie, otoczenie i, w ogólnym zarysie, los swojej postaci. Jego życie i jego śmierć. Wasza działalność w przeszłości jest kontrolowana bardzo względnie, w ośrodku

obliczeniowym istnieje wasze wejście i mikroczujnik, wszczepiony w wasze ciało, podaje nam ciągle informację o was. Póki żyjecie – jesteśmy spokojni. Jeśli zginiecie – a czy to wiadomo, co się wydarzy – sensory natychmiast określają położenie waszego ciała i po kilku sekundach wyciągamy was z rajdu, lądujecie na stole operacyjnym, gdzie składa się klienta z kawałków i zszywa z powrotem.

Nie wiadomo dlaczego to określenie bardzo spodobało się sekretarce, która przestała stukać w klawiaturę i chłonęła słowa prezesa-bóstwa. Zachichotała. Doktor Hermes-Połoński syknął na nią i kontynuował:

– Powiem więcej – w przypadku, kiedy VR rajd odbywa się według kategorii N...

– Niebezpieczny? – zapytała Kora.

– Mądralińska! – kolejny już raz pochwalił Korę Hermes, czym wywołał gniewne spojrzenie sekretarki. – Rajd Tezeusza oszacowany jest jako SN, jasne?

– Jasne. Szczególnie niebezpieczny.

– W takich przypadkach prowadzimy monitoring stanu zdrowia wycieczkowicza. Nawet jeśli nie umarł, ale parametry ciała są wyraźnie nienormalne, posyłamy w okolice miejsca akcji swojego agenta. Ale kosztuje to potwornie i nie zawsze przynosi dobre wyniki.

– Dlaczego? – zapytała Kora.

– Dlatego, że znamy punkt przebywania ciała w przestrzeni i czasie tylko w przybliżeniu. Stała jest tylko nieruchomość. Nieruchomość oznacza śmierć. Jeśli ktoś umarł, to go wyciągniemy, ale jeśli żyje, to niezmiernie trudno jest zlokalizować go w czasie i przestrzeni – przecież ten ktoś porusza się. Tak więc nasz agent może pomóc, może nawet ewakuować wycieczkowicza, ale czasami się to nie udaje. Szczególnie jeśli sam wycieczkowicz nie chce być znalezionym i zdecydował, że skończy ze sobą. – Uprzedzając pytanie Kory, doktor Hermes-Połoński kontynuował: – Tak, to się wydarzyło, trzykrotnie. Jeden raz udało nam się wyciągnąć i ożywić samobójcę, dwukrotnie doznaliśmy porażki.

– Jakże to tak? – nie kryjąc sarkazmu w głosie odezwał się Milodar. – Przecież powiedziałaś: nastąpił zgon, skończył się ruch, obiekt jest nieruchomy, wywlekacie go z rajdu, ale doznajecie porażki?

– Są takie rzadkie przypadki, kiedy nie możemy go wydostać – uchylił się od precyzyjnej odpowiedzi prezes VR i dodał, umyślnie kierując słowa do sekretarki: – Możesz tego nie zapisywać.

– Czy to znaczy – rzuciła się na niego Kora – że możliwe jest zabicie człowieka tak, że nie jesteście w stanie wycofać go z wycieczki i doprowadzić... do porządku?

– Teoretycznie – tak. Praktycznie – to bardzo trudne.

– Mamy tu ciekawe perspektywy – powiedział Milodar. – Bardzo interesujące, powiedziałbym nawet. Nie tylko godzicie się na śmierć klienta w czasie rozrywkowego spaceru...

– Kto tu mówi o rozrywkowych spacerach?! To jest VR rajd typu SN!

– Szczególnie niebezpieczny – podpowiedziała sekretarka.

– Na dodatek sugeruje pan, że będziemy ryzykowali życiem mojego najcenniejszego agenta? – Milodar wskazał butelką Korę.

– Sprecyzujmy, co będzie robiła pana agentka w obcym VR rajdzie?

– Będzie strzegła księcia Gustawa, osobę nadzwyczaj cenną, przed zamachem.

– To się nie może zdarzyć!

– Przy tym gwarantuje pan, że nie będzie pan narzucał agentce Orwat obcej osobowości.

– W tamtym świecie wszyscy są z tamtych czasów!

– Ale Kora pozostanie Korą.

– Wykluczone, wykluczone, wykluczone! Pan chce pozbawić mnie czci i honoru, a na dodatek zrujnować.

– Wręcz przeciwnie – chcę uratować pańską reputację i dlatego ryzykuję życiem naszego najlepszego agenta.

„Może byłoby lepiej, gdyby zapytali mnie o zdanie?” – pomyślała Kora, ale nie powiedziała tego głośno. Trochę ją polechtało nazywanie najlepszym agentem. Rozumiała, że te słowa wysnęły się Milodarowi tylko dlatego, że targował się z Hermesem, ale mimo wszystko!

– Mogę w najlepszym wypadku skierować do przeszłości mojego pracownika – rzekł doktor Hermes-Połoński. – Ale nie waszego agenta, zupełnie nie przygotowanego, skazanego na wpadkę, na dodatek będącego młodą kobietą! Nie, nie i jeszcze raz nie! – Prezes walnął w biurko pulchną dłońią.

– Cóż – westchnął Milodar tak, jakby naprawdę z trudem podejmował decyzję. – Nadaną mi władzą Federacji Galaktycznej wstrzymuję działalność koncernu Virtual Reality, jako narażającą na niebezpieczeństwo swoich klientów.

– Pan zwariował! Zrujnuje pan miliony akcjonariuszy, nie przeżyje pan tego skandalu.

– Pan też, przyjacielu – odpowiedział hologram Milodara. Wtedy prezes Hermes-Połoński, z przekleństwem na ustach, skapitulował.

Kiedy przed wyruszeniem na VR rajd Kora przyleciała do komisarza do Centralnej Bazy, znajdującej się pod lodem Antarktydy, ten, uściskawszy jej rękę i ucałował policzki – w bazie pozwalał sobie na normalny, nie hologramowy byt – od razu zaprowadził ją do swojego gabinetu.

Na stole stał niewielki trójwymiarowy portret młodego mężczyzny z kapryśnymi wilgotnymi wargami, niskim czołem włoskiego patrycjusza z czasów Odrodzenia i kędzierzawymi włosami w rudawym odcieniu.

– Poznajesz? – zapytał. Kora pokręciła głową.

Milodar włączył projektor, na ścianie pojawiła się sala Kosmodworca – znanego terminalu Szeremietjewa. Z tunelu dla pasażerów wyszedł ten właśnie młodzieniec, ubrany bogato, ale staromodnie.

– Naprawdę go nie poznajesz? – powtórzył pytanie Milodar.

– Kompletnie!

– Nie jesteś spostrzegawcza.

Włączył jeszcze jeden film. Kora od razu domyśliła się – to była taśma z jej guzika w pomieszczeniu biednej ślicznotki Clarissy. Oto i sama Clarissa, oto babunia, co to się okazała wyrocznią Judgesonem.

Oko kamery przeleciało po podniszczonych i połatanych tapetach, wytartym kilimku z łabędziami w stawie, po uczniowskim biurku z blatem ze sklejki, na którym leżały podręczniki dziwnej urody...

Następnie oko kamery przesunęło się na ściany i konsekwentnie wpijało się w fotografie, portrety i widokówki, przyklepione do tapety. Pocztówki, z reguły, ukazywały jakieś niezbyt bogate nadmorskie miasteczko, dokąd zapewne Clarissa jeździła na wakacje; na zdjęciach widoczni byli kaprale i farmerzy – być może przodkowie i krewni dziewczyny...

– A teraz proszę o szczególną uwagę – powiedział Milodar. – Wpadłem na pomysł i wykonałem pewien numer, na który ty, skarbie, z powodu braku doświadczenia, nie wpadłaś. Patrz, usuwamy warstwę charakteryzacji, naniesioną na ściany i podłogę i patrzymy, co też się kryje pod tapetami i pocztówkami... Zobacz!

Wierzchnia warstwa obrazu jakby stopiła się.

W miarę topnienia charakteryzacji, Kora ku swojemu zdumieniu odkrywała, że pokój zaczął kompletnie inaczej wyglądać.

Pod wytartymi tapetami znajdowały się inne, jedwabne, tłoczone, nieskazitelnie błękitne, nowe i bez skazy. Papugi i pliszki skakały z gałązki na gałązkę... Portrety, wiszące na ścianach, wyszły spod średniej jakości pędzli, tym niemniej całkiem profesjonalnych malarzy świeckich, na podłodze odsłonił się wspaniały dywan o cudownym wzorze, a stolik z siedemnastego wieku okazał się inkrustowany kamieniami szlachetnymi. Na stoliku leżało kilka modnych żurnali – i ani jednego zeszytu. Sama Clarissa ubrana była tak bogato i tak wyszukanie, że od razu stało się jasne, że na toaletę wyrzuca lwią część czyichś pieniędzy.

– Zastosowali hipnozę? – zapytała Kora.

– Nie, to jest tak zwane nałożenie antyglancu. Nowa i dość droga zabawka: ty i twoje mieszkanie w oczach gościa wyglądacie tak, jak sama tego chcesz. Cieniutka błona kryje właściwy wystrój... A teraz popatrz na ten największy portret nad stołem.

– To on! – zawołała Kora.

– Kto – on?

– Ten, co przyleciał. Jego zdjęcie przed chwilą widziałam.

– Za to otrzymujesz jeszcze jedną naganę i ostrzeżenie o nieprzydatności do służby. Przegapiłaś jednego z najbardziej podejrzanych. Gdyby nie podjęte przeze mnie kroki, to moglibyśmy nawet nie zauważyć, że dziś na Ziemię przyleciał nie kto inny, jak księżę Clarence, udając handlowego agenta Coopera.

– To on? – zdziwiła się Kora. – Wyobrażałam go sobie jako osobę znacznie szlachetniejszą.

– Nie tylko nie chcesz przyznać się do błędów – powiedział z wyrzutem komisarz – ale na dodatek upierasz się przy nich. Zostajesz pozbawiona premii za ostatni kwartał.

– Ależ pan potrafi nudzić! – jęknęła Kora. Po czym wyjęła z włosów spinkę, otworzyła ją i wyjęła płatek cieniutkiej folii, która okazała się fotografią księcia Clarence’a.

– Mogłaś mi wcześniej powiedzieć! – warknął rozeźlony komisarz. – Zmuszasz mnie do marnowania czasu, kiedy przekazuję ci niepotrzebne informacje.

– Premia zostaje? – zapytała Kora.

– Tylko jeśli Tezeusz wróci z rajdu żywy. Albo nie na tyle martwy, by nie dało się go poskładać i wyleczyć. Więc idź się wyspać, poczytaj mity greckie czy może Plutarcha – ze sobą tego wziąć nie możesz. Jutro o ósmej wyruszasz do mitycznych czasów Aten. Cieszysz się?

– Cieszę się, że w końcu się wyśpię – uchyliła się od odpowiedzi Kora.

– Jeśli wybierasz się do Moskwy, to mogę cię podrzucić do Taganrogu, a stamtąd dojedziesz metrem.

– Co za nieoczekiwana uczynność? Czyżby pańskie narzeczone dziś tam nurkowały?

– Właśnie!

Dotarłszy do swego skromnego mieszkanka, wybudowanego w kształcie zamku na dachu zmurszałego drapacza chmur na rogu Marosiejki i zaułka Potapowa, Kora od razu wyłączyła łączność i wysypała do przetwornika całą, zebraną w ciągu kilku dni nieobecności korespondencję – i tak nie dałaby rady jej przeczytać. Potem udała się do łazienki, zamierzając, splukawszy z siebie kurz kosmicznych szlaków, rzucić się w końcu na tapczan i przespać całe dwanaście godzin. Ale kiedy już znalazła się o dwa kroki od wymarzonego legowiska, przetwornik śmieci warknął niezadowolony z czegoś i wypluł, jako nie podlegającą recyklingowi pocztówkę od babci Nastii. Babcia napisała, że w tym roku borówki nie obrodziły, ale wiśnie były wspaniałe. Prócz tego wyłoniła się z urzędnika książka od komisarza Milodara. W rogu koperty napisane było „Przeczytać przed rozpoczęciem zadania”.

Wewnątrz paczki znajdowała się gruba praca brytyjskiego poety i badacza Roberta Gravesa „Mity starożytnej Grecji”, gdzie żywotowi Tezeusza poświęcony był spory rozdział, czyny i przygody herosa przedstawione były w kontekście studiów kulturologicznych i mitologii porównawczej.

Kora zamierzała przejrzeć pierwsze stronicę, powtórzyć przerobiony już materiał, ale niechęć zacytała się i ruszyła dalej po ścieżce życia swego bohatera...

Tak więc mały Tezeusz dorastał na skromnym dworze Pitteusa, rozpieszczany przez czułą matkę Ajtrę. Potem zaczął robić coraz to dłuższe wycieczki, poznawał okolicę, a nauczyciel Konnidias opowiadał mu o bogach i herosach, a także uczył go czytać, pisać i liczyć, pokazywał gwiazdozbiory i wyjaśniał tajemnice ożywionej przyrody.

Czasami do Pitteusa przyjeżdżał jego krewny, zapewne kuzyn, a może nawet wuj, Herakles. U greckich bohaterów więzy rodzinne są strasznie pogmatwane, po pierwsze dlatego, że każdy autor nieco inaczej je sobie wyobraża, po drugie dlatego, że w Grecji można było mieć, na przykład, dwóch ojców: nierzadko chytry i chutliwi bogowie w noc poślubną lub w jej przeddzień zlatywali z Parnasu do łoża narzeczonej, i potem uważało się, że urodzony syn ma dwóch ojców. Dla przypomnienia, taką też wersję mocno popularyzował dziadek Pitteus na korzyść Tezeusza.

W sumie jednak Kora i tak zmobilizowała się, by zrozumieć do końca rodzinne układy herosa. Mogło jej to pomóc w dochodzeniu.

Znaczy, było tak. Pitteus, syn Pelopsa, na pamiątkę po którym został nam półwysep peloponeski, i Hippodamei (co wcale nie oznacza, że jego matka była damą od koni) miał dwóch słynących z bohaterskich i niegodziwych czynów Tyestesa i Atreusza, nad którymi nie będziemy się tu rozwodzili. Ale poza nimi miał zupełnie nie słynącą ani z czynów, ani z niegodziwości siostrzyczkę, Lysidike. Lysidike wydano za Elektryona, który nie ma nic wspólnego z elektroniką, z tego związku urodziła się wspaniała córeczka Alkmena. Owa Alkmena, siostrzenica Pitteusa, wyszła za mąż za Amfitriona, który Elektryona zabił. Ale nie umyślnie, a raczej niechcący, z powodu dzikości swego starożytnego charakteru. Amfitrion został wygnany z Myken, więc osiedlili się w Tebach, gdzie Amfitrionowi przydzielono oddział wojska i rozkazano mu walczyć, aby zarobił na chleb.

Amfitrion rzadko bywał w domu, a nudząca się Alkmena często opalała swe ciało na płaskim

dachu domu. Kiedy zobaczył ją przelatujący obok Zeus, to tak się zadziwił, że natychmiast kazał zmienić dzień w noc. Trzy doby trwała ta noc, ponieważ tyle czasu nie mógł się nasycić i nacieszyć Zeus pięknym i namiętym ciałem Alkmeny. „Może przesadzają, myślała Kora, ci starożytni, ale z drugiej strony, musieli znaleźć jakieś wytłumaczenie dla faktu, że owocem tej trzydniowej miłości stał się nie kto inny, jak Herakles, formalnie uważany za syna Amfitriona, który z kolei owe trzy doby spędził w polu ze swoimi żołnierzami, albowiem w kompletnych ciemnościach nie wiedział, w jaką stronę skierować swoje uderzenie.”

W sumie wszystko nie jest zbyt skomplikowane: Herakles jest wnuczkiem, jeśli tak można powiedzieć, bratankiem Pitteusa, to znaczy synem jego siostrzenicy. Dla Tezeusza jest on wujem. Pałac w Trojzenie zaś – jego domem rodzinnym.

Dotąd wszystko było jasne i można było ruszać dalej.

Byś może właśnie w Trojzenie, w niewielkim inteligenckim domu, w trakcie niespiesznych rozmów, w atmosferze uwielbienia dla siebie, Herakles odpoczywał duchowo.

Wszystkim zapadła w pamięć taka scena.

Jak wiadomo, Herakles zamiast normalnego ubrania nosił lwią skórę, co świadczyło o jego próżności i stałym strachu, że ludzie go nie rozpoznają, nie docenią i nie będą się bali.

Zamiast zostawić skórę, jak to przyjęte, w przedpokoju, Herakles wszedł w niej do stołowego i dopiero tam uświadomił sobie, że w skórze będzie mu za gorąco przy obiedzie, i niewygodnie. Cisnął więc ją w kąt i zapomniał o niej. Po obiedzie dorośli przeszli wypić po ambrozji i pograć w kości na wewnętrznym patio w cieniu winogronowej łązy, a do stołowego przybiegły dzieci, wśród których można było rozpoznać po szlachetnej postawie Tezeusza.

Chłopcy rzucili się do talerzy – może zostało po dorosłych coś smacznego. I nagle jeden z nich zobaczył w ciemnym kącie lwa!

Dzieciaki z piskiem rzuciły się do ucieczki. Uciekł również Tezeusz. Ale w odróżnieniu od rówieśników i starszych kolegów pamiętał, że na sągu przy kuchennym piecu leży siekiera. Chłopiec wpadł do kuchni, porwał siekierę i – nie mając jeszcze dość siły, by ją unieść – powłókł po ziemi do stołowego.

Zauważył to któryś z kucharzy i pognął za Tezeuszem. Był świadkiem pierwszego bohaterskiego czynu Tezeusza – chłopiec odważnie dotaszczył do lwiej skóry siekierę i z trudem ją podniósłszy, opuścił na głowę lwa.

– Szybko, chodźcie tu! – wrzasnął kucharz. – Chłopiec dokonuje czynu Heraklesa!

Oczywiście przybiegli dorośli, ktoś się roześmiał, a inni zaczęli w zadumie kiwać głowami, rozumiejąc, że na ich oczach wyrasta prawdziwy antyczny heros.

– Nic na to nie poradzimy – powiedział dyplomatycznie dziadek – krew Posejdona...

Ajtra zarumieniła się, ponieważ każda młoda kobieta wstydzi się przyznać, że jej syn pochodzi od istoty, która tak sprytnie działała, że dokonała aktu miłosnego, nie powiadomiwszy o tym kochanki.

Rozzłościł się tylko Herakles, będąc człowiekiem nader wybuchowym. Podniósł skórę i pokazywał wszystkim, że Tezeusz uszkodził ją w jednym miejscu siekierą. Dziurka była mała i najprawdopodobniej wyżarł ją mól, ale nikt z Heraklesem w spory się nie wdawał, a Ajtra zacerowała skórę tej samej nocy.

Kora przeciągnęła się, morzył ją sen. Mogła sięgnąć po lekarstwo, które uwalnia od snu na całą dobę albo i na tydzień... Nie, lepiej nastawię budzik, pomyślała Kora. Bardzo lubiła śnić.

Doczytała do końca historię dzieciństwa Tezeusza następnego ranka, leżąc w wannie, otulona

błękitną pianą, gęstą i sztywną niczym bita śmietana. W pokoju hałasował odkurzacz, wtórował mu sprzątacze, zbierający z podłogi odłamki rozbitego budzika. Słońce stało już wysoko.

Kora zajrzała do swego ulubionego, rozsądnie myślącego Plutarcha, który – jak przystało na cywilizowanego człowieka – niemal nie wierzył w bogów i cały ten mitologiczny bełkot, ale był przekonany, że Tezeusz istniał naprawdę i dokonywał swoich czynów. Tyle że potem były one fałszywie interpretowane.

Niezadowolona z krótkich informacji Plutarcha, Kora otworzyła ponownie Gravesa. Tam historia dorastania Tezeusza opisana była z masą szczegółów. Okazało się, że kiedy młodzian miał szesnaście lat, został wysłany do Delf, do tamtejszej wyroczni. Tam, w świątyni Apollona, Tezeusz złożył w ofierze swoje włosy. Co prawda nie wszystkie, zadowolili się ostrzyżeniem tylko przodu głowy.

Kiedy Tezeusz wyszedł ze świątyni, pewna dziewczyna, zaprzyjaźniona z nim w owym czasie, zdziwiła się i zapytała:

– Zwariowałeś? Ani to ładne, ani modne.

– Ja nie gonię za modą – rozsądnie odparł szesnastolatek.

– To po coś to zrobił? – zapytała dziewczyna.

– Przygotowuję się do czynów bohaterskich – odpowiedział jej Tezeusz. – A kiedy będę się bił z przeciwnikiem, to ten mógłby mnie chwycić za włosy. A potem walnąć maczugą w łeb. Przecież jesteśmy jeszcze całkiem pierwotni. A po postrzyżynach wróg nie będzie miał za co mnie chwycić.

Dziewczę było wstrząśnięte przemyślnością Tezeusza i opowiedziało komu mogło o jego postępkach. I tak dotarła ta opowieść i do nas, podobnie jak opowiadania o tym, jak po tysiącu lat Aleksander Macedoński przed decydującymi bitwami z armią Persów kazał swoim wojownikom zgolić brody. W tym samym celu, w jakim Tezeusz ściał włosy.

Kiedy Tezeusz wrócił do Trojzeny, mama z dziadkiem jak zwykle zaprowadzili go pod skałę. Tym razem, wyteżywszy siły, uniósł ją. Sandały, choć wykonane z dobrej skóry, zakurzyły się i wyschły, a miecz zardzewiał. W nocy zbrojmistrz i szewc doprowadzili do stanu używalności dziedzictwo ojcowe, a rano dziadek Pitteus przywołał wnuka i powiedział:

– Ruszaj do Aten. Pilnie. Pokaż tam sandały i miecz ateńskiemu królowi Egeuszowi. Pozna cię i uczyni swym następcą.

– Czyli co – moim ojcem nie jest Posejdon? – zmartwił się Tezeusz.

Na jego miejscu każdy by się zmartwił, wyzbywszy się nagle boskiej opieki na nie całkiem bezpiecznych drogach Hellady.

– Jeśli cię zapytają wrogowie, odpowiadaj, że Posejdon – odparł dziadek. – A jeśli przyjaciele, to należy mówić prawdę. W końcu masz zostać władcą Aten, największego i najbogatszego polis w Grecji. Kazałem już szykować dla ciebie statek. Rano poniesiesz żagle i – w drogę!

A figa z makiem!

Ktoś dzwonił do drzwi. Kora nie otwierała, ponieważ nie znosiła, jak się jej przeszkadza. Poza tym przed wyjazdem do starożytnej Grecji chciała możliwie dobrze poznać Tezeusza i jego czyny.

Drzwi do mieszkania usiłowano wyważyć. Nie udało się. Drzwi i ściany zewnętrzne jej niewielkiego zamku wykonano z resztek bojowego krążownika kosmicznego „Zabijaka”, na którym nieboszczyk ojciec Kory przeszedł przez czarny obłok kwasu foliowego.

Tak więc drzwi mógłby otworzyć tylko skumulowany wybuch jądrowy. Ale bomby nikt tu nie użyje – w końcu to historyczne centrum Moskwy, przeżyło trzy wojny światowe...

...A figa z makiem! Tezeusz popatrzył na dziadka i powiedział:

- Nie, dojdę do tego inną drogą.
- Nie rozumiem – zdziwił się Pitteus.
- Nie popłynę do Aten!

– Dlaczego? Przecież to wygodne? Statek już ma podniesione żagle, wioślarze zanurzyli wiosła w wodzie, na rufie przygotowano wygodne łóże dla młodego bohatera. Za dwa dni dopłyniesz do Aten i zobaczysz wspaniałe świątynie i pałace. O, to najprawdziwsza sztuka, prawdziwa stołeczna architektura! Zrozumiesz, że dorastałeś na wsi. Ale niech cię to nie dręczy, chłopcze. Jesteś prawowitym następcą tronu ateńskiego.

- Czyli na pewno Posejdon nie jest moim ojcem?
- Coś się tak uparł na tego Posejdona! Człowiek jest ponad bogami!

W tym momencie Posejdon uderzył na Trojzenę taką burzą, że dziadek z wnuczkiem zmuszeni byli uciekać na strych. Ale to też mógł być przypadek.

Póki tam sobie siedzieli, Tezeusz szczerze przyznał się dziadkowi, że bezpieczna podróż po morzu, w komfortowym łóżu, przy akompaniamencie miłego śpiewu wioślarzy zupełnie mu nie odpowiada. Jest nawet czymś poniżającym dla młodego herosa. Czy da się dokonać czynu bohaterskiego na takim szlaku?

– W życiu zawsze się znajdzie miejsce na czyn bohaterski – niepewnie bąknął dziadek, w myślach obliczając, ile będzie musiał jutro wyłożyć na ofiarę dla urażonego Posejdona. Albowiem wiadomym jest, że greccy bogowie są mściwi.

– Po co masz się męczyć łądem? – załamała dłonie matka Tezeusza, ciągle jeszcze młoda i nawet może ładniejsza, w każdym razie na pewno krągłejsza, Ajtra. – Tam są straszne lasy, od dawna nie oczyszczane ze zbójów. Rozumiesz, że skazujesz siebie na straszliwe ryzyko, będąc zaledwie o dwa kroki od celu? Umówmy się tak: urządzisz się w nowym miejscu, twój ojciec, a mój przypadkowy mąż, pozna cię po sandałach i mieczu, a potem weźmiesz sobie ateńskie wojsko i z jego pomocą przeczeszesz okoliczne lasy. I nam będzie dobrze, i lud się ucieszy, a ty nie będziesz ryzykował.

– Oj, mam! Oj, dziadku! – jęknął nieszczęsny Tezeusz. – Czy wy nie rozumiecie, że to nie będą czyny herosa, a jakaś tam ekspedycja karna, która na pewno nawet nie zostanie odnotowana w historii? Nie można stać się bohaterem bez ryzykowania życiem.

- Skąd to wiesz? – zapytał surowym tonem dziadek.
- Mam wuja – odparł Tezeusz.

Takiej odpowiedzi obawiał się Pitteus. Od dawna zauważał pełne uwielbienia i zachwyty spojrzenia chłopca kierowane na wujka Heraklesa. Nie było sensu wyjaśniać, że tak naprawdę to czyny wuja Heraklesa nikomu nie przynoszą pożytku i prowadzą tylko do zniszczeń i ofiar. A i sam Herakles wcale z wiekiem nie staje się mądrzejszy czy bardziej opanowany. Co i rusz kogoś zabija albo przez przypadek, albo z powodu gwałtowności charakteru. Jakby ta nieprawdopodobna moc, zrodzona po trzydobowej miłosnej ekstazie Zeusa, źle wpłynęła na szare komórki i ośrodki hamowania słynnego herosa. Może właśnie dlatego nikt już nie próbuje poczynić dzieci przez trzy doby.

– Twój wuj jest przerośniętym chuliganem! – zawołała Ajtra, której nie pętały więzy męskiego honoru. – Tylko tyle potrafi, że zabija i zabija, i zabija... A ty sam mi mówiłeś, że zabójstwo nie leży w twej naturze!

– niesprawiedliwe zabójstwo, owszem – zgodził się Tezeusz. – Ale mój ukochany wuj nigdy i nikogo nie zabija tak sobie...

– No to sobie policz! – rozzłościła się matka herosa. – Kto zabił szanowanego powszechnie starca Linosa, największego wykonawcę świętych hymnów na cytrze, muzyka, jakiego nie znał świat, nauczyciela...

– To po co ten staruszek tłukł Heraklesa za źle wykute gamy? – odpowiedział pytaniem Tezeusz.

– A kto zabił swoje dzieci i dzieci swojego brata Ifiklesa? I za co, pytam się? – krzyknął Pitteus.

– Dziadku, tego po tobie nie oczekiwałem – powiedział z wyrzutem wnuk. – Przecież wszyscy uznali, że był to atak szału, który nasłała na wujka Heraklesa wstrętna bogini Hera. I ukarał siebie samego za ten postępek mocniej, niż mogliby ukarać ludzie. Wykonał dwanaście prac, a każda z nich dla dobra ludzkości!

– Na razie to wykonał tylko trzy czy cztery – poprawiła Tezeusza matka.

Ale już sama czuła, że jej przekonywanie nie przyniesie spodziewanego rezultatu – chłopiec nadmiernie mocno wierzył w odwagę, dobroć i szlachetność swojego wuja.

A stary Pitteus zrozumiał, że chłopca nie należy przekonywać. Skutek żaden, tylko można się zdenerwować. Może dla reputacji Tezeusza wcale nie byłoby takie złe, gdyby dokonał kilku niewielkich i niezbyt niebezpiecznych czynów? Przecież chodzi mu nie o znane w całym świecie prace Heraklesa, tylko o zaprowadzenie porządku w sąsiednich lasach i parowach... I chłopiec, jak by na to nie patrzeć, nie jest słabeuszem.

– Matko – powiedział w tym momencie chłopiec. – Daję ci słowo, że będę się bił tylko ze zbrojami i bandytami, którzy grabią i uciskają nasz zwykły grecki lud. I nie napadnę na nikogo, kto nie zaatakuję mnie pierwszy. Więcej – postaram się uczynić tak, by kara wymierzona bandycie była taka sama, jak czyn, którego dokonał.

Oczywiście matki nie przekonał i nie pocieszył, ale Pitteus już gnał do zbrojowni, by wybrać wnukowi hełm, pancerz i okrągłą tarczę. Dziewczyny, z którymi nie tak dawno jeszcze Tezeusz tańczył podczas świątynnych uroczystości, młodzieńcy, z którymi dzielił zabawy wieku dziecięcego, zebrali się, by pożegnać go przed wyprawą. Niektórzy chcieli mu towarzyszyć, ale Tezeusz uściskał wszystkim dłonie i wyjaśnił, że bohaterskich czynów najlepiej dokonuje się w pojedynkę. A co się tyczy opowieści i świadków, to na pewno się znajdą, jeśli tylko czyn jest prawdziwy.

Odprawiający zwartą grupą zebrali się przy drewnianej bramie Trojzeny, patrząc, jak niknie w oddali sylwetka młodzieńca, jak ginie w lesie i cieniu drzew. Ajtra płakała, Pitteus ukradkiem ocierał pojedynczą męską łzę, a dziewczynki i dziewczyny, z którymi całował się pod wiśniami i figowcami, szlochały na cały głos.

– Dobra, wystarczy! – powiedziała stanowczo Kora i wyszła z błękitnej piany niczym Afrodyta. Co prawda, była wyższa od Afrodyty i szersza w ramionach, miała też szczuplejszą niż przystoi boginiom, talię.

Podeszła do drzwi, drgających pod uderzeniami elektronicznego młota.

– Kto tam? – zapytała głosem gospodyni domowej. Huk ustał.

Przez pancerne szkło okna widziała wiszący na poziomie jej mieszkania śmigłowiec, w jego wnętrzu wściekle wymachiwał rękami prezes Hermes-Połoński. Obok siedział hologram Milodara i ogryzał paznokcie. Komisarz nigdy nie wybaczył Korze, że nawet jego hologram nie jest w stanie przedrzeć się do jej mieszkania bez zezwolenia gospodyni.

– Co się stało, panowie? – zapytała Kora, przeciągając się i otwierając okno. Do wnętrza wpadło świeże powietrze skażone zapachem nadpalonego wiertarkami i młotami pyłu. Kora wycierała włosy frotowym ręcznikiem.

– Co się z tobą dzieje? Myśleliśmy, że cię zamordowano! – wrzasnął Milodar.

– Nie – odparła Kora – nie zamordowano!

– Nie odpowiadał twój telefon, łączność awaryjna też...

– Wiem, byłam w łazience.

– Ileż mogłaś tam siedzieć?

– Dwie godziny, nie więcej.

Milodar nie miał już ochoty na rozmowy, odwrócił się i zamilkł.

– Czekamy na panią – powiedział doktor Hermes-Połoński, który na widok stroju Afrodyty wybaczył Korze spóźnienie. – Wszystko gotowe. Tezeusz poszedł do Aten na piechotę.

– Czyli mamy wszystko uzgodnione? – zapytała Kora. Narzuciła ręcznik na ramiona i chwyciwszy leżący na parapecie grzebień, zaczęła rozczesywać swoje ciężkie, jasnoblond włosy. – A mnie nikt o niczym nie powiadomił.

Prezes Hermes-Połoński odwrócił się do komisarza, ale ten zachowywał pełne urazy milczenie, chociaż w tym momencie Kora mogła się kajać tylko z powodu zaczytania czynami Tezeusza.

Widząc, że Milodar nie zamierza się odzywać, prezes przejął inicjatywę:

– Jeśli będzie pani tak miła, ubierze się i dołączy do nas – powiedział – to odwieziemy panią do wrót VR rajdu. Czas nagli. Od chwili, kiedy Tezeusz opuścił dom rodzinny, jest pozbawiony profesjonalnej ochrony.

– Jaką bronią będę dysponowała?

– Żadną – odparł prezes. – Zakręciła pani wodę w łazience?

– Tak. Zdjęłam również czajnik z kuchenki.

Milodar ciągle oburzony prychnął wściekle, ale przemilczał. Ubrawszy się, Kora wyszła na dach, zatrzasnęła za sobą okno. Tylko ona знаła hasło, pozwalające wejść do mieszkania.

– Doktorze i prezesie – powiedziała. – Proszę mi powiedzieć, czy otrzymam od was jakieś odzienie, czy będę musiała zdobywać sobie chlamidę w tej odległej przeszłości?

– Proszę nie opowiadać bzdur – mruknął prezes. – Przy wejściu do VR czekają na panią nasi spece od chitonów, chlamid, himationów, obuwia, zapinek i prawideł zachowania. Będzie pani miała pół godziny na opanowanie tego wszystkiego.

– Nie zdążę – powiedziała Kora.

– Zdążysz! – warknął Milodar. – Może już dość tego znęcania się nad przełożonym! Zdążysz i będziesz za pół godziny w starożytnej Grecji. Zaczęłaś już działać. Znajdziesz Tezeusza i będziesz go chronić do końca rajdu. Nie odważ się przy tym przypadkiem odkryć swojego incognito.

– I to wszystko bez urlopu?

– Przeczytałaś wszystko, co ci zostawiłem?

– Przeczytałam tylko do jego wyjścia z domu.

– Niestety, łączności z tobą nie będziemy mieli. W najgorszym wypadku zostawisz wiadomość u delfickiej wyroczni. Pamiętaj, że jesteś pierwszą postronną osobą, która wchodzi w VR rajd, zachowując pamięć o tym, kim jest naprawdę i dlaczego tam jest. Wszyscy pozostali żyją obcym życiem. Jesteś świadoma, jak wielkim zaufaniem obdarzyła cię organizacja?

– Potwierdzam każde słowo komisarza! – zawołał doktor Hermes-Połoński.

Chyba zbyt głośno, by Kora uwierzyła w jego szczerość. – A co mi tam, ja mogę nigdzie nie jechać! – wzruszyła ramionami. – Nawet wolę po prostu poczytać sobie o czynach Tezeusza.

– Kłamiesz! – zawołał Milodar. – Nie możesz się doczekać, aż wkroczysz na ścieżkę przygód. Nie możesz bez tego żyć!

– Och, jak daleki jest pan od prawdy, komisarzu! – obłudnie odpowiedziała Kora.

Śmigłowiec lądował w obszernym i głębokim parowie na otoczonym polem siłowym placu Centralnego Zarządu Wirtualnej Rzeczywistości.

Do przejścia Kory w czasy starożytnej Grecji zostało dwadzieścia pięć minut.

Na lądowisku czekał na Korę młody człowiek, nieco kobiecy w ruchach i wymowie.

– Jakie to szczęście – tokował, głaszcząc wąską dłonią bok Kory. Dziewczyna nieco zmieszana zerknęła na prezesa, ale ten wykonał tylko pożegnalny czy wybaczący ruch ręką, przekazując Korę na rozszarpanie zniewieściałego młodzieńca.

Ten pociągnął Korę za sobą, gruchając po drodze, niczym zakochany gołąb, spacerujący po balustradzie balkonu.

– Nieco wykracza pani poza standardowe wymiary przeciętnej Greczynki okresu klasycznego, ale mam nadzieję, że zdążymy.

W wielkiej, niskiej, jasno oświetlonej sali dwaj mężczyźni z nożycami i centymetrami w rękach stali po obu stronach stołu krawieckiego, wyposażonego we własny procesor i wielki display.

– Nie będziemy nikogo przedstawiać! – zawołał zniewieściały krawiec. – Tylko ja będę przemawiał, skromny geniusz współczesności. Wirtualna rzeczywistość jest niemożliwa bez mojego impulsu – musi się pani pojawić tam albo naga, albo do przyjęcia. Potem zdobędzie pani garderobę, ale niekompetencja w sprawach prostych, powszednich rzeczy, może kosztować panią życie.

Jeden z krojczych wziął ze stołu i podał Korze masywne słuchawki, połączone z metalowym hełmem. Gadatliwy młodzieniec nałożył go Korze na głowę, zmuszając ją do pochylecia się przed nim.

– Zaraz włączę wizję – film nakręcony przez naszego pracownika. Dźwiękowy akompaniament i tłumaczenia będą wprowadzane do umysłu... – krojczy wskazał słuchawki. – A my tymczasem panią odziejemy.

Mistrzowie zaczęli zdejmować z Kory miarę na ubranie i obuwie, a jej wydawało się, że została przeniesiona do bogatego starogreckiego domu, zadziwiona, że jest tak prosty i niewyszukany, że zagląda do męskiej i żeńskiej połowy, zobaczyła w otoczonej kolumnadą sali ołtarz Apollona, kotary, zastępujące drzwi... Potem przeszła do domu ubogiego... Odpowiednie greckie nazwy od razu trwale przenosiły się do jej pamięci, zresztą wszystkie obrazy stawały się częścią pamięci Kory – albowiem teraz musiała już wierzyć, że zna te wszystkie szczegóły antycznego świata z autopsji, od dziecka...

Krótką była ta wycieczka po domu, potem szybka wyprawa do rynku, do świątyni, do gimnazjonu i na hipodrom; Kora w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, co w tym czasie wyczyniali z nią krojczy.

Kiedy zniewieściały mistrz zdjął słuchawki i magiczne okulary, Kora mogła przejrzeć się w lustrze. Widok jej się spodobał, chociaż nieco ją rozczarowała prostota, a nawet pewne ubóstwo odzieży, jaką od tej chwili miała nosić.

Faliste, ciężkie loki, spadające Korze na plecy – za nic nie chciała ich skrócić, chociaż sam Milodar żądał tego i nawet groził zwolnieniem ze służby – zostały zebrane z tyłu w ciężki kok i umieszczone w pleciance, jakby trafiły do srebrnej sieci.

W uszach miała perłowe kolczyki, wyglądające jak krople perłowej wilgoci, na szyi dwa cienkie sznury koralu, ładnych, choć prostych – chalcedon, onyks, opal, perły... Interesujące. Urok braku

symetrii.

Na rękach cienkie bransolety i złoty pierścień – potem zobaczy się dokładniej.

Na nogach sandały – nic szczególnego, skórzane podeszwy przywiązane do kostek skórzanymi rzemyczkami.

Podstawowa część garderoby – Kora wiedziała już teraz jak się to nazywa, była krótkim chitonem, nie sięgającym nawet kolan. Utkany był z cienkiej wełnianej białej tkaniny z lamówką w kolorze terakoty. Kora wiedziała również, że taki chiton – najprostszy z możliwych strojów – to złożony we dwoje kawałek tkaniny, złożenie której wypada na bok, gdzie został wycięty otwór na rękę. Druga ręka jest wolna, a na ramieniu chiton jest spięty broszą.

Ponieważ lekki chiton z cienkim pasem był jedynym elementem ubrania Kory, to od razu uświadomiła sobie, że to, co na greckich rzeźbach wyglądało wspaniale, w życiu wcale wygodne nie jest. Szczególnie kiedy zniewieściały młodzian, oszołomiony estetycznym zachwytem, oświadczył, że Kora raczej powinna obyć się bez broszki i zapinek, zostawiając prawą pierś obnażoną. Poza tym będzie to wygodniejsze, gdyby przyszło pani strzelać z łuku. Stroma pierś w takim wypadku przeszkadza tylko i amazonki czasem je sobie amputowały.

– Proszę się w końcu uspokoić! – tupnęła nogą Kora. – Już słyszałam ten tekst z ust waszego prezesa, ale i tak pokazuję piersi tylko wybranym.

– Jaka szkoda! – jęknął kobiecy specjalista. – Przecież to skarb narodowy. Proponuję zrobić z nich wyciski, jako z wyrobu wzorcowego.

Kora zrozumiała, że za chwilę po prostu walnie zniewieściałego maestro, ale na razie powstrzymywała się – skoro ma człowiek taką dziwną pracę i nie może się powstrzymać przed takim emocjonalnymi wybuchami?..

– A właśnie – nie wiem, jakie torebki nosiły wasze Greczynki. Mnie jakaś jest potrzebna.

– Zwariowała pani? Co chce do niej pani włożyć? Przecież to panią zdemaskuje!,

– Włożę tam to, co wkładają wszystkie kobiety świata i mam nadzieję, że takie skarby w tej rekwizytorni się znajdują: lusterko, nożyczki do manikiuru, grzebień, watę, mydło...

– Żadnego mydła! Jeszcze nie zostało wynalezione!

– Sprawdzę to – zagroziła Kora.

– Tam sobie pani sprawdzi i tam zdobędzie. – W głosie zniewieściałego młodzieńca słychać było metaliczne nuty.

Obaj krojczy, jak się okazało, jeden – spec od ubrania, drugi – od obuwia i kreowania wizerunku, odsunęli się i chłonęli owoce swego trudu.

– Czas, czas na nas! – rozległ się głos w wewnętrznym komunikatorze. Włączył się ekran wideołączości. Widniała na nim zaniepokojona twarz Hermesa. – Aparatura jest gotowa. Prowadźcie agenta do wrót Virtual Reality.

– Życzę powodzenia! – krzyknął Milodar, wyglądając zza ramienia prezesa.

I Kora została wypchnięta przez wrota VR...

Ocknąwszy się na trawie pod sklepieniem potężnego dębu, którego liście zaczęły dopiero żółknąć i więdnąć, a żółędzie wzbierały odżywczym miększem, Kora nie od razu uświadomiła sobie, kim jest i gdzie się znajduje. To się jej jeszcze nigdy nie zdarzyło. Niedobry znak – pewnie nadchodzi starość... Zresztą, ile jeszcze jej zostało do starości? Jeśli się ma dwadzieścia sześć lat, to pomyśl sobie, w którym roku życia mogła wpaść w marazm Maria Skłodowska-Curie? Czy Józefina Bonaparte? Może w ogóle nie zdążyły?

Nadleciał lekki wiaterek (jak się taki nazywa?), tchnął chłodem i strącił kilka żółędzi. Jeden z nich uderzył Korę w ramię, a ta, wystraszona, poderwała się na równe nogi.

I wszystko od razu ułożyło się w odpowiednim porządku.

Agent InterGpolu Kora Orwat wykonuje szczególnie ważne zadanie: ma chronić i zachować życie księcia Gustawa z państwa Ragoza, który wyruszył w VR rajd, żeby udowodnić swojemu ludowi i dziewczynie imieniem Clarissa, że może zajmować się nie tylko umysłowymi łamigłówkami.

Znajduje się na samodzielnej wyprawie, bez łączności z bazą, bez nadziei na pomoc szefostwa i bez obawy, że szefostwo wtrąci się w najgorszym momencie i wszystko popsuje.

Wygląda natomiast... Kora obrzuciła siebie spojrzeniem i okazało się, że bez lustra kobieta może siebie obejrzeć tylko kawałek po kawałku, ale nie w całości. Ręce obnażone, obok łokcia zadrapanie – ślad po niedawnej wyprawie na Ragozę. Grubo tkana sukienka, chiton, dokładniej mówiąc, sięgający do kolan i na dole rozkloszowany.

Więcej nic z ubrania, jak sprawdziła Kora, na sobie nie miała, o ile nie liczyć sandałów. Łatwo się ubierać i obuwać, ale na zimnym kamieniu siedzieć się nie da, zapalenie przydatków pewne. W starożytnej Grecji musieli coś jeszcze z ubrania mieć, trzeba będzie zdobyć i w pierwszej kolejności należy znaleźć porządną torebkę na ramię.

Gdzie tu można taką kupić? I jak to się nazywa? Ach, najpierw musi przetestować swoją znajomość miejscowego języka, przyswojonego przez nią przed rozpoczęciem rajdu, ale miała jeszcze dużo czasu sprawdzić, co z tego wyszło. Powinna się nastawić, że nie będzie lżej niż na obcym globie.

Mrówka przebiegła jej po nodze. Kora przyglądała się jej z zainteresowaniem, chcąc wyjaśnić, w jakim stopniu owad jest realny. Łaskotał. Schwytała go w palce, mrówka była spora, ruda, leśna, zaciekle wpiła się w jej skórę żuchwami.

– Przecież to boli, zwariowałaś? – krzyknęła Kora, odrzucając mrówkę.

Potarła bolący palec, rozmyślając, w jakim kierunku powinna się udać. Na pewno Tezeusz-Gustaw pałęta się gdzieś w pobliżu, jaki miałby sens przerzut agentki daleko od obiektu.

Najmądrzejsze, co może zrobić – wyjść na jakąś wiejską drogę i zapytać, w jakim kierunku są Ateny. Specjalista od mitologii, który uwijał się wokół Kory, przygotowując ją do rajdu, zapewniał, że jej wzrost, postawa i w ogóle – dane, pozwalają nazywać siebie jeśli nie boginią, to następczynią jakiegoś tronu czy nieślubną córką Posejdona. Może, oczywiście, robić za nimfę, chociaż jak na nimfę, to trochę jest za duża.

Grabieżców i zbójów mogła się nie obawiać, ale na usiłowania gwałtu należało się przygotować. Stosunek do kobiet w owych czasach był raczej zwierzący, zwłaszcza do kobiety samotnej, pozbawionej męskiej opieki. Niemal wszystkie mity o czymś takim właśnie mówią. Albo wojna o bogactwa i sławę, albo walka o kobietę. Trzeciej możliwości nie było. Nie daj bóg spotkać jakieś drobniejsze bóstwo, te istoty są całkowicie amoralne i pozbawione kontroli, ponieważ są nieśmiertelne i niczego się nie boją. Tak opisano Korze najpowszechniejsze zagrożenia.

Nie można więc powiedzieć, żeby agentka znajdowała się we wspaniałym humorze. Z drugiej strony należało stwierdzić, że wrześniowy ciepły przytulny dzionek był miły i gdyby nie obrzydliwe zadanie, Kora z przyjemnością wybrałaby się teraz nad morze i spędziła tydzień na peloponeskim wybrzeżu.

Cóż, musiała jednak się ruszyć. Sprawy przede wszystkim. A jeśli uda się zachować życie księcia, to może i znajdzie dzionek czy dwa na relaks. Co prawda, Kora przedkładała wieś i babcię Nastię ponad wszystkie cuda atoli i kurortów.

Tak sobie dywagując, wyszła spomiędzy drzew i zobaczyła drogę, wąską, pokrytą warstwą pyłu, ale przyjemną w ten ciepły dzień, ponieważ liście tworzyły z obu stron sklepienie, niemal nie dopuszczając promieni słonecznych, pył i kurz pod nogami pokryty był plamami, złotymi i brązowymi.

Wewnętrznie przygotowana na niespodzianki najgorszego kalibru, wstąpiła na drogę i zatrzymała się, rozważając, w jakim kierunku ma się udać. Ateny na pewno leżą na wschodzie, za nimi nie ma już nic poza Morzem Egejskim. Ale nie należy tu i teraz nazywać go Egejskim. Szkoda, że nie zdążyła doczytać do końca historii żywota Tezeusza, ale coś ją dręczyło, jakaś informacja jeszcze z dzieciństwa. Właśnie przez Egeusza morze nazywa się Egejskim, z powodu ojca naszego Tezeusza. Ale czym wślawił się Egeusz, żeby doczekać się takiego uhonorowania? Dobra, poczekamy – zobaczymy.

Z tyłu rozległo się skrzywienie kół, Kora usunęła się z drogi. Wysoki powóz, coś jak arba, toczył się po drodze, za nim wzbijał się w powietrze kłęb pyłu. Kierował arba szczupły, żylasty, opalony starzec w kapeluszu z szerokimi połami. W powozie leżało kilka bukłaków z winem, na jednym z nich siedziała krzepka kobieta w średnim wieku; miała czarne, kędzierzawe, sztywne jak druty włosy.

– Dzień dobry – powiedziała Kora. – Dokąd jedziecie?

– Do Koryntu – odpowiedział bez chwili wahania starzec. – Wieziemy młode wino na sprzedaż.

Kora bez trudu zrozumiała starca, jego też nie zdziwił język Kory, co oznaczało, że program lingwistyczny w ośrodku był bez zarzutu. To już było coś.

– Pójdę z wami – powiedziała Kora, pytając i twierdząc zarazem.

– Idź, nam nie wadzisz – odparła kobieta. – Ale nie mogę zaproponować ci miejsca na wozie, bo nasz muł takiemu ciężarowi już nie podola.

– Nie, nie potrzebuję, nie jestem zmęczona.

– Widzę, że nie jesteś – zgodziła się kobieta. – A my jedziemy od rana, więc już znużeni jesteśmy.

Kobieta uśmiechała się miło, dobroduszenie, szczerze, tyle że nie miała przednich zębów. W Grecji kiepsko było z dentystami, dobre uzębienie mogli mieć co najwyżej bogowie i inne nieśmiertelne istoty.

– Zwą mnie Chariklo – oświadczyła kobieta – mój mąż to Chejron, a mieszkamy w Lakonii,

ponieważ z góry Pelion przegnali nas Lapitowie.

– Zbóje Lapitowie – buńczucznie oświadczył woźnica. – Pokara ich Zeus, na pewno.

– Tyle że nas nie będzie już na tym świecie – powiedziała kobieta. – Zazwyczaj dobro triumfuje po naszej śmierci, nie zauważyłaś tego?

– Proszę mi wybaczyć, ale musiałabym wcześniej umrzeć.

– Zręczna odpowiedź – zauważył mężczyzna. – Wyglądasz na boginię, ale twe oblicze nie jest mi znane. Nie podasz aby nam swego szlachetnego imienia?

– Kora – ucziwie powiedziała dziewczyna.

I gdy tylko imię uleciało z jej warg, od razu siebie przekleła – należało trochę pomyśleć i nie śpieszyć się. Sądząc z tego, jak od razu zapadli się w sobie jej przypadkowi towarzysze, jak posmutnieli, Kora zrozumiała, że popełniła jakąś straszliwą pomyłkę. Nie wiedziała jaką, ponieważ nie miała przed odjazdem czasu sprawdzić w słowniku, czy nie istniała w przeszłości jakaś mało znana Kora. W końcu – może żyła w Grecji taka rozpustnica? Albo złodziejka?

Ale okazało się, że jest gorzej, choć nie od razu Kora tego się domyśliła.

Przez jakiś czas wędrowali w milczeniu. Słysząc było tylko, jak gra śledziona muła i skrzypią stare, niesmarowane koła powozu.

– Przepraszam – powiedziała Kora po jakimś czasie, odpędzając natrętnego gza – czy ja was czymś uraziłam?

– O nie, pani – cicho powiedziała Chariklo. – Ale, może wygodniej będzie ci jechać w powozie? My z Nikosem chętnie pójdziemy pieszo.

– Wasz stosunek do mnie zmienił się w chwili ujawnienia mojego imienia. – Kora postanowiła, że wyjaśni wszystko za jednym zamachem, nie przeciągając nieporozumienia. – Co was tak zaniepokoiło?

Zachichotała nerwowo, woźnica wzruszył ramionami i zeskoczył z powozu. Teraz szedł obok wozu, kulejąc, nie zamierzając mimo namów wejść na kozioł.

Dopiero teraz Kora zauważyła, że nogi woźnicy pokryte są szarą sierścią i zakończone rozdwojonymi kopytami, co nikogo, prócz Kory nie dziwiło.

– Raczysz, oczywiście, żartować, pani – powiedziała Chariklo.

– Ale muszę przyznać, że nigdy i nigdzie nie słyszałem, żeby Kora raczyła żartować. A jeśli nawet, to kończyło się to niemiło – zauważył Nikos.

„Co ja narobiłam! Czy powiedzieć im, że nie jestem tą Korą, za którą mnie wzięli? Że moja babcia Nastia mieszka pod Wołogdą? Tak, ale do założenia miasta Wołogdą brakuje jeszcze jakichś dwu tysięcy lat! A polski pradziadek to w ogóle dla pani Chariklo puste dźwięki”.

– Daleko stąd do Koryntu? – zapytał Kora, chcąc zmienić nieudany temat rozmowy.

– Nie, niedaleko – uprzejmie powiedziała Chariklo i z wyrzutem pokiwała głową – po co takie oczywiste pytania? – Dziś tam będziemy.

– A z Koryntu do Aten? – nader uprzejmym tonem pytała dalej Kora.

Uprzejmego tonu jej towarzysze nie wychwycili. Kora przechwyciła spojrzenie woźnicy, zapewne satyra z pochodzenia, zerkającego na boki, jakby zamierzał uciec.

– Od Koryntu do Aten jest dalej – grzecznie odpowiedziała Chariklo.

Znowu nastąpiła cisza.

Po prawej stronie drogi las skończył się, odsłonił się widok na łagodne zbocze wzgórza z winnicą – winorośl była niska, grona nieduże, owoce małe. Nie ma tu Miczurina, pomyślała

Kora.

– A wiecie, dlaczego nadano mi imię Kora? – zapytała, zdecydowawszy, że szczerść jest najlepszą polityką. Jak czegoś nie rozumieją, niech pytają. – Nazwano mnie tak, ponieważ moja mama była wielką miłośniczką Szekspira, a Kornelia z „Króla Leara” jest jej ulubioną bohaterką. Tak więc oficjalnie noszę imię Kornelia. Ale sądzę, że tak naprawdę to nikt tego nie wie. Nawet mój pierwszy mąż.

– Mąż? – bąknęła Chariklo.

– Ona ma na myśli Hadesa – posępnie wyjaśnił satyr Nikos. – Boga podziemnego królestwa zmarłych.

– Ach tak, rozumiem – zgodziła się Chariklo.

– Nikomu źle nie życzę – powiedziała Kora. – Ado was żywię wyłącznie wdzięczność za to, że pozwoliliście mi iść ze sobą. Tak się bałam. Powiedziano mi, że w tej okolicy hula niejaki Tezeusz. A razem przecież różnie, prawda?

Chariklo popatrzyła na Korę, jak na rozszalałą wariatkę.

– Z nami różnie? – powtórzyła słowa Kory w formie pytania. – A bez nas gorzej?

– Oczywiście, zawsze lepiej w kompanii. Tak dawno tu nie byłam..

– Oczywiście – zgodził się woźnica. – Pewnie trudno ci, pani, ze świadomością, że niedługo zaczną się deszcze, zrobi się zimno i trzeba będzie wracać... tam.

– Nikosie, zamilcz natychmiast! Chcesz ściągnąć na nas gniew samej bogini Persefony?

– Jeśli sądzicie, że jestem Persefoną – uprzejmie powiedziała Kora – to się mylicie. Nazywam się Kora.

– Oczywiście, nie odważylibyśmy się pomylić – powiedziała Chariklo. – Ale, pani, czyż nie nosisz dwu imion?

Cóż, przyjdzie na razie pogodzić się z niezbyt dobrą sławą.

– A słyszeliście coś o Tezeuszu? – zapytała Kora dziewczynę.

– Pochodzi z Trojzeny, jest wnukiem Pitteusa.

– Oczywiście, oczywiście. To ten Pitteus, co to podsunął swoją córkę pijanemu Ateńczykowi Egeuszowi – powiedział woźnica – a ten zrobił jej chłopczyka. Potem Pitteus przez wiele lat biegał i wykrzykiwał, że tego synka zmałstrował jej sam pan Posejdon.

– Nikosie, pani bogini może czuć się urażona za takie słowa o jej krewniakach.

– Wcale nie, wcale nie – zapewniła satyra Kora. – Ja go wcale nie znam. Przecież jestem tylko imienniczką waszej Kory!

Kora mogła przysiąc, że strach przed nią miesza się w spojrzeniach współtowarzyszy podróży z niezrozumieniem całej sytuacji i podejrzeniami co do stanu jej umysłu. Poza tym, gdyby nawet chcieli, nie mogliby uwierzyć w taki zbieg okoliczności, ponieważ bogowie są wrażliwi i mściwi. Nagle satyr wskazał coś przed nimi i powiedział z niepokojem w głosie:

– Patrzcie, ścierwojady krążą.

Chariklo poderwała się i stanęła na wózku, żeby lepiej i dalej sięgnąć wzrokiem.

– Och, nie podoba mi się to – powiedziała. – Może zawrócimy?

Zapytała woźnicę, ale pytanie dotyczyło również Kory.

– A co to może być? – zapytała ta.

– Ty, pani, możesz nie wiedzieć o takich, z twojego punktu widzenia, drobiazgach. Ale dla nas, prostych wędrowców, to jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc – oświadczył satyr Nikos.

– I niemało podróznym zapłaciło życiem i dobytkiem temu przekłętemu Perifetesowi – dodała Chariklo. – A właśnie, o nim też się mówi, że jest synem Posejdona z nieprawego łoża!

– O nie, pani – zaprotestował woźnica. – Jestem starym faunem, wiele widziałem, wiele słyszałem, ale ludzie doświadczeni uważają, że Perifetes jest synem Hefajstosa i Antyklei.

– Co ty mówisz! – zakrzyknęła, tupnąwszy nogą Chariklo, co spowodowało, że wózek zakołysał się, a muł potknął. – Czy ty wiesz, co mówisz? Chcesz powiedzieć, że on jest synem sprytnego Odyseusza?

– Uważam, że Hefajstos wpakował się do jej łoża, zanim jeszcze została żoną Syzyfa, nie mówiąc już o małżeństwie z Laertesem!

– A ty co, trzymałeś ją za nogi? – obruszyła się Chariklo. – Obrzucić błotem nieszczęsną kobietę rad każdy z was, capów! – I Chariklo wskazała na stopy woźnicy, stojącego obok powozu.

– Proszę nas nie obrażać, szczególnie w obecności potężnej bogini. Wiesz, co z nami będzie, jeśli się rozsierdzi?

– Przecież nie powiedziałam nic złego! – nie ustępowała Chariklo. – Bronię tylko czci kobiecej.

Woźnica zdjął kapelusz i podrapał się po czubku głowy. Ze sprężystych loków na głowie sterczały krótkie proste rogi.

– Nałóż kapelusz, nie strasz kobiety! – krzyknęła Chariklo.

– Da się zrobić – powiedział woźnica. – Mogę nie straszyć.

– Tak w ogóle, to dobry z niego chłop – wyjaśniła Korze Chariklo. – Ale wychodzi z niego pochodzenie, widoczne jak uszy Midasa. Słyszałaś, pani, co się stało z nieszczęsnym monarchą?

– Tak, tak, ośle uszy – powiedziała Kora. – Mogę o coś zapytać?

– Zawsze jestem gotowa odpowiedzieć, pani.

– To proszę mi wytłumaczyć, dlaczego marnujecie tyle czasu na rozwiązanie problemu, kto jest czym ojcem, kto z kim spał, kto do czyjego łoża wlaźł. Cały czas tylko o tym rozmawiacie.

– Żartuje – powiedział woźnica, zwracając się do pani Chariklo.

– To jasne, że bogini żartuje.

– A jeśli nie?

– No to co ma robić prosty człowiek? – pytaniem na pytanie odpowiedziała Chariklo. – Przecież muszę wiedzieć, kogo skrzywdziłam, a kto mnie skrzywdził, z kim mogę się pokłócić, a kogo lepiej ominąć boczkim, bo się człowiek nie pozbiera.

– W naszej wsi był taki przypadek – zauważył stary satyr.

– Pewna kobieta widziała, jak gęś zniosła jajo. Ta gęś była niczyja, taka sobie, zwyczajna gęś. Przyniosła kobieta to jajo do domu i wiecie, co się okazało?

– W jajku był jakiś obcy zarodek? – jęknęła Kora.

– Wcale nie, jajo było zwyczajne, świeże, dopiero co zniesione. Ale gęś, jak się dowiedziała, co się stało z jej jajem, rzuciła się do swoich współplemieńców. A – jak się okazało – jej odległym dziadkiem był ten łabędź.

– Ten łabędź – powtórzyła Chariklo.

– Ten, co zgwałcił Ledę!

– To znaczy zgwałcił, oczywiście, Zeus – poprawiła go Chariklo. – Ale przyjął postać prawdziwego łabędzia, który tak naprawdę był gąsiorem... Bo wtedy wszyscy byli gąsiorami, łącznie z łabędziami – dodała.

– A ten gąsior przez długi czas mieszkał w domu Pięknej Heleny, kiedy ta była jeszcze

dziewczynką... No więc ta gęś poskarżyła się Ledzie. Leda poskarżyła się swojemu bratu Kastorowi, Kastor zjawiał się natychmiast i odciął głowę nieszczęsnej kobiecie.

– Znałam ją – westchnęła Chariklo. – Wspaniała kobieta! A jakie ciasta piekła!

– Ale złoczyńca został ukarany? – zawołała Kora.

– Za co? Za to, że wystąpił w obronie krewnej, której zjedzono nienarodzone dziecię?

Zapadła cisza. Potem satyr powiedział:

– Nie inaczej, jak ten Perifetes zabił kogoś swoją żelazną maczugą. Ma taką...

– Byka może zabić.

– Może nawet nie jednego człowieka, a całą karawanę wybił.

– Czyli – powiedziała Chariklo – nachleptał się, zbój, ludzkiej krwi i chrapie.

– Co z tego wynika, pani? – zapytał satyr, jakby znał odpowiedź.

Chariklo zwróciła się do Kory:

– Wielka bogini – powiedziała. – Ciebie, pani, może nie interesują nasze drobne drzazgi i ziemskie uniki. Ale musimy jakoś przeżyć, musimy jeść i rodzić sobie podobnych.

Satyr zachichotał z niewiadomego powodu, Chariklo pogroziła mu sporą piąstką.

– Znamy doskonale tę drogę. Wiemy, za jakim zakrętem można natknąć się na smoka czy niedźwiedzia jaskiniowego, za jaką skałą rano czają się zbójce, kiedy i gdzie czyha na swoje ofiary Perifetes czy Sinis. Dopasowujemy swoje podróże do ich zwyczajów i słabości. Jeśli zbójce rano, to doświadczony kupiec przejedzie przez niebezpieczną polanę w południe.

– Chcesz powiedzieć, czcigodna Chariklo – powiedziała Kora – że obok rozbójnika Perifetesa należy przechodzić, kiedy już kogoś zabił i ograbił?

– Właśnie. I nie marnujemy nadaremno czasu. Miejmy nadzieję, że w przypadku śmiertelnego niebezpieczeństwa wielka bogini Kora nas obroni i ukryje w ciemnych czeluściach Hadesu. Ale nie na wieki, tylko póki nie minie niebezpieczeństwo.

Z tymi słowy Chariklo ukloniła się do ziemi Korze, a satyr gruchnął na kolana, niechcący odsłaniając przy tym zad – pokryty gęstą sierścią, sterczał zeń krótki koźli ogon.

– Zasłoń się, durniu – zawołała Chariklo i wskoczyła na wózek.

Satyr truchtał obok, Kora szła z drugiej strony.

Pokonawszy szczyt wzgóрка, znaleźli się nad szeroką niziną, którą zajmował stary zagajnik, z olbrzymimi, sięgającymi nieba drzewami orzechowymi. Wzrok sięgał daleko w głąb zagajnika, dlatego od razu zobaczyli człowieka, leżącego w cieniu orzecha. Leżał na plecach, rozruciwszy ręce, palce prawej dłoni omywał strumyk, na jego drugim brzegu siedziała naga dziewczyna.

– Ostrożnie, faunie – poleciła Chariklo. – Trochę to dziwne...

– Mam wzrok leśnego stworzenia, pani – odparł woźnica. – Powiem więc, że tam przy strumieniu siedzi najada, znam ją z widzenia, nawet kiedyś całowałem się z nią. Żyje w tamtym strumieniu.

– Nikosie, jesteś idiotą! – rozzłościła się Chariklo. – Powiedz lepiej, co to za trup leży przy strumieniu?

– Zbój Perifetes, bez wątpienia.

– Jak to zbój Perifetes? Nie wierzę własnym oczom.

– Znam tego tłustego wieprza od stu lat!

– Może leży, bo się opił korynckiego wina i rozkoszuje spokojem?

– A dlaczego woda w strumieniu zrobiła się czerwona – czyżby dziura w bukłaku?

– To nie bukłak, to bandzioch zbója.

Satyr zaczął poganiać muła, ten bez trudu zbiegł po zboczach; siedząca nad brzegiem strumienia najada podniosła się na ich widok i głośno zawołała:

– Zbrodnia, zbrodnia! Potworna zbrodnia! Zdradziecko zabity został i zmarł w męczarniach sprawiedliwy obrońca biednych wędrowców, mężny bojownik o prawa małych narodów Perifetes Szlachetny! O Bogowie, ratujcie ludzkość, poddaną teraz takim torturom!

Najada była ładniutka. Bardzo ładniutka. Niezmiernie długie ciemne włosy służyły jej za suknię.

– Przecież powiedzieliście, że Perifetes był zbrojcem? – zdziwiła się Kora.

– Oczywiście. I to jednym z podlejszych na tym świecie – przytaknął satyr.

– Nieprawda! – wrzasnęła najada. – Nie znacie go! On mnie kochał!

– Inne jego imię to Komet, co oznacza...

– Człowiek-maczuga – podpowiedziała Kora.

– Wyskakiwał zza drzewa na podróżnego i zabijał maczugą.

– A widzieliście to, widzieliście? – obruszyła się najada.

– Kto widział – rzekł faun – ten już nie opowie.

– Jak to się stało, panienko? – zapytała Kora, zbliżając się do strumienia i zatrzymując na mostku nad wodą.

– Och, nie przeżyję, nie przeżyję! – zawodziła najada. – Czekał na mnie na tym mostku. Biegłam do niego, uradowana zbliżającym się spotkaniem, gotowa oddać mu najcenniejsze, co ma każda z nas – dziewiczy wstyd.

– A czy jest ktoś, komuś go nie dała? – zdziwił się faun Nikos.

– Pamiętam cię od osiemdziesięciu lat, od chwili, kiedy stałaś się najadą tej strugi.

– Milcz, prostaku! – oburzyła się najada. – Nie było cię tu.

– A widzisz, kruszyno, zapomniałaś – roześmiał się faun. – Dobre pięćdziesiąt lat temu harcowaliśmy w tych oto krzakach, które zmieniły się w kasztanowy gaj.

Najada zerknęła w tamtym kierunku, ale niczego nie pamiętała.

– One są jak wiatr – powiedziała Chariklo. – Najady, nimfy, nereidy... Pamiętają tylko wczorajszy dzień i przyjemności dzisiejszego wieczora.

Kora przyglądała się olbrzymiemu umięśnionemu rozbójnikowi. Czaszkę miał zmiażdżoną, twarz zniekształconą.

– Czym go zabito?

– Wszystko widziałam! – oświadczyła najada. – To uczynił Tezeusz. Ten zbrodniarz Tezeusz. Z Trojzeny, wnuk tamtejszego Pitteusa. Szedł do Aten dokonywać swoich czynów. Wstręciuch, że sobie nie wyobrażacie! A mój ukochany Perifetes zobaczył go i, jak zawsze, uprzejmie zapytał, dokąd prowadzi twa droga, o miły cudzoziemcze...

Chariklo wzięła z wózka kawałek płótna i przykryła nim twarz zbója.

Najada rzuciła spojrzenie na swego ukochanego, ale tym razem nie poznała go.

– Kogoście tu położyli? – zapytała. – Przecież to mój strumień, tu nie wolno nikogo kłaść. Zwłaszcza jeśli to jakiś trup.

– Poczekaj – poprosiła ją Kora. – Opowiedz, co dalej czynił Tezeusz.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – kapryśnie rzuciła najada. – Kim jesteś, że ośmielasz się mnie wypytywać?

– Nazywam się Kora – padła odpowiedź. Najada drgnęła.

– Wybacz, o Koro – wyszeptała. – Wzięłam cię za ziemską kobietę. Co chcesz wiedzieć?

Nieszczęsna rzeczna istota drżała z przerażenia. Dlaczego wywołuję taką panikę u tych ludzi?! Przecież nie ma we mnie nic przerażającego. Może przewyższam ich wzrostem? Ale przecież ten zbój Perifetes wcale nie jest niższy ode mnie.

– Co było dalej? Tylko mów prawdę.

– Prawdę? No to muszę zacząć od samego początku, wielka bogini. Powinnam zacząć od tego momentu, kiedy na drodze pojawił się młody człowiek wysokiego wzrostu, zgrabny i bardzo miły. U pasa miał zardzewiały miecz w podartej pochwie, a na nogach bardzo stare sandały – zwróciłam na to uwagę. Nagle zza drzewa wyskoczył Perifetes z maczugą – miał ogromną żelazną maczugę. „Ja, krzyczy, jestem potężnym rozbójnikiem Perifetesem! Mów, kim jesteś, oddawaj wszystkie pieniądze, a potem pożegnasz się życiem”. A wtedy ten młodzian powiada: „Jestem Tezeusz, syn króla Aten i wnuk władcy Trojzeny, idę dokonywać czynów bohaterskich, w pierwszym z nich zamierzam uczynić coś na chwałę mojego wuja Heraklesa – mianowicie oczyścić ze zbrojów całe wybrzeże od Trojzeny do Aten”. A Perifetes zamachnął się maczugą i odpowiedział mu: „Teraz zabiję cię z czystym sumieniem, ponieważ zamierzałeś wyrządzić mi krzywdę”. I wrzasnął: „Stój w miejscu, zabiję cię!”. I uderzył swoją maczugą, ale ten chytry Tezeusz podle go oszukał.

– Jakże go oszukał? – zapytał faun.

– Odskokzył. Wyobrażacie sobie – Perifetes każe mu stać, a ten skacze na boki. Czy ludzie mogą się tak zachowywać?

– Może nie mogą, ale w przyszłości na pewno będą – powiedziała Chariklo. – Przecież to rozsądne – każą ci: podstaw głowę, a ty nie podstawiasz.

– Ale tak nie wolno! – zakrzyknęła najada.

– Skąd to wiadomo? – zainteresowała się Kora.

– Stąd, że mój kochany Perifetes wrzasnął do tego Tezeusza, że tak nie wolno, a Tezeusz i tak uchylił się od ciosu, i Perifetes gruchnął maczugą w drzewo.

Idąc śladem wskazującego palca najady, wędrowcy zobaczyli złamany w pół orzech o pniu, do objęcia którego potrzebnych byłoby dwóch mężczyzn.

– Ho-ho! – powiedziała Chariklo – nie dałby rady sam Herakles.

– Ale od uderzenia maczuga wypadła Perifetesowi z rąk – oświadczyła najada. – I wtedy... Nie, nie jesteście w stanie sobie tego wyobrazić! Ten oto Tezeusz podbiegł do maczugi, podniósł ją, z trudem rozkręcił nad głową i zmiażdżył czaszkę mojemu ukochanemu.

– Sądzę, że słusznie uczynił – powiedział satyr.

– Nie! – zaoponowała najada. – Przecież Perifetes mnie kochał!

– Sądzę – oświadczyła Kora – że kiedy Perifetes napadł na Tezeusza, to ten nie miał żadnej obrony przed maczugą. I nikt nie przeszkadzał rozbójnikowi Perifetesowi w odskakiwaniu.

– Odskakiwaniu? Jak to? On przywykł do zabijania wszystkich na miejscu. Jego brzuch leżał na pniu, jak tu skakać?

I wtedy Kora zrozumiała, że martwy zbój naprawdę był za życia bardzo grubym człowiekiem.

– I co zrobił wtedy Tezeusz? – zapytała.

– Zachowywał się bardzo dziwnie – powiedziała najada. – Pomachał jeszcze trochę maczugą i powiedział na głos, że jest dla niego za ciężka. Powiedziawszy tak, od razu wyrósł o piędź i zrobił się o piędź szerszy w barach. Potem pomachał znowu maczugą i powiedział: „Teraz jest akurat”. Krzyknęłam do niego, że zgadzam się, by mnie wziął w charakterze zdobyczy. Że się zgadzam, by mnie uciskał i pobierał ode mnie ofiarę... Aten nawet nie popatrzył na mnie. Parszywy zboczeniec.

– Teraz jest dla mnie jasne, dlaczego ona tak przeklinała Tezeusza i tak żałowała Perifetesesa – powiedziała pani Chariklo. – Została bez obrońcy i ukochanego.

– Właśnie – powiedziała nimfa. – Na dodatek kompletnie nie mam pojęcia, jak mam pochować tego umarlaka.

Kilka ścierwojadów już chodziło dokoła ciała, oczekując, kiedy ludzie odejdą i pozwolą im skosztować człowieczej padliny.

– O to proszę pytać panią Korę – powiedział woźnica. – To jej specjalność.

– O, wielka bogini. – Nimfa padła Korze do stóp. – O ty, Persefono, władczyni królestwa zmarłych, pani potworów, zrywająca ostatnie nici, co wiążą żywych ludzi z tym światem. Proszę, przywołaj któregoś ze swych sług, żeby zakopali ciało tego wstrętnego zbrojaka.

Więc Kora i Persefona to ta sama postać, która jest żoną jakiegoś Hadesa i wiąże się jakoś ze śmiercią.

– Nie – odpowiedziała nimfie. – Uważam, że będzie pożyteczne, jeśli inni zbrojacy dowiedzą się, że ich Perifetes leży bez pochówku, albowiem człowiek mordujący niewinnych, niegodny jest innego losu.

– Słuchajcie, słuchajcie! – zawołała Chariklo. – Oto słowa mądrej bogini.

Pozostali słuchacze zaklaskali. W tym czasie Kora mogła spokojnie się zastanowić. Pierwsza i najważniejsza rzecz – jest na dobrej drodze. Perifetes był jeszcze ciepły. Najada nie zdążyła o nim zapomnieć. Czyli Tezeusz nie mógł odejść zbyt daleko. To oznacza, że Tezeusz dotrzymał słowa i wyruszył wybrzeżem, by oczyścić szlak handlowy ze zbrojców. I pewnie na drodze do Aten trafi jeszcze na kogoś. W jakim stopniu jest niebezpieczny? Jak realna jest podmiana zbrojaka kimś z klanu Clarence'a albo sług damy Ragozy?

– Pani Chariklo – poprosiła Kora. – Proszę mi powiedzieć, czy stąd do Aten można spotkać rozbójnika?

– Bez wątplenia – powiedziała Chariklo. – Przed nami, na Istmie, siedzi Sinis, syn Pimona, nazywają go Pitiokomptem. Co to znaczy?

– To znaczy „Zginacz sosen” – uprzejmie podpowiedziała Kora.

– No właśnie. Sinis siedzi na górze, z prawej – Zalew Koryncki, z lewej – Saronicki. Dookoła niego szumią olbrzymie sosny. Kiedy Sinis spotka wędrowca, przywiązuje jego prawą rękę do czubka jednej sosny, a lewą do czubka drugiej. Kiedy puszcza te drzewa, one prostują się i rozrywają wędrowca na pół. W porównaniu z nim Perifetes to miłutki chłopczyk.

– Ale wyniki mają podobne – zauważyła Kora.

– Wynik tak. Ale można zabić człowieka humanitarnie, a można – jak zwierzę – powiedział faun. – Kiedyś, jak będę miał dobry humor, pokażę ci różnicę, bogini.

– Przestańcie wreszcie nazywać mnie boginią! – wybuchnęła Kora. – To przypadkowy zbieg okoliczności.

– Słuchamy i jesteśmy posłuszni, wielka bogini – na wszelki wypadek nie oponował faun.

– Czy już dziś zobaczymy tego zginacza? – zapytała Kora.

– Nie, pani – odpowiedziała Chariklo. – Dziś wieczorem dotrzemy do naszego domu i będę spała ze swym kochanym mężem.

– A od domu do Aten jeszcze daleko?

– Brzegiem – trzy dni marszu. Ale ty, bogini, jeśli zechcesz, możesz dolecieć.

– Nie – odparowała Kora. – Zostawiłam skrzydła w domu. Towarzysze podróży popatrzyli na nią

ze zdziwieniem. Jakie znowu skrzydła? Co to, bogini nie może dolecieć bez skrzydeł? Ale nie sprzeczała się z nią.

– Pójdę do Aten na piechotę.

– Jak chcesz, bogini – powiedziała Chariklo. – W takim razie, jeśli się nie brzydzisz, przyjmij naszą gościnność i spędź noc w naszym skromnym domu.

– W naszej stajni! – dodał faun Nikos i bezczelnie zarechotał.

– Kiedyś cię zabiję – wściekła się Chariklo, ale woźnica śmiejąc się, odbiegł na bok, opędzając się przed niewiastą kapeluszem.

– Dziękuję ci, dobra kobieto – powiedziała Kora. – Z przyjemnością i wdzięcznością skorzystam z twego zaproszenia.

Miasto Korynt, z jakiegoś powodu znane Korze z historii starożytnego świata, chociaż dlaczego, nie potrafiła sobie przypomnieć, nieoczekiwanie ukazało się jej oczom, gdy tylko droga, wijąca się wśród kamienistych wzgórz, wyskoczyła na wolność, ku morzu. Tam, na granicy burej, zielonej, żółtej, pomarańczowej jesiennej ziemi i fioletowego morza, leżało miasto: domy, domeczki i chaty, otoczone winnicami, oliwkowymi zagajnikami i ogrodami. Szczera radość ogarnęło towarzyszy Kory.

– No i jesteśmy w domu – powiedziała pani Chariklo.

– I znowu żywi – podtrzymał ją stary satyr.

Muł, uradowany bliskością stajni, przyspieszył na wiodącej w dół drodze i zmuszeni byli biec z boków wózka, starając się utrzymać bukłaki z winem – szkoda by przecież było stracić towar o dwa kroki od domu.

– Jak tam się ma mój Chejron!?! – zapytała niespokojnie Chariklo. – Schudł pewnie przez ten tydzień.

– Już on tam sobie znalazł jakąś kózkę, która go i karmiła, i ogrzewała – cynicznie oświadczył woźnica, ale Chariklo nawet nie zwróciła uwagi na bezczelne słowa – jej spojrzenie biegło do przodu, do domu, rodziny.

Wózek minął bramę w murze miejskim, który, zapewne, bronił miasta przed sąsiedzkimi kozami, koła zaturkotały na nierównym bruku głównej ulicy. Przechodnie z daleka poznawali panią Chariklo i kłaniali się jej, witali, z ciekawością zerkając na Korę.

– Jak interesy? – pytali handlarze na malutkim targowisku obok drewnianej, pochylonej na bok świątyni. – Żywa jak widzę? Perifetes nie skrzywdził?

– Nie ma już Perifetesa – odpowiadał satyr. – Perifetes przekreślił się.

– To być nie może!

Ale inny kupiec poparł satyra.

– To prawda. Dopiero co przelatywały tędy dwie harpie, tam, nad ogrodami. Żona pyta: „Co tak latacie?”, a one odpowiadają: „Tam Tezeusz rozbójnika Perifetesa zabił. Spieszmy się podjeść, póki nikt trupa nie ukradł”.

– Haipie, wiadomo, łągać mogą – powiedział ktoś.

– Co to będzie, co to będzie! – nagle rozjęczała się jakaś kobieta, handlująca koralami z różnokolorowego szkła.

Handlarze zaczęli pakować swoje towary, a nieliczni kupujący nie protestowali – wszyscy zaczęli śpieszyć się do domów, jedni, by podzielić się nowiną z rodziną, inni po to, aby się ukryć i przeczekać kolejny czas niepokoju i chaosu. Przecież jeśli jest już jakiś zbój i zawsze macha swoją maczugą, to musi to być miłe bogom. Lepiej się podporządkować i nie ruszać zbójcy, leciwego już mężczyzny, zajętego może i niezbyt szlachetnym rzemiosłem, ale – co by o tym nie mówić! – rzemiosłem! Atu ci nagle pojawia się młodzieniaszek, siedemnastoletnie chłopię i zabija go na śmierć! Przecież się mówi, że po Perifetesie pozostała niepokieszona najada i czereda spłodzonych

z leśnymi istotami dzieci i wnuków. Może bogowie rozpatrzą sprawę i zdecydują, że Tezeusz nie miał takiego prawa, wtedy może i Korynt oberwać, choćby za to, że ktoś go kiedyś założył zbyt blisko pola walki.

Przy akompaniamencie niespokojnych okrzyków handlarzy i tupotu mieszkańców wózek pani Chariklo podjechał do bramy w wysokim murze z głazów.

Satyr stuknął w bramę ręką batem, ale tylko raz, skrzydła ze skrzypieniem rozwarły się, za nimi stała służka, miała kopyta i rogi, niewątpliwie krewniaczka satyra.

– Pani, witaj! Witaj, ojcze! – zawołała radośnie. – Nie oczekiwaliśmy was tak szybko. Myśleliśmy, że dopiero po zmroku przyjedziecie, kiedy Perifetes położy się spać.

– Nie ma już Perifetes! – poinformował ją satyr.

Wózek wjechał na dziedziniec. Zwyczajne domowe podwórko: po prawej – wejście do domu, wysokiego, ale parterowego, po lewej – obszerna stajnia.

– Gdzie jest mój mąż? – zapytała Chariklo.

W jej głosie słyhać było napięcie, jakby bardzo ją niepokoił stan męża. „Pewnie ma starszego od siebie męża, może nawet leciwego, pomyślała Kora. Może nawet jest sparaliżowany?”

Młoda satyreczka pokłoniła się pani i nie wiadomo dlaczego, tępo powtórzyła:

– Myśleliśmy, że przyjedziecie dopiero wieczorem, kiedy Perifetes zaśnie.

– Rozładuj towar – poleciała Chariklo. I od razu zapytała: – Gdzie on jest?

Satyreczka strasznie się zmieszala i nie mówiąc ani słowa, palcem wskazała stajnię.

– Przepraszam, ale znasz, pani, ich nawyki – powiedziała Chariklo do Kory. – Nic na to nie można poradzić.

Wyrwała satyrowi z ręki bat i zdecydowanym krokiem pomaszerowała w kierunku stajni.

Pozostali z zainteresowaniem ruszyli za nią, nikt ich nie zatrzymywał. Kora, mimo że była świadoma braku taktu w takim zachowaniu, poszła za nimi.

W stajni było jasno – promienie słoneczne, przenikając przez wąskie świetliki pod dachem, oświetlały poidła, sterty siana, w słupach światła szybowały złociste drobiny kurzu.

Olbrzymi jeździec robił coś z krową, która trafiła mu między nogi, migoce światło, krowa ryczy, jeździec krzyczy i chrypi, pani Chariklo skoczyła do niego i okłada batem.. I tu Kora nagle omal nie zemdląła ze zdziwienia.

Zrozumiała, że patrzy na olbrzymiego, brodatego i rudego z siwizną centaury – do pasa człowieka, który rękami przyciąga do siebie za rogi krowę – a dalej widać korpus konia, końskie nogi, koński ogon i ten tego... też końskie. Kora widziała zatem, jak centaur kocha się z krową... czy może to się określa innym słowem... jak centaur pokrywa krowę?

Chariklo ganiała dookoła nich i siekla batem, kogo popadło – i krowę, i centaury. A ten jęczał i wrzeszczał:

– Poczekaj, żono! Poczekaj-że, skończę, wyjdę...

Ale krowa, niezadowolona widocznie z tej sceny, szarpnęła się do przodu, kopnęła centaury i pognęła ze stajni, na pożegnanie chlaśnieła batem przez rozgniewaną gospodynię. Centaur zatupał przednimi nogami, również okazując niezadowolenie. Podnosił do góry głowę, zadzierał ozdobioną siwizną brodę, rżał i wrzeszczał:

– Kto jest w tym domu gospodarzem? Wszystkich powyrzucam!

I wyglądał przy tym tak groźnie, że wszyscy wybiegli ze stajni i znaleźli się na zalanym popołudniowym słońcem podwórzu.

Chariklo cisnęła batem o ziemię i zniknęła w domu, zapomniawszy zaprosić Korę; satyr Nikos zajął się wyprzęganiem muła. Inni słudzy i niewolnicy, którzy zbiegli się, słysząc krzyki w stajni, powoli rozeszli się do swoich spraw, a w drzwiach stajni pojawił się centaur. Gospodarz domu wychodził wolno i ostrożnie, i dumnie przy tym, co prawda nie zdążył jeszcze rozczesać brody, sterczały z niej słomki, drzazgi, a we włosach przechodzących w grzywę, zaplątały się nawet patyczki i siano.

– Pozwoli pani, że się przedstawię – rzekł centaur. – Jestem Chejron, wielce doświadczony i mądry centaur, gospodarz tego domu, prawowity małżonek czcigodnej pani Chariklo. Z kim, przepraszam, mam przyjemność?

Chejron wyciągnął do Kory rękę, a spojrzenie jego chutliwych oczu tak bezczelnie wędrowało po jej ciele, że Kora zapragnęła przypomnieć Chejronowi, że nie jest krową.

– Kora – powiedziała, podając rękę i ściskając ciepłą, twardą dłoń centaury.

– Jak? – Centaur był zmieszany, i to tak mocno, że aż się cofnął. Ale natychmiast się opanował. – Czy się nie przestyszałem? – zapytał. – Zdarzało mi się spotykać z Korą, którą w tych okolicach mianują Persefoną, władczynią królestwa zmarłych. Ale ona istotnie różniła się od ciebie, pani. Czy oznacza to, że świadomie przybrałaś obce miano, czy mamy do czynienia ze zwyczajną przypadkową zbieżnością imion?

Nareszcie jakiś cywilizowany człowiek! Kora z ulgą przyznała się:

– To przypadek. Ale nikt mi nie wierzy.

– Zbieżności i przypadków – oświadczył centaur, wpijając się palcami w brodę i wyczesując z niej źdźbła słomy – w greckiej mitologii jest więcej nawet niż potrzeba. Co druga postać ma kopię. Weźmy, na ten przykład... No, kogo tam weźmiemy? Na przykład, Partenos. Nie znasz, pani? Znałem jedną z nich, czarującą, cichą, skromną dziewczynę. Nie mogę powiedzieć, że była ładna, nie, ustępowała wielu rozpustnym nimfom i najadom. Ale jaka postawa, jakie wiśniowe oczy pod długimi rzęsami! Jak delikatny głos i ruchy szczupłych rąk... Mimo tego, że jej ojcem był, bez wątpienia, Stafylos, wszyscy byli przekonani, że Chrysotemis wpuściła do swego łóżka Apollona. Bo inaczej, dlaczego tak by kochał to dziewczę? Dlaczego przysyłał jej kwiaty i cukierki na wszystkie święta? Chrysotemis przysięgła przy mnie na imię Zeusa, że nie miała żadnych stosunków z Apollonem, że tylko przyjaźnili się kiedyś w dzieciństwie... Zresztą, wierzę Chrysotemis, i o ile przyjdzie kiedyś wam się spotkać, będziesz mogła, pani, sama zadać jej to pytanie.

Broda już została oczyszczona i centaur zapuścił palce w grzywę, a żeby tego dokonać, musiał wygiąć szyję. Mówił głośno, zezując końskim okiem, nieco dziwnie wyglądającym na ludzkiej twarzy, w stronę kuchni, skąd dochodziły odgłosy ciskanych przez Chariklo garnków.

– No i co się stało? – ciągnął opowieść. – Stafylos, wyróżniający się surowością, posłał Partenos z siostrą, nie pamiętam jej imienia... Chariklo, duszko, jak się nazywała siostra Partenos?

Zero odpowiedzi.

– Stafylos kazał Partenos i jej siostrze pilnować piwnicy, w której znajdowały się amfory z młodym winem... Ciekawe, jak ten idiota Nikos poukładał bukłaki?

– Świetnie poukładał – odezwał się stary satyr, który akurat w tym momencie wyszedł z kuchni, niosąc stos placków, od których bił kuszący wielce zapach.

Centaur nieco się zmieształ i natychmiast przeszedł do ciągu dalszego opowieści o Partenos:

– Te wstrętne świnię... Nie znoszę świń... wlały do piwnicy, kiedy dziewczęta według jednej z wersji spały...

– A według innej zabawiały się z Apollonem! – zawołał z drugiego końca podwórza satyr.

– Milcz. To, co nie jest dowiedzione, nie może być faktem historycznym – zrugął go centaur. –

Najważniejsze jest to, że dziewczyny, gdy zobaczyły, iż piwnica jest pełna spitych w trupa świń, a wszystkie amfory są potłuczone, wpadły w panikę. Przewidując karę, jaką wymierzy im ojciec, pobiegly w stronę morza.

– Wszystko było inaczej! – zgłosił zdecydowany sprzeciw satyr Nikos, wychodząc na środek podwórza. – One zobaczyły, że wina już nie ma i chciały o tym powiedzieć ojcu, ale ten, na widok zniszczeń, postanowił, że zabije córki i dlatego one uciekły do morza.

– To brednie! – oświadczyła Chariklo, pojawiając się w innych drzwiach. Trzymała w jednej ręce nóż, w drugiej cebulę. – Znam Stafylosa, to dobry człowiek. Kochał swoje córki nad życie.

– Ale przecież dziewczęta rzuciły się do morza! – ryknął Chejron.

Nie otrzymał na swój krzyk odpowiedzi. Scena opustoszała. Centaur mógł dokończyć swą opowieść:

– Rzuciły się do morza, ale Apollon złapał dziewczyny tuż nad wodą i zabrał od okrutnego ojca do Chersonezu. Tam one zamieszkały. Może wiesz, pani, gdzie leży Chersonesz? To daleko na północy, na skraju krainy Scytów i Hiperboreów, zwanej Taurydą. Wyszły tam za męża, a Apollon odwiedzał Partenos...

– Wszyscy faceci to rozpustnicy! – zawołała Chariklo z kuchni.

– Nie zwracaj na nią uwagi, Persefono – powiedział Chejron. – Ale zupełnie zapomniałem, po co opowiadam ci historię Partenos? Czyżbyście się znały?

– Nie, szanowny Chejronie – odparła Kora. – Mówiłeś o tym, że jedno imię nadawano różnym osobom.

– Słusznie! Właśnie tak! Przecież żyła też inna Partenos. Była córką tejże samej Chrysotemis, urodziła się kilka lat przed drugą Partenos. No więc jej ojcem na pewno był właśnie Apollon. Rozumiesz, pani?

Kora skinęła głową, żeby tylko stary centaur znowu nie wdawał się w objaśnienia. Była straszliwie zmęczona, zarówno z powodu uciążliwości podróży, jak i emocji związanych z akcją, i – szczególnie – z powodu monotonnego głosu Chejrona.

– Druga Partenos zmarła młodo, czy nawet w dzieciństwie. Może jednak w młodości. Ale umarła, nie poznawszy mężczyzny. I wiecie, co zrobił Apollon? Zmienił ją w gwiazdozbiór Panny. Jakby nasze niebo bez niej nie było zapchane gwiazdozbiorami, jak targowy plac w świąteczny dzień. Ale była też i trzecia Partenos, tak nazywano Atenę w jej dziewiczym wcieleniu. Jeśli będziesz, pani, w Atenach, obejrzyj świątynię Partenos. Tak ją nazwano na cześć Ateny. Domyśliłaś się, pani, prawda? Partenos – dziewica! Partenon – dziewicznik! – W tym momencie centaur zarżał, zabawnie tupiąc wszystkimi czterema nogami. Kora nieco odsunęła się – zdenerwowany mógł ją potrącić. Wyśmiawszy się, centaur zrobił poważną minę i dokończył swą myśl. – Tak więc całkiem możliwa jest zbieżność imienia Kora z imieniem wielkiej bogini piekła. I sądzę, że taka zbieżność może przeszkadzać ci w życiu. Z trudem mogę wyobrazić sobie mężczyznę, który zdecydowałby się na ożenek czy choćby wejście do łóża kobiety o imieniu Śmierć.

– Chejronie, przestań przesadzać! Pani Kora jest boginią dziewicą, córką samego Zeusa!

– I Demeter!

– Zeusa i Demeter.

– A Hades porwał ją do podziemnego królestwa i zmusił do zjedzenia ziaren granatu, żeby

zawsze dochowała mu wierności.

– Centaur odwrócił się do Kory i szybko zapytał: – Granat był kwaśny?

– Proszę mnie nie próbować złapać na kłamstwie, panie Chejronie – odpowiedziała Kora, która, cokolwiek by o tym nie mówić, była agentką numer trzy InterGpolu i na takie prymitywne sztuczki nie dawała się nabrać. – Mimo wszystko nie jestem tą Korą, za którą się mnie bierze. Ale jeśli będzie pan za mocno nalegać, żebym nią była, to postaram się nią stać. Ale to nie wyjdzie wam na dobre!

Te słowa zmusiły centaury do chwili zastanowienia się. A dość naiwna i niespecjalnie mądra pani Chariklo rzekła:

– Przecież uprzedzałam was, że to właśnie owa Kora.

Kora w myślach machnęła ręką, a centaur wykorzystał chwilę ciszy, by poprawić rodzinne stosunki.

– Więcej nawet – powiedział. – Niektórzy znani wszystkim bogowie i tytani, a także inne istoty nie mniej niebezpieczne dla nas, zwyczajnych śmiertelnych, mogą przyjmować na jakiś czas inny wizerunek. Kiedy Zeus zapragnął Ledy, stał się łabędziem. Jak więc mogła nieszczęsna Leda przypuścić, że pod postacią niewinnego ptaka do jej stóp skrada się wredny mężczyzna?

– Po co to wszystko opowiadasz? – podejrzliwie zapytała Chariklo.

– Dlatego, że dziś stałem się niewinną ofiarą kolejnego dowcipu potężnej, ale podłej bogini Hery. Nie wiadomo dlaczego wpadła na pomysł, by na jakiś czas przyjąć postać naszej krowy Eos i zwabić mnie do chlewu pod pozorem nakarmienia jej pęczkiem siana.

– Ta-ak... – wycedziła Chariklo, jakby trzymała w ręku kańczug, a nie kartofel, który nie powinien być znaleźć się w starożytnej Grecji i dlatego na oczach Kory przemienił się w rzepę. – I co zatem się działo dalej, mój ty miłośniku karmienia krów?

– Nie pamiętam – odparł centaur. – Zabij – nie pamiętam. Chyba dałem jej siana, a ona poprosiła, abym ją podrapał za uchem...

– Krowa? Za uchem? – zapytała Chariklo, wstrząśnięta bezczelnością męża.

Kora z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

– Potem się ocknąłem – ciągnął centaur – bo poczułem, że walisz mnie biczem, jak starego wałacha.

– Bo i jesteś wałachem, tyle że rozpustnym.

– Tego typu logiczne błędy są specjalnością głupich kobiet – powiedział Chejron. – Wałach nie może być rozpustny. Na dodatek muszę poskarżyć się naszemu gościowi – a ona, nawiasem mówiąc, może jest Persefoną – że stałem się ofiarą intrygi bogini Hery, która od dawna szukała drogi do mojego serca i, oczywiście, nie mogła jej znaleźć z powodu mojej wierności Chariklo. Płonąc z chęci dzikiej zemsty, Hera już nie tyle chciała mnie skusić, ile zemścić się na mnie z powodu wierności żonie – jedynej prawdziwej kobiecie wśród wszystkich żon centaurów! Z jakimż diabelskim wyrafinowaniem dokonała tego! Posłała do zbója Perifetesa młodego Tezeusza, stworzywszy tym sposobem mojej żonie drogę do wcześniejszego powrotu do domu. Zaciągnęła mnie do komórki właśnie wtedy, gdy, według moich obliczeń, do powrotu Chariklo do domu zostawało jeszcze dwie godziny, i tam... Tak, straciłem czujność! Tak, przyznaję się do winy! Ale wina nie była zamierzona! Rozumiesz mnie, Chariklo?

– Rozumieć rozumiem – wolno, z namysłem powiedziała kobieta. – Ale co ma do tego mój wcześniejszy powrót?

Centaur rozłożył ręce, żeby cały świat widział, jaką ma głupią żonę. Ale świat, nawet jeśli to

zrozumiał – przemilczał. Wtedy centaur przegiął:

– I jeśli skłamałem choć jednym słowem, niech mnie ukarze Hera.

Natychmiast w powietrzu nad podwórkiem pojawił się szary kłębiący obłoczek. Na nim, jak na miękkiej kanapie, zasiadała groźnie wyglądająca kobieta z dużym nosem, jaskrawymi kapryśnymi wargami i mocno zarysowanym podbródkiem.

– Że niby ja zabiegałam o tego capa? – zapytała grzmiącym głosem. – Tego kłamcę? Niechże od tej chwili ani jedna kobieta, ani jedna centaurzyca czy nawet koza, nie zostanie skrzywdzona jego chucią. Chejronie, od dziś przyjdzie ci zajmować się filozofią!

Wskazała palcem w dół, z jej palca uleciała mała niebieska błyskawica, która sięgnęła brzucha centaury.

Straszliwie ryknął centaur Chejron z powodu niewyobrażalnego bólu. Bryknąwszy, pognął dookoła podwórka, wybiegł za bramę i stukot jego kopyt, stopniowo cichnąc, oddalił się w kierunku morza.

– Zadowolona? – zapytała bogini Hera z obłoku.

– Ukarać go, bogini, na pewno należało – przyznała Chariklo. – Ale zapomniałaś o moich interesach.

– Nigdy mnie nie obchodziły interesy oszukanych żon – odpowiedziała bogini.

Obłok zaczął wolno wznosić się. Chariklo zaniepokoiła się.

– Hero! – krzyknęła. – Przecież sama jesteś żoną!

– Mój mąż robi, co chce i z kim chce. Nie mam nic przeciwko temu, sama postępuję identycznie. Radzę ci pójść za moim przykładem.

– Ale ja chcę tego tylko z moim mężem!

– Ja też tego chcę, ale nie przyznaję się.

– Błagam cię, bogini... zwróć mu...

Ale Hera już rozplynęła się wśród chmur. Tylko długi, biały ślad jak po samolocie, pozostał pamiątką po niej na bezbarwnym przedwieczornym niebie. Chariklo rzuciła się na ziemię, w kurz, i zaczęła szlochać. Kora rozumiała ją, ale co mogła pomóc? I tym bardziej zrobiło się jej głupio, gdy Chariklo, nie wstając z ziemi, wyciągnęła ku niej ręce i zaczęła błagać:

– O wielka bogini, dająca życie i odbierająca je, zrozum swoją nieszczęsną siostrę. Wołaj złośliwej bogini Hery...

Głos, oddalony, ale potężny, dotarł do nich z górnych warstw atmosfery i przerwał monolog Chariklo:

– Nie złośliwej, ale obrzuconej kalumniami, poniżonej i nazwanej krową! Fuj!

Chariklo zamilkła na kilka chwil. Musiało do niej dotrzeć to, co teoretycznie wiedziała wcześniej: bogowie są w stanie słyszeć śmiertelników ze znacznej odległości. I mogą im odpowiedzieć z niebios.

Ale, pomilczawszy, dokończyła monolog:

– Bogowie nie darowali nam z Chejronem syna. Mamy tylko córkę Eneidę, tak małą, że opiekują się nią nianie i mamki. Jeśli zatem Chejron będzie zdolny tylko do filozofowania, to skąd weźmiemy następcę?

I głos z nieba odpowiedział:

– Nie przejmuj się, kobieto. Zawsze znajdzie się bóg lub półbóg, który podaruje ci syna za dobrą kolację albo kielich wina.

– Tylko nie to! – zawołała Chariklo. – I w ogóle – nie chcę cię słuchać, bogini.

W odpowiedzi z kosmicznej dali dał się słyszeć ironiczny chichot Hery.

Chariklo wstała i zapytała Korę:

– I co teraz będziemy robić?

– Po pierwsze, to minie. Poboli i minie.

– Tak sądzisz? – Twarz Chariklo rozjaśnił radosny uśmiech.

– W najgorszym przypadku masz przecież córkę, pewnie bardzo podobną do ojca.

– Zwariowałaś, Koro! – obruszyła się Chariklo. – Chwała bogom, Eneida ma normalne nóżki i rączki. Centaur-mężczyzna, to jeszcze ujdzie, ale centaurzyca – nie, lepiej już umrzeć jako kobieta bezdzietna, niż tulić do łona dziecko z kopytami!

Chariklo rozejrzała się. Na podwórzu panowała cisza. Domownicy ukryli się, wstrząśnięciu wydarzeniami.

– Idę – powiedziała – poszukam swego męża. Bo jeszcze go gdzieś poniesie w niebezpieczne miejsce albo pobije się z kimś.

Może i jest mądry, może nawet, jak mówią, najmądrzejszy z centaurów, ale, sama rozumiesz, to jednak nie do końca człowiek, ma instynkty zwierzęce.

– Idę z tobą – powiedziała Kora. – Ciekawa jestem Koryntu. Poza tym mogę ci się przydać.

– Jaka jest, ale bogini zawsze się przyda – odpowiedziała Chariklo czymś w rodzaju przysłowia.

Przy bramie dogonił je satyr Nikos. I chociaż Chariklo chciała, by został w domu, przypilnował gospodarstwa i żeby bukłaki z winem zostały dobrze zamknięte w piwnicy, to ten jednak poszedł za kobietami.

Przechodnie, zorientowani, że w domu Chejrona wydarzyło się nieszczęście, ale nie wiedzieli jeszcze jakie, gotowi byli pomóc Chariklo. Dręczony potwornym bólem centaur miotał się po ulicach i zaułkach Koryntu spiralą – tak, że widzieli go wszyscy, ale dokąd się kierował, nie wiedział nikt.

W końcu, kiedy słońce dotknęło swym brzegiem wzgórz Istmy na wąskim przesmyku, oddzielającym Peloponez od Attyki, kobietom udało się dogonić centaura. Ten włókł się między wątlymi sosenkami, wydając się Korze postacią z teatru cieni, wymysłem bajkopisarza, a nie realną istotą, z żoną, która zdarła podeszwy w poszukiwaniu nieszczęsnego męża.

– Chejronie! – krzyknęła Chariklo. – Chejroneczku, kochany, wróć do domu, kocham cię!

Jej krzyk przeleciał ponad wzgórzami, opadł ku Zatoce Saronńskiej i spowodował, że centaur zatrzymał się i znieruchomiał.

Odwrócił się w kierunku głosu i widocznie zobaczył żonę.

Wolno, z miną winowajcy, ruszył w ich kierunku.

A one czekały w milczeniu. Jesienny, i tak niezbyt gorący dzień zmienił się w chłodny, nawet wyraźnie chłodny wieczór. Spocona sierść mętnie połyskiwała w promieniach zachodzącego słońca.

Chejron zatrzymał się o kilka kroków od Chariklo i wolno ugiął przednie nogi.

– Niech tak będzie – powiedział i otarł łzę.

Chariklo podeszła i objęła męża za szyję. Kiedy stał na kolanach, zrównali się wzrostem. Kora poczuła, że coś drapie ją w gardło.

– Jak będziemy żyli? – cicho zapytał Chejron, głaszcząc żonę po mocno skręconych pierścionkach włosów.

– Jakoś tam będziemy.

– Pójdę do lekarza. Asklepios mi pomoże. Uczyłem go czytać – powiedział Chejron – kiedy był

chłopcem. Wielu przecież uczyłem.

Kora gdzieś słyszała, że Asklepios to greckie imię Eskulapa, a Eskulap był ordynatorem świata antycznego. Ale i tak ten nieszczęsny centaur przesadza...

– Pogadaj z Jazonem – poradziła mu żona. – Jest już dorosły, będzie z niego znakomity heros. Achilles też ci sporo zawdzięcza.

– Pójdę do Heraklesa. To sprawiedliwy mąż. Powinien mi pomóc.

– Hej, patrzcie, znowu Sinis szaleje!

Kora popatrzyła do góry, na teatr cieni, postacią którego chwilę temu był Chejron. Na tle pomarańczowego nieba widniały sosny. Kora nie sądziła wcześniej, że w Grecji mogą rosnać sosny, raczej wyobrażała sobie tutaj palmy daktylowe, których z kolei wcale tu nie widziała.

Sinis... Sinis. To ten zbój, który żyje na Istmie, czyli na przesmyku. I na przesmyk właśnie Kora patrzy...

Między sosnami można było zobaczyć dwie małe ludzkie postacie. Kora pomyślała, że przydałaby się lornetka.

– Co oni tam robią? – zapytała.

Centaur podniósł się z kolan i również popatrzył w tamtym kierunku.

– Gdybym mógł, dawno bym się z nim policzył. Ale on ma mocne plecy na Olimpie. Mówi się...

– Proszę, tylko nie mów, że jest nieślubnym dzieckiem Posejdona! – jęknęła Kora. – Nie zdzierzę już tego.

– Najprawdopodobniej jest nieprawym synem Posejdona i Selii, córki Koryntu, założyciela naszego wspaniałego miasta – oświadczył Chejron, który, kiedy sprawy dotyczyły bogów i skomplikowanych rodzinnych powiązań kochliwych Greków, tracił poczucie humoru i w ogóle tracił wszystkie uczucia, poza czią i szacunkiem.

– Ileż ten Posejdon ma dzieci?

– To nie nasza sprawa ich liczenie.

– Ale przecież tym sposobem mogą cię okłamywać. Skąd będziesz wiedział, jeśli ci powiem, że jestem córką Posejdona, czy to prawda lub nie?

Wszyscy roześmiali się głośno – dowcip na tym poziomie był przyjęty z zadowoleniem. I kiedy zdziwiona Kora uniosła brwi, trzyosobowy chór zakrzyknął:

– Łatwo jest naigrywać się ze śmiertelników tej, której ojcem, bez wątpienia, jest sam Zeus...

– Który nigdy temu nie zaprzeczał – uzupełnił trójgłos centaur.

– Znowu – dwadzieścia pięć – mruknęła do siebie Kora. Nie wdawała się jednak w spór z rodziną Chejrona, ponieważ wydarzenia na szczycie wzgórza przybrały dramatyczny obrót.

Jeden z ludzików wyraźnie pokonał drugiego i teraz, przygiąwszy do ziemi szczyt jednej z sosen, co świadczyło o jego straszliwej sile, przywiązywał do niej rękę swego przeciwnika.

– Co on robi? – zapytała Kora.

– To nic nowego – westchnął Chejron. – Jak zawsze, pokonawszy przeciwnika, zbój przywiązuje go za prawą rękę do szczytu jednej sosny, a lewą... O, patrzcie! Lewą do szczytu drugiej sosny. I co teraz robi?

– Patrzcie, patrzcie! – Nikos aż podniósł się na palce, żeby lepiej widzieć. – Zaraz!

Odruchowo obejrzawszy się, Kora zobaczyła, że na dachach wszystkich domostw i budynków Koryntu stoją ludzie – z dziećmi, starcami, nawet ze zwierzętami domowymi – i wszyscy gapią się na szczyt wzgórza, oczekując finału walki.

Kora też patrzyła.

Zwycięzca zrobił krok w bok i puścił wierzchołki drzew.

Widać było, jak z niewiarygodną siłą, usiłując się wyprostować, sosny próbują stanąć pionowo.

Postać, przywiązana do ich szczytów, wiła się, usiłując do tego nie dopuścić..

Ale na próżno!

Drzewa wygrały z człowiekiem.

Jeszcze jeden ruch, szarpnięcie... i sosny rozerwały człowieka na dwie połowy.

I wyprostowały się – każda z nich niosąc na swoim szczycie, jak sztandar, połowę człowieka.

Zjedną ręką i jedną nogą...

– To potworne! – wyrwało się Korze.

I dookoła niej – z tyłu, od miasta, z boku – od strony rodziny Chejrona, rozległ się potępiający jęk.

Człowiek na wzgórzu upewniwszy się, że jego ofiara zmarła w straszliwych męczarniach, wolno ruszył i po chwili zniknął za horyzontem – czarna mrówka na purpurowym tle zachodu słońca.

Kiedy jęki mieszkańców Koryntu ucichły, centaur Chejron powiedział ze smutkiem:

– Jeszcze jeden nasz rodak stał się niewinną ofiarą tego niegodziwca! Jeszcze jeden. Kiedyż znajdzie się heros, który położy temu koniec?

– Przecież mógłbyś swoim uczniom podsunąć tę myśl. Co to, Achilles nie da mu rady? Albo Kastor?

– Nieszczęście herosów polega na tym, że bardzo cenią swoją reputację – odparł Chejron. – Tłumaczą swoją niechęć do walki z rozbójnikami, drobnymi bandytami i łupieżcami tym, że mają czyste ręce, tak czyste, że krew zbrojca może je zabrudzić.

– A Herakles? – zapytała Kora. – Czy on nie walczył ze zbrojcami?

– No, to byli szczególnie rozbójnicy! – Satyr uniósł kapelusz z szerokimi połami, podrapał się między uszu i nałożył kapelusz z powrotem. – Ja się przejdę, popatrzę. Może to ktoś ze znajomych, trzeba by zdjąć ciało, pogrzebać...

– Cwaniak! – wykrzyknęła Chariklo. – Ma nadzieję, że zabity był kupcem i Sinis nie ograbił go do szczeru.

– Akurat Sinis coś ci zostawi! – obruszył się satyr. – Wszystko, do ostatniego strzępka zanoszą do swojej jaskini. A potem sprzedaje piratom. O nie, niedoczekanie nasze...

Kora nie mogła powiedzieć, że ma ochotę pójść z Nikosem, ale na szczyt wzgórza ruszył również centaur. Zaproponował żonie i Korze, że zawiezie je na swoim szerokim grzbiecie. Kora nigdy wcześniej nie jeździła na centaurach, ale miała pojęcie o jeździe konnej i lubiła ją. Nie znalazła więc pretekstu do odmowy, poza tym była tu służbowo, a służbowo nieraz widziała martwych ludzi. Tak więc wylądowała na grzbiecie centaury, który elegancko pomógł wsiąść kobietom.

Kora chwyciła za szyję Chariklo, jej włosy pachniały słońcem, wiatrem, kurzem i dymem paleniska. Widać los kobiety niewiele się zmienił w ciągu tysiącleci – kobieta wozi bukłaki, montuje komputery albo pierze, a mężczyźni zajmują się wielką polityką.

Satyr biegł obok nich, z góry Kora widziała tylko bury okrąg jego filcowego kapelusza, poły którego zasłaniały ramiona.

– Co do tej krowy... – wrócił do tematu Chejron.

– O krowach jeszcze pogadamy, później – przerwała mu Chariklo. – Jeśli zostaniesz wyleczony.

Centaur zamilkł.

– Taki młodzian zatrzymał się przy mojej bramie – powiedziała.

– Był spragniony, a ja kazałam dać mu pić.

– Jak wyglądał? – zapytał centaur.

– Wysoki – powiedziała kobieta – wyższy niż młoda bogini, która stoi obok ciebie, Chejronie.

Szeroki w ramionach, w krótkim purpurowym himationie i skórzanych sandałach. Miał przypasany miecz, a w rękę niósł ogromną ciężką, metalową maczugę, jakiej jeszcze nie widziałam. Nawet go zapytałam: „Chcesz naśladować Heraklesa, chłopcze?”, a on wiecie, co mi odpowiedział? Odpowiedział: „Masz rację, dobra kobieto, naśladowuję mego wuja Heraklesa”.

– To on! – krzyknął centaur. – Oczywiście, że to słynny Tezeusz, któremu przepowiadano wspaniałe czyny.

Kora całkowicie zgadzała się z centaurem.

– Wybacz, Chejronie – zwróciła się doń – chciałabym znać twoją opinię o miejscu pobytu tego młodzieńca?

– O bogini, nie czyń mu zła! – jęknęła Chariklo. – Twoja władza nad śmiercią jest straszliwa, ale ten młodzian uczynił już wiele dobra, przecież w ciągu jednego dnia zabił dwóch potwornych zbójców.

Centaur uciszył swoją żonę ruchem ręki.

– Gdzie zatrzyma się na noc – wiedzą tylko przyglądający się mu bogowie. A jeśli ty, Koro, jesteś wielką boginią, to prędzej sama się tego dowiesz. Ale jeśli jesteś śmiertelniczką, to lepiej nie pakuj się w gęste bukowe lasy za Istmem – tam roi się od sił nieczystych. Do rana zostaną z ciebie tylko szmatki i łatki.

– To pewne – potwierdził satyr. – Całą swą młodość spędziłem w tamtych lasach i gdybym miał w owych czasach sumienie, to dawno powinienem był powiesić się z powodu jego wyrzutów.

– Rano mogę ci towarzyszyć, Koro – powiedział stary centaur.

– Tylko nie to! – krzyknęła jego żona.

– Głupia kobieto! – oburzył się Chejron. – Upokarzasz mnie przed całym Koryntem. Może już zapomniałaś, jak niesprawiedliwej i okrutnej karze poddała mnie Hera? Muszę koniecznie znaleźć się w Atenach i pokazać się Asklepiosowi. Jeśli nie pomoże mi bóg lekarzy, to nie wiem, kto mi może pomóc...

Chariklo zrozumiała, że jej zazdrość obraca się przeciwko niej samej. Odwróciła się bez słowa i ruszyła w kierunku miasta. Pozostali ruszyli za nią.

– Może was podwiozę? – zwrócił się centaur do kobiet.

Ale Chariklo udawała, że nie słyszy, a Korze było niezręcznie samej skorzystać z propozycji. Inna sprawa, że schodzenie z górki nie sprawiało trudności; wszyscy trochę się śpieszyli, przewidując, że noc będzie chłodna.

Przy obfitej kolacji, spożywanej w dużej sali, otoczonej drewnianymi kolumnami, Chariklo i Kora siedziały na twardych drewnianych ławach, na szczęście przykrytych skórami i poduszkami. Przed każdą z kobiet stał niewielki okrągły stolik, na którym słudzy ustawiali miski zjedzeniem, prostym, ale świeżym i smacznym. Mięsa niemal nie było, o ile nie liczyć kawałka kury dla Kory. Centaur z przyjemnością spożywał zieleninę, gotowaną kapustę i kolbę kukurydzy, która przy dokładnym przyjrzeniu się okazała się być bananem i zaraz zmieniła się w kabaczek. Inna sprawa, że oświetlenie nie było specjalnie mocne i przy tym nierówne – zapewniały je pochodnie i olejne kaganki na każdym stole.

Centaur miał problemy z siedzeniem czy ułożeniem się jak ludzie do posiłku, dlatego w tym domu ktoś wpadł na pomysł i wykopał przy stole płytki obszerny dół, wysłany słomą, w którym mieściło się ciało gospodarza.

Przeżuwając pietruszkę i popijając ją czerwonym winem, tak kwaśnym, że Kora zrezygnowała z jego picia, centaur deliberował:

– Może i jest pewna sprawiedliwość w tym, że Hera dokonała tak niecnego dla mnie czynu. Zasiałem się w tej podłej dziurze.

– Przecież zaledwie pół roku temu mówiłeś zupełnie co innego! – zarzuciła mu małżonka.

– Słusznie. Wtedy miałem dość mieszkania w cudzych pałacach, nauczania alfabetu i geometrii potężnych ciałem, ale słabych umysłem herosów i książąt. Byłem przekonany, że mój miły domek w Koryncie jest tym miejscem, w którym chcę spędzić resztę moich lat...

– No to sobie je spędzaj!

– Ale miesiące bezczynności przeleciały bez śladu, wypocząłem i teraz znowu mnie ciągnie do życia pełnego przygód.

– Z krowami?

– Dlaczego mnie krzywdzisz, Chariklo? Każdy może zgrzeszyć, ale nie każdy jest w stanie pokajać się za swoje grzechy. A właśnie pokajanie stanie się kiedyś podstawą przodującego ludzkiego światopoglądu. Pokajanie, miłość do człowieka, umiejętność przebaczenia... Obawiam się, że właśnie brak tych cech doprowadzi w końcu do zguby naszą antyczną cywilizację.

– Jesteś myślicielem, Chejronie – powiedziała Kora.

– A co pozostało samotnemu centaurovi w stanie spoczynku... Jednak w sumie mam szczęście! Teraz muszę udać się do Aten, by poszukać przyjaciół, dokonywać czynów bohaterskich i szukać prawdy! Milcz, kobieto!

Centaur wstał o świcie. Chariklo przekonywała męża, by zrezygnował z podróży, twierdząc, że przecucie, które nigdy jej nie okłamuje, mówi, że nigdy więcej nie zobaczy już swego potężnego, lekkomyślnego i mądrego męża.

Przy pożegnaniu przeniesiono małą córeczkę. Centaur przycisnął ją do swej nagiej piersi i długo się w nią wpatrywał. Dziewczynka, mająca identycznie jasne włosy i zadarty nos jak ojciec, spokojnie bawiła się jego brodą.

Satyr dał Korze na drogę płócienny woreczek z rodzynekami – najlepszy sposób na odżywianie w drodze.

Chariklo stała przy otwartej bramie z dziewczynką na ręku. Kora jechała wierzchem na centaurze. Na pożegnanie odwróciła się i popatrzyła czule na dom, w którym pozostawali bliscy jej ludzie.

– Wspaniałą masz żonę – powiedziała do centaura.

– Żaden z centaurów nie ma ludzkiej żony – oświadczył ten z dumą. – Wszyscy mają klacze. A ja – człowieka. I kocha mnie – nie masz pojęcia jak! Jeśli zginę, to może tego nie przeżyć.

– Dokąd się teraz kierujemy?

– Pojedziemy obok Krommyonu. Jeśli Tezeusz wędruje brzegiem morza, to nie może ominąć tej osady. A tam się zorientujemy.

– A czy w tej osadzie są zbójcy?

– Zbójce są wszędzie, ale słynnych tam nie ma. Za to okolica słynie ze swojego odyńca. Tak silna i dzika to bestia, tak potężna i krwawa, że Krommyończycy przestali uprawiać swe pola. Gdy tylko ten dzik zobaczy człowieka, od razu się na niego rzuca. Sami Krommyończycy nie mogą sobie z nim poradzić, ponieważ strzały nie mogą przebić jego skóry, a prawdziwi herosi nie chcą się z nim wdawać w walkę.

– No to na pewno spotkamy Tezeusza – powiedziała Kora.

– Dlaczego tak sądzisz, bogini?

– Tezeusz uwielbia swojego wuja Heraklesa. A ten dokonał powszechnie znanego czynu – schwytał żywca dzika erymantejskiego, pustoszącego całą Arkadię.

– Heraklesa znam – powiedział Chejron – ale nigdy nie słyszałem o jego czynach. Bo niby dlaczego tak znamienity i potężny mąż musi dokonywać jakichś wyczynów?

– Jeśli się nie mylę – powiedziała Kora – to on coś nawyprawiał. Albo chciał nawyprawiać. Czy to zabił swoje dzieci, czy może chciał się ożenić z córką władcy Teb..

– Nigdy nie słyszał o czynach Heraklesa – powtórzył Chejron.

– Poza tym Herakles nigdy nie służył królowi Teb, uroczemu Kretonowi, znałem go... Herakles służy Eurysteusowi, tak zdecydowała przeklęta Hera, ale Eurysteus jest władcą Tyru i Myken..

– Tylko nie to! Zatrzymaj się, centaurze! – jęknęła Kora. – Już nie mogę słuchać o waszych rodzinnych powiązaniach, o tym, kto komu czym jest zobowiązany, kto kogo przeklął czy zdradził. To nie jest historia, to książka telefoniczna!

– No to co mam w takim razie opowiadać? – zdziwił się centaur.

– Mów po prostu o jednym człowieku.

– Dobrze, bogini. Postaram się.

Dalej jechali w milczeniu. Kora myślała, że – być może – Herakles jeszcze nie wykonał jeszcze swoich prac, a stanie się to dopiero za kilka lat. Niedobrze jest być taką niewykształconą! Przed kolejnym zadaniem na pewno zapoznam się z całym materiałem faktograficznym i jeśli przyjdzie mi wyprawić się do Rusi Kijowskiej czy uczestniczyć w wyprawie Magellana, to będę wiedziała, czym to się wszystko skończy.

Nie wiadomo, czy czyny Heraklesa były już faktem, czy młody Tezeusz tylko naśladował swojego wuja, ale w pierwszym już swoim wyczynie upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, podobnie jak jego wuj, zdobył ciężką maczugę, tyle że Herakles miał drewnianą, a Tezeusz odebrał zbójowi metalową, a po drugie, zdobył broń do czekającego go pojedynku. Jeśli Tezeusz będzie miał okazję potrenować jej użycie i opanuje zasady walki, to jego rywalowi Clarence'owi nie będzie łatwo i powinien coś przedsięwziąć już teraz.

Przebyli zadziwiający wąski przesmyk, ze szczytu którego, akurat nad tym laskiem, w którym Tezeusz zabił Sinisa, otwierał się widok na dwa morza, właściwie na zatoki dwu mórz.

– Po co Tezeusz wojuje z rozbójnikami? – zapytał centaur. – Skoro, jak powiadają, wybrał się do swojego ojca, to mógłby płynąć na statku – bliżej i spokojniej?

– O ile wiem – odpowiedziała Kora – Tezeusz jest przeciwnikiem łatwych dróg. Chce dokonywać czynów bohaterskich, a nie korzystać z przetartych szlaków.

– Jakże go rozumiem – westchnął centaur. – Taki właśnie byłem w młodości. Ciekawe, czy będą mu radzi w pałacu Egeusza?

– Dlaczego nie? – zdziwiła się Kora. – Dotrze tam, pokaże miecz i sandały, które zostawił dla niego ojciec po jego poczęciu. I ogłosi, że oto pojawił się następca tronu.

– Pożyjemy, zobaczymy – skwitował jej słowa centaur.

W Krommyonie, niewielkiej przybrzeżnej osadzie, mieszkańcy której trudnili się poławianiem gąbek lub uprawą winorośli, Tezeusza nie zastali. Spóźnili się tylko odrobinę. Okazało się, że mijając miścinę, dokonał tam bohaterskiego czynu. Nie marnując ani sekundy, gdy tylko zobaczył pędzącego nań dzika, zamachnął się swoją pałą i rozwalił zwierzakowi łeb.

Dzik leżał na placu, wokół radowali się mieszkańcy miasteczka, szykowali się do wielkiego święta i ogólnej uczty, a Kora pomyślała, że tego dzika widziała jeszcze przed rozpoczęciem rajdu. Nawet zaczęła rozglądać się za treserem, ale zamiast na niego natrafiła wzrokiem na stojącą nieopodal młodą kobietę w sięgającym ziemi chitonie i w chuście zasłaniającej czoło. Coś w postawie tej dziewczyny, w linii ręki, podtrzymującej tkaninę, zakrywającą dolną część twarzy, w kształcie paznokci, podpowiedziało Korze, że kobietę tę spotkała już kiedyś wcześniej.

Była tu obca, nikt jej nie zauważał – nic dziwnego, mieszkańcy osady cieszyli się wręcz histerycznie. Kobieta natomiast uważnie im się przyglądała i słuchała.

W czasie, kiedy centaur przyglądał się zabitemu dzikowi i roztrząsał z mieszkańcami czyn Tezeusza, Kora zbliżyła się do samotnie stojącej kobiety i zapytała:

– Przepraszam, ale gdzieś już panią widziałam? Gdzie? Kobieta nie ukrywała się. Opuściła dłoń, odsłoniła oblicze, ukazała się blada, piękna twarz, twarz Clarissy.

– Nazywam się Medea. Jestem gruzińską królewną i prawowitą małżonką króla Aten Egeusza. Odpowiednio więc, jestem macochą młodego człowieka o imieniu Tezeusz, który zamierza przedostać się do Aten i zgłosić swoje prawa do tronu. Przy pomocy sandałów i miecza. A ja

przecież mam syna. To jeszcze mały chłopiec, zwie się Medos. Jest synem Egeusza i prawowitym następcą tronu ateńskiego. Teraz chyba jest jasne, jakie uczucia towarzyszą mojemu oczekiwaniu na pojawienie się w Atenach Tezeusza?

– Ale Tezeusz jest starszym synem Egeusza.

– O to, dziewczyno, można się sprzeczać. Nawet Pitteus, jego rodzony dziadek, rozgłasza na wszystkich skrzyżowaniach dróg, że prawdziwym ojcem Tezeusza jest Posejdon.

– Przecież reputacja Posejdona jest powszechnie znana! – zawołała Kora. – Wychodzi mi, że co drugie dziecko jest zrodzone z Posejdona.

Ale Clarissa-Medea nie słuchała Kory. Ciągnęła podniecona:

– Nikt nie wie, skąd ten Tezeusz wziął sandały i miecz. Może ukradł? Może to wcale nie są Egeuszowe sandały i miecz?

– Proszę się nie denerwować – powiedziała Kora. – Na pewno wszystko się jakoś wyjaśni, byle pokojowo.

– Nie ma na to szans! Nie znasz mojego życiorysu. Jestem prawdziwą Gruzinką. I zawsze doprowadzam wszystko do końca.

– A czy imię Clarissa nic pani nie mówi?

– Tyle co imiona Jeanne, Marina i Parasza. Nic! Fiołkowe oczy Medei groźnie błysnęły, Kora zrozumiała, że lepiej będzie dla niej, jeśli ustąpi. Słowa nic tu nie mogły zdziałać.

– Dokąd pani idzie? – zapytała, widząc, że Medea zamierza odejść.

– Muszę przyjrzeć się temu Tezeuszowi, póki jest w drodze do Aten.

– Zabraniam go zabijać!

– A ja nawet nie zamierzam – odparła Medea, ale Kora jej nie uwierzyła.

Chciała iść za nią, ale ta nagle rozpedziła się, szeroko rozłożyła ręce i wzbila się w powietrze. I wkrótce stała się jednym z licznych ptaków, szybujących nad morzem.

Oderwawszy spojrzenie od nieboskłonu, Kora ruszyła ku Chejronowi, który pomagał ciekawskim mieszkańcom osady zmierzyć odyńca. Okazało się, że jego długość od ryja do koniuszka ogona wynosi dziesięć łokci. Takiego dzika nikt wcześniej nie widział. Od razu rozgorzał spór, jaką jego część ofiarować bogom, a jaką przeznaczyć do wspólnego spożycia.

Kora odwołała Chejrona na bok i powiedziała:

– Była tu pewna kobieta, która źle życzy Tezeuszowi. Opowiedz mi, co o niej wiesz.

– Jaka kobieta? To robi się ciekawe. – Chejron uwielbiał pikantne ploteczki.

– Obawiam się, że to wcale nie jest to, o czym myślisz – powiedziała Kora. – Ta kobieta opowiedziała mi, że jest prawowitą małżonką Egeusza, że ma starszego syna, następcę tronu i szuka Tezeusza, żeby mu przeszkodzić w zajęciu na dworze należnego mu miejsca.

– Medea! – ryknął Chejron tak, że niektórzy z mieszkańców miasteczka obejrzeli się. Centaur chwycił Korę za ramię i odciągnął na bok. – Powiadasz, że była tu Medea? Czyżby już się zwiedziła? To śmiertelne zagrożenie dla Tezeusza. Ponieważ w miłości i w nienawiści ta kobieta jest całkowicie nieobliczalna.

– Ale kim jest? Muszę to wiedzieć!

– No to słuchaj. Do kolacji mamy sporo czasu, a przez ten czas opowiem ci najbardziej zadziwiającą historię naszych dni.

Centaur wygodnie ulokował się pod jabłonią i zaczął snuć opowieść, od czasu do czasu zrywając z drzewa czerwone owoce i chrupiąc je tak, że sok pryskał na wszystkie strony.

– Być może słyszałaś coś o okręcie, który pod dowództwem pewnego młodego odważnego mężczyzny wypłynął w morze, gdzie znajduje się pewien kraj, a w nim pewien król przechowuje pewną złotą rzecz.

Centaur zamilkł i chytrze przyjrzał się Korze. Kora tymczasem usiłowała uporządkować usłyszane wiadomości: pewien król, pewna rzecz, pewien młodzieniec...

– Nie dręcz mnie, Chejronie! – zawołała, nie rozumiejąc na razie nic z tej opowieści.

– Ależ, pani moja – odezwał się centaur. – Nie tak znowu dawno żądałaś, bym nie używał w swoich opowieściach wszystkich imion, ponieważ nudzi cię zapamiętywanie, kto jest czyim ojcem czy wujem.

– Ale są pewne granice! – odparła Kora. – Jeśli opowiadasz ciekawą historię, to najważniejsze imiona mogą być wymienione.

– Skąd będę wiedział, które są ważne, a które nie?

– Chejroneczku, proszę! – poprosiła Kora. – Nigdy już nie będę na ciebie krzyczała. Opowiedz mi o tej pewnej złotej rzeczy normalnym językiem.

Pogłaskała pokryty szorstką sierścią bok centaura.

– Nie łaskocz mnie! – zachichotał Chejron. – Dobrze, wybaczam ci. Nie sposób ci nie wybaczyć.

– Opowiadaj.

Odgłosy sporu mieszkańców miasteczka, którzy ciągle nie mogli zdecydować, czy należy zanieść odyńca na ołtarz, czy może rozebrać tuszę na rynku, docierał tu, do niecki, niczym szum morskich fal.

– Być może słyszałaś o Jazonie. Jest popularną osobą – zaczął jeszcze raz swoją opowieść centaur.

– O tak, jest szeroko znany. Miał statek „Argo” i szukał złotego runa.

– To nie jest takie proste, dziewczyno – powiedział stary centaur, opędzając się ogonem od gzów. – Ponieważ Jazon był moim ulubionym uczniem i wychowywałem go w tajemnicy przed królem Peliasem, który przysiągł, że go zabije, ponieważ wyrocznia delficka przepowiedziała, iż straci tron na rzecz jednego z potomków Ajsona, z powodu czego wyciął wszystkich jego potomków, nie mógł jednak zabić Diomedesa, ponieważ Polymede rozpowszechniła plotkę, jakoby ten urodził się martwy...

– Chejronie, ja cię kiedyś zabiję – nie wytrzymała Kora. – I wasi bogowie mi wybaczą. Nie prosiłam, żebyś mi streścił książkę telefoniczną. Chcę tylko wiedzieć, kim jest Medea, dlaczego jest Gruzinką, co tu robi i na ile jest niebezpieczna!

– Ale jak ci to wszystko wyjaśnię, jeśli nie będziesz wiedziała, że Pelias powinien był bać się młodzieńca z jednym sandałem...

– A niechby miał nawet trzy! Dlaczego Jazon popłynął statkiem po złote runo? Dlaczego do Gruzji?

– Zmęczyłaś mnie, kobieto – zawołał centaur. – Nie mogę snuć opowieści, w której nie będzie herosów i niegodziwców, a ty nie chcesz mnie słuchać, kiedy mówię o ludziach.

– Dobrze – poddała się Kora. – Opowiadaj, jak chcesz.

– Jeśli mam zacząć opowieść nie od samego początku, a dopiero od momentu, który ciebie interesuje, to mój uczeń o imieniu Jazon, jeden z najlepszych, najmądrzejszych i najodważniejszych młodzieńców jakich znałem, zgodził się popłynąć do Kolchidy, żeby przywieźć stamtąd złote runo. O tym słyszałaś, czytałaś i to wiesz, albowiem czyny Jazona i jego towarzyszy na statku „Argo” stały się wieczne. Ale teraz opowiem ci o najważniejszym, o czym nie wiesz i nie wie nikt z grona niewykształconych ciemnych i nieciekawych ludzi na tym świecie, a mianowicie: Jazon popłynął do Kolchidy wcale nie po złote runo.

– No masz, tego jeszcze brakowało! – rzuciła rozeźlona Kora.

Tymczasem miejscowi zdecydowali, że przeniosą odyńca w całości i zaczęli właśnie podsuwać i podkładać pod niego drągi. Hałas docierał do Kory, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

– Wszystko się rozbija o przepowiednię Friksosa. Właśnie, przepowiednię Friksosa, który kiedyś uciekł do Kolchidy na boskim baranie, pokrytym złotą sierścią. Tenże Friksos zmarł, a miejscowi dzicy Gruzini nie potrafili go pogrzebać tak, jak przystało na godnego Greka. Oto więc stał się on widmem i prześladował we śnie króla Peliasa. Tego, który przejął tron i miał go oddać Jazonowi, ale...

– Krótko! – zażądała Kora.

– Jazon, by dokonać wielkiego czynu i zasiąść na tronie, powinien był przywieźć ze sobą widmo! Widmo Friksosa! I pogrzebać go w domu zgodnie z całym ceremoniałem. Rozumiesz?

– A co ze złotym runem?

– Gdzie widmo tam i złote runo!

– Dlaczego?

– Nie zadawaj głupich pytań. Sam tego nie wiem. Tak zdecydowali bogowie. Złote runo bez widma się nie liczy.

– Dobrze, mów dalej. Tylko opowiadaj najciekawsze momenty, bo zasnę.

– No to się ułóż wygodnie. Połóż głowę na moim brzuchu.

– Masz tam pchły.

– Nie obrażaj uczciwego centaura – wbrew swoim słowom centaur nie obraził się.

Kora uśmiechnęła się i ułożyła wygodniej, opierając się o biodro Chejrona.

– Tak więc zdecydowano, że mój uczeń Jazon popłynie w odległe kraje szukać złotego runa i widma Friksosa.

– Słuchaj, szkapiarzu – powiedziała Kora. – Długo mam tak słuchać: mój uczeń, mój uczeń! Można by pomyśleć, że uczyłeś wszystkich wielkich herosów Hellady!

– Bo tak było – skromnie odparł centaur.

– Ale jaką ty masz wiedzę?

– Wszystkie nauki są moją wiedzą.

– Nauka strzelania z łuku, nauka walki na maczugi czy nauka gotowania polewki cebulowej?

– Wy, ludzie przyszłości – odparł centaur, leniwie drapiąc się po boku – uważacie, że skoro żyjecie o zmierzchu Ziemi, to już jesteście mądrzejsi, nawet bardziej wykształceni. Bzdura! Mogę ci jak dwa razy dwa udowodnić, że moja wiedza jest głębsza i różnorodniejsza od twojej, agentko Koro Ornat.

– Co?! – Kora poderwała się i chwyciła się za to miejsce na biodrze, gdzie zawsze znajdowała się broń.

– No i widzisz – powiedział centaur, nawet nie poruszywszy się – dla ciebie to najważniejszy argument – pistolet. A czyż nie jest to przejawem głupoty?

– Skąd wiesz?

– Tu, w świecie wirtualnej rzeczywistości, mogę ogarnąć wzrokiem i intuicją wszystkie ruchy tej waszej gry.

– Czyli wiesz, że nie jesteśmy w prawdziwej Grecji?

– Głuptasie. Tu też jesteś tak naiwna, jaką byłaś w pociągu metra. Nie zrozumiałaś, że wydarzenia i zjawiska mogą być wieloznaczne i wielosensowne. Wirtualna rzeczywistość jest przede wszystkim rzeczywistością. Dla wielu ludzi źródłem wątpliwości jest samo istnienie mitycznych czasów w Helladzie. Ja jestem bajką, mitem, wymysłem starego Homera? To smutne, ale czasem sam miewam takie myśli. Czuję swoje mocarne biodra, widzę swoje szare kopyta, przejeżdżam dłonią po krótkiej sierści na swoich bokach i myślę: czy ja naprawdę istnieję? Przecież zdrowy rozsądek jest przeciwko mnie. Dla Woltera jestem chimera, wymysłem, a dla mnie Chimera – to rzeczywistość, ponieważ znałem jej matkę, miała na imię Echidna i nie wyróżniała się zgoła urodą. Sądzisz, że Chimera była złym potworem? Nie, to układy życiowe uczyniły ją taką. Bellerofont też był niezłym ziółkiem, atakując ją, moim zdaniem, zdradziecko! Ale czy mnie osądzać ludzi i bogów? Wiem, że istnieli i istnieją, a stworzenie przez ludzi wirtualnej rzeczywistości tylko umocniło realność jej istnienia. Nie wiem, ku czemu zdąża historia ludzkości, ale podejrzewam, że w stosunkowo niedalekiej przyszłości zostanie zakłócona łączność czasów. To, co minęło tysiące lat temu, przez rozum ludzki będzie odrzucone z wieczności i wysłane do przyszłości. Nie dziw się więc, że spotkasz mnie w jakimś Kosmoporcie. Chociaż, kto na tym tak naprawdę skorzysta – nie wiem.

– Czyli wiesz, po co tu jestem?

– Kochana Koro, moja wiedza jest szczątkowa i przypadkowa, i sam nie wiem, w jaki sposób przeniknęła do mojego umysłu. Wiem, na przykład, że spełniasz swój obowiązek, ale przecież każdy z nas spełnia jakiś obowiązek. Wiem, że nie jesteś panią swego losu. Ale każdy z nas jest niewolnikiem własnego losu, własnych słabostek lub mocy. Szukasz człowieka... Jednocześnie bije od ciebie aromat sprawiedliwości. Nie chcę oceniać, dobra jesteś czy zła, okrutna czy miła, ale podstawowy kierunek twojego losu, to próba wsparcia triumfu sprawiedliwości. Tak więc całe swoje życie będziesz sprzyjała jej małym zwycięstwom, i wraz z nią będziesz przegrywała wielkie bitwy, ponieważ mała sprawiedliwość często staje się częścią wielkiej niesprawiedliwości. Nie sprzeczasz się teraz ze mną. Jestem bardzo stary i widziałem tyle tysięcy ludzi i bogów, że powinienem coś niecoś wiedzieć o urządzeniu tego świata. Uczę ludzi i herosów astronomii i arytmetyki, alfabetu i retoryki, i wszystkich tych nauk, do których w twoim czasie ludzie odnoszą się z lekceważeniem dorosłego mężczyzny, przyglądającego się jak chłopcy biegają po ulicy za szmacianą piłką. Głupiec, który zapomniał o radości płynącej z takiej prostej zabawy!

– Zdziwiasz mnie, Chejronie – powiedziała Kora.

– Nie było to moim celem – odparł ten. – I żałuję, że nasza znajomość jest tak przelotna. Spełnisz swoje zadanie i znikniesz z naszego świata. A szkoda.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Asklepios może wyleczy mnie z kary Hery i wtedy znowu będę prawdziwym ogierem, że hej! Ale nie mogę tego jakoś teraz udowodnić.

– Zwariowałaś! – zawołała Kora, podrywając się na równe nogi. Miała dobrze rozwiniętą wyobraźnię.

Centaur zarżał z radości tak głośno, że przestraszeni mieszkańcy osady upuścili dzika, a ten poturlał się ze zbocza. Centaur zmuszony był podnieść się i wynieść zdobycz na ścieżkę.

Gdy wrócił do Kory, wciąż jeszcze był niepomiernie uradowany.

– Czy opowiadać ci dalej o Jazonie?

– Opowiadać – zgodziła się skonfundowana Kora.

Bardzo nie lubiła znajdować się w położeniu kobiety, który nie rozumie karkołomnych męskich dowcipów.

– Dla nas, starożytnych Greków – rzekł centaur – podróż na Morze Czarne była niezwykle trudną wyprawą. Wiesz dlaczego? Dlatego, że to były mityczne czasy. Teraz Morze Czarne jest czymś w rodzaju wewnętrznego morza dla Greków, zbudowano tam masę miast i osiedli, wozi się tam szkolne wycieczki. A w czasach Jazona Grecy sądzili, że gdy tylko człowiek wypłynie w morze, to zaczynają się takie cuda, że nawet we śnie takich nie ma. To samo działo się z Odyseuszem. Jeśli dobrze się zastanowić, to przecież krążył on tylko po naszych domowych, że tak powiem, morzach, a bajka o tym pozostała bajką na wieki.

– Chejronie, rujnujesz logikę – zauważyła Kora. – Przecież powiedziałeś, że Jazon był twoim uczniem.

– Na jego okręcie „Argo”, zbudowanym z najlepszych pni najlepszych drzew, znajdowało się niemało moich uczniów.

– No to co tu mamy? Dla Jazona wyprawa na Morze Czarne jest bohaterskim czynem, godnym poematu, a ty mi tu mówisz, że to wewnętrzne jezioro świata Greków.

– Nie ma tu żadnej sprzeczności, dziecino – odparł centaur. – Jeśli przypomnisz sobie względność czasu. A właśnie – kiedy wrócisz od nas do siebie, to najprawdopodobniej minie tam zaledwie kilka dni... albo godzin.

Kora musiała zgodzić się z mądrością centaura i poprosiła go, by kontynuował opowieść.

– Statek „Argo”, budowany dla Jazona dosłownie przez całą Grecję, był wielki, jak na owe czasy, pięćdziesięciowiosłowy.

– Ale przecież miał i żagle?

– Jeden kwadratowy żagiel i dwadzieścia pięć par wiosł.

– Czyli mieli niewolników?

– Możesz nie przerywać starszym? Czy nie wiesz, że w tamtych czasach przy wiosłach na okrętach nie siedzieli niewolnicy? To było honorowe zajęcie i najlepsi wiosłarze uważani byli za bohaterów. Argonauci sami wiosłowali! Dziś trudno już powiedzieć, ilu ich było, a tym bardziej wymienić wszystkich z imienia. Najpewniej było ich nieco powyżej pięćdziesięciu i każdy miał wiosło. Ale niektórych powinnaś znać.

– Ja?

– Oczywiście. Podam ci tylko imiona swoich uczniów. Po pierwsze, sam Jazon, kapitan i przywódca. Po drugie, Herakles.

– Ten Herakles? Czyżby był podwładnym Jazona?

– Tak kazali bogowie i ludzie. To była wyprawa Jazona i każdy, eto dołączał do niego, musiał mu się podporządkować. Następnie Diacia Dioskurowie – Kastor i Polydeukes oraz wielki tracki poeta Drfeusz. Słyszałaś o nim?

– Tak.

– I wielu innych. Wśród nich zupełnie nieznanymi twoim współczesnym, Koro. A teraz powiesz: to

niemożliwe!

– Nie powiem.

– Wśród nich była dziewczyna. Atlanta z Kalidonu, dziewica-myśliwy, strzały której trafiały bez pudła.

– I udało jej się zachować swoje dziewictwo? – zapytała Kora, zadowolona, że skryła swoje zdziwienie.

– Więcej, miała takie samo wiosło co pozostali i ani razu nie ustąpiła przy nim miejsca mężczyźnie.

– I to wszystko?

– Niemal. Co prawda był tam jeszcze Lapit Kejneus.

– A czym się wyróżniał?

– Wcześniej był kobietą, ale przed wyprawą zmienił płeć.

– To niemożliwe!

– Wygrałem, bogini. Zdziwiłaś się.

– Czyżby już w czasach greckich wiedziano o tym?

– W naszych czasach wiedziano o wszystkim! Kejneus był nieśmiertelny i nie można go było zranić. A wcześniej był dziewczyną, powiadają, że kruchą i czarującą. I nazywała się Kenia. A Kenia była kochanką Posejdon...

– Znowu ten Posejdon!

– Seksualny gigant – zgodził się centaur. – Kenia poskarżyła mu się, że mężczyźni nie tylko czepiają się jej, ale i osiągają swoje podłe cele, ponieważ ona jest bezbronna i słaba. Wtedy Posejdon zmienił ją w niezwyciężonego mężczyznę, którego nikt nie mógł osiąść bez jego przyzwolenia.

– Mam nadzieję, że reszta załogi „Argo” była normalna?

– Mniej więcej – zgodził się centaur. – Niektórzy z nich dysponowali zdolnościami... nie, nie będę teraz o tym gadał. Pora odpływać.

– To mądra decyzja.

– Wkrótce po wypłynięciu, „Argo” dotarł do wyspy Lemnos. Jeśli popatrzysz na mapę, to jest ona blisko, ale w tamtych czasach...

– W jakich tamtych czasach? – zapytała chytrze Kora.

– Czas może się rozciągać i gęstnieć. Lemnos wówczas była tajemnicza i niedostępna. Na owej Lemnos zaczęły się dziać takie rzeczy, że lepiej o tym nie opowiadać.

Kora nie odzywała się. Wiedziała, że centaur ma ochotę opowiadać o bezeceństwach. Nareszcie trafiła mu się słuchaczka, która nic nie wiedziała o wyprawie Jazona po złote runo.

– A na Lemnos tymczasem wydarzyła się tragedia – ciągnął centaur – o której mało kto wie. Tamtejsze kobiety zarabiały w ten sposób, że farbowały tkaniny sokiem z ziela, zwanego wajda i wyróżniającego się wstrętnym zapachem, którego nie dało się niczym stłumić. Ale ponieważ tkaniny farbowane na Lemnos cieszyły się popularnością w całej Grecji, uprawiały coraz więcej owego ziela i coraz bardziej cuchnęły. I w końcu ich mężowie w dość brutalny sposób oświadczyli, że nie mają zamiaru mieć do czynienia z takimi kobietami i wyruszyli na wyprawę do Tracji. Tam wzięli do niewoli немало dziewczyn, przywieźli je na Lemnos i zamieszkali z nimi w swoich domach, rozkoszując się wreszcie życiem, a byłe żony z ich śmierdzącymi farbami przegnali na skraj wyspy. Ale, jak wiesz, kobiety mogą być uciskane, bite i nawet wypędzane z domu, ale nie da się tak

postępować z kobiecym kolektywem. I wiesz, co się stało? W końcu kobiety uknuły spisek, w nocy otoczyły własne miasto i bezlitośnie wybiły wszystkich swoich mężów, braci i ojców, jak również ich trackie nałożnice.. I zaczęły żyć bez mężczyzn. Nie można twierdzić, że jest to bardzo wygodne i że wszystkim się podobało, ale strach był silniejszy od żądzy rozkoszy. Kobiety obawiały się tylko, że jeśli sąsiedzi na innych wyspach dowiedzą się o zbrodni, to zostaną surowo ukarane.

Dlatego kiedy zobaczyły, że do brzegu przybija wielki okręt, chwyciły za łuki i, pamiętając o nieboszczykach mężczyznach, wyszły na brzeg i powitały gości z „Argo” chmarą strzał. Argonauci wywiesili białą flagę i skierowali na brzeg najbardziej wymownego ze swojego grona, Echiona, który zapewnił wyspiarki, że załoga okrętu tylko przenocuje i zabierze zapas wody. A rano odpłyną dalej.

Kobiety naradziły się i zdecydowały, że podzielą się wodą i żywnością, ale do miasta ich nie wpuszczą, by nie zaczęli zadawać oczywistego pytania: „A gdzie są wasi mężczyźni?”

Tak by się to i skończyło. Ale wśród kobiet była pewna starucha, która powiedziała mniej więcej tak:

„Nie myślcie, że kierują mną egoistyczne pobudki, nie mam już takich. Ale wiem, że bez mężczyzn nie da się utrzymać rodu. Wkrótce staniecie się staruchami, staruchami niepotrzebnymi nikomu i umrzecie bezdziejnie. Czy to jest dobre dla nas? Proponuję, byście wpuścili Argonautów do miasta, podzieliły ich między niewielkie kobiece wspólnoty i ustaliły kolejność. Niech argonauci popracują w swojej męskiej domenie. A wy pieścicie ich, karmcie, podawajcie wino, póki nie poczujecie, że wasza troska dała owoce. Tym bardziej, że moje życiowe doświadczenie podpowiada mi, iż lepszych mężczyzn, niż ci przybysze, nie znajdziecie w całej Helladzie”. Dziewczyny i kobiety z Lemnos chętnie przystały na plan staruchy, ponieważ jej słowa i tak odpowiadały ich sekretnym pragnieniom.

Przywódczyni kobiet Hypsipyle odeszła z Jazonem na bok, gdzie wytłumaczyła mu, że mężczyźni na Lemnos byli leniami i pijakami, więc zostali z wyspy przepędzeni, ale jeśli Argonauci chcą na wyspie odpocząć w towarzystwie inteligentnych i namiętnych kobiet – zapraszamy i witamy!

Oczywiście, młodzi ludzie nie mogli nie skorzystać z takiego zaproszenia, od razu ruszyli do miasta, gdzie zostali ulokowani w różnych domach. W każdym z nich otoczyły ich grupy kobiet i dziewczyn, żądnych miłości, i zaczęły się takie bachanalia, że trudno to sobie wyobrazić! W dzień Argonauci spali, potem zjadali obfite posiłki – i zaczęli pracować... I tak to trwało przez kilka dni.

Nie wiadomo, czym by się skończyła ta historia, gdyby nie Herakles. Miewał, jak wiadomo, poza żonami, również sporo kochanek, w stosunku do płci kobiecej był właściwie obojętny, dlatego kiedy powstał problem, kto zostanie na warcie „Argo”, sam zgłosił się do pełnienia wachty. Przez tydzień obserwował niebo, naprawiał żagiel, trochę polował i wędkował, w sumie – wypoczywał. W końcu jednak zaniepokoiła go nieobecność towarzyszy i wieczorem udał się do miasta. To, co ujrzał, zdziwiło go niepomiaralnie. Herakles wierzył w miłość, tymczasem tu zobaczył, że kobiety po prostu stoją w kolejce do pieścizot Argonautów.

– Gdzie Jazon? – gniewnie pytał Argonautów, ale ci tylko machali rękami, chcąc się pozbyć natrętnego moralisty. W końcu Herakles znalazł dom Hypsipyle i zaczął walić swoją słynną maczugą w bramę tak długo, póki jej nie wywalił.

Wyskoczył zaspany Jazon.

– Kochany – zwrócił się do niego Herakles, ledwo panując nad sobą. – Czy ustąpiłem ci miejsce wodza takiej odpowiedzialnej wyprawy po to, byś spędzał czas z rozpustnicą?

Oczywiście, zasromił się Jazon. Poza tym Hypsipyle trochę go już znudziła swoimi niewyobrażalnymi seksualnymi potrzebami. I nieskutecznie usuwanym zapachem barwnika. Tak więc Jazon chętnie uznał pretensje Heraklesa za słuszne i razem ruszyli wyciągać towarzyszy z pościeli rozpustnic.

Te pobiegły na brzeg morza żegnać swoich tymczasowych mężów, nie wiedząc jeszcze nawet, że większość z nich już jest ciężarna. Starucha miała rację – od tej pory wyspa Lemnos będzie zasiedlona przez potomstwo Argonautów.

Centaur odetchnął i przeciągnął się.

– Wiesz co, Chejronie – powiedziała Kora – może opuścimy wszystkie wielkie i sławne przygody Argonautów i od razu przejdźmy do Gruzji... Oto więc dotarli do brzegów Kolchidy.

– Kiedy dotarli do brzegów Kolchidy – zgodził się centaur – Heraklesa wśród nich nie było. Tłumaczy się to na wiele sposobów. Mnie się wydaje najbardziej prawdopodobne to, co wiąże się z zawodami w wiosłowaniu.

– A co się wydarzyło?

– Musisz sobie wyobrazić ten okręt. Jednostka, która przez kilka dni musi przebywać na otwartym morzu. Robi się nudno. A chłopcy na pokładzie młodzi, zdrowi, jeden silniejszy od drugiego. Może tylko poeta i pieśniarz Orfeusz nie rywalizował z innymi oraz ukochany Heraklesa, młodzieniec Hylas. I oto pewnego bezwietrznego poranka Heraklesowi zachciało się pochwalić swą siłą. Zaproponował zawody wiosłarskie. Szczerze mówiąc, nie bardzo wyobrażam sobie, jak można przeprowadzić takie zawody na statku o pięćdziesięciu wiosłach, ale przecież nie jestem marynarzem, a zwykłym koniem – z fałszywą skromnością rzekł centaur, a Kora miała ochotę zaprzeczyć „Co też ty gadasz, jaki tam zwykły!”. Ale powstrzymała się. – W sumie, jak opowiadają świadkowie, zwycięstwo Heraklesa wcale nie przyszło mu łatwo i szybko, jakby się wydawało. Co najmniej trzech towarzyszy, Jazon i bracia Kastor i Polydeukes, ciągle wiosłowali, kiedy inni już opadli z sił. Polydeukes zauważył, że jego ukochany brat Kastor wiosłuje już ostatkiem sił, ale nie chce się do tego przyznać. Tak więc Polydeukes, znany w Grecji bokser, zdecydował, że to on wycofa się z zawodów, żeby Kastor nie zrobił sobie krzywdy. Szarpnął wiosło brata, wyrwał je z dulki. I sam też przestał wiosłować. Teraz zostało dwu wiosłarzy, siedzieli po obu stronach burty, statek poruszał się zrywami. Jazon nie poddawał się, co rozjuszyło Heraklesa. I nagle doszło do pewnego wątpliwego incydentu – nikt tak naprawdę nie wie, czy to pierwszy Jazon wypuścił wiosło i opadł na ławkę, czy najpierw złamało się wiosło Heraklesa, a Jazon, widząc to, zaniechał wiosłowania. Wydawałoby się to nie tak ważne, ale na stosunki obu herosów, którzy i tak bez przerwy ze sobą rywalizowali, padł cień.

„Argo” tego dnia przybił do cudownego lesistego brzegu rzeki Kios. Póki wszyscy odpoczywali, Herakles wysiadł z „Argo” i mruknął, że idzie poszukać dla siebie nowego wiosła.

Wysoko na brzegu odnalazł olbrzymią sosnę, wyrwał ją z korzeniami i przywlókł na brzeg. Pozostali Argonauci z trudem powstrzymywali się od śmiechu, wiedząc, czym może się to skończyć. Herakles usiadł przy ognisku i zaczął obciosywać pień toporem. Zapytawszy któregoś z Argonautów, gdzie jest Hylas, którego nie widzi już od dwu godzin, uzyskał odpowiedź, że młodzieniec poszedł do lasu. Zaniepokojony jego nieobecnością, przyjaciel Hylasa Polifem już wyruszył na jego poszukiwania. Polifem był krewniakiem Heraklesa – ich żony były siostrami, dlatego byli sobie szczególnie bliscy.

Wkrótce Polifem wrócił i oświadczył, że słyszał głos Hylasa, wzywającego pomocy, ale żadnych

śladów młodzieńca nie znalazł. Herakles rzucił się do lasu. Przez całą noc on, Polifem i pomagający im Argonauci poszukiwali młodzieńca, ale bezskutecznie. Dopiero rankiem mieszkańcy lasu powiedzieli im, że w Hylasie zakochała się nimfa Driona i jej siostry zaciągnęły go do podziemnej groty, w której młodzian zgodził się dobrowolnie pozostać, przedkładając towarzystwo pięknych dziewczyn nad miłość umięsnionego Heraklesa.

I rano miał miejsce kolejny dramat. Tym razem na pokładzie „Argo”. Herakles i Polifem nie wracali z lasu. Wołano ich, szukano, ale bezskutecznie. Wtedy Jazon kazał odbić od brzegu. Zdania Argonautów były podzielone. Jedni zgadzali się z rozkazem, nawet więcej – twierdzili, że póki Herakles jest na pokładzie, statek nie ma prawdziwego kapitana – pycha i wybuchowy charakter Heraklesa na pewno ściągną na nich jakieś nieszczęście albo skłóca z sobą. Inni twierdzili zaś, że odpłynięcie jest zwyczajną zemstą Jazona za zwycięstwo Heraklesa w zawodach wioślarskich i że Jazon obawia się rywala. W końcu jednak „Argo” nie doczekał się Heraklesa i odpłynął. Ale Herakles, jako człowiek mściwy i pamiętliwy, po kilku latach odszukał tych dwóch Argonautów – Kalaisa i Zetesa, którzy najmocniej nalegali na odpłynięcie, i okrutnie ich zabił. Takie czasy, takie obyczaje...

– A niby dziś są inne – prychnęła Kora.

– Jeśli masz na myśli nasze czasy, to różnica jest niewielka, ale sądzę, że w odległej przyszłości nastąpi triumf humanizmu.

– Tak? – myśląc o czym innym, zapytała Kora. – Opuśćmy Morze Czarne i od razu znajdziemy się w Kolchidzie. Nie zapominaj, że mam tu do załatwienia wiele spraw i jestem na służbie, a pewna podejrzana o dokonanie przestępstwa osoba znajduje się tuż obok.

– Skoro tak, to kontynuuję – powiedział centaur. – Po wielu przygodach Argonauci zobaczyli przed sobą góry i wpłynęli w szerokie ujście rzeki Fasis albo Rioni, która wpada do Morza Czarnego.

– Z Rioni nijak nie da się zobaczyć gór – powiedziała Kora. – Kolchida jest płaska.

– Czy to takie ważne, skoro jest tak oddalona od Grecji? – zapytał centaur. – Najważniejsze, że Argonauci osiągnęli cel i teraz potrzebowali tylko złotego runa, którego dla króla Kolchidy Ajetesa strzegł smok. Ale jeśli Jazon sądził, że najgorsze ma już za sobą, to się ciężko mylił – boginie zebrane na Olimpie wiedziały, że zdobycie złotego runa będzie bardzo trudne. Dlatego nie mówiąc nic Jazonowi, Afrodyta namówiła malca Erosa, by wystrzelił strzałę w serce Medei, córki Ajetesa, aby tym sposobem zrodzić w niej miłość do greckiego Argonauty. Medea na razie nic o tym nie wiedziała.

– W końcu doszliśmy do Medei – powiedziała Kora. – O niej poproszę szczegółowo. Dla mnie to ważne.

– Była to dramatyczna scena – ożywił się centaur. – Opowiadano mi o niej wiele razy. Żałuję, że nie widziałem tego na własne oczy. W sumie było tak, że przyszli Argonauci do Ajetesa i proszą go, by oddał złote runo. Najpierw król nawet słyszeć o tym nie chciał, ale potem dogadali się, że są w jakimś stopniu krewniakami i zaczęły się targi. Atu nagle wchodzi do sali Medea, piękna jak gruzińska noc! – Centaur westchnął głęboko, żałując, że nie uczestniczył w tym spotkaniu. Medea grzecznie przywitała się z Jazonem, ten – z Medeą. Należy powiedzieć, że oboje się sobie spodobali, ale nie zapalali żadnym specjalnym afektem. Król Ajetes, jak prawdziwy mityczny władca, natychmiast wymyślił dla herosa niewykonalne zadanie. Powiedział mianowicie, że skoro już Jazon płynął tyle dni, by spełnić wolę przepowiedni i zwrócić runo i ducha na swoje miejsce, to on zgadza

się oddać skarb. Ale i Jazon musi mu pomóc. Musi wyprowadzić ze stajni dwa buchające ogniem byki, wykute przez Hefajstosa, zaprząć je do jarzma, zaorać pole, poświęcone bogowi wojny i obsiać je zębami smoka.

– Zębami smoka? A te skąd?

– Jeśli będę wyjaśniał, skąd i kto już je siał, to będziesz musiała wysłuchać jeszcze dwugodzinnego wykładu i zapamiętać ze dwadzieścia imion. Jesteś gotowa? – zapytał nie bez kpiny centaur.

– No to obejdę się bez tego.

Dzień chylił się ku zachodowi, jeszcze było ciepło, dokuczały gzy. Kora wyjęła z torby, podarowanej na drogę przez Chariklo, ser i placek, podeszli do strumienia, podzielili jedzenie na dwie połowy, a potem centaur jeszcze trochę pasł się dokoła kępy krzewów, przekąsił liśćmi, wyjaśniwszy Korze, że robi to tylko dla swojego żołądka, który ma podzielony na dwie części – ludzką i końską, a każda połowa żąda właściwego jej pożywienia.

Po przekąsce usiedli w cieniu na brzegu strumienia i centaur kontynuował opowieść:

– Oczywiście, Jazon w tym momencie pożałował, że posprzeczał się z Heraklesem. Ten przecież świetnie nadawał się do takich sytuacji, kiedy ktoś stawia niewykonalne zadanie i nie ma chętnych, by je wykonać. Ale Heraklesa nie było, Jazon musiał sam podjąć się wykonania zadania. A należy powiedzieć, wiem to lepiej od kogokolwiek na tym świecie, że Jazon, choć silny i uparty, jest jednak człowiekiem zwyczajnym, może stchórzyć, szukać i nawet ujawnić małoduszność – nie to, co Herakles. A tu masz ci – zaprzęgaj byki, orz pole, wiedząc przy tym, co ze smoczych zębów wyrasta. Przecież w czasach starożytnych był już jeden heros, co siał zęby zabitego przez siebie smoka. A co wyrasta z zębów smoka?

– Nic? – ostrożnie zapytała Kora.

– Z zębów smoka wyrastają wojownicy! Zabójcy! Żołnierze!

– Jazon wiedział o tym?

– Lepiej niż ktokolwiek inny. Dlatego się wahał. Przecież po to zebrał pięćdziesięciu herosów, przy pomocy których zamierzał wykraść runo i uciekać. A tu mu każą zrobić wszystko w pojedynkę. Nieszczęście!

Kora dość plastycznie wyobraziła sobie tę scenę: niska obszerna sala tronowa prowincjonalnego kolchidzkiego pałacu, tłum Gruzinów z kindzałami przy pasach, piękne kobiety w długich spódnicach, na czele których stoi Medea. Jazon, a za jego plecami zmieszani Argonauci. Następuje długie milczenie...

– I oto podczas tej pauzy – rzekł centaur – z góry zlatuje niewidzialny dla nikogo Eros i strzela z małego łuku prosto w serce księżniczki Medei.

W ciszy sali słychać szybkie kroki, nieoczekiwanie dumna księżniczka Medea, nadzieja Gruzji, harda córka kochającego wolność gruzińskiego narodu, szybkim krokiem opuszcza salę. Wszyscy patrzą w ślad za nią, ale ona się nie odwraca.

– Pobiegła za nią wdowa po Friksosie, po tym samym Friksosie, o którego widmie wszyscy na chwilę zapomnieli. „Co ci jest, królewno?” – zapytała. A Medea z antyczną prostolinijnością odpowiedziała, że w jej sercu tkwi strzała Erosa – jest bez pamięci zakochana w przybyszu Jazonie.

Wdowa uznała, że zwycięstwo Jazona przyniesie jej korzyść, dlatego zgodziła się pośredniczyć między Jazonem a Medeą. Kiedy Medea, udręczona miłością, leżała na swoim puchowym łóżu, ta przedostała się do Jazona i oświadczyła mu, że ma na dworze sojuszniczkę. I to nie zwyczajną

sojuszniczkę, a Medeę.

– A na czym polegała jej niezwykłość? – zapytała Kora.

– Ach, nie wiesz nawet tego – westchnął centaur, który najwyraźniej wcześniej nie spotykał tak niedoinformowanej istoty. – Medea – to Medea!

– A dokładniej? – zażądała Kora.

Centaur nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ na górze, na zboczu, pojawił się jeden z mieszkańców, informując uprzejmie, że odyniec został już sprawiony i gotuje się z niego wspaniały gulasz. Czy szanowni goście nie uczynią miastu zaszczytu i nie wezmą udziału w posiłku?

Kora chciała wytłumaczyć, że jest w pracy, ale powstrzymał ją centaur:

– Reguły gościnności nade wszystko – szepnął.

I zwracając się do miejscowego, oświadczył, że z przyjemnością przyjmują zaproszenie.

Ponieważ do uroczystej kolacji zostało nieco mniej niż godzina, centaur mógł kontynuować opowieść:

– Medea, jak wiadomo każdemu, nawet opóźnionemu w rozwoju dziecku, jest największą czarodziejką z greckich mitów. Jest wnuczką Heliosa!

– Ale, bądźmy szczerzy, tu każdy jest czyimś wnukiem. Co prawda, nie wiedziałam, że wasi bogowie zabawiali się także w Gruzji.

– W odróżnieniu od innych, Medea posiada niebiański rydwan i może latać po nieboskłonie!

– Nie przekonuje mnie to – wzruszyła ramionami Kora. – Wszyscy bogowie potrafią latać.

– Ale ona może niemal wszystko! I – co najważniejsze – nie ma sumienia!

– A to już jest niebezpieczne – zgodziła się Kora. – Ponieważ jeśli jest tą kobietą, którą o to podejrzewam, to nie będzie łatwo się z nią uporać. Chejrusiu, opowiedz mi więcej o niej.

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo mi się chce, ponieważ ziemia grecka nie nosiła jeszcze większego potwora, a i Gruzini odetchnęli z ulgą, kiedy się od niej uwolnili.

– Mimo to do dnia dzisiejszego nadają dziewczynkom imię Medea – zauważyła złośliwie Kora.

– Gruzini cierpią na kompleks małego, ale dzielnego narodu – oznajmił centaur. – Bohaterów nie mają zbyt wielu, ale wszyscy są sławni. Niegodziwców mają jeszcze mniej, ale ci są jeszcze sławniejsi niżli herosi. Zwykle jednak nikczemnicy wyjeżdżali z Gruzji, by dokonywać swoich niegodziwości z boku. Medea zaś szalała w Grecji, dlatego w Gruzji jest czczona jako piękna czarodziejka i nikt nie chce słyszeć o jej zagranicznych wyczynach.

– No tak – zgodziła się Kora. – Potem Gruzini mieli Stalina i Berię. Ci też wyjechali z Gruzji i dokonywali zbrodni poza jej granicami. Chyba dlatego Gruzini do tej pory czczą Stalina. Chociaż jego psy „dogodziły” również Gruzji.

– Ludzie mają krótką pamięć. A jeśli się ich odpowiednio długo katuje, to zaczynają cechami boskimi obdarzać również pałkę, która harcuje po ich plecach... Możesz powiedzieć o jakimś strasznym tyranie: „Zgładził milion niewinnych dusz”. A niesłuchanie dobry człowiek, który nawet by muchy nie skrzywdził, odpowie ci na to: „Ale za to przyłączył do naszego mocarstwa dwie pustynne wyspy i jedną pustynię kontynentalną, co prawda musiał w tym celu zgładzić wszystkich i wszystko na tych ziemiach, łącznie ze skorpionami, ponieważ te ośmieliły się kąsać najeźdźców”.

– Dobra – westchnęła Kora, zgadzając się z wywodem centaura. – Wróćmy do Medei.

Centaur kontynuował swą opowieść:

– Medea wyznała Jazonowi swą miłość. I przysięgła mu być wierną aż po grób. Jazon, któremu Medea, to jasne, podobała się, też przysięgł jej wierność, przysięgł, że będzie ją kochał i ożeni się

z nią. Tak się umówili. Pozostałe punkty kontraktu ślubnego pozostały, jak to się mówi, do czasu niepublikowane. Wtedy Medea zdjęła z półki naczynie z magicznym płynem, który jakoś dziwnie działał na zmysł powonienia miedzianych byków. Wystarczyło, by Jazon posmarował się owym sokiem roślin, wyrosłych z krwi tytana Prometeusza i podszedł do byków, aby te zaczęły się do niego niemal łąsić. Przez cały dzień bez wytchnienia Jazon orał pole, a Argonauci, monarcha i dworzanie obserwowali to ze szczytów okolicznych wzgórz, tak na wszelki wypadek. Późnym wieczorem Jazon przytaszczył na zaorane pole worek z zębami smoka. I zaczął je siać. Ale idąc za radą Medei, siał je nierównomiernie, a jakby po obu stronach pola, zostawiając między nimi wolną przestrzeń. Kiedy skończył siew, z ziemi zaczęły wschodzić zakuci w pancerze, ciężkozbrojni wojownicy, pałający żądzą zabijania. Wtedy, odsunawszy się z pola, Jazon cisnął w środek wielki głaz. Wojownicy wzięli kamień za wroga i z obu stron rzucili się nań. Oczywiście, żadna ze stron nie dosięgła kamienia, ponieważ wszczęła walkę z drugą stroną. Bój skończył się tym, że wojownicy wytlukli się wzajemnie. Mam nadzieję, że rozumiesz – to jest obraz symboliczny i umowny. Innymi słowy, kto sieje zło, zbierze je po stokroć. Jasne?

– Jasne, Chejronie. Teraz wierzę, że uczyłeś herosów. Dalej pewnie było już łatwo?

– Dalej było nadal niełatwo. Oczywiście, Ajetes natychmiast złamał swoje słowo i zaczął wymyślać nowe pułapki. A kiedy i te nie pomogły, wpadł w gniew i zagroził spalaniem „Argo” i wybiciem Argonautów.

– Ale Medea była po ich stronie...

– Masz rację. Medea zaprowadziła Jazona do świętego gaju, gdzie wisiało runo, pilnowane przez ogromnego smoka. Medea podeszła do smoka – przecież był on czymś w rodzaju domowego psa: rozpoznawał swoich, kąsał cudzych. Podała mu jakiś napój, posmarowała powieki nalewką senną, a kiedy smok zaczął chrapać, Jazon zdjął runo i wraz z Medeą odnieśli je na okręt – jakby nie patrzeć, barania skóra ze złotym runem musi ważyć немало.

– Pewnie jest to odzwierciedlenie starych opowieści o tym, jak Grecy wędrowali do Gruzji po barany – powiedziała Kora.

– Nic podobnego – zaprzeczył centaur. – Jeśli mamy snuć przypuszczenia na podłożu naukowym, to wiadomo, jak na rzece Fasis wydobywa się złoto: opuszcza się do wody baranią skórę, a potem wybiera się z jej wełny drobiny złota...

– Naiwne to – powiedziała Kora. – Ale ładne. A czym się skończyła historia z Medeą?

– Zajęła z Jazonem kajutę na rufie, liczba wioślarzy zmniejszyła się jeszcze bardziej, a Jazon zaczął oddawać się pieszczotom Gruzinki.

– A towarzysze nie zaproponowali mu, by wrzucił ją w fale?

– Historia na ten temat milczy – odparł centaur, już znudzony opowieściami, a podrażniony zapachem pieczonej dziczyzny. Ludzka połowa jego żołądka domagała się mięsa.

– Medea uczciwie zapracowała na swój kawałek chleba na „Argo” – powiedział. – Kiedy flota Ajetesa dogoniła ich w ujściu Dunaju, to właśnie Medea wymyśliła sprytny ruch, nieznanym jeszcze w historii Grecji. Zabiła swojego brata Apsyrtosa, którego wcześniej namówiła, by popłynął z nią, zobaczył Grecję i zrobił wielką karierę w centrum cywilizowanego świata. Nie tylko zabiła go, ale na dodatek pocięła na kawałki i te rzucała do morza, gdy statek ojca zbliżał się do „Argo”. „Patrz, papciu – krzyczała – oto głowa twojego synka. Nie śpiesz się, musisz ją najpierw wyłowić z wody”: Ze straszliwymi przekleństwami na ustach gruzińscy marynarze spuszczaali żagiel, suszyli wiosła i wyławiali części ciała biednego chłopca.

– Jazon nie odwrócił się od niej?

– Może i odczuwał wstręt, ale dławił go w sobie. Kiedy ktoś dokonuje ohydnych czynów dla kogoś, to ten ktoś musiałby być wyjątkowo silny i uczciwy, by złożyć w ofierze swoje interesy. Argonauci odwracali się, udawali, że nic nie widzą i nie słyszą, i wiosłowali z całych sił – w końcu wiedzieli, że Gruzini już im teraz nie wybaczą. Istnieje też wersja, wedle której Apsyrtosa zabił Jazon zdradzieckim ciosem miecza w plecy i że to on odrąbał mu członki. Prawda, niestety, jest już przed nami ukryta.

– A dalej?

– Nieoczekiwanie deska, którą wstawiła w rufę „Argo” sama Atena, zaczęła przemawiać. Zażądała, by Jazon i Medea zeszli z pokładu okrętu. Póki nie oczyszczą się z podłego zbrojstwa, nie mają prawa znajdować się na pokładzie „Argo” zbudowanego w szlachetnym celu.

– Usłuchali?

– Sądzę, że tego chcieli nie tylko bogowie, ale również sami Argonauci. Medea zaprowadziła Jazona do prorokini Kirke, mieszkającej gdzieś w zachodniej części Morza Czarnego, ale ta nie chciała dokonać obrzędu oczyszczenia Medea jednak ją przekonała, ponieważ Kirke również była Gruzinką, na dodatek ciotką Medei. Po długich rozmowach, z których Jazon nic nie rozumiał, ponieważ prowadzone były po gruzińsku, Kirke zarznęła świnie i jej krwią dokonała obrzędu oczyszczenia zbrodniarzy. Ci ruszyli doganiać „Argo”, chcąc powrócić na jego pokład...

Od strony wzgórza doleciały ich dźwięki muzyki, zaczęła się uczta.

– Może dokończę kiedy indziej? – zapytał centaur.

– A dużo jeszcze zostało?

– Nie, niewiele. Ale najważniejsze.

– No to dokończ szybko i idziemy na kolację.

– Nie wypada się spóźniać!

– Chejronie, streszczaj się, bo nic dla nas nie zostanie. – Nasi bohaterowie dogonili „Argo”, kiedy okręt już szczęśliwie dotarł do wód ojczystych i znajdował się niedaleko ojczyzny. Ale tu właśnie dopadły ich gruzińskie okręty. Nie będę wdawał się w szczegóły, ale po wyrafinowanych knowaniach Medei przy pomocy pośredników zdecydowano tak: jeśli Medea ciągle jeszcze jest dziewicą i nie jest żoną Jazona, a tylko uczestniczy w jego bandzie, to Medea wraca do ojca. Nie tracąc ani sekundy, Jazon z Medeą skoczyli do pobliskiej jaskini, tam urządzili ucztę, pochichotali z powodu naiwności starszego pokolenia, po czym Argonauci wrócili na okręt, a młoda para, pościeliwszy sobie złote runo, oddała się miłosnym uciechom, którym przecież oddawali się od kilku już tygodni. Ale formalności zostały dochowane i rankiem wszyscy Argonauci mogli przysiąc, że właśnie tej nocy Jazon posiadał dziewicę Medeę. A przy okazji, co się tyczy siły sztuki... – Centaur przeciągnął się, postukał tylnymi kopytami, ziewnął i ciągnął: – Pamiętasz, jak Odyseusz walczył z syrenami?

– Tymi, co śpiewem powodowały, że marynarze skakali za burtę?

– Właśnie. Zakleił im uszy woskiem, a siebie kazał przywiązać do masztu. Powiadają, że potężnie się szamocząc, omal nie odciął sobie ręk. A wiesz, co się stało na „Argo”, gdy syreny zaczęły śpiewać? Orfeusz chwycił lirę i odpowiedział im niemiernie cudnym śpiewem. I stało się tak, że syreny zaczęły włączyć na pokład, załoga musiała walczyć z tymi melomankami... – Centaur prychnął krótkim śmiechem, jakby na własne oczy widział tę scenę.

– A wszystkie te świątwa i zbrodnie naszej pary – Jazona i Medei, ponieważ od tego momentu

mój uczeń całkowicie już był pod wpływem niegodziwego babska – błędną wobec tego, czego dokonali, wróciwszy do domu, do króla Peliasa. Oczywiście, mieli ku temu pewne powody, ponieważ była to zemsta, ale zemsta też powinna mieć granice. Jak myślisz?

– Zemsta jest głupim zajęciem – odparła Kora.

– Bez niej nie ma postępu cywilizacji.

– Prowadzi do ślepej uliczki, ponieważ każda zemsta rodzi nową.

– No to wysłuchaj końca historii. Kiedy „Argo” podpłynął do portu, zobaczyli w morzu łódkę, a w niej rybaka. Rybaka wezwali na pokład i poprosili, by opowiedział, co nowego wydarzyło się w domu. Rybak zaś opowiedział straszliwe rzeczy. Okazało się, że król Pelias dowiedział się skądś, że Argonauci zginęli, ucieszył się i postanowił raz na zawsze załatwić sprawę Jazona i jego krewnych. Przyszedł zatem do ojca Jazona Ajnosa i zapowiedział kaźń. Ten zaczął błagać: „Pozwól mi zginąć z własnej ręki!”. Pelias zgodził się. Ajnos wypił puchar byczej krwi i zmarł.

– Dlaczego? – zapytała Kora.

– Sam nie mam pojęcia, tak opowiadają – odparł centaur. – Następnie Pelias udał się do żeńskiej połowy domu i powiedział matce Jazona Polymede, że jej mąż jest martwy. Powiedziawszy to, chwycił za nogi niedawno urodzonego młodszego brata Jazona i uderzył jego głową o marmurową podłogę. Nie, nie mogę już opowiadać.

– A matka? – drążyła Kora.

– Matka wbiła w siebie nóż.

– Czyli Jazon dowiedział się o śmierci rodziców tuż przed powrotem?

– Dosłownie o dwie godziny płynięcia od domu. Zwołał wtedy radę wojenną. Należy zauważyć, że na pokładzie „Argo” w tym czasie nie zostało już więcej niż trochę ponad trzydziestu marynarzy. Wszyscy mocno wyczerpani podróżą. Racjonalnie wyłożyli Jazonowi, że nie mają sił ani środków na szturm stolicy Peliasa. Muszą rozjechać się do domów, zebrać oddziały i w wyznaczonym terminie znowu się zebrać, by razem szturmować stolicę. Ale Jazon ten plan nie urządził. Wpadł w szal, oskarżał swoich przyjaciół o zdradę. A Medea powiedziała, że sama to wszystko załatwi, sama, tylko prosi, by nikt nie wtrącał się do jej planu. Oczywiście, taką zgodę natychmiast otrzymała. Kazała więc ukryć okręt w niewielkiej zatoczce, zamaskować go i czekać na sygnał. Gdy tylko nad dachem pałacu zobaczą postać wymachującą płonąca pochodnią, będą wiedzieli, że zemsta się dokonała.

Chodziło o to, że na pokładzie „Argo” znajdował się mały dziwny posążek Artemidy, pusty wewnątrz, znaleziony gdzieś w odległych morzach. Medea odziała swoje służki w egzotyczne szaty, z siebie zrobiła staruchę i w takiej postaci, wlokąc posążek, procesja ruszyła do miasta. Strażnicy, zdziwieni tym orszakiem, nie odważyli się nie wpuścić kobiet. A te zaczęły chodzić po ulicach i krzyżeć, że sama bogini Artemida przybyła tu z odległych ziem.

Usłyszał o tej wizycie Pelias. Miasto jednak nie było wielkie, a kobiety wydierały się z całej siły. Pelias wezwał kobiety i zapytał, czego tu szukają. Medea, pomarszczona starucha, oświadczyła, że z woli Artemidy może zwrócić Peliasowi młodość, a nawet da możliwość poczęcia następcy na miejscu tego, który niedawno zginął. A kiedy Pelias zaczął się wahać, Medea zręcznie przejechała po twarzy wilgotną ściereczką, zmyła farbę, wyprostowała się i przed monarchą stanęła młoda piękna kobieta.

– Co świadczy o tym...

– Medea była przede wszystkim znakomitą aktorką, a czy była naprawdę czarodziejką – pytanie pozostaje bez odpowiedzi, choćby dlatego, że czarodziejki nie muszą ścierać z twarzy farby, by się

odmłodzić.

– Dalej – poprosiła Kora.

– Oczywiście, stary dureń Pelias postanowił, że się odmłodzi i to natychmiast. Żeby go do końca przekonać do tego pomysłu, do pustego posągu dziewczicy zostało wepchnięte jagnię, a starego barana na oczach Peliasa zaszlachtowano, poćwiartowano i włożono do kotła z wrzątkiem. Po głośnych gruzińskich zaklęciach Medea wyjęła z posągu jagnię, a wtedy Pelias, któremu wydawało się, że na własne oczy widział już wystarczająco dużo dowodów, oświadczył, że też zamierza stać się młodym.

Stary głupiec został ułożony na łożu, a mściwa, bezlitosna Medea kazała trzem córkom Peliasa zarznąć uśpionego przez siebie ojca. Starsza córka odmówiła i uciekła, młodsze zostały zmuszone do zaszlachtowania ojca. Następnie kazała im iść na dach pałacu i stamtąd wymachiwać pochodniami, w kierunku Księżyca, by ich ojciec szybciej ocknął się w postaci młodzieńca. Dziewczęta weszły na dach i zaczęły wymachiwać pochodniami. Zobaczyli ten sygnał Argonaucci i bez najmniejszych przeszkód weszli do miasta, którego obroną nie miał kto dowodzić.

Ale kiedy zobaczyli, co się dzieje w pałacu, ogarnęło ich takie obrzydzenie do Medei i jej metod zemsty, że oświadczyli Jazonowi, iż nie pozwolą kobiecie i jemu samemu rządzić ojczyznę jego ojców, a tron oddają starszemu synowi Peliasa, Akastosowi, który znajdował się w gronie Argonautów i, rzecz jasna, nawet nie podejrzewał, że Medea zamierza pociąć i ugotować ojca rękami jego własnych córek.

– Słuchaj, Chejronie, nie wydaje ci się, że Medea miała jakieś odchylenia? – zapytała Kora. – W moich czasach to się nazywa sadyzmem.

– Jak chcesz, tak nazywaj, ale ta Gruzinka hańbi swój znakomity naród. Co zaś się tyczy końca tej historii, to królem został Akastos, wypędził z miasta obie siostry, które zhańbiły, choć z powodu niewiedzy, swój ród, a starszą siostrę wydał za mąż za jednego z przyjaciół.

Argonaucci urządzili na cześć Peliasa igrzyska, szczegółowo opisane przez wielu kronikarzy. Jazon i Medea zostali wypędzeni z miasta. Przy tym, chcąc zachować się godnie i sprawiedliwie, pozostawiono mu złote runo i „Argo”. Jazon zmontował załogę z prostych marynarzy i przepłynął okrętem do miasteczka Orchomenos, zajął je i zaczął nim władać. Jazon kazał odprowadzić zmurszały „Argo” od brzegu i zatopić go jako ofiarę Posejdonowi, ale morski bóg nie przyjął ofiary i wkrótce okręt został wyrzucony przez sztorm na pobliski pustynny brzeg...

– Czy to już koniec? – zapytała Kora.

– Nie – odparł centaur. – To nie wszystko, ale jeśli będziesz nalegała, żebym dokończył, to zostaniemy bez kolacji, a pozostawszy bez kolacji, wpadnę w taki gniew, że rozdepczę cię i wszyscy bogowie Grecji mi wybaczą.

Oczywiście, centaur żartował, ale ze starożytnymi istotami jest tak, że nie wiadomo, gdzie się kończy żart, a zaczyna groźba. Tak więc Kora ruszyła za centaurem do miasteczka, gdzie na centralnym placu zostawiono miejsca dla gości honorowych, a prości wieśniacy siedzieli na ziemi, pili i weselili się. Kora od czasu do czasu wstawiała i obchodziła plac, mając nadzieję, że zobaczy Medeę. Ale nikogo podobnego nie udało się jej zobaczyć.

Przed świtem, kiedy wszyscy układali się do snu, Chejron szeptem zaproponował Korze, by dzieliła z nim łożo w głównym budynku miasteczka. W odpowiedzi na zdziwiony okrzyk Kory przypomniawszy jej, że niczym, z winy Hery, nie może jej zagrozić, ale jeśli pozwoli, by jego towarzyszka spała oddzielnie, to jego centauryjska reputacja poniesie niepowetowaną szkodę.

Kora, mimo że nie do końca ufała Chejronowi, zaryzykowała i w sumie zyskała na tym, ponieważ centaur spał jak zabity, ale obejmował ją i przyciskał do swego miękkiego brzucha, spało się wygodnie, jak w kołysce, jeśli tylko nie zważało się na to, że w brzuchu centaura od czasu do czasu rozlegało się głośne burczenie...

Rano droga prowadziła przez rzadki zagajnik dębowy. Gdzieś pod dębami krzątały się dziki, ale nie zwracały na centaury żadnej uwagi. Słońce świeciło prosto w oczy, ptaki nie śpiewały, ale prowadziły ze sobą dialogi, których treścią była jesienna domowa krzątanina. Centaur nieproszony sam zaczął opowiadać:

– Ojciec Medei – powiedział – miał prawo do tronu w Koryncie. Tak, tak, w moim rodzinnym Koryncie. Nie było mnie tam wtedy, co prawda, ale sąsiedzi i znajomi opowiadali, co się wydarzyło. Medea otruła tamtejszego władcę i zdobyła tym sposobem dla Jazona i siebie tron. Zajął pałac królewski. Należy powiedzieć, że żyli tam długo i mieli kilkoro dzieci. Medea dokonała niemało ohydnych czynów, ale Jazon był na to głuchy i ślepy, ponieważ sam też nie był najszlachetniejszym z Hellenów. Ale kiedy było mu to wygodne, wypominał Medei jej czyny. Pewnego dnia wręcz oświadczył, że ma jej za złe zabójstwo korynckiego króla. „Jak inaczej zdobyłabym dla ciebie ten tron?” – wściekła się zawsze wierna Jazonowi Medea. I nagle, ku jej zdziwieniu, Jazon wszczął straszliwą sprzeczkę i w końcu oświadczył, że nie zamierza więcej żyć pod jednym dachem z morderczynią. Medea nie uwierzyła w szczerłość nagłego i niespodziewanego wybuchu szlachetności Jazona i zaczęła węszyć. Okazało się, że za szybko sobie odpuściła.

Jazon w tajemnicy zakochał się w młodziutkiej urodziwej Glauce, postanowił ożenić się z nią, a Medeę i dzieci porzucić... Możesz sobie wyobrazić, jaki ten Jazon był naiwny? Takie numery z Medeą nigdy się nie udawały. Najpierw rozżłościła się i przypomniała mu o przysiędze, według której miał być zawsze jej wierny. Jazon zaczął się wykręcać i kombinować, że przysięga była wymuszona. Medea rozszlochała się i oświadczyła, że rozumie swojego męża, że jest głupia, stara, nikomu niepotrzebna...

– Poczekaj, poczekaj! – przerwała Kora. – Ileż lat miała ta pokorna staruszka?

– Zaraz, niech mnie bogowie obdarzą pamięcią... Kiedy zakochała się w Jazonie miała szesnaście, ponad rok wędrowali i urządzali się w Argolidzie i Fessalii...Potem jeszcze siedem lat przeżyli w Koryncie. W sumie, dla czarodziejki i królowej nie tak znowu wiele – oświadczył centaur. – Jakież dwadzieścia pięć lat.

– Dwadzieścia pięć, moja rówieśnica... No nie, nie taka znowu starucha!

– Medea oświadczyła, że sama utka szatę ślubną dla Glauce i przygotuje wszystko do ślubu. Jazon był po prostu wstrząśnięty ugodowością małżonki. I oto nadszedł czas ślubu. Medea nalegała, by Glauce nałożyła swoją szatę ślubną, kiedy zbiorą się wszyscy goście.

A kiedy narzeczona zrobiła to, objęły ją oślepiające płomienie.

Spłonęła, krzycząc, w kilka sekund.

I spłonął jej ojciec.

I wszyscy jej krewni.

I wszyscy zaproszeni na ślub.

Tylko Jazon, znajdujący się blisko okna, zdołał przez nie wyskoczyć i mimo że się mocno potłukł, spadając z piętra, przeżył... Nikt więcej się nie uratował.

Medea zaś na oczach wszystkich wzleciała w niebo, albowiem jej dziad, bóg słońca Helios, przysłał po czarodziejkę swój własny rydwan.

– A dzieci? – zapytała Kora podniecona opowieścią.

– A dzieci zostawiła na ołtarzu w świątyni Hery, a ta obiecała, że zachowa ich życie.

– I zachowała?

– Nie ośmieliła się. Usunęła się, nie chcąc wplątywać się w skomplikowaną aferę. Tej samej nocy tłum rozjuszonych Koryntian, z których każdy stracił kogoś w sali ślubnej, ukamienował dzieci.

– Powiedz mi, Chejronie, czy istnieje na świecie sprawiedliwość? – zapytała filozoficznie Kora.

– Jaka sprawiedliwość? – odpowiedział pytaniem mądry centaur. – Sprawiedliwość Glauke, która chciała wyjść za mąż za cudzego męża? Sprawiedliwość Medei, która z miłości do Jazona zdradziła swą ojczyznę i ojca? Czy może sprawiedliwość starego Peliasa?

– Nie wiem.

– Inni też nie wiedzą. Jej dziadek Helios ratował ją nie raz i uratuje jeszcze. Herakles był gotów przyjąć ją w Tebach, ponieważ kiedyś wyleczyła go z szaleństwa, ale Tebańczycy nie wpuścili jej do miasta, oświadczając, że nie chcą widzieć w swych murach straszliwej i podłej morderczyni. A co ona wtedy zrobiła? Wyruszyła do Aten, przyszła do króla Egeusza i oczarowała go jak smarkatego wyrostka.

– Tego Egeusza?

– Tak, tego Egeusza, do którego aktualnie podąża nasz Tezeusz, by pokazać mu sandały i miecz i żądać prawa do tronu.

– Poczekaj, poczekaj, Chejronie! Czyż nie jest prawdą, że Medea ma syna Medosa, zrodzonego z Egeusza?

– Właśnie to sprawia, że los naszego Tezeusza jest tak niepewny. Nie dałbym nawet miedziaka za jego życie.

– A ja ją widziałam!

– To po trzykroć niedobrze. Czyli Medea już wie, że Tezeusz zbliża się do Aten i uczyni wszystko, by Egeusz go nie uznał. A przecież wszyscy zbóje całego świata nic nie są warcy w porównaniu z Medeą.

– Musimy go uprzedzić!

– Nie bądź naiwną gąską. Tezeusz nie może zajrzeć do przyszłości, określonej przez bogów.

– To się jeszcze zobaczy – odparowała Kora, niezbyt wierząca w determinizm historyczny, czyli określoność przyszłości. Przyszłość tworzymy własnymi rękami, mawiała Kora. I teraz też powtórzyła te słowa centaurowi. Chejron pochylił głowę i nic na to nie odpowiedział.

Następnego ranka Kora długo nie mogła obudzić centaura. Już miała odejść bez niego, ale miejscowy władca, mały człowieczek z zielonkawą ze starości brodą, rozsądny jak stary zółw, będący na dodatek bratankiem wnuka Afrodyty, o czym poinformował ją z należytą skrupulatnością, przekonał ją, że pod Megarą droga będzie niebezpieczna, można nawet powiedzieć – nieprzewidywalna.

– Jeśli Skiron każe ci myć nogi, co mu odpowiesz? Staruszek patrzył chytrze, ale bez złości. Po prostu – był zwyczajnie ciekaw.

– Odmówię mu, czcigodny królu – odpowiedziała Kora, marszcząc nos na dźwięk chrapania, jakie wytwarzał jej towarzysz i dziwiąc się, jak obojętni na to byli miejscowi. Zresztą, większość miejscowych kimała jak centaur albo cierpiała z powodu obżarcia się dziczyzną.

– A wtedy on cię ten-tego – roześmiał się król.

– Może...

– A potem będziesz musiała pogadać z Prokrustesem. Słyszałaś o nim?

– Coś mi się obilo o uszy – przyznała Kora. – Czy to nie on wymyślił łożę?

– Właśnie on! – staruszka ucieszyło czytanie Kory. – Mnie by naciągnął dwukrotnie, a tobie wszystko odetnie: i główkę, i nóżki od kolan. Radzę ci więc poczekać, aż się obudzi centaur. To dobry facet.

– Skoro tak wszystko wiecie, to może i to, kiedy Chejron się obudzi?

– Samaś winna, musiałaś go zmęczyć przez noc, dziewczyno! Ale jak tylko cień tej skały sięgnie ławki moimi wrotami, Chejron otworzy swoje bezwstydną ślepia. Tak więc odpoczywaj sobie na razie, a ja pójdę zarządzać państwem. Muszę jakieś resztki odyńca zanieść na ołtarz, bo się bogowie rozeźlą. Moi tak się rzucili na mięso wczoraj, że zapomnieli o ofierze.

– Może pomogę, dziadku?

– Nie, nie zostało tego wiele, same kości. Idź się wykąp, woda dziś w morzu ciepła. Kiedy nadejdzie zima, jak się wykąpiesz? Chyba że boisz się morskiej-wody.

– Nie boję się – uśmiechnęła się Kora. Pożegnała się ze starym królem.

Wolno zeszła stromym brzegiem do morza. Morze było spokojne, czułe, niebieskie, fale były gładkie, bez grzywaczy, blisko brzegu widać było kamyki na dnie. Wysoki brzeg tworzył tu ogromny łuk, na przeciwległym brzegu zatoki widać było budowle Koryntu.

Nie było tu ani rybaków, ani syren, ani cyklopów – miejsce wydawało się spokojne i bezpieczne. No i raczej staruszek nie wysłałby swojego gościa, by ten kąpał się w niebezpiecznym miejscu. Kora zrzuciła tunikę i wyszukawszy na brzegu płamę gliny, chwyciła kawałek i wykorzystując ją jako mydło, przeparała chiton.

Rozłożyła chiton na kamieniach, weszła do wody i odpłynęła od brzegu. Pływała dość dobrze, a poza tym nie płynęła na czas, a dla przyjemności.

Potem odwróciła się na plecy.

Wysoko nad nią szybował orzeł. Może nawet nie był to orzeł, a Zeus pod postacią orła, może

nawet miał wobec samotnej nagiej pływaczki jakieś erotyczne zamiary. Diabli ich tu wszystkich wiedzą... erotomanów.

Kora popłynęła wzdłuż brzegu, trzymając się głębiny. Nieopodal wyskoczyły z wody delfiny i postanowiły urządzić sobie z nią zawody. Delfiny śmiały się, coś mówiły do niej, ale bogowie nie dali jej umiejętności rozumienia ich języka, tak więc Kora mogła się tylko do nich uśmiechać.

Jeden z delfinów podpłynął blisko i odwrócił się, podsuwając płetwę, Kora nie wytrzymała i chwyciwszy się płetwy, dosiadła delfina. Grzbiet jego był śliski, jędrny, nie było łatwo się na nim utrzymać.

Pędzili jednak wzdłuż brzegu, po chwili Kora pomyślała, że oddalili się chyba zbyt daleko od Krommyonu, usiłowała przekazać delfinowi, by zawrócił, ale nadaremno. Inne delfiny też szczerzyły tylko zęby, uśmiechały się, ochlapwały ją wodą i pędziły w stronę Koryntu, jakby realizując jakiś cel.

Rzuciwszy okiem na brzeg, Kora zauważyła wolno idącego brzegiem mężczyznę w dziwnym ubraniu, nie zwracającego uwagi ani na pogodę, ani na morze, ani na bawiące się delfiny.

Na jego widok delfiny wyraźnie straciły zainteresowanie Korą, jakby odrobiły swoje lekcje. Nawet ów największy delfin, na grzbiecie którego pędziła, nieoczekiwanie zanurzył się, a Kora, nie chcąc zachłysnąć się, musiała odepchnąć się od niego i wynurzyć na powierzchnię.

Nie zostało jej nic innego, jak płynąć do brzegu, dystans dwustu metrów pokonała szybko, ale na brzegu przypomniała sobie, że jest całkowicie naga. I mimo że Grecy mieli dość spokojny stosunek do nagiego ludzkiego ciała, spokojniejszy niż w fundamentalistycznym Iranie, mimo wszystko nie bardzo chciało się jej spotykać z nieznanym mężczyzną w takim stanie.

Ale w czasie, kiedy się zastanawiała, mężczyzna mimo swojej obojętności na otoczenie dostrzegł, że z morza wyszła dziewczyna, wcale się jednak nie zdziwił.

– Witaj – powiedział. – Może jesteś Afrodytą, bo wzrok mój osłabł albo jesteś okeanidą, która wyszła na brzeg mimo zakazu starego Okeanosa? Szczerze mówiąc, nie chcę widzieć nikogo, ale skoro już tu jesteś, to nie mogę przecież cię przepędzić. Ziemia jest wspólna dla wszystkich istot żywych.

Dziwnie wyglądał ów człek. Nie był stary, w każdym razie jego długie falujące włosy były tylko z lekka pociągnięte siwizną, chociaż broda i wąsy były całkiem siwe. Skóra twarzy wysmagana była sztormami, wygarbowana jak u starego marynarza. Oczy mężczyzny wydawać by się mogły młodymi, gdyby nie spojrzenie – puste, zmęczone, martwe, spojrzenie tak starego człowieka, że mógłby być starszy od Ziemi. I jego dziwne ubranie. Miał na sobie pozłacany kiras z brązu z wykutym na nim pyskiem lwa, krótki chiton, wystający spod niego, uszyty był z drogiej purpurowej tkaniny, ale obdarty i wystrzępiony. Sandały, przymocowane do stóp złotymi sznurkami, znoszone były tak, że stopy dotykały bezpośrednio piasku. Przy pasie miał pustą pochwę. Kiedyś był to potężny wojownik, ciało jego, wycieńczone i pokryte szorstką skórą, jeszcze wyraźnie świadczyło o walkach i igrzyskach, wzrostem nie ustępował Korze.

Kora już zrozumiała, że ma przed sobą któregoś ze słynnych bohaterów starożytnej Hellady, ale nie wiedziała, z którym tak okrutnie obszedł się los. Na pewno nie był to Tezeusz, który dopiero co skończył siedemnaście lat i kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa.

Kora zapomniała o swojej nagości – mężczyzna jakby jej nie dostrzegł. Ale nie wiedziała, o co zapytać. Zwykle w starożytnej Helladzie wędrowiec pyta nieznanego człowieka, kim jest i dokąd zmierza. Ale Kora czuła się niezręcznie, więc zapytała:

– Wybacz, wędrowcze, szukam młodego Tezeusza, który podąży z Trojzeny do Aten, do swego ojca, Egeusza. Nie spotkałeś go czasem?

– Kogo? – zapytał wędrowiec.

Miał zmęczony, zachrypnięty głos. Każde słowo ulatywało z jego ust z trudem.

– Tezeusza.

– Zmierza do Egeusza? – nagle obszarpaniec roześmiał się ochryple i z trudem, tak samo jak mówił. – Jaki dziwny zbieg okoliczności. Sprowadziła zgubę na mnie, sprowadzi i na niego... Czy to nie zabawne?

– O czym mówisz, dobry człowieku?

– Jeśli chcesz otrzymać odpowiedź na swoje pytanie, dziewczyno, to będziesz musiała przejść się ze mną. Ja już kończę swoją drogę na tym świecie, już niewiele mam do przejścia. Dlatego, jeśliś ciekawa, chodź ze mną.

Oczywiście, Kora była tak zaintrygowana, że poszła obok dziwnego niestarego starca.

– Nazywam się Jazon – rzekł mężczyzna. – Myślę, że słyszałaś o mnie. O moich czynach i podróżach.

– Jazon? – Kora nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia. Centaur nie zakończył wczoraj opowieści o Jazonie, ale z jakiegoś powodu Kora była przekonana, że Jazon włada... właśnie, gdzie?

– Ktoś musi zapłacić za wszystko – rzekł Jazon. – Na targu kupuje para, ale płaci jeden. Śmieszne, nieprawdaż? Sądziłem, że zadanie, do którego popychali mnie bogowie, na które błogosławiła mnie cała Hellada, jest tak wielkie, że dla osiągnięcia celu można poświęcić wszystko. Byłem jak opętany. Możesz mnie zrozumieć?

– Jesteście dla mnie – powiedziała Kora – nie człowiekiem z ludzkimi uczuciami, a bohaterem, wielkim jak Herakles. Spełniacie swój wielki obowiązek, a co się dzieje z ludźmi i miastami, na które przypadkiem nadepnięliście – co to was może obchodzić. Daliście ludzkości zły przykład – szanujemy zabójców. Gdyby pozwolono wam zajrzeć w przyszłość, zobaczylibyście, że ludzie szanują nie wybawców, a morderców. Nic wam nie powiedzą znane w przyszłości imiona Aleksandra Macedońskiego, Napoleona, Lenina, Stalina, Hitlera – każdy z nich wymyślał dla siebie i swojego narodu, który oszukiwał, podporządkowywał sobie, sprowadzał na manowce, jeden cel: zabijać i zabijać. I kto zdołał więcej zabić, ten wygrywał zawody z wiecznością. A wy widocznie nie zabiliście tak wielu, skoro przemierzacie brzeg w takim żalnym stanie.

– Nie, nie jestem herosem. To co czyniłem z woli bogów, jakby zostało we mnie – powiedział Jazon. – Przypominam dowódcę, który wrócił ze zwycięskiej wojny, a w domu nikogo to nie obchodzi i trzeba wszystko zaczynać od początku. Trzeba paść bydło i wychowywać dzieci. A ja słyszę ciągle w uszach szczęk mieczy i bojowe okrzyki.

– Mieliście żonę, rodzinę – bezmyślnie palnęła Kora.

– Na pewno słyszeliście o mojej żonie.

Wolno szli po brzegu, na szczęście był tu piasek, spacer boso sprawiał nawet przyjemność, zwłaszcza niżej, bliżej wody, gdzie był zwarty i uklepany.

– Tak, słyszałam o Medei – powiedziała Kora.

– W waszym głosie słyszę obrzydzenie. A czy wiecie, że samotny, porzucony przez wszystkich, oczekujący śmierci, jeszcze raz przypomniałem sobie całe nasze życie z Medeą. I wiecie, do jakiego wniosku doszedłem? Że ona jest moją ofiarą.

– Nie rozumiem was, Jazonie.

– Wszystko, co czyniła ta dzika, pierwotna dusza, czyniła z miłości do mnie. Nie było i nie będzie już w świecie istoty, która gotowa byłaby na wszystko, absolutnie na wszystko tylko dlatego, żeby dogodzić ukochanemu. Chwilami czułem to, chwilami ta miłość mnie męczyła i nawet przerażała. Dlatego, że nie znała granic. A ja oddzieliłem miłość od czynów, a tego nie należało robić. Nie wolno było rozczulać się z powodu miłości i brzydzić zbrodniami. Dlatego, że kiedy było mi to na rękę, popychałem Medeę do czynów straszliwych. O sile jej uczucia wiem tylko ja, a o jej zbrodniach i niegodziwości wie cały świat. W każdym z nas wymieszany jest bóg i śmiertelnik. W każdym, nawet w najgorszym z niewolników. No więc mną kieruje śmiertelnik, a Medeą – bogini. Dlatego jej czynów nie wolno mierzyć ludzką miarą. Ale to co dozwolone jest bogini, niestety – jest osądzone w człowieku.

– Czyli można zabić i poćwiartować swojego brata...

– W imię miłości – tak! Ale może to uczynić bogini, nie człowiek.

– A śmierć Peliasa?

– Medea zemściła się za mnie tak, jak ja chciałem się zemścić w głębi swego umysłu. Ale, będąc śmiertelnikiem, nie odważyłem się. A ona miała tę odwagę – była jakby ucieleśnieniem moich najstraszliwszych i najskrytszych zakazanych pragnień.

– Wszystko to można wytłumaczyć, ale w takim razie powinna była pogodzić się ze ślubem z Glauke.

– Może by się i pogodziła, będąc zwyczajną śmiertelniczką. Ale bogini musi się mścić! Zemścić się na mnie, ponieważ zdradziłem jej miłość.

– Ale zemściła się nie na was!

– Wiedziała dobrze, że dla mnie śmierć Glauke jest gorsza, boleśniejsza od własnej śmierci. Mojemu cieniowi będzie wszystko jedno – życie, umarliście, kochacie czy nienawidzicie... Wszystko mu jedno. A żyjącego boli!

– A dzieci?

– Wiesz, dziewczę, co jest najgorsze: podejrzewam, że rozmyślnie oddała nasze dzieci na rozszarpanie przez oszalałą tłuszczę. Ponieważ w jej sercu było miejsce tylko dla jednej miłości – do mnie. I na jedną zemstę – na mnie. Do chwili, kiedy byłem jej wierny, nic nie mogło stanąć na drodze jej miłości do mnie. W chwili, kiedy ją zdradziłem, złamałem swoją przysięgę, pozbawiłem ją miłości. Medea jest żywa, Medea jest nie do zranienia, ponieważ bogowie chronią ją jako ucieleśnienie miłości. Ale tak naprawdę to ona nikogo nie kocha i już nie pokocha. Dlatego bój się jej, dziewczę. Ona została pozbawiona serca. To serce w niej spaliłem ja.

Daleko przed nimi do wody schodziły czarne skały, wysokie, cienkie, przypominające ludzi w długich, czarnych chlamidach, z nakrytymi głowami – kamienne płaczki. Ku nim kierowali się przypadkowi towarzysze.

– Smutno mi, że zewsząd mnie przeganiają, że ludzie zapomnieli o mnie i moich wędrownikach. A jutro nawet moje imię zniknie z powierzchni Ziemi – rzekł Jazon. – Ale nie mam tego za złe losowi.

– Znam przyszłość – powiedziała Kora, łamiąc reguły działania agenta w VR. – Będziecie sławni i znani, póki istnieć będzie ludzkość. Będziecie symbolem odważnego podróżnika, śmiałego herosa...

– Dziwne – powiedział Jazon, nie dziwiąc się przepowiedni Kory.

Greków przepowiednie nie dziwiły, ponieważ na każdym rogu działał jakiś wieszcz.

– A dokąd się teraz udajecie, Jazonie? – zapytała Kora.

I po raz pierwszy pożałowała, że zgodziła się udać do tej wirtualnej rzeczywistości, która tak naprawdę tylko dodaje smutku do naszego życia.

– Idę pożegnać się z „Argo”. To mój ostatni druh.

– „Argo”. Twój okręt?

– Tak, stoi tam, za tą skałą, wyrzucony przez fale na brzeg. Złożyłem go w ofierze Posejdonowi, ale bóg nie przyjął ofiary. Nie była mu miła.

– Może szkoda mu było zatapiać taki słynny okręt? – wyraziła przypuszczenie Kora.

– I wolał, by gnił na pustym brzegu?

Rzeczywiście, za wielką skałą, – która sterczała nad wodą jak wygięty palec, leżał na piasku przekrzywiony stary okręt, dno którego pokrywała gruba warstwa wyschniętych wodorostów. Masztu i wiosła nie było. Słowo „Argo”, złożone z wielkich złotych liter, znajdowało się na rufie, na kawałku drewna ofiarowanym przez Atenę.

Podniósł się wiatr, po morzu zaczęły przemykać białogrzywe fale, delfiny bawiły się w wodzie, patrząc na nagą dziewczynę i starego herosa.

– Odejdź – powiedział Jazon.

– Co chcesz zrobić?

– Chcę się powiesić – powiedział Jazon. – Chcę się powiesić na swoim okręcie, chcę własnoręcznie przyjąć śmierć od swojego jedyne i wiernego przyjaciela. I nie próbuj odwozić mnie od tego, albowiem nie ma cię, ponieważ jesteś tylko moją mrzonką.

– Wróc do ludzi, Jazonie. Możesz być dla nich pożyteczny. – Kora mówiła to i sama wyczuwała fałsz w swoich słowach.

– Odejdź.

I rozkaz ten, rozkaz króla i bohatera, był tak stanowczy, że Kora odwróciła się i powędrowała z powrotem brzegiem.

I nagle usłyszała okrzyk.

Odruchowo odwróciła się.

Zrozumiała, co się stało. Jazon przywiązał koniec liny do wysokiej rufy „Argo”, wdrapał się na nią i skoczył w dół z pętlą na szyi. Ale stare, przegniłe drewno nie wytrzymało, rufa odłamała się i pogrzebała pod sobą nieszczęsnego bohatera.

Kora pobiegła z powrotem. Z trudem udało się jej odciągnąć belki.

Jazon był martwy.

Po śmierci jego oblicze było młode, gładkie i spokojne. Umarł na swoim okręcie.

Czy Kora powinna go pogrzebać? Czy przywołać Koryntian? Ale może będą chcieli zemścić się nawet na zmarłym?

Na brzegu stała kobieta o marmurowo-białej twarzy, w długim, złotym półprzeźroczystym chitonie i diademie z pereł.

– Idź swoją drogą – powiedziała do Kory. – Nie powinnaś była widzieć takiej śmierci herosa. Bo oni nie powinni tak umierać. To nasza wina. My też zapomnieliśmy o Jazonie.

Nie wiedząc, z kim ma do czynienia, Kora jednak domyśliła się, że to Afrodyta.

– Jeśli przypomnisz sobie kiedykolwiek Jazona – ciągnęła bogini – to wejrzyj w niebo. Posejdon dziś odniesie rufę „Argo” ze złotym napisem do nieba i stanie się ona gwiazdozbiorem. Tak się stanie.

– Tak się stanie – grzotem potwierdził z niebios Zeus.

Kora nosiła w dłoniach wodę, zmyła z twarzy Jazona krew i błoto, oblicze zajaśniało urodą. Przeklęty Milodar, jakie on miał prawo na własnym przykładzie pokazywać jej bezsilność ludzkiego rozumu, zależność jej uczuć od starożytnych spektakli... spektakl przecież nie był starożytny. Kora jeszcze raz zeszła do wody i długo myła dłonie ostrym, gruboziarnistym piaskiem. Daleko stąd białe budynki Koryntu schodziły do samej powierzchni wody.

Wróciwszy do Jazona, wpatrując się w jego spokojne oblicze, Kora zrozumiała nagle, że w jej prawdziwym życiu śmierć bohatera nie jest ostateczną – wystarczy gwizdnąć i przyleci na zew brygada medyków, obwieszonych aparaturą, niczym choinki bombkami. Jeśli jeszcze nie jest za późno – a mózg zachowuje zdolność do regeneracji komórek przez mniej więcej dziesięć minut – Jazonowi zmieniliby ciało i tchnęliby w niego życie ze skutecznością, jakiej mógłby pozazdrościć sam Zeus... byle tylko mózg ocalał.

I nagle myśli Kory przeskoczyły na problem, nad którym nie zastanawiała się, nawet nudząc, a powinna była już dawno tym się zająć. Przecież zabójcy księcia Gustawa powinni wiedzieć, jakie są warunki wirtualnej rzeczywistości i rozumieć, kiedy i dlaczego podczas swojego wirtualnego rajdu człowiek, nawet w śmiertelnym zagrożeniu, pozostanie żywy, ponieważ, gdy tylko urwie się nic jego żywota, odpowiednie służby wyciągną go w przyszłość. Czyli ich zadanie polega na tym, by ożywienie nie przyniosło żadnej korzyści. Muszą zniszczyć... zniszczyć mózg! Reszta jest do odtworzenia. Zawsze znajdzie się jakieś ciało, mózg czasowo umieści się w ciele choćby kałamarnicy, byle tylko zachodziła przemiana materii i temperatura odpowiadała ludzkiemu mózgowi. Tak więc Tezeusza, czyli księcia Gustawa, nie można zabić uderzeniem włóczni w pierś, nożem w plecy, nie można udusić czy powiesić, nie można utopić albo zrzucić w przepaść. Zabójca musi być przekonany, że mózg ofiary jest na pewno i nieodwracalnie zniszczony.

Tętent kopyt przywrócił Korę do rzeczywistości. Wzdłuż brzegu, ciężko dysząc, cwałował Chejron. Jego siwa broda dwoma strumieniami obramowała policzki.

– O bogowie! – krzyknął z daleka, wystraszywszy równomierny szum fal i cichy szelest listowia w nabrzeżnych krzewach. – Ona żyje! Jak mogłaś tak przestraszyć biednego starego Chejrona, kto ci dał prawo wytrącać z równowagi starych ludzi?

– Wybacz, Chejronie – powiedziała Kora. – Sprowadziło mnie tu przeznaczenie.

I opowiedziała o spotkaniu z delfinami, które przypląnęły właśnie tu, do „Argo” w chwili, kiedy szedł w jego kierunku biedny Jazon.

Chejron zdenerwował się, widząc swojego ucznia. Płakał głośno i szarpał się za brodę. Chciał spalić ciało na pogrzebowym stosie, ale Kora uprzedziła go, że Afrodyta kazała nie dotykać ciała.

Co poniektórzy mieszkańcy Koryntu, dowiedziawszy się o śmierci herosa, podeszli na brzeg. Ale nie odważyli się zbliżyć do ciała, ponieważ częściowo byli winni jego śmierci – słusznie czy nie, ale wygnali go przecież z miasta.

Z oceanu wyszło kilka błękitnych dziewczyn, we włosy których wplecione były wodorosty i morskie gwiazdy, a w rękach trzymały one wielkie różowe muszle. Chejron powiedział, że to

właśnie są okeanidy, córki starego boga Okeanosa. Morskie nimfy ozdobiły łożo, na którym leżał Jazon, gwiazdami i muszlami.

Ale najdziwniejsze było przybycie Medei.

Pojawiła się nagle na brzegu, za plecami Koryntian. Szła wolno, jakby przechadzała się, a w rękę trzymała jakieś naczynie z pałąkiem.

Wszyscy rozstąpili się, obawiając się jej dotknięcia, ale Medea nie zwracała na to uwagi. Nie widziała nikogo, nie rozpoznawała nikogo i na nikogo nie patrzyła.

Dopiero kiedy podeszła do ciała, Kora zobaczyła, że Medea trzyma w rękę nie naczynie, a hełm, który niosła za ramię. Był to miedziany hełm, niegdyś pozłacany, ale pozłota zeń zesza, wygrawerowane na bokach sceny bitewne, zniekształcone wieloma uderzeniami, wydawały się zwyczajnymi nierównościami, grzebień z końskiego włosa wytarł się i przerzedził. Przyłbica zniknęła.

Medea przykucnęła przy ciele swojego ukochanego, na którego sprowadziła tyle nieszczęść, czule uniosła jego głowę i włożyła na nią hełm.

Długą chwilę trwała przy Jazonie, a Kora, przyjrząwszy się jej, dostrzegła, że podobieństwo do Clarissy było wielce powierzchowne i mogło mylić tylko na pierwszy rzut oka. Z Medei, wcale przecież nie starej kobiety, emanowała pewna nieśmiertelna starożytność przepięknej wiedźmy, każda zmarszczka na jej obliczu, jakby umyślnie ujawniona i podkreślona przez promienie zachodzącego słońca, wydawała się być blizną, oczy były głębsze i ciemniejsze od nocy, w której panował Hades. O nie, to nie była Clarissa, a jedno wielkie ucieleśnienie tragedii.

W końcu Medea powstała i odeszła z powrotem, gdzie, jak się okazało, czekał na nią rydwan, którego Kora wcześniej nie dostrzegła. Nikt i nic już nie musiał jej wyjaśniać, albowiem posiadała już ona tę wiedzę, którą mieli starożytni Hellenowie – umiała już rozpoznawać herosów i bogów. I mimo że słońce świeciło jej prosto w oczy, Kora zobaczyła, że miejsce woźnicy w złotym powozie zajmuje król Egeusz.

Medea zręcznie weszła do powozu, objęła swojego czarnobrodego męża wpół, a Egeusza strzelił z długiego bata, konie ruszyły, rydwan zniknął, jakby rozpułynał się w powietrzu.

Kora odwróciła się do Jazona.

To był ostatni moment.

Właśnie w tej chwili, w całkowitej ciszy, na morzu powstała wysoka bezgłośna zielona fala, która skierowała się ku brzegowi. Chejron chwycił Korę, zarzucił sobie na grzbiet i dwoma susami wyskoczył na wysoki stromy brzeg, między mieszkańców Koryntu, przyglądających się z tego miejsca Jazonowi.

Olbrzymia fala w mgnieniu oka przykryła brzeg swoim cielskim barwy zielonego butelkowego szkła, znieruchomiała, jakby oczekując na rozkaz i po chwili tak sama bezdźwięcznie spłynęła do oceanu.

Brzeg był pusty.

Zniknął okręt „Argo”.

Zniknął jego kapitan.

A na powierzchni wody nie widać było ani jednej drzazgi czy jakiegokolwiek przedmiotu, przypominającego o okręcie.

Morze uspokoiło się.

– Zabrał go Posejdon – powiedział centaur. – Z woli bogów. Ponieważ teraz to nie nam osądzać,

w czym ten człek miał rację, a w czym nie.

Podczas powrotu do Istmy Kora, przyzwyczajona już do szerokiego grzbietu Chejrona, rozglądała się na boki, zachwycała widokami i słuchała opowieści o pewnym czynie Tezeusza. Okazało się, że pastuch opowiedział centaurovi, jak to Tezeusz dobrał się do rozbójnika Skirona, czego należało oczekiwać, ponieważ ów siedział na drodze Tezeusza i ominąć go można było tylko schodząc z drogi. Ale Tezeusz, czego Kora była już świadoma, nigdy nie schodził z raz obranej drogi.

Skiron miał fatalne przyzwyczajenie. Siedział na skale, zwisającej nad morzem i wszystkim wędrowcom kazał myć sobie nogi. Nogi zaś miał tak brudne, tak oszpecone odciskami, że – jak głosi plotka – za nie właśnie został wypędzony z Koryntu. A wcześniej z tego powodu odeszła od niego żona. Oczywiście popierał swoje polecenie ostrym mieczem, którym wymachiwał niczym trzcinką. Ci z wędrowców, którzy wiedzieli, co ich w tym miejscu czeka, nadkładali mocno drogi, tych nieświadomych czy głupich Skiron chwycił i zmuszał do wykonania swojego rozkazu.

Obok Skirona ze skały biło źródło, przez wieki woda wyrzeźbiła w skale niekę w kształcie wanny. Schwyty wędrowiec zaczynał myć zbójowi prawą nogę, w duchu uważając, że i tak miał wiele szczęścia, a w tym momencie zbój uderzał go z całej siły lewą i nieszczęśnik spadał do morza z wysokości stu łokci. A tam już czekał olbrzymi morski żółw, wielki jak gigantyczne żółwie z wysp Galapagos. Bestia natychmiast pożerała ogłuszonego człowieka, a roześmiany Skiron zabierał jego dobytek, by odsprzedać potem pośrednikom albo, jeśli to była żywność, zjeść.

Naoczni świadkowie opowiadają, że widząc młodzieńca, Skiron zażądał, by ten umył mu nogi. Tezeusz zapytał go, czy przemyślał dobrze swoje słowa, bo przecież zmuszanie wolnego człowieka do mycia sobie stóp jest jego obrazą.

Zbój bezczelnie roześmiał się, chwycił Tezeusza za skraj jego chitonu i pociągnął do swojej wanny.

Rzekł wtedy Tezeusz:

– Pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Chwycił go za nogę, uniósł w powietrze, rozkręcił, jakby to nie był zbój o wadze dwóch byków, a zajacek i cisnął go daleko w morze, że żółw ledwo go odnalazł. Odszukawszy zaś, pożarł – potworowi było wszystko jedno, co pochłania.

– Dokąd potem skierował się Tezeusz? – zapytała Kora.

– Sądzę, że do samego Prokrustesa. To już będzie prawdziwy wyczyn, nie to, co drobni prowincjonalni rozbójnicy.

– Czy do tego, który na swoim łożu jednych naciąga, innych zaś skraca?

– Właśnie tego – odparł centaur. – I muszę powiedzieć, że jest to najokrutniejsza tortura z wymyślonych przez ludzkość. Naprawdę chcesz go zobaczyć?

– Muszę.

– No to się trzymaj. Nie jestem, co prawda, takim dobrym wierzchowcem jak kiedyś, ale zwyczajnego konia jeszcze prześcignę.

– Musimy. Wszak Medea może się dobrać do Tezeusza przed nami. A ona na pewno nie będzie

się z nim cackała.

– No to pędzimy – centaur przeszedł w kłus, ale nie zamilkł. – Im dłużej myślę o Medei – rzucił – tym mniej ją rozumiem. Niby jest ofiarą miłości, bo przecież z powodu boskiego kaprysu Eros wpakował w nią swą strzałę. Czy prosty śmiertelnik może sprzeciwić się czemuś takiemu? Nie. Żaden. Nawet centaur. Jeśli mam być szczerzy, to moim największym autorytetem w historii jest Plutarch.

– Jaki znowu Plutarch? – nawet szkolna wiedza Kory w tym momencie wystarczyła do wychwycenia błędu. – Ten Plutarch jeszcze się nie urodził i nie wiadomo nawet, kiedy się urodzi!

– Koro, zrozum w końcu pewną prostą rzecz – powiedział Chejron. – Czas jest względny, a tym bardziej położenie w nim ludzi. Jeśli stworzysz jakąś tabelę, w której rozmieścisz działania i życiorysy ludzi, bogów i tytanów, to wyjdzie ci z tego kompletna bzdura. Nawet moi uczniowie, których wozilem na swoim grzbiecie, czasem umierali, zanim jeszcze ja się urodziłem, a inni przeżyją mnie o całe stulecie. Wojna trojańska jeszcze się nie zaczęła, a już niektórzy z moich współczesnych zginęli pod jej murami. Co tam daleko szukać – jako chłopiec Tezeusz nie przestraszył się skóry lwa nemejskiego, którą Herakles, jego wuj, cisnął, przybywszy w gościnę, na oparcie krzesła. Ale przecież w owym czasie Herakles nawet nie myślał o swoich czynach. W większości mitów greckich przeczytasz o tym, że Tezeusz był jednym z Argonautów. A jakim niby cudem, skoro Jazon już zginął, a Tezeusz dopiero wyruszył, by dokonać swoich czynów. Tak więc nie sprzeczasz się ze mną, dziecino i pogódź się z porządkiem, który zaprowadził w historii mądry Plutarch, chociaż Sokrates pisze, że brak mu głębi wywodów i wniosków. Ale Plutarch jest wielki dlatego, że w epoce, w której wszyscy wierzą w każdą mistyczną bzdurę, kiedy dowolny demagog i populistą może przeciągnąć na swoją stronę naród grecki, obiecując każdemu Grekowi butelkę samogonu i tysiąc drachm, a na dodatek pięć niewolnic, które odbierze nie wiadomo komu, a ów ogłupiały naród rzuci się za nim krzyżąc „Hura!” i poleje się krew... Tak więc w tej epoce, w tym krytycznym dla mojej ojczyzny okresie, pojawia się Plutarch i znajduje dla każdej bzdury racjonalne wytłumaczenie. I jeśli ty zaczniesz z wypiekami na twarzy tłumaczyć, że widziałaś sterczącą z piersi Medei strzałę Erosa, Plutarch wytłumaczy ci tę sytuację racjonalnie, prosto i bez żadnych strzał. Co się stało tak naprawdę? Naprawdę – niewiarygodnie dumna, piękna, umierająca z nudów i braku perspektyw kolchidzka księżniczka, dowiedziała się o przybyciu Argonautów z wielkiej Zachodniej Europy! Na co mogła liczyć przed ich przybyciem? Na jakiegoś królika z okolicy? Na dzikusa z Abchazji? Na Swana, mieszkającego w wiecznych śniegach? Medea natychmiast więc przysięga sobie – za wszelką cenę zagarnie obdarzonego zaufaniem bogów Jazona i wyrwie się z jego pomocą z kolchidzkiego więzienia.

I tak się stało. A przecież próżność Medei nie zna granic. Jeśli dla swojej kariery, a ta w danym momencie polegała na zdobyciu Jazona, trzeba zdradzić ojca, robi to bez namysłu. Eros jest jej wygodny jako usprawiedliwienie dla wszystkich swoich podłości. W ogóle w historii przypisano mu dość smutną rolę – odpowiada niemal za wszystko. „Zrobiłem to z miłości!” A co mianowicie? „Podbiłem imperium! Wybiłem sto tysięcy osadników! Ograbiłem świątynie! Zabiłem swoich rodziców – a wszystko to w imię miłości!”.

Czy to jest miłość? Już lepszy jest mój grzech z krową, czyli Herą w postaci krowy – centaur roześmiał się głośno.

Chociaż nie było mu wcale wesoło. Korze też. Przecież z ust Jazona usłyszała inną wersję.

– Medea zobaczyła Jazona i zrozumiała: osiągnie cel – kontynuował po chwili Chejron. – Nawet

niekoniecznie używając swej urody, raczej motywując to koniecznością. Musiała tylko wmówić mu, że bez niej jest niczym, że jest bezsilny. Po co poćwiartowała swojego brata? Tylko po to, by związać Jazona ze sobą krwią, by uczynić z niego swojego współnika. Po co zmusiła dziewczęta, by pokroiły na kawałki swego ojca? Bo to była wspólna zbrodnia. Ale kto w końcu zginął? Kto był winien, że spłonęła żywcem piękna Glauke? Pewnie sądzisz, że Medea?

– Tak, myślę, że Medea – powiedziała Kora, wiedząc, że centaur nie zgodzi się z nią.

– Bzdura, winny jest nie ten, kto zabija, a ten, kto daje na zbrodnię przyzwolenie! I jak powiedział kiedyś pewien mądry człek: „Nie bój się swych wrogów, najgorsze, co mogą zrobić, to cię zabić. Nie bój się przyjaciół, najgorsze, do czego są zdolni, to zdrada. Bój się obojętnych. To z ich przyzwolenia dokonywane są na Ziemi wszystkie zbrodnie i podłości”. Może nie cytuję dokładnie, ale sens jest właśnie taki.

– Myślisz, że Jazon umarł dla sprawiedliwości?

– To była dla niego najlepsza śmierć. Mógł zginąć gorzej. A ja, na przykład, ukarałbym go znaczenie surowiej.

Kora nie polemizowała. Jak mogła oddać swoje przerażenie, w jakie wprawiły ją puste oczy Jazona przed śmiercią?

– Człowiek powinien odpowiadać za swoje postęпки – powiedział stary centaur. – Mam nadzieję, że przyswoisz sobie tę lekcję.

Nad nimi fruwały gzy, centaur opędał się od nich rękami i ogonem.

Nie zdążyli do Prokrustesa. Zresztą, gdyby nawet zdążyli, to i tak niczego nie mogliby zmienić.

Było już późno, nad głową – wysyp gwiazd. Wśród mnóstwa gwiazdozbiorów najjaśniej świeciła Rufa – pamiątka po okręcie Jazona. Gwiazdy tej konstelacji były nowe, jasne, różnokolorowe, jak światełka na choince, na ziemi migotały ich błyski.

Widok, jaki zastali w domu Prokrustesa, nappełnił Korę strachem i obrzydzeniem.

Słudzy i niewolnicy Prokrustesa tłoczyli się przed wejściem, nie odważając się wejść do środka. Z tłumu dochodziły jęki i postękiwania.

Centaur zapytał:

– Co się wydarzyło w tym domu, dobrzy ludzie?

– Nasz pan... – odparł ktoś z tłumu. – Naszego pana zamordowano, to straszliwa zbrodnia i bogowie okrutnie zemszczą się na zabójcy.

– Co się stało Prokrustesowi?

– Pewien zbój – odparł ten sam głos z tłumu – wszedł do domu naszego pana, a gdy ten zaproponował mu, jak należało, by spoczął na łożu, ponieważ należało przecież sprawdzić, czy gość mieści się na nim, bo być może pan musiałby podkładać stołeczek...

– Prawdę mówisz, niewolniku? – zapytał surowo centaur.

– Oczywiście, czystą prawdę.

– Jakże cię zwą, sługo uczciwy?

– Miron, jestem zarządcą. Jurto z rana przyjadą bracia Prokrustesa i zaprowadzą tu porządek – odparł zarządca.

– Możesz sobie nadal kłamać, niedobry człowieku. Podejrzewam, że to właśnie ty przynosiłeś liny, by pomóc Prokrustesowi, że to właśnie ty zatykałeś mordowanym usta, by nie zakłócali spokoju sąsiadów, właśnie ty potem usuwałeś ociekające krwią ciała na śmietnik, przyznaj się!

– Nigdy nie tykałem trupów – szybko odparł zarządca. – To robota niewolników.

– No to opowiadaj, co się wydarzyło dziś?

Zarządca zamilkł, z tłumy rozległ się niski kobiecy głos:

– Do Prokrustesa przyszedł mężczyzna o imieniu Tezeusz i poprosił o nocleg. Pan Prokrustes jak zawsze odpowiedział, że rad jest okazać gościnność i zaprosił gościa do domu. Następnie, po lekkiej kolacji, pan Prokrustes zaproponował młodemu Tezeuszowi, by wyciągnął się na łożu. Kiedy zaś zobaczył, że jego gość jest dłuższy o dwa łokcie od łoża, natychmiast kazał podać mu puchar wina.

– Po co? – zapytała Kora, zeskakując z centaury.

– W pucharze były nasenne zioła – odparła kobieta. – Gość powinien był zasnąć.

– Dlaczego?

– Czy nie rozumiecie, że nasz pan był człowiekiem dobrym? Chciał oszczędzić trosk wszystkim tym, którym obcinał nogi albo ich naciągał.

– Po co to robił?

– Głupie pytanie! – obruszył się zarządca. – Przecież nasz pan był Prokrustesem! Miał łożo Prokrustesa. Musiał wszystkich przechodzących obok wyrównywać do długości łoża. Co tu jest niezrozumiałego?

– Powiedzcie mi, szanowni niewolnicy i słudzy Prokrustesa – poprosiła Kora. – A gdyby wasz Prokrustes po prostu wpuszczał ludzi na nocleg i nie kaleczył ich, nie torturował, nie zabijał... Czy to nie byłoby lepsze?

– Bzdury! – piskliwym głosem odezwała się jakaś kobieta. – A jak wtedy wszedłby do historii? Jak zyskałby nieśmiertelną sławę? Jak stałby się znanym we wszystkich wiekach?

– Rozumiem – powiedziała Kora. – Prowadźcie mnie do niego. Nikt się nie ruszył. Kora musiała powtórzyć swoją prośbę. Odezwał się zarządca:

– A może on jeszcze żyje?

– Wtedy podacie mu leki i opatrzycie rany. To wasz obowiązek troszczyć się o pana.

Przy wejściu do domu w miedzianej tulei tkwiła pochodnia, Kora wzięła ją i weszła do środka. Dom wyraźnie należał do bogacza, w atrium stały posągi, liczne skrzynie, worki i kosze, jakby mieszkańcy zamierzali uciec w pośpiechu, ale nie zdążyli.

Chłopiec, najodważniejszy z tłumy, poprowadził ich do męskiej części domu, a czekał tam na nich okropny widok.

Na kamiennym łożu, znajdującym się na środku pomieszczenia, w niepewnym świetle dopalających się pochodni, wił się w agonii ociekający krwią mężczyzna z zadartą do góry rudą, kędzierzawą brodą. Ostre i okrutne rysy twarzy wykrzywiał spazm bólu. Dziwnie wyglądały jego nogi, odrąbane w kolanach i walające się przy kamiennym łożu, jak zdjęte na noc buty z cholewami.

– Zemsta – wyszeptał Prokrustes na widok przybyłych. – Pomścicie mnie! On miał czelność... czelność...

– Powiedz mi, Prokrustesie – rzekł centaur, stając nad mężczyzną, głową niemal sięgając ozdobionego malowidłami sufitu – ilu ludzi tak właśnie skróciłeś albo wydłużyłeś w swoim życiu?

– Po co miałbym ich liczyć? – zapytał Prokrustes, z trudem łapiąc oddech. – Niech ktoś dobry i szlachetny przyłoży mi je do ciała, niech krew nie wycieka z mego ciała, niech przyrosną nogi, bym mógł dogonić i zniszczyć Tezeusza! Przecież był gościem w moim domu!

– A co ty zamierzałeś uczynić temu gościowi pod swoim dachem? – zapytał centaur.

– Zrobiłbym to samo co i innym.

– Prokrustesie, wchodzisz to królestwa Hadesa, pogódź się z losem.

– O nie! Nie chcę! Nie zasłużyłem na śmierć! Chcę żyć!

– Widzisz, obok mnie stoi Kora, bogini podziemnego królestwa. Potwierdzi, że twoja godzina wybiła.

– Twoja godziny wybiła – powiedziała Kora.

– Nie, przecież jestem dobrym człowiekiem, sprawiedliwym! Tylko nie zdążyłem zrobić wszystkiego. Złożę ofiarę bogom, przyniosę ci, Koro, takie dary, że nie śniły się nawet Atenie! Przyniosę ci połowę Hellady, tylko przyszyj mi nogi z powrotem.

– Nie chciałbyś mi powiedzieć, na co poświęciłeś swoje życie? – zapytał Chejron. – Może miałeś jakiś szczytny cel?

– Odpowiem... – Prokrustes miał coraz większe problemy z mówieniem, stracił wiele krwi. – Chciałem, by świat był piękny. Żeby ludzie w nim byli jednego wzrostu, żeby patrzącym na to serce radowało się na widok harmonii...

– Nawet w tej chwili łże – rzucił centaur i odszedł.

– Pić – poprosił Prokrustes.

Nikt ze sług nie odważył się podać wody umierającemu. Kora zobaczyła dzban, naląła z niego wody do kubka i unosząc głowę Prokrustesa napoiła go. Umierający pił chciwie, szybko, zachłystywał się, jakby bał się umrzeć przed zaspokojeniem pragnienia, a kiedy je ugasił, podniósł silne ręce i zwarł dłonie na gardle Kory.

– Zabiorę cię do królestwa Hadesa, dziewczyno, udająca boginię. Nie odejdę sam!

Cała jego siła, cała nienawiść do ludzi znalazła ujście w tym ruchu.

Kora zaczęła się wrywać, ale pazury Prokrustesa bezlitośnie wpijały się w jej gardło, przed oczami zobaczyła czerwone kręgi. Mogła sama chwycić go za gardło i udusić wcześniej niż on to uczyni z nią, ale nie mogła zmusić się do zadania bólu konającemu...

Słyszając krzyki sług, przybiegł centaur. Chejron nie miał żadnych skrupułów, podniósł przednią nogę i tak kopnął Prokrustesa w skroń, że trysnęła ciemna krew. Uścisk jego palców na gardle Kory zelżał, jęknąwszy krótko – zmarł.

– Proste, nie? – powiedziała Kora.

– Chodźmy stąd. Nie trzeba było w ogóle tu wchodzić – powiedział Chejron.

– Dokąd teraz się udajemy? – zapytała Kora, gdy znowu znaleźli się na zakurzonej drodze, ledwo widocznej, szarej wstędze w świetle południowych gwiazd.

– Tu nieopodal jest święty gaj. Tam przenocujemy. A jutro wyruszymy do Aten.

Po raz pierwszy w życiu, jeśli nie liczyć fotografii i hologramów, Kora zobaczyła księcia Gustawa, zdeklarowanego demokratę i następcę tronu w Ragozie, rankiem trzeciego października na ulicy miasta stołecznego Aten w pobliżu wznoszonej świątyni Apollona Delfickiego.

Zapewne książkę, zanim wszedł do Aten, zatrzymał się w jakiejś balwierni, kazał się ufryzować i napudrować, kupił na straganie długi do ziemi, różowy chiton i ukrył pod nim pas z mieczem. Chód Tezeusza był wytworny, a dokładniej taki, jaki uchodził za wytworny na trojeńskiej prowincji, nawet kupił sobie sandały z poślacanej skóry, dokładnie takie, jakie nosili młodzieńcy i dziewczęta z dobrych rodzin, które hołdowały w owym czasie modzie na elegancję i wyszukane jońskie maniery.

Kora, która spędziła noc z Chejronem pod murami Aten – przybyli późno i zastali bramy już zamknięte – rano tylko opłukała się w strumyku, a teraz szła przez rynek, szukając dla siebie nowego wierzchniego chitonu i chustki na głowę. Sandały już kupiła i na szczęście nie musiała o nic nikogo prosić – pieniądze na zakupy wręczył jej Chejron, który już uważał się za jej starszego krewniaka.

Sam centaur udał się do podlegszych rejonów Aten, gdzie mieszkał jego najlepszy przyjaciel, Folos. Od niego chciał się dowiedzieć, czy w mieście przebywa teraz bóg medycyny, na którego pomoc tak liczył.

Tak więc kiedy Kora zobaczyła Tezeusza, nie od razu zorientowała się, że ma przed sobą herosa.

Młodzieńców i dziewcząt, podobnych Tezeuszowi, uperfumowanych, eleganckich, leniwie przechadzających się po obszernym placu rynkowym, pięknie wyłożonym płytami z kamienia, tego późnego ranka było niemało. Spacerowali albo zatrzymywali się na pogawędkę jak najbliżej jego obrzeża, gdzie wznosiły się posągi znamienitych postaci, zupełnie Korze nieznanymi, możliwe nawet, że były to posągi bożków niższej rangi. Dalej, gdzie zaczynały się ulice, rozpościerały swoje żółciejące, ale wciąż jeszcze gęste korony potężne platany; niektóre z nich pamiętały czasy, kiedy stołeczne Ateny były zaledwie osadą, jak Trojzena. Za granicami placu ciągnęły się rzędy niewielkich kolumn, przykrytych od góry kamiennymi płytami, co dawało dodatkowy cień, padający na kamienne stragany i ławy, na których handlarze prezentowali swoje towary. Niektórzy dobudowywali do kamiennych straganów tymczasowe daszki, a nawet namioty na towar, i w jednym z takich namiotów Kora wyszukała dla siebie cudownej piękności długi chiton o łagodnym brzoskwińowym odcieniu, delikatny i lekki, który sięgał jej do kolan i opadał szerokimi fałdami na pas. Oprócz niego Kora weszła w posiadanie płaszcz przypominającego himation, z delikatnej wełny w kolorze terakoty, obszytego na brzegach ciemnopurpurowymi geometrycznymi wzorami. Dobrze byłoby zachować te stroje do czasu powrotu do domu i pokazać się w nich w wytwornym towarzystwie Centrum Galaktycznego.

Kora najchętniej spędziłaby resztę dnia, a może nawet całego tygodnia, wśród straganów z ozdobami i kosztownościami i popełniłaby wybaczone kobietom ery galaktycznej przestępstwo – kupiłaby niewyobrażalnie wyszukane klejnoty z opali i ametystów starożytnego Egiptu i Sumeru, z nefrytu starożytnych Chin, ze złota amazonek i Scytów.

Z ciężkim sercem odchodząc od jubilerskich straganów, wśród których zdążyła już znaleźć najlepszych przyjaciół i przyjaciółki, Kora skierowała swoje kroki ku wzgórzu, na którego zboczu wznosiła się masywna budowla z białego marmuru, otoczona prostymi doryckimi kolumnami. Początkowo Kora, której brakowało klasycznego wykształcenia, przypuszczała, że jest świadkiem wznoszenia Partenonu, ale później uświadomiła sobie, że Partenon wieńczy lub będzie wieńczył wysokie, strome wzgórze, teraz jeszcze niezabudowane, z niewielką świątynią na szczycie.

Kora zapytała stojącą obok niej kobietę o nazwę świątyni.

Ta popatrzyła na nią jak na wariatkę, ale potem widocznie złagodniała na widok drogich strojów swojej rozmówczyni i poinformowała ją, że wznoszona jest świątynia Apollona Delfickiego, o czym wie każde dziecko.

– Oprócz przyjezdnych – uprzejmie uzupełniła Kora.

I tu Kora po raz pierwszy zobaczyła Tezeusza na żywo i nie poznała go, co jest w przypadku wywiadowcy błędem niewybaczalnym. Uperfumowany, wystrojony i dumny z siebie i ze swoich, na razie nikomu nieznanymi czynami, Tezeusz kroczył ulicą, gdy któryś z robotników o już wyrobionym odczuciu klasowym, mimo że zorza niewolnictwa ledwie zaczynała świtać, wykrzyknął z góry:

– Chłopaki, popatrzcie, jaka panienka spaceruje po ulicy. Nie odmówiłbym sobie skorzystania z usług!

Kora nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdyż pomyślała, ilu strojnisiów w starożytnej Grecji wprowadzało innych w błąd za sprawą krańcowego podobieństwa męskich i kobiecych strojów.

W kręgach młodzieżowych różnice dotyczyły raczej fryzur niż chitonów. Być może dlatego w Grecji było tylu gejów i lesbijek. Do mniejszości seksualnej można było trafić przez przypadek, wskutek nieporozumienia, natomiast wydostanie się z niej było kwestią o wiele trudniejszą.

– Mówicie o mnie? – zapytał dobrodusznie usposobiony Tezeusz, przechylając głowę do tyłu i demonstrując murarzom młody puszek pod nosem i na podbródku.

– O tobie, panienko, o tobie, miła! – rechotali robotnicy. Rozrywki w tych dzikich czasach nie były wyszukane.

Wtedy Tezeusza ogarnął gniew, a jego eksplozja nastąpiła tak nieoczekiwanie i szybko, że Kora nie zdążyła uchwycić chwili, w której spokojnie spacerujący ulicą modniś przemienił się w dziką bestię.

Tezeusz obrócił się w miejscu w poszukiwaniu jakiejś broni, którą mógłby ugodzić sprawców znieważenia, lecz niczego odpowiedniego nie było pod ręką. Rzucił się do samej budowy, by wyrwać drąg z szalunku, ale okazało się, że na drodze stanął mu wóz – nieduży, ale masywnej budowy byk ciągnął arbę, załadowaną belami siana. Woźnica, będący świadkiem tak śmiesznej sceny, siedł obok, zginając się ze śmiechu.

W następnej chwili już się nie śmiał i dziękował bogom za to, że siedł obok wozu, a nie siedział na nim, gdyż wytworny młodzieniec o kobiecym wyglądzie swoimi długimi i jakby jeszcze rosnącymi rękami objął byka wół i rzucił wszystko razem – byka, wóz i bele siana na dach świątyni, gdzie znajdowali się rozbawieni robotnicy.

Rzut był tak silny, że byk z wozem doleciał do dachu świątyni. Chociaż budowla, według naszej miary, nie była wysoka, jednak miała do dachu te sześć metrów. Wóz zmiotł z dachu wesółków i wszystko to razem – robotnicy, byk, wóz, siano, kije, drągi... spadło na bruk.

Młodzieniec poszedł dalej i Kora widziała, jak bardzo chciałby się obejrzeć, by rozkoszować się chaosem, jaki pozostawił po sobie. Ale Tezeusz zdołał przezwyciężyć tę małą próżność i, zrównawszy się z Korą, która podobnie jak wszyscy pozostali świadkowie tej sceny, stała nieruchomo, uprzejmie zapytał:

– Proszę mi powiedzieć, łaskawa pani, jak mam dojść do pałacu króla Egeusza?

Gdy doszła do siebie, rzeczowo i zwięźle opisała mu, jak ma iść i musiała przyznać w duchu, że wywarł na niej o wiele lepsze wrażenie niż na zdjęciach i hologramach, które przestudiowała, gdyż najlepszy nawet film nie oddaje tych mikroskopijnych ruchów mięśni i źrenic, które są tak ważne dla zrozumienia innego człowieka.

A zresztą – spostrzegła się naraz Kora, przypuszczając, że w tym świecie warto stosować zuchwałość następnych tysiącleci, gdyż nawet najmądrzejsi i najbardziej rozgarnięci tutejsi mieszkańcy są jednak naiwni i prości. Nawet ich spiski i zbrodnie łatwo można rozszyfrować, jeśli chociaż na sekundę zatrzymasz się i zastanowisz: dlaczego ta miła kobieta wysypuje zielony proszek do zupy swojemu drogiemu małżonkowi?

– A zresztą – powtórzyła Kora. – Idę akurat w tę stronę i jeśli zgodzi się pan mi towarzyszyć, chętnie wskażę panu najkrótszą drogę.

– Oczywiście, będzie to dla mnie honor – przyznał Tezeusz. – Jest pani piękną dziewczyną i, sądząc po stroju, z dobrego domu. Czy mam rozumieć, że mieszka pani w tym sławnym mieście?

Bez pośpiechu oddalając się wraz z Tezeuszem od hałasu i przekleństw, dochodzących z tyłu, Kora miała możliwość dokładnie przyjrzeć się swojemu podopiecznemu.

Jego podobieństwo do Gustawa było na tyle wyraźne, że nawet osoba mało znająca ragoskiego

księcia, nie miałyby problemów z jego rozpoznaniem. Ale rozpoznawszy go, zdziwiłaby się bardzo.

Książę Gustaw był wysoki, chudy, nieco przygarbiony, to znaczy, nie można go było nazwać otwarciem człowiekiem cherlawym, ale fizycznie był chyba rozwinięty w stopniu niedostatecznym. Sprawiał raczej wrażenie studenta oderwanego od życia niż atlety.

W dodatku książę Gustaw był krótkowidzem, i dlatego nosił okulary, a nie szkła kontaktowe, ponieważ, jak podaje się w annałach rodu Ragozy, w dzieciństwie chłopiec często płakał, gubił soczewki i jego ojciec, Teodor Rudolf III kiedyś upadł, poślizgnąwszy się na zgubionej przez dziecko soczewce, łamiąc sobie szyjkę biodra. Poczucie winy wobec gorąco kochanego ojca tak dalece oświadczyło chłopcem, że złożył przysięgę: żadnych soczewek! Korekcji wzroku lub przeszczepienia nowych oczu zabroniła babka księcia Gustawa, która wyczytała gdzieś, że te operacje mogą okazać się szkodliwe dla zdrowia i zdolności umysłowych chłopca.

Tu, w wirtualnym rajdzie, Gustaw się zmienił – w innym przypadku nie byłoby nawet sensu zaczynać wyprawy. Jak każdy „zamawiający”, Gustaw wyobraził sobie zmiany w swoim ciele, jakich sobie życzył. I co sobie wyobraził, to dostał.

Czasami, jak gdzieś Kora to wyczytała, podróżnicy w wirtualnym rajdzie wcale nie muszą stać się bohaterami. Przeciwnie, zgadzają się nawet wybrać dla siebie jakąś ponętną wadę, jak na przykład znany ze swoich skandali w wirtualnej rzeczywistości Achmet Mahomet-ogły, który wyobraził i ucieleśnił siebie jako niewysokiego, chromego i strasznołicznego, postanawiając powtórzyć wyprawy i czyny Tamerlana. Trzeba go było później wyciągać z rajdu we fragmentach, ratując po pierwszym powstaniu seldżuckiej gwardii.

Gustaw podążył zwyczajną drogą. Zostawił siebie takim, jakim był, ale ulepszono go, jak podpowiedziała mu próżność: „Ach, jeśli bym był o głowę wyższy od niego i dwa razy szerszy w barach, uciekłby ode mnie szybciej niż zajac!” Możecie uznać, że książę zrealizował swoje szkolne marzenie. Wiedząc, jaki książę Gustaw był, bez większych trudności możemy wyobrazić sobie, jak wyglądał książę Tezeusz.

– Jestem tu przejazdem, jak i pan, panie Tezeuszu – powiedziała Kora. – Będę spokojniejsza i pewniejsza, idąc razem z wami.

– Poznała mnie pani? – Usta księcia drgnęły w tak dobrze znanym Korze z materiałów informacyjnych pełnym zakłopotania i dobroci uśmiechu, a oczy zasnuły się mgłą. – Jak to się pani udało?

– To niewielki świat – odpowiedziała Kora. – Tutaj ludzie znają się nawzajem z imienia. Czasami żałuję, że nie urodziłam się w przyszłości, kiedy wszystkie krańce ekumeny będą już znane i zamieszkałe, kiedy będę mogła spotkać na ulicy Aten prawdziwego Hiperborejczyka albo Etruska. Jakże wtedy byłoby ciekawie! Ilu będzie różnych ludzi i towarów! Z pewnością, gdy okręty będą płynąć szybciej, a Dedal wreszcie zbuduje swój statek powietrzny, na temat którego już od dawna wszystkim wierci dziurę w brzuchu.

– Nie trzeba – wyrwało się młodzieńcowi, który w duchu wciąż pozostawał inteligentnym, dobrze wychowanym studentem. – Zapomina pani o okrutnym losie chłopca... jakże go zwano...

Kora omal mu nie podpowiedziała, ale uzmysłowiła sobie, że u Gustawa zadziałała blokada pamięci. Nie mógł znać przyszłości tego świata, był jednak jego częścią, on go kształtował i, gdy tylko zajrzy w przyszłość, cały sens VR rajdu pójdzie na marne. „Nie wolno zapominać o tym, że jesteś tu być może jedyną osobą, która patrzy w przyszłość... z wyjątkiem delfickiej wyroczni. Poczekajcie, poczekajcie, a co się stanie, jeśli Pytie okażą się pracownikami służb wirtualnej

rzeczywistości? To śmieszne... Zresztą, nie, one zbyt często się mylą”.

– O czym pani mówiła? – spytał Tezeusz, przyciskając palec wskazujący do nasady nosa – gest, który pozostał mu z przeszłości, kiedy nosił okulary.

– Mówiliśmy o tym, że lubię podróżować.

– Z wyglądu jest pani księżniczką – rzekł Tezeusz. – Proszę mi wybaczyć, jeśli wydam się pani źle wychowany...

– Do tej epoki jest pan za dobrze wychowany – przerwała mu Kora. – Musi pan być brutalniejszy.

– O tak, już sam to czuję – zgodził się młodzieniec. – Oni myślą, że się ich boję. Ale to błąd. Powinienem pani powiedzieć, że przyjechałem tu po to, by ustanowić na powrót swoje prawa. I nikogo się nie boję. Uczucie strachu jest mi zupełnie obce.

– Dokładniej! – zażądała Kora.

Młody człowiek był zdziwiony takim żądaniem, ale mu się podporządkował:

– Dokładniej rzecz ujmując, mam zamiar pokonać w sobie uczucie strachu po to, by po powrocie, tam gdzie trzeba, zachowywać się należycie.

Gustaw nie zaczął precyzować, a Kora nie nalegała. Obie strony rozumiały ten krótki monolog na miarę swojego doinformowania.

Dotarli wreszcie na wzgórze zwieńczone pałacem Egeusza. Tu, nad wąskimi miejskimi dzielnicami, było chłodniej; z porosłego sosnami wzgórza zsuwał się chłodny wiaterek, w przezroczystym powietrzu wolno płynęły pajęczynki. Po placu przed pałacem liczną rodziną kroczyły indyki. Dwaj żołnierze w miedzianych zbrojach i hełmach, nasuniętych na nosy, by ukryć się przed słońcem, drzemali przy wejściu. Cień Tezeusza padł na jednego z nich, a ten podniósł się leniwie, wspierając się na krótkiej włóczni.

– Kim jesteś, wędrowcze? – zapytał i stało się jasne, że czasy są pokojowe, nikt w Atenach wrogów się nie spodziewa, a zatem jeden modniś w towarzystwie bogatej młodej kobiety nie wzbudza niepokoju.

– Nazywam się Tezeusz. Przyszedłem z Trojzeny – oświadczył młody człowiek. – Chcę zobaczyć się z królem Egeuszem.

– Pozostaje tylko pytanie, czy król Egeusz zechce widzieć prowincjusza – burknął żołnierz, ale dobrodusznie, jakby dla zasady. – Hej! – wykrzyknął w głąb pałacu, do którego prowadziły drzwi i bramy budynków gospodarczych oraz stajni. – Goście do króla.

Nastąpiła długa przerwa. Tezeusz, który nagle stracił pewność siebie, przestępował z nogi na nogę, z głębi pałacu wyszła biała koza z błękitną wstążeczką na szyi i zajęła się obwąchiwaniem chitonu Kory.

– Nie zwracaj na nią uwagi – odezwał się siedzący żołnierz. – To jest Nomia, nimfa, goniła za Dionizosem i się doigrała!

Koza, dawna nimfa, opuściwszy krótkie różki, rzuciła się na żołnierza, a Kora, która zupełnie nie wyobrażała sobie, czym wobec Dionizosa zawiniła Nomia, odeszła na bok, aby w zamieszaniu nie zniszczyć chitonu.

To był ich świat, nawet Tezeusz czuł się tu jak swój. A ona tylko wypełniała zadanie. Korze przeszło przez myśl, że nie zapytała Tezeusza, jak on, student Moskiewskiego Uniwersytetu, mógł odciać nogi starszemu człowiekowi, Prokrustesowi, nawet jeśli ten rzeczywiście ponosi winę wobec starożytnej ludzkości. Trzeba będzie zapytać... o ile Medea nie rozprawi się z Tezeuszem w tym

pałacu.

Kora profesjonalnie obejrzała pałac i drzwi, przez które wyglądali zaciekawieni słudzy – typowy labirynt, w którym i uciekać, i walczyć jest niezmiernie trudno, a jeśli na Tezeusza zastawią jakąś pułapkę, ciężko będzie go bronić. Ciekawie, pojawiła się myśl, czy tam, na górze, w centrum komputerowym znajduje się wyświetlacz z widocznym encefalogramem Tezeusza, umożliwiający wyciągnięcie go w chwili śmiertelnego zagrożenia? I czy jest taki wyświetlacz dla niej, agentki Kory Orwat? O ile pamięta, żadnych parametrów przed jej wyjściem od niej nie ściągnano. A może, ponieważ jej rajd nie został przez nikogo opłacony, jej przełożeni postanowili zaoszczędzić? Jeśli tak, to wstrzymanie jej funkcji życiowych nie odbije się na wskaźnikach przyrządów. Smutne to!

– No co, idziesz, dziewczyno? – spytał Tezeusz.

Przed nimi stał żołnierz o bardziej imponującym wyglądzie niż strażnicy u wejścia. Jego hełm był ozdobiony grzebieniem z końskiego włosia. Nagolenniki pokrywał wytłaczany wzór.

Za nim kroczył miejscowy dworzanin w podeszłym wieku w niebieskiej chlamidzie z mileckiej wełny i wojłokowym kapeluszu z szerokim rondem.

– Czemu zawdzięczamy wizytę tak dostojnych gości? – zapytał, szybko i uważnie lustrując ich wzrokiem.

– Jestem Tezeusz – odrzekł młodzieniec. – Wnuk Pitteusa i syn Ajtry. Zostałem wysłany przez nich w gości do Egeusza.

Dworzanin w ogóle nie zareagował na słowa Tezeusza, tylko zwrócił spojrzenie na Korę. Ta przedstawiła się, zgodnie z prawdą:

– Kora, córka Tadeusza z krainy Hiperborejczyków.

– Wielka bogini? – spytał nadworny sługa z ledwie wyczuwalną obawą, ale bez drżenia. Zapewne raz na tydzień zaglądali tu jacyś wielcy bogowie.

– Imienniczka bogini – odrzekła Kora.

– Nie dzieje się tak bez powodu – oświadczył dworzanin, a Kora pochyliła głowę na znak szacunku dla jego mądrości.

Dworzanin ponownie przeniósł swoją uwagę na Tezeusza.

– Oczekiwaliśmy twojego przybycia, Tezeuszu – powiedział. – Wieści o twojej podróży z Trojzeny do Aten doszły do naszych uszu, jak tylko oświadczyłeś w rodzinnym miasteczku, że zamierzasz oczyścić z rozbójników całą przybrzeżną drogę. Sama pani Medea, królowa ateńska, nieraz wyrażała swój niepokój, czy któryś ze zbójców nie skręci ci karku, przez co nie dostąpimy szczęścia ujżenia cię na własne oczy.

– Nic mi się nie stało – odpowiedział młodzieniec zgodnie z prawdą. – Rzecz jasna, zabijanie rozbójników nie było ani łatwe, ani przyjemne, ale złożyłem przyrzeczenie. Rozumiecie mnie, panie?

– Oczywiście – odpowiedział dworzanin. – Każdy z nas w życiu nieraz składa przyrzeczenia. A wtedy głównym celem jest ich niedotrzymanie po to, by zachować i honor, i życie.

– Wasza mowa jest wielce wytworna, panie – przyznał młodzieniec.

– Myślę również wyszukanie – odrzekł dworzanin, odchodząc na bok i podciągając chiton w taki sposób, że całkowicie omotał prawą rękę. Nie wypadło to najzręczniejszemu, ale gest wydawał się kontrolowany.

– Chciałbym się przedstawić – powiedział. – Imię moje Hyas i uważa się, że zginąłem na polowaniu od ukąszenia węża. Jestem, jak widać, żywy, niezbyt młody i nigdy nie chodzę na polowania.

Kora w duchu odżegnała się od kolejnych stosunków rodzinnych, ale należący teraz do tego towarzystwa Gustaw-Tezeusz natychmiast zapytał:

– Czy nie jest pan krewnym Hyad, o których co nieco obito mi się o uszy?

– Hyady to nimfy deszczu, córki Atlasa – odpowiedział niski kobiecy głos. – Tak rozpaczały po śmierci brata Hyasa, że wszystkie zmarły, zalewając się łzami. Wielkiemu Zeusowi zrobiło ich się żal i przeniósł je do nieba, aby stworzyć z nich gwiazdozbiór Byka, którego pojawienie się na niebie związane jest z początkiem deszczów.

Głos należał do Medei, która podeszła niezauważenie i wyjaśniła rodzinno-boskie powiązania.

– Paradoks polega na tym, że nie umarłem – zaszlochał dworzanin. – Asklepios wyleczył mnie z ukąszenia żmii, ale wieść o tym nadeszła spóźniona i siostry już nie żyły. To smutne.

– Tylko nie płacz, błagam – poprosiła Medea. – Jakby jednego płaczka w Atenach było mi mało. Od rana do wieczora tylko łzy.

– Dlaczego, królowo? – spytał Tezeusz, patrząc na Medeę zakochanym spojrzeniem głupiutkiego cielęcia. I Kora doskonale wiedziała, dlaczego tak się dzieje – Medea miała rysy Clarissy. I była to Clarissa, bogatsza o gruzińską wściekłość Medei. Nie tej Medei, która tęskniła za Jazonem, a innej, żywej i niespokojnej.

Ważną rzeczą było zrozumienie, czy Clarissa znajduje się w rajdzie VR, czy też jest tu „nielegalnie”, jak Kora. W takim przypadku powinna Korę poznać...

– Czy myśmy się już gdzieś nie spotkały, pani Medeo? – spytała Kora.

Zapytana spojrzała na nią obojętnie i odpowiedziała:

– Może w Koryncie albo w Megarze – wszak pani należy do krewnych centaura Chejrona?

Jeśli udawała, to była z niej niezła aktorka.

– A ja widziałam panią wczoraj na brzegu, przy ciebie...

– Zamilknij, dziewczyno! – Z rozdrażnieniem przerwała królowa.

– Proszę mi wybaczyć, nie mam racji. Medea dodała:

– Po prawdzie, nie ma potrzeby stać na środku dworu, gdzie każdy niewolnik może nas oglądać. Proszę, przejdźmy do małej sali przyjęć, gdzie będziemy mogli kontynuować rozmowę, dopóki mój szlachetny małżonek jeszcze odpoczywa.

Hyas, który utracił niepokieszone siostry, szedł za gośćmi i królową do pokoju gościnnego, gdzie na środku niewielkiej, otoczonej kolumnami z porfiru sali znajdował się płytki owalny basen, w którym pływały liście lilii wodnej i srebrzyście połyskiwały grzbiety karpia. Służący poprawili poduszki na drewnianych łóżkach z wyplatany ramami i przynieśli miednice oraz dzbany, aby wędrowcy mogli obmyć ręce i nogi.

– Tak – powiedziała Medea, ani na sekundę nie spuszczać z oczu służebnic i bacząc, by zachowywały się właściwie i niezwłocznie wykonywały wszystkie przewidziane ceremoniałem czynności. – Jestem tą samą nieszczęsną kobietą, która z ogarniającej miłości zdradziła interesy swojej niewielkiej, lecz miłującej wolność krainy, Kolchidy i umożliwiła wykradzenie złotego runa z Gruzji, dokąd ono z czasem, w co wierzę, z pewnością powróci jako część naszej kulturowej spuścizny.

– Czy to prawda... – Zaczęła Kora, ale nie zdążyła zakończyć pytania, ponieważ Medea je odgadła.

– Nie! – odpowiedziała gwałtownie. – Wszystko, co dotyczy mojego brata, którego kochałam, z którym dorastałam i bawiłam się na plażach w pobliżu Batumi, to kłamstwo. Nie, jeśli chce pani

zadać mi pytanie na temat córek tego łajdaka Peliasa. Jeśli coś uczyniły, same ponoszą za to winę. Czy są jeszcze jakieś pytania?

– Och, proszę się nie denerwować, szlachetna pani! – powiedział Tezeusz i nieśmiało wyciągnął ku niej muskularne ramię atlety i herosa.

Kora pomyślała nie bez złośliwości: „Przecież ty, gołąbeczku, wszystkie te mięśnie sobie wymyśliłeś. Gdy znów zobaczymy cię na korytarzach uniwersytetu, po tych mięśniach nie będzie nawet śladu”. Ale kto, oprócz Kory, wiedział, co tak naprawdę się dzieje?

Obecnie prowadzili swoją własną grę. Istnieli w świecie, który dla Kory był areną gry... I byłaby o tym przekonana, gdyby nie śmierć wielkiego Jazona, przy której tak niedawno była obecna. – Porozmawiajmy o rzeczach przyjemniejszych – zaproponowała ze słodkim uśmiechem Medea.

Służąca wniosła miednicę z ciepłą wodą do obmycia nóg, postawiła ją przed Tezeuszem, zręcznie rozwiązała paski jego sandałów i zdjęła mu je z nóg.

Kątem oka i kątem świadomości Kora uświadomiła sobie, że te sandały będą miały ważne znaczenie w tym, co nastąpi. Ale całą swoją uwagę skupiła na Medei.

Służąca wyniosła sandały Tezeusza, lecz Kora w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego nie wolno było tego zrobić.

Medea podążyła za jej spojrzeniem i dała niewidoczny znak innej służącej. Ta ukloniła się Tezeuszowi i odpięła pas z mieczem. Miecz zadźwięczał o posadzkę.

– Teraz odpoczniesz, Tezeuszu – powiedziała Medea. – Odnajdziesz spokój. Podróż była trudna.

– Czy to prawda, że Jazon zginął? – zapytał Tezeusz, jakby się budził. – Ten Jazon? Nie może to być prawdą.

– Nie żałuj go – rzekła Medea. – On wyrządził ludziom wiele zła i zniszczył moją młodość.

– Ja ciebie znam – powiedział Tezeusz, posłusznie pozwalając dziewczynie zdjąć sobie pas z mieczem. – Pamiętam cię. Powiedz, gdzie się spotkaliśmy?

– Nasze spotkania są dopiero przed nami, mój bohaterze – odrzekła Medea.

– Stój! – Kora nagle doszła do siebie. – Miecz! Tezeuszu, oni zabierają twój miecz! Jak on ciebie pozna?

– Kto pozna? – cicho i złowieszczo spytała Medea.

– Gdzie jest mój miecz? – Tezeusz zerwał się na równe nogi. Dziewczyna pobiegła przez korytarz. Tezeusz rzucił się w ślad za nią, Kora nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła na Medeę, gotowa w każdej chwili zatrzymać ją albo uprzedzić jej działania. Medea jakby czując zagrożenie, emanujące od Kory, pozostała w bezruchu.

Po chwili powrócił Tezeusz. W ręku trzymał pas z mieczem, dziewczyna, która próbowała go wynieść, wlokła się z tyłu.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała ją Medea, jak gdyby miecz zabrano jej, a nie gościowi.

– O, pani! – wykrzyknęła niewolnica. Była najwyraźniej przerażona i wyciągnęła delikatną, dziewczęcą rękę, na której widoczne było głębokie zadraśnięcie. – Chciałam oczyścić pochwę z kurzu, chciałam wyczyścić miecz, by był godny młodego herosa. Chciałam jak najlepiej.

– Będiesz ukarana – zakomunikowała jej Medea. – Zostaniesz zesłana do kopalni srebra do Tracji i będziesz tam dziewczyną na osłodę dla górników.

– Tylko nie to, o pani, zawsze służyłam ci wiernie!

– Posłużysz tedy wiernie i prostym ludziom!

Nie wiadomo skąd pojawili się dwaj żołnierze. Dziewczyna usiłowała coś powiedzieć, ale jeden

z żołnierzy zatkał jej usta, a drugi wywlócił ją z sali.

– Medeo! – wykrzyknął Tezeusz, palcem przyciskając do nasady nosa nieistniejące okulary. –

Tylko nie to! Dziewczyna w niczym nie zawiniła. Proszę, zrób to dla mnie.

– Uczynię to, ale ty będziesz moim dłużnikiem – rzekła Medea.

– I zabierzesz mi z oczu kobietę, z powodu której doszło do tego przykrego wydarzenia! – Medea wskazała palcem Korę.

– Przecież my się prawie nie znamy – odpowiedział młodzieniec. – Dopiero co się spotkaliśmy.

– Czy nie jesteś jej krewnym? – Nie.

– Czy widziałeś ją wcześniej?

– Nigdy.

– To dlaczego ona przyszła do pałacu?

– Przyszłam, jak każdy wędrowiec, który umęczył się podróżą – powiedziała Kora i wyprostowała się, prezentując swój imponujący wzrost. I Medea natychmiast się skonfundowała, chociaż sama też była diabło przystojna.

– Jak ci na imię, gościu? – spytała Medea.

Rozgrywał się spektakl. Medea już ścierała się z Korą, Clarissa tym bardziej.

– Mam na imię Kora – odpowiedziała, starając się nadać głosowi siłę i wagę.

Szmer głosów, przestraszone szepty przeszły po sali. Imię bogini napawało lękiem. Kora spotykała się już tu z takim fenomenem: możliwe, że imię Kory nosiło tu wiele różnych kobiet, ale świadomość wybierała wariant najbardziej niebezpieczny – imię Kory-Persefony, władczyni królestwa zmarłych. A może zresztą Kora się myliła – wątpliwe, aby grecka matka, wybierając imię dla dziecka, skłonna była wybrać jedno z imion śmierci...

– Dziś w pałacu będzie ucza – powiedziała Medea tak, jakby przed chwilą nie było starcia z Korą. – Mam nadzieję, że nasi goście zechcą w niej uczestniczyć. Czeka mnie dużo pracy.

Medea obróciła się na pięcie, by opuścić komnatę, ale oto wbiegł chłopczyk w wieku około siedmiu lat, czarnowłosa i kędzierzawy.

– Mamo! – wykrzyknął. – Tam przyprowdzili białego barana! Prawdziwego białego barana! Czy jego też zarzną na kolację?

Medea chwyciła chłopczyka na ręce, zasłaniając go całym ciałem przed Korą.

„Czyżby ona też mnie się bała? Ona, najpotężniejsza z czarodziejek starożytności?”

– To mój syn – powiedziała, zwracając się do Tezeusza. – Ma na imię Medos. Jego ojcem jest Egeusz!

– Bardzo mi miło – odrzekł Tezeusz, który jeszcze nie uświadomił sobie sensu słów pani domu i starał się w tym czasie jakoś dopasować na nogi nowe, niezbyt wygodne sandały.

– To jedyny ślubny syn Egeusza. Król pojął mnie za żonę, gdy mu przysięgłam, że urodzę syna – Medosa. Dotrzymałam swojej przysięgi. Przed wami stoi następca tronu w Atenach.

I pośpiesznie opuściła komnatę, unosząc chłopczyka na rękach. Medos coś do niej mówił, radosne, rozpieszczone dziecko, na pożegnanie pomachał rączką Tezeuszowi.

– Tezeusz podniósł rękę w geście odwzajemnienia.

– Nie wiedziałem, że Egeusz ma jeszcze syna – powiedział. – A ja młodszego braciszka.

– Ja też nie wiedziałam – rzekła Kora. – Czy masz zamiar zrezygnować z rozmowy z ojcem?

– Nie.

– A czy nie zauważyłeś, że nie masz już sandałów? – spytała Kora.

– I co z tego? Przecież został mi miecz. – Tezeusz był roztargniony, jakby w żaden sposób nie mógł skoncentrować się na tym, po co tu przybył.

– Tezeuszu! – zawołała do niego Kora. – Co się z tobą dzieje? Opamiętaj się! Po co przybyłeś do Aten? Po co dokonywałeś po drodze tylu czynów?

– Aby być godnym swego ojca – z mocą oświadczył Tezeusz, jakby się przebudził.

– Ale do tego konieczne jest, aby twój ojciec ciebie rozpoznał. A Medea postara się do tego nie dopuścić.

– Jakaż ona piękna...

– Tezeuszu, przestań bredzić! – przerwała mu Kora. – O kim ty teraz mówisz?

– Ja? – Tezeusz zamarł, jakby nagle zakneblowano mu usta.

– Mówisz tak o swojej macosze, znanej na cały świat zabójczyni, byłej żonie podróżnika Jazona, o gruzińskiej księżniczce Medei. I nie ma takiego przestępstwa, którego ona jeszcze nie popełniła. Zresztą, jest...

Tezeusz wpatrywał się w Korę tępym wzrokiem.

– Ale dlaczego takim żółtodziobom pozwala się wałęsać po starożytnej Grecji, gdzie śmierć czai się na nich na każdym kroku?

– Tak? – spytał Tezeusz.

– Jeszcze nie zabiła ciebie, Tezeuszu!

– Dlaczego miałyby mnie zabić?

– Dlatego, że przyszedłeś tu, by udowodnić, że jesteś starszym synem Egeusza, rozumiesz?

– Tak. Ale komu miałyby to przeszkadzać? Będę kochał i brata, i macochę.

Kora miała już na końcu języka odpowiedź: „Nie, to Clarissa, i dlatego ona jest dziesięciokrotnie groźniejsza dla ciebie niż jakakolwiek inna starożytna czarodziejka. Medea cię tylko zabije – przebije sztyletem albo otruje cykutą – i już za dwie godziny będziesz leżał na reanimacji moskiewskiego centrum „Wirtualna Medycyna”. Clarissa natomiast uderzy tak, że nie da się ciebie potem ożywić. Zniszczy twój mózg, mój chłopcze. Na twoje szczęście, ona przebywa tu w ciele Medei i dysponuje jej możliwościami. Ale jeśli uda mi się wyjść stąd żywej, zastosuję wszelkie środki, by wyjaśnić, jak to się dzieje, że do VR rajdu trafiają zabójcy z innej planety”.

– Co to takiego VR rajd? – zapytał Tezeusz.

Okazało się, że ostatnie zdanie Kora wypowiedziała głośno.

– Nie zwracaj na to uwagi. Chciałam ci powiedzieć, że Medea zawsze uczciwie spełniała wszystko, co obiecała. Obiecała Jazonowi złote runo i zdobyła je, nawet za cenę oszukania i zdrady swojego ojca, obiecała uratować Jazona przed pościgiem i uratowała. Przyjechała do Egeusza i w zamian za dach nad głową i ochronę obiecała, że będzie mu wierna i urodzi następcę. I była mu wierna, i urodziła mu następcę. Jest zatem godnym przeciwnikiem.

– Wcale nie uważam jej za przeciwnika – upierał się Tezeusz. – Jest piękna i dobra.

W tym momencie do komnaty wszedł żołnierz, tym razem odziany całkiem przyzwoicie, dosłownie jak z podręcznika historii. Kora mimowolnie rzuciła mu spojrzenie pod nogi w poszukiwaniu uzupełniającego podpisu w rodzaju „ciężkozbrojny hoplita VI w. p.n.e. Ateny”.

Napisu nie było, natomiast ilustracja ta była obdarzona zdolnością mówienia.

– Wielki władca, król Aten Egeusz zaprasza swoich znamienitych gości, aby ich poznać.

– To audiencja? – zapytała Kora.

Zamiast odpowiedzi żołnierz wskazał na miecz Tezeusza i polecił go zdjąć.

– Nie mogę – odpowiedział Tezeusz. – Zawsze z nim chodzę.

– Nie jest u nas przyjęte chodzić do króla z mieczem – uprzejmym tonem zakomunikował żołnierz.

– Ty, być może, jesteś człowiekiem dobrze wychowanym, a przyjdzie inny, postanowi, że jest herosem – i od razu naszemu królowi zetnie głowę. Po Heraklesie tylu namnożyło się herosów, że wieczorem bez przyjaciół na ulicy lepiej się nie pokazywać.

Tezeusz był wzburzony, ale pohamował się i odpiął pas z mieczem.

„Ładny interes – pomyślała Kora. – Sandały mamy nowe, wydane przez Medeę z pałacowych zapasów, miecz nam zabrano, więc po czym teraz rozpoznać dziecko?”

Kora sama zadbała o to, aby schować miecz w jednym z kufrów, stojących w komnacie wzdłuż ścian.

Żołnierz z ilustracji poprowadził ich ciemnym korytarzem, potem sześć stromych stopni do góry, jeszcze korytarzyk, w którym siedział w kucki hoplita, oparłszy włócznię o ścianę. Wreszcie za purpurową, ale podniszczoną zasłoną ukazała się komnata, którą Kora umownie nazwała na własny użytek gabinetem władcy.

Stało tam pierwsze biurko, jakie Kora ujrzała w antycznej starożytności, chociaż należałoby przyznać, że z inteligentami, nie licząc jednego półkonia, nie miała okazji się tu zetknąć. Marmurowe biurko na grubych dębowych nóżkach wykorzystane było zgodnie z przeznaczeniem – leżało na nim kilka zwojów, nawiniętych na drewniane patyczki, po prostu kartki papirusu, tabliczki, a zresztą Kora nie miała czasu zastanawiać się, na ile wykształcony był gospodarz.

Sam król Egeusz wszedł tuż za gośćmi, odrzuciwszy skraj tkaniny, zasłaniającej wejście do wewnętrznego pomieszczenia.

– Rad jestem was widzieć – przemówił, idąc na spotkanie gości. – Zawsze raduję się, kiedy szlachetni herosi odwiedzają nasze miasto.

Kora mogła dokładnie mu się przyjrzeć. Król Egeusz wyglądał na około pięćdziesiąt lat, ale, jak zauważyła, w starożytnej Grecji ludzie starzeli się wcześniej, gdyż zapewne nic nie wiedzieli o diecie i espach.

Pstrokata broda króla była starannie ufryzowana, długi himation odprasowany tak, że każda fałda przypominała ostrze brzytwy, i do tego obszyty był u dołu złotą nicią. Pod płaszczem widniał złocisty długi chiton, haftowany w zawily wschodni wzór. Kora zauważyła w myślach, że król jest zadbany, umyty, uperfumowany i widać w tym troskliwą kobiecą rękę. Przy całej swojej niechęci do Medei musiała przyznać, że swoje małżeńskie obowiązki wobec kolejnego męża spełnia.

Tezeusz uprzejmie pokłonił się ojcu. Przyływu wobec siebie ojcowskich i synowskich uczuć, o których tak szeroko rozpisywano się w literaturze mitologicznej, na razie nie doświadczał. Tezeusz odczuwał raczej pewną niezręczność, jak człowiek, pragnący otrzymać to, co mu się wcale nie należy, a król Egeusz występował w zwyczajnej dla siebie roli władcy w trakcie skromnej audiencji, podczas której w miarę możliwości trzeba zorientować się, czego mogą chcieć potencjalni petenci. Nieszczęście wszystkich królów polega na tym, że w każdym napotkanym człowieku zmuszeni są podejrzewać petenta. A to męczy i prowadzi do rozczarowania ludźmi.

– Szedłem, z Trojzeny – zakomunikował Tezeusz. – Droga, która prowadzi wzdłuż morskiego brzegu. I po drodze likwidowałem tych rozbójników, którzy w ostatnich latach zajęli tę całą drogę i zniszczyli miejscowy handel.

– Zaczekaj, zaczekaj! – wykrzyknął król. – Czy ty nie jesteś tym Tezeuszem, wnukiem Pitteusa, o którym mówi się, że jest synem Posejdona? Czy to nie ty postanowiłeś dokonać czynów podobnych

twojemu ciotecznemu wujowi Heraklesowi?

– Wybaczcie rodzonemu wujowi Heraklesowi! – z dumą poprawił króla młody heros.

Król Egeusz uśmiechnął się. Młody człowiek przypadł mu do gustu.

– I poszedłeś sam wzdłuż brzegu?

– Zupełnie sam.

– A jak dostrzegłeś rozbójników, napadałeś na nich, zapominając, że wszyscy są dziećmi znakomitych rodów, ze znacznymi rodzinnymi koligacjami i dlatego właśnie mieszkańcy Koryntu, ani mieszkańcy Megary, ani nawet my, Ateńczycy, nie ośmieliliśmy się ich tknąć? Czyżby przez cały ten czas chronił cię cień Posejdona?

– Nie, królu – odpowiadał Tezeusz z dumą, jaką rzadko można spotkać u zwykłego studenta uniwersytetu. – Nigdy nie zadaję ludziom bólu tylko dla samego bólu. Zrobiłem z tymi rozbójnikami jedynie to, co oni uczynili z innym.

– Co? – Egeusz wyraźnie był zaskoczony. Widocznie słuchy o czynach Tezeusza nie dotarły jeszcze do Aten. – To znaczy, że zrzuciłeś ze skały Skirona?

– I obciąłem nogi Prokrustesowi – zakomunikował młodzieniec. – I, co najważniejsze, otworzyłem pałką czaszkę Perifetesowi.

– Ach, jakżeś ty młody i naiwny! – pomyślała Kora.

Jakby w odpowiedzi na słowa Tezeusza zasłony i kotary, którymi przyozdobione były ściany komnaty, poruszyły się i doszły stamtąd głosy i krzątania.

– Precz stąd! – krzyknął Egeusz i zatupał nogami. – We własnym gabinecie człowiek nie ma chwili spokoju!

– Kto to taki? – spytał Tezeusz, sięgając do pasa, przy którym nie było miecza.

– To moi bratankowie – wyjaśnił Egeusz. – Pallantydzi, synowie mojego nierozsądnego, próżnego i chciwego brata Pallasa, który nadaremnie czeka, aż umrę, by zagarnąć władzę.

– Ale ma pan przecież następców – oględnie zauważyła Kora.

– Medos to wspaniały chłopiec – przyznał król. – Ale jest jeszcze mały. Mam nadzieję, że Medea będzie na tyle mądra i ostrożna, aby uchronić chłopca przed krwawymi łapami Pallantydw. Na razie ich wystraszyła, grożąc straszliwymi czarami całemu rodowi, gdy coś stanie się Medosowi. Tak więc wolą go ochraniać i bronić... przynajmniej do czasu.

Tu król westchnął z przygnębieniem.

– A inni następcy? Zdarzało mi się słyszeć, że miał pan w Trojzenie syna.

– Miałem nadzieję, że tak będzie – szczerze odpowiedział Egeusz. – Ale z pewnością nic nie wyszło z naszego przypadkowego związku. Inaczej dawno bym o tym wiedział.

„Gdybyż teraz pokazać mu miecz i sandały!” – pomyślała Kora.

Ale sandały Medea z pewnością spaliła, a miecz jest zbyt daleko, by po niego biec. No trudno, lecz nie wszystko jest jeszcze stracone.

– Wielmożny królu – odezwał się tymczasem dzielny młodzieniec. – Gdybyś potrzebował pomocy, wiedz, że moja żelazna maczuga ustępuje tylko maczudze samego Heraklesa. Jeśli trzeba kogoś złamać, zniszczyć, zetrzeć w pył – jestem do twoich usług.

Król z wdzięcznością położył rękę na ramieniu Tezeusza i wypowiedział zgubne dla swego starszego syna słowa:

– Chciałbym mieć takiego syna jak ty, Tezeuszu.

Znów poruszyła się jedwabna kotara za plecami króla i tym razem Kora wyraźnie dostrzegła

czarną przędzę, blask brylantowego diademu i usłyszała lekkie kroki gruzińskiej królowej.

Los Tezeusza był przesądzony.

Uratować mogła go tylko Kora Orwat.

Audiencja u króla dobiegła końca. Zaprosił ich na uroczystą kolację, wydaną z okazji dwudziestej rocznicy od dnia wyprawy do źródła Siedmiu Nimf.

Kora ośmieliła się wyrazić zainteresowanie, dlaczego tak nieznaczące wydarzenie było okazją do ucztowania w pałacu, na co król odrzekł, że uczyty w pałacu wyprawiane są co wieczór, a sławnych dat i wydarzeń, wręcz dla tych okazji brakuje.

Następnie Egeusz wezwał służących, aby odprowadzili gości na odpoczynek.

– Bądź ostrożny – poprosiła Kora Tezeusza, żegnając się z nim do wieczora. – Musisz obawiać się zwłaszcza niebezpieczeństwa z góry. Tu wrogowie postarają się roztrzaskać ci głowę.

– Będę wpatrywał się w niebo, czy nie spadnie na mnie żółw – roześmiał się Tezeusz i skierował kroki na prawo, do męskiej części pałacu.

Kora nie miała tam wstępu, musiała iść w lewo, do żeńskiej połowy, gdzie służąca zaprowadziła ją do niewielkiej komnaty bez okien, tylko z drzwiami, zaciągniętymi pasiastą kotarą.

Przygotowano jej tam łożo, dziewczyna w krótkim chitonie i z obnażoną piersią zaproponowała pomoc w rozebraniu się i siebie w roli grzałki, lecz Kora odmówiła, zapytała tylko, kiedy będzie obiad. Służąca odpowiedziała, że dopiero jest szykowany, więc ma teraz czas na odpoczynek. I wyszła.

Kora wyciągnęła się na niskim łożu, zasłanym kozłimi i owczymi skórami. Choć był to królewski pałac, skóry zostały wyprawione niedbale i czuć od nich było kozi zapach. Kotara nie izolowała komnaty od odgłosów pałacowej krzątaniny. Trzeba by było poprosić o możliwość zwiedzenia pałacu, pomyślała Kora. Nawet nie może sobie wyobrazić, jak wygląda jego wnętrze, gdy zatem przyjdzie ratować się stąd ucieczką, nie wiadomo, na ile się to uda. Gdzieś wyczytała, że pałace w starożytnej Grecji budowano jak labirynty, stąd wziął też nazwę pałac na Krecie, w którym mieszkał Minotaur. No cóż, jeśli dziś wszystko przebiegnie pomyślnie i uda się nam zachować przy życiu księcia Gustawa, to wkrótce znajdziemy się właśnie na Krecie, by zmierzyć się z Minotaurem – takie rzeczy wiedza Kory na temat starożytnej historii jeszcze obejmowała.

Jaka szkoda, że ten asekurant Milodar nie pozwolił jej zabrać ze sobą żadnych narzędzi i urządzeń, tak przydatnych agentowi InterGpolu. Wystarczyłoby jej nałożyć jeden roboczy pas z materiałem wybuchowym, wytrychami, przyrządami optycznymi i środkami do podsłuchu. Tym bardziej, że jeśli ją podejrzewa się tu o przynależność do kasty bogiń, to nikogo by nie zdziwiły jej nadnaturalne zdolności. A jak tu z gołymi rękami robić za ochroniarza starożytnego herosa? Śmiech na sali!

Mimo to Kora wstała i ostrożnie obeszła pomieszczenie. Komnata była niewielka, ściany, ułożone ze starannie wyciosanych bloków piaskowca, były otynkowane, na nich dość prymitywnie wyrysowano paski ornamentu, a wyżej, pod sufitem, widniały wizerunki ptaka i motyla wykonane w sposób, w jaki uczy się rysować dzieci w starszej grupie przedszkolaków. Wielką grecką sztuką w tej części pałacu na razie nawet nie pachniało.

Czy Medea wie o tym, że nie każdy rodzaj śmierci zabija jej wroga? Prawdziwej Medei jest to obojętne – najważniejsze, by zachować tron dla Medosa. A dla Clarissy ważne jest, by zabić Tezeusza bezpowrotnie i ostatecznie...

Kora wstała z łoża i, ostrożnie unosząc zasłonę, wysunęła się na zewnątrz. Korytarz był pusty.

Ruszyła w tę stronę pałacu, skąd dobiegał dźwięk naczyń, głosy, hałas i bulgotanie strawy. Wkrótce trafiła do jednego z niewielkich wewnętrznych dziedzińców, na którym stały odprężnięte wózki, a w szeregu przy koniowiazach przeżuwały siano poczciwe osiołki i muły. Pod wózkiem na kupce siana leżała pogrążona w głębokim śnie służąca, przykryta szarą narzutą, którą Kora ostrożnie z niej zdjęła. Śpiąca nie poruszyła się. Kora narzuciła zdobycz jak chustkę, która opadała poniżej pasa – w półciemnych przejściach, komnatach i innych pomieszczeniach pałacu natychmiast stała się niezauważalna, pod warunkiem, że będzie stale się przemieszczać. W atmosferze ogólnej krzątaniny i pozornego chaosu, przypominającego mrowisko, pałac zarządzany był przez żywiołowy rozsądek, kiedy każdy owad ciągnie swoje ździebełko diabeł wie dokąd, w końcu zdobycz trafia do właściwej komórki, a wszystkie poczwarki i larwy zostają w porę nakarmione.

Dla większego uwiarygodnienia swojej obecności Kora złapała jakiś garnek, który oparła na biodrze i teraz niczym nie odróżniała się od roju służących i niewolnic, a na szczęście nie było tu widać nadzorców, którzy dawaliby wskazówki – zapewne wszystkie czynności były tu wielokrotnie powtarzane.

Obdarzona fotograficzną pamięcią Kora po dwudziestu minutach miała już pełne wyobrażenie zarówno o żeńskiej części pałacu, jak i o jego niezliczonych pomieszczeniach gospodarczych. Do części dla mężczyzn wejść było trudno, ale Kora wkrótce rozgryzła i ten problem. Dla współczesnego wywiadowcy starożytny grecki pałac był jak dziecięca zabawka. Nie było w nim drzwi, oprócz bramy wejściowej. Otwory drzwiowe zawieszano zasłonami lub po prostu szmatami, nie było więc trudności z włamaniem i podsłuchem. Ponieważ korytarze w ciągu dnia w ogóle nie były oświetlane, a światło dochodziło tam jedynie przez otwory drzwiowe i zasłony, liczne służące, od których roilo się w pałacu, wyglądały jak cienie – takimi wydają się sobie mrówki w głąbiach mrowiska.

Kora musiała odnaleźć newralgiczny punkt pałacu – pokoje Medei.

Okazało się to nie takie łatwe i to nie dlatego, że pokoje były szczególnie ukryte. Po prostu prawie nie różniły się od komnat innych krewnych króla, których także było niemało. Kiedy już się jej wydawało, że niczego nie znajdzie i lepiej wznowić poszukiwania wieczorem, los się do niej uśmiechnął.

Szła jakimś czarnym wąskim korytarzem, strzepując z twarzy drobinki pajęczyn i starając się niechcący nie trącić jakichś zniszczonych mebli, które tam wyrzucono, gdy usłyszała dobiegającą zza parawanu głośną rozmowę. Rozmawiający nie kryli się i nie ścisiali głosów – widocznie byli przekonani, że nikt nie może ich podsłuchać.

– Widziałeś go? – usłyszała niski, przytłumiony głos Medei.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie?

– Miły młodzieniec. Chciałbym mieć takiego syna.

Długa przerwa. Kora zrozumiała, że Medea stara się wziąć się w garść.

Potem znów jej głos:

– Masz syna.

– Jestem już stary. Obawiam się, że nie dożyję chwili, kiedy on będzie mógł unieść mój miecz.

A jeśli zostawię królestwo chłopcu, zaszczują was moi krewniacy.

– Jestem czarodziejką i uzdrowicielką – odpowiedziała Gruzinka.

– Ty będziesz żyć wiele lat i zobaczysz, jak podniosą miecze twoje prawnuki. Dla mnie jesteś najmłodszy i najpiękniejszy...

– Ach, Medeo, jakże trudno uwierzyć mi w twoją miłość! Dałem ci schronienie, gdy tłum chciał cię rozszarpać. Ty dałaś mi syna. O miłości nie było mowy.

– Trochę cię pokochałam, stary głupcze!

– No już dobrze... dobrze... przecież to łaskocze! Medeo, przestań! Pamiętaj, ile mam lat!

– Zeus miał o wiele więcej...

– Zeus jest bogiem.

– Ty jesteś większy od bogów, bo jesteś królem Aten. Lud wciąż sławi twoją mądrość...

– Medeo!

– Egeuszu... O! Jakżeś potężny! Obejmij mnie mocniej! Korze zrobiło się wstyd podsłuchiwać dalej, dlatego że nawet jeśli w okrzykach i oddzielnych słowach małżonków można było uchwycić sens, to nie miały one nic wspólnego z dzisiejszymi wydarzeniami. Ale nie od razu odeszła od izby sypialnej króla, ponieważ starała się zorientować, z której strony znajduje się pokój przeznaczony dla Tezeusza. Przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl: w czasie gdy będą tu wieczerzać, Medea będzie miała trudności z podesłaniem wiernych robotników, którzy podpiłują belki nad łóżem Tezeusza i nocą zginie tak, jak chciałaby Clarissa i klan Clarence'a. Być może Medea w ciągu tych lat rzeczywiście pokochała króla Egeusza i chce, by żył on jak najdłużej, dopóki Medos nie będzie w stanie objąć tronu. Ale niebezpieczeństwo, grożące Tezeuszowi, nie jest z tego powodu mniejsze.

Kiedy Kora zorientowała się, dokąd udać się tym labiryntem, przez odgłosy pocałunków i namiętnych westchnień przebił się całkowicie opanowany głos królowej.

– Egeuszu, chciałam zapytać cię, co sądzisz o naszych dzisiejszych gościach?

– Bardzo mili ludzie – zduszonym głosem odpowiedział Egeusz. – Bardzo mili ludzie... Jakże jestem szczęśliwy!

– Ostrożniej! Jeszcze nigdy tak się nie czułam! Umieram ze szczęścia! Ci wszyscy utytułowani chłoptasie nie są warci twojego małego palca! Kto nauczył cię tak postępować z kobietą?

– To doświadczenie życiowe, kochanie!

– Nie rzucaj mnie, nie zostawiaj, pójdź do mnie, mój stary wieprzu!

– Jesteś dziś zupełnie inna! Nie poznaję cię! Ty drzysz jak dopiero co pojmana łania!

Ale nagle triumfujący, przepojony szczęściem krzyk Medei wypełnił całą frontową część pałacu. W bezruchu zamarli kucharze i kuchciki przy swoich piecach, zamarły pomoce kuchenne i podawacze, pomywacze i krajacz mięsa... I każdy pomyślał o tej najszcześniejszej chwili jego własnej miłości, która już minęła albo na którą można mieć jeszcze nadzieję.

Kora westchnęła ze smutkiem. Każda normalna kobieta chce być szczęśliwa jak Clarissa... niech to diabli, jak Medea. A może w tym tkwi sekret burzliwej miłosnej sceny, którą Kora przypadkowo podsłuchiwała... Jakiś czas było cicho. Tylko szybkie i delikatne tchnienie dochodziło z królewskiej sypialni. Potem usłyszała głos Medei:

– Mam nadzieję, że zrozumiałeś, kochany, że oni nie są tymi, za kogo się podają?

Egeusz chwilę ciężko oddychał, dochodził do siebie po pieszczotach Medei, potem zapytał:

– Dlaczego tak sądzisz?

– Co do tej tak zwanej Kory, wszystko jasne – powiedziała twardo. – Nie jest żadną Korą ani Persefoną, doskonale znam twarze wszystkich bogiń, a tym bardziej tak znamienitych, jak bogijn; podziemnego królestwa.

– Pomyślałem to samo – odezwał się Egeusz. – Jest jak na tę rolę zbyt młoda i piękna. Nie ma w sobie nic strasznego. To miła, dobra istota.

– Jak zawsze masz rację, mój króliczku. Ale czuję, że z naszych spraw nici, jeśli szpiedzy spokojnie przechadzają się po pałacu i wywąchują, co gdzie leży.

– Nie rozumiem cię, kruszynko.

– A ja nie rozumiem ciebie. Z twoim państwowym doświadczeniem! Z twoim wyczuciem politycznym... i tak dać się wywieść w pole! Co, nie domyśliłeś się, że ten Tezeusz jest sztucznym człowiekiem?

– Jak to sztucznym?

– Powinieneś siedzieć w damskiej hafciarni, a nie na tronie! Do twojego pałacu wkradła się parka politycznych terrorystów. Oni nie są ludźmi! – W głosie Medei pojawiły się piskliwe intonacje rodem z kuchni.

– A kimże oni są?

– Czy pamiętasz Dedala?

– Dlaczego mam nie pamiętać – odpowiedział Egeusz. – Wielki mistrz, ale, moim zdaniem, słaby człowiek.

– Nie nazwałabym go słabym. Istnieją inne słowa na określenie tego pastucha.

Kora zamarła w bezruchu, nie chcąc uronić ani jednego słowa. Wszak w dzieciństwie czytała o Dedalu i Ikarze. Doskonale pamiętała, że Dedal był twórcą aeronautyki, że skonstruował dla siebie i swojego syna Ikarę skrzydła i spoił je woskiem, potem kazał Ikarowi nie wznosić się za blisko słońca, gdyż wosk się roztopi, a wtedy młodzieniec spadnie z nieba do morza. Cała postępową ludzkość od tego czasu kocha wizerunek Ikarę, jako człowieka, który podążył ku Słońcu, ryzykując swoim życiem. Oczywiście, wiedziała o tym, ale co wspólnego może mieć z tym Tezeusz?

– Jaki tam z niego wielki mistrz! – wrzeszczała Medea. – To typowy przypadek salierizmu! Jeśli jesteś szubrawcem, nie możesz być wielkim mistrzem.

– Clarisso! – omal nie krzyknęła Kora. – Co ty robisz? Salieriego jeszcze nie ma! Nie ma takiego pojęcia...

– Nie sprzecajmy się w takiej chwili – błagał Egeusz. – Z tobą, która osłodziłaś mi życie niezwykłymi pieścizkami gruzińskich ziem, gotów jestem zgodzić się we wszystkim. Nie kłóćmy się, a jeśli uważasz, że mamy do czynienia z przypadkiem salierizmu, to nie będę się z tobą sprzeczać.

„To już koniec – zrozumiała Kora. – Tracę rozum”.

– Niemniej powinnam otworzyć ci oczy na tego młodzieńca.

– Otwieraj – leniwie odezwał się Egeusz.

Korze wydawało się, że monarcha najchętniej zdrzemnąłby się teraz.

– Czy słyszałeś kiedyś o tym, że Dedal wykonał dla Minotaura dziewięciu sztucznych młodzieńców z żywicy rzadkich odmian drzew, tak podobnych do prawdziwych, że odróżnić ich można było jedynie z powodu ich doskonałości?

– Dlaczego? – zdziwił się Egeusz.

– Są to idealni szpiedzy, zabójcy i wywiadowcy. Minos nienawidzi cię za śmierć Androgeosa.

– Ja go nie zabiłem. Sam upadł i umarł.

– Nie pytam, jak umarł. Minos jest przekonany o twoich złych zamiarach. Od Aten przyjmuje daninę – chłopców i dziewczęta. A teraz wysłał do ciebie idealnego szpiega, sztucznego człowieka. Powiedz, czy znasz zwykłego młodzieńca, który mógłby w ciągu trzech dni wytepić wszystkich wielkich i niepokonanych bandytów i rozbójników wybrzeża Argolidy i Attyki?

– Nie, nie słyszałem o takim.

– A widziałeś, z jaką łatwością nosi żelazną maczugę, którą mógłby unieść tylko Herakles?

– A jeśli on naprawdę jest synem Posejdona?

– Posejdon ma synów w każdej wiosce, sam nie zna ich liczby. Teraz ci powiem, że jestem córką Posejdona. I co dalej?

– W zupełności wystarczy mi, że jesteś wnuczką samego Heliosa – nie bez dumy odpowiedział Egeusz.

– A zatem odrzuć wszelkie wątpliwości. Ten twój Tezeusz to szpieg Minosa. Prześledził już całe wybrzeże Attyki, wyszukując najwygodniejsze miejsca na wysadzenie desantu. Teraz będziesz tę kukłę zabawiać w swoim pałacu. Moje gratulacje! Mam już dość tego, że cały cywilizowany świat śmieje się z tego, jak służysz temu brudnemu, ohydному Minosowi.

– Nie służę mu... To są warunki traktatu pokojowego. Oni są od nas silniejsi.

– Teraz tego mu mało! Wysłał do ciebie wywiadowcę, aby zabrać nie tuzin najlepszych, a odebrać i zabić lub sprzedać w niewolę wszystkich ateńskich chłopców i dziewczęta.

Słysząc było, jak spuściła nogi na posadzkę i szura stopami po płytkach posadzki, szukając w ciemności sandałów.

– Co robić? – zapytał Egeusz.

– Powinieneś pokazać, że jesteś prawdziwym mężczyzną. Powinieneś napluć temu mężczyźnie w twarz. W końcu powinieneś powiedzieć „nie”.

– Ale czyż mogą Ateny równać się z Kretą? Przecież ona nie zostawi u nas kamienia na kamieniu!

Tchórz! Dziadyga! – mówiła to nie Medea, a Clarissa. – Ateny powinny pozostać największym ośrodkiem cywilizacji w dziejach świata. Twoim imieniem powinno się nazwać morze! A kto zapamięta jakiegoś Minosa? Chyba tylko dlatego, że wyhodował w rodzinie Minotaura – co za upodobania! Takiej wyuzdanej rozpusty nie spotkałam nawet w żołnierskich kawałach.

– Ale to jego ból, jego nieszczęście...

– A dlaczego my mamy za to płacić? – nie poddawała się Medea. – Dlaczego kolejny nikczemny wymysł Dedala ma kosztować życie naszych najlepszych dzieci? Dlaczego?

Egeusz westchnął i nie odpowiedział.

– Własnymi rękami zabiję tego robota! – zakomunikował Medea.

– Kogo?

– Drewnianego szpiega, wykonanego przez tego nikczemnika Dedala.

– Kochana moja, tak nie wolno postąpić. Cień padnie na mój dom. Nie mogę złamać prawa gościnności.

– Jakież to pozostały jeszcze w Grecji prawa gościnności? – oburzyła się Medea. – Ty co, objadłeś się cykuty? Przecież tu każdy łotr, jak Prokrustes, może zaciągnąć cię do domu, aby później obciąć ci nogi albo głowę. Nie jesteśmy w Gruzji, gdzie jeszcze szanuje się obyczaje. Opamiętaj się. Przecież tu nie ma mowy o zabójstwie. Zniszcz tę zabawkę. Połam wynalazek Dedala. Nawet nie proszę, byś zabił tę wstrętną tykę.

– Mówisz o Korze?

– A o kim? Oczywiście, o tej samozwance.

– Czasami bogowie przybierają obcą postać.

– Nie nabierzesz mnie na tani chwyt. Dość tego wszystkiego. Lepiej pośpij sobie, w twoim wieku po miłości z młodą kobietą trzeba się przespać, odpocząć.

– Chcesz go otruć? – zapytał Egeusz zupełnie trzeźwym i spokojnym tonem i tym natychmiast

nastawił Korę przeciw sobie.

Zrozumiała, że król poddaje się nagłej presji królowej, która walczy o swojego syna-następcę. Ale wnet ogarnęły ją wątpliwości. Czy naprawdę Egeusz jest tak niewinny i neutralny? Być może jest mu wygodnie, aby losową decyzję podejmowała kobieta, której reputacji nic nie jest w stanie pogorszyć?

– Chcę go rozpuścić – odpowiedziała Medea. Kora natychmiast poczuła niepokój. – Otruć można zwykłego człowieka – kontynuowała królowa. – Jest na to wiele trucizn i ja, jako czarodziejka, znam je wszystkie. Ale jak otłuć drewnianego szpiega? Cykutą? To śmieszne.

– I co wymyśliłaś, kochana? – znowu odgłos pocałunku. Ten lubieżny starzec pogodził się już z decyzją Medei i teraz interesowały go tylko szczegóły.

– Mam truciznę, otrzymaną ze śliny zdychającego Cerbera – odrzekła Medea. – Nie musisz znać jej składu. Rozpuszcza ona żywice, z których Dedal wykonał swoje zabawki.

„Nieźle wymyślane” – w myślach przyznała Kora, przyciskając się plecami do ściany korytarza, gdyż obok niej przemknął ktoś ze służby, ciągnąc za nogę jagnię. „Drewniany szpieg. Nie będziemy go żałować. Rozpuszczają się żywice... Jakże wszystko przemyślała! Ale czy na pewno wypełniasz swoją wolę, czy też sama jesteś zabawką w rękach Clarence’a... A może cioci Ragozy?”

Nagle Korę naszła uspokajająca myśl: teraz można spokojnie pójść do swoich pokoiów i przespać się do wieczora. Wątpliwe, by Clarissa-Medea przeprowadziła swój zamach przed kolacją.

Okazało się, że odnalezienie własnej sypialni nie jest rzeczą prostą.

Dopiero po pięciu minutach trafiła do dużej kuchni, tam zrzuciła szarą chustę i już jako gość zapytała kucharzy, gdzie przygotowano jej odpoczynek. Tamci nie mieli o tym najmniejszego pojęcia, byli zajęci, spieszili się. Wezwano straż, strażnicy także nie wiedzieli. Medea, jak się okazało, zamknęła się w swojej tajnej czarodziejkiej piwnicy, do której nikt nie śmiał wchodzić, król Egeusz spał twardym snem, nie wiedząc o bożym świecie, więc Kora musiała zadowolić się pierwszym wolnym łóżem w komnatach gościnnych. Wszystko byłoby dobrze, gdyby po pół godzinie nie pojawił się jakiś urzędnik z Teb, zaproszony na obiad, któremu wydawało się, że to jego pokój, a skoro Kora śpi w jego łóżu, to on ma prawo korzystać z niej na równi z podgłównikiem i narzutą. Kora w półśnie zastosowała zupełnie tu nieznaną chwyty kung-fu i dopóki jęczącego z bólu radcy nie zaniecono na opatrunek, nie mogła zasnąć.

Gdyby nawet Kora nie zdążyła się przebudzić i tak by ją zbudzono. W pałacu, we wszystkich jego salach i przejściach zagrzmiały miedziane dzwonki i gongi, zapiszczały nieprzyjemnie flety, zadudniły obciążone byczymi skórami bębny. Rozpoczęła się uroczysta uczta na cześć zapomnianego przez wszystkich wydarzenia.

Kora zerwała się na równe nogi. Wyglądała okropnie. Jak to dobrze, że podczas swoich wędrówek zaopatrzyła się w grzebień, który wieszala na pasku razem z lusterkiem i samodzielnie wykonaną szczoteczką do zębów, tłumacząc ciekawskim, że to zwykły środek do rozprowadzania pudru.

Uczesała się, napuszyła włosy, poprawiła wymięty chiton i naciągnęła na głowę perełkową siateczkę. Przywiązane za rączkę do paska lustro powiedziało jej, że jest tu najpiękniejsza i najbielsza. Czy piękniejsza również od Medei?

Na korytarzach rozpoczęła się bieganina, zamigotały cienie, ale związane już nie z przygotowaniem, a ze zbliżającą się uroczystością.

Muzykanci przeszli, szturchając się i głośno rozmawiając, jak gdyby już ogłuchli od własnej muzyki, jacyś ludzie nieśli długie girlandy, uplecione z liści winogron. Dostojnie przeszli podcieszowicie...

Sala, w której odbywała się uczta, była obszerna, lecz niewysoka – czarne, w niektórych miejscach powyginane ze starości belki zwisały dosłownie nad głową. Gruba, pękata kolumna z wyrzeźbionymi w niej spękaniem, nadającymi kolumnie wrażenie kamiennej, podtrzymywała środek sufitu. A z boków, bezładnie i licznie jak młodniak, wyrastały cieńsze kolumny, jedne rzeźbione, inne gładkie, wyszlifowane przez pokolenia dłoni, a między nimi ustawiono drewniane fotele z podłokietnikami dla ważniejszych gości, dalej, wzdłuż bocznych ścian, stały składane taborety, jakie lubią zabierać ze sobą na etiudy malarze-pejzażyści. Wspólnego stołu jako takiego nie było. Natomiast mnóstwo było stolików. Dla znakomitych gości i gospodarzy ustawiono osobne stoliki, okrągłe, każdemu po jednym, a do stolików przy drzwiach przystawiono po trzy lub cztery taborety. Na prawo od drzwi znajdowała się orkiestra, na razie muzykanci ustawiali i stroili instrumenty oraz z zuchwałością, typową dla orkiestr wszystkich czasów i narodów, wydawali kakofoniczne dźwięki. Z lewej strony, grzebiąc w kufrach i pudełkach, szykowały się do tańców dziewice z nadwornego zespołu, których, podobnie jak całe otoczenie, nie krępowała nagość.

Goście, oczekując na znak, by zasiąść przy stołach, cisnęli się na środku sali, chociaż miejsca starczyło dla wszystkich. Kora od razu odszukała oczami Tezeusza i skierowała się ku niemu. Jej widok wyraźnie go ucieszył. Między nimi, na szczęście, wytworzyło się zaufanie, tak konieczne między ochraniającym a jego podopiecznym, nawet gdy podopieczny nie podejrzewa, że jest ochraniany.

– Witaj, pani – pozdrowił ją Tezeusz.

„Mój Boże, przecież z ciebie jeszcze dzieciuch, pomyślała Kora, broda jeszcze dobrze nie rośnie i kiedy ściągasz w gniewie brwi, nie zawsze wygląda to srogo – w tym momencie ujawnia się roztargnienie wywołane koniecznością zadawania bólu innemu człowiekowi...” Zresztą, poczucie obowiązku i odpowiedzialności u chłopca jest rozwinięte dostatecznie mocno. Przecież nie można zapominać, że po tym, jak dał sobie słowo, iż powtórzy czyny Tezeusza, ten student Uniwersytetu Moskiewskiego, zapewne znający śmierć jedynie z telewizyjnego ekranu, śmiało ruszył do boju.

– Wypałeś się? – spytała Kora.

Dotyk jego silnej ręki sprawił jej przyjemność. Czort z tym, że to efekt obrazu wirtualnego. W niej płynie ta sama, zwyczajna czerwona krew.

– Wypałem się, wypocząłem i gotów jestem spotkać się z ojcem.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie wszyscy są szczęśliwi z tego powodu?

– Oczywiście – Tezeusz uśmiechnął się uśmiechem studenta i koniuszkiem wskazującego palca poprawił nieistniejące okulary na nasadzie nosa.

– Pamiętasz, że nie masz już sandałów?

Student ściszył głos:

– Myślę, że ojciec by ich nie rozpoznał. Były już całkiem zniszczone.

– A miecz?

– Miecz pozna.

– Mam nadzieję, że tym razem nie oddałeś go przy wejściu.

Tezeusz jedynie się uśmiechnął i Kora więcej nie zadawała mu głupich kobiecych pytań. Na szczęście greckie świąteczne stroje, opadające przepysznyimi fałdami do podłogi, jak żadne inne

nadawały się do tego, aby nosić pod nimi miecze, topory, a nawet katapulty. Mówi się, że przed śmiercią Cezar zdążył wyrazić ubolewanie z tego powodu, że nie nakazał senatorom noszenia krótkich, obcisłych spódniczek.

– Hej, orkiestra, czas na was! – krzyknął grubas w wyszmelcowanej todze, pewnie ich przełożony.

Wtedy wystąpił do przodu oficer w pełnym rynsztunku bojowym, ale bez hełmu i machnął rękami, jak policjant z drogówki, wstrzymujący ruch uliczny. Spośród orkiestry wstał Murzyn z miedzianymi talerzami i z ochotą nimi uderzył. Salę wypełnił dźwięczny grzmot.

I wtedy wszyscy zaczęli się spieszyć, przerywając w pół słowa rozmowy, gdyż, jak się okazało, przeważająca część zaproszonych należała do kategorii zwykłych gości, którzy powinni zająć najwygodniejsze taborety z boków sali, a jeśli któryś nie załapałby się na taboret, byłby zmuszony stać przez całą ucztę za plecami sąsiada, który miał więcej szczęścia i przechwytywać kęsy z jego stolika.

Przedtem Kora była przekonana, że Grecy na ucztach leżą i jedzą. Nic podobnego – przynajmniej tu, w Atenach, siedzieli jak normalni ludzie, którzy zebrali się w kawiarni z okazji urodzin dziadka. Przed każdym stał stolik, przed kompanią – stolik na trzy osoby. Kelnerzy, przyodziani tylko w opaski biodrowe, mimo że wieczór był chłodny, snuli się między stołami, przynosili i zabierali czary, tace, kubki, dodawali wina do smaku, odkrawali kawałki mięsa i rzucali je na gliniane talerze.

Kora nie spieszyła się z zajęciem swojego miejsca, bardzo zaniepokoiło ją czujne spojrzenie Clarissy, która stała między dwiema kolumnami, w półmroku i z uwagą przyglądała się Tezeuszowi.

– Tezeuszu – zawołała Kora. – Czy masz miecz pod chitonem?

– Jak inaczej mógłbym pokazać go ojcu? Ale w żaden sposób nie udaje mi się zostać z nim sam na sam. Medea obiecała mi, że zorganizuje nam spotkanie tuż po obiedzie. Wtedy pokażę mu miecz.

Przy imieniu Medei głos herosa zadrżał i oczy zwilgotniały. W sercu Kory pojawiło się niemądre przecucie: na czary Clarissy nałożyły się czary Medei i zapewne tylko fakt, że Medea, choć młoda, była jednak jego macochą, powstrzymał Tezeusza przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

Medea wezwała do siebie dwóch żołnierzy o dość zdecydowanym i mrocznym wyglądem. Coś im szeptała, żołnierze pochylili ku niej hełmy, ozdobione grzebieniami.

– Wysłuchaj mnie, Tezeuszu. I nie złość się. Możesz mi wierzyć, możesz się ze mnie śmiać. Ale ja mogę przysiąc na Gromowładnego, że za minutę podejda do ciebie ci oto dwaj żołnierze. Obszukają cię i zabiorą miecz, pod pretekstem, że nie można wchodzić na ucztę z bronią.

– Ale przecież wielu ma tu broń, Koro! Rozejrzyj się wokoło!

– Został ci tylko pół minuty, by niepostrzeżenie przekazać mi miecz.

– Poskarżę się Medei...

– To ona poleciła zabrać ci miecz.

Na szczęście byli oddzieleni w tym momencie od żołnierzy przez tłum wymizerowanych niewolników, którzy ciągnęli tuszę byka.

– Zdecyduj się, bo będzie za późno!

Tezeusz podjął decyzję – zrobił krok i stanął blisko Kory. Wzięła krótki miecz za rękojeść, przedstawiającą dwa spletające się węże – znak znakomitego rodu Erechtheidów, do którego należał Egeusz i schowała go w przepastnych fałdach terakotowego chitonu.

Odchodząc na bok, by nie być w polu widzenia straży, Kora widziała, jak żołnierze wprawnie chwytają Tezeusz pod rękę.

– Co robicie? – zapytał głośno, nieco skrępowany, że znalazł się w centrum wydarzeń. Nie wypada wszak przyjść do znakomitego domu i bić się z żołnierzami. W odróżnieniu od Heraklesa Tezeusz potrafił zapanować nad sobą, przynajmniej jako student Uniwersytetu Moskiewskiego.

Żołnierze niezauważalnie dla otaczających gości, w większości zajętych szukaniem jak najwygodniejszych miejsc, obszukali Tezeusza, wyciągnęli i rozwiązali pas, zza którego wyszarpnęli pustą pochwę.

– A nożyk? – zasyczał jeden z nich.

– Gdzie miecz?

– Jaki miecz? – odpowiedział naiwnie królewicz w najlepszej tradycji wschodnich baśni.

Żołnierze upewnili się, że Tezeusz ich nie oszukuje, obrzucili podejrzliwym spojrzeniem tych, którzy znajdowali się w ich sąsiedztwie, ale w takim tłumie trudno było znaleźć podejrzanego. I dlatego z pustą pochwą i pasem pośpieszyli ku Medei, a Kora rozumiejąc, że w przeciwieństwie do żołnierzy Medea może zaliczyć ją do kręgu podejrzanych, schowała się za kolumnę. Kolejna runda była wygrana, ale do zwycięstwa na tej uczcie było jeszcze daleko...

Służący podszedł do Kory i zaprowadził ją do honorowego fotela po prawej stronie króla Egeusza – widać mimo słów Medei jej wzrost, sylwetka i śmiałe zachowanie skłoniły króla, by nie ryzykował i pozostawił Korę w gronie gości honorowych.

Na najważniejszym miejscu przy stole zasiadł król Egeusz, długie i kręcone białe kędziory oraz wijąca się broda nadawały mu wygląd nieco operetkowy – sprawiał wrażenie zbyt wypielegnowanego i przypominał starego męża młodej pięknej żony, która stara się udowodnić jego następcom, że zadba o niego lepiej niż inni.

Medea siedziała obok. Była niespokojna, kręciła się, pokrzykiwała na służbę, szczególnie uważnie śledziła pracę podczaszych – zapewne ta uczta była jednym z decydujących momentów w jej burzliwym życiorysie.

Dalej siedział Tezeusz, bez broni, pozbawiony sandałów, i do tego znieważony. Na szczęście młodzieniec nie wiedział, że jest robotem – szpiegiem Dedala i Minosa, w innym przypadku rozkleiłby się zupełnie.

Między nim a Korą zasiadła nimfa Leukotea, istota błękitnooka, wielkopiersista i namiętna; wciąż usiłowała dotknąć Tezeusz kolanem, ale Kora zdążyła uprzedzić młodzieńca, że Leukotea jest strasznie zakochana w Apollonie, który uwzględnia ją w swojej rezerwie dziewic i przy pierwszej nadarzącej się okazji ma zamiar ją zhańbić. A ponieważ Apollo jest mściwy i małostkowy, to lepiej, żeby Tezeusz nie chwycił Leukotei za kolana. Zresztą, Tezeusz nawet nie myślał o kolankach. Kora stwierdziła to na podstawie jego dobrze znanego gestu – kiedy książe Gustaw denerwował się, zaczynał poprawiać na nasadzie nosa nieistniejące okulary.

Dalej siedzieli krewni i ateńska arystokracja, jacyś bogaci feniccy kupcy i znakomity żeglarz z wyspy Rodos, którego imienia nikt nie znał, a który wystąpił ze śmiałą hipotezą, że Ziemia jest podobna do czary i właśnie dlatego oceany nie wylewają się z jej powierzchni, jak zdarzyło się to nieszczęsnemu Księżycowi. A dalej, zajmując wszystkie taborety i stoły w liczbie nie mniejszej niż pięćdziesiąt, siedzieli zupełnie jednakowi, jakby sklonowani młodzieńcy w pełnym bojowym rynsztunku, o zuchwałym wyglądzie i prostackich manierach. Centrum tej dziwacznej zbieraniny stanowił starszy mężczyzna, bardzo podobny do Egeusza, ale nie noszący purpurowych królewskich szat i złotej obręczy na głowie, nie ufryzowany i nie uczesany, ale jakby umyślnie brudny i rozczochrany.

Od tej zbieraniny dochodził kozi smród, szczęk mieczy i zbroi, zuchwałe słowa, niemniej jednak nikt się ich nie bał i nie zwracał na nich uwagi, jak nie zwraca się w domu uwagi na ciągle ujadającego psa.

Kora sama domyśliła się, że ma przed sobą Pallanta i jego pięćdziesięciu synów od różnych kobiet, nimf, najad i okeanid, których napłodził, licząc na to, że w swoim czasie obejmie ateński tron i zapewni każdemu z synów ciepłą posadzkę. Ale tak się nie stało – w swoim czasie tron odebrał mu Egeusz. To sprawa dawna, mroczna, swoich praw do tronu gwałtowny Pallant i pięćdziesięciu Pallantydów nikomu nie mogli udowodnić, ludzie ich nie lubili, toteż Pallantowi nie pozostało teraz nic innego jak tylko czekać, a gdy Egeusz umrze lub zginie, zagarnąć władzę w Atenach. Można sobie wyobrazić, do jakiego stopnia Pallantydzi nienawidzili swojego stryja, natomiast nie można sobie ani na jotę wyobrazić ich nienawiści do Medei, która zmuszona była ukrywać przed nimi swojego synka Medosa w wysokiej wieży bez wejścia i nocą krążyć u jej podnóża pod postacią orlicy o zielonych piórach i szponach, chroniąc wieżę przed podkopami lub szturmem. Po Atenach Medea musiała się więc poruszać nadzwyczaj ostrożnie. Co prawda, w jej gruzińskim charakterze było coś takiego, co skłaniało ją do rozkoszowania się życiem tak niebezpiecznym.

„Ach, co to będzie, jeśli dowiedzą się, że Egeusz ma jeszcze jednego następcę!” – pomyślała Kora i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Na początku kilka słów o znaczeniu święta wypowiedział sam Egeusz, potem wstał nadworny ateński filozof, z wczesnych stoików lub cyników, który przemawiał długo. Goście zaczęli ściągać przekąski ze stolików i stopniowo wzrastający poziom hałasu zagłuszył głos mówcy. Wtedy Egeusz wziął ze stołu cebulę, rozciął ją sztyletem, wyjętym w tym celu zza pasa i włożył połówkę cebuli do miękkiego i delikatnego płaskiego placka.

– Wina! – rozkazał.

Podczaszy pospieszył ku niemu z wielkim dzbanem. Ale Egeusz polecił zacząć od gości.

Teraz musiała zachować szczególną ostrożność.

Podczaszy nalewał po kolei – Korze, Leukotei, potem Tezeuszowi...

Tezeusz spojrział na Korę zatrwożonym wzrokiem. Ta uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Tej zwłoki Tezeusz omal nie przyplacił życiem.

Medea odwróciła się do Egeusza.

– Czy już czas? – zapytała, ledwie się uśmiechając.

– Jesteś pewna? – zapytał Egeusz.

– Okręt pod żaglami Minosa, który przywiózł go tutaj ukryty jest w Zatoce Trydyjskiej, zaledwie klepsydrę drogi pieszo od twojego pałacu. Najprawdopodobniej jest nie tylko szpiegiem i wywiadowcą, ale i zabójcą.

Na szczęście Kora obdarzona była słuchem absolutnym i słyszała szept królewskich małżonków, jakby przykładali oni wargi do jej ucha.

– Jaka szkoda – powiedział Egeusz. – Może najpierw go przesłuchamy?

– Lada dzień przybędzie Dedal. Mało ci jeszcze szpiega i zabójcy? Stracisz tron!

– Zgoda – odrzekł Egeusz i ze smutkiem w spojrzeniu odwrócił się od Tezeusza, a Kora zauważyła, jak cieniutki strumyk białego proszku skierował się ku czerwonej powierzchni wina.

Kora namacała rękojeść miecza i położyła go na kolanach tak, by był przykryty chitonem. Piękna Leukotea zauważyła ten ruch i, jak na złość, w tym momencie ostry koniec miecza dźgnął ją w biodro.

– Ach – powiedziała cicho. – Co pani mi robi? Kora nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Ale ich uwagę odciągnął mąż dostojny, brodaty, postawny, który niósł wielką tacę, na której leżały jakieś płaskie przedmioty, nieznanne Korze, które natychmiast wzbudziły jej czujność. Jej system nerwowy był już na skraju wyczerpania, a tu jeszcze przynieśli coś na kształt pieczonych ośmiornic.

Ale nikogo, oprócz Kory, przedmioty na tacy nie zaniepokoiły, a gdy dostojny mąż pochylał się ku gościowi, ten brał przedmiot z tacy i naciągał go na rękę – to były rękawice, co zupełnie Korę zbiło z tropu. Rękawice!

Tymczasem liczni służący z tacami, na których leżały porcje mięsa, szybko przechodzili obok stołów i rzucali rękami mięso na talerze, stojące przed gośćmi. Mięso było gorące, unosiła się z niego para.

Wszystko się wymieszało: ręka Medei nad czarą Tezeusza, pulchna ręka Leukotei, odsuwającej koniec miecza, taca z mięsem – kawałek mięsa plasnął na talerz przed Korą, w końcu rękawice, które rzucił postawny mąż ze swojej tacy. Były to rękawice skórzane. Kora rzuciła przelotne spojrzenie dookoła i zobaczyła, że wszyscy goście zgodnie naciągają rękawice na ręce i biorą nimi kawałki gorącego mięsa. Rozrywają je na kawałki i wkładają do ust... O Boże! Oni jeszcze nie wynaleźli widelca! A jednak z antyczną finezją znaleźli wyjście z sytuacji: ręce pozostają czyste i nie oparzysz się, gdyż rękawice są ze skóry. Ciekawe, czy uczeni o tym wiedzą, czy też Kora dokonała wielkiego historycznego odkrycia?

No i dokonało się! Ręka Medei lekko się uniosła; lekkie trzaśnięcie – zamknęło się wieczko pierścienia. Medea uśmiechnęła się, patrząc na potylicę odwróconego króla – ten nie chciał widzieć, jak przy jego stole truje się gościa, nawet jeśli jest nim, co pewne, robot tego łajdaka Dedala.

Teraz nadszedł czas na działanie!

Tezeusz był zakłopotany, na co Kora teraz liczyła. Przecież zazwyczaj studenci Uniwersytetu Moskiewskiego nie rozrywają mięsa rękami, tym bardziej w rękawiczkach. Z zakłopotaniem popatrzył na swoje ręce, potem na dymiące kawały mięsa, a w końcu sięgnął po kubek, zapewne w nadziei, że najlepiej zacząć od znajomej czynności.

Tezeusza od śmierci dzieliły chwile.

– Tezeuszu! – zawołała Kora. – Będzie ci wygodniej kroić mięso nożem.

Dość zręcznie wyszarpnęła miecz z fałd chitonu, co widząc nimfa Leukotea zemdląła. Mówiono potem, że nie doszła do siebie do samego rana, co dało pretekst Apollonowi do pełnych czułości kpinek na jej temat.

Ponieważ nie da się trzymać rękojeści dwiema rękami, Kora rzuciła miecz Tezeuszowi.

Młodzieniec okazał się nie tak naiwny, jak się to wydawało.

– Cóż to takiego? – wykrzyknęła przerażona Medea, która pewnie pomyślała, że Tezeusz rozgryzł jej podłe plany i ma zamiar się z nią policzyć.

– To mój rodzinny miecz – uprzejmie odpowiedział Tezeusz, trzymając broń płasko na dłoniach i wyciągając ku Medei, jak złapanego ogromnego motyla. Zrobił to jednak tak zdecydowanie, że rękojeści miecza nie mógł nie zauważyć król, który obrócił się, usłyszawszy hałas.

Wszyscy dostrzegli splecione węże – znak starożytnego rodu Erechteidów.

– Co? – zerwał się Egeusz. – Skąd to masz?

– To spuścizna, który pozostawił mi ojciec, król Egeusz Ateński – odrzekł Tezeusz.

– Gdzie? – zapytał Egeusz.

Jeszcze nie wszyscy w sali, nierówno oświetlonej pochodniami i kagankami, zrozumieli, że coś

ważnego się dzieje, jeszcze przetaczała się przez salę fala pytań i nierównych odpowiedzi, ale Medea pierwsza zorientowała się, co trzeba zrobić i, chwyciwszy ze stołu puchar z zatrutym winem, przyłożyła go Tezeuszowi do ust, krzycząc:

– Szybko! Pij!

W jej czarnych oczach było tyle mocy, tyle hipnotycznej sugestii, że jeśli by te słowa odnosiły się do Kory, to ta z całą pewnością podporządkowałaby się czarodziejce. Ponieważ jednak rozkaz dotyczył nie jej, Kora była wolna w swoich decyzjach. I niczym bramkarz skoczyła do przodu, spadła na brzuch na stolik Tezeusza, przewróciła go i, co najważniejsze, wytrąciła puchar z rąk Medei.

Kiedy usiłowała podnieść się z podłogi, zastanawiając się, ile może mieć złamanych kości, Medea już rozumiała, że przegrała. W kilka sekund główne postacie dramatu zdążyły dojść do siebie.

Tezeusz podniósł miecz i puścił się za nią w pogoń przez całą salę. Egeusz głośno szlochając, opadł na tron, zuchwali Pallantydzi rzucili się, by zabić Medeę, ale w zgiełku tylko uratowali ją, gdyż udało się jej przebić w tłumie równie jak ostrze noża przejście i wyskoczyć na zewnątrz, gdy tymczasem Tezeusz utknął w tłumie ciotecznych braci, którzy, na szczęście dla niego, nie zorientowali się, że to on jest ich największym wrogiem.

Kora siedziała na podłodze – nie miała siły, by się podnieść – i myślała, że nigdy jeszcze nie była tak blisko fiaska odpowiedzialnego zadania. Sekundy i centymetry dzieliły ją od wpadki, a Tezeusza od śmierci.

Oto co piszą znane autorytety w mitologii greckiej o wydarzeniach, które rozegrały się za sceną w pałacu w czasie uczty:

„Wtedy w Atenach zapanowała radość, jakiej miasto jeszcze nie znało. Egeusz objął Tezeusza, zwołał zebranie ludowe i na nim uznał go za swego syna. Zapalił ogień na wszystkich ołtarzach i obsypał posągi bogów darami, w ofierze złożono hekatombę byków (dokładne tłumaczenie tego wyrazu został zapomniany, ale byków zginęło tam wiele), ozdobionych girlandami kwiatów. W całym pałacu i w całym mieście arystokraci i ludzie prostego stanu ucztowali razem i opiewali sławę Tezeusza, który już dokonał więcej czynów, niż lat w swoim życiu przeżył... Potem Tezeusz wyruszył, by szukać pomsty na Medei, która umknęła mu, okrywając się zaczarowaną chmurą i opuściła Ateny razem z małym Medosem i świtą, wspaniałomyślnie przyznaną jej przez Egeusza”

Inne źródła precyzują, że uciekała nie na zaczarowanej chmurze, a na zwykłym rydwaniu, zaprzężonym w latające smoki od jej dziadka Heliosa. Szczególnie chciałoby się skupić uwagę czytelników na tym, że z jednej strony Egeusz biegał po pałacu, dziękując losowi, który zwrócił mu syna i przeklinając Medeę, która o mało co go nie zabiła, ale z drugiej – to właśnie król Egeusz, a tego nie kwestionuje żaden ze starożytnych i współczesnych autorów, cichcem wyprowadził żonę z pałacu, wsadził na chmurę albo rydwan, ucałował na pożegnanie Medosa, wręczył mu w darze zabawkę-konika, a nawet strzepnął nieproszoną łzę. Jak w takiej sytuacji zachowała się Medea? Myślę, że i ona, mimo twardego charakteru, zapłakała. W końcu razem przeżyli dziesięć lat, a musieli się rozstać ze względu na zbieg okoliczności. Gdyby starszy syn nie zjawił się w porę, Egeusz i Medea obchodziliby srebrne, potem i złote gody, niańczyliby wnuki i prawnuki, a cała ta historia nie miałaby tak dramatycznej kontynuacji. Przynajmniej Egeuszowi, gdyby Medea otruła jego starszego syna, życie ułożyłoby się o wiele pomyślniej.

Ale wszystko to odnosi się już do greckiej mitologii, a nie fabuły naszej opowieści. Być może któregoś z dociekł i waszych czytelników zainteresuje fakt, że Medea, która uciekła od Egeusza, na

tym nie poprzestała i wyruszyła szukać szczęścia gdzie indziej. Przebywała w Tessalii, gdzie nie wymyśliła nic lepszego niż udział w konkursie piękności, rywalizując z Tetydą. To był poważny błąd, nie do naprawienia.

Dziś mało kto już pamięta, kim była Tetyda. Pamięta się piękną Helenę, pamięta się Minotaura, pamięta się gorgone Meduzę, a o Tetydzie zapomniano, chociaż w tamtych czasach była postacią pierwszoplanową. Wystarczy to, że była matką Achillesa, bohatera wojny trojańskiej, całkowicie odpornego na zranienia, gdyż matka, chcąc uczynić syna nieśmiertelnym, kąpała go w wodach rzeki Styks. Ale miał pewne miejsce, tak zwaną piętę Achillesa, to znaczy piętę, za którą mama trzymała dziecko, zanurzając je w rzece (niektórzy twierdzą, że w ogniu). I właśnie ta pięta doprowadziła go do zguby. Tetydy obawiał się nawet sam Zeus. Była tak piękna, że to na jej ślubie pojawiło się jabłko niezgody, przyznane Afrodycie, któremu Parys zawdzięcza piękną Helenę, a Grecy – wojnę trojańską.

Mówi się, że Tetyda jest córką centaury Chejrona i sympatycznej kobiety Chariklo.

Była czarodziejką. Kiedy nie chciała wychodzić za mąż i chowała się przed narzeczonym, zmieniała się w ogień, wodę, lwa i węża...

I z taką to kobietą postanowiła rywalizować Medea. Przy czym Tetyda była wtedy, sami rozumiecie, całkiem młodym kwiatuszkiem, a Medea kobietą w średnim wieku, zahartowaną w walce i intrygach. Medea przegrała konkurs – tym razem Tetydę uznano za najpiękniejszą. Po kolejnej porażce Medea wyjechała do Azji, gdzie wyszła za mąż za jakiegoś nieznanego króla, który usynowił Medosa i wydawałoby się, że ta historia powinna się zakończyć... Ale oto do Medei doszły słuchy, że tron jej ojca Ajetes, z którym tak złośliwie i zdradziecko postępowała wcześniej, zagarnął jego brat Perses. Interesy gruzińskiej państwowości wzięły górę; Medea porzuciła nowego męża i pomknęła do Kolchidy zaprowadzić porządek. Towarzyszył jej dorastający Medos, który zabił swojego wuja Persesa w pojedynku. Ajetes odzyskał tron, a co było dalej, pokryte jest typową dla historii mgłą. Jedni twierdzą, że po protekcji Heliosa bogowie uczynili Medeę królową Wysp Szczęśliwych, na których mieszka do dziś, inni uważają, że wróciła do swojego ostatniego męża – Azjaty, na koniec są też zwolennicy punktu widzenia, że Medea została w Kolchidzie i niańczyła dzieci swojego Medosa, który prawnie objął sukcesję po Ajetesie.

To wszystko na temat Medei. Tu sprawiedliwość nie zatriumfowała.

Kora mogła usnąć dopiero następnej nocy. Zresztą dotyczyło to też większości mieszkańców Aten, którzy szczerze się ucieszyli, że mają teraz prawdziwego następcę tronu, a na dodatek silnego, młodego, mądrego, który w przeszłości nie dopuścił się żadnych grzechów i występków.

Niezadowolonych było tylko pięćdziesięciu Pallantydów, którzy nie od razu zorientowali się, że droga do tronu zamknięta jest dla nich na zawsze. I najpierw upili się z rozpacz. I przespali pierwszą dobę, więc wszystkie obrządki ofiarne, uroczystości i ludowe zabawy odbywały się bez nich. Za to następnej nocy przebudzili się i poszli zabić Tezeusza, a za jednym zamachem zapewne i samego króla.

Kora akurat w tym czasie usnęła, w końcu i ona nie była z kamienia. Niejaki Leos zdążył zbudzić Tezeusza i donieść mu, że cała pięćdziesiątka młodych Pallantydów idzie go zabić. Dwudziestu pięciu braci z ojcem na czele zaczęło szturmować królewski pałac, a pozostałych dwudziestu pięciu przyczało się w zasadzce na drodze, prowadzącej z Aten nad morze, zakładając, że Egeusz z Tezeuszem właśnie wtedy będą ratować się ucieczką. Uprzedzony przez Leosa Tezeusz nie tracił czasu na czekanie, aż Pallantydzi znajdą go w labiryncie sypialnych pokoi i pałacowych korytarzy, ale chwyciwszy żelazną maczugę, pomknął ku siedzącym w zasadzce kuzynom. Tam w całkowitej

ciemności i zamieszaniu wybił ich do nogi. W tym czasie dwudziestu pięciu pozostałych kuzynów, czyniąc ogromny tumult, co rozbudziło Korę, rozbiegło się po pałacu, by odnaleźć i zabić Tezeusza, który w tym samym czasie dobijał przyczajonych w zasadzce, a co się tyczy Egeusza, to nauczony przez Medeę, nigdy nie nocował przez dwie kolejne noce w tej samej sypialni i w tym samym łożu. Spał w specjalnie do tego celu wykonanych kufrach albo na szafach. Jeśli spał pod łożem, to na łożu kładziono sobowtóra, a czasami też i sobowtóra Medei. Zginęło ich, powiadają, bez liku.

Hałas i szcęk jeszcze nie ustawał, straż pałacowa, jak przystało, wyczekiwała w piwnicach, ponieważ nie wiedziała, komu będzie służyć jutro, ale oto nadbiegł z zasadzki ostatni z pozostałych przy życiu Pallantydów i ogarnięci przerażeniem inni bracia rozplęnęli się w mroku nocy...

Reszta nocy upłynęła spokojnie. Ale powiadają, że od tego czasu potomkowie Pallantydów zakazali nadawania dzieciom imienia Leos, a swoim córkom przyjmowania hołdów od mężczyzn noszących imiona: Lew, Leos, Leo, Leonard, Leonardo, Lewi, Lewita i Lewityn, Lwów i Lyon. W taki sposób wywarli pomstę na Leosie i jego potomkach do ostatniego pokolenia.

Uroczystości z okazji powrotu następcy i osadzenia go na tronie miały odbyć się następnego dnia, ale nic z tego nie wyszło, bowiem rankiem, kiedy służby jeszcze oczyszczali dziedzińce z rozbitych w nocy naczyń i przewróconych krzesel, a z domów nieżyjących Pallantydów dochodziły jęki (choć zresztą nikt w mieście nie żałował tych chuliganów i nierobów), do pałacu przygalopował posłaniec z wieży strażniczej, stojącej na samym wierzchołku Akropolu – tam, gdzie będzie wzniesiona świątynia Nike. Stamtąd widać było morze na wiele stadionów na południe, skąd zazwyczaj pojawiają się albo statki handlowe, albo wrogie okręty.

Posłaniec dosłownie zbił z nóg strażników przed pałacową bramą i pomknął korytarzem, wołając Egeusza. Ten nie spieszył się z odezwaniem, bowiem doskonale wiedział, że pośpiech jest jedną z największych wad każdego króla. Im dłużej poleżysz pod kolejnym łożem, tym więcej masz szans na doczekanie spokojnej starości.

Kora dowiedziała się o alarmujących wydarzeniach wcześniej od króla Aten i jego następcy, który, rzecz jasna, spał już twardym snem.

– Co się stało? – zapytała surowo Kora, zagradzając gońcowi drogę.

– Potrzebny mi król!

– Możecie powiedzieć mi – odrzekła Kora. – Mam pełnomocnictwa od komisarza InterGpolu – mogła pozwolić sobie na taki niewinny żarcik, ponieważ Milodar teraz jej nie słyszał, a jego imię w starożytnej Grecji nie było znane.

– Przyplłynął Dedal po daninę – ze smutkiem zakomunikował goniec. – W tym roku nieszczęście spadło na nas wcześniej niż zwykle. To z pewnością kara za to, że radowaliśmy się wczoraj z okazji powrotu następcy.

Goniec był starszym człowiekiem, jego sandały były zaopatrzone w niewielkie skrzydła, które chociaż się ruszały, to wątpliwe, czy pomagały mu w biegu.

– Co jeszcze zmagstrował wasz Dedal? – spytała Kora, ale goniec nie odpowiedział i z okrzykiem „Panie królu, pokażcie się ludowi! Panie królu, kolejne nieszczęście! – pobiegł dalej ciemnym korytarzem.

Wtedy Kora stwierdziła, że nie zaszkodzi, jeśli sama zobaczy, co naprawdę się dzieje. Pobiegła wąskimi uliczkami na wzgórze Akropolu, gdzie stała wieża strażnicza i dokąd na wieść o zbliżaniu się okrętów Dedala ciągnęły w pośpiechu tysiące mieszkańców Aten. Ponieważ Kora dogoniła pulchną niemłodą kobietę, która szła pod górę dosyć wolno, udało jej się wyciągnąć od niej pewne

informacje.

Nadciągała jeszcze jedna starogrecka tragedia, a tu szansę Tezeusza na przeżycie spadały do zera. Nienawidząc Aten za zabicie syna, Minos gotów był zrównać miasto z ziemią. Ale, jak przystało na starogreckiego zwyrodnialca, odmawiał przyjęcia daniny w postaci koni, złota czy mięsa jesiotra. Jako daninę Minos brał siedem najpiękniejszych dziewczic i siedmiu najdzielniejszych i najsilniejszych ateńskich młodzieńców, odwożonych na wyspę Kretę, na której znajdował się Labirynt. W Labiryncie mieszkał straszliwy potwór o imieniu Minotaur, to znaczy człowiek z głową byka. Ten łotr nie chciał żywić się niczym innym jak tylko młodymi dziewczętami i chłopcami z Aten.

Tak wyglądało życie w tamtej epoce, takie były obyczaje. A ponieważ u podstaw działań Minosa leżała ojcowska zemsta, jego wynaturzony sadyzm staje się mniej lub bardziej zrozumiałą.

Okręt, zbudowany i dowodzony przez Dedala, głównego doradcę i zausznika króla Minosa, zbliżał się do Aten, żeby zabrać kolejną partię ofiar. Ateny zyskały następcę, ale musiały stracić czternaście młodych dusz.

Okręt, który Kora zobaczyła, gdy doszła do podnóża drewniane wieży strażniczej, był jak na czasy greckie zadziwiający i niepowtarzalny. Wioślarze siedzieli w nim w dwóch rzędach, kształtem kadłuba także nie różnił się od antycznych okrętów, ale pośrodku wznosił się wysoki czarny komin, wieńczący piec z cegły. Do pieca wrzucano drwa, przed piecem stała prymitywna, ale działająca maszyna parowa, z komina unosił się dym i było zupełnie jasne, że Kora ma przed sobą pierwszy w dziejach ludzkości parostatek. Dedal, co nie umknęło orlemu wzrokowi Kory, ubrany w biały himation leżał na rufie, przyglądając się pracy swoich cudownych mechanizmów i pociągając wino z rogu tura.

W odróżnieniu od Ateńczyków, którzy obsypali Dedala i Minosa przekleństwami, pozostawszy w solidnej odległości od dedalowego potwora, Kora, wiedzona ciekawością, doszła pieszo do zatoki i zdążyła akurat w tym momencie, gdy Dedal, który okazał się chudym łysym konusem, prawie karłem o haczykowatym nosie i zbyt jasnymi jak na tak smagłego i czarnobrewego mężczyznę żółtymi oczami, wygramolił się na brzeg. Nikt, prócz Kory go nie witał, co Dedala zupełnie nie oburzyło.

– Dziwne – powiedział, patrząc na Korę. – Sądząc ze wszystkiego, dama ze znacznego rodu, a nie obawiała się tu przyjść. Aha, domyślam się! Przyszłaś prosić? O swoją siostrę? Ale przecież to nie ja wybieram, kogo wysłać na pożarcie naszemu bratankowi, o tym decyduje wasze ludowe zebranie. A zatem, dziewczyno, trafiłaś pod zły adres.

– Jestem cudzoziemką – odpowiedziała zagadnięta. – Bardziej interesuje mnie pan, panie Dedalu. Nasłuchałam się tyle o pańskich wynalazkach i podłości i dlatego chciałam pana poznać.

– Proszę więc trochę poczekać – odrzekł. – Muszę wydać polecenia moim ludziom, a potem będę wolny. Jeśli pani chce ze mną rozmawiać, to najwygodniej będzie w domu mojego tutejszego przyjaciela, centaura Folosa, być może pani o nim słyszała?

– Nie, z centaurów znam tylko Chejrona i mam zaszczyt zaliczać się do jego znajomych.

– A nawet przyjaciół! – usłyszeli z góry chrapliwy głos.

Kora obróciła się. Na zboczu, w pobliżu magazynów, gdzie skryli się Ateńczycy, stał potężny Chejron, rozczesując swą rozdwojoną brodę, a obok niego wznosił się centaur bardziej wytworny, z tendencją do elegantowania się, co zdradzała zapleciona w grubym warkocz długa grzywa.

– Folos, mój przyjacielu! – wykrzyknął Dedal i podbiegł do centaura.

Podniecone odgłosy donosiły się z kierunku magazynów. Tam obywatele Aten wyrażali swoje niezadowolenie z powodu braku patriotyzmu u centaurów, i nic dziwnego, że przekleństwa, którymi

ich nagradzali, należały do kategorii terminów zoologicznych.

Kora także ucieszyła się, widząc ponownie Chejrona, a ten przedstawił ją Folosowi.

Folos powiedział:

– Taką właśnie cię wyobrażałem, o bogini.

Czy to oznaczało, że Chejron mówił o niej jak o bogini? No cóż, jego prawo.

– Hej! – wykrzyknął Dedal do wioślarzy i żołnierzy, którzy zostali na statku. – Wystawić strażę.

Nikogo blisko nie dopuszcząć. Hasło i odzew pamiętacie?

– Pamiętam – odezwał się jeden z wioślarzy, który wyróżniał się żółtą opaską, ściągającą włosy.

Pod każdym innym względem zarówno wioślarze jak i żołnierze wyglądali jednakowo.

– To twoi sztuczni ludzie? – zapytał Chejron.

– Tak, z nimi jest wygodniej – odrzekł Dedal. – Zawsze są posłuszni i gotowi na śmierć.

– A do tego nie można ich przekupić – dodał centaur Folos. Wszyscy się z nim zgodzili.

– Ale ludzie, którzy obsługują maszynę parową, stojącą na statku, nie mogą być z drewna. –

powiedział Dedal. – Ci muszą myśleć.

Pomachał ręką na pożegnanie mechanikowi, który został przy maszynie.

Kora zapytała:

– Nie widzę kół albo koła są z tyłu, a więc po co panu parowa maszyna?

– Mój przyjaciel Archimedes, nie wiem, czy słyszałeś o takim, bogini, ty przecież częściej spotykasz się z żołnierzami niż z myślicielami, wynalazł urządzenie, które nazywa się śrubą. Para wprawia w ruch tę śrubę, umieszczoną pod wodą z tyłu mojego okrętu i pcha okręt do przodu. Czy moje słowa są dla ciebie zrozumiałe?

– Dzięki, Dedalu – odpowiedziała.

Nie przewidywano żadnego oficjalnego spotkania. Król Egeusz nie życzył sobie na oczach swojego ludu pokazywać zależność od znenawidzonego kreteńskiego władcy. Ale kiedy Dedal z Korą i centaurami nadchodzili od strony przystani, podszedł do nich herold i zakomunikował, że król Egeusz przyjmie posłańca króla Minosa w interesującej ich obu kwestii dziś o drugiej w południe w świątyni Apollona w obecności znamienitych obywateli Aten.

– Powiedzcie królowi, że będę – odrzekł Dedal i szybko ruszył do przodu, odchylając do tyłu łysą jak jajo głowę i mocno uderzając o płyty wysokimi obcasami swoich trzewików.

Centaur Folos mieszkał niedaleko od portu w wielkim domu, urządzonym wygodnie dla koni, a nie ludzi, jak u Chejrona. Jest to zrozumiałe, bo skoro Chejron uwielbiał swoją Chariklo, a jego córka była najpiękniejszą dziewczyną Ziemi, to w przypadku Folosa wszystko było prostsze, gdyż on był centaurem, jego żona – centaurzycą, a dzieci maleńkimi centaurzatkami.

Dzień miał się ku końcowi, niebo było niebieskie, zrobiło się nawet upalnie, wszyscy zajęli miejsca w zacisznym, zadaszonym podwórzu domu Folosa, a gospodarz gościł, jak mógł, każdego z przybyłych. Kiedy goście nieco się nasycili, centaur Folos rzekł:

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi, znamy się wiele lat i dlatego między nami nie może być tajemnic.

Mówiąc to, wykonał ukłon w stronę Kory, jakby prosząc ją o wybaczenie za to, że nie należy ona do kręgu jego starych przyjaciół. Ale ten nietakt naprawił Chejron. – Nie masz racji, przyjacielu. – oświadczył. – Kora jest mądra, wykształcona, rozsądna i w pełni zasługuje na to, aby należeć do towarzystwa inteligentnych osób.

– Mówcie – przywołał ich Dedal, rozumiejąc, że mowa będzie o jego osobie.

– Słyszałem, że zginął młody Talos – powiedział Chejron.

– To prawda – bez emocji potwierdził Dedal, zaglądając do pucharu z winem.

– Mówiono mi, że to nie był przypadek...

– Nie, to był przypadek – zaprzeczył Dedal; głowę pochylił nad pucharem tak, że wyglądała jak ogromne strusie jajo.

– Czy to ten młody Talos, który wynalazł piłę? – spytał Folos.

– Każdy głupiec może wynaleźć piłę – odpowiedział Dedal.

– Gdyby moim oczom ukazała się rybia szczeka, też bym się domyślił, na jakiej zasadzie powinna działać piłą.

– Ty się nie domyśliłeś – zauważył Chejron.

Dedal w końcu łknął z pucharu. Ale nie patrzył na pozostałych.

– Ja z kolei słyszałem, że on wynalazł koło garncarskie – powiedział Chejron.

– Wynajdywano je wiele razy – odparował Dedal. – I w Lidii, i na Krecie, i w Egipcie ta idea wisiała w powietrzu.

– Oczywiście, wisiała – zgodził się Folos. – To samo było z cyrklem.

– A tak na marginesie – Dedal nieoczekiwanie zerwał się z miejsca i zaczął krążyć po komnacie.

– Tak na marginesie, u mnie w notatkach jest szkic cyrkla. Nie mogłem jedynie dobrać dobrego drewna na jego nóżki.

– A opowiedz nam – poprosił Chejron – jak zginął nieszczęsny Talos.

– Stałem z nim na dachu świątyni – wolno powiedział Dedal, jakby przypominając sobie, jak to wyglądało. – On uczynił krok do przodu... powiedziałem mu: „Zatrzymaj się, Talosie, to niebezpieczne”. Ale nie usłyszał mnie, zrobił następny krok... i spadł!

– Czy nie chcesz powiedzieć nam niczego więcej, Dedalu? – zapytał Folos.

– Chcę! – nagle wybuchnął mały wynalazca. – Tak, chcę! Chcę powiedzieć całemu światu, że Talos był brudną szmatą, że wszedł w przestępczy związek ze swoją matką Polykaste – z moją rodzoną siostrą! Honor rodziny był zagrożony! I musiał umrzeć!

– O grzechu Talosa wiadomo było od dawna – cicho powiedział Chejron. – Tak, byli kochankami... i jest to bolesne. Ale za to karzą bogowie, nie Dedal.

– On nie myślał o moralności – poparł Chejrona Folos. – Do czasu aż ludzie wokoło nie zaczęli mówić, że Talos ma większy talent niż Dedal, że Dedal się kończy, a Talos to jutro nauki.

– Nikt, prócz idiotów, tak nie mówił!

– W Helladzie było wielu takich idiotów – zauważył Chejron.

– Nawet do naszych końskich uszu dotarły takie plotki – powiedział Folos.

„Dlaczego on to znosi?” – zdziwiła się w myślach Kora. Dlaczego wielki wynalazca i potężny, sądząc ze wszystkiego, człowiek z taką pokorą słucha oskarżeń dwóch półkoni, jak chłopiec, wezwany na dywanik przez dorosłych wujków?

– Na wasze główne oskarżenie – powiedział Dedal, zatrzymując się na środku komnaty – odpowiem zdecydowanie – „Nie!”. Nigdy i nikomu niczego nie zazdrościłem. Największe wynalazki są jeszcze przede mną. Widzieliście mój okręt, który porusza się siłą pary?

– Przecież on ma dziesięć lat – uśmiechnął się Chejron.

– Widzieliście moich wioślarzy i żołnierzy? Jednakowych, jak ziarenka grochu w strąku?

– Twoich drewnianych ludzi zna cały świat. Chyba twoje sprawy, przyjacielu, wyglądają nie najlepiej, skoro szukasz usprawiedliwień w dniu wczorajszym.

– Sprawiedliwości stało się zadość – rzekł Dedal, mając zapewne na myśli Talosa, gdyż centaur Folos odpowiedział:

– Twoja urodziwa siostra Polykaste popełniła samobójstwo.

– To jej wola i przyznanie się do winy – z okrucieństwem w głosie zawyrokował Dedal. – Teraz ja chcę zadać wara pytanie, przyjaciele. Przecież nie na próżno znosiłem wszystkie oskarżenia, które rzucaliście mi w twarz, niezależnie od tego, jak były bezsensowne. Ale powiedzcie mi, po co cała ta rozmowa? Czyżby chodziło jedyne o oskarżenia minionych lat?

– My cię nie oskarżamy. Nie jesteśmy sądem, w innym przypadku nie przyszedłbyś tu – odpowiedział Chejron. – Ale jesteśmy ludźmi, którzy chcieliby poznać sens i związek rzeczy w przyrodzie i przyczyny ludzkich postępów. Nie zaczęlibyśmy o tym rozmawiać z nikczemnym niewolnikiem albo tłustym urzędnikiem. Chcemy zrozumieć, czy można połączyć geniusz z podłością...

„To dziwne, ale gdzieś słyszałam to zdanie – pomyślała Kora. – Nawet doskonale je znam. I znam odpowiedź: „Geniusz i podłość są sprzeczne!” Kto to powiedział? Hegel? Darwin? Einstein?”

– On spadł z dachu świątyni – powiedział Dedal, jakby podsumowywał wnioski z dyskusji. – Czy możemy porozmawiać z tobą o innej kobiecie? – zapytał wtedy Folos.

– O kim?

– O Pasifae?

– Nie! – uciął Dedal. – Nie, nie i jeszcze raz nie! Opuszczam ten dom.

– Czyżbyś aż tak się wystraszył?

– Termin przedawnienia minął.

– My mamy inne terminy, Dedalu.

– Postawiono przede mną inżynieryjne zadanie – powiedział Dedal. – Rzucono mi wezwanie. I ja je przyjąłem.

– A więc to było inżynieryjne wezwanie?

– Tak! Właśnie tak.

– A Labirynt?

– To też inżynieryjne zadanie. Uczyniwszy jeden krok, musiałem zrobić drugi.

– To znaczy, sądzisz, że te twoje konstrukcje są porównywalne?

W tym miejscu centaury roześmiały się i zarżały, jak źrebięta, aż przybiegli domownicy Folosa i trzeba było ich przepędzić, gdyż centaury wyjaśnić przyczyn tego śmiechu nie mogły ani kobietom, ani dzieciom. I dopiero Korze udało się nakłonić Chejrona, by wyjaśnił, z czego się śmiali, i ten, z niewielkimi oporami opowiedział o kreteńskim czynie Dedala, przy czym ten ostatni wcale nie wydawał się przejęty, gdyż: „Dla geniusza nie ma zadań miałych i niewdzięcznych. Dla niego każde zadanie jest jednakowym wezwaniem!”.

– Na Krecie był biały byk – powiedział centaur. – Mówiono, że pod względem byczej urody jest doskonałością.

Folos prychnął.

– No tak, na przykład, można uważać Folosa za wzór końskiej urody – zauważył Chejron i jego przyjaciel mocno się zaczerwienił. Niezręcznie, jeśli porównuje się siebie z koniem w obecności pięknej damy. – To był byk Posejdona, już nie pamiętam, dlaczego się tam znalazł... – Obaj jego przyjaciele chcieli na wyścigi objaśniać pochodzenie białego byka, ale Chejron uniósł rękę,

powstrzymując ich. – Ważne jest tylko to – kontynuował – że małżonka króla Minosa, którą zwa Pasifae, kobieta niewiarygodnego wdzięku, a do tego tak pełna miłości, że... – Gdy Chejron szukał porównania, Dedal dokończył tę myśl:

– Że gotowa była przespać się z pniem!

– Dlaczego tak po chamsku? – zaproponował Chejron, ale w zasadzie zgodził się z Dedalem. – Ona jest teraz szacowną matroną, w latach...

– Bzdura! – wykrzyknął Dedal. – To było dziesięć lat temu! Jakże to mogą być lata?

– No, w każdym razie jest szanowną matroną, o przepysznych kształtach, urodziła Androgeosa, z którego powodu Kreta skłóciła się Atenami, a także dziewczynki, Ariadnę i Fedrę. I nagle ta kochająca rodzinę matka zapalała namiętnością do białego byka. – Chejron zamilkł, jak gdyby szukając najbardziej przyzwoitych słów do następnego opowiadania, a Dedal wykorzystał przerwę, by oświadczyć:

– Mów jak było, nie krępuj się. Nasza przyjaciółka wie, co za ptak przynosi dzieci.

Dedal Korze zupełnie się nie podobał. Przyzwyczaiła się do tego, że w podręcznikach, księgach i filmach wszyscy wielcy uczeni, wynalazcy i poeci musieli koniecznie być ludźmi najsympatyczniejszymi, najmądrzejszymi i bezinteresownymi. I jeśli poeta Puszkina zakochuje się w jakiejś Kern czy Woroncewoj, robi to tylko dlatego, aby podarować jej bukiet kwiatów, zapalać natchnieniem i tym ucieszyć męża swojej muzy. Jasne, że to on wymyślił. Jasne, że on: „Geniusz i podłość są sprzeczne!”. Miał, co prawda, na myśli nie Dedala, a Mozarta.

– Dobrze – zgodził się centaur. – Będę trzymał się bezlitosnych faktów.

– Dlaczego bezlitosnych? – zdziwił się Dedal. – Jeśli miłość zła, pokochasz i centaura! Nie słyszałeś tego przysłowia?

– Pokochasz i kozła – poprawiła Dedala Kora. Wszyscy roześmiali się. Ona sama też się zaśmiała, zrozumiałwszy, że jej poprawka nie była na miejscu.

– Pasifae zaczęła wychodzić na pole – kontynuował Chejron – kiedy pasł się tam biały byk. Pieściła go, głaskała, przynosiła mu najróżniejsze smakołyki i za pomocą wszystkich znaków, przyjętych wśród ludzi, pokazywała, że chciałaby, aby między nimi doszło do zbliżenia. Byk był zwyczajny – byk jak byk. Nie miał nic przeciwko zbliżeniu, ale nie z Pasifae, bowiem byki nie mają rąk, by móc przycisnąć taką kruszynę do piersi.

Gdy centaury przestały się śmiać, przemówił Dedal:

– Pozwólcie, że dopowiem resztę. Wzywa mnie Pasifae, a ja dopiero co zadomowiłem się na Krecie, potrzebni mi byli protektorzy, a do tego ta kobieta też mi się podobała...

– Czyżbyś i ty cieszył się jej względami? – zapytał Folos. – A w czymże jestem gorszy od byka? – zdziwił się Dedal. – Chłop ze mnie na schwał! To było wliczone w moje honorarium.

– To jeszcze wzięłeś od niej pieniądze?

– Wynalazca żyje ze swoich honorariów. Ja nie biorę jałmużny. Ale gdy oddaję swoją pracę, to proszę: pieniądze na stół!

– I co wymyśliliście? – zapytała Kora, chcąc skierować Dedala na właściwy tor opowieści.

– Zobaczyłem, jak męczy się nieszczęsna niewiasta na łące, starając się zadowolić białego byka, jak biedaczka wchodzi pod niego, a i on cierpi... Zrozumiałem, że powinienem rozwiązać ten problem ku ogólnemu zadowoleniu. I oto co zrobiłem: wykonałem drewnianą krowę, mocną, gładką, wytworną z punktu widzenia krowiej estetyki, potem pokryłem ją skórą krowy... Rozumiecie?

– Na razie tak.

– Wewnątrz niej zrobiłem łożo, na którym mogła położyć się królowa Pasifae. Potem wywierciłem dziurkę tam, gdzie krowa ma stosowną dziurę i podgiąłem łożo Pasifae tak, by jej stosowna dziurka pokrywała się ze stosowną dziurą drewnianej krowy.

– Wystarczy, wszystko jasne – powiedział Cbejron.

– Zaraz kończę, już niewiele zostało – odrzekł wynalazca. – Dałem Pasifae radę: trzymaj się, pani, jak najmocniej i jeśli coś będzie nie tak – wytrzymaj. Potem zamknąłem królową w krowie, odszedłem i zawołałem byka. Biały byk wkrótce się pojawił. Zauważył moją drewnianą krowę – muszę wam powiedzieć, arcydzieło krowiej urody i dosłownie rzucił się ku niej, rozbierając się po drodze.

– Przecież byki niczego na sobie nie noszą – zauważył Folos. Dedal długo mu się przyglądał i przechylił głowę na bok. Folos spojrzał pytającym wzrokiem na Chejrona.

– Dedal żartował – wyjaśnił Chejron.

– Tak, zażartowałem – przyznał Dedal. – I smutno mi, gdy uzmysłowię sobie, z jak tępymi konikami się przyjaźnię, a nawet pozwalam im na to, by mnie sędzili.

– Kończ swoją historię, już mi się znudziła – burknął Folos.

– Nie mam nic więcej do opowiadania. Byk wlaź na drewnianą krowę i wkrótce ze środka doniósł się zrozpaczony kobiecy krzyk. Jednak nie byłem w stanie pomóc nieszczęsnej, bo wątpliwe, czy byk pozwoliłby mi wyciągnąć ją z drewnianej krowy. Kiedy zwierzę zaspokoilo już swoją namiętność i odeszło, podszedłem do krowy i pełen obaw otworzyłem okienko do środka. Bałem się, że zobaczę stygnące ciało Pasifae, ale zamiast tego ujrzałem rozjuszoną lwicę, która żądała, bym nakłonił byka do powrotu w celu kontynuowania tego miłosnego gwałtu!

Dedal roześmiał się jak mały chłopiec. Zanosił się od śmiechu i centaur Chejron musiał porządnie walnąć go w plecy.

– To cud, że mnie na tym nie złapano – zakończył Dedal. – Bowiem Pasifae zmuszała mnie z dziesięć razy, żebym organizował jej spotkania w drewnianej krowie, a spróbujcie schować krowę, kiedy jest już po randce.

– Efektem takich podłych działań Dedala... – zaczął Chejron.

– Nie trzeba! Nie trzeba przyklejać etykietki! – oburzył się Dedal. – Jeśli kochankowie są szczęśliwi, nigdy nie ośmielaj się nazywać tej czynności „podłymi działaniami”.

– Ale przecież służyłaś jej mężowi!

– Jej mężowi też służyłem. I muszę ci powiedzieć, że dla niego robiłem podłości nie mniejsze niż dla jego żony. Zrozum w końcu, że wiecznym zadaniem nas, wynalazców, poetów, uczonych, pisarzy jest spełnianie najbardziej niskich zachcianek rządzących i wielmożów. Jeśli ich kaprysy pokrywają się z opinią publiczną i na dodatek dobrze usłużyłaś przełożonym, zostaniesz uwieczniony, jak Homer. Czy są jeszcze jakieś pytania?

– Są – odpowiedział Chejron. – Czy to ty zbudowałeś Labirynt dla Minotaura?

– Tak. Miła kobieto – Dedal ponownie zwrócił się do Kory, przypuszczając, że nie zna ona kontynuacji tej historii. – W wyniku miłości do białego byka Pasifae stała się brzemienna. I jak można było się spodziewać, urodziła potwora. Zdrowe dziecko, wszystko w nim ludzkie, a głowa byka! Fuj, co za ohyda! Jak ta przyroda toleruje takich mieszańców?

– Uważaj, Dedalu – ostrzegł go Folos. – Nas na razie toleruje.

– To nie potrwa długo – odpowiedział Dedal. – Ty z Chejronem jesteście wyjątkiem, a większość centaurów to prymitywne bydlęta, które myślą tylko o tym, jak tu kogoś napaść, a potem

spić się do nieprzytomności.

Folos i Chejron nie podjęli tematu. Woleli milczeć. Widocznie w słowach Dedala było sporo nieprzyjemnej prawdy.

– Do ostatniej chwili Pasifae miała nadzieję, że wszystko zakończy się pomyślnie i urodzi ludzkie niemowlę. Ale nasi bogowie lubią żarty – kontynuował Dedal. – Kiedy Minos przeraził się, przysięgła mu, że biały byk napadł na nią na polu i ją zbezczeszczył. Bała się wtedy przyznać mężowi, dlatego że szanowała jego uczucia. Nie wiadomo, czy Minos uwierzył w jej kłamstwo, czy nie, polecił jednak stracić wszystkie akuszerki, służące i babki, które uczestniczyły przy porodzie, kazał nazwać potwora Minotaurem, a potem rozkazał mi, abym zbudował taki kamienny pałac, do którego można wejść, ale wyjścia nie da się odnaleźć. Zabłądziwszy, z pewnością trafisz do jego środka, gdzie ukrywa się Minotaur. Dla mnie było to inżynieryjne zadanie i je wykonałem. Drogi do wnętrza Labiryntu nie znała nawet Pasifae. Tylko raz poprosiła mnie kiedyś, abym zaprowadził ją do środka, chciała zobaczyć, jak urządził się malec, czy mu wygodnie. Podporządkowałem się królowej. Obojętnie spojrzała na Minotaura i zrozumiałem, że nie czuje się jego matką. Następnie zapytała mnie, czy nie można zamienić karmicielki krowami. Tak zrobiliśmy... Potem on je zjadł.

– Kogo zjadł? Karmicielki? – zdziwił się Folos.

– Nie, krowy.

– A teraz czym go karmią? – zapytała Kora i z niezręcznego milczenia, jakie zapanowało wokoło, zrozumiała, że pytanie to nie było na miejscu.

– W tym właśnie problem – rzekł na koniec Chejron. – Dlatego zaprosiliśmy mistrza Dedala.

– Domyślam się – powiedział mały geniusz.

– Każdego roku siedem najpiękniejszych panien i siedmiu najsilniejszych młodzieńców wyrusza na Kretę okrętem Dedala, aby stać się ofiarami żądnej krwi Minotaura.

– Co za okropność! – zakrzyknęła Kora. – Czy nie można karmić go jakoś prościej? Na przykład królikami?

– To kwestia zasady – zauważył Dedal. – Sam nieraz pytałem Minosa: „Po cóż ci te barbarzyńskie obyczaje? Żyjemy w humanitarnym państwie w humanitarnej, oświeconej epoce”. A on na to odpowiadał: „Mój syn zginął w Atenach i dlatego ateńskie dzieci będą ginąć na Krecie”.

– A może wypuścić Minotaura, niech żyje na wolności, może ożeni się z jakąś krową? – zapytała Kora.

– Co za naiwność! – wykrzyknął Folos. – Minotaur to potwór. Tak zdecydował los. Jak może zostać zwykłym bykiem i ożenić się z krową? Dopóki ktoś go nie zabije, to wszystko będzie wciąż trwać.

– Właśnie dlatego, Dedalu, musisz nam pomóc – powiedział Chejron.

– Zawsze do usług! – w głosie Dedala wyczuwało się satysfakcję, jakby wcześniej wiedział, co oni powiedzą i zawnocześnie kwestionował to jako bzdurę.

– Czy jutro podnosisz żagle i odpływasz na Kretę? – Tak.

– Na pokładzie będziesz miał czternaście ofiar – najlepszych synów i córy Aten, przeznaczonych na pożarcie potworowi. Uważasz to za właściwe?

– Nikt mnie nie pyta o zdanie.

– Powiedz, a gdybyś wynalazł, na przykład, bombę, która może spopielić połowę świata, oddałbyś ją swojemu królowi? – zapytał Folos.

– Bogowie decydują o takich sprawach. Bogowie, nie my, śmiertelnicy.

– Ale nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie! – krzyknął Folos, stukając kopytem.

– Nie jestem łajdakiem. Jestem uczciwym geniuszem. Jestem najlepszym na świecie wynalazcą. Jak śmiesz obrażać mnie, parszywy mierzynie!

– Zaczekajcie, zaczekajcie – przerwał mu Chejron. – W takim sporze nie będzie zwycięzcy, gdyż nikt nie zgodzi przyznać, że nie ma racji. Dedalu, mamy do ciebie bardzo zwyczajną prośbę. Masz ukochanego syna Ikara, nie są ci zatem obce ojcowskie uczucia. Dlatego w imieniu wszystkich ojców Aten proszę cię o jedno – daj mi plan Labiryntu.

– Po co wam plan Labiryntu?

– Żeby można było do niego wejść, bezpiecznie przejść i wyjść.

– W żadnym wypadku!

– Ale to dlaczego?

– To zbyt niebezpieczne. W moim interesie jest, by Minotaur był syty i wszystkie ofiary trafiły do jego żołądka. Jak tylko coś będzie nie tak, od razu padnie na mnie podejrzenie, że to ja przygotowałem spotkania Pasifae i białego byka. Minos to straszny człek, tyran, despota. A ja mam syna Ikara, którego kocham. Muszę go strzec.

– Tobie niczym nie grozi...

– Kto, oprócz mnie zna ten plan? Nikt. Oddać go wam, to podłożyć szyję katu! Nie, nigdy!

– Wyjedź z Krety, jeśli tam ci źle. Zamieszkać w Atenach.

– W żadnym wypadku! Ten despota stworzył mi idealne warunki pracy. Mam laboratorium, warsztaty, tysiąc niewolników do doświadczeń. Lubi mnie żona króla, Pasifae... nie, z Krety nie wyjadę.

– To znaczy, że dziewczęta i chłopcy mają umrzeć?

– I tak pisana im śmierć – odpowiedziała Dedal z nieukrywanym smutkiem. – Jesteśmy ludźmi mądrymi, kwiat ludzkości, rozumiemy, że życie człowieka toczy się szybko, jak życie jętki jednodniówki. Całe jego miotanie się to trzy machnięcia skrzydeł.

– A zatem twoje życie też jest takie? – spytał Chejron.

– Nie, panowie centaury. Ja jestem nieśmiertelny! Zasłużę na nieśmiertelność wielkością swojego rozumu. Bogowie nie ośmielą się mnie zabić, dlatego że nie ma na świecie drugiego Dedala. Teraz powinienem się uklonić, gdyż moich drewnianych ludzi co trzy godziny trzeba nakręcać kluczem z brązu, aby się nie zatrzymali. Dzięki za gościnę. Mam nadzieję, że uda nam się jeszcze nieraz posiedzieć przy pucharze wina w bardziej pokojowej i przyjacielskiej atmosferze. Niestety, nas, ludzi mądrych, zostało już tak niewiele... Nie wyobrażam sobie, czym to się skończy – Dedal

wstał.

– Los ukarze was tak, jak wy karzecie innych rodziców – powiedziała Kora.

Dedal nie pożegnał się. Wściekle rzucił jajowatą głową, omiół Korę pogardliwym mrocznym spojrzeniem i pośpiesznie opuścił dom. Podeszwy jego podkutych miedzianymi kolcami trzewików długo jeszcze odliczały płytki drogi.

Kora знаła kontynuację tej historii, przynajmniej tę najbliższą. I rozumiała, że w VR rajdzie podróż Tezeusza na Kretę i jego walka z Minotaurem powinny być najważniejszym epizodem. Było jasne, że wrogowie księcia Gustawa najprawdopodobniej wykorzystają walkę z Minotaurem do tego, aby zmiażdżyć głowę jej podopiecznemu. Skoro nie dano nam planów Labiryntu, przenikniemy tam bez planu. Przecież istniała nieć, po to, by móc wrócić z powrotem. Kto ją da Tezeuszowi? Jakaś dziewczyna... Nie ma kogo spytać.

– Powiedz, Chejronie, jakie imiona noszą córki Minosa?

– Zdaje się, Fedra i Ariadna – odrzekł stary centaur. Był zamyślony i wzburzony.

Martwiła go nie tyle nieudana próba zdobycia planów Labiryntu, ile rozczarowanie osobą Dedala. Pod tym względem bliski był Korze, wszak czytała ona w książkach, że wielcy uczeni są uosobieniem szlachetności. A kiedy rzecz dotyczy twojego starego przyjaciela...

– Od dawna się znacie? – zapytała Kora.

– Od wielu lat – odrzekł Chejron. – On też był kiedyś moim uczniem. Spotkałem go, jak był zwykłym kowalem, choć kowalem bardzo zdolnym. Ale, jeśli nie liczyć kowalskiego rzemiosła, Dedal był zupełnie niewykształcony, nie znał nawet podstaw matematyki.

Centaur Folos uśmiechnął się:

– Pamiętam, jak Chejron po raz pierwszy zadał mu pytanie: „Ile to będzie – jeden i jeden?”.

„Jeśli jeden i jeden, to nie wiem, ale jeśli jeden i jedna, to będzie troje”.

– Ta anegdota liczy sobie tysiąc lat – zachnął się Chejron i zwrócił się do Kory. – Na twoim miejscu poszedłbym do pałacu. Tam zapewne teraz rozwijają się najważniejsze wydarzenia. Sam bym poszedł, ale Egeusz nie darzy szacunkiem centaurów, twierdzi, że cuchnie od nas psem.

– To przykre – westchnął Folos. – Od centaurów psem?!

W pałacu rzeczywiście doszło do wielkiej awantury.

Gdy tylko objawiono, że Ateny mają złożyć kolejną daninę z młodzieńców i panien, Tezeusz udał się do swego odzyskanego ojca i oświadczył, że będzie jednym z siedmiu chłopców.

Na początku, kiedy słuchy o jego oświadczeniu i o tym, że stary Egeusz z tego powodu doznał ataku serca, rozeszły się po Atenach i całej Attyce, nikt w to nie uwierzył. W starożytnej Grecji, podobnie jak w innych cywilizacjach, nie było przyjęte, aby królewskie dzieci składały siebie w ofierze zamiast zupełnie bezimiennych rówieśników.

Wszyscy zapomnieli, że prawdziwym królewskim potomkiem Tezeusz był dopiero od dwóch dni, a do tego czasu był dość wątpliwym bastarden, którego dziadek z powodu ambicji politycznych nazywał synem Posejdona. A nazwać tak człowieka to tyle samo, co objawić, że jest podrzuconym pod płótem sierotą.

Herakles nie zaproponowałby siebie w ofierze zamiast jakichś młodzieńców. Inni herosi uważaliby, że to poniżej ich godności stać się ewentualną ofiarą obłąkanego byka. Tezeusz obdarzony był dziwną jak na owe czasy i miejsce cechą – poczuciem sprawiedliwości. Przecież to on jako pierwszy z antycznych bohaterów wymyślił sposób walki z rozbójnikami: „Będę robić z nimi tylko to, co oni robią z niewinnymi przechodniami”. I w ten sposób oczyścił wybrzeże z bandytów. To on powiedział do siebie: „Ja nie mogę zostać w pałacu ojca i ucztować tu, pić i weselić się, kiedy inni ojcowie oplakują swoje dzieci, ponieważ władca, który ma obowiązek bronić ludu, nie potrafił temu

obowiązkowi sprostać”.

Zapewne tak Tezeusz oświadczył ojcu.

– On cię rozszarpie! – rozlegał się po pałacu krzyk Egeusza.

– Nikt mnie nie rozszarpie – oponował Tezeusz, a mieszkańcy Aten, którzy przysłuchiwali się kłótni, z radością powitali słowa młodego herosa.

Kora nie uczestniczyła w ostatniej rozmowie Egeusza z Tezeuszem, ale został na nią zaproszony poseł Minosa, Dedal, który przy pucharze powtórzył wszystko dokładnie staremu Chejronowi. A Chejron niczego nie zataił przed swoją ulubienicą Korą.

Okazuje się, że Tezeusz zdołał przekonać ojca, ukazując się jako patriota ateński i zupełnie dojrzały polityk. Pogodziwszy się, Egeusz i następca tronu zaproponowali królowi Minosowi następujące warunki: Razem z dziewczętami i młodzieńcami, przeznaczonymi Minotaurowi na ofiarę, na Kretę uda się też Tezeusz. Minos pozwala mu wejść do Labiryntu uzbrojonemu tylko w miecz, i tam Tezeusz będzie walczyć z człowiekiem-bykiem. Jeśli zwycięży Minotaur, dziewczęta i chłopcy zostaną dostarczeni Minotaurowi na pożarcie. Ale jeśli zwycięży Tezeusz, to Ateny na wieki zwolnione zostaną z płacenia haniebnej daniny i ich stosunki z Kretą staną się równoprawne.

Ateny zamarły w oczekiwaniu na odpowiedź króla Minosa.

Wiadomość Minosowi Dedal wysłał za pośrednictwem gołębia pocztowego, a drugi gołąb wrócił następnego ranka.

W odpowiedzi król Minos wyrażał radość z tego powodu, że król Egeusz składa w ofierze swojego następcę. Jednocześnie przekazał Egeuszowi słowa szczerego współczucia, ponieważ Minotaura nie można zwyciężyć, gdyż łączy on w sobie siłę byka i zwinność atlety, jego skóry nie można przebić, a rogi są wyostrome jak strzały. Jeśli jednak król Egeusz upiera się, by stracić swego syna, król Minos nie może odmówić mu tej prośby. Zgadza się zatem na warunki Aten. Tylko żeby tym razem dziewczęta były młodsze i piękniejsze niż zeszłego roku – król Minos zechciał nacieszyć się nimi, zanim przekazał je młodemu Minotaurowi.

List był zuchwały, ale Tezeuszowi okazało się to na rękę, gdyż po takiej odpowiedzi Egeusz nie mógł już zostawić go w domu – znieważony został honor państwa i samego Egeusza.

Ustalono jeszcze jedno. Tezeusz popłynie własnym okrętem, nie godzi się następcy tronu ateńskiego płynąć na jakiejś krypte z czarnym kominem, z którego wali dym. Kilkudniowe opóźnienie nie ma żadnego znaczenia. Minotaur może trochę pościć. Czasami zresztą podrzucano mu jeńca albo skazanego na śmierć niewolnika.

Dedal wkrótce odplynał, a w mieście tymczasem rozpoczęły się smutne przygotowania.

Oczywiście, rodzice starali się udowodnić królowi i starszyźnie, że to właśnie ich dzieci do niczego się nie nadają i znane są z brzydoty. Na nic się to zdało, ponieważ w tak niewielkim mieście jak Ateny każda piękność była widoczna, a młodzieńcy często rywalizowali ze sobą w gimnazjonach, więc najlepsi z nich byli wszystkim znani.

Tezeusz zebrał odjeżdżających w jednej z sal pałacu. Usiedli na składanych taboretach pod ścianami. Obok na ławkach siedzieli ich ojcowie. Sam król rozkazał przynieść dla siebie niewielki fotel i siedział z boku, tylko jako obserwator.

Tezeusz zatrzymał się przed rzędem taboretów – sympatyczne młode twarze wpatrywały się w niego z pełnym napięciem oczekiwaniem, jak na nauczyciela, który miał zamiar ich egzaminować. I nikomu z czternaściorga młodych ludzi nie przyszło do głowy, że następca tronu jest ich rówieśnikiem, a nawet ustępuje wiekiem niektórym z nich. Ale wyglądał o wiele starzej na swoje siedemnaście lat.

– To, o czym teraz będziemy rozmawiać – zaczął Tezeusz – powinno pozostać wyłącznie między

nami. Niewykluczone, że od zachowania tajemnicy zależy nasze życie. Mówiąc szczerze, myślałem nawet, czy nie otruć wszystkich gołębi w Atenach, aby jakiś donosiciel Kreteńczyków nie wysłał wiadomości o tym Minosowi. A zatem jeśli jest tu jakiś chociaż jeden szpieg, jesteśmy zgubieni.

Wśród obecnych rozszedł się szmer i nie było wiadomo, czy byli oni oburzeni podejrzeniami Tezeusza, czy też wystraszyli się o swoje gołębie – wielu z nich hodowało te ptaki, a dobry gołębnik wartością niewiele ustępował stajni.

– No dobrze – uśmiechnął się, unosząc dłoń i wzywając do milczenia. – Nie ma tu zdrajców. Mowa będzie nie o tym, jak zabić Minotaura, to biorę na siebie i możecie być pewni, że mi się uda.

Wszyscy zaklaskali w dłonie, a najbardziej cieszył się król Egeusz.

– Niepokoi mnie inny problem – kontynuował Tezeusz, przechadzając się wzdłuż szeregu swoich towarzyszy podróży. – Problem powrotu do domu. Jestem przekonany, że Minos nie zechce wypuścić nas żywych z Krety. A więc powinniśmy go przechytrzyć.

– Zuch! – zawołał Egeusz. – Mój syn!

– Posłuchajcie, co wymyśliłem! – krzyknął Tezeusz, by zagłuszyć radosny szum w sali. – Zostawimy dwie dziewczice w domu... Ciebie i ciebie – wskazał dwie dziewczyny i wyjaśnił: – Jesteście wyższe i szersze w barkach niż pozostałe. Czy rozumiałyście?

– Co? – spytała jedna. Niczego nie rozumiała.

Tezeusz wziął je obie pod łokcie i odprowadził do szlochających ze szczęścia rodziców.

– Zamiast dziewcząt zabiorę ze sobą dwóch młodych żołnierzy z oddziału królewskich wywiadowców.

Tezeusz trzykrotnie zaklaskał w dłonie i do sali, onieśmiałe obecnością tak wytwornego towarzystwa, weszły dwie dziewczyny, wyższe od pozostałych, krótko ostrzyżone, ale zgrabne, tylko zbyt jaskrawo umalowane – o czarnych brwiach, z rumieńcami na policzkach, szminką na ustach i nawet z pomalowanymi paznokciami. Ubrane były w długie chitony, spięte na ramieniu broszami i zakrywające ręce.

– Mówiłeś o żołnierzach z mojego oddziału wywiadowców? – zapytał Egeusz.

– Właśnie o nich – zgodził się Tezeusz. – Słyną z tego, że mogą niezauważenie przeniknąć do obozu wroga, nawet do niedostępnej twierdzy przeciwnika, władają dobrze sztyletem i znają tajne chwytły walki wręcz. Jak masz na imię, miło dziewczyno?

– Mam na imię Partena – odpowiedziała zapytana zachrypłym głosem.

– Parteno – poprosił ją Tezeusz. – Wydaje mi się, że na tym słupie siadła mucha. Zabij ją!

W mgnieniu oka, niezauważenie dla wszystkich, dziewczyna wyszarpnęła wąski sztylet i rzuciła nim przez całą salę w słup. I wszyscy zobaczyli, jak koniec sztyletu wbił się w plecy pokojowej muchy, która obserwowała tę scenę z drewnianego słupa.

– Dziękuję ci, moja droga – powiedział z zagadkowym uśmiechem Tezeusz. – Usiądź – wskazał Partenie wolny taboret. – Teraz ty, piękna – zwrócił się do drugiej dziewczyny o zbyt puszystych włosach, z górną wargą pokrytą delikatnym zarostem i o dużych dłoniach. Jej oczy były obwiedzione czarnym paskiem, usta w kolorze krwi. – Czy trafisz nożem w tamtą szczelinę na suficie?

– Rozkaz, Tezeuszu – odpowiedziała brunetka basem.

I tu podstęp Tezeusza wyszedł na jaw. Wszyscy zebrani w sali domyślili się, że mają przed sobą ucharakteryzowanego mężczyznę.

– Nie! – krzyknął Tezeusz. – Nie nadaje się. Jaka szkoda! Wybrałem z oddziału wywiadowców dwóch żołnierzy. Myślałem, że uda mi się zrobić z nich dziewczyny. O ile pierwsza, Partena, nie wzbudziła waszych podejrzeń – Tezeusz wskazał na wywiadowcę, skromnie siedzącego na taborecie – to drugi wywiadowca się nie nadaje... Musimy szukać dalej, a czasu nie ma!

– Zaczekaj, Tezeuszu – wmieszała się Kora, która obserwowała tę scenę od drzwi i zrozumiała, że oto pojawiła się doskonała okazja, by znaleźć się na okręcie Tezeusza. – Mam nadzieję, że mogę odegrać rolę dziewczyny.

– Przecież jesteś dziewczyną! – zdziwił się Tezeusz.

– A kto jest ci potrzebny?

– Czy naprawdę nie rozumiesz, że potrzebny jest mi młodzieniec, żołnierz, który potrafi obchodzić się ze sztyletem i mieczem, który może szybko biegać i wysoko skakać, ale którego Kreteńczycy wezmą za dziewczynę.

– A dlaczego mieliby nie wziąć mnie za dziewczynę?

– Dlatego że nie jesteś młodzieńcem!

– A więc ciesz się, że nie jestem młodzieńcem! To oznacza, że nie mogą mnie zdemaskować. Nawet jak rozbiorą do naga.

– Nawet jak rozbiorą do naga? – powtórzył Tezeusz, dotykając końcem wskazującego palca nasady nosa. – To ciekawe.

– Posłuchaj, synku – rzekł wtedy stary król Egeusz. – Jeśli jest ci obojętne, kto potrafi obchodzić się z mieczem i sztyletem, wypróbuj Korę, a potem drap się po nosie.

– Doskonały pomysł – powiedział Tezeusz i wyciągnął ku Korze sztylet, który zabrał brunetce. – Czy możesz przeciąć pajęczynkę, na której spuszcza się pajęczek w najdalszym końcu sali?

Wszyscy obrócili się w tę stronę, ale mało kto mógł dostrzec pajęczka.

Kora kilka razy dotknęła sztyletu. Był wykonany z żelaza i jak się go nacisnęło jak trzeba, wyginał się.

– Dobrze – odpowiedziała Kora i niezauważenie dla wszystkich, szybkim ruchem wygięła długie ostrze i nagle rzuciła.

Sztylet przeleciał przez całą salę, przeciął pajęczynę, ledwie dotknął oddalonej ściany i wzbijając się wyżej, przyleciał z powrotem do Kory i znalazł się w jej ręce. Teraz wystarczyło tylko szybko rozprostować bumerang i pokazać go zdumionemu Tezeuszowi.

– Jesteś czarodziejką? – zapytał Tezeusz.

– Nie, jestem mądra – odpowiedziała Kora.

– A czy ta dziewczyna może skakać? – spytał król Egeusz.

– Tu jest ciasno – zauważyła Kora. – Nie ma gdzie skakać. – Mimo tych słów wykonała w miejscu wyskok – na jakieś dwa metry, nie wyżej, chwyciła się za belkę pod sufitem, odbiła się od niej i zeskoczyła tuż u nóg ateńskiego króla.

Egeusz cofnął się przestraszony, a kiedy doszedł do siebie, powiedział z rozdrażnieniem:

– Z takimi zdolnościami lepiej występować na arenie – królowie nie lubią, kiedy się ich straszy.

Ale nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że Kora ma miejsce w damskiej kajucie. Kiedy Kora usiadła na taborecie, ktoś z drużyny Tezeusza zapytał:

– A po co to wszystko robicie?

Kora też chętnie zadałaby to pytanie, ale powstrzymała się, będąc przekonana, że ktoś z pewnością je zada.

– Są tajemnice, które znam tylko ja – odrzekł Tezeusz. – Dlatego nie mogę ryzykować. A i wy trzymajcie język za zębami. Wiedźcie, że wasz Tezeusz ma kaprys, aby wśród dziewcząt było dwóch młodzieńców... Tu zaplątał się, przełknął ślinę i, nie patrząc na Korę, zakończył zdanie: – Aby wśród dziewcząt były dwie osoby, które potrafią walczyć wręcz...

– I bronić nas! – odpowiedziały chórem trzy piękności, które były do siebie bardzo podobne, nie tylko z wyglądu, ale i z imion. Nazywano je Peribea, Eribea i Teribea.

– Znakomicie! – zgodził się Tezeusz. – Właśnie bronić. A teraz dwa słowa powie jeden z naszych sterników.

Od ściany oderwało się dwóch mężczyzn w średnim wieku. Pierwszy był chudy, wysoki i przygarbiony. Jego rzadkie włosy były związane z tyłu w warkoczyk. Twarz przyciemniona od słońca i wiatru, jako że sternik cały dzień stoi na rufie i kieruje ciężkim wiosłem sterowym. Rozkazuje też, kiedy postawić i kiedy zwinąć żagiel. Pierwszy sternik jest kapitanem okrętu. Za nim, trzymając się krok z tyłu, wystąpił do przodu drugi sternik, barczysty garbus o wielkim haczykowatym nosie. Był rudy i kędzierzawy, a jego policzki były gęsto upstrzone piegami.

– Nasz pierwszy sternik – Feak – przedstawił go Tezeusz. To był sternik znakomity. Mało komu znane było jego imię, a nazywano go imieniem sławnego plemienia Feaków, z którego wywodzili się najlepsi sternicy. Garbusa zaś zwano Nausitoosem.

– Odplywamy o świcie – powiedział Feak. – Wioślarzy na okręt sam dobierałem. To najlepsi żołnierze Aten.

– Pomagałem Feakowi i mogę to potwierdzić – dodał Tezeusz. Nausitoos nie powiedział nic. Spoglądał na piękne dziewczyny niczym satyr. Do tego zresztą stopnia przypominał satyra, że Kora ukradkiem rzuciła spojrzenie na jego nogi. Ale na nogach miał zwyczajne sandały.

Opuszczali Ateny wczesnym rankiem, kiedy lekka mgła płynęła jeszcze cienką zasłoną nad morzem, niebo wydawało się różowe, wszystkie znaki były sprzyjające, rodzice kończyli ronić ostatnie łzy, a król Egeusz stał obok syna, trzymając go za rękę, jak małego chłopca. Tezeusz również się denerwował i poprawiał nieistniejące okulary.

Statek był duży, trzydziestowiosłowy, a przy wiosłach siedzieli dzielni ateńscy żołnierze. Feak, stojący przy wiosle sterowym, rozkazał podnieść żagiel, aby po raz ostatni sprawdzić olinowanie. Żagiel załopotał pod lekkim wiatrem, rozwijając się i wpełzając na maszt. Nausitoos miotał się wzdłuż niego, czuwając, by podnosił się równomiernie. Żagiel był czarny. Kora nie wiedziała o tym i była zdziwiona.

Szlochanie na brzegu, wypełnionym ludźmi, zwielokrotniło się w trójnasób.

– Dlaczego taki żagiel? – spytała Kora.

– Okręt wiozący nasze ofiary na Krete zawsze odplywa pod czarnym żaglem – odpowiedziała pulchniutka, czarująca Peribea.

– Gdzie jest biały żagiel? – zapytał Egeusz. Kora zdziwiła się, usłyszawszy jak wymówił to dziwne zdanie.

– Leży tam, złożony na dnie, na nim będą odpoczywać dziewczęta – odpowiedział Tezeusz.

– Słyszałaś? – spytała Korę Peribea. – Tym razem zabierzemy ze sobą drugi żagiel, biały.

– Dlaczego? – zainteresowała się Kora. Peribea odpowiedziała chętnie:

– Podniesiemy go, jeśli uda się wszystko, czego pragniemy. Jak wrócimy żywi.

– Chwała Tezeuszowi – zawołała Kora. – Z ciebie może wyrosnąć działacz państwowy, rozumiejący sens historycznego szczegółu.

– Czy coś powiedziałaś, pani? – spytała Peribea.

Podobnie jak pozostałe dziewice, odnosiła się do Kory z szacunkiem. Nie tylko dlatego, że Kora była starsza i przewyższała inne panny wzrostem, co raczej podejrzewała, że Kora jest boginią Persefoną incognito. Tak bywa z boginiami. Jeśli postanowi popłynąć na okręcie Tezeusza, przyniesie to tylko pomyślność. Nawet dyżurna w danej specjalności bogini może okazać się przydatna, gdy zostanie twoją sojuszniczką. Dziewczyny przypuszczały, że między Korą a Tezeuszem zaczyna się romans, ale kto z nich jest ofiarą a kto myśliwym, pozostawało tajemnicą.

Tezeusz krzyknął, aby wszyscy wchodzili na okręt i wszczął się ostatni rwetes, który trwał

jeszcze dobre półtorej godziny, zanim okręt wybrał kamienną kotwicę i wiosłarze zgodnie machnęli giętkimi wiosłami.

Podróż na Kretę minęła, ogólnie rzecz biorąc, pomyślnie, jeśli nie liczyć sztormu, jaki nadciągnął pierwszego dnia i mocno wystraszył dziewczęta, które nie były jeszcze nigdy na pełnym morzu. Straciwszy apetyt, siedziały z pozieleniałymi twarzami jak syreny i gotowe były skończyć ze sobą, by tylko przerwać te męczarnie.

Na ich szczęście sternik Feak przypomniał, że wyruszając w podróż w pośpiechu, dziewice zapomniały złożyć ofiarę Apollonowi.

Sternik w tym momencie skierował okręt ku brzegowi i postanowił wskoczyć na wysokiej fali prosto do niewielkiej, cichej zatoczki. Tam wszyscy zeszli z okrętu, zapalono trójnog ofiarny, przyniesiono niewielkie, ale ze szczerego serca ofiary i wówczas niebo rozjaśniło się, fale uspokoiły się i można było kontynuować podróż, czego udało się dokonać z trzygodzinnym opóźnieniem, ponieważ Peribea i Eribea pobiegly do lasu razem z dwoma wiosłarzami zbierać orzechy włoskie.

Tu Kora po raz pierwszy zwątpiła w to, że księżę Gustaw nic nie pamięta ze swojego życia w przeszłości.

– Co za szczęście – powiedział do siebie pod nosem, stojąc na przybrzeżnym żwirze i przebiegając wzrokiem krzaki, z których powinny nadejść rozbawione ofiary Minotaura. – Co za szczęście, że problem dziewiczej niewinności tu nie odgrywa jeszcze decydującej roli. Odwrócił się, zobaczył, że niedaleko stoi Kora, która mogła usłyszeć te słowa i zmieszawszy się, szybko poszedł do okrętu.

Feak długo warczał na wiosłarzy, gdyż do mroku zostało już niewiele czasu, a na noc okręty zazwyczaj przybijały do brzegu. Ale doświadczony sternik, po krótkiej naradzie z Nausitoosem, wypłynął na otwarte morze i chociaż okrętem huśtało i było dość chłodno, skierował go prosto na Kretę. Równy, silny wiatr dął w żagiel, sprawiający wrażenie dużej kwadratowej dziury w gwiazdzistym niebie; cicho i zgodnie śpiewali wiosłarze, pomagając sobie pieśnią. Potem na rozkaz Feaka osuszyli wiosła i ułożyli się do snu.

Kora nie mogła zasnąć. Siedziała na dziobie okrętu i przyglądała się, jak wałki niebieskiej piany wzbijają się przy wygiętym dziobie okrętu, a w wodzie odbija się księżyc i najjaśniejsze z gwiazd. Podszedł do niej Tezeusz.

– Idź spać, o bogini – powiedział. – Jutro będziesz miała czerwone oczy.

– Boginie nigdy nie śpią.

– Dziwne – odpowiedział Tezeusz. – Dlaczego udajesz, że mało wiesz?

– Ale za to wiem, że Tezeusza trzeba chronić, gdyż ma niebezpiecznych wrogów.

– Prawdziwy żołnierz powinien mieć wrogów. Aleja, niestety, nie znam swoich.

– A Medea? Lub Minos?

– Ich się nie obawiam. Tak jak nie bałem się rozbójników. Co innego mnie niepokoi: strach wewnątrz, w piersi, strach przed tym, czego nie znam. Czy możesz mi to wyjaśnić?

– Nie – skłamała Kora.

– Szkoda. Żywię wobec ciebie dziwne uczucie, Koro. Jakbyśmy znali się od dawna, jakbyśmy byli oboje z innego świata, z innej bajki. A ty wiesz o wiele więcej, niż mówisz.

Położył rękę na jej ramieniu. Ręka była ciepła – przez cienką tkaninę Kora poczuła ciepło jego dłoni. Lekko przyciągnął ją do siebie i Kora posłusznie przylgnęła do jego ciała. Było jej dobrze i bezpiecznie.

– Nie jesteś taka jak inne dziewczęta – powiedział Tezeusz. – W Trojzenie albo Atenach.

Pocałował ją w policzek – chciał w usta, ale zdążyła się odsunąć.

- To dla ciebie niemiłe? – zapytał.
- Ja nie chcę być jak inne dziewczęta... w Trojzenie i Atenach.
- Może naprawdę jesteś boginią?
- Jestem twoim Aniołem Stróżem – powiedziała Kora.
- Jaką wiadomość mi przynosisz? – spytał Tezeusz.

Kora uśmiechnęła się. Zapomniała, że w czasach antycznej Grecji wyraz „anioł” oznaczał coś zupełnie innego, niż przyjęto w religiach, które zastąpiły greckich bogów. Anioły w Helladzie były jedynie posłańcami, z ich pomocą bogowie objawiali swoje decyzje.

- Idź spać – wyszeptała Kora. – Jutro mamy ciężki dzień.
- Chciałbym, aby mój każdy dzień był ciężki – powiedział Tezeusz.
- Dlaczego?
- Chcę zostać mężczyzną.
- To znaczy, że jesteś jeszcze chłopcem – powiedziała Kora, gdyż była mądrzejsza od wielkiego herosa starożytności.

Tezeusz i tak nie spał, odszedł na rufę, do Feaka. Tam o czymś rozmawiali, ale słyhać było tylko urywane słowa – wiatr unosił dźwięki z powrotem. Kora leżała na złożonym białym żaglu i patrzyła w niebo. Gwiazdy były położone trochę inaczej, niż będą za ponad trzy tysiąc pięćset lat, ale gwiazdozbiory można było rozpoznać.

Nisko nad okrętem przeleciały dwie harpie – ich obrzydliwy zapach przemknął jak dusząca fala. Gdzieś w oddali zaśpiewały syreny, ale wątpliwe, czy oprócz Kory ktoś je usłyszał. Tezeusz zajęty był rozmową ze sternikiem, pozostali pogrążyli się w głębokim śnie. Na czubku masztu usiadła mewa i Kora pomyślała – czy to prawdziwa mewa, czy ktoś, kto przyjął jej postać?

– Oj, biada, biada, biada! – zaskrzeczała mewa. Zerwała się z masztu, zatoczyła krąg nad okrętem i rozplynęła się w mroku nocy.

Dedal na swoim parostatku wyprzedził Tezeusza, stąd też o przybyciu Ateńczyków wiadano zawczasu.

Król Minos, gdy mu tylko doniesiono, że zbliża się ateński okręt pod czarnym żaglem, wjechał na bojowym rydwanie na wzgórze, które górowało nad portem. Gdy tylko okręt miękko dotknął przystani wysokim, wygiętym dziobem i na komendę Feaka wiosła ułożyły się wzdłuż burt, Minos trącił w ramię woźnicę rydwanu, a ten poprowadził rydwan ku przystani.

Król zdążył dojechać do przystani akurat w momencie, gdy Tezeusz schodził po trapie.

Kora pozostawała z tyłu i miała możliwość dokładnie przyjrzeć się sławnemu królowi Krety. Minos miał rysy twarzy tyrana, jakby bogowie specjalnie zbierali się i wymyślali, jak najbardziej przekonująco stworzyć takie cudo. Wysokiego wzrostu, a przynajmniej nie niższy od Tezeusza i Kory, raczej był potężny niż gruby, i jeśli by porównać go z górą, to był raczej górą mięsa niż tłuszczu. Jego ciało przypominało tors zapaśnika wagi ciężkiej, który rozgniała przeciwnika swoją masą. Ciało zakute w lśniącą złotą zbroję wieńczyła pucułowata głowa o niskim pomarszczonym czole, pokryta przerzedzonymi, miedzianej barwy kędziorami, z którymi współgrała krótka brązowa broda. Oczy Minos miał małe, czarne, przenikliwe i bezmyślne, jak u myszy. Jeśli dodać do tego wydatne, wilgotne wargi i wysunięty do przodu, nadmiernie powiększony podbródek, powstanie gęba, nazywana Minosem.

Poczuwszy wrogość do Minosa, Kora pomyślała, jak muszą się czuć teraz pozostałe jego ofiary – sympatyczne dziewczęta i zgrabni młodzieńcy, wychowani w Atenach w znakomitych rodzinach, w których nawet niewolników bito rzadko. I rzeczywiście, ku radości Minosa, zawsze delektującego się uczuciem trwogi, którą wzbudzał przy pierwszym spotkaniu, młodzi zakładnicy nie mogli

opanować drżenia. Nawet sam Tezeusz z trudem powstrzymywał się przed okazywaniem w jakikolwiek sposób obejmującego go strachu.

– Hej, wy! – wykrzyknął Minos, wymachując biczem o złotej rękojeści. – Kogóż to przywieźliście mi tym razem, nędzni słudzy! Pokażcie towar!

Na znak dany przez Tezeusza, który nie miał powodów, by odmówić Minosowi wykonania jego bezczelnego rozkazu, młodzi zakładnicy zeszli z okrętu i ustawili się na przystani w nierównym szeregu. Kora najbardziej obawiała się tego, że podstęp się wyda i Minos zorientuje się, że zamiast jednej z dziewic podsunęto mu młodzieńca. Tak się jednak nie stało, ponieważ wzrok Minosa od razu zatrzymał się na pulchniutkiej Peribei. Jego oczy rozszerzyły się, a z kącika ust pociekła strużka śliny.

– Kogóż ja widzę! – zawołał król. – Kogóż ja widzę! Dziewico mego serca! Osłodo moich nocy! Uwalniam cię od śmierci. Będiesz mieszkać w moim pałacu i rozkoszować się wylegiwaniem na najlepszych na świecie puchowych poduchach!

Własne słowa wprawiły Minosa w całkowity zachwyt, i zaczął tupać nogami, jak rozpieszczony chłopiec, który domaga się cukierka. Poranne słońce odbijało się w złotych, wyczyszczonych do pełnego blasku nagolenicach, a jego promienie rozpierzchły się po przystani, oślepiając zebranych tam ludzi.

Minos wyciągnął łapsko i szarpnął do siebie przeurocze, zmieszane i śmiertelnie przerażone stworzenie.

– Jesteś szczęśliwa? – zawył. – Jesteś zadowolona?

– Nie – zapiszczała, odzyskawszy wreszcie głos, Peribea. – Wolę już, by rozszarpał mnie Minotaur.

Tłum dworzan, żołnierzy i gapiów aż jęknął, słysząc taką czelność i wtedy do przodu wystąpił Tezeusz.

– Witaj, wielki królu Krety – powiedział, starając się, by głos mu nie zadrżał.

– O, kogóż ja widzę! – roześmiał się Minos, nie puszczać rączki Peribei. – Chłopczyk z Aten, który postanowił na ochotnika wleźć na rogi mojemu cielaczkowi?

– Wielki królu – odrzekł Tezeusz. – Przybyliśmy tu, ponieważ Ateny zgodziły się, wbrew swojej woli, wysłać młodzieńców i dziewczęta w ofierze Minotaurowi. W ofierze, królu, a nie dla zaspokojenia twoich nieokiełznanych chuci.

– Co on powiedział? – spytał Minos, obracając się do swoich dworzan i oczekując służalczego chichotu. Ale o dziwo na przystani panowała cisza. Nawet dworzanie Minosa nie ośmielili się wyśmiać słów królewicza Aten. – Ja okazuję łaskę dziewczycy – powiedział niezadowolony Minos, nie doczekawszy się oklasków – a w zamian zaczyna się mnie pouczać, co mi wolno, a czego nie. Zaraz umrę ze śmiechu!

Ostatnie słowa były wyraźnym poleceniem dla poddanych, by także umierali ze śmiechu. Z tłumu dobiegł sporadyczny chichot, kaszel i inne dziwne odgłosy, które w ostateczności można byłoby uznać za śmiech.

– Jako następca tronu ateńskiego i syn Posejdona mam obowiązek troszczyć się o ateńskie dziewczęta i przywieźć je nietknięte z powrotem rodzicom – powiedział Tezeusz.

Tym razem Minos się nie śmiał.

– Wydaje mi się, że zbyt się rozzuchwaliłeś, chłopcze – rzekł cicho. – Nie tylko twierdzisz, że zwyciężysz Minotaura, ale i pouczasz mnie, jak mam się zachowywać. Ty samozwańcze! Każdy żebrak w Helladzie wie, że twój dziad, podły Pitteus, wymyślił tę bajeczkę o dwóch ojcach. Ja wątpię nawet, że twoim ojcem jest Egeusz.

Kora rozumiała Tezeusza. Nie miał innego wyjścia. Jeśli powstrzyma Minosa teraz, zachowa szansę na zwycięstwo. Ale jeśli teraz się podda, wtedy zostanie nędznym niewolnikiem Minosa. A wówczas śmierć jego i pozostałych Ateńczyków jest nieunikniona. Jeśli w tej walce można rzucać, jak atutową kartą, każdym kłamstwem, to Tezeusz nie tylko powinien, ale i musi tak się zachowywać.

– Jeśli jesteś synem Posejdona – kontynuował Minos. – Udowodnij to nam.

– Chętnie ci to udowodnię, królu. Patrz więc.

Minos z trudem ściągnął z tłustego palucha masywny złoty pierścień z topazem i, wzięwszy rozmach, rzucił go z przystani w morze, gdzie fale, wznoszące się niczym góry, zahulały białymi grzywaczami i przemieniwszy się w ryczące wały, pędziły ku brzegowi.

– Jeśli twoim ojcem jest Posejdon – rzekł Minos. – To pomoże ci odnaleźć i przynieść tu mój pierścień. Jeśli nie, twoja dziewczeczka znajdzie się dziś w mojej sypialni, a ty spędzisz noc w cuchnącym lochu dla niewolników.

„Dajcie mi porządny wykrywacz metalu!” – w myślach zawołała Kora. Bez niego nie da się odnaleźć pierścienia w ruchomym piasku i mętnej wodzie przyływu.

Ale myśli Kory pozostały jej udziałem, a Tezeusz tymczasem szybko ściągnął chiton przez głowę, starając się nie stracić z oczu punktu, w którym pierścień dotknął wody. Nie miał innego wyboru, a agentka interGpolu Orwat nie była w stanie mu pomóc.

Tłum na przystani i na stoku wzgórza zastygł w milczeniu: jedni w nadziei na niewiarygodny sukces, inni – w złośliwym zniecierpliwieniu. Już sam skok w fale przyboju był śmiertelnie niebezpieczny.

Jakże Kora chciała wierzyć w Posejdona!

Tymczasem pozostawała jej jedynie wiara w potęgę komputera. Jeśli ten, na podobieństwo Posejdona, zechce pokazać swoją władzę nad wyobrażanym światem. Tezeusz odpiął pas z mieczem i pochwa zadźwięczała srebrnymi okuciami na kamieniach przystani. Wziął krótki, dziesięciometrowy rozbieg i skoczył w mętne, zielone fale, natychmiast znikając w wirze z wody, piasku i piany.

I nagle wszyscy zaczęli mówić, poruszać się, podchodzić do skraju przystani i lustra wody, ale odgłosy wydawane przez ludzki tłum roztopiały się w szumie morza, brzmiały jak jeden tylko dodatkowy instrument w orkiestrze.

Obok Kory stał Minos, który także szedł po przystani, jakby próbując znaleźć miejsce, w którym fala wyrzuci Tezeusza. Obok niego szły kobiety, zapewne z jego rodziny. Kora nie mogła dokładnie im się przyjrzeć, gdyż jej uwagę absorbowała woda... Ale wzrok agenta zawsze jest uważny. Jedna z trzech kobiet towarzyszących Minosowi była starsza od pozostałych, tęzsza, pewniejsza siebie, w jej urodzie było coś dzikiego, zwierzęcego i jeśli już dla którejś z tych trzech mistrz Dedal wynalazł niezwykle łożo małżeńskie, to oczywiście dla niej, królowej Pasifae. Jedna z córek była podobna do niej. Wyższa od matki, dwa razy od niej szczuplejsza, a to, co na twarzy Pasifae wydawało się prymitywne i zwierzęce, na jej twarzy było tylko ucieleśnieniem namiętności, tego połączenia cech, które zmusza mężczyznę, by się zatrzymał i odwrócił, a jeśli drzemie w nim samiec, to rzuciwszy wszystkie sprawy i wcześniejsze związki, podąży za nią. Któraż to – Fedra? Ariadna? A oto i trzecia. Wrażliwa i delikatna, każdy ruch delikatnych paluszków wręcz wyczelowany, sama doskonałość, nawet fałdy tuniki jakby same się poruszają, żywe, nieśmiało dotykając zadziwiającego, pełnego wdzięku ciała... Dziewczyna rzuciła na Korę przelotne spojrzenie, niewidzące i obce, i nagle wszystko w Korze rozbrzmiało sygnałem alarmowym – prawie ją rozpoznała: te policzki jak z porcelany dziś jeszcze elastyczne i gorące, te srebrzyste kosmyki, falami najdelikatniejszego jedwabiu układające się na wąskich, bezbronnych ramionach. To znaczy, że taką chcecie zobaczyć

siebie w VR rajdzie, podczas polowania na ulubionego bratanka, dostojna księżno?

Oczywiście, że jest możliwa pomyłka. Ale będziemy działać tak, jak gdyby nie było żadnej pomyłki.

Kora jakby ocknęła się z hipnozy. Ile czasu upłynęło?

Wewnętrzny, dokładny do ułamka sekundy zegar zakomunikował: minuta i sześć sekund... siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

Kora zaczęła iść do krawędzi przystani, rozumiejąc, że jeszcze dwadzieścia sekund, a będzie musiała zanurkować w ten wir piany i zmaconego piasku – bez szczególnych nadziei na odnalezienie w nim martwego ciała jej herosa. A kiedy będzie wstrzymywać oddech, szukać w zielonych otmętach, pozostanie nadzieja, że księcia Gustawa odnajdą monitory, odnotują ustanie oddechu i jak najszybciej wydobędą go na powierzchnię, wyrwą z gry. Jeśli się nie spóźnią, jeśli nie będą uszkodzone komórki mózgu... jeśli nie roztrzaska sobie głowy o kamienny murek przystani...

W tym momencie księżę Tezeusz wyskoczył z wody – prawie do pasa. Oczy wytrzeszczone, usta wpołotwarte, usiłował wciągnąć w siebie powietrze, gdyż jego płuca gotowe były pęknąć...

Jeden wdech, drugi...

Tezeusz potężnymi ruchami ramion przebył odległość dzielącą go od piaszczystej plaży obok przystani. Wstał, chwiejąc się – woda sięgała mu pasa... poszedł dalej. Potem obrócił się, odnalazł wzrokiem Minosa i podniósł do góry dwa palce – wskazujący i kciuk. Ścisnął w nich złoty pierścień.

Zaszlochała w napadzie hysterii pulchniutka Peribea, która już zdążyła siebie pochować. Gwałtownie obrócił się i odszedł król Minos. Za nim, niby gęsi, ruszyła jego rodzina. Tylko jego szczupła i przezroczysta córka... Ariadna? – obróciła się, patrząc na obnażonego herosa.

– Wielki królu! – zawołał Tezeusz, przekrzykując hałas przyboju. – Wasza Wysokość! Weź swój pierścień. Mój ojciec Posejdon zwraca go wam.

Minos zmuszony był się zatrzymać. Nie mógł zignorować dam boga mórz. Tezeusz wyciągnął rękę i upuścił pierścień na wyciągniętą dłoń Minosa.

– Wieczorem oczekuję was na uczie w moim pałacu – odezwał się Minos. – Albowiem jutro nastąpi wielki dzień składania ofiary.

Kora pomyślała, że cud, który rozegrał się na jej oczach, to nie tyle cud dla tych, którzy są przekonani, iż bogowie zarówno istnieją, jak i kierują losami ludzi. To, co nastąpiło, można by raczej porównać z sytuacją, gdy król Minos domaga się dowodu tożsamości: metryki, paszportu – od przybywającego młodzieńca. A ów musi ten paszport okazać. To, że przy okazji Tezeusz omal nie utonął, kogóż to obchodzi, oprócz Minotaura, który zabije jutro nową ofiarę?

Tezeusz zatrzymał się obok Kory.

– Ciężko było? – zapytała go.

Kora nie wierzyła w realne istnienie Posejdona, co był nielogiczne, a nawet głupie, bo skoro zaledwie dwa dni temu piła wspaniałe wino z wielkim Dedalem i dwoma centaurami, to dlaczego miałaby nie dopuścić istnienia boga mórz. Ale Kora wolała pozostać na pozycji zdroworozsądkowej, nawet wtedy, gdy nie pozostała ani pozycja, ani rozsądek.

– Nawet mi się nie marzyło, że go odnajdę – odpowiedział nie mniej od niej racjonalny Tezeusz. – Macałem rękami w piasku, a tego zrobić szybko się nie da. A kiedy już zabrakło mi powietrza i zrozumiałem, że teraz muszę wynurzyć się bez pierścienia, wyczułem pod palcami coś okrągłego... mógł to być kamyk.

– Na szczęście był to pierścień – powiedziała Kora.

– Proszę szanownych mieszkańców Aten, by udali się na wyznaczone dla nich pokoje – obwieścił kreteński dworzani.

Tezeusz uniósł rękę, żegnając się z wioślarzami. Ci pozostali na okręcie, a przystań otoczyli ustawieni w dwóch szeregach ciężkozbrojni żołnierze Minosa – ów wolał nie ryzykować. Wioślarze odpowiedzieli nieskładnymi okrzykami. Tezeusz był dla nich wodzem i bohaterem. Feak w imieniu wszystkich obiecał, że zrobią wszystko jak należy. Wszak udziałem wioślarzy mogło być niemało prób. Pozostali zmuszeni byli spędzić ostatnią noc w pomieszczeniach we wschodniej części pałacu, opuszczonych nawet przez czeladź i pozostawionych nietoperzom, szczirom i tarantulom. Zimny deszcz bębnił o dziurawe dachy, gliniane klepisko w niektórych miejscach namokło i zrobiło się śliskie. Było zbyt daleko, aby iść do okrętu po prześcieradła, zresztą Tezeusz nie chciał nikogo tam puszczać, obawiając się podstępu ze strony Kreteńczyków. Wszyscy zatem stłoczyli się w dwóch pokojach – dziewczęta w małym, wewnętrznym, do którego można było wejść tylko przez wewnętrzną komnatę, w której spali młodzieńcy. Do tego przez całą noc czuwała warta.

O świcie koło pokojów rozległy się kroki. Słysząc było szcęk broni. Tezeusz gromkim głosem rozkazał wszystkim wstać i zająć miejsce przy drzwiach. Wtedy nastąpiła cisza. Słysząc było jedynie szum deszczu.

Rankiem, gdy chłodna mgła otuliła pałac, przybył do Tezeusza gość.

Niewiasta była otulona w długi, sięgający ziemi płaszcz, narzucony także na głowę – widać było tylko nos, usta i podbródek.

Wartownikowi powiedziała, że musi koniecznie porozmawiać z Tezeuszem. Pilnujący nie chciał jej wpuścić, ale Tezeusz, usłyszawszy ich rozmowę, wyszedł do kobiety. Kora siedziała przy ścianie i słyszała ich rozmowę.

– Tezeuszu – odezwała się kobieta znajomym, łamiącym się, głuchym głosem. Nie mogłam w nocy zasnąć i to z twojego powodu.

– Kim jesteś?

– Wyjawię ci moje imię. Ale uwierz, że jestem twoim przyjacielem i pewnie jedynym prawdziwym przyjacielem na wyspie.

– Po co przyszłaś?

– Odejdźmy stąd. Nie chcę, aby widziano nas razem.

Kora uniosła się i przywarła do szczeliny w ścianie. Dwie sylwetki – wysoki, potężny Tezeusz i filigranowa, malutka, sięgająca mu do piersi, opatulona młoda kobieta – stały naprzeciw siebie.

Błękitna mgła pełzła u ich nóg, zakrywając je do kolan.

– Dziś na nadbrzeżu zobaczyłam cię po raz pierwszy – wyszeptała kobieta. – W moim sercu coś drgnęło. Zrozumiałam, że jesteś moim wybranym.

– Kim jesteś? – powtórzył pytanie Tezeusz, a Kora musiała przyznać, że ma on całkowitą rację. Strata czasu z nieznaną o świcie, przed ważnymi zdarzeniami, byłaby lekkomyślnością ze strony wodza wyprawy, nawet bardzo młodego wodza.

Kobieta strząsnęła z głowy zasłonę i Kora w porannej, błękitnej poświacie rozpoznała jedną z córek Minosa, tę pełną subtelności, delikatną, wrażliwą, o znajomym głosie i ruchach. Czyżby Tezeusz niczego nie wyczuł?

– Jestem Ariadna, córka króla Minosa – oświadczyła młoda kobieta. – Słynę ze swej urody na całą wyspę i na wszystkie ziemie podległe Krecie. Setki szlachetnych książąt i herosów starało się o moją rękę, ale wszyscy zmuszeni byli odejść z niczym...

Kora nie powiedziałaaby, że Ariadna jest tak piękna, jak sama o sobie mówiła. Są zresztą kobiety, które muszą siebie chwalić, w przeciwnym razie istnieje niebezpieczeństwo, że współcześni ich nie docenią. Ale trudno było odmówić księżniczce przejściowej i nietrwałej urody, takiej samej, jaką Kora zauważyła u madame Ragozy, księżnej i głowy klanu Ragozy. Tej samej, lecz trzy razy

młodszej, która stała o poranku przed swoim bratankiem Tezeuszem, a on nie mógł jej rozpoznać, ponieważ takie były warunki rajdu. Z nim madame Ragozy zapewne postanowiła się rozprawić tak, aby przypadł bez śladu. Lepszy księżę Gustaw, który zniknął, niż taki, który poniósł klęskę albo zbyt radykalny reformator.

– Czego ode mnie chcesz, piękna dziewczyno? – uprzejmie spytał Tezeusz.

– Pragnę cię. Ciebie całego, piękny obcy. Chcę, byś został moim ukochanym i moim mężem, żebyś pokochał mnie tak, jak ja od pierwszego wejrzenia pokochałam ciebie.

– Wybacz – Tezeusz mówił półgłosem, aby nie obudzić swoich towarzyszy. – Ale nie widzę podstaw ku temu.

W chwilach wzburzenia stawał się o wiele bardziej podobny do studenta Gustawa. Szkiełka okularów, wydawało się, pobłyskiwały przed krótkowzrocznymi oczami.

– Czy jestem tu osobą niepożądaną? Czy nie jestem piękna, księżę? Czy nie będę dla ciebie wspaniałą i wierną żoną?

– Ależ nie mam zamiaru się żenić.

– Ja też – uśmiech dotknął ust kusicielki. – I rozumiem, że twoja miłość do mnie nie może zrodzić się na pustym miejscu. Ale może ona zacząć się dziś.

– Dlaczego?

– Ze względu na dług wdzięczności. Dlatego że jestem jedyną, która może uratować ciebie i wszystkich Ateńczyków.

– A w jaki sposób?

– Przypominam sobie! – omal nie krzyknęła Kora.

Nić Ariadny! Ona teraz proponuje mu nić, a po nici wyjdzie on z Labiryntu! Korę przepęłniało dziwne uczucie, jak uczennicę, która w ostatniej chwili, już przy tablicy, przypomniała sobie lekcję.

– Mogę ci zaproponować... – Ariadna szukała właściwego słowa. Kora ledwie powstrzymała się, by nie podpowiedzieć „interes”. – Mogę zaproponować układ.

– Dziwne miejsce i czas na tego rodzaju rozmowy – zauważył Tezeusz.

– Nie będziemy mieć innego miejsca i czasu.

– Słucham więc – Tezeusz ukrywał rozdrażnienie.

– Na wyspie tylko ja i moja matka wiemy, jak przeniknąć do wnętrza Labiryntu, jak odnaleźć w nim komnatę, w której mieszka mój brat... Minotaur. I wiem, jak można stamtąd wyjść – Ariadna zrobiła pauzę. Tezeusz jej nie przerywał. – Ale w zamian zabierzecie mnie ze sobą. I ożenisz się ze mną.

– Myślisz, że będzie lepiej, jeśli opuścisz wyspę?

– Nic nie wiesz o miłości, Tezeuszu – odpowiedziała Ariadna, a ton jej głosu zdradzał kobietę, która przedmiot ten poznała dogłębnie. – W dodatku jeśli cokolwiek przydarzy się Minotaurowi, moi rodzice szybko domyśla się, kto jest temu winien. I zabiją mnie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Tezeusz kilkakrotnie otwierał usta, próbując się wtrącić, ale Ariadna powstrzymywała go gestem ręki.

– Jeśli udasz się jutro do Labiryntu, nie znając jego planu, to już po kilku krokach wpadniesz w pułapkę – nie myśl, że Labirynt to tylko niezliczone korytarze. Jest najeżony pułapkami, dołami, potrzaskami i ślepyimi zaułkami, w których roi się od jadowitych węży. Nigdy nie dojdiesz do celu. Jeśli już ktoś kogoś ma wysledzić, to Minotaur wysledzi was, gdyż wcześniej uprzedzono go, że jutro idziecie do Labiryntu. Zginiecie nie tylko wy – zginą wszyscy wasi współtowarzysze. I umrze nadzieja Aten na uwolnienie się od mojego ojca. Zastanów się, mój ukochany.

– Ryzykujesz, szlachetna pani – powiedział Tezeusz. – Nie mogę mówić o miłości do ciebie. I nie mogę obiecać ci wierności. Czy wyobrażasz sobie, pani, w jakiej sytuacji stawiasz swoją osobę?

– Ryzykuję. Ale ryzyko... w zamian za to ryzyko dostaję ciebie, Tezeuszu. Oprócz tego, teraz przyrzekniesz na wszystkich bogów, że będziesz mi wierny.

– Jazon przysiągł to Medei. Nic dobrego z tego nie wyszło.

– Żyli długo razem i byli szczęśliwi.

– Nie mogę się z tobą sprzeczać – powiedział Tezeusz. – Ale i nie mogę kląć się na imiona wszystkich bogów, że dochowam ci wierności.

– Nie liczyłam na to. Ale obiecaj mi, że się ze mną ożenisz.

– Obiecuję – przyrzekł Tezeusz. – Obiecuję, że się z tobą ożenię, Ariadno. Jeśli pomożesz mi zabić Minotaura.

– Jeśli ty nie zabijesz Minotaura, to taki mąż nie jest mi potrzebny – głośno powiedziała Ariadna. Tezeusz zrozumiał, że jego towarzysze nie śpią. Skoro już się dla nich poświęcił, teraz nie mógł ich zawieść. Ariadna wspięła się na paluszki, a Tezeusz, odgadując jej ruch, pochylił się nad nią i ich usta się spotkały. Kora poczuła w sercu nieprzyjemne ukłucie. Tak naprawdę nie powinno to jej dotyczyć – jest tylko ochroniarzem antycznego herosa. Ale on całował się ze swoją cioteczka Amalią, księżną Ragoza. Było to nienaturalne i Kora była przeciwna przyszłemu ożenkowi. Choć w starożytności, zwłaszcza w rodzinach panujących, problemy te, ze względu na zachowanie czystości krwi, traktowano inaczej. W Egipcie faraonowie żenili się zrodzonymi siostrami. Ale to właśnie starożytny Egipt...

– Być może nie uda się nam spotkać już bez świadków – wyszeptała Ariadna. – Dlatego posłuchaj. Wszystko wcześniej przygotowałam.

– Wiedziałaś, że się zgodzę?

– Tak, gdyż jesteś odpowiedzialny za innych ludzi. A to odróżnia cię od wszystkich pozostałych herosów. – Ale mój wuj Herakles...

– Twój wuj Herakles potrafi myśleć tylko o sobie. I nie zmieniaj tematu. A oto najważniejsza twoja broń.

– Co to jest?

– Zaczarowany kłębek. Kłębek nici. Gdy tylko brama Labiryntu zamknie się za tobą, rzucisz kłębek na ziemię, mocno trzymając w ręce koniec nici. Kłębek sam będzie się toczył przed tobą. A kiedy poczujesz lub zobaczysz, że nici się kończą, będzie to oznaczało, że masz przed sobą środek Labiryntu, legowisko mojego urodziwego braciszka. Dzięki temu kłębkowi sama byłam w Labiryncie.

– Można by pomyśleć, że nie kochasz swojego brata.

– Jak można kochać potwora, owoc tak strasznego grzechu?

– A co z twoim ojcem?

– Czy masz zamiar zmienić nasze pierwsze spotkanie w poranek pytań i odpowiedzi? – w głosie Ariadny Kora ponownie wyczuwała nutki księżnej Ragozy. – Powiem ci, że dla ojca Minotaur jest powodem do dumy. Podobnie jak Labirynt. Ojciec należy do tych, którzy mogą pochwalić się wszystkim, co zadziwia tłum. Nawet własną żarłocznością. Mówi się, że w górach mieszka stado krów, w którym bawi się kilkoro jego dzieci. Głupie przykłady zawsze są zaraźliwe...

– Czy rzeczywiście? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Nic nie mów, kochany. Żartowałam. Poczucie humoru to coś, co odróżnia wielkiego człowieka od zwykłego herosa.

– Dziękuję ci za kłębek, Ariadno – powiedział Tezeusz.

– Idę. Muszę się spieszyć.

– Czy zobaczę cię... – głos Tezeusza zabrzmiał o wiele za miękko, niż Kora by tego sobie życzyła.

– O drugiej będę na nadbrzeżu, przy przystani. Mam nadzieję, że nie jesteś na tyle naiwny, aby nie pomyśleć o drogach ewakuacji?

Tezeusz uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Ariadna skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała. – Im mniej osób wie o twojej tajemnicy, tym jest ona bezpieczniejsza.

Z oddali dochodziły głosy i szcęk broni.

– Wstajemy, przyjaciele – powiedział Tezeusz. – Mam nadzieję, że niczego nie widzieliście i nie słyszeliście.

Niestety, w następnych godzinach Kora mogła zobaczyć znacznie mniej, niżby sobie życzyła. Najświetniejsze wydarzenie w mitologicznych dziejach Grecji – walka Tezeusza z Minotaurom – rozgrywało się za ścianami Labiryntu i Kora mogła, podobnie jak pozostali, domyślać się jego przebiegu jedynie na podstawie rezultatów.

Najpierw liczne oddziały kreteńskiej konnicy i straży zapędziły wszystkich Ateńczyków, z wyjątkiem Tezeusza, zachowującego pozory wolności, do niskiej świątyni, stojącej w pobliżu Labiryntu – dość nieciekawe i mało wyraziste stłoczenie wież i bastionów z grubo ociosanego kamienia. W świątyni, także wyłożonej kamieniem i prymitywnej, zamknięto ich w wewnętrznych pomieszczeniach, zapewne magazynach – leżały tam toboły z wełną, poniewierało się kilka pustych amfor i potłuczonych naczyń. Kora udusiłaby się w tej kamiennej puszczy, ale na szczęście, podobnie jak w licznych starożytnych domostwach, nie było tam drzwi, a jedynie otwarte wejścia. Kora wyobraziła sobie, że jeńcy potrzebni są Minosowi po to, aby w momencie, gdy z wnętrza doniesie się triumfujący ryk Minotaura bądź wzniesie on nad środkiem Labiryntu jakiś znak zwycięstwa, będzie można postanowić – czy po kolei zaczną przekazywać jeńców Minotaurowi na pożarcie, czy też najpierw złożą z nich ofiarę na ołtarzu własnych żądz.

Kiedy oczy Kory oswoiły się z półmrokiem ciemnicy, w której przebywały tylko dziewczęta – jeńców ponownie podzielono według płci – zrozumiała, że z góry spod sufitu przenika światło. W niedokładnie dopasowanych płytach były szczeliny. Wtedy Kora, gestem nakazawszy swoim koleżankom milczenie, podciągnęła pod ścianę kilka tobołów z wełną, weszła na nie i uzyskała możliwość obserwacji z podziemnego schronu prób atomowych, to znaczy zobaczyła wejście do Labiryntu – uchyloną teraz, kutą w brązie bramę, plac przed nią, wypełniony Kreteńczykami i podium, na którym stały najznakomitsze w państwie osoby. Z przodu – tłusty bydlak Minos, obok niego rozłożysta w biodrach Pasifae i dwie przecudne księżniczki.

Następnie wszedł na podium Tezeusz i między nim a Minosem zawiązała się długa rozmowa; Kora zaczęła podejrzewać, że rozmawiają o wyborze broni. Za przykładem swojego wielkiego wuja Tezeusz bardzo chciałby zabrać z sobą żelazną maczugę, natomiast Minos upierał się przy mieczu z brązu – broni niezbyt przydatnej w walce z każdym bykiem.

W końcu Tezeusz dał za wygraną i skierował się ku wejściu do Labiryntu. W miarę jak się zbliżał, tłum zaczął się rozstępować, pozostawiając Tezeuszowi przejście. Żołnierze starali się otworzyć bramę Labiryntu, lecz ta nie ustępowała.

O ile centralne wejście do Labiryntu wychodziło na plac, jakby wiszący nad zejściem do portu, to jego boczne ściany i bastiony spoglądały w stronę morza. Kora z trudem mogła dojrzeć stojący przy przystani okręt Ateńczyków. Wydawało się jej, że rozpoznaje na nim ciemnowłosego Feaka i wioślarzy, zajętych jakimiś zwyczajnymi czynnościami i nie zwracających uwagi na zbiegowisko u góry.

Młodzieniec, zastępujący dziewczynę, wspiął się na toboły obok Kory.

– I co? – wyszeptał. – Wszedł?

Pozostałe dziewice zbiły się na dole w gromadkę. Czasami któraś podkradała się do szczeliny, ale robiła to ostrożnie, by nie usłyszeli jej wartownicy, stojący na zewnątrz.

Przed czarną czeluścią Labiryntu Tezeusz zatrzymał się. Uniósł miecz. Zapewne bardzo chciał, aby któryś z przyjaciół go zobaczył. Przecież musiał odczuwać lęk. Kora rozumiała to o wiele lepiej niż inni. W Tezeuszu współistnieli i starożytny heros, dla niego świat ten był zwyczajny i strach także był pierwotny, i skończony demokrata, student, który dojrzywał do przyszłych spraw i politycznych zwycięstw, lecz w głębi duszy, o tym nie wiedząc, Tezeusz bardziej był Gustawem niż Hellenem.

Nikt mu w odpowiedzi nie pomachał, oprócz Ariadny, która ostrożnie uniosła delikatną rączkę, jakby chciała poprawić niesforny jasny kosmyk.

Tezeusz zniknął w ciemnej otchłani Labiryntu.

Potem zapanowało długie oczekiwanie.

Czekanie było pełne napięcia i nieprzyjemne, ale Kora nie odczuwała obaw o Tezeusza. Żal jej było ateńskich dziewcząt, jeśli Tezeusz nie pokona byka...

Kora zeszła z tobołów, jej współtowarzyszki kolejno wchodziły do góry, aby nie pozostawiać placu bez obserwacji, zdawały sobie jednak sprawę z tego, że wędrówka po Labiryncie i walka z Minotaurem mogą potrwać długo, a w dodatku nie wiadomo, jak się wszystko zakończy.

Dziewczęta usiadły rzędkiem na workach, objęły się i zaśpiewały chórem, melodia była prosta i tęskna, ale znajoma, zapewne przeżyła ona swoje trzy tysiące lat i Kora w przyszłości z nią się spotkała. Dziewczyny śpiewały pięknie, na trzy głosy, potem dołączał do nich młodzieniec. A Kora wyobrażała, jak Tezeusz idzie korytarzami Labiryntu, w niektórych tylko miejscach rozświetlonymi dziurami w dachu – Kora pytała o to Feaka. Otwory zrobiono specjalnie, aby przenikało przez nie światło do rozgałęzień korytarzy. „Wszak nie wyśle sług do środka, aby zmieniali pochodnie lub olej w kagankach. To dziwne – pomyślała Kora. – Czytasz starożytne mity i nigdy się nie zastanawiasz: w jaki sposób widział Tezeusz, skoro w Labiryncie nie ma światła?”

Właśnie idzie, czujny, zatrzymując się co kilka kroków, aby wsłuchać się w ciszę Labiryntu – przecież Minotaur też nie stoi w centrum, pochylając głowę uzbrojoną w ciężkie rogi i oczekując wroga. On z pewnością czai się na Tezeusza za rogiem.. Ostrożniej, Tezeuszu!

Ale koniec tej historii nastąpił nieoczekiwanie i okazał się zupełnie nie taki, jakim Kora mogła go sobie wyobrazić.

– Patrzcie! – krzyknął młodzieniec, dyżurujący przy szczelinie.

Początkowo w żaden sposób nie mogła się zorientować, co się dzieje. Zbyt daleko od niej, a do tego podświetlony od tyłu ukośnymi promieniami porannego słońca, drobny człowieczek wylazł na dach Labiryntu – prawie w jego centrum. W ręku figurka ta trzymała coś okrągłego i ciężkiego, widać było, jak się wygina, aby zachować równowagę.

I wtedy, bardziej mocą swej wyobraźni niż siłą wzroku Kora pojęła, że widzi Tezeusza, który w jakiś sposób wszedł na dach Labiryntu i unosi w ręku głowę byka. Potem Tezeusz zeskoczył i zniknął prawie na dwadzieścia minut – były to najdłuższe minuty w życiu Kory Orwat. Starła się nie stracić z pola widzenia tego, co dzieje się na podium, między wysoko postawionymi widzami.

Wybuchła tam panika.

Zakończenie walki było do tego stopnia nieoczekiwane, że Minos i jego żona nie chcieli w to uwierzyć i nawet posądzali Tezeusza o kręactwo. W tym czasie nie mogli wymyślić, w jaki sposób Tezeusz ich oszukał i tracili czas, skacząc sobie do oczu. Jakieś ważne osoby wydawały rozkazy i po chwili je zmieniały, a w miarę tego, jak nadchodził moment pojawienia się Tezeusza, zamieszanie

w szeregach Kreteńczyków coraz bardziej rosło. Ale tak nie mogło trwać w nieskończoność, a wraz ze wzrostem zgiełku pojawiała się w nim pewna logika, inicjowana przez Minosa, który już (pozmienia) najgłupsze i najbardziej pochopne decyzje. Wezwał właśnie do siebie kilku żeglarzy i zaczął z nimi rozmawiać szeptem.

Nie było wiadomo, kiedy pojawi się Tezeusz. Kora przypuszczała, że pozostały im zaledwie minuty. Dalszy rozwój wypadków zależał od tego, na ile jego wyjście z Labiryntu pokryje się z działaniem pozostałych Ateńczyków. Ani Kora, ani Feak – żadne z nich nie łudziło się, że po zabiciu Minotaura Ateńczycy odzyskają obiecaną wolność. Teraz trzeba było uciekać, w przeciwnym razie z zemsty wszyscy zostaną zabici, a dopiero później, kiedyś tam rozpoczną się pokojowe rozmowy z Atenami.

Kora rzuciła spojrzenie na przystań – wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Zobaczyła to, co spodziewała się ujrzeć – ateńskich wioślarzy, którzy dwójkami, trójkami przekradali się do zacumowanych w pobliżu wojennych łodzi Kreteńczyków i pospiesznie dziurawili toporami ich dna, wykorzystując to, że załogi okrętów przebywają na placu przed Labiryntem w nadziei, że będą świadkami historycznego momentu – śmierci Tezeusza.

Teraz przyszła kolej na Korę – była najstarsza w tym towarzystwie.

Wyszarpnęła krótki sztylet, ukryty pod ubraniem; podporządkowując się temu sygnałowi, przebrany za dziewczynę młodzieniec także obnażył broń.

Eribea na znak Kory pozostała na workach przy szczelinie – powinna dać sygnał, kiedy Tezeusz wyjdzie z Labiryntu.

Młodzieniec ze sztyletem i Kora zamarli po obu stronach otworu drzwiowego, za którym chodzili, rozmawiając ze sobą, żołnierze. Wojownicy zwracali znacznie większą uwagę na ten pokój, gdzie byli zamknięci młodzi ludzie – uwolnienie się stamtąd było niemożliwe – wcześniej zostali obszukani, rozbrojeni, w drzwiach stało kilku ciężkozbrojnych żołnierzy z krótkimi pikami, skierowanymi ku drzwiom. Wszystkie nadzieje były wiązane tylko z dziewczętami, z wymyślonym jeszcze w Atenach przez przeczernego Tezeusza podstępem – atak powinien nastąpić z tej strony, z której przeciwnik najmniej się go spodziewa.

– Idzie! – krzyknęła dziewczyna. – Oj, dziewczyny, on jest cały we krwi! Za chwilę upadnie.

Wydawało się, że hałas i krzyki, dochodzące z placu, wstrząsnęły grubymi ścianami świątyni. Można było przypuszczać, że także strażę świątynnych podziemi zamarły, wsłuchując się w krzyki na górze i starając się zrozumieć, czy oznaczają one zwycięstwo Minotaura.

– Naprzód! – rozkazała Kora.

Młodzieniec posłusznie rzucił się do przodu, Kora za nim. Dwaj strażnicy przy drzwiach ugodzeni sztyletami padli natychmiast, nie oczekiwali ataku ze strony dziewczyc, których pilnowali. Kora i jej partner walczyli w milczeniu, rozpaczliwie i szybko, usiłując, zanim straż się opamięta, przebić się do drzwi, za którymi czekali ich towarzysze. Tylko we wspólnym działaniu można było mieć nadzieję na pokonanie żołnierzy, którzy stracili po ataku głowę, ale zaskoczenie wkrótce minie, a wtedy sytuacja Ateńczyków stanie się beznadziejna.

Po minucie Kora była już przed drzwiami w podziemiu, gdzie przebywali ateńscy młodzieńcy. W półmroku piwnicy świątynnej migwały czarne cienie, słychać było krzyki i szcęk broni, oczy przerażonego strażnika napotkały wzrok Kory, a ta błyskawicznie z wysoku kopnęła go nogą w brzuch w nadziei, że teraz już nieprędko się ocknie.

Dobrze przekonywać siebie, że wszystko jest grą. Wszystko to wirtualny rajd, złuda, wynalazek wyrafinowanych umysłów dalekiej przyszłości. Ale kiedy natrafiasz ręką na gorącą spoconą skórę, kiedy krew, bryzgająca z rany żołnierza parzy ci bok, kiedy w krzyku rwącego się do ciebie żołnierza

czujesz zapach czosnku – to jaka to, do diabła, gra?

Ale walczyć trzeba.

„Kogo ja zabijam? Fantomy czy ludzi?

– Wychodźcie! – krzyknęła Kora, starając się przekrzyczeć hałas i łoskot w podziemiu. – Prędejj! Zabierzcie swoją broń! Wyprowadźcie dziewczęta!

Podporządkowali się jej. Jeśli obejmujesz dowództwo, jeśli robisz to z przekonaniem, dobrze znasz cel i wiesz, jak go osiągnąć – ludzie gotowi są powierzyć ci swoje życie w nadziei, że szansa na jego zachowanie będzie większa, niż gdy zaczną działać z własnej inicjatywy. Nie myślą o tym, nie analizują, po prostu zaczynają szybciej i sensowniej się poruszać.

Ateńczycy przebili się do wyjścia z piwnic świątynnych i nikt ich nie ścigał, ponieważ pozostali przy życiu żołnierze byli zdezorientowani i przerażeni tym, co zaszło. Kora nie straciła orientacji. Obalwszy kilku żołnierzy, którzy znajdowali się przy świątyni, Ateńczycy hurmem rzucili się w dół, do okrętu. Tam przy wiosle sterowym stał Feak i krzyczał na wiosłarzy, ponaglając ich, by zajmowali swoje miejsca. Okręt wykonał już zwrot w taki sposób, że z przystanią łączyły go tylko wąskie trapy, a po obu burtach była otwarta wodna przestrzeń, w której wiosłarze zanurzyli wiosła, gotowe do wykonania pierwszego zamachu.

Teraz Kora, zamykająca grupę Ateńczyków, mogła odwrócić się i zobaczyć, jak mają się sprawy Tezeusza. I w samą porę, ponieważ stała się świadkiem historycznej chwili.

Właśnie w tym momencie wymazany krwią i śmiertelnie zmęczony, ślaniający się na nogach Tezeusz rzucił do nóg Minosa monstrualną głowę jego syna – sztywna sierść mierzwiła się na potężnym łbie byka, rogi miał poślacane, oczy półotwarte... Głowa z ciężkim, głuchym łoskotem uderzyła o ziemię.

– Ateny są wolne! – zawołał Tezeusz.

– Brać go! – Minos jakby czekał na ten właśnie moment, lecz nie zdążył uprzedzić słów Tezeusza.

U boku Minosa nie było zwykłych żołnierzy – podszedł do Labiryntu tak blisko, że tłum dworzan i znamienitych Kreteńczyków, który wyrwał za nim, oddzielił ochronę, stąd też pojawiła się przeszkoda. Nawet sam Minos nie mógł wyciągnąć miecza. Co się tyczy natomiast kreteńskiej arystokracji, to żaden z książąt królestwa nie śmiał podnieść miecza na Tezeusza...

Ariadna biegła już po stromym stoku w ślad za grupą Ateńczyków. Specjalnie tego ranka ubrała krótki chiton, by nie przeszkadzał jej w biegu. Nikt jej zresztą nie ścigał, gdyż uwaga wszystkich skupiła się w tym momencie na Tezeuszu.

Tezeusz rzucił okiem w stronę morza. Natychmiast ocenił sytuację. Ateńczycy dobiegali już do przystani. Chyż Ariadna za chwilę ich dogoni.

– Żegnaj, królu Minosie! – zakrzyknął Tezeusz i pomknął w dół, za swoimi współtowarzyszami.

I wtem ludzka masa, włącznie ze starcami, kobietami i dziećmi, którzy przybyli tu, by nacieszyć się uroczystością, nabierając szybkości i wydając złowieszcze odgłosy, jak gigantyczny rój pszczoł stoczyła się po zboczu ku statkom.

Na przedzie gigantycznymi skokami sunął z obnażonym mieczem sam król Minos. Za nim jego ochrona i wodzowie. Następnie dworzanie, potem prości żołnierze i zwykli gapie. Kora pomagała młodzieńcom wrzucać piszczące dziewczice na okręt. Tezeusz krzyknął jeszcze w pół drogi, ale tak, że jego głos dotarł do sternika Feaka:

– Czy dna ich okrętów podziurawione?

– Podziurawione, królewiczu. Pospiesz się! Rzeczywiście, zmęczonego Tezeusza doganiali wrogowie. Wtenczas stanął i zaczął wymachiwać mieczem, starając się zatrzymać tłum.

Ale tłuszcza tylko na moment spowolniła bieg, a potem ci z tyłu tak zaczęli napierać na

znajdujących się z przodu, że Tezeusz zrozumiał, iż nie zdoła powstrzymać Kreteńczyków. Znowu pobiegł i zdążył dobiec do przystani w ostatniej chwili, udało mu się też złapać na przystani Ariadnę, która opadła z sił i szlochała w rozpacz, że nie zdąży na okręt.

– I... raz! – krzyknął Feak.

Wiosła zgodnie rozcięły spokojną zieloną toń i ciężki okręt z miejsca wyskoczył do przodu.

Ścigający zapełnili przystań i po trwającym minutę zmieszaniu zaczęli strzelać do uciekinierów z łuków i rzucać włóczniami – zrobiło się ciemno od roju ostrych strzał. Włócznie i strzały wybijały werble na burtach i ławkach okrętu, ktoś został ranny, ktoś krzyknął, ktoś upuścił wiosło, a jeden z byłych zakładników rzucił się na ławkę, by zająć miejsce rannego wiosłarza. Ale po minucie strzały przestały dolatywać do okrętu.

A na przystani i obok niej wrzało. Kreteńczycy starali się wyczerpać wodę z okrętów bojowych, podziurawionych przez ateńskich wiosłarzy, zatykali dziury pakułami. Jeździec pogalopował do sąsiedniej zatoki, aby poderwać tam drugą kreteńską flotę.

– Postawić żagiel! – wydał rozkaz Feak.

Czarny żagiel wpłynął po maszcie do góry i, podchwyciwszy wiatr, wydał się jak pęcherz.

„Teraz nikt już nas nie dogoni – pomyślała Kora. – Udało się”.

Tezeusz leżał jak długi na złożonym na dnie białym żaglu. Był tak wymazany krwią, jakby się w niej kąpał.

Nikt o nic go nie pytał.

Tezeusz również milczał.

Potem powiedział:

– Musimy pamiętać...

Nikt nie zrozumiał, o czym mówi.

– Musimy pamiętać – powtórzył, zamykając oczy zasypiając – O zmianie żagla.

Tezeusz usnął.

Nikt do niego nie podszedł.

Tylko Ariadna siedziała dwa kroki od niego, z obawą patrzyła na Ateńczyków, którzy sprawiali wrażenie, że jej nie zauważają, ciężko było im pojąć, czy jest ona ich wybawicielką, czy też córką I wroga... i czego można po niej oczekiwać.

Tak samo patrzyła na nią Kora.

Prawie nie miała wątpliwości, że Ariadna jest wyidealizowanym komputerowym wcieleniem madame Ragozy.

I teraz, gdy zwyczajne czyny już za nimi, trzeba będzie nie spuszczać oczu z tej dziewczycy. Dla Tezeusza jest ona większym zagrożeniem niż dziesięciu Minotaurów.

Wiatr wzmagął się, Feak rozkazał osuszyć wiosła, wiosłarze zaczęli rozmawiać, wspominając przygody minionego ranka, do nich przyłączyli się zakładnicy i zakładniczki, a każdy opowiadał, co działo się wokół niego. Korze też się dostało – okazało się, że jest prawdziwą Amazonką i pokonała dziesięciu Kreteńczyków. Na szczęście to nie było tak. Ale Kora nie oponowała. Też była zmęczona i niewyspana.

We śnie Korze wydawało się, że Ariadna zmienia się w skrzypiącą niby pergamin księżną Ragoza, która ponownie stając się młodą, stąpa wolno niczym baletnica i zbliża się do wyciągniętego na żaglu Tezeusza. Ma w ręku nóż i Kora pojmuje zamiary księżnej: zaraz odetnie ona księciu Gustawowi głowę i wrzuci ją do morza tam, gdzie w pogoni za ateńskim okrętem podążają stada rekinów. Musi się obudzić i powstrzymać zabójczynię, przecież zadaniem Kory jest niedopuszczenie

do śmierci księcia! Jeśli nie potrafiłaś pomóc mu w Labiryncie, pomóż chociaż na wąskiej powierzchni okrętu.

Kora zerwała się na równe nogi. Usiadła. Okręt bezdźwięcznie ślizgał się po czarnym morzu, Morza Jońskiego nigdy nie zamieszkiwały niebezpieczne rekiny... Tezeusz śpi spokojnie, widzą go i sternik, i obserwator. Nic tu nie może mu zagrozić. Ariadna również śpi, zwinięta w kłębek na wołokowej derce pośród innych ateńskich dziewcząt.

Kora nie miała wątpliwości, że Ariadna zaplanowała zabójstwo Tezeusza – ale jak?

Z tą myślą zasnęła ponownie, a potem, o brzasku, w półśnie wydawało się jej, że już się domyśla, w czym tkwi zagadka, ale tu nastąpiło tragiczne zdarzenie, które zmusiło Korę, by zapomniała na jakiś czas o swoim zadaniu.

Właśnie obmyła się wodą morską i odwiedziwszy prymitywną toaletę, zamontowaną na dziobie okrętu tak, aby fale ją zmywały, usiadła wśród dziewcząt w oczekiwaniu na poranną strawę – placki, praśny ser i zsiadłe mleko, rozcieńczone wodą. Wszyscy byli w doskonałym nastroju; euforia wyspanych zwycięzców, kiedy wydarzenia dnia wczorajszego wywołują tylko zanadto gromki śmiech. Okazuje się, że od początku dla Ateńczyków było jasne, że wszystko zakończy się pomyślnie.

Tezeusz jeszcze spał i to był jedyny powód, dla którego młodzież powstrzymywała się przed straszliwym hałasowaniem.

Nagle Feak, który przez całą noc nie opuścił swego miejsca przy sterze i uważnie obserwował horyzont i niebo, by określić kurs statku, wydał ostrzegawczy okrzyk. W jego głosie słyhać było strach i nieokiełznana radość Ateńczyków opadła jak zdmuchnięta wiatrem. Wszyscy obrócili się w stronę, którą wskazywał Feak.

Tam, wysoko na niebie, ponad chmurami, dokąd mogły wznieść się tylko orły, doganiając okręt unosiły się dwa punkty, dwa ptaki. Wydawało się, że nie niosą one żadnego zagrożenia.

– Co to? – zapytał Tezeusz, budząc się błyskawicznie i chwytając się masztu.

Kora zrozumiała, że w minionym dniu stał się o wiele starszy i nie można już nazywać go chłopcem. Tezeusz poprawił nieistniejące okulary i, jak gdyby czując spojrzenie Kory, na mgnienie omiółt ją wzrokiem i uśmiechnął się szczerze, a nawet łobuzersko. Kora wskazała oczami na rozbudzoną Ariadnę, która siedziała, obejmując kolana delikatnymi rękami. Ariadna nie odrywała oczu od swojego męża – wszak Tezeusz był jej mężem? Także jej uwadze nie umknęła wymiana spojrzeń między Korą a Tezeuszem.

Ariadna zmarszczyła czoło, była zła. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale ponowny okrzyk Feaka odwrócił jej uwagę. Teraz było już wiadomo, że na niebie lecą nie ptaki, a jakieś inne istoty – najprawdopodobniej ludzie, ponieważ ci, którzy mieli doskonały wzrok, zauważyli ludzkie ciała, rozstawione dla równowagi nogi i głowy bez dziobów.

– To bogowie! – zapiszczała Peribea.

– Nie – powiedziała Ariadna, wstając i wyciągając rękę do Tezeusza, aby ją podtrzymał. Tezeusz ujął jej delikatne palce. Kora wzdrygnęła się.

– Nie – powtórzyła Ariadna. – Myślę, że to Dedal ucieka przed gniewem mojego ojca.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Tezeusz. – Przecież cieszy się pełnym zaufaniem króla.

– Was tam nie było – powiedziała Ariadna. – Kiedy w drzwiach Labiryntu pojawił się Tezeusz z głową mojego brata, a matka Pasifae zobaczywszy, że jej syn nie żyje, nieoczekiwanie nie wytrzymała i krzyknęła: „O bogowie! Co za nieszczęście! Lepiej byłoby, gdyby Dedal nie zrobił mi łoża po to, abym mogła się oddać białemu bykowi! Każda namiętność wiedzie do nieszczęścia!”. Tak krzyczała moja matka, nie zdając sobie sprawy z tego, że się zdradza. Przecież wszyscy w pałacu, włącznie z ojcem, myśleli, że jest niewinną, nieszczęśliwą ofiarą tego byka. A wtedy ojciec, i bez

tego przepełniony gniewem, obrócił się do mistrza Dedala i krzyknął: „Śmierć ci, zdrajco!”. Nie wiem, czym się to skończyło, bo wkrótce sama uciekłam... Ale wiem, że Dedal już od dawna uczył się latać, sklejał orle pióra woskiem, łączył je z cienką ramą i robił skrzydła, aby mocować je do rąk. Myślę, że to on.

– A kto jest tym drugim?

– Ten drugi to jego ukochany syn Ikar – odpowiedziała Ariadna. Wszyscy patrzyli, jak dwie figurki zbliżają się, doganiając okręt.

Kora przypomniała sobie niedawną rozmowę w domu centaura Folosa. Rozmowa, w której mówiło się o geniuszu i podłości...

Helios, bóg Słońca, już wysoko wzbił się na swoim rydwanie do nieba i gdy patrzyło się, jak leci ojciec i syn, trzeba było zakrywać oczy dłońmi. Jeden z nich leciał prosto, niewysoko nad morzem. Równo i wytrwale. Drugi wciąż szukał okazji – a to musnąć skrzydłem fale, a to wzbić się ku lekkim chmurom, ku samemu Słońcu.

Rozsądny lotnik był już blisko i rysy jego twarzy wydały się Korze znajome. No oczywiście, to był Dedal. Zrobiło się bardzo cicho. Poranne morze było spokojne, jak lustro, wiaterek wiał równo i bezgłośnie i nagle wszyscy usłyszeli, jak Dedal krzychał:

– Synu mój, uważaj! Nie wznos się za wysoko, bo słońce stopi woski! Słyszysz mnie, Ikarze? I nagle Kora pojęła, że Ikar odleciał tak wysoko i daleko, iż wątpliwe, czy słyszał ostrzeżenie ojca – wszak machał skrzydłami, a wiatr świstał mu w uszach i szumiał w orlich piórach. Kora wiedziała, czym zakończy się teraz ta historia. O tym czytała.

Coś działo się ze skrzydłami Ikara – zaczęły się giąć, obtapiać się, traciły swoje idealnie doskonałe kształty. Dedal zaczął wznosić się coraz wyżej, ale zorientował się, że ryzykując życiem, nie zdoła uratować syna i kontynuował lot; potem mógł już tylko patrzeć, jak obok niego, nabierając szybkości, z rozpaczliwym krzykiem: „Ojczy, ratuj!” – spadał, wirując jak ptak przebity strzałą, jego syn Ikar.

Uderzył o tafelę wody, unosząc wysoką fontannę i od razu zniknął pod powierzchnią morza. Feak nie doczekawszy się rozkazu, napał na wiosło sterowe, kierując okręt w tę stronę, a wiosłarze nie czekając na komendę, rzucili się do wiosła i zaczęli szybko wiosłować. Dedal krążył nad miejscem, gdzie Ikar spadł do morza. Okręt dotarł tam po kilku minutach, ale na wygładzonej powierzchni wody jedynie wolno unosiły się białe i czarne orle pióra.

Dedal w milczeniu uporczywie krążył nad statkiem, jakby go nie zauważając.

I nagle któryś z wiosłarzy krzyknął:

– Patrzcie!

Z granatowej głębi wody wolno wynurzyło się ciało Ikara – morze zwracało swoją ofiarę. Kilku wiosłarzy wskoczyło za burtę i podtrzymując ciało Ikara, podało go towarzyszą, którzy wychylali się z pokładu.

– Dedalu! – krzyknął Feak. – Czy widzisz wysepkę, tę z kamienną skałą, stojącą osobno? Przybijemy do niej i pomożemy ci pogrzebać syna.

Dedal nie odpowiedział, poszybował w kierunku wyspy i kiedy wiosłarze po godzinie wynieśli na brzeg ciało Ikara, Dedal czekał na nich. Obok leżały starannie złożone skrzydła. W trakcie pogrzebu nie powiedział ani słowa.

Potem okręt wziął kurs dalej, na wyspę Naksos, aby uzupełnić zapasy wody i owoców. Przed nimi był cały dzień podróży. Dedal ponownie wzbił się w niebo i wkrótce rozpląnął się w chmurach.

Kora z zainteresowaniem śledziła życie nieoczekiwanie założonej rodziny Tezeusza, której niezwykłość zresztą nie umknęła też uwadze innych Ateńczyków. Wokoło słychać było szepty, jak na

balu, na którym oczekiwano, czy Dantes zaprosi do walca piękną żonę Puszkina, czy też się nie ośmieli.

Oczywiście, porównanie nie było szczególnie udane, po prostu inne nie przychodziło Korze do głowy. Wkrótce po tym, jak Ateńczycy oddali ziemi martwego Ikara i wzmagający się wiatr, zrywając z wierzchołków fal białe baranki, jeszcze szybciej poniósł okręt do domu, Ariadna przeszła do Tezeusza i razem zjedli posiłek, taki jak inni wioślarze. Na okręcie znalazło się kilka amfor z winem, po zmieszaniu go z wodą młodzi ludzie gasili nim pragnienie i koili nerwy.

Kora, która siedziała niedaleko od Tezeusza i Ariadny i słyszała każde ich słowo, była równie skonsternowana jak pozostali podróżnicy.

– Nie wiem – powiedział Tezeusz, odgryzając kęs z dużego plastra sera. – Jak mam przedstawić cię mieszkańcom Aten i memu ojcu. Wiesz przecież, że u nas nie lubią Kreteńczyków. Zbyt dużo było nieszczęść z waszego powodu.

– Nie opowiadaj głupstw – odpowiedziała Ariadna. – Ateńczycy postępowali z moimi rodakami dziesięć razy gorzej. Jeszcze nie tak dawno miałam dwóch wspaniałych braci – jednego z nich podstępnie zabił twój ojciec...

– Ariadno!

– Mam prawo mówić prawdę! Cała Hellada wie, że mojego brata zabito z zawiści. A drugiego mojego brata zabiłeś ty i twoje ręce do tej pory umorusane są po łokcie we krwi.

– Ariadno! – Tezeusz starał się zachować jak najdalej posuniętą uprzejmość. – A kto dał mi kłębek? Kto zaproponował mi siebie za żonę, jeśli zabiję twojego brata?

– To jest właśnie przerażające! – krzyknęła Ariadna. – To jest właśnie przerażające, iż doprowadziłeś nieszczęśliwą, całkiem niewinną dziewczynę do tego, że zdradziła swoją rodzinę i rzuciła się w objęcia obcego. Zresztą, objąć jeszcze nie było...

– Nie spiesz się, Ariadno – odrzekł Tezeusz. – Przybędziemy do Aten, przedstawię cię, jak należy, moim rodzicom, wyprawimy wesele. Zgodnie z najlepszymi antycznymi tradycjami. – Nie wierzę ci, gdyż pokochałam cię od pierwszego wejrzenia, a ty i tak mnie nie pokochałeś.

– Ariadno, bardzo cię szanuję. Będę do śmierci wdzięczny ci za to, co zrobiłaś dla moich ukochanych Aten. Moi współtowarzysze także pozostaną na wieki twoimi dłużnikami.

Nieoczekiwanie bezładny dźwięk głosów doszedł z każdego końca okrętu – okazało się, że wszyscy bez wyjątku jego pasażerowie słyszeli tę rozmowę i zgodzili się z Tezeuszem.

– Nie myl ważnych pojęć! – oburzyła się Ariadna, unosząc delikatną rączkę, by powstrzymać Ateńczyków przed uczestnictwem w rozmowie. – Miłość i szacunek to nie tylko odmienne uczucia, to są uczucia, które wzajemnie się wykluczają. W ciągu tysiącleci ludzie będą mówić i pytać o jedno i to samo: „Czy mnie kochasz?” i odpowiadać: „Nie, ja cię szanuję”.

– To zbliżone uczucia – usiłował zaoponować Tezeusz. – Zamilcz! – oczy Ariadny płonęły jasnym, niebiańskim światłem.

Twarz jej mocno poczerwieniała. Taka kobieta może wydać rozkaz o straceniu, choć sama nie potrafi wbić sztyletu. – Chcę cię uprzedzić wobec wszystkich twoich współtowarzyszy – mam na pokładzie pół setki świadków. Zostaniesz moim mężem, pokochasz mnie, a kiedy odziedziczysz ateński tron, zostanę królową Aten. A jeśli ośmielisz się w jakikolwiek sposób próbować uniknąć swego losu, strzeż się – moja zemsta osiągnie cię w każdym punkcie Ziemi.

– A jednak – Tezeusz wykazał upór, co jest charakterystyczne dla osób o łagodnej naturze. – Przy wszystkich twoich wspaniałych zaletach nie mogę powiedzieć, że zdążyłem pokochać cię po tych kilku godzinach, które się znamy. Zrobię wszystko, co ode mnie zależy, by odpowiedzieć ci wzajemnością, ale i ty musisz wykazać się cierpliwością. Nie mogę pokochać na rozkaz i po pół

godzinie.

Entuzjastyczne okrzyki, a nawet oklaski rozległy się ze wszystkich stron okrętu, co wywołało grymas niezadowolenia na twarzy Ariadny.

Historia ze śmiercią Ikara zabrała okrętowi prawie pół dnia, ponieważ w drodze do Naksos trzeba było zrobić jeszcze jeden przystanek, by przenocować na wysepce bez nazwy, na której, na szczęście, bił spod skały strumyk słodkiej wody, a w zatoczce, do której wpadał, wirowało w korowodzie kilka syren.

Wieczór wydawał się ciepły, niektórzy wioślarze wskoczyli do zatoczki, aby poigrać z syrenami, ale Tezeusza to nie niepokoiło, gdyż zatoka nie była głęboka, a wejście do niej tak wąskie, że wystarczyło posadzić dwóch co bardziej krzepkich wioślarzy, pozbawionych muzycznego słuchu, na wypadek, gdyby któryś z młodzieńców postanowił wypłynąć na odkryte morze z syreną i zginąć w jego odmętach. Ale syreny tego wieczoru nie miały agresywnych zamiarów, a młodzi ludzie – pragnienia przeżycia miłości fatalnej, więc baraszkowali tylko z syrenami w zatoczce, a co bardziej niecierpliwi szli z nimi w nadbrzeżne zarośla, by oddawać się pieszczotom.

Tezeusz poszedł pomóc wioślarzom – gdy opuszczali Kretę, pękł maszt i trzeba go było naprawić. Oprócz tego w dwóch miejscach zostało uszkodzone poszycie. Kora usłyszała, jak Ariadna przysiadła się do rudego garbusa Nausitoosa. Siedział przy wiosle sterowym. Ariadna mówiła cicho, prawie szeptem, Kora musiała włączyć swój słuch na pełną moc, ale i tak bardziej domyślała się, niż słyszała, o czym rozmawiała królowna ze skromnym sternikiem.

– ...nie – doszło do Kory. – Chcę wiedzieć, jakie jest twoje najważniejsze marzenie.

– Ożenić się.

– A czy wiesz z kim?

– Ona za mnie nie wyjdzie, bo jestem potworem.

– Dlatego że jesteś potworem czy dlatego, żeś biedny? Co by się stało, gdybyś był bogaty?

– Wtedy wydadzą ją za mnie. Ale dlaczego zadajesz, o pani, takie pytania?

– Gotowa jestem dać ci pieniądze na wykup twojej narzeczonej.

– Nie. To niemożliwe. Oni są bardzo bogaci. – Ile?

– Pół talentu srebra.

– My na Krecie mamy inne miary... Ile to będzie pieniędzy? Pomocnik sternika popatrzył na królowną jak na wariatkę.

– Królowna nie wie, ile drachm ma talent?

– Zapomniałam. Wolno mi zapomnieć. Pieniądze dawano mi bez liczenia.

– Talent ma sześć tysięcy srebrnych drachm.

– Nic mi to nie mówi – z roztargnieniem odpowiedziała Ariadna. Była już gotowa zawołać na pomoc Korę, lecz się zreflektowała. Jej wypukłe czołko zmarszczyło się. Zapewne, w odróżnieniu od Kory, Ariadna nie tak pilnie odrabiała zadania domowe.

– To dużo? – zapytała z roztargnieniem.

– Dwa talenty srebra to wasza waga, pani. To oznacza, że za ćwierć tego można wykupić moją narzeczoną.

Nausitoos nie był szpetny i przekrzywiony. Raczej wydawał się zanadto chudy. A jego twarz była posępna, małpia, lecz obłudna, jak u satyra.

Ariadna obrzuciła spojrzeniem swoje ciało, jej wzrok zatrzymał się na nodze. Podkurczyła nogę.

– Bardzo drogo – zgodziła się. – Ale mogę ci pomóc.

– Jestem bardzo wdzięczny – odrzekł pomocnik sternika. – Ale co powinienem uczynić w zamian? Nie ma cudów za darmo.

– O tym porozmawiamy później – odpowiedziała królowa. Z jakiegoś powodu Nausitoos nie spodobał się Ariadnie, nie wzbudził jej zaufania. A, być może, cena okazała się zbyt wysoka?

– Co trzeba zrobić? – spytał pomocnik sternika.

– Spełnić moją prośbę.

– Jaką?

– Powiem ci nocą, kiedy przybijemy do wyspy. Nausitoos wzruszył szerokimi plecami.

– Ariadno! – zawołał do narzeczonej Tezeusz. – Czy byłaś na Naksos?

– Tak – szybko odpowiedziała Ariadna.

– Mogła tam być – Naksos leży blisko Krety, choć należy już do Cykladów. Na razie są to dzikie, niezamieszkałe, a nawet zapomniane ziemie. Na Naksos nocują czasami rybacy lub przeczekują noc i niepogodę żeglarze, podróżujący z Krety do Attyki bądź na Kretę, ale na stałe mieszkają tam jedynie duchy strumyczków, czasem zajrzą okeanidy, a mówi się też, że pasł się tam Pegaz.

– Czy jest tam słodka woda? – zapytał Tezeusz.

– Płyną tam prawdziwe rzeki. To duży obszar.

– Czy są tam drzewa?

– Rosną nawet drzewa oliwne. I są dzikie kozy.

Głos Ariadny był srebrzysty, pieszczotliwy, delikatny. Lekko niczym kotka podeszła do Tezeusza.

Dlaczego proponowała garbusowi pieniądze? Skłonna była zapłacić dużo. Za zabicie Tezeusza?

To prawdopodobne. Jej samej trudno zabić narzeczonego tak, aby nam nie udało się go ożywić.

Z pomocą potężnego garbusa mogła coś wymyślić.

– Hej, Feaku! – zawołał do sternika Tezeusz. – Znasz na Naksos jakąś dobrą zatokę?

– Nie wiodłem tam okrętów – odrzekł Feak. – Ale powiadają, że są tam zatoki.

– Są, wiem o tym – wtrąciła się Ariadna. – Pokażę.

– Mamy nowego sternika – krzyknęła Peribea, która oczywiście nie przepadała za pasażerką z Krety.

– Jest tam nawet jaskinia, sucha i przestronna. Ongiś mieszkał w niej smok, ale później wygnał go któryś z dawnych herosów. Pokażę wam. Ojciec przyjeżdżał tam ze mną i moją siostrą, gdy byliśmy jeszcze małe...

Ariadna wpatrywała się w Tezeusza spojrzeniem pełnym miłości. Nawet Kora z trudem wierzyła, że za czarującą twarzą tej dziewczyny, dziecka prawie, ukrywa się zaprawiona w intrygach księżna. Potem zaczął się wlec męczący, długi dzień. W środku dnia wiatr ustał i wioślarze musieli wziąć się do pracy. Z chęcią przyłożyli się do wiosł, Korze wydawał się nawet, że okręt płynie jeszcze szybciej.

Po obu stronach widoczne były wyspy, z rzadka żeglarze napotykali rybackie łódki, a raz na tle porośniętego sosnami stromego brzegu ujrzeli żagiel dużego statku handlowego.

Ariadna, jak zauważyła podejrzliwa Kora, wybrała do szukania wsparcia jeszcze jednego młodzieńca, tego, który został przydzielony do grupy dziewic jako nożownik. Młody człowiek od samego początku nie spuszczał z Ariadny pełnego zachwyty wzroku, dlatego wydał się Korze o wiele bardziej niebezpieczny niż garbaty sternik.

Na okręcie trudno jest podsłuchiwać, gdy ludzie nie chcą, by ktoś słyszał ich rozmowę, a Ariadna była ostrożna. Korze udało się zrozumieć jedynie oderwane zdania, czasami słowa. Wyciągnęła jednak ważny wniosek – Ariadna nie nakłaniała młodzieńca do jakichkolwiek działań. Zawróciła mu tylko w głowie, dając wyraz swojego nim zainteresowania w stopniu większym, niż przystoi królowi, przy czym nie okazało się to za bardzo trudne, ponieważ Tezeusz był zajęty swoimi planami, myślami i rozmowami. Aż dwie godziny stracił na przedyskutowanie z Feakiem planu podróży

morskiej do Pontos Euksejnos, by powtórzyć wyczyn Jazona. Tezeusz był ambitny, tkwił w nim ten sam diabeł, który wyprawił Magellana na poszukiwanie nie wiadomo czego na pustym oceanie. A potem dzieci muszą uczyć się na pamięć nazwisk tych wielkich ludzi.

Ariadna gruchała jak gołąbka, jej gardłowe, wymawiane z przydechem tyrady dochodziły do uszu Kory, która widziała, jak nożownik topniał w oczach, a nawet wydawało się jej, że staje się coraz mniejszy. Zresztą, prawidłowo. Kora na miejscu Ariadny zachowałaby się tak samo. Najpierw wypróbowałaby odporność mężczyzn, tych, których trzeba będzie wykorzystać dla swoich celów i znalazłszy właściwego, zmiękczyłaby go na wosk.

Natomiast co do wosku, o tym Kora nie wiedziała, ale krótki chiton Ariadny już nie raz zadzierał się dość nieprzystojnie, nawet jak na starogrecką moralność. Królewskie córki z dobrych rodów tak się nie zachowują. Ale pozostali Ateńczycy tego nie dostrzegali – uczucie wdzięczności wobec Tezeusza, który wyciągnął ich z nie lada tarapatów, wybuchnąwszy na początku, już zgasło – wszyscy byli rówieśnikami, przyjaciółmi. Uratowali się, są zdrowi, weseli, syci, wkrótce wrócą do domu – i to jest wspaniałe!

Kora przeczuwała więc, że najważniejszym wyzwaniem dla żeglarzy będzie zachowanie niewinności nielicznych ateńskich dziewczec. To wcale nie oznacza, że samą Korę mocno niepokoiła ta perspektywa, ona zawsze potrafiła radzić sobie z zuchwalcami, którzy zapominają poprosić dziewczynę o pozwolenie na zbliżenie się. Ale co będzie z pulchniutką Peribeą, to aż trudno sobie wyobrazić. Na szczęście wznosząca się łagodnie opadającymi ku morzu wzgórzami, porośnięta sosnami i cedrem, cudowna wyspa Naksos okazała się gościnna, tak jak obiecywała Ariadna.

Okręt wpłynął do cichej zatoki, do której wpadała niewielka, szemrząca łagodnie po kamieniach rzeczka, w zatoce pływały wielkie i dość spokojnie usposobione łabędzie, czaszka wielkiego smoka poniewierała się, do połowy pograżona w piasku, a z zarośli, dochodzących aż do plaży, wyglądały zaciekawione twarze nimf, nereid i faunów, którzy rozplenili się tu dzięki nieobecności ludzi.

Obecność wielu tryskających radością życia i spragnionych miłosnych uciech nimf ucieszyła Korę. Było to jednoznaczne z tym, że Atenkom, które od dziecka zachowują dziewictwo, uda się przespać w samotności. Ariadna nie oszukała swych współtowarzyszy. Wyspa rzeczywiście była spokojna, pokryta lasami, obfitująca w różnorodne żywe stworzenia oraz oferowała owoce i jagody. Z wesołymi okrzykami Ateńczycy rozbiegli się po wyspie i wkrótce ich głosy zmieszały się z głosami ptaków i nimf. Czasami ktoś wybiegał z lasu i prosił garbusa Nausitoosa o kolejny bukłak z winem albo gomółkę sera. Sternik nie żałował jadła ni napitku – do domu było niedaleko, a trasa dobrze znana, po cóż więc oszczędzać?

Promienie wieczornego słońca przenikały pożółkłe i przerzedzone listowie drzew. Ariadna, z lekkością przeskakując powalone pnie i omijając kamienie, wiodła ich krętą, zapuszczoną ścieżką do jaskini nad rzeczka. Jaskinia rzeczywiście była sucha, a nawet przytulna. Światło przenikało do jej wnętrza przez szerokie wejście. Dokładnie rzecz ujmując, nie było tam wejścia, jaskinia była raczej wgłębieniem w skale z nawisem w postaci kamiennego daszka. Dno groty było równe, przy wejściu leżała sterta suchych liści.

– Wątpliwe, czy mógł się tu zmieścić smok – Tezeusz dał wyraz swemu zdrowemu rozsądkowi.
– To mógł być mały smok – odrzekła Ariadna, lekko się rumieniąc, jakby ponosiła winę za to, że smok nie mieścił się w tej jaskini. – Ale jeśli nawet mieszkał tylko niedźwiedź, możemy tu chyba przenocować... z tobą, prawda?

Przed ostatnimi słowami Ariadna zrobiła pauzę i Kora pomyślała, że ciocia Ragoza jest w stanie doskonale wcielić się w rolę. Nie wiadomo jeszcze, jak oddziałuje VR rajd na tych, którzy trafiają tu nielegalnie. W każdym razie teraz ona patrzy szczerze na Tezeusza jak na swojego narzeczonego, na

męża, z którym ma zamiar dzielić dziś łóżko.

Ariadna wyciągnęła delikatną rączkę i ujęła palce Tezeusza. Zaprowadziła go do jaskini, jak do sypialnej komnaty.

– Nie tak wyobrażałam sobie ślub córki króla Minosa – powiedziała, ale w jej głosie nie było śladu smutku.

– A jak? – spytała Kora, bowiem Tezeusz rozglądał się po okolicy, ignorując uroczystość chwili.

– Hucznie – odpowiedziała Ariadna i zamilkła, jak gdyby przypomniawszy sobie o czymś ważniejszym od ślubu i zapomniała o nocy poślubnej.

– Czy coś was niepokoi, pani? – zapytała ją Kora. Ariadna popatrzyła na nią chłodno.

– Nie wyobrażasz sobie, dziewczyno, jak ciężko jest bez służebnic – powiedziała.

Ale nie zaproponowała Korze posady służebnicy, chociaż dziś Kora by jej nie odmówiła.

– Wybaczcie, królewno – powiedziała Kora. – Mogę wam pomóc...

– A po co? – zapytała Ariadna. – Mnie samej przyjemniej jest narwać zielonych gałęzi i zrobić łóżko dla mnie i ukochanego, przyjemniej samej przynieść dzban z wodą ze źródła. Nie ma tu różu, bielideł i pomad, nie ma pachnideł i wonności. Jesteśmy tu takimi, jakimi stworzyli nas bogowie.

Kora ukloniła się z pokorą i odeszła. W każdym razie Ariadna świetnie panowała nad sobą i jej zdanie o tym, że bogowie uczynili z księżnej Ragozy młodziutką Ariadnę nie zabrzmiało fałszywie. Księżna wierzyła w to i miała absolutną rację.

– Czy nie jesteś zajęta? – uprzejmie zapytał książę Gustaw, lecz nie Ariadnę, a Korę.

Ręka Tezeusza była opatrzona byle jak – Minotaur nie chciał łatwo umierać. Na policzku siniak, a na dobytek, sądząc po sposobie chodzenia, heros miał złamane dwa lub trzy żebra, w tym miejscu zbroja z litego brązu wygięła się, ledwie wytrzymując uderzenie rogu. O tym mógł przekonać się każdy, kto wszedłby na pokład okrętu: zbroja była przywiązana do masztu.

Tezeusz szedł, utykając i przyciskał rękę do boku. Zaprowadził Korę na platformę górującą nad zatoką, w której stał okręt.

– Wypatrzyłem to miejsce z dołu – powiedział Tezeusz. – Widać stąd cały świat. Nawet kraniec ziemi. Tam oto – heros usiadł na kamieniu i musiał, zmarszczywszy brwi, odetchnąć – są kraje Hiperborejczyków. Czy słyszałaś o nich? Stamtąd wywodzi się Apollo. W kraju tym latem nigdy nie zachodzi słońce, a zimą wcale się ono nie wznosi. Hiperborejczycy osiągnęli szczęście. Nie zabijają sobie podobnych...

– Ateny są szczęśliwym miastem – powiedziała Kora. Tezeusz usiadł wygodniej, a gdy ból ustał, powiedział:

– Twoje ciało to istna doskonałość. Jest pełne życia, a jego każda linia jest potrzebna i prawidłowa, jak linia ciała pantery.

– Mało ci było sińców i złamań, których doznałeś od Minotaura? – uśmiechnęła się Kora. – Musiałeś napadać na boginię?

– Nie mam sił, by na ciebie napadać, choć cię pragnę, nieznajoma. Obawiam się, że tak naprawdę nie mieszkasz na Ziemi.

– Dlaczego mnie tu zawołałaś?

– Nie miałem kogo spytać o radę.

– O radę dotyczącą twojej nowej żony?

– Nasze małżeństwo może przynieść szczęście i Atenom, i Krecie. Pogodzą się dwa najpotężniejsze królewskie domy i powstanie mocarstwo, które nie będzie mieć rywali na wszystkich morzach. Niestety polega na tym, że ona mnie nie kocha – powiedział Tezeusz. – Widać to w jej oczach.

Tezeusz nie pytał, on stwierdzał fakt. I zamilkł, gładząc bok.

– Interesuje cię moje zdanie?

– Tak, Koro.

– Ja zachowałamby ostrożność.

– Myślisz, że Minos specjalnie przysłał ją do mnie? Nie, to nie może być prawda. Oznaczałoby to, że z własnej woli poświęcił swojego syna. Upokorzył się przed całym światem, nie będąc na siłach poradzić sobie z garstką... młodych ludzi.

– Nie, to nie może być prawda. Minos nie ma tu nic do rzeczy.

W dole, w zatoce zrobiło się już ciemnowo. Słońce dawno stamtąd odeszło, pograżając zalew w błękicie. W pobliżu okrętu na piasku płonęło ognisko, a ludzie wokół niego wyglądali jak czarne cienie. Na wysokiej rufie okrętu ledwie widoczna połyskiwała w wieczornym powietrzu zbroja strażnika – Feak nigdy nie zapominał o środkach ostrożności.

– O co zatem chodzi? Kora milczała.

– Co z tego, że jestem młody – kontynuował Tezeusz. – Ale znam dziewczęta i wiem, co oznaczają spojrzenia i ruchy, nieśmiałość dotyku i ból pocałunku. Nie dostrzegam miłości w oczach mojej narzeczonej. Nie widzę nawet namiętności, nawet chęci zostania moją kobietą, ale dlaczego? Czy tak może być? Czy mogłem kiedykolwiek przypuszczać, że mój ślub będzie właśnie taki?

– A ty? – zapytała Kora. – Co ty czujesz? Czy ją kochasz? Czy jej pragniesz?

– Jak twoją babcie – odpowiedział Tezeusz.

Kora odwróciła twarzy ku morzu, by ukryć uśmiech.

– Niech wszystko będzie, jak ma być – powiedziała Kora. – Połóż się spać o właściwym czasie. Unikaj tej kobiety, ponieważ wróżba głosi, że spotka cię nieszczęście, jeśli wejdiesz w nią. Do rana wszystko się już wyjaśni. Sam zobaczysz.

– Co się wyjaśni?

– Ona cię zdradzi. Nie ma czasu. Spiesz się.

Kora zrobiła krok do przodu w ślad za odblaskiem zachodu, aby czerwona poświata świeciła z jej prawej strony, a Tezeusz patrzył na nią z lewej. Żeby widział wszystkie linie jej ciała, żeby ocenił długość jej nóg i oświetlonych płomieniem włosów.

Tezeusz aż wstał, rozkoszując się tym widokiem, ale ból w boku zmusił go do okrzyku:

– O okrutni bogowie! Dlaczego pozbawiliście mnie męskiej mocy w tę właśnie noc, kiedy mogła do mnie należeć najpiękniejsza z dziewic!

– On ma na myśli Ariadnę – wyjaśniła Kora, jak gdyby tłumacząc monolog bogom.

– Zamilcz, głupia! – rozzłościł się ranny heros. – Chodzi o ciebie i udowodnię ci, co to wszystko znaczy, gdy tylko zagoją mi się przynajmniej te najgłębsze z ran.

„Niestety, pomyślała Kora, do tego czasu będę musiała opuścić wasze piękne kraje.”

– Bogowie mogą zdecydować inaczej – powiedziała głośno Kora, stwierdziwszy u siebie niemało kokieterii.

Heros zawył, ale nie miał sił, by przeciwstawić się woli bogów i to zatrwożyło Korę, ponieważ wolałaby, żeby nocą Tezeusz był szybszy – mogło bowiem stać się, że zmuszony będzie do obrony swojego życia.

Korę najbardziej złościło to, że nie mogła wyobrazić sobie planu Ariadny. W takiej sytuacji atakujący ma milion możliwości, natomiast ten, kto broni się nie wiadomo przed czym, ma niewielkie szansę na to, aby się uratować. Ktoś ze starożytnych, być może nawet jej znajomy, wiedząc, że o takiej to a takiej dacie grozi nieunikniona śmierć, nałożył kapelusz i poszedł na spacer w step, rozkazawszy swojej armii, by ta utworzyła kordon. Tam przeleciał orzeł, niosący w szponach zółwia,

którego upuścił tak umiejętnie, że żółw rozbił bohaterowi czaszkę. Ciekawe, czy Tezeusz zna tę historię? Jeśli zna, to oznacza, że ona już się zdarzyła. A jeśli nie jest mu ona znana, to heros jeszcze się nie niepokoi.

A gdzie nasza Ariadna? Gdzie nasza niewinna gołąbeczka, która ma zamiar teraz nocą mądrze zadysponować swoją niewinnością?

– Idź odpocząć, herosie – doradziła Kora. – Dziś jesteś zmęczony.

– Zmęczyłem się wczoraj – rozsądnie zauważył Tezeusz. – Dziś nie zdążyłem dokonać żadnego czynu.

– A zresztą – Kora nie mogła się powstrzymać. – Czy nie słyszałeś historii o tym, jak pewnemu człowiekowi przepowiedziano śmierć?

– Słyszałem tysiące takich historii.

– O tym jak poszedł przejść się po stepie?

– Dureń. W stepie doskonale strzelają z łuku.

– A wtedy nadleciał orzeł i upuścił żółwia.

– Na głowę? – Tezeusz ucieszył się ze swojej domyślności.

– To mi historia. Co za zbieg okoliczności. A ty wciąż tylko: wola bogów, wola bogów. A on żółwiem w głowę!

Tezeusz przestał się śmiać – zapewne poczuł w głowie ból. Wstał i wspierając się na Korze, zszedł na dół.

Ariadny nie było w jaskini, łoże miłosne także zapomniała przygotować.

To dziwne, czyżby planowała intrygę przed ślubem? Kora na jej miejscu nie wytrzymałaby i straciłaby niewinność z samym Tezeuszem. Chociaż jeśli Ariadna pamięta, że to jej ukochany bratanek, którego huśtała na kolanie, być może ma inne plany. W greckim pałdzierniku, kiedy drzewa zaczynają tracić liście, a noce nie są jeszcze chłodne, za to ciemne, podróżni, którzy zatrzymywali się na wyspie, kładli się spać wcześniej, zwłaszcza gdy było z kim się położyć. Ze wszystkich stron, i jak wydało się Korze, nawet z samego nieba, dochodziły różnogłose i dzielne męskie okrzyki oraz delikatne kobiece gruchanie – wioślarze gonili za nimfami, a nimfy za wioślarzami. Ale dość szybko krzyki te stawały się coraz cichsze i krótsze, Kora rozumiała, że nawet najbardziej dziarskie koziołki w takich ciemnościach obawiały się połamania kopyt...

Zostawiwszy Tezeusza w jaskini, Kora ostrożnie zaczęła schodzić w dół ścieżką, do okrętu. Na szczęście w jej oczy wszczepiono nocne widzenie – postrzegany przez nią zakres częstotliwości był o wiele szerszy niż u zwykłych ludzi – widziała las w podczerwieni – szary, zagadkowy, ale dostrzegała najmniejszy nawet ruch.

I nagle szept:

– Tak, mój ukochany, tak, mój piękny, gdy tylko zrobisz to, o co cię proszę, zostanę twoją.

– Ale tak tu ciemno i strasznie...

Pierwszy głos należał do kobiety i był delikatny, drugi był męski, a dokładniej – chłopięcy. Kora zamarała w bezruchu. Za krzakami rozmawiały, splecione ze sobą w uścisku, cienie. I nie był to przypadkowy wioślarz i dzieląca z nim łoże z listowia nimfa. Co może nimfa chcieć od człowieka?

– Czy pragniesz posiąść moje ciało?

– O tak, piękna królewno.

– Idź więc. Czekam.

– Jeden pocałunek, moja piękna!

Cienie zlały się w jedno. Kora doszła do wniosku, że jest świadkiem zupełnie niedopuszczalnego w tej sytuacji romansu: usiłowania zdrady ze strony pięknej Ariadny z garbusem niskiego stanu.

Oczywiście, w historii istnieje mnóstwo przykładów, że zamiast pięknego mężczyzny wybierano kozła. Słyną z tego zwłaszcza dzieje starogreckie. Ponieważ jednak Ariadna sama wybrała sobie ukochanego, Tezeusza, do tego powodowana miłością, a przy tym przyczyniła się do śmierci swojego rodzonego braciszka, to jej pocałunek z pomocnikiem sternika nabierał złowieszczonego charakteru.

A skoro tak, to koniecznie trzeba zobaczyć, jakie to zadanie zleciła miła dziewczica prostackiemu potworowi i za jaki czyn obiecała mu swą miłość?

Namiętny, ciężki oddech sternika stawał się coraz głośniejszy i Kora zaczęła się bać, że wcześniej poradzi on sobie ze swoją gołąbeczką niż z zadaniem, a wtedy straci zainteresowanie do działalności dywersyjnej.

Gotowa już była odciągnąć sternika od królowny, ale tej udało się na tyle mocno go uszczypnąć, że zakrzyknął, zaklął w antycznej grece i wyszeptał:

- Dawaj tę swoją miedziankę.
- Powtórz, gdzie masz ją położyć.
- Pamiętam.
- Powtórz albo przez wiek nie ujrzysz mojej miłości!
- Wejdę na nawis skalny i położę miedziankę. I wrócę do ciebie.
- Nie od razu. Wrócisz do mnie, gdy wszędzie księżyc.
- Gdy wszędzie księżyc... – Idź.
- Czy ty mnie nie oszukasz?
- Nie oszukam cię. Jesteś pięknym i silnym mężczyzną. Jesteś najlepszy.
- Mam garb.
- Jesteś najpiękniejszy spośród garbusów. Idźże wreszcie... Słysząc było trzask gałęzi.

„Najpiękniejszy spośród garbusów” sternik posłusznie zaczął wlaźć po skałach do góry. Ale dokąd?

Tego koniecznie trzeba było się dowiedzieć. Dopóki nie wiesz, co zamierza przeciwnik, jesteś bezsilny wobec jego knowań.

Korze wspinaczka przychodziła o wiele trudniej niż sternikowi, gdyż ten był żylasty, koślawy i krzepki, jak stary kozioł skalny. Ale po jej stronie była młodość i zajęcia ze wspinaczki wysokogórskiej, które odbyła w szkole monsieur Leblanca w Mentonie. I przystosowane do widzenia w ciemności oczy.

Trzeba było wspinać się po pionowej prawie skale, wprawdzie porosłej krzewami, ale najczęściej tak mocno kłującymi, że po dwudziestu metrach mogły rozebrać człowieka do naga. Odzianemu w krótką kurtkę z grubej skóry i macedońską spódniczkę sternikowi kolce nie były straszne. Na dobitek nie musiał troszczyć się o zachowanie ciszy – nie interesowało go, czy go ktoś usłyszy. Ale Kora nie mogła się zdradzić i dlatego musiała zachowywać się cicho, darując sobie kolce.

Ku jej zdziwieniu oboje znaleźli się na tej samej platformie widokowej, z której wieczorem podziwiała z Tezeuszem zachód słońca. Było to najmniej oczekiwane miejsce na alpinistyczne popisy.

Sternik najwyraźniej podporządkował się srogim wskazówkom swojej muzy. Podszedł do rosnącego na platformie drzewa, przykucnął i zaczął coś chować wśród korzeni. Potem zadowolony wstał i poszedł z powrotem, omal nie natknąwszy się na zagapioną Korę, której nie pozostało nic innego, jak tylko przyjąć pozycję młodego platanu. Na szczęście sternik do tego stopnia zaprzątnięty był własnymi myślami i czekającymi go miłosnymi igraszkami, że Kory nie zauważył.

Kiedy hałasując niczym mały czołg, skrył się w zaroślach, Kora szybko pobiegła do drzewa i wyciągnęła rękę tam, gdzie sternik schował swoją „miedziankę”. Okazało się, że za drzewem przez

całą platformę biegła głęboka szczelina. Na szczęście „miedzianka” utknęła wśród korzeni na głębokości półtora metra i Kora była w stanie wymacać ją i wyjąć. Potem zaczęła obwąchiwać zdobycz. Miała fantastyczny węch, lepszy niż u psów – wiedzieli o tym wszyscy w InterGpolu. Zakładano się z nią, a nawet często zapraszano Korę jako eksperta w sprawach, których nic oprócz węchu nie mogło rozstrzygnąć.

Nic szczególnego. Pocisk burzący, nawet niezbyt dużej mocy. Ale wystarczy, by odłupać część skały, nawisającą nad urwiskiem. Materiał wybuchowy także był Korze znajomy – słodkawy, a raczej mdły zapach. Nieprzyjemna woń, jaka absolutnie nie może mieć miejsca w czasach antycznych, które pachną oliwkami, oliwą z oliwek, świeżymi rybami, pomarańczami, potem satyrów, młodym winem... Nie ma tam maszyn i nie ma co wybuchać, jeśli nie liczyć maszyn Dedala, o których ludzie szybko zapomną, gdyż na razie nie są one im potrzebne.

Kora ostrożnie przeciągnęła palcem po pocisku – natrafiła na mikroodbiornik, a więc nasz pocisk jest detonowany na odległość. A kto go zdetonuje? Przypuśćmy, że kochana narzeczona, która w tak szlachetny sposób uratowała Tezeusza przed Minotaurem, wie, że dopóki mózg jest cały, człowieka można ożywić. To oznacza z kolei, że człowieka trzeba rozpląszczyć, spalić, zalać kwasem – zniszczyć bez śladu.

Doskonale. Nasz następny krok to sprawdzenie, nad czym nawisa ta gigantyczna kamienna płyta. Korze wydawało się, że się domyśla, co znajduje się tam, pod nogami, ale należało to sprecyzować, w takich sprawach nie może być omyłek.

Kora zeszła w dół. Co za pomysł – przenieść do VR rajdu materiał wybuchowy. Jeśli zarząd spółki dowie się, to będzie chryja, zniszczenie galaktycznego biznesu, gdyż każdy mieszkaniec Galaktyki nosi w sercu coś świętego i wszyscy oni przekonani są, że zasad wirtualnych wycieczek nie można naruszyć. Wchodzisz nago do tego świata i nago go opuszczasz. A pojawienie się damy z materiałem wybuchowym oznaczało tylko to, że w spółce VR istnieje korupcja, której skali nie można sobie nawet wyobrazić.

Zejście doprowadziło ją do jaskini, w której mieli zamiar spędzić swoją pierwszą noc poślubną szczęśliwi zakochani: Ariadna i Tezeusz.

A jeśliby zdetonować niewielki nawet pocisk, to skalna płyta o grubości około dwudziestu metrów, będąca elegancką markizą nad jaskinią, miękko osiadnie na zwolnione miejsce i jaskinia przestanie istnieć, a z ludzi, którzy będą wewnątrz grotty, nie pozostanie, jak to się mówi, mokra plama. Ale o tym nigdy nikt się nie dowie.

Kora stała w ciemności tym bardziej nieprzeniknionej, że przed wejściem do jaskini wciąż jeszcze płonęło ognisko. Tezeusza przy nim nie było, nie było go też w jaskini – zapewne zszedł do okrętu. Próbowwała analizować swoje działania: dlaczego nie wzięła ze sobą bombki Ariadny? Albo chociaż nie przeniosła jej w inne miejsce. Po co ryzykować? Ale jednocześnie Kora doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że postąpiła słusznie i jej celem jest teraz udowodnienie, że Ariadna bezpodstawnie chce uchodzić za kochającą narzeczoną. Nie ma znaczenia, za kogo będzie ją uważał Tezeusz, najważniejsze to zabrać ją od niego. W miarę możliwości nie zabijać. Jednak to księżna... Komisarz Milodar będzie wściekły z powodu ewentualnych międzynarodowych komplikacji. A skoro tak, to nie przeszkodzi Ariadnie wprowadzić w życie swój nikczemny zamiar.

Teraz należałoby zobaczyć, gdzie ukrywa się Ariadna i jakie ma plany. Tu czas nagli – już czas spędzić pierwszą noc poślubną z Tezeuszem.

Kora ostrożnie udała się na miejsce, gdzie jeszcze niedawno skrywała się Ariadna.

Tam szumiały zarośla, trzaskały gałęzie, stamtąd niosły się wzburzone głosy. Nie wszystkie dochodziły do uszu Kory, ale usłyszała dostatecznie dużo, aby zrozumieć, co tam się dzieje.

- Tak, obiecałam – to pisk Ariadny. – Tak, spełnię swoją obietnicę, tylko nie dzisiaj.
 - Ale dlaczego... – Kora poznała głos sternika.
 - Zrozum, głupi człowieku, dziś mam noc poślubną z twoim dowódcą, z księciem Tezeuszem.
- A ja jestem dziewicą...

W odpowiedzi na te słowa rozległ się ryk, trzask gałęzi – Ariadna trzepotała się w szponach potężnego garbusa jak kuropatwa, która wpadła w sidła.

Jazgot to wznosił się jak słowicze trele aż ku samemu niebu, to opadał do szeptu oszalałego kota. Stopniowo walczący opadali z sił, a Kora zeszła na dół, do okrętu w poszukiwaniu Tezeusza, gdyż nie miała zamiaru tracić go z pola widzenia. No dawaj, babciu, mówiła sobie w duchu, choć, oczywiście, obiektywnie księżna miała niewiele ponad pięćdziesiątkę, a jeśli mowa o Ariadnie, nie ukończyła jeszcze dwudziestu, dawaj, babciu, powtarzała Kora, broń swego dziewictwa. Sama sobie naraiłaś takiego kochanka.

Niestety, walka między królowną a rozjuszonym sternikiem zakończyła się nie tak pokojowo, jak chciałaby Kora. Decydujący jej etap rozegrał się na leśnej polanie, oświeconej wschodzącym księżycem, i nikt nie zwrócił uwagi na zmagania tylko dlatego, że okrzyki nimf i wrzaski podpitych wioślarzy wciąż jeszcze rozbrzmiewały wokół.

W przyływie wściekłości, chcąc pokonać drobną, ale jakże upartą istotę, sternik nie wpadł na nic lepszego, jak tylko walnąć ją pięścią w podbródek. Nie wolno zapominać, że były to czasy okrutne i obyczaje przedstawiały wiele do życzenia. Wszak dopiero w średniowieczu, do tego w określonych kręgach społeczeństwa, kobiety przestaną być bite kułakami w szczękę po to, by przełamać ich dziewiczy opór.

Główka Ariadny odskoczyła do tyłu, dziewczyna została znokautowana. Taki sposób okazywania miłości mocno Korę oburzył. I chociaż agent InterGpolu w żadnym wypadku nie powinien interweniować w delikatnych sytuacjach, Kora wyszła z ciemności i ze spokojem ruszyła ku potężnemu garbusowi, który bez pośpiechu układał na trawie swoją ofiarę w pozycji dla siebie najwygodniejszej.

Jeśli zresztą się zastanowić, okaże się, że nawet w takiej sytuacji, nawet w obronie honoru kobiety, która niekoniecznie na to zasługuje, Kora nie traciła z pola widzenia dobra sprawy. Jej potrzebna była żywa, zdrowa i zdemaskowana Ariadna. Natomiast Ariadna skrzywdzona i, być może, po miłosnym zespoleniu ze sternikiem zupełnie pozbawiona zdolności przedsięwzięcia czegokolwiek niktzemnego, nie była w planach Kory przydatna.

Kora wyszła zatem z zarośli i niezbyt głośno zawołała do sternika:

– Hej, gwałcicielu, obróć no się! Ten nie usłyszał.

Kora podeszła bliżej i klepnęła go dłonią w ramię.

Sternik zerwał się na równe nogi i obrócił się do niej. Sięgał Korze do pasa, ale był trzy razy szerszy i składał się z poskręcanych węzłów mięśni.

– Jeszcze jedna! – powiedział z radością i dopiero wtedy Kora uświadomiła sobie, że jest zupełnie rozebrana i przy tym gęsto z przodu podrapana przez krzaki.

– Poczekaj – powiedział sternik, który po udanym romansie z Ariadną uwierzył w to, że jest atrakcyjny dla pięknych i bogatych dam. – Zaraz skończę z tą, a potem wezmę się za ciebie. Poczekasz, kruszyno?

Wtedy Kora powtórzyła cios, którym sternik znokautował swą królewską kochankę. Należy przy tym wyjaśnić, że Kora przeszła niezłą szkołę sztuk walki i zaliczyła celująco wszystkie rodzaje sztuk walki, oprócz zapasów w stylu klasycznym. Na skutek uderzenia w szczękę sternik odleciał do dębu, rosnącego na skraju polany, i walnął o niego plecami i potylicą. Drzewo radośnie zahuczało, już

dawno nikt go tak nie pieścił. Sternik cicho osunął się po pniu i rozłożył się plackiem na ziemi. Kora podeszła do Ariadny, która nie odzyskała jeszcze przytomności i ostrożnie odchyliwszy jej tunikę, czego nie zdążył zrobić gwałciciel, zauważyła, co było do przewidzenia, skórzaną sakwę na kosmetyki, przymocowaną do wewnętrznego paska. W sakiewce, wśród puderek, słoiczków i pałeczek zapachowych leżał miniaturowy pilot. Wystarczyło wcisnąć delikatnym, wymanikiurowanym paluszkim maleńki, czerwony przycisk, a ogromna skała nad jaskinią runie, zamieniając w miazgę wszystkich, którzy wcześniej nie pomyśleli o jej opuszczeniu.

Kora ostrożnie włożyła urządkonko z powrotem, zamknęła sakiewkę i namacała puls Ariadny. Tętno było słabo wyczuwalne, przyspieszone, ale miarowe. Za moment powinna się obudzić.

Kora odstepowała od niej, i w samą porę.

Ariadna otworzyła oczy, a w nich mętnie odbiły się gwiazdy i księżyc.

Świadomość wracała jej szybko. Jej dłonie sięgnęły do sakiewki i wymacały zapięcie. Potem Ariadna przeciągnęła rękami po brzuchu i nogach, chcąc zapewne się dowiedzieć, czy sternik otrzymał swoją zapłatę za prace minerskie. Wtedy Kora zostawiła Ariadnę i nie spiesząc się zeszła na dół, aby sprawdzić, co robi Tezeusz i wziąć ze swojej torebki, pozostawionej na pokładzie okrętu, zapasowy chiton. Nie chciała skupiać na sobie nadmiernego zainteresowania mężczyzn.

Okręt nieruchomo zastygł u brzegu, połączony z plażą za pomocą długich trapów. Przed nimi dyżurował jeden z wioślarzy, a dokładniej, nie tyle dyżurował, co przeżywał męki. Kora pochwaliła w myślach Feaka za przezorność – Tezeuszowi trafił się wspaniały główny sternik... ale pomocnik sternika dosyć mierny.

– Kto idzie? – spytał wioślarz, chociaż jego oczy od dawna przyzwyczyły się do ciemności, a w dodatku świecił księżyc i brak u Kory broni był bardziej niż oczywisty.

– To ja, Kora – odpowiedziała i pomyślała: a może już tu wymyślono hasła i odzewy?

Jednak nie wymyślono. Natomiast uszczypnąć obnażoną kobietę poniżej pleców – na to wartownikowi wyobraźni wystarczyło. I tu z okrętu rozległo się wołanie:

– Przestań zabawiać się na posterunku!

– Dziękuję, Feaku – powiedziała Kora. – Przyszłam się przebrać.

– Kiedy ktoś się przebiera, zamiast nowej odzieży zostawia starą – rozsądnie zauważył Feak. Leżał otulony w wełniany himation, wprost na pokładzie. Stąd miał widok na okręt i na brzeg.

– Bawisz się? – spytał Feak, gdy Kora wyciągała i nakładała chiton i narzutę, aby w nocy nie zmarznąć.

– Nie mam nastroju – szczerze odpowiedziała Kora. Ale Feak nie uwierzył.

– Kiedy nie ma się nastroju – powiedział – nie chodzi się nago, by mężczyźni nie musieli tracić cennych sekund.

– Nieszczęśliwy wypadek – odrzekła Kora.

Z jej tonu Feak wywnioskował, że dziewczyna nie żartuje.

– Nie chciałem cię obrazić, pani – powiedział.

– Ja się nie obraziłam, mistrzu Feak – odpowiedziała Kora. – Nie widzieliście Tezeusza?

– Dopiero co był ze mną – zakomunikował sternik. – To bardzo dociekliwy młodzieniec. Byłby z niego świetny żeglarz. Zobacz pani dalej na plaży. Poszedł się bawić.

– Wkrótce czeka go noc poślubna – powiedziała Kora. – Dlatego go szukam.

– Po pierwsze – roześmiał się Feak. – O ile dobrze rozumiem, twoja noc poślubna jest przed tobą i nie musisz tak przeżywać, czy ujeździ wasz żreback inną klacz. Po drugie, on robi to bez waszych rad...

– Ach, nie rozumiecie mnie – odpowiedziała Kora. – Niepokoją mnie całkiem inne problemy.

Zapewniam was, Feak, że kiedy będę chciała męża, znajdę go sobie bez trudu. Pilnujcie lepiej swojego pomocnika.

– A co z nim? Miał mnie zmienić... Czyżby ośmielił się napaść na was?

– Spytajcie go o to jutro – odpowiedziała Kora i odeszła zdecydowanym krokiem.

Choć nie miała powodów, by obrażać się na dobrego Feaka, była zła – ale raczej na samą siebie. W jakiś sposób zdradziła się ze swoim nadmiernym zainteresowaniem osobą Tezeusza. A przecież dobry agent powinien być prawie niedostrzegalny, jak pajęczynka, unosząca się nad łąką.

Wtem uwagę Kory przyciągnął szcęk mieczów i odgłosy, które dochodziły zza skał, otaczających zatokę, w której stał okręt. Jeszcze tego brakowało! Kora rzuciła się w tym kierunku i gdy omijała daleko wystającą w morze skałę – musiała obejść ją, brodząc po kolana w wodzie – odgłosy walki przybierały wciąż na sile.

Natychmiast poznała Tezeusza. Cofając się w wodzie, bronił się mieczem przed dwoma atakującymi go żołnierzami...

Czyżby ta żmija księżna Ragoza przygotowała wariant rezerwowy?

Kora ufnie uganiała się za sternikiem i spędzała czas na rozmowie z Feakiem, gdy tymczasem Tezeusza chcą rozsiekać na kawałki?

W ciągu ułamka sekundy Kora oceniła sytuację. Tezeusz stał plecami do wody i pod naciskiem przeciwników zmuszony był powoli się cofać, na czym też polegało największe niebezpieczeństwo, gdyż z boku i z tyłu Tezeusza stali jeszcze dwaj mężczyźni z mieczami, stali leniwie, jak wilki, czekające na chwilę, kiedy ich współbracia ze sfory rozerwą jelenia, aby później móc przyłączyć się do uczty. Do tych dwóch było około dziesięciu metrów i dlatego, gdy Kora zrozumiała, że uratowanie zmęczonego Tezeusza zależy od niej, dobiegając do skraju zarośli zebrała wszystkie siły i skoczyła do przodu nogami tak, że całkowicie pozbawiła oddechu jednego z walczących, natychmiast okręciła się, podcięła drugiego przeciwnika Tezeusza. Chłopa musiało niezłe zabołec – być może Kora złamała mu rękę. Ale zostało jeszcze dwóch.

– Tezeuszu, uważaj! Z tyłu! – krzyknęła Kora i rzuciła się ku stojącym po kostki w wodzie obserwatorom, rozumiejąc, że jej szansę na zwycięstwo są raczej niewielkie i nie ma czasu, by podnieść jeden z mieczów.

Ale wtedy nastąpił zupełnie nieoczekiwany finał walki, gdyż obserwatorzy, do których szła, wypełniając okolicę krzykiem, rozbiegli się w różne strony, wzbijając za każdym krokiem fontanny wody, a pozostali walczący – chodzi o Tezeusza i dwóch jego przeciwników – rzucili się w zarośla.

Kora została na plaży zupełnie sama. Głupia sytuacja.

Rzucasz się w wir walki, oczekując bliskiej i prawie nieuchronnej śmierci, a zamiast tego widzisz wokół siebie taką pustkę, że nawet nie ma z kim zamienić słowa.

Kora zobaczyła u swoich nóg miecz. Był to miecz ze splecionymi wężami na rękojeści – legendarny miecz Tezeusza. Głupio wyszło...

– Tezeuszu! – zawołała Kora. – Tezeuszu, jesteś tam?

Zupełna cisza. Potem plusnęła woda – ciemna sylwetka wyrosła zza skały od strony zatoki, w której stał okręt. Postać była niewysoka, krępa, w długiej chlamidzie i jakiejś szmacie, narzuconej na ramiona.

– Hej, co to za hałasy? – odezwał się gderliwym głosem Feak. – Czy kogoś zabito?

– To ja, Kora.

– Kogo znowu zabiłaś?

– Myślę, że wszyscy są cali – powiedziała Kora. – I, być może, będą w pobliżu.

Tezeusz wyszedł z krzaków pierwszy i poznawszy przy świetle księżycy swój miecz w rękę

Kory, odezwał się głosem samego Zeusa, straszliwie niezadowolonego z poczynań gnomów.

– Oddaj go natychmiast! Nie kobieca rzecz nosić taki miecz.

– Nie męska rzecz miecze rozrzucać – Kora ani myślała współczuć swojemu herosowi. –

Szczególnie na odległych wyspach. Pierwsza lepsza sroka może je ukraść.

Ciemne cienie wynurzyły się z zarośli. Cała czwórka...

– Czy ktoś powie mi, co tu się dzieje? – zapytał srogo Feak, który, będąc dwukrotnie starszy od swoich współtowarzyszy, pełnił rolę ogólnego rodzica.

– My tylko tak – odpowiedział Tezeusz z zakłopotaniem w głosie. – Postanowiliśmy powalczyć na miecze, czy to zabronione? My nie na serio...

Boże, jakie z nich dzieci! Zwyczajni chłopcy, którzy mają szabelki, a jutro będą to blastery... Nie tyle chcą się bić, co bawić w wojnę. I jestem gotowa przysiąc, Zeusie, pomyślała Kora, że Tezeuszowi było dziesięć razy przyjemniej fechtować się z wioślarzami i udowodniać im swoją przewagę w czystej formie walki wręcz niż w jakimś półmrocznym Labiryncie, ciężko dysząc i obawiając się potwora.

– Czyżby ona sama wszystkich was wystraszyła? – w głosie Feaka dźwięczał śmiech. Ale nie tak oczywisty, gdyż on, podobnie jak Kora, wiedział, że nie wolno obrażać wyrosniętych chłopców. Niech sami wpadną na to, aby się śmiać.

– To moja wina! – wykrzyknęła Kora, chcąc uprzedzić wszystkich. – Wybacz mi, Tezeuszu! Tak się wystraszyłam... Wydawało mi się, że napadły na ciebie jakieś straszliwe demony... tu jest tak ciemno. Tak krzyknęłam, że z pewnością wystraszyłam cały Olimp. Wybacz mi, jeśli możesz... I niech twoi dzielni żołnierze również mi wybaczą. Rozumiem, że gdy rzuca się na was przerażona kobieta, to wojownik woli ustąpić.

– Tak też uczyniliśmy – zakomunikował Feakowi bystry Tezeusz. – Kiedy rozległ się ów dziki krzyk, zastanawialiśmy się, czy to nie oszalała lwica. Przecież tu tak źle widać.

– Tak, tu źle widać – odezwali się przemoknięci obserwatorzy, którym nawet powalczyć się nie udało. Jeden z nich schylił się i macał w wodzie rękami, szukając swojego miecza.

– Szukaliśmy cię razem z panią Korą – zakomunikował taktowny Feak. – Nadchodzi noc, a młoda żona czeka na ciebie na łożu ślubnym. Ale ty do tego stopnia zajęty byłeś szermierką, że Kora musiała krzyczeć na całą wyspę.

Tu nastąpiło rozładowanie sytuacji. Młodzi ludzie uznali za wielce zabawne to, że Tezeusz zapomniał o ślubie, walcząc na miecze i posypał się dość niepowściągliwe, miejscami nawet prostackie żarty pod adresem kobiet, a szczególnie dziewic lub przynajmniej tych, które po raz pierwszy trafiły do ślubnego łoża. Kora słuchała nieprzystojności z cierpliwością, gdyż nikt nie zamierzał oszczędzać jej ambicji. Tu nie było to przyjęte. „Ciekawe, pomyślała, czy jeśli przywiozę ze sobą parę z tych historii i opowiem je w biurze w obecności Milodara – to straci przytomność czy zwyczajnie mnie tylko zwolni? Trzeba spróbować”.

Tezeusz szedł do groty niechętnie, nie zadając sobie oczywistego pytania: po jakie lichy Kora lezie za nim do ślubnej jaskini? Czy ma zamiar być obecna przy ceremonii? Najprawdopodobniej był przytłoczony wydarzeniem na brzegu, które w jednej chwili pozbawiło znaczenia jego czyny. Ale nie to niepokoiło Korę – młodzieniec szybko zapomni o incydencie, a jeśli nie zapomni, to zaliczy go do grupy zabawnych anegdot w rodzaju: „I nagle wyskakuje z krzaków coś czarnego!”.

– Tezeuszu, czy ufasz mi? – zapytała Kora.

Głos jej zdrzął, bowiem musiała spieszyć się, aby nie pozostać w tyle za wchodzącym pod górę młodzieńcem.

– Ufam ci – odpowiedział Tezeusz.

– Zatem zatrzymaj się choć na chwilę! Twoja noc poślubna nie przypadnie.

Młodzieniec skwapliwie zatrzymał się. Światło księżycy, świecące mu w plecy, zaznaczało zarys jego muskularnej sylwetki Hellena – a jednak istniał u nich kult gimnastyki. Ale nie ma powodów, aby się tym chwalić. Gdyby siedli za komputerem...

– Chcesz mi coś powiedzieć? – spytał Tezeusz.

– Tak, chcę prosić cię o małą przysługę.

– Szkoda, że nie o dużą – powiedział Tezeusz i na czarnym tle sylwetki jego zęby zaśniły błękitem.

– Proszę cię, byś nie pozostawał w jaskini, gdy twoja narzeczona z niej wyjdzie.

– Nie rozumiem cię – powiedział Tezeusz.

– Zjawiała się przede mną moja matka, wielka bogini Demeter – odpowiedziała Kora najbardziej uroczystym, jak tylko mogła, tonem, gdyż los całego zadania i życie tego cielęcia zależało od tego, na ile wierzy w bogów, w duchy, będące jego krewnymi. Prawie nie wątpiła w to, że Tezeusz potraktuje jej słowa poważnie. Podświadomie było mu o wiele wygodniej przypuszczać, że Kora nie jest zwykłą dziewczyną, a szczególnie, może nawet rzeczywiście boginią Persefoną. Wtedy też i historia na brzegu nabrałaby zupełnie innego sensu i nadawałaby się do tego, aby po odpowiednim dopracowaniu umieścić ją w jakimś micie. – Zjawiała się przede mną bogini Demeter – powtórzyła bardziej zdecydowanie Kora. – I moja matka ostrzegła mnie, że jeśli zostaniesz w jaskini sam, zginiesz.

– A jeśli Ariadna będzie wychodzić... jeśli rozboli ją brzuch? Co mam robić, towarzyszyć jej przy każdym wyjściu?

– Nie zrozumiałeś mnie, młodzieńcze – powiedziała Kora. – Ona wyjdzie nie za potrzebą, a świadomie, żeby śmierć, która tam się wędruje, nie wyrządziła jej krzywdy.

– Ona? Moja narzeczona?

– Tak wyszło. Tak rozkazali bogowie, którzy postanowili cię ukarać.

– Ale dlaczego?

„Zaraz zdradzę ci wszystkie rodzinne tajemnice, o których opowiedział mi gadatliwy Feak, gdy płynęliśmy dziś po spokojnym morzu, jeszcze nie nazwanym na cześć twego tatusia. Zaraz się zatrząsesz, usłyszawszy o swoim przesądnym ojcu.”

– Czy nie zapomniałeś, kto jest ojcem Minosa?

– Nigdy tego nie wiedziałem.

– Każde dziecko w Attyce lub na Krecie powie ci, że Minos jest synem Zeusa i Europy, bratem samego Sarpedona. A czy kiedyś słyszałeś, czyją córką jest Europa? Jest córką Feniksa! A Zeus, porwijąc Europę przybrał postać... No czyją?

– Nie wiem, o pani – głos młodego herosa zadrzał.

– Zeus przyjął postać byka, porwał ją, kiedy z przyjaciółkami bawiła się na morskim brzegu, zabrał na swoim grzbiecie na Kretę, a potem zrobił z nią to, na co później wpadł Dedal dla Pasifae, ale bez jakichkolwiek technicznych ulepszeń.

Tezeusz nie zechciał zrozumieć ironii. Był istotą z tamtej epoki i dla niego krewny Zeusa był tym, kim był brat komendanta dzielnicowego milicji w dwudziestowiecznej Rosji. Drżał...

– I ona zemści się na mnie?

– Nie osobiście – wielkodusznie powiedziała Kora. – A rozzłoszczeni krewniacy wykorzystają ją jako narzędzie zemsty.

– I nie będę mógł się uratować?

– Pozostała ci tylko jedna droga ratunku. Musisz całkowicie mi się podporządkować.

– Jestem gotów, pani. Będę posłuszny.

– Niech zatem wszystko toczy się zwykłą koleją. I ta kobieta wejdzie na łożo, ale wkrótce, pod jakimś pretekstem, opuści jaskinię. I wtedy, jeśli tam zostaniesz, czeka cię nieunikniona śmierć.

– Oczywiście, wierzę ci... Ale jak to jest? Ona dla mnie zdradziła swego ojca i pomogła mi zabić swego brata...

– No właśnie – stanowczo powiedziała Kora. – A wtedy bogowie pokarali ją szaleństwem.

– O ja nieszczęsny! – Tezeusz wystraszył się nie na żarty. – Dlaczego znalazłem się w takiej niełasce u bogów? – Wtem przyszło opamiętanie i Tezeusz chwycił się brzytwy. – Przecież jestem synem Posejdona! On powinien ująć się za mną!

– Mówią, żeś syn Posejdona – zgodziła się z nim Kora. – Twój dziadek Pitteus lubił o tym opowiadać. Ale dlaczego w takim razie poniosłeś swój miecz do Aten do Egeusza, a nie na dno morza?

– Przecież znalazłem pierścień!

– Drogi Tezeuszu – odpowiedziała zmęczonym głosem Kora. – Mam już ciebie dosyć. Jeśli chcesz sprawdzić, czy Posejdon żywi wobec ciebie ojcowskie uczucia, to zejdz do morza, nurkuj i szukaj swoich krewniaków.

– A może uciekniemy stąd? Czyżby Tezeusz się bał? – Nie, najlepiej będzie, jak ją rozsiekam!

– Bezbroną dziewczynę? Z jakiego powodu? Czy dlatego, że uwierzyłeś w moje słowa, podyktowane zawiścią lub zazdrością? A jeśli postanowiłam usunąć ze swojej drogi rywalkę? Nie unikniesz hańby na całą Helladę, jeśli postąpisz tak z wnuczką samego Zeusa.

Krótką lecz energiczna przemowa Kory wprawiła Tezeusza w całkowitą panikę. To, czego pragnął najbardziej, to uciec stąd za siódme morze do mamy w Trojzenie.

– Weź się w garść, Tezeuszu – powiedziała Kora, starając się zapanować nad uśmiechem, gdyż widok drżącego z podniecenia herosa był absurdalny. – Nic złego jeszcze się nie stało. A jeśli będziesz zachowywać się tak, jak ci się każe, to nic się nie stanie.

– A może... a może ukryjesz się w jaskini?

– Tego jeszcze brakowało? – rozłościła się Kora. – Noc poślubna ze świadkiem? Ale będę w pobliżu. A gdy zajdzie potrzeba, pomogę ci. Tylko w żadnym wypadku nie wolno ci dać poznać po sobie, że się czegoś domyślasz! W żadnym wypadku. Inaczej zginiesz.

„Pewnie już wystarczająco namieszałam mu w głowie”.

Dochodzili już do placu przed jaskinią. Na ziemi obok wejścia tlił się oliwny kaganek. Jeszcze jeden świecił wewnątrz grotu, obok łoża z liści, nakrytego kilkoma chlamidami, jakie noszą żeglarze – troskliwy Feak polecił przynieść je z okrętu. Kora w ostatniej chwili zdążyła zatrzymać się, by nie znaleźć się w kręgu słabego światła.

Ciemna sylwetka Ariadny uniosła się na widok podchodzącego Tezeusza.

– Nie było ciebie tak długo, mój władco – wyszeptała narzeczona. – Bałam się już o ciebie.

– Cóż może mi się stać na tej wyspie? – odpowiedział Tezeusz, odzyskując w obecności małej Ariadny poprzednią śmiałość.

– Jestem gotowa rozwiązać swój pas przed tobą – wyszeptała Ariadna.

– Przedtem czegoś bym się napił – rzekł Tezeusz. – Czyżby ci próznicy nie pomyśleli o tym, żeby przynieść wino?

– Tam stoi dzban – powiedziała Ariadna. – Zatrzaszczyłam się o to.

Kora podeszła do samego wejścia do jaskini i zobaczyła, jak Ariadna, z wdziękiem przykucnąwszy na kolanach, podała Tezeuszowi gliniany puchar. Opróżnił go łapczywie.

– A teraz – do łoża! – powiedziała królowna, jednym ruchem rozwiązała wąski pas i zrzuciła krótki chiton i sandały.

Delikatna, filigranowa jak dziewczynka, przykucnęła przed herosem, który posłusznie odstawił opróżniony puchar i rozumiejąc, że nie ma wyjścia, rozpiął pas z mieczem. Podkurczył pod siebie nogę, usiadł na stercie płaszczy. Zachowywał się jak mąż, który przeżył z Ariadną ze dwadzieścia lat. Zaraz zapyta, czy zamknęła bydło i czy nasypała ptactwu ziarno...

– Byłoby z pewnością lepiej – odezwał się Tezeusz – aby taki ślub odbył się uroczyście, w obecności kapłanów i gości, w naszej komnacie sypialnej...

Ariadna ostrożnie złożyła swój chiton, przykrywając nim detonator.

– Nie opowiadaj głupstw, chłopcze – powiedziała. – Teraz po cichu, a w Atenach uroczyście. –

Zdmuchnęła lampkę i jaskinia pogrążyła się w ciemnościach.

Tezeusz jęknął.

Kora, która stała u wejścia do jaskini, ze smutkiem pomyślała: ona zaraz go zgwałci. I zdziwiła się, dlaczego to ma jej dotyczyć? Niewiele jest bratanków, którzy śpią ze swoim ciociami, a jeszcze mniej takich, którzy nie podejrzewają, że to ich ciotki. – Chodź do mnie – wyszeptła dziewczica, która, sądząc z roli, powinna być wcieloną niewinnością.

– Dobrze – zgodził się Tezeusz. – Ale poczekaj chwilę, jestem dziś tak zmęczony.

„Ty jesteś zmęczony! Byczek! – uśmiechnęła się Kora. – Po prostu tak cię wystraszyłam, że wydaje ci się, iż obok leży sama gorgona Meduza”.

– Zaczynj wreszcie, gdzie jesteś?! – zezłościła się Ariadna. Tezeusz w odpowiedzi mamrotał coś pod nosem.

Korze zrobiło się niezręcznie i nieprzyjemnie podsłuchiwać tę scenę. Odeszła, jak mogła najdalej, do brzegu placu, około pięćdziesiąt metrów. Teraz dźwięki z grotty prawie do niej nie dochodziły i wynik zmagania niewinności z przerażonym erotyzmem pozostawał dla niej nieznanym.

Ale dość szybko odgłosy wewnątrz całkowicie ustały. Zaniepokoiło to Korę. Podeszła na palcach bliżej ku jaskini. Stamtąd dochodził miarowy oddech Tezeusza. Potem zaszeleściła tkanina, Ariadna ubierała się. Było dziwne, że Tezeusz w żaden sposób na to nie reagował. Ariadna wysliznęła się z jaskini tak blisko Kory, że ta mogłaby wyciągnąć rękę i jej dotknąć.

Jakże szybko to wszystko nastąpiło!

Korze pozostawały minuty. Może tylko sekundy... Gdy tylko Ariadna oddali się na bezpieczną jej zdaniem odległość, natychmiast zdetonuje pocisk.

– Tezeuszu! – zawołała Kora, zagładając do jaskini.

Nie bała się, że Ariadna ją usłyszy – królewna uciekała, łamiąc gałęzie, jak stado dzików.

– Tezeuszu!

Nie było odpowiedzi. Minęły już trzy sekundy.

Kora zanurkowała do wnętrza pieczary. Ciemno, choć oko wykol. Gdzie ten cholerny kochanek? Potknęła się o stos chlamid, pod którymi smacznie chrapał Tezeusz, i chwyciła go za ramię.

– Tezeuszu!

Spal jak niemowlę.

Ta zmija w dodatku go uspiła, aby mieć pewność! Co za moralność w tej przeklętej Ragozie!

Kora chwyciła Tezeusza, który ważył ze sto kilogramów, zarzuciła go na barki i, zataczając się, wyniosła z jaskini. Nie miała czasu, by zastanawiać się, czy złamie nogę, czy nie, najważniejsze było zdążyć usunąć się na bok.

Znów chlastały ją i kaleczyły gałęzie – czyżby znowu musiała wyrzucić nową chlamidę? To była jej ostatnia świadoma myśl, ponieważ ziemia pod nogami zadrżała i odjechała, a huk był tak straszny i głuchy, że Tezeusz obudził się, ale nie mógł zrozumieć, co się dzieje; próbował uciekać i Kora zmuszona była wykręcić herosowi rękę za plecy.

– Stój! – krzyknęła. – Zginiesz! Czy teraz widzisz, co znaczy żenić się z córkami Minosa?

– Ale co to takiego? To Zeus! To grom! To on zszedł na ziemię!

– Nic podobnego! Twoja narzeczona wiedziała, że na górze nad jaskinią, w skale jest szczelina. Skala trzymała się cudem. Rankiem zobaczysz dokładnie. A kiedy zasniesz...

– Między nami do niczego nie doszło – ufnie zakomunikował Tezeusz Korze.

– Zuch z ciebie! – pochwaliła go Kora, jak starsza siostra brata, który postanowił wrócić jako prawiczek z domu publicznego...

– Czy chciała mnie zabić?

– Dlaczego mnie nie posłuchałeś? Dlaczego zasnąłeś, chociaż kazałam ci wyjść z pieczary tuż po niej?

– To ja nie wyszedłem? Dlaczego więc tu jestem?

– Dlatego, że... dlatego, że dobra Atena Pallas wyniosła cię na swoich plecach – powiedziała Kora, która nie chciała wyglądać w oczach młodzieńca na bohaterkę. Młodzieńcy darzą je szacunkiem, lecz ich nie kochają.

– A gdzie jest teraz Ariadna?

– Myślę, że znajdziemy ją na brzegu. Z pewnością opowiada twoim przyjaciółom, jak w jaskini spadł dach i coś boskiego wyrzuciło ją na zewnątrz, a ty zostałeś pogrzebany.

Kora nie zdążyła skończyć, gdy usłyszeli na dole wzburzone głosy. Ateńczycy szli w stronę jaskini. Powstał niewiarygodny hałas, tym bardziej, że przyłączyli się do niego leśni mieszkańcy – do miejsca katastrofy podążali zarówno ludzie, jak i nimfy, i fauny... Któraś z dziewcząt już szlochała, oplakując urodziwego Tezeusza, lecz nagle wszystkich zagłuszył głos Ariadny:

– Była to noc moich marzeń! Była to noc mojego małżeństwa! I jeśli bogowie zniszczyli Tezeusza, będę nosiła w sobie jego syna...

– Zaczekajcie, panowie – odezwał się Feak. – Nie grzebcie go. Kora trzymała za rękę Tezeusza. Ale on i bez niej zrozumiał, że nie należy się teraz spieszyć. Im dłużej rozmawiają pod nieobecność Tezeusza, tym lepiej.

Tezeusz mocno ziewał, ale opuściła go chęć do spania.

Procesja Ateńczyków dotarła do wejścia do jaskini, a dokładniej rzecz ujmując, do tego, co z niego zostało. Niektórzy nieśli ze sobą pochodnie.

Skała spadając w dół, całkowicie zniszczyła nie tylko jaskinię, ale i pamięć o niej. Przed oczami ludzi było strome zbocze...

– A może pomyliliśmy się? – zapytał ktoś.

– Nie, nie pomyliliśmy się – powiedział Feak. – Patrzcie! Wtedy wszyscy zobaczyli, że z kamienia wystaje rękojeść miecza Tezeusza, rodowego miecza, wykonana w kształcie splecionych węży.

I wtedy zapłakali wszyscy – i kobiety, i nimfy, i dzielni żołnierze.

Pląkała też Ariadna. A Kora pomyślała, że ona z pewnością naprawdę żałuje bratanka Gustawa, któremu przynosiła na urodziny cukierki i którego huśtała na swym szczupłym kolanie. Ale interesy klanu są ponad wszystkim...

– Wyszłam za potrzebą – opowiadała księżna z antyczną bezpośredniością, zalewając się łzami. – A kiedy obróciłam się, zobaczyłam ten okropny widok.

Któryś z wioślarzy podszedł do skały i usiłował wyciągnąć miecz. Ale miecz, przygnieciony wielotonową skałą, ani drgnął.

– Nie możemy go nawet pochować jak należy – powiedział Feak.

– A jak udowodnię jej złe zamiary? – wyszeptał Tezeusz do ucha Korze. Chłopiec na tyle doszedł już do siebie, że częściowo obudził się w nim student Uniwersytetu Moskiewskiego. – Tylko twoje ostrzeżenie... i też tajne.

Jeden z wioślarzy przyniósł włócznie, kije, próbowano również kopać, lecz wkrótce było wiadomo, że to na nic się nie zda – wszystko dzieje się z woli bogów.

– Pozostaw to mnie. Ty masz za zadanie stanąć koło mnie i nie przeszkadzać.

– Uratowałaś mi życie.

Po tym wszystkim nie pozostało im nic innego, jak tylko czekać, aż zmęczą się niezdarni ratownicy i płaczki. I stopniowo cała procesja pociągnęła ku zatoce, do okrętu. Zanim Tezeusz ruszył

za nimi, podszedł do skały i dokonał przez nikogo nieopisanego kolejnego czynu. Pociągnął za swój miecz z taką siłą, że omal nie wywołał nowej lawiny. Ale po trzech minutach miecz, chociaż mocno uszkodzony, znalazł się w jego ręce. Można było zejść na dół i kończyć przedstawienie.

Kiedy ścieżką podchodzili do ognisk, które płonęły jeszcze na brzegu, ponieważ mało kto kładł się spać tej nocy, wybrali największe z nich, koło którego siedział Feak, przykrywszy wciąż jeszcze pochlipującą Ariadnę. Siedzieli tam też znamienici ateńscy młodzieńcy. I pomocnik sternika, Nausitoos.

– Teraz zastosujemy terapię szokową – powiedziała Kora.

– Co? – spytał Tezeusz.

– Zaraz zobaczysz. Idź pierwszy. I zatrzymaj się pięć kroków od ogniska, tak, by widziano twój miecz. Oskarż głośno Ariadnę o swoją śmierć.

Tezeusz posłusznie wykonał potrzebne ruchy i wtedy Kora zobaczyła, jak rodzi się wiara w cuda.

Pierwszy dostrzegł Tezeusza Feak. Ostrożnie zostawił Ariadnę i padł na twarz przed ogniskiem.

I wówczas na zasadzie reakcji łańcuchowej zaczął się szok, o wiele większy niż w chwili lawiny czy poszukiwań. Wszak widzieli oni zmartwychwstanie, czego dodatkowym dowodem był miecz w ręku herosa.

– Oskarżam tę oto niewiastę – Tezeusz wskazał na Ariadnę, która zerwała się na równe nogi. – O to, że pragnąc mojej śmierci, wywołała nikkzemne czary, by zabić mnie w noc poślubną. I jedynie wstawiennictwo bogów uratowało mi życie. – Przy słowach „wstawiennictwo bogów” Tezeusz wskazał na Korę i nikt nie śmiał zaoponować. Tylko Ariadna nagle wykrzyknęła – nerwy cioteczce puściły: „Nie! Nie! Jesteś martwy! Ty nie możesz istnieć!”. Upadła na ziemię i, siedząc w kucki, rozpaczliwie waliła piąstkami w zleżały piasek.

– Czy to prawda? – zapytał Feak.

– Nie! – Ariadna wzięła się już w garść. – Nie! Kochałam go, tylko odeszłam na stronę.

Tezeusz skonsternowany obrócił się do Kory. I słusznie. Teraz nadeszła jej kolej.

– Potwierdzam – powiedziała Kora – że Ariadna chciała zgubić Tezeusza za pomocą podłych czarów. Zwała skałę na jaskinię, a wcześniej sama uciekła.

– Nie!

– A więc dlaczego była w chitonie, przewiązanym paskiem, w chlamidzie, chustce i sandałach.

– Wyszłam za potrzebą.

– Czy widzieliście niewiastę, która w lesie wychodzi za potrzebą w takim stroju?

Wszystkich ogarnął śmiech – puściły im nerwy. Śmiali się, rechotali, chichotali, ze śmiechu padali na piasek – nałożyć chiton, zawiązać pas, narzucić chlamidę i pójść za małą potrzebą! W noc poślubną!

– Przecież to nie jest śmieszne! – huknęła na nich Kora i śmiech powoli zamilkł. – Przecież to podstęp zabójcy.

– Nie! Nigdy tego nie udowodnicie! – krzyknęła Ariadna. – Rzucacie na mnie oszczerstwa, a ja zwracam się do mojego dziada Zeusa w modlitwie o pomoc. Zostałam obrzucona błotem.

Tłum na brzegu zastygł w przerażeniu.

Wszak mieli do czynienia z wnuczką Zeusa, a poczucie sprawiedliwości u bogów zawsze ustępuje przed obowiązkami wynikającymi z pokrewieństw. Ale tym razem, na szczęście dla Kory i Tezeusza, Zeus zapewne odpoczywał. Nie wstawił się za Ariadną.

– Skoro bogowie milczą – rzekła wtedy Kora. – Ja będę mówić. Mam świadka tych czarów. Jest człowiek, którego ona jeszcze w ciągu dnia wysłała, by podłożył zaczarowane urządzenie w szczelinie nad jaskinią. I jest to jeden z was...

– To niemożliwe... – przeszło przez tłum.

– A może sam się przyzna? – spytała Kora. – Ja i tak znam prawdę.

I wtedy potężny garbus wykonał jeden, dwa, trzy... niełatwe kroki ku ognisku.

– Ona prosiła mnie, abym wszedł w ciągu dnia na skałę nad jaskinią i włożył miedziankę w szczelinę nad pieczarą...

Zamilkł, w bezsilnym geście opuszczając ręce.

– Czy tak było? – zapytał Feak. Podszedł blisko – sterników dzieliła od siebie odległość zaledwie dwóch metrów.

– Tak było.

– To on! To on tego chciał! Próbował mnie zgwałcić! – krzyczała Ariadna.

– To też było?

– To też – przyznał garbus.

Kora nie zdążyła dostrzec, jak Feak wyrwał swój krótki prosty miecz i zadał nim dwa ciosy – w szyję i w brzuch Nausitoosa.

Garbus złożył się jak scyzoryk i zmienił się w rzęzącą kupę czerwonych i czarnych łachmanów. Ariadna piszczała. Pewnie myślała, że czeka ją ten sam los...

Rano Tezeusz wypowiedział następujące zdanie: – Odplywamy do domu, do Attyki. Czekają na nas... I czekają na pokój. Nie chcę, by nasze święto mąciły złe wspomnienia. Jesteś tu, Ariadno?

– Tu jestem! – przez noc zestarzała się trzykrotnie. Teraz wyglądała prawie tak, jak tego dnia, kiedy Kora po raz pierwszy ujrzała damę Ragozy, zaniepokojoną o bezpieczeństwo bratanka.

– Ariadno, ty zostaniesz na tej wyspie. Otrzymasz strawę, wody jest tu pod dostatkiem. Przyplływają tu rybacy. Mam nadzieję, że nic złego ci się nie stanie. Nie chcę cię już widzieć nigdy więcej.

A Feak powiedział:

– Postąpiłeś słusznie, Tezeuszu.

Wioślarze, którzy zajęli już miejsca na ławkach, zastukali drzewcami wiosel o dulki na znak, że zgadzają się z tymi słowami i je akceptują. Ariadna odwróciła się i odeszła wzdłuż rzeczki w głąb wyspy. Kory również nie martwił jej los. Wszyscy patrzyli w ślad za nią.

Ale nie odwróciła się.

Wtedy Feak rozkazał podnieść kotwicę, gdyż już zbyt długo czekano na nich w domu. Feak był przygnębiony i ponury. Wspólnie z garbusem pływali przez wiele lat. Zerwał się wiatr i Feak rozkazał suszyć wiosła. Wyspa Naksos z daleka przypominała grzbiet wieloryba. Feak polecił postawić żagiel. Nikomu nie przyszło na myśl, że trzeba zmienić żagiel na biały. Przyzwyczajono się do czarnego żagla, a radość powrotu przyćmiewał smutek minionej nocy. I dlatego nikt się nie zaniepokoił, że okręt płynie ku Atenom pod czarnym żaglem.

Historię tę zna wielu i jest ona bardzo smutna: kiedy zawiadomiono Egeusza, że widać czarny żagiel, król ubrał się bez pośpiechu i, nie uroniwszy więcej ani słowa, wszedł w otoczeniu strażników i dworzan na szczyt Akropolu. Długo patrzył na morze, dopóki okręt, na którym płynął Tezeusz, nie zbliżył się do brzegu na tyle, że nie pozostawało najmniejszych wątpliwości.

Wówczas Egeusz, przez cały czas zachowując milczenie, podszedł do urwiska, które w tym miejscu oddziela Akropol od Aten, i rzucił się w dół.

Zginął natychmiast.

Nie mógł znieść krachu wszystkich nadziei.

Tezeusz, który spodziewał się, że czeka go radość i święto, zamiast tego uczestniczył w ceremonii żałobnej – pogrzebie Egeusza.

I Tezeusz został królem Aten. Jednym z najpotężniejszych władców antycznego świata.

Kora chciała zamieszkać osobno, wynajmując niewielki domek i mieszkać w nim tak długo, aż Tezeusz nie zakończy swojego VR rajdu, ale nikt nie chciał jej na to pozwolić. Centaur Folos, który odprowadził z powrotem do Koryntu swego przyjaciela Chejrona, domagał się, by Kora dzieliła razem z nim jego skromne mieszkanie. Lecz Folos był zanadto gadatliwy, jego dom był przestronną stajnią, na dodatek znajdował się daleko od pałacu, a Kora nie zakończyła jeszcze swojej pracy. Musiała być jak najbliżej Tezeusza i czekać, czy nie pojawi się przy nim jeszcze jakiś zabójca.

W końcu przyjęła natarczywą, graniczącą z rozkazem propozycję nowego króla Aten i zajęła część komnat Medei w niewieściej połowie pałacu ateńskiego.

Kora nie wiedziała, jaka jest relacja między czasem tu, w Atenach, a tam, w Centrum Galaktycznym. Wiadomo jej było tylko tyle, że wirtualna rzeczywistość może „zająć” całe ludzkie życie, a w przyszłości minie jedynie kilka tygodni. Ale dni, które minęły po powrocie z Krety, wydawały się jej całkowicie nie mieć końca, gdyż nie miała żadnego godnego uwagi zajęcia. Nawet nie ma jak wyruszyć w podróż do jakichś cyklopów czy gorgon – o ile takie jeszcze gdzieś istnieją – ponieważ nie można na dłużej oddalić się od Tezeusza.

A Tezeusz był zajęty od rana do nocy.

Przyjmował posłów, sprawował sądy, porządkował gospodarkę, zniszczoną całkowicie przez Egeusza i Medeę, którzy się nianie interesowali, przy czym robił to tak sprawnie, jakby od dziecka rządził państwem, czym w niemałym stopniu zadziwiał Korę i zresztą nie tylko ją.

Korę, która utraciła realne poczucie upływu czasu, złościł przede wszystkim brak możliwości, by dowiedzieć się, kiedy, w jaki sposób powinien zakończyć się VR rajd księcia Gustawa. Najprawdopodobniej śmiercią Tezeusza. Lokalną śmiercią, nie mającą związku z losem królestwa Ragoza. Ale nikt nie podpowiada, zatem trzeba wytrzymać.

Kora obawiała się, że z powodu beczynności i przymusowego oczekiwania straciła szybkość i przybrała na wadze. Nocami nurkowała w niewielkim basenie, przysługującym jej z racji stanowiska i pluskała się w nim, a następnie podciągała się na belce albo robiła pompki, dopóki niewolnicy i służące jeszcze spały.

Aby być jak najbliżej króla, uzyskała u jego boku stanowisko doradczyni do spraw bezpieczeństwa, które, oczywiście, tak się nie nazywało. I do czasu, aż jej liczni wrogowie na dworze (każdego dnia wciąż przybywali nowi – wszak nie można być dobrą i życzliwą dla wszystkich dworskich łajdaków i lokai) nie oszkalują jej sprytnie w oczach króla, będzie u jego boku...

Nadeszła zima. Nocą trzeszczał mróz, rankiem woda do mycia w dzbanie pokrywała się warstewką lodu, prymitywne piece źle grzały, w pałacu królowały przeciągi, wszyscy chodzili zasmarkani i kaszlący.

Tezeusz zaprosił Korę na polowanie. Polowano na jelenie w dąbrowach, które zaczynały się tuż za Atenami. Pod wpływem słońca śnieżek stopniał i wysechł. Suche liście i gałązki chrzęściły pod podeszwami sandałów. Kora z przyzwyczajenia okutała się w himation.

Konie pozostawili na dole i wkrótce stracili z oczu straż, która z krzykiem pogoniła za zającem. Kora domyślała się, że Tezeusz nieprzypadkowo wziął ją na bok. Zanim jednak zaczął rozmowę o istocie sprawy, należało go podejść...

– Zostawiłeś przy życiu Pallanta i jego braci – powiedziała Kora. – Czy to bezpieczne?

– Krewni zawsze są niebezpieczni – uśmiechnął się Tezeusz. – Jeśli poczuję zagrożenie z ich strony, zabiję ich.

– Zabijesz? Tego ci nie wybaczą...

– Wybaczą mi wiele, ponieważ jestem dobrym władcą. Zaprowadziłem porządek, zrobiłem tak, że nasi kupcy mają w Atenach lepiej niż przyjezdni, ale i przyjezdni mają dobrze na tyle, że nie zamieniają Aten na Teby i Spartę. Ponoszę wszelkie ofiary, jakich wymaga się ode mnie i uczestniczę we wszystkich uroczystościach. W Atenach jest więcej świąt niż w jakimkolwiek innym mieście.

– Ale wszystkie twoje prawa są okrutne.

– Przeciw przestępcom – tak. A obywatel lubi wiedzieć, że stracono złodzieja. Nawet wtedy, gdy złodziej ukradł tylko bułkę. A wiesz dlaczego? Jest teraz pewny, że właśnie ten złodziej więcej nic nie ukradnie.

– To znaczy, że gdy Pallantydzi okażą się dla ciebie niebezpieczni...

– Gdy Pallantydzi dadzą mi pretekst, policzę się z nimi. Wyłączam z tego tylko samego Pallanta.

Szanuję starców.

Uśmiech Tezeusza był okrutny, a w kącikach jego ust pojawiła się zmarszczka. A przecież dopiero wczoraj, dosłownie wczoraj widziała tego chłopca pod Koryntem!

– Ile czasu upłynęło, odkąd się poznaliśmy? – zapytała Kora. I sama liczyła – wszystko zaczęło się we wrześniu, teraz jest styczeń.

– Minęło sześć lat od momentu, jak wróciłem z tobą do Aten – odpowiedział Tezeusz.

– Jak to, sześć lat?

– Przypomnij sobie, moja pani. Pierwszej zimy po powrocie byliśmy razem w Delfach i złożyliśmy ofiarę wróżbie, a potem wyruszyliśmy do Teb. Potrzebny był nam układ z Tebami.

– Tak...

– Drugą zimę spędziliśmy w Trojzeniu. – Pamiętasz, jak mój dziadek przeraził się, przypuszczając, że jesteś moją narzeczoną. Bo sądził, że będziemy mieć tak wysokie dzieci, że bogowie ich znienawidzą?

Tezeusz kłamał. Kłamał, gdyż nie mogło minąć sześć lat. I nagle pamięć zaczęła wyrzucać zapisy, fragmenty, mgliste obrazy tego, co zdarzyło się jej w minionych latach, latach, których (co mogła przysiąc na wszystkie świętości) w jej życiu nie było, ale zdarzenia, które, po raz pierwszy wspomniane przez Tezeusza, jakby się wydarzyły. Na tyle realnie, że nagle zaczęły napływać ich szczegóły – niewygodne łoże w Trojzeniu i drobne świństewka Ajtry, nienawidzącej domniemaną nałożnicę jej syna. A gdy usiłowała zgłębić tajniki mechanizmu wyroczni delfickiej...

– Teraz w mieście jest wielu nowych ludzi – powiedział Tezeusz.

Chociaż wybrał się jedynie na polowanie, miał na sobie wojskowy pancerz i niewielki hełm. Był to rezultat nalegań Kory, która potrzebowała niemało czasu, aby przekonać króla, że jego bohaterskie czyny nie zostaną zapomniane przez lud z tego powodu, że będzie on wykazywał ostrożność. Na szczęście bliski Tezeuszowi Feak, centaur Folos, niektórzy rozważni członkowie starszyny byłych wspólnot Attyki, zjednoczonej od teraz w jedno państwo, rozumieli, że zachowanie życia władcy leży w ich interesie... Dopóki służy on miastu i państwu.

– Dlaczego mówisz mi o tym? – spytała Kora. – Bez tego wiem, że po całej Helladzie rozesłałeś ludzi, którzy wzywają: „Przybądźcie tu, wszystkie narody!” Chcesz, by Attyka stała się najbardziej zasiedlonym i dostatnim krajem, a Ateny największym i najznakomitszym miastem świata.

– Jesteś temu przeciwna?

– Cieszy mnie twoja polityka, jest mądra. Boję się wszakże, że zaczniesz dokonywać ocen za pomocą dziwnych dla mnie i niebezpiecznych dla ludzkości kategorii „największy”, „najznakomitszy”, „najsilniejszy”. Na każdego „najsilniejszego” zawsze znajdzie się „silniejszy”.

Tezeusz nie obraził się.

– Wiem – powiedział ze spokojem. – Masz na myśli mojego wuja Heraklesa?

Korze nie przyszedł on nawet na myśl, lecz nie zaprzeczyła.

– Czasami wychodzę na miasto – kontynuował Tezeusz.

Na prośbę Kory Feak zorganizował dla Tezeusza niewielką ochronę, towarzyszącą mu w tych wyprawach, które z reguły kończyły się nie w cichych ogrodach, zamieszkałych przez filozofów, a w gospodach czy u sławnych heter, albo zmieniały się w haniebne, z punktu widzenia Kory, polowanie na ładne dziewice na ulicach Aten. W trakcie takich wypadów łamano niemało żeber, ale Tezeusz zawsze potrafił zatrzymać się w niebezpiecznym momencie i usunąć się na bok, co zdradzało w nim działacza państwowego. Kora zawsze marzyła o dniu, kiedy powróci, rzuci światło na historię starożytnej Grecji i wyjaśni, jaka jest obiektywna ocena roli króla Tezeusza w dziejach Aten. Przecież powinna taka być!

– Mów dalej – powiedziała Kora, czyniąc ostrożny krok na bok, by uwolnić ramię od dłoni Tezeusza.

To niemożliwe, aby czas igrał z nią tak okrutnie! Ale zapominała wciąż, że to czas komputerowy i może on grać w różne swoje gry, dopuszczając ją lub nie, do rozumienia gry. Tak więc minęło sześć lat jej życia w Atenach i Kora rozumiała, że jeśli się postara, wszystkie te lata wypłyną w pamięci. Ale czy to oznacza, że zostały ostatecznie wykreślone z jej życia? Że pojawiły się u niej zmarszczki, a jej skóra straciła elastyczność? Jak to wyjaśnić, jak udowodnić, jeśli nie ma z kim i z czym porównywać, jeśli prowadzisz na tyle roślinożerny tryb życia, że mogłaś już zmienić się w krowę. Przy czym za sprawą jakości miejscowych zwierciadeł nawet tego się nie domyślił!

– Czy słuchasz mnie, pani?

– O tak, cała zamieniam się w słuch.

– W ostatnich miesiącach moi doradcy i starszyzna jak jeden mąż domagają się, bym się ożenił. Tron powinien przyspaść mojemu następcy.

– To świetnie – odpowiedziała Kora, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że to jej nie dotyczy. Od dawna była przygotowana na tę kwestię.

– Mój nowy przyjaciel – kontynuował Tezeusz – Pejritoos, opowiadał mi, że w Sparcie dorasta siostra Dioskurów imieniem Helena... Nazywają ją Piękną Heleną.

– Co za Pejritoos?

– Przypomnij sobie, mówiłem ci o nim. Obiecał mi, że wkrótce będzie w Atenach. To dzielny młodzieniec. Heros, bardzo podobny do mnie. Władca Magnetami, żyjącymi nad rzeką Penejos. Akurat w październiku ubiegłego roku postanowił wypróbować moją siłę i zdecydowanie i, znalazłszy się na granicy Attyki, porwał stamtąd stada. Czy naprawdę nie pamiętasz?

... Jeszcze jedno wspomnienie. Hałas na ulicach Aten, Tezeusz wpada do jej sypialni w chwili rozmowy z Chariklo, która przyszła do niej z wizytą i krzyczy, że oberwie temu chłopcu uszy. Chociaż sam Tezeusz był wtedy... Zapomnijmy, ile lat ma Tezeusz.

– Tak, pamiętam. Ale wy, zdaje się, odebraliście mu stada?

– Zwrócił je sam – zaśmiał się Tezeusz. – Spotkaliśmy się na brzegu rzeki i ruszyliśmy sobie na spotkanie, pozostawiając oddziały z tyłu. Chcieliśmy zmierzyć się w pojedynkę. Ale on miał tak sympatyczną twarz... i tak ładnie, jak człowiek, poprosił mnie, abym wybaczył mu kradzież. Poprzysięgliśmy sobie wtedy wieczną przyjaźń. Teraz chce złożyć mi wizytę.

– To bardzo miłe – odpowiedziała Kora, przeklinając siebie w duchu za niedocenianie gier czasu. Oto zjawił się Pejritoos, czarujący heros, który wziął się nie wiadomo skąd, władca Magnetów, o których z pewnością nie napisano w żadnym podręczniku. Koniecznie muszę dziś podwoić ochronę! I zacznę prowadzić dziennik, aby nie tracić dni i lat.

– I cóż on proponuje? – spytała Kora.

– Rzecz nadzwyczajną – radośnie oznajmił Tezeusz i na oczach znów zmienił się w chłopca. – Pojedziemy obaj do Sparty i porwiemy Helenę. Potem rzucimy losy. Ten, kto go wyciągnie, ożeni się z Heleną.

– Ale dlaczego właśnie z Heleną?

– Dlatego, że wiadomo już, że jest najpiękniejszą dziewczyną na ziemi.

– Tezeuszu – powiedziała Kora. – Dobrze cię znam. Nigdy nie zapytałbyś mnie o radę, z kim masz się przespać czy nawet z kim się ożenić. Nie bardzo teraz rozumiem, ile lat minęło od naszego powrotu z Krety, ale pamiętam wojnę z Amazonkami z powodu porwania przez ciebie Antiope, kiedy Amazonki spustoszyły połowę Attyki. Przypominam historię ze śmiercią Fedry... Nigdy nie pytałeś mnie o radę!

„Co ja plotę, co ja plotę? Jaka Antiope? Jaka wojna z Amazonkami? Dlaczego tragedia z Fedrą? Kim jest Fedra? Siostrą Ariadny? Dlaczego pamięć o tych wydarzeniach wryła się głęboko – nie wiadomo. Dlaczego tak dziwnie patrzy na mnie Tezeusz?”

– Antiope, wojna z Amazonkami... – powtórzył za nią niepewnie. – Czy to naprawdę się wydarzyło? Antiope?

VR rajd, moi drodzy, niekoniecznie może i musi zawierać znaczące wydarzenia w życiu podróżnika. Ale komplikacja polega na tym, że możesz przypomnieć pewne niezaistniałe wydarzenia, jeśli miały one miejsce w innej rzeczywistości, a nasze wspomnienia się nie pokrywają.

Tezeusz był zdezorientowany i Kora zrozumiała, że oboje znaleźli się w podobnej sytuacji, i lepiej będzie z niej się wydostać, niż pograżać się w tym trzęsawisku. Przypomnijmy raczej, o czym tu, w zimowym, słonecznym i przezroczyście lesie, rozmawiają książę Gustaw z Ragozy i agentka Kora Orwat.

– A jednak – powiedziała Kora – przyszedłeś do mnie z innego powodu. Czy wydarzyło się coś jeszcze?

– Masz rację – odpowiedział Tezeusz. – Widziałem wczoraj na ulicy lektykę. Zakrytą lektykę, w jakich mają zwyczaj wyjeżdżać wysoko urodzone damy. Kiedy lektyka mijała mnie, rozsunęły się jej zasłony i zobaczyłem, że patrzy na mnie i się uśmiecha – Ariadna!

– Ariadna? To niemożliwe!

– Nie oszalałem. Doskonale ją widziałem. A ona nie próbowała ukryć przede mną, że jest w Atenach.

– Dogoniłeś lektykę, rozmawiałeś z nią?

– Nie śmieję się, Koro, ale straciłem głowę. Stałem jak dureń i myślałem – skąd znam te oczy, te małe usta i białe policzki? Zrozum – minęło tyle lat!

To nie ma już znaczenia. Antrakt zakończony. Zabójcy księcia Gustawa dopadli go.

– Przypominałem sobie – kontynuował Tezeusz. – Że jest złą czarodziejką. I jeśli dowie się, że ożeniłem się z Piękną Heleną, okrutnie się na mnie zemści. Raz udało ci się, Koro, przestrzec mnie. Czy potrafisz zrobić to ponownie?

Kora nie odpowiedziała od razu. Oczywiście, byłoby naiwnością zakładać, że wrogowie Gustawa zrezygnują ze swoich planów, ale zuchwałość, z jaką to zrobili, zdumiała Korę. Ariadna nie kryła się z tym, że jest w Atenach. To oznacza, że zdaje sobie sprawę ze swej mocy. Albo wymyśliła już sposób, w jaki rozprawi się z Tezeuszem i teraz tylko ostrzegała: „Idę na całość!”

– Nie podobają mi się wieści, które mi przekazałeś, królu – rzekła w końcu Kora. – Przeraza mnie pojawienie się zdradliwej Ariadny, ona ciebie nienawidzi. Przeraza mnie też co innego: twoje pragnienie, by ożenić się z Piękną Heleną. Dlaczego nagle postanowiłeś to uczynić?

– Pejritoos ciągle wierci mi dziurę w brzuchu! On uważa, że to wyraz męskiej przyjaźni.

Porywamy ją Dioskurom, a potem ciągniemy o nią los. Jeśli Helena przypadnie mnie, ożenię się z nią, a Pejritoosowi znajdziemy jakąś inną córkę Zeusa.

– A może wystarczy ci, że będziesz skoliigacony z bogami?

– Dlaczego? – król był szczerze zdziwiony. – To przydatne w sprawach państwowych. W końcu może dojść do takiej sytuacji, że będę mógł poprosić kogo trzeba o nieśmiertelność.

– Kto ci to podpowiedział?

– Dziadek mi podpowiedział – przyznał się Tezeusz, trochę się czerwieniąc, co dobrze o nim świadczyło.

– A dziadek wie o porwaniu Pięknej Heleny?

– Myślę, że jeszcze jest za wcześnie, by mu o tym mówić.

– Czy to z powodu jej braci?

– Przede wszystkim z powodu jej braci – zmuszony był to przyznać Tezeusz.

Takie przyznanie się przychodzi herosowi niełatwo. Ale sława bliźniąt Kastora i Polydeukesa, książąt Sparty, rozchodziła się głośniejsz niż wieści o czynach Tezeusza. Oni mieli łatwiej – za ich ojca uważano Zeusa, a ten nigdy nie wypierał się ojcostwa. Ale jak tu się wyprzeć, skoro każde dziecko w Helladzie wie, że Zeus pod wpływem namiętności, która ogarnęła go na widok ich matki Ledy, przyjął postać łabędzia. W takiej właśnie postaci zaczął umizgi do dziewicy, nie podejrzewającej niczego, dopóki nie została pozbawiona dziewictwa. Leda pomyślnie zaszła w ciążę i w wyznaczonym terminie, kiedy wszystkie akuszerki i babki Etolii zbiegły się odbierać jej poród, a mąż, król Tyndareos wzburzonymi krokami przemierzał korytarz żeński) połowy pałacu w oczekiwaniu na wieści, gdy zdarzył się kolejny starogrecki cud: zamiast dzieci Leda zniosła dwa jaja. Właśnie, dwa okazałe jaja, jedno dosyć duże, a drugie całkiem duże.

Król Tyndareos wpadł do alkowy i wywołał straszliwą awanturę, ogłaszając na cały głos, że jeśli w jajach będą salamandry lub małe smoki, skończy z żoną i gadami. Zeus umierał ze śmiechu, Hera urządziła mu scenę zazdrości, jakiej dawno nie było, gdyż nie chciała dłużej żyć z takim, jak mówiła, zbrojeńcem, a Leda musiała usiąść na jajach i przez tydzień niedorzecznego, pełnego obaw historycznego oczekiwania z całkiem dużego jaja wyklęło się dwóch miłych chłopczyków, a z dosyć dużego – jeszcze milsze dziewczynki. Król Tyndareos od razu się uspokoił i uznał wyskok Ledy za kobiecy kaprys, Zeus pogodził się z Herą, a Leda zaczęła karmić swoje potomstwo. Chłopcom z jaja nadano imiona Polydeukesa i Kastora, a dziewczynki nazwano Heleną i Klitajmestrą. Przy czym, jak przekonują godni zaufania historycy, czwórka ta niezupełnie była rówieśnikami, gdyż chłopcy już w chwili urodzin byli o dziesięć lat starsi od swoich sióstr, co nie przeszkadzało im w opiece nad nimi, obdarzaniu miłością i gotowością pozbawienia życia każdego niechcianego narzeczonego. A reputację bracia Dioskurowie mieli taką, że cała Attyka trzęsła się przed nimi ze strachu. I jeśli zajrzeć w przyszłość (o tym w te dni Kora nie mogła wiedzieć), to bracia nie rozstali się również po śmierci. Zeus przemienił ich gwiazdozbiór Bliźniąt. Natomiast co do Heleny... No, wielu słyszało o Pięknej Helenie i wie, że z jej powodu doszło do najstraszliwszej w antycznych dziejach wojny. Ale tego Kora również nie podejrzewała. Nie podejrzewał też Tezeusz, a już tym bardziej sama Piękna Helena.

– Posłuchaj, Tezeuszu – powiedziała Kora. – Nie jesteś już tym chłopcem, który gołymi rękami rozrywał rozbójników. Jesteś władcą Aten, można rzec, królem najznakomitszego państwa antycznego świata, któremu dane było wejść do historii.

– Tak też myślałem – szczerze przyznał się Tezeusz.

– Zapewniłeś Atenom dobrobyt, wzmocniłeś je, zjednoczyłeś całą Attykę i dokonałeś wielu czynów o znaczeniu państwowym. Samo tylko wprowadzenie twardej wymienialnej waluty stawia

cię w rzędzie z najznamienitszymi ekonomistami świata.

– No, już nie przesadzaj! Przypuszczam, że Żydzi lub Hiperborejczycy na granicy ekumeny również mają swoich ekonomistów.

Ale próżność królewska zastała mile połączona.

– U twego boku pojawia się młodzieniec Pejritoos.

– Nie jest młodzieńcem – to dorosły mężczyzna!

– Tym bardziej! U twego boku pojawia się tak zwany dorosły mężczyzna Pejritoos i wciąga cię w najbardziej niedorzeczną awanturę. W jakich czasach ty żyjesz? W epoce dzikości i barbarzyństwa?

– Nie! Przecież wiesz, jaki jest mój stosunek do cywilizacji.

– Twój stosunek? Dopiero wczoraj przyjmowałeś spartańską delegację w związku z wymianą w dziedzinie lekkiej atletyki.

– I dyskoboli! Z dyskobolami pozostajemy z tyłu – powiedział Tezeusz.

– No właśnie! I na tle tych stosunków ze Spartą chcesz porywać ich kobiety, jak jakiś zdziczały Macedończyk?

– Ale to najpiękniejsza dziewczyna na świecie! Pejritoos przysiągł mi to! Przecież nie mogę ożenić się z byle kim.

– A Antiope? A Fedra? One co, były paskudne?

Tezeusz wzruszył ramionami. A Kora poczuła nagle, jak ogarnia ją chłód i strach. Zrozumiała, że pamięć o przeszłości Tezeusza, która minęła obok niej, w jej obecności, tak naprawdę żyje w niej całkowicie obiektywnie – przecież imiona wcześniejszych żon króla, o których dziś rano nie miała pojęcia, wyrwały się z jej ust zupełnie naturalnie i całkiem bezwiednie.

– A jeśli to prowokacja Pejritoosa? Jeśli rzeczywiście ten chłopiec jak malowanie wygra Helenę w kości, w jakim dalekim kierunku pójdzie wasza honorowa kompania?

– O tym my zadecydujemy – z mocą oświadczył Tezeusz, okazując tym, że jednak król w Attyce może być tylko jeden, akobiet-doradców – ile tylko zapragnie.

– Zatem uprzedzam – twardo powiedziała Kora – że ponieważ cię lubię, chcę dobra Aten i wszystkich bliskich ci ludzi, podejmę wszelkie środki, byś nie rzucał się na złamanie karku porywać dziewcząt z jaj Ledy i nie narażać Aten na gniew wszechpotężnego Zeusa.

I, co najważniejsze, byś nie zaczynał z tego powodu wojny z Dioskurami. Czy wiesz, co ich armia robi z ateńską? – Co?

– Gulasz.

– Co?

– Nie wiem, jak wy to nazywacie. Ale posiekają was na kawałki.

Wtedy Tezeusz przybrał królewską pozę i wrzasnął na cały las:

– Niech tylko ci Dioskurowie spróbują palcem tknąć choć jednego Ateńczyka. Niech tylko spróbują wtargnąć w granice naszego wielkiego państwa! Wtedy sam się z nimi rozprawię tak, że na zawsze odejdzie im ochota napadać na nas!

– Mój drogi Tezeuszu – powiedziała Kora. – Wydaje się, iż zapomniawszy, że nie mają najmniejszego zamiaru na ciebie napadać. A twoje Ateny są całkowicie bezpieczne. I tak będzie, dopóki nie zaczniesz porywać dziewczyc z ich terytorium.

– Głupstwo! – odrzekł Tezeusz, gdyż nic więcej powiedzieć nie mógł.

Chmura zasłoniła słońce i od razu zrobiło się zimno, jak pod Moskwą w listopadzie.

Zaczął sypać rzadki śnieżek. „Wynależliby getry albo chociaż spodnie – pomyślała Kora, patrząc na gołe kolana króla. Na okamgnienie wyobraziła sobie, jak na jej ramieniu leżała twarda dłoń

Tezeusza... Teraz o tym nie mogło być nawet mowy. Kora była tą nielubianą ciotką, która potrafi odebrać cukierek albo poskarżyć się na chłopca matce. Takich ciotek nie obejmuje się ramieniem, nawet jeśli są bardzo ładne. Zresztą sam diabeł nie rozróżni ich pod tymi chlamidami! Też modę wymyślili!

– Idziemy z powrotem, królu – powiedziała Kora, zła na siebie i Tezeusza, którego powinna z jakichś powodów strzec przed głupstwami, i na Milodara, który teraz rozsiada się w wygodnym fotelu, sącząc swoje ulubione wino „Wasibuzani”.

Tezeusz bez słowa ruszył do przodu. Nie odwracał się. Kora szła z tyłu.

„Nie ma co upadać na duchu. Wystarczy tej beczynności... zaczniemy działać. Tylko co, jeśli oni coś tam popaprali i Kora wróci na Ziemię jako starucha, podczas gdy wszyscy jej rówieśnicy opuszczą ten świat? Koro, nie myśl o głupstwach. Jankes, który mieszkał na dworze króla Artura, miał telegraf, a nawet coś w rodzaju telefonu, a jak ona ma komunikować się z Tezeuszem, z dziadkiem Pitteusem? Konieczna jest mobilizacja wszystkich środków... Teraz trzeba spotkać się z centaurem Folosem, o wszystkim powiadomić Chejrona – to ludzie mądrzy, obcy. I najważniejsze...”

– Najważniejsze – powiedział centaur Folos tego samego wieczoru, kiedy we troje: Folos, Kora i sternik Feak zastanawiali się nad niebezpieczeństwem, które zawisło nad Atenami i nad całą cywilizacją – to wysłać zaufanego człowieka do Sparty i dać im do zrozumienia poprzez nieoficjalne źródła, że księżniczkę o imieniu Piękna Helena trzeba strzec całą armią państwa, gdyż grozi jej straszliwe niebezpieczeństwo. Trzeba postraszyć Dioskurów, nie mówiąc im, oczywiście, gdzie czai się owo zagrożenie.

– Jeśli jesteś przyjacielem – poprosiła Kora Feaka – to dowiedz się, na ile możesz, czegoś o tym Pejritoosie, kiedy i skąd się pojawił, z czego słynie, skąd się wzięła ta jego nagła przyjaźń z Tezeuszem i skąd ta umiejętność oddziaływania na próżność naszego króla.

– A ty? – zapytał Folos – Ja chcę odnaleźć Ariadnę. W całej tej historii to właśnie ona przeraża mnie najbardziej.

Poszukiwania Ariadny, na które Kora za zgodą króla pobrała ze skarbcza prawie pół talentu srebra i postawiła na nogi wszystkich informatorów ateńskiej policji, nie przyniosły żadnych efektów. Ariadna pokazała swój pyszczek, jak ptasznik spod kamienia i zniknęła. Ale odtąd ani Kora, ani Tezeusz nie zaznali spokoju.

Natomiast powoli szły przygotowania do najazdu na Spartę, najazdu bezsensownego i niecywilizowanego. Na dworze antycznego króla zawsze znajdują się lokaje, gotowi na każde łajdactwo, aby tylko pozyskać względy władcy, nie brakuje tam też dziesiętników, którym marzą się szlify setnika. A ponieważ Tezeusz wiele do najazdu nie potrzebował – tylko wyszykować konie i rydwany, najlepsze w Attyce, jak również oddział jeźdźców, gotowych oddać życie, by tylko powstrzymać pościg. I to wszystko na pierwszy dzień. A na drugi – miejsce, w którym można ukryć zdobycz. Przecież nie poprowadzą jej ulicami Aten, pachniałoby to pierwszą wojną światową, ponieważ po stronie Sparty natychmiast stanie cały Peloponez, wszyscy Dorowie, włączając Krete, chociaż, jak słuch niesie, Minosa na Krecie nie było – od kilku miesięcy zajmował się bezowocnymi poszukiwaniami znieawidzonego Dedala. A możliwe, że był to kolejny propagandowy chwyt sprytnego Minosa, który pod płaszczykiem tych poszukiwań, przeprowadzał jakąś morską wyprawę wojenną, zanadto się tym nie afiszując.

Wiadomości o życiu w innych polis i królestwach Kora czerpała z rozmów w agorze i na dworze, z dyskusji z centaurami i mędrkami, ale, co zrozumiałe, nie stała się przez to osobą wystarczająco obeznaną z życiem Greków. Do tego trzeba było się urodzić, wychowywać, wierzyć w to, w co

wierzy zwyczajny antyczny Hellen, i tylko wtedy ten świat otworzy się przed tobą w swojej strasznej, zabawnej i zwyczajnej pełni. Ludzie z otoczenia Kory żyli w głębokim przekonaniu, że to nie Słońce wschodzi na niebie, a lśni rydwan Heliosa; nie błyskawica uderzyła w świątynię, a ręka Gromowładnego; marynarz nie utonął sam w morzu, a wciągnęła go tam syrena... Wszystko powinno być zaczarowane... A Kora istniała w świecie zaczarowanym wedle naszej miary, ale podług miary greckiej całkowicie pozbawionym czarów. Ponieważ w żaden sposób nie mogła ona przekonująco powiedzieć sobie samej, że stary Chejron albo satyr Nikos są istotami nienaturalnymi. Po prostu oni żyli tu, podobnie jak Tezeusz i Medea. Kora widziała nimfy i nereidy, nawet kąpała się w tej samej zatoce z syrenami, którym tego wieczoru zupełnie nie chciało się śpiewać i które wcale nie odznaczały się szczególną urodą. Ale cuda na poziomie kosmicznym były ukryte przed Korą. I podejrzewała, że i tak nie trafiła na ten poziom VR rajdu, gdzie te istoty zamieszkują. Nie było jej sądzone zobaczyć, jak Atlas utrzymuje niebo lub jak pod wpływem spojrzenia Meduzy człowiek zamienia się w kamień. Cudów nie ma. I jeśli Tezeusz zabił w Labiryncie wielkiego rozwścieczonego byka, nigdy nikomu do tego się nie przyzna, gdyż sam wierzy w to, że zabił właśnie Minotaura. A skoro zabił Minotaura, to oznacza, że Korze nie będzie dane, zgodnie z zasadami wirtualnej rzeczywistości, zobaczyć stworzenia o głowie byka i ludzkim ciele.

A tymczasem gdzieś w niedalekiej przyszłości odbędzie się konkurs najpiękniejszych kobiet Hellady, coś w rodzaju wyborów „Miss Grecji”, na których wychowany przez niedźwiedzicę Mowgli owych czasów – Parys, wybierze Afrodytę, która przyobieca mu miłość najpiękniejszej kobiety na świecie. A wtedy zacznie się krwawe zamieszanie wokół Pięknej Heleny...

Helena przypadnie Parysowi!

To oznaczałoby, że gdyby nawet najzłoty się udał, to Tezeusz krótko będzie się rozkoszował miłością spartańskiej piękności. W przeciwnym razie Afrodyta nigdy nie śmiałyby nagrodzić nią Parysa. A to oznacza, że albo porwania Heleny nie będzie, albo Dioskurowie dopadną Tezeusza, a wtedy... wtedy jak najszybciej Kora może wrócić do domu, wypełniwszy lub zawaliwszy zadanie.

Na razie wywiad Kory nie ustalił miejsca pobytu Ariadny, ale dowiedział się wielu interesujących i, być może, pożytecznych rzeczy. Po pierwsze, okazało się, że Dedal mieszka w Atenach, stwarzając pozory, że jest zwykłym kowalem, zapuścił nawet długą brodę i farbuje ją henną. Po drugie, stało się wiadome, że Pejritoos pojawił się wśród Magnetów niedawno, pokonał w bitwie całkiem już zapomnianego poprzedniego wodza i być może wódz ten umarł... Magnetowie byli plemieniem niezbyt licznym, wyplatali kosze, łowili ryby i nigdy się nie strzygli. Mało kto uważał ich za ludzi. W rzeczywistości Pejritoos był krzepkim zuchem, żadna z sąsiednich wiosek nie była w stanie stawiać mu oporu, lecz nikt nie uważał go za herosa lub króla. Także dla Feaka przyjaźń ta była niepojęta i budziła w nim niepokój. Zaufani ludzie przeniknęli już do Sparty, niestety, teraz nie było tam centaurów – jakiś kolejny zatarg z Lapitami zamknął przed nimi bramy miasta. Udało się jednak przeniknąć do pałacu, dotrzeć do Kastora i donieść do jego uszu wiadomość o grożącym Helenie niebezpieczeństwie. Kastor wpadł we wściekłość – braciom od dawna nie podobało się to, że jakieś zewnętrzne siły usiłują grać Heleną jak polityczną kartą. Tak Kastor powiedział człowiekowi Feaka, przebywającemu w Sparcie. A ponieważ w karty jeszcze nikt nie umiał grać, Kora odniosła to wyrażenie na karb oprogramowania VR.

Znowu siedzieli przy stolikach na podwórzu stajni Folosa. Gospodarz był w nastroju ponurym, odwiedził jakiegoś miejscowego wróżbitę i ten przepowiedział mu rychłą śmierć od zatrutej strzały Heraklesa. Było to niepojęte, a nawet obrażało rozmownego uczonego centaura, wciąż wyruszał na poszukiwania Heraklesa, aby wyjaśnić, co się za tym kryje, lecz nikt w te dni nie wiedział, gdzie włóczy się heros i Kora poradziła Folosowi, by udał się do solidniejszej wyroczni delfickiej, a ta

być może zdementuje lokalną przepowiednię.

Był wieczór, żona centaury przynosiła im młode, mętne, lekkie, ale odurzające wino, nisko wiszące gwiazdy, choć była zima, lśniły jasnym blaskiem. I Kora zdała sobie wtedy sprawę, jak cienka jest ścianka między nią a tym światem, w którym Milodar rozszyfrowuje w sali centrum VR dane na temat jej istnienia. O ile nie zapomniał... albo sam nie umarł ze starości...

– Jutro przyjeżdża Pejritoos – powiedział Folos.

Nadleciał podmuch wiatru i przeniknął górą do otoczonego ścianami, ale odkrytego z wierzchu podwórza. Folos wychylił puchar z winem.

– Nie pij – odezwała się jego żona Teodozja, centaurzyca o dziwnej barwie łat. – Dla naszej rasy picie jest szkodliwe. Przecież sam widzisz, jak młodzież się upija. To źle się skończy.

– Dla mnie – tak – zgodził się Folos.

Feak upił się i zasnął tu na dworze, pod śnieżkiem.

Folos z westchnieniem odstawił pusty puchar i zaczął przechylać się w prawo. Kora przestraszyła się, że wpadnie do ogniska, które płonęło na środku podwórza i z pomocą żony ostrożnie ułożyła go na wołkowej derce.

– Czy wszystko będzie przygotowane na przyjazd Pejritoosa? zapytała Kora.

– Modłę się do bogów, by tak się stało – odpowiedział Chejron.

– Wiesz, lepiej nie zwracać się do nich z taką sprawą – powiedziała Kora.

Przyjazd Pejritoosa odbył się z mniejszą pompą, niż należało tego oczekiwać po plotkach o wspaniałej przyjaźni dwóch młodych herosów, o której aż wrzało w Atenach. I gdyby przyjaciele wcześniej nie uprzedzili Kory, że Tezeusz nie zrezygnował z barbarzyńskiego pomysłu, mogłaby przespać i moment przybycia Pejritoosa, a nawet wyjazd przyjaciół-herosów po Piękną Helenę.

Ale Korę o tym uprzedzono.

Wyruszyła na swojej spokojnej kłaczy Partenopie ku północnej bramie, która, mimo mglistej, chłodnej, przyprószonej szronem błękitnej pory, była otwarta. Wokół bramy tłoczyła się grupa jeźdźców – niewielki oddział Frakijczyków, słynących z umiejętności szybkiej i bezustannej jazdy konnej. Na murze, pośród rzadkich blanków widać było porannych gapiów – w Atenach można było spotkać gapiów nawet o północy. Odprowadzana spojrzeniami jeźdźców Kora odjechała na bok, za występ, zakrywający bramę miasta. Była ubrana w męski strój, na głowie miała niewielki skórzany hełm, pod który schowała włosy, nie można więc z daleka było rozpoznać płci. A ponieważ po wojnie z Amazonkami ich okręty nierzadko podpływały do Aten, to nikogo już nie dziwiły takie stroje ani dziwny akcent czy zachowanie, niezwykajne młodej kobiecie.

Słońce jeszcze nie wzeszło, ciągnął się męczący brzask. Konie niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę, żołnierze je rozgrzewali, co jakiś czas któryś z nich wyłamał się z szyku i niósł się na bok, a potem osadzał konia i kłusem powracał do towarzyszy. W dali z zimowego obłoku doszedł tętent końskich kopyt, jak hałas lawiny. Wśród Frakijczyków nagłe poruszenie, wszyscy zamilkli. I wtedy, jakby po zsynchronizowaniu zegarków, od wewnątrz, z miasta także doszedł hałas – zadudniły na kamiennym bruku okute koła rydwanów i zadźwięczały podkowy.

Wszystko odbywało się dokładnie tak, jak obiecywali Korze jej szpiedzy.

Ech ty, mój miły Tezeuszu, nie bez złośliwości pomyślała Kora, postanowiłeś wywieść w pole swoją najważniejszą strażniczkę, ale tym razem ci się nie udało.

Pojawili się prawie jednocześnie.

Z północy, z pohukiwaniem, nie obawiając się, że zbudzą pogrążone w spokojnym śnie dzielnice Aten, mknęli Magneci; ich włosy, jedynie przytrzymywane skórzanymi tasiemkami w poprzek czoła, rozwiewały się z tyłu jak czarne, postrzępione flagi, a uszyte ze skór stroje czyniły ich podobnymi do

małp. Na czele tłumu Magnetów pędził pięknie zbudowany, potężny wojownik, w hełmie zdobionym kogucimi piórami, w miedzianej zbroi i z krótką włócznią w ręce.

Z bramy na jego spotkanie, o wiele bardziej wstrzemięźliwie i wolno wyjechało kilka rydwanów króla Aten. Na przednim stał on sam. Za rydwanami jechała setka królewskiej straży – lekkobrojni i ruchliwi żołnierze, zaprawieni w walce na miecze i w miotaniu włóczni.

Na widok Tezeusza Pejritoos ostro osadził swego czarnego rumaka i zeskoczył na ziemię. Tezeusz rzucił wodze rydwanu woźnicy i także zszedł na ziemię. Odziany był bez królewskiego przepychu, z jakim godzi się wyjeżdżać do boju ateńskiego monarchy. Miał na głowie okrągły hełm pozbawiony ozdób, a zbroję jak prosty żołnierz. Nawet nagolenice były proste i gładkie.

Król pospieszył do przyjaciela, szeroko rozkładając ręce. Kora obejrzała się. Jej sprzymierzeńcy spóźniali się. Nie, oto podjeżdża centaur Folos.

– Witaj, przyjacielu. Gdzie przesyłka ze Sparty?

– Milcz – wyszeptał Folos.

Z małych powozów i dużych wozów, które spóźniły się wczoraj wieczorem przed zamknięciem bram i teraz, spędziwszy noc pod murami stolicy Attyki, czekały, aż staną otworem i można będzie wjechać na rynek lub w innych handlowych sprawach, wychodzili ciekawscy – przed takimi nie można się ukryć.

Tezeusz krzyknął coś do Frakijczyków i ci pomknęli do skupiska wozów, każąc gapiom pochować gęby jak najgłębiej.

Objąwszy się ramionami, Tezeusz i jego sprzymierzeniec skierowali kroki ku bramie, gdzie ustawiono już stół, a na nim dzban z winem, dwa srebrne pucharki i pokrojony ser.

Podczaszy nalał czerwonego wina do pucharów. Pejritoos przeszedł całkiem blisko Kory, więc mogła mu się przyjrzeć. Sprawdziły się najgorsze oczekiwania.

Nowego przyjaciela Tezeusza, który zabierał herosa w śmiertelnie niebezpieczną podróż, Kora знаła. Był to nikt inny, tylko Clarence, pretendent do tronu Ragozy i, co najważniejsze, przeciwnik księcia Gustawa w nieodbyтым pojedynku. Z jakichś osobistych powodów, a może nawet i nie bez porozumienia z księżną, wolał rozprawić się z Tezeuszem bez pojedynku.

No cóż, oto zapewne jeszcze jeden zabójca. Kora ucieszyła się tak, jak cieszy się diagnostyk z trudnej, ale udanej diagnozy. Zabójca numer trzy. Piękna Clarissa zamierzała rozpuścić nam mózgi kwasem, piękna Ariadna zrzuciła na nas górę, aby nawet ślad nie pozostał po jej narzeczonym, a teraz oto zjawia się i Pejritoos. Zapewne postanowił przekazać los Tezeusza w ręce Dioskurów, którzy, uprzedzeni o najeździe, gotowi są porąbać Tezeusza na drobne kawałki, co także może stać się ostatnim czynem ateńskiego króla. Pejritoos uniósł wysoko swój pucharek.

– Za nasze zwycięstwo, przyjacielu – wykrzyknął. – Dwa dni drogi i najpiękniejsza z kobiet Hellady będzie nasza. Ale czy przysięgasz, że dotrzymasz umowy?

– Przysięgam – odrzekł Tezeusz. – I nie pytam cię o to samo, bo z przyjacielem dwa razy się nie umawiam.

– Żartowałem. Ufam ci, mój bracie – powiedział Pejritoos.

„Boże, co za niemiła twarz”, pomyślała Kora, chociaż tak naprawdę niczego niemiłego w tej twarzy nie było. Heros jak heros. Czując na sobie cudzy wzrok, Kora podniosła głowę. Wydało się jej, że spośród figurek na murach miasta jedna jest jej znajoma – Ariadna! Chociaż mogła się mylić.

Tezeusz uderzył pucharkiem o stół, wylewając resztki wina na pokrytą szronem ziemię. Wino niczym krew pociekło ku rydwanowi. Pejritoos wychylił pucharek do dna.

– No cóż – powiedział Tezeusz. – Im szybciej pojedziemy, tym szybciej wyprzedzimy słuchy o naszym czynie. Proponuję wyruszyć w drogę.

Feak niezauważenie podjechał z tyłu do Kory.

– Wszystko w porządku – zameldował.

Wtedy Kora lekko naprężyła wodze i jej kłaczka wyjechała na otwartą przestrzeń między dwoma oddziałami. Zauważono ją od razu.

Tezeusz właśnie postawił nogę na podnóżku rydwanu. Zamarł. Zrobił się czerwony ze wstydu i gniewu.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął. – Jak śmiesz? Co ty tutaj robisz, niewiasto?

Tylko dobre trojeńskie wychowanie nie pozwoliło mu użyć bardziej chamskiego słowa.

– Przyszłam – powiedziała Kora, jakby nie zauważając, że w królu wrze gniew – aby powstrzymać twój szalony pomysł.

– Zejdź mi z drogi! – Tezeusz wszedł na swój rydwan i gwałtownie wyrwał woźnicy lejce. – Precz!

– Nie bądź chłopcem, Tezeuszu. Jesteś królem – powiedziała Kora.

Z tyłu poczuła ruch powietrza. I, nie obracając się, zrozumiała, że stary sternik nie bał się smagnąć swojego konia i stanąć obok Kory.

– Wysłuchaj nas – powiedział Feak. – Nigdy nie uczyliśmy cię postępować źle.

Kątem oka Kora zauważyła, że z tyłu podszedł centaur Folos, szanowany w Atenach nauczyciel i mędrzec. Tezeusz zawahał się. To byli jego ludzie, jego przyjaciele...

Ale nie przyjaciele Pejritoosa. I wtedy nikomu nieznanemu wódz małego plemienia, playboy Clarence ze znakomitego klanu królestwa Ragozy, popełnił błąd. Zakrzyknął głosem pełnym pogardy:

– Po co ich słuchasz, Tezeuszu! Nie jesteś dzieckiem. Pogoń precz tych żalonych niewolników albo sam posiekam ich na kawałki.

I uniósłszy miecz, Pejritoos skierował swego konia w stronę Kory.

Tezeusz mógł wygnać oponentów, mógł też kazać ich pobić – pod wpływem gniewu tracił nad sobą panowanie. Mógł też ich wysłuchać. W tym momencie sam jeszcze nie wiedział, jak się zachowa. Zuchwałość Pejritoosa rozwiązała ten problem za niego.

– Zatrzymaj się! – powiedział Tezeusz, unosząc otwartą dłoń w stronę towarzysza.

Ten stanął, podporządkowując się władczemu okrzykowi.

– A ty, pani Koro, mów. I radzę ci, byś powiedziała coś nowego. W innym wypadku ukarzę cię, klnę się na Zeusa.

– Czy wiesz, kogo w Sparcie zamierzasz porwać?

– Tak, Piękną Helenę.

– Czy kiedyś ją widziałeś?

– Nie widziałem jej, ale wieść o jej urodzie rozeszła się po całej Helladzie.

– A kto ci o tym powiedział?

– Nieważne, kto.

– Ja powiedziałem! – zakrzyknął, tracąc całkowicie cierpliwość, Pejritoos. Ja powiedziałem. I jeśli nie przepędzisz tej dziewczki, zabiję ją, ale już nie będziemy przyjaciółmi.

– Widzisz więc – powiedziała Kora. – Pamiętasz może stare przysłowie „Zeusie, skoro złościsz się, oznacza to, że nie masz racji”?

– Mów, Koro.

– Czy widziałeś portret Pięknej Heleny? Czy widziałeś jej wizerunek, jak to czyni się przy swatach, kiedy nie możesz przyjechać na spotkanie z narzeczoną?

– Po co mi to?

– A zatem pozwolisz mi, abym pokazała ci wizerunek tej narzeczonej?

– Masz go? – zainteresował się Tezeusz. – Jesteś sprytna, Koro.

Kora odwróciła się. Centaur Folos zarżał, a jego głos dotarł w porannym powietrzu do samego morza.

Jeden z krytych powozów, zaprzęzony we czwórkę wspaniałych rumaków, z którego obu stron nagle wyrosły z tyłu wcześniej niezauważone dwa uzbrojone i zakute w pancerze centaury, ruszył z miejsca i podjechał bliżej.

Chejron pochylił się i odsunął zasłonę. Pomógł wsiąść z powozu młodej kobiecie o pełnych piersiach, ubranej w długi szary chiton i czarną chlamidę. W tym czasie drugi centaur wyciągnął z pojazdu długi, zawinięty w grube płótno przedmiot. Wszyscy zamarli, jakby w oczekiwaniu sztuczki. Pejritoos, który zapewne nie odznaczał się bystrym umysłem, też stał, zapomniawszy języka w gębie.

– Witaj, królu Tezeuszu – powiedział Chejron.

– Dobrego ranka, mądry Chejronie – odpowiedział Tezeusz. – I ty też uczestniczysz w tym spisku?

– Aby uratować cię przed oszustwem, królu, gotów jestem wstać złoza wcześniej niż zwykle... Ta kobieta, stojąca przed tobą, jest mamką królowny Pięknej Heleny.

– Co takiego? Powtórz!

– Tak, panie – potwierdziła młoda kobieta. – Jestem mamką i nianią królowny Heleny. Przypadł mi ogromny zaszczyt – wysiadywałam jajko, z którego ona się wykluła, a następnie karmiłam dziewczynkę piersią. Ci dobrzy ludzie powiedzieli mi, że namówiono cię do wykradnięcia naszej dziewczynki i rozpoczęcia wojny między Spartą a Atenami. Nie mogę na to pozwolić! Moja siostra i siostrzeńcy mieszkają w Atenach. Mam tu połowę rodziny!

– Co więc chcesz mi powiedzieć? Mów! – Tezeusz był rozdrażniony, jak chłopiec, któremu przerwano jazdę na nartach.

– Rozwińcie! – nakazała mamka centaurowi. Ten zaczął rozwijać płótno. – Wielki rzeźbiarz Fidiasz starszy wyrzeźbił moją miłą ulubienicę miesiąc temu. I ten wiemy jej wizerunek przywiozłam z pomocą dobrych centaurów, abyś mógł spojrzeć własnymi oczami na naszą Piękną Helenę.

Płótno zsunęło się na przyprószoną śniegiem ziemię. Przed nimi stała wyrzeźbiona w całej okazałości – i przez to wydawała się nieco mniejsza niż w rzeczywistości – dziewczynka w wieku dziesięciu lat. Różowy marmur oddawał dziecięcą, bezradną delikatność jej ciała. Oczy Heleny lśniły błękitem na szczerzej i ufnej twarzyczce, a ciemno-rude, wyrzeźbione w bursztynie włosy były zebrane w dwa warkoczyki. Pauza przedłużała się w nieskończoność. Wszyscy milczeli. Tylko konie przestępowały z nogi na nogę i czasem krótko rżały.

– Czy to jest Piękna Helena? – spytał w końcu Tezeusz, wodząc wzrokiem po otoczeniu i zatrzymując go na Chejronie.

– Widziałem tę dziewczynkę trzy dni temu – odpowiedział centaur. – Jej brat Kastor zezwolił mi, abym przewiózł japo podwórku. Ona będzie bardzo piękną kobietą. Za dziesięć lat. I godną pozazdroszczenia oblubienicą...

– To oszczerstwo! – w końcu Pejritoos doszedł do siebie. – Oni łąą! Ona i jej bracia-bliźnięta.

– Urodziła się z razem z nimi, lecz oni urodzili się jako dziesięciolatki, a ona jako zwyczajny noworodek – wyjaśniła mamka.

– Wszyscy o tym wiedzą.

– I ty chciałeś, abym ożenił się z dzieckiem? – spytał Tezeusz.

– Czy też liczyłeś na to, że pozwolę to uczynić tobie?

– Skąd miałem wiedzieć! – zakrzyknął Pejritoos. – Powiedziano mi, że jest piękna i wezwałem

ciebie. Aby było lepiej. Przecież jestem twoim przyjacielem.

– Ten panicz – mamka pokazała na Pejritoosa – minionej jesieni był u nas. Gościli go Dioskurowie. Przedstawił się braciom-królom jako król wyspy Naksos.

„Oczywiście – pomyślała Kora, uśmiechając się w myślach, wreszcie odetchnąwszy z ulgą, Ariadna podpowiedziała mu nazwę wyspy. A może nawet oboje tam się spotkali”.

– Milcz, stara wiedźmo! – krzyknął Pejritoos i uniósł włócznię, zamierzając przebić nią mamkę. Ta zapiszczała. Ciężkozbrojny centaur wytrącił mieczem włócznię z rąk Pejritoosa. I chwycił go za ramię.

Przez szeregi Magnetów przebiegł pomruk. Ateńczycy unieśli łuki i włócznie.

– Czy Pejritoos widział Helenę? – spytał mamkę Tezeusz.

– Widział dziewczynkę. A nawet bawił się z nią – odpowiedziała kobieta. – I niech nie ośmiela się nazywać mnie starą wiedźmą. W dodatku powinnam wam powiedzieć, panie Tezeuszu, że kilka dni temu od tego pana Pejritoosa przyszedł list do braci Dioskurów. W nim była wiadomość, że ty, król Tezeusz, zamierzasz porwać sobie na żonę ich maleńką siostrzyczkę. Widziałam ten list na własne oczy. Prosił o urządzenia na ciebie zasadzki.

Kora zobaczyła, jak naprężyły się żyły na szyi centaura – bogowie nie poskąpili Pejritoosowi siły. Zapewne z rąk zwykłego człowieka wyrwałby się z łatwością.

– Odwołuję naszą wyprawę, Pejritoosie – spokojnym i władczym tonem zakomunikował Tezeusz. – Proszę, abyś ty i twoi ludzie opuścili Attykę i nigdy już nie przekraczali jej granic. W innym wypadku nie wrócisz do domu żywy.

– Jeszcze zobaczymy! – zakrzyknął Pejritoos. Centaur puścił go.

Pejritoos wykrzyknął: „Jeszcze się spotkamy, chłoptasiu!”, smagnął pejcem swego konia i pomknął precz. Za nim ruszył oddział Magnetów.

Rozległ się głośny stukot kopyt po zamarzniętej ziemi. Wszyscy patrzyli w ślad za Pejritoosem i nikt nie zauważył, jak strzała, wypuszczona z miejskiego muru, osiągnęła swój cel...

Korę jakby ktoś trącił w plecy.

Próbowała obrócić się, ale poczuła straszliwy ból. Krzyknęła. Nikt nie usłyszał jej krzyku, ale Feak zobaczył, jak upada i zeskoczył z konia. W następnej chwili ziemia zadrżała – na kolana padł gigantyczny centaur Chejron; obaj starali się zasłonić Korę przed następnymi strzałami – jeśli były...

I dopiero po trzech lub czterech sekundach, kiedy stukot kopyt Magnetów zaczął zamierać w powietrzu, Tezeusz zobaczył, co stało się Korze.

– Skąd? Kto? – zakrzyknął.

– Z muru – odpowiedział Feak.

– Wyjmijcie strzałę!

– Zaczekajcie – odpowiedział Chejron. – Obawiam się, że może się wykrwawić. Odłamię tylko drzewce, a grot wyjmę w domu.

– A jeśli jest zatruty? – Tezeusz był w rozpacz. – To wszystko moja wina!

Wyskoczył z rydwanu i rzucił się na ziemię obok Kory. Głaskał jej bezwładne ciało, głaskał jej włosy, które wylazły spod skórzanego hełmu.

– Nigdy nikogo nie kochałem oprócz ciebie... Koro, moja bogini, moja zbawicielko...

– Wybacz, królu – odezwał się centaur Chejron. – Ale musimy zanieść ją do Folosa. Traci dużo krwi.

Dwa centaury niosły ją przez miasto, budzące się ze snu i nieświadome sceny, która dopiero co rozegrała się przed bramami Aten. Centaury niosły przykrytą płaszczem Korę ostrożnie, jak naczynie pełne wody...

Kora przebudziła się następnego ranka słaba, zupełnie bez sił. Teodozja, jak nazywano żonę Folosa, która opiekowała się nią, przyniosła jej nocnik, za co Kora wdzięczna jej była do grobowej deski, bowiem myśl o tym, aby poruszać się za pomocą własnych nóg, była nie do zniesienia.

Pocziwa Teodozja, aby nie niepokoić rannej, nałożyła na kopyta coś w rodzaju walonek, dzięki czemu chodziła po pokoju bezgłośnie. Powiedziała Korze, że była ona nieprzytomna ponad dobę, bowiem Folos specjalnie zmieszał z lekarstwem zioła nasenne, gdyż u ludzi rany goją się najlepiej, gdy ci śpią.

Ledwie Kora doszła do siebie, pojawił się Asklepios, naczelny lekarz Aten, jak głosiła fama, przyszedł, lub nawet współczesny bóg medycyny. Będący uczniem Chejrona Asklepios okazał się wysokim, chudym i zgarbionym młodym człowiekiem, który mówił znaczącym głębokim głosem, jakby studiował nie medycynę, a retorykę. Zbadał Korze puls, uniósł powiekę, kilkakrotnie dotknął czoła, może tylko nie zrobił jej kardiogramu, czyli zachowywał się zupełnie nieodpowiednio do epoki. Ale z Chejronem rozmawiał z ogromnym szacunkiem, a kiedy omawiali działanie jakichś nieznanych Korze ziół i wywarów, miarowo przytakiwał, zgadzając się z każdym słowem nauczyciela; przypominał przy tym czapłę, wybierającą z błota robaki.

Potem Asklepios uroczystym tonem oświadczył Korze, że leczenie przebiega normalnie, jej stan nie budzi zagrożenia, ale niezbędne jest leżenie w łóżku. Chejron błogo się uśmiechał, dumny ze swego ucznia. Asklepios oświadczył, że przekaże swoją opinię do wiadomości króla, który osobiście raczy niepokoić się o zdrowie Kory. A Kora powiedziała pod koniec:

– Poproście go, aby uważał na siebie. Niech mój przykład będzie dla niego nauczka.

– Całkowicie zgadzam się z wami – nieoczekiwanie zgodził się Asklepios. – Wiedz pani, że łuczника, który strzelił do was, do tej pory nie znaleziono.

Pożegnał się z Korą i wspólnie z Chejronem przeszli do stajni, gdzie Asklepios codziennie smarował czarodziejskimi maściami ranę, którą centaurowi zadała kiedyś Hera. Chejron twierdził, że czuje się coraz lepiej, ale Kora podejrzewała, że tym razem Hera była górą.

Po jego wyjściu Teodozja w tajemnicy powiedziała Korze, że stosunki między Asklepiosem a Chejronem nie są takie proste, jak się wydaje – przecież Asklepios pod względem rangi i pochodzenia należy do bogów, chociaż ona, zwykła centaurzyca, nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób. Asklepios ma dwa flakony z egipskiego szkła. W nich jest krew Meduzy. Jeden z flakonów może ożywić człowieka, a drugi zabić, wystarczy jedna kropla. Ale Atena nie pozwala Asklepiosowi stosować tych kropli i dlatego leczy zwykłymi kroplami, których sporządzania nauczył go Chejron. I jak tu zorientować się, który z uzdrowicieli jest ważniejszy.

– Wierzysz w te flakoniki? – słabym głosem zapytała Kora.

– Jak mam nie wierzyć? – zdziwiła się Teodozja. – Wszyscy wierzą. – Potem zastanowiła się chwilę i powiedziała rozsądnie: – A jeśli nawet ich nie ma, to i tak wierzę.

– Głos ludu – głosem bogów – powiedział Chejron, który odprowadziwszy Asklepiosa, powrócił do pacjentki. – Jutro jeszcze poleżysz, nabierzesz sił; Chariklo przysłała ci konfitury z orzechów włoskich, wnet będziesz jak nowo narodzona.

– Dziękuję – powiedziała Kora. – Wstanę jutro, dobrze? Jestem zaniepokojona.

Chejron podrapał się w brodę, wyciągnął z niej kilka gałązek, z odrazą odrzucił w kąt komnaty i powiedział:

– Dobrze. Pamiętaj tylko, że będziesz odczuwać znaczne osłabienie. I możesz przemieszczać się tylko w lektyce.

Tyle postanowili.

Ponieważ w domu nie było lektyki – kto miałby nosić centaurów w lektyce? – na prośbę Chejrona

Teodozja wysłała sługę do miasta, aby znalazł tam człowieka, który wypożycza lektyki.

Chejron zmusił Korę do wypicia całego pucharu ciepłego pachnącego zioła o gorzkawym smaku i zaczął opowiadać o tym, jak utalentowanym uczniem jest Asklepios. On tylko wygląda na chudego i wątłego, głowę ma tęższą niż Zeus.

Korę zaczęła ogarniać senność i zapytała poczciwego centaury:

– A czy ma flakonik z krwią Meduzy?

– Już ci powiedzieli? – Chejron uśmiechnął się, a potem rzekł: – Niestety, Atena rzeczywiście podarowała mu te flakony. I pokusę korzystania z nich.

– Czy pokusa ożywienia człowieka jest złem?

– Człowieka można uleczyć – wyjaśnił Chejron. – Po to istnieje leczenie. Zawrócić człowieka z królestwa Hadesa mogą tylko bogowie. A jeśli człowiek posiada prawa boskie, to źle się to dla niego kończy.

– Teodozja powiedziała, że Asklepios jest bogiem medycyny. – Jest dobrym lekarzem.

Profesjonalistą. Powiedziałbym nawet, że jest moim najlepszym uczniem. Kontaktował się z bogami, jest ulubionym synem Apollona, ten nie tylko go znał, ale i rozpieszczał. I przekonał Atenę, by dała mu ten prezent. A dar to pokusa. Na razie jeszcze Asklepios jest mi posłuszny. Ale ja wkrótce zginę.

– Co też mówisz!

– Moje końskie serce czuje, że wkrótce zginę. I może to lepiej, że nie dożyję bezradnej starości.

A beze mnie Asklepios z pewnością zechce poczuć się równym bogom, zechce postawić medycynę ponad śmierć. Ożywi jednego człowieka, zabije drugiego, ożywi trzeciego... i sam zginie. Zobaczysz. Bogowie poddają nas, śmiertelników, próbie wytrzymałości.

– Czy to oznacza, że poznałam dziś pierwszego na świecie reanimatora? – sennym głosem zapytała Kora.

Centaur zrozumiał to słowo.

– Nazywaj go jak chcesz, ale zaufaj lekarzowi, który leczy – i delikatnie przykrył Korę miękką, wełnianą narzutą.

Następnego dnia Kora obudziła się całkowicie zdrowa. Na tyle zdrowa, że wykorzystwała własne nogi, by poruszać się po komnacie i domu, chociaż Teodozja chodziła za nią, nie odstępując ani na krok, gotowa w każdej chwili podtrzymać Korę, gdy ta zacznie się przewracać.

Próbowała obejrzeć ranę w lustrze, ale dzięki staraniom Chejrona rana się zabiżniła i została po niej tylko czerwona plama pod łopatką.

Celnie strzelali, przemknęło jej przez myśl.

Potem zjadła w łóżku śniadanie. Podano jej jakąś przasną kaszę i zimne, wysuszone, słodkie winogrona.

Centaurzeta wtykały pyszczki do komnaty, czując, że pani jest już lepiej i ich nie przegonią.

I rzeczywiście nikt ich nie wyganiał.

Potem weszły nawet do komnaty. Były to pocieszne stworzenia, psotne, ale nieśmiałe.

Dziewczynka, najmniejsza z nich, poprosiła o zgodę na uczesanie Kory i kiedy ją uzyskała, jej bracia omal nie pękli z zazdrości.

Dom był cichy i pusty. Folos wyszedł w swoich sprawach, Teodozja poszła na targ. Tylko kopyta dzieci dźwięcznie stukały w pustych pokojach.

Weszła służąca i zakomunikowała:

– Przynieśli pani lektykę.

Kora podziękowała dziewczynie i szybko się ubrała. Włożyła na siebie dwa chitony i himation, na wierzch wełnianą chlamidę oraz swój ulubiony, przylegający do głowy, skórzany hełm, który

przywiozła z podróży na Krete, lecz choć zabij ją, nie pamiętała, jak i kiedy weszła w jego posiadanie. Naciągnęła wysokie trzewiki na wełniane skarpety – dzięki Bogu, ktoś je już wynalazł. Kora bała się przeziębienia.

Odczuwała jeszcze ból w plecach, ale Chejron przed wyjściem przysiągł, że niczego nie musi się obawiać, rana nie będzie krwawić, na jej miejscu wytworzyła się już nowa skóra. Kora wyszła na dwór. Sypało mokrym śniegiem, a może deszczem ze śniegiem. Było ciemno i paskudnie.

Lektyka stała przed bramą domu. Koło lektyki przestępowali z nogi na nogę tragarze o dość żalonym wyglądzie. Szare chlamidy, z końcami naciągniętymi na głowy, nie chroniły ich przed deszczem.

Grubas w kapeluszu, z którego ronda ściekała woda, o obwisłych policzkach i trzech podbródkach, jeszcze bardziej opatulony niż tragarze, uklonił się jej i powiedział, że lektyka została dostarczona zgodnie z rozkazem. I zapytał, dokąd pani ma zamiar się udać.

– Do pałacu – powiedziała Kora.

Usiadła w lektyce, stojącej na ziemi – lektyka miała wysokość zaledwie dziesięciu centymetrów, przypominała długi stół na bardzo krótkich nóżkach. Nóżki przechodziły w wysokie słupki, przykryte na górze płóciennym daszkiem, tak że deszcz i śnieg nie padały do wewnątrz. W lektyce pachniało tanimi perfumami i pudrem – zapewne niedawno korzystała z niej jakaś hetera. W okresie pobytu w Helladzie Kora nauczyła się rozróżniać miejscowe perfumy i wonności i nawet wykształciła własne upodobania, ale ogólnie zapachy perfum i kremów były tu niewyszukane i prymitywne.

Usiadłszy wygodnie, opuściła zasłony – z odsuniętymi zasłonami dobrze jest podróżować w lektyce w ładną, bezdeszczową pogodę, a teraz bryła błota spod kół jadącego naprzeciwko powozu lub śnieżka, rzucona z płaskiego dachu przez urwisa, mogą zepsuć strój, a nawet pokaleczyć twarz.

W środku natychmiast zrobił się półmrok, lektyka zakołysała się. Tragarze unieśli ją profesjonalnie – równo i jednocześnie, i ponieśli do przodu. Niepotrzebnie ludzkość zrezygnowała z takich lektyk. Oczywiście, szkoda zostawiać konie i samochody bez zajęcia, ale ludzie potrafią robić to o wiele przyjemniej niż mechanizmy czy zwierzęta.

Lektyka kołysała się równomiernie i Kora, osłabiona jeszcze po otrzymanej ranie, nawet zdrzemnęła się, wyobrażając sobie w myślach ulice, którymi niesiono ją do pałacu. Po niekończącym się życiu, spędzonym w Atenach, wydawało się, że znała na pamięć każdy z zaułków w tym mieście, już nie miasteczku, a prawdziwej stolicy. To nastąpiło w jej pamięci. Ale czy w pamięci, czy też w fałszywym wyobrażeniu oszukanego mózgu? Oto i teraz zaczęło się jej wydawać, że niosą ją nie pod górę, jak powinni, a płaską, ale wąską i krętą drogą... Schyliła się w stronę zasłony, by ją odsunąć, ale tragarze akurat gwałtownie zatrzymali swój bieg.

Rozległ się szczeł bronii. Głosy.

Straż pałacowa... Tak więc po prostu rozszalała się wyobraźnia.

Zniecierpliwiona męska ręka rozsunała zasłony.

– Wsiądź, pani.

Lektyka stanęła na ziemi. Trzymając się ręką słupka, by nie stracić równowagi, Kora wysiadła z lektyki. Deszcz ze śniegiem nasiliły się, wiatr niemal poziomo pędził strugi i Kora zasłoniła twarz przed zwierzęcym atakiem żywiołów.

Grubas, który tak jak powinien, ostro biegł przed lektyką, teraz przemoczony do suchej nitki i nieszczęśliwy, stchórzył przed drzwiami, za którymi pomarańczowym blaskiem płonął ogień. W ślad za Korą weszli tam ciężkozbrojni żołnierze w skórzanych zbrojach i miedzianych hełmach – jak na królewską straż odziani zbyt prosto.

Myśl ta nie zdążyła dokładnie odcisnąć się w świadomości Kory, która także pospieszyła do zbawczych drzwi.

I oto jest w pomieszczeniu – niskim, zupełnie odbiegającym od pałacowego, oświetlonym pochodniami sług i dużym otwartym ogniskiem, nad którym na różnie wolno obracał się baran.

Nad baranem pochylał się człowiek, spryskując go z butli mętnym octem winnym; był tak zajęty czynnością, że nie odwrócił się do Kory. Z tej strony ogniska stała Ariadna. Skrzyżowała na piersi delikatne ręce i patrzyła na Korę spokojnie i z góry, jak w chwili ich pierwszego spotkania, kiedy księżna Ragoza dała wyraz swemu niezadowoleniu z tego, że proponuje się jej zaledwie agenta numer trzy.

O krok z tyłu za Ariadną stali obok siebie Clarence i Clarissa – to znaczy Pejritoos i Medea.

– Co za eleganckie towarzystwo – powiedziała Kora, gdy tylko odzyskała zdolność mówienia.

Gwałtownie obróciła się do tyłu, w nadziei, że będzie miała możliwość ucieczki z komnaty. Ale żołnierze w skórzanych kurtkach i długich włosach, zebranych pod skórzanymi kołpakami, skutecznie zamykali wejście, trzymając dłonie na rękojeściach zakrzywionych sztyletów.

Mężczyzna, który polewał octem barana, odstąpił na krok, otarł pot z twarzy, zaczerwienionej od żaru ogniska.

– Pieczeń będzie wyśmienita – powiedział.

Tego mężczyznę Kora poznała również – zadziwiające, ile ma ona znajomych w tym antycznym świecie! Był to wielki mistrz i wynalazca Dedal, na którego poszukiwaniach król Minos spędzał noce i dni.

– Wkrótce można będzie przystąpić do uczy – dodał i dopiero teraz poznał Korę. – Co za radość! – powiedział, uśmiechając się wolterowskim uśmiechem. Jego łysina błyszczała, odbijając światła pochodni. Rzadka ryza broda wyglądała jak przyklejona do twarzy. – Odwiedzić raczyła nas pani Kora, z którą miałem przyjemność się spotkać. Mam nadzieję, że nie ma pani złych wspomnień o naszych spotkaniach?

Dedal roześmiał się tym dobrotliwym, prawie starczym śmiechem, kiedy promyczki dobrych, delikatnych zmarszczek zbierają się w bukieciki przy kącikach oczu.

– Koro – odezwała się Ariadna. – Mam nadzieję, że jest pani na tyle rozsądna, aby nie urządzać tu kowbojskich scen. Dom jest dobrze strzeżony. Pejritoos przyprowadził tu najgorszych zbirów spośród swoich Magnetów. A przy ścianach domu stoją Dedalowi ludzie z drewna – prototypy robotów. Mam nadzieję, że miała pani okazję ich widzieć.

Kora milczała. W takich sytuacjach, jak uczył komisarz Milodar, agent zachowuje szansę na wygraną tylko wtedy, gdy zachowuje się nie tak, jak oczekuje od niego zwycięzca. Kiedy milczy, wtedy musi mówić przestępca. Z reguły przestępca, poczuwszy się jak zwycięzca, staje się wylewny. Właśnie wtedy agent powinien umieć słuchać. Kora zachowywała milczenie.

– Proponuję, Koro, przejść do sąsiedniej komnaty. Tam będzie nam wygodniej. I nie będzie świadków naszej rozmowy.

– Chcę uczestniczyć w tej rozmowie! – zakomunikował nagle Pejritoos. Nie krył swojej nienawiści – zapewne do tej pory nie mógł wybaczyć Korze upokorzenia, jakiego doznał przed miejską bramą.

– Jeszcze się z nią nagadasz, Clarensie – powiedziała księżna – Idziesz, Koro?

Rozsunąwszy zasłony, Ariadna ruszyła w głąb domu. Kora w milczeniu szła za nią. Znaleźli się w niewielkiej, zacisznej i wystarczająco oświetlonej kagankami komnacie, w której z trzech stron wzdłuż ścian ustawione były niskie sofy z poduszkami i miękkimi skórami. Przed sofami stały owalne stoliki, a na nich szklane i srebrne puchary.

– Usiądź, Koro.

Ariadna poruszała się zgrabnie i szybko, i w migocącym świetle trudno było zrozumieć, czy zmieniła się od czasu, kiedy się nie widzieli, czy też nie. Wydawała się nieco starsza. Ale poruszała się lekko i wdzięcznie. Nalała do pucharów mętny, biały płyn.

– Chcę odpłacić ci dobrem, Koro – powiedziała. – Oczywiście, nie mogę na rajd zabrać ze sobą whisky albo dobrej wódki, ale stary Dedal, który głowę ma nie od parady, skonstruował doskonałą aparaturę do pędzenia, możesz zatem spróbować wódki z winogron.

Ariadna wyciągnęła swój kielich, aby się trącić. Kielich był nadzwyczaj piękny. Wyglądał na egipski lub syryjski, jakby spleciony ze zwojów różnokolorowego szkła. Samogon był mocny, prawie czysty spirytus. Kora, z braku przyzwyczajenia, zakrztusiła się. Ariadna ze spokojem wychyliła swój kielich do dna i uśmiechnęła się.

– Tracisz praktykę, moja droga dziewczyno... Czas, byś wróciła do domu i wzięła się za dobrą szkocką whisky.

– Po co pani to wszystko urządziła? – zapytała Kora.

– Pozwolisz jeszcze kielich?

– Nie, dziękuję, dziś pierwszy dzień, jak wstałam.

– Strzelał mój człowiek – zakomunikowała nie bez dumy Ariadna. – Myśleliśmy, że jeśli cię zabijemy lub poważnie ranimy, oni będą zmuszeni do zabrania ciebie stąd, a wtedy my zakończymy nasze rodzinne sprawy bez twojej interwencji.

– Centaur Chejron jest znakomitym lekarzem – powiedziała Kora.

– Niewiele życia mu już zostało – odpowiedziała Ariadna.

– Nie ważcie się go tknąć!

– A co my mamy z tym wspólnego? My w ogóle nikogo tu nie ruszamy. Oddajcie nam naszego miłego Gustawa, a więcej nikt nas tu nie zobaczy. Czy ty myślisz, że łatwo mi się tu żyje bez moich kremów, żelów, masażystek? To przecież męczarnia! Chejrona, zdaje mi się, zabije Herakles albo inny z miejscowych chuliganów. Czyżby nie czytała pani o tym przed odlotem?

– Wtedy wszystko było tak pilne... I, mówiąc szczerze, czasami cieszę się, że nie znam jutrzejszego dnia.

– To nic nie da – odpowiedziała Ariadna. – Każdy mit ma tyle wariantów, każdy może stać się wersją wirtualnej rzeczywistości. Będąc zatem w posiadaniu wiedzy, możesz pogрузić się głębiej niż w przypadku całkowitej niewiedzy. Ale czyż mogłam przypuszczać, że ty bez zastanowienia wyciągniesz z jaskini mojego narzeczonego? – Ariadna zaśmiała się srebrnym melodyjnym śmiechem; światło kaganka padło na jej twarz i oświeciło siatkę zmarszczek, które ją pokrywały. O tak, lata spędzone tu dały się we znaki księżnej Ragozie.

– A jak wy dostała się pani z Naksos? – spytała Kora.

– To długa historia. Zeus przysłał mi na pomoc Dionizosa. Mieszkaliśmy razem... Zresztą to nie ma związku z naszą historią.

– Dużo dzieci się urodziło?

– Daj spokój głupim żartom, Koro. I nie mylcie tutejszego subiektywnego czasu, który każdy ma swój własny, z obiektywnym, który istnieje tam...

– Po co mnie porwaliście, księżno? – zapytała Kora. Ragoza nadpiła jeszcze ze swojego kielicha, wzięła dojrzałą mandarynkę, oczyściła ją, a potem z gniewem odrzuciła w kąt; mandarynka potoczyła się po dywanie, przykrywającym podłogę.

– Dlatego, że mam cię już po dziurki w nosie, do diabła! I kiedy trzy dni temu zniweczyłaś naszą ostatnią, tak starannie przemyślaną operację, zrozumiałam, że wystarczy już polowania na Gustawa –

pora sprzątnąć ciebie. Nie możemy już dłużej ryzykować. Nie dziś to jutro, tutejsza wirtualna trasa Tezeusza dobiegnie kresu. A Gustaw wróci z powrotem do naszego czasu, aby zgubić naszą dynastię. Tak więc masz przed sobą, Koro, bardzo prosty wybór.

– Jaki?

– Dajesz dziś sygnał, by cię stąd oddelegowano, wyciągnięto, sprzątnięto, ewakuowano! Zresztą, możesz gdzieś wyjechać – ale w żadnym przypadku nie zbliżaj się już do Tezeusza!

– Albo?

– Albo – wiesz. Nie wyjdiesz stąd żywa.

– W przyszłości wyleczą mnie ze śmierci, a wy będziecie mieć bardzo poważne nieprzyjemności.

– Lepiej od ciebie wiem, jakie będę miała nieprzyjemności. Dlatego zatroszczę się o to, aby nie można było cię ożywić. Znam zasady wirtualnej wycieczki nie gorzej od ciebie. I wszystkie nasze zamachy na Tezeusza, jak rozumiesz, miały na celu właśnie ostateczną likwidację. A zatem nie będą mogli cię ożywić... nawet w Centrum Galaktycznym. A twój idiota komisarz zostanie bez swojego agenta numer trzy... Czy może trzysta trzydzieści trzy?

– Numer nie jest ważny – powiedziała Kora i wyciągnęła swój kielich do Ariadny. Pani domu naląła do niego wódki. – Ważne jest to, że udało mi się zapobiec trzem waszym zamachom. Zatem możesz uważać, zacna ciociu Gustawa, że zarobiłam na swoje honoraria.

– Przekleństwo! – wyrwało się księżnej w najlepszych tradycjach średniowiecznej opowieści.

Ale na tym scena się zakończyła, gdyż kobiety trąciły się i wypity palący trunk.

– No więc jak? – spytała madame Ragoza. – Wyjeżdżasz?

– Nie mogę – w miarę swych sił szczerze odpowiedziała Kora.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie mam łączności z moim czasem. Tylko wtedy, kiedy Tezeusz w ten czy inny sposób porzuci lub zakończy VR rajd, mnie również stąd odwołają...

– Biała niewolnica, czyż nie tak? – spytała madame Ragoza. Wypiły jeszcze. Kora z satysfakcją pomyślała, że los postąpił szlachetnie, wyznaczając ją na rywalkę damy Ragozy. Gdyby była sprzymierzeńcem, spiłaby agenta. Z księżną tak dobrze się piło. Nawet takie byle co, jak starożytny samogon.

– Od cholery tu szkodliwych domieszek – powiedziała Kora o alkoholu.

– W żadnym przypadku. To najczystszy produkt – zaprotestowała księżna. – Dwukrotnie pędzony. Dedal to geniusz swojej epoki. Pamiętacie, jak odleciał z Krety? Od tej pory go nie znaleziono.

Cieszę się, że teraz pracujemy razem.

– Czy on wie o waszym zadaniu?

– Absolutnie nie. Ale potrafi doceniać niezwykłych ludzi.

– Co za towarzystwo! – szczerze wykrzyknęła Kora. – Jest tu was troje?

– Jak to, troje? Aha, masz na myśli gości z Ragozy? Tak, oczywiście, jest nas troje – głos damy Ragozy zabrzmiał nieszczercze.

Kora nie wiedziała, czy ma wierzyć, czy nie. Ale madame Ragoza nie dała jej możliwości, aby się zastanawiać.

– Nie wiem – powiedziała, wracając do głównego tematu rozmowy – Czy rzeczywiście nie macz łączności...

– A wy?

– My łączność mamy. Ale naszymi kanałami...

– Z pewnością niełatwo było wam wysłać do starożytnej Grecji całą brygadę mścicieli?

– Wszyscy wykupiliśmy sobie delegacje na VR rajd – prędko skłamała Ariadna.

– Nie powinna pani uważać mnie za idiotkę – odpowiedziała Kora. – Przecież wiem, że w VR człowiek traci pamięć o swoim rzeczywistym życiu. To warunek istnienia w tym świecie. Tezeusz nie podejrzewa, że jest księciem Gustawem. A pani wie wszystko. Podobnie jak ja. Ale decyzja o tym, by wysłać tu nie uczestników, a myśliwych polujących na człowieka, mogła zapaść tylko na samej górze. Obawiam się, że zaczyna dojrzewać kryminalna afera wieku...

– Wiesz, Koro, my ciebie spalimy – z namysłem powiedziała Ariadna.

– Nie zdążycie – automatycznie wyciągną mnie z powrotem, gdy tylko czujniki przekażą informację o zagrożeniu mojego życia.

– Koro, uciekaj! Nie przeszkadzaj nam! Zapłacimy ci tyle, ile nie zarobisz przez trzy swoje życia!

– Dziękuję za komplement. Ten sknerus Milodar już trzeci rok nie podwyższa mi grupy.

Wyobrażacie sobie, że pracuję jako młodszy inspektor?

– Koro, natychmiast przestań pleść głupstwa! Uciekaj albo cię zabijemy.

Kora zauważyła, jak drży rączka Ariadny pod ciężarem antycznego kielicha.

– Muszę to przemyśleć – odpowiedziała.

Można założyć, że teraz już zauważono jej brak. Zresztą nie, nawet jeśli centaur Folos wrócił do domu, przypuszcza, że Kora pojechała do pałacu w wynajętej lektyce. A Tezeusz zajęty jest innymi sprawami. I grozi mu nieszczęście.

– Nie ma nad czym się zastanawiać! – stwierdziła Ariadna. Jej głos zabrzmiał miękko.

Mówienie wyraźnie sprawiało jej trudność. Kora postanowiła poświęcić się.

– Jeszcze jeden kielich za spotkanie! – zaproponowała.

– W żadnym wypadku! – powiedziała Ariadna. – Nalej!

Ale nic z tego nie wyszło. Zasłony w przeciwnym końcu komnaty gwałtownie rozsunęły się na boki, do środka wtargnął purpurowy odblask ogniska i zapach pieczonej baraniny.

W komnacie stał człowiek w hełmie z brązu w masce zasłaniającej całą twarz. Miał na sobie kosztowny, wytłaczany pancerz z wizerunkiem głowy gorgony Meduzy. U jego pasa wisiał szeroki miecz w ozdobionej złotem pochwie. Było to albo bóg, albo król, albo heros... To on wydawał rozkazy w tym domu.

– Sprzykrzyło mi się czekanie – powiedział, zapominając przywitać się z Korą. – Obawiam się, że zamiast rzeczowej rozmowy doszło tu do popijawy.

– Nie waż się tak mówić! – oburzyła się Ariadna. – Jestem królową i księżną. I spałam z bogiem Dionizosem, co tobie nie było dane!

– Co za podłość – powiedział człowiek w hełmie-masce. – Czy chociaż zdążyła pani przedstawić nasze warunki? Czy są wystarczająco łagodne?

Jego głos brzmiał znajomo. Ona już rozmawiała z tym człowiekiem.

– Poprosiłam o czas do namysłu – odpowiedziała Kora.

– Tu nie ma się nad czym namyślać. W przeciwnym wypadku was zabijemy.

– Spróbujcie – powiedziała Kora. – Wtedy znajdę się w centrum reanimacji wcześniej, nim zdążycie zatrzeć ślady. I wtedy zobaczymy, jak się z tego wyplączecie. I kto zostanie tu, by zabić Tezeusza.

– Nie, gołąbeczko, Ariadnie zrobiło się ciebie żal – powiedział mężczyzna w hełmie-masce. – Mamy swoje sposoby, aby zabić cię na wieki i w tym celu zafundowaliśmy sobie miejscowego mądrąłę imieniem Dedal. Może o nim słyszałaś? Zdolna bestia, ale próżność go zgubi... zaczekaj, nie przerywaj. Jednak zgadzam się z tobą, po co brać na swoje sumienie niepotrzebny grzech. Więc przyjdzie ci po prostu kilka dni spędzić u nas w gościach, dopóki nie zakończymy operacji „Książę Gustaw”. Pięknie brzmi w antycznej Helladzie, nie?

– Ni cholery z tego nie wyjdzie – powiedziała Kora.

– Wszystko nam wyjdzie, gdyż osobiście przybyłem tu specjalnie po to, aby zorganizować likwidację tego chłopca. Przedtem pracowali tu dyletanci, to znaczy osoby, które ze swoich drobnych, egoistycznych powodów pragnęły usunąć Gustawa z areny politycznej.

– Nie jestem osobą! – powiedziała Ariadna, zwinęła się w kłębek i zachrapała głębokim, męskim basem.

– Dla mnie Gustaw jest prawdziwym zagrożeniem. Jego śmierć jest dla mnie kwestią życia lub śmierci. Może kiedyś, Koro, gdy to wszystko się skończy, opowiem ci, dlaczego musiałem popychać tych maluczkich do czynu. – Człowiek w masce wykonał gest w stronę drzwi, zaliczając tym samym do grona maluczkich Pejritoosa i Medeę. – Ale nie uwzględniłem jednego czynnika – ciebie. Teraz musiałem zjawić się tu osobiście, przejąc na siebie kierowanie operacją i w pierwszej kolejności odizolować ciebie. Zatem nie narzekaj, że dostałaś się między młyńskie kamienie – gra idzie o wysoką stawkę. – Obrócił się w stronę drzwi i zawołał: – Mistrzu Dedalu!

Wołany wszedł. Pewnie, bez unізoności i strachu.

– Bądź uprzejmy, przyjacielu – powiedział człowiek w hełmie-masce. – Zaprowadź panią Korę do jej nowego mieszkania.

Dedal uśmiechnął się oziębło i rzekł do Kory:

– Idź – i wskazał niewielkie drzwi między tapczanami, zasłonięte kotarą.

Kora zdawała sobie sprawę z tego, że potrzebuje teraz czasu, aby pomyśleć, zanim rzuci się do walki. Posłusznie ruszyła do przodu ciemnym korytarzem. Korytarz prowadził do komnaty bez okien, oświetlonej tylko jedną pochodnią. Oto i moje więzienie, pomyślała Kora. W najbardziej odległej części komnaty stało niewysokie łóżce, nakryte narzutą.

– Idź tam – powiedział Dedal.

Kora posłuchała w milczeniu. Kiedy doszła do środka komnaty, usłyszała za sobą głośny szczęk...

Płyta w podłodze, na której postawiła nogę, ustąpiła pod jej ciężarem i Kora, nieprzygotowana na taki obrót zdarzeń, spadła na dół.

Na dole, na głębokości dwóch albo i więcej metrów była sterta słomy.

– Odpoczywaj, pani – powiedział Dedal.

Płyta obróciła się i w kamiennej pułapce zapadła absolutna cisza.

Kora stłukła sobie łokieć i kolano. Była na siebie zła. Z dwóch powodów – naiwności i głupoty. To zupełnie różne pojęcia, ale absolutnie nie do wybaczenia w pracy agenta. Sama pozwoliła, by przywieziono ją w lektyce do pułapki, chociaż mogła co jakiś czas wyrzeć na zewnątrz i zobaczyć, dokąd ją niosą. Tak nie wpadają nawet pierwszoklasiści. Pół biedy, gdyby wpadła miesiąc temu, gdy nic nie groziło ani jej, ani Tezeuszowi. Ale teraz, w kulminacyjnym momencie walki – tak dać się wystawić?

Leżała na kamiennej posadzce piwnicy. Musiała zmusić się do przewyciężenia bólu. Poruszyła rękami i nogami – były całe. „A więc niczego sobie nie złamałam, a to już jest coś. Zaraz stąd wyjdę i pokażę im wszystkim, gdzie raki zimują...”

Kora usiadła. Słoma była wilgotna, zimna, cuchnęła zgnilizną i zdechłymi szczurami. Najpierw niech wszyscy opuszczą dom. Niech wyjadą. Niech przygotowują zamach... A jak tu czekać, gdy się nie wie, kiedy zamach zostanie dokonany? A więc teraz jest ich czworo. Troje z nich znam. A czwarty to osoba nowa i nieznana InterGpolowi. Zresztą, mówić o tym z przekonaniem można dopiero po zdjęciu mu hełmu. Czy Grecy musieli wynaleźć takie hełmy? W szyku wyglądają pięknie – górna część hełmu przechodzi w przyłbicę, z góry opuszczana jest płytka chroniąca nos i widać tylko oczy. Świetnie... „To oznacza, że źle pracowałam na planecie Gustawa, skoro nie odnalazłam

w Ragozi głównego zabójcy, człowieka, który może kierować tak różnymi osobnikami, jak madame Ragoza i Clarence”.

Rozmyślając w ten sposób, Kora nie próżnowała. Końcami palców obszukała ściany swojego więzienia, potem posadzkę... Założyła, że jest rzeczą wątpliwą, aby w wewnętrznych pomieszczeniach domu, w którym mieszkał Dedal, wykonano kamienną pułapkę specjalnie dla Kory lub podobnych jej więźniów. Sądząc z wszystkiego, piwnicę wykopano bardzo dawno temu – mury były wilgotne od śluzu i podziemnych roślin, których włókna zwisały pasmami ze ścian.

Teraz postukamy kostkami palców. Tylko nie spiesz się, Koro, teraz ważniejsza jest dokładność, nie szybkość. Zaczęła ostukiwać ściany piwnicy.

Zgodnie z zasadą powieści podróżniczej lub zasadą złośliwości rzeczy martwych – pusty dźwięk został stwierdzony dopiero za kamieniami czwartej, ostatniej ściany. Z pewnością minęła już godzina od czasu, odkąd ją zamknięto. Możliwe nawet, że więcej. Kamień zadźwięczał trochę inaczej. Być może zatkało w tym miejscu otwór. Tym bardziej, że wydaje się, jakby warstwa śluzu nie była tu tak gruba...

Postukajmy więc jeszcze... i jeszcze raz.

Kora nie miała przy sobie żadnych narzędzi. Albo prawie nie miała. Wszak trudno uznać za narzędzie mały scyzoryk, który zmieścił się w torebce z kosmetykami, umocowanej pod wierzchnim chitonem. Tu jeszcze nie potrafią rewidować. I zawsze są zdziwieni, gdy antybohater przemyci do sali narad jeśli nie katapultę, to kopię o długości równej swojemu wzrostowi. Na szczęście kamienie w piwnicy spajane były zaprawą. Słynny cyklopowy starożytny mur oparłby się Korze. Ale ta część ściany, w którą Kora się wgrzyła, zbudowana była z niewielkich, źle dopasowanych kamieni, połączonych ze sobą zaprawą delikatną, kruszącą się wskutek ciągłej wilgoci.

Wystarczył więc scyzoryk, umiejętne ruchy doświadczonych palców i pomoc spinki z brązu, którą była spięta na ramieniu chiamida, aby po jakimś nieokreślonym czasie drgnął jeden z kamieni.

A gdy tylko jeden kamień w murze się poruszy, możesz uważać, że muru nie ma – oto starożytne prawo obłączenia.

Kamień upadł na słomę. Kora ostrożnie wyciągnęła rękę – za kamieniem była pustka.

Oczywiście, pomyślała, będzie mi żal, gdy znajdę się w sytuacji hrabiego Monte Christo, który kopał przejście w murze dwadzieścia lat tylko po to, aby trafić do sąsiedniej celi. Ale nawet w sąsiedniej celi może znaleźć się pożyteczny dla sprawy ksiądz!

Ze złością, która po wielokroć zwiększyła siły, Kora, zapominając o ranie i zmęczeniu, dosłownie wrywała ze ściany kamień za kamieniem, dopóki nie powstało wystarczające wyjście z jej podziemnego pałacu. Ostatni raz wdychając ohydne, stęchłe powietrze piwnicy, Kora wpełzła do sąsiedniego pomieszczenia i zrozumiała, że nie jest to zwyczajne pomieszczenie, a podziemny korytarz, jakie budowano czasami w domach, aby gospodarz mógł niepostrzeżenie dom opuścić. W każdym razie Kora wysnuła takie przypuszczenie, gdy zgięta we dwoje przeszła długim korytarzem, a potem weszła po kilku kamiennych stopniach pod drzwi.

Drzwi były drewniane, rozeschnięte, przez szpary przenikało słabe światło.

Teraz trzeba było podwoić ostrożność, gdyż zupełnie nie wiadomo, gdzie można znaleźć się po przejściu tymi drzwiami. Kora dotknęła drzwi i zaczęła je naciskać. Drzwi nie były zamknięte, ale straszliwie skrzypiały i, co gorsza, od zewnętrznej strony zostały przywalone jakimiś workami i glinianymi garnkami. Kiedy więc Kora nacisnęła trochę mocniej, cała ta przeszkoda zagrzmiała, zachrząściła, zaszeleściła, zawyła... i drzwi, otwierając się na całą szerokość, szerokim gestem siewcy ciskającego w ziemię ziarno, rozrzuciły przedmioty, którymi były przyciśnięte.

Garnki potoczyły się po podłodze niewielkiej świątyni, do której zaprowadziły Korę schody,

razem z garnkami ustąpiły worki z wełną i jakąś zgnilizną, puste lub napełnione różnymi śmieciami kosze – zapewne rzucono tutaj to, w czym przynoszono do świątyni dary, ale nie było komu rzetelnie zająć się porządkowaniem ówczesnych opakowań.

Żeby tylko garnki, amfory i kosze potoczyły się tak zwyczajnie. Nie, spadły na człowieka, który, siedząc w kucki plecami do Kory, rozkładał lub składał na podłodze coś dużego i białego. Człowiek ten najpierw zerwał się ze strachu na równe nogi i chciał uciekać, potem wpadł na pomysł, by się odwrócić i nie zauważył Kory, która przykucnęła w ciemnym kącie za koszykami, które tam zostały. Wtedy rzucił się na schodzącą na niego lawinę surowców wtórnych, odrzucając koszyki i worki nogami i rękami, starając się obronić przed nimi coś, co było dla niego bezcenne, co leżało na kamiennej posadzce. Przy tym całkiem nieprzyzwoicie klął w języku starogreckim głosem wynalazcy Dedala.

W końcu Dedalowi udało się poradzić sobie z lawiną i ruszył zobaczyć, co było jej przyczyną.

Zapewne Dedal głupi nie był, gdyż ujrawszy otwarte drzwi – powiązał je z obecnością w domu Kory, zatem nie zaczął się do niej zbliżać, a na odwrót, cofnął się z okrzykiem:

– Straż, do mnie!

Kora w dalszym ciągu chowała się za workami, gorączkowo przyglądając się świątyni, by zorientować się, jak się z niej wydostać. Świątynia, a dokładniej, świątynka, była pomieszczeniem dwadzieścia metrów na piętnaście z jednym wyjściem daleko od Kory, jeśli nie liczyć wejścia do piwnicy.

Wzdłuż ścian świątyni w szeregu stały kolumny podtrzymujące dach. Między nimi ciągnęły się pociemniałe ze starości belki. Żadnego posągu czy innego znaku, wskazującego na to, komu świątynia została poświęcona, Kora nie dostrzegła. To wszystko, co zdążyła zrozumieć, zanim do świątyni, stukając miedzianymi podkuciami trzewików, wbiegły dwie dziesiątki drewnianych żołnierzy Dedala, odgradzając wyjście i zamarły w jednakowych pozach ołowianych żołnierzyków, co dowodziło ich sztucznego pochodzenia.

– Kimkolwiek jesteś – powiedział Dedal. – Wychodź!

Kora pomyślała, że nie ma innego wyboru, uczyniła krok do przodu, usiłując strząsnąć z siebie kurz i pajęczynę, która omotała ją w kryjówce.

– Brawo – powiedział Dedal. – Tak szybko znaleźć wyjście z tego kamiennego lochu i dotrzeć tu – tego sam bym nie dokonał. Stój, pani, nie zbliżaj się.

Dał znak ręką i na umowny gest dwaj żołnierze unieśli włócznie, gotowi rzucić nimi w Korę. Było to nieprzyjemne. Ale należy liczyć się z faktami.

– Może usiądę? – spytała Kora. – Strasznie się zmęczyłam. Na dodatek moja rana nie do końca się zagoiła.

Dedal obejrzał się, zobaczył owalny taboret, stojący jakieś pięć metrów od niego i łaskawie powiedział:

– Usiądź, skoro nie siedzisz w piwnicy.

Kora uznała tę propozycję za dobry znak. Jak mówi stara anegdota, którą opowiadają albo o Napoleonie, albo o Aleksandrze Macedońskim: „Dał cukierka, a mógł zatłuc”.

Kora usiadła w pozycji posłusznej uczennicy, złożywszy dłonie na kolanach. Dedal był w krótkim chitonie, na który nałożył skórzany fartuch, jak kowal. Miał stare sandały, rzemyk w jednym był oderwany i sandał klapał podczas chodzenia. Wynalazca był nieostrzyżony i zaniedbany.

– Wy jesteście całkiem samotni, bez rodziny? – zapytała Kora.

– Widziałas, jak zginął mój syn – ze złością odpowiedział Dedal. – Nie trzeba było pytać o Ikara, ostrożniej, Koro.

– A czym się tu zajmujecie? – głos Kory brzmiał łagodnie, niemal pogodnie, jak u wnuczki starego mistrza, który w samotności rzeźbi w drewnie modele fregat.

– Nie wiem – odrzekł Dedal, patrząc na Korę i zdradzając pewien cynizm, który można też nazwać prostotą. – Może każę im ciebie zarznąć przy próbie ucieczki albo związać i na powrót wrzucić do piwnicy.

– Czego chcesz, dziewczyno – przedrzeźniała go Kora. – Kawałek tortu czy może odciąć ci głowę?

– Myślę, że będą mi wdzięczni – zauważył Dedal – jeśli zginiesz podczas próby ucieczki. I ja będę spokojniejszy. Nie lubię karaluchów, które włożą we wszystkie szczeliny.

– Ty się ich boisz, mistrzu? – jak gdyby rozmowa nie dotyczyła śmierci.

– Nie boję się nikogo – odpowiedział. – Ale pani Ariadna spotkała mnie, kiedy ukrywałem się przed jej ojcem, udzieliła mi schronienia, kupiła ten dom, a nawet zapomnianą świątynię, w której mogę prowadzić swoje doświadczenia.

Dedal powiódł wokoło ręką i Kora dopiero teraz zauważyła, że w ciemnych kątach świątyni walają się jakieś koła i belki – zapewne ślady wynalazczej działalności Dedala.

– Jestem jej wdzięczny. A biednemu wynalazcy zawsze potrzebna jest ochrona.

– Król Tezeusz również może obronić biednego wynalazcę – powiedziała Kora. – I to skuteczniej od tych łotrzyków, którzy nie dziś, to jutro, stąd uciekną.

– Król Tezeusz skazany jest na zgubę – z przekonaniem stwierdził Dedal. – Nie mogę na niego liczyć.

– Przeżyje wszystkich swoich wrogów – powiedziała Kora.

– I mówię to ja, bogini Kora-Persefona.

– Ach, przestań – uśmiechnął się Dedal i od razu stał się podobny do całkiem łysego Woltera. – Boginie nie pełzają po podziemnych lochach i nie ściągają na siebie pajęczyny.

– Ty naprawdę możesz mnie zabić? – spytała Kora.

– Jeśli zaczniesz przeszkadzać mi w moich pracach, wynalazkach, wielkim przeznaczeniu, to zabiję cię – odpowiedział Dedal i był najzupełniej szczery.

– A więc pomogę ci w twoich wynalazkach – powiedziała Kora. – I będę niezastąpiona.

– Nie opowiadaj głupstw, niewiasto! – rozłościł się Dedal. – Marnujesz tylko mój cenny czas.

– Widzę, że na podłodze leżą twoje wspaniałe skrzydła, na których odleciałeś z Krety?

– Tak, wymyśliłem je – powiedział Dedal, zmieniał się zupełnie, kiedy rozmowa dotyczyła jego wynalazków. – I wymyśliłem, co zrobić, aby nie topiły się od słońca. Zastąpiłem wosk łączący pióra substancją z alabastru i czarnego kleju, która po stwardnieniu nie obawia się już gorąca. Jaka szkoda, że nie wiedziałem tego, kiedy lecieliśmy z Ikarem.

Dedal przyłożył pięść do czoła – on naprawdę kochał swego syna i do tej pory przeżywał jego śmierć.

– A nad czym jeszcze teraz pracujesz? – zapytała Kora. Dedal natychmiast się zjeżył.

– Przestań, kobieto – powiedział ze złością – kręcić i robić ze mnie durnia. Obiecałem moim przyjaciółom, że cię przypilnuję, dopóki oni nie zabiją tego łajdaka Tezeusza.

– Łajdaka?

– Oczywiście! Płodu zmijowego! To on jest winien śmierci mego syna – gdyby nie pojawił się na Krete, mieszkałbym tam do dzisiaj! I mój syn też by żył. A jak myślisz, dlaczego we wszystkim pomagam tym ludziom, którzy go dziś zabijają? Tylko dlatego, że nie wybaczę mu śmierci Ikara.

– Myślę, że nie do końca masz rację, Dedalu – powiedziała Kora, chociaż zdawała sobie sprawę, jak ryzykuje, wypowiadając te słowa. – Ja myślę, że robisz to, co uważasz za słuszne. Gdyby nie było

Tezeusza, znalazłbyś innego winnego. I w ten sposób związałeś się z najstraszliwszymi przestępcami Hellady, przybyszami, którzy mają zamiar bezlitośnie zabić prawowitego króla Attyki, gdyż jest to dla nich korzystne. Dali ci warsztat i pieniądze, abyś mógł kupić narzędzia i wszelkie akcesoria. W historii ludzkości takich jak ty będą tysiące! A jutro zniszczą oni wszystkich Greków, wykorzystując twój wynalazek, jakim będzie diabelski ogień, ale ty powiesz, że nigdy nie brałeś w tym udziału, gdyż w tym właśnie czasie wynalazłeś nowy klej do swoich białych skrzydeł.

– Nie waż się tak więcej mówić! To nieprawda! Nie sprzedaję się nikomu!

Na szczęście dla Kory pod jej presją Dedal się pogubił.

– Wypuść mnie więc, abym zdążyła do pałacu i zapobiegła zabójstwu!

– Nie.

– Boisz się?

– Nie chcę im przeszkadzać. A w dodatku nie zdążysz im przeszkodzić.

– Tym bardziej więc powinieneś mnie wypuścić. – Nie.

– A zatem sprzedaj mi swoją wolność.

– Ciekawe – powiedział Dedal. Wytarł ręce o fartuch, zdjął go, ściągnął przez głowę i rzucił na podłogę. – Jak zamierzasz mnie przekupić? Swoim pięknym ciałem?

– Nie, nie myślę, abyś teraz do tego zmierzał.

– Tylko bezpłatnie! – śmiech Dedala nie był szczery.

– Co jest dla ciebie najdroższe?

– Wiedza – odpowiedział Dedal tak, jak gdyby był wcześniej przygotowany na to pytanie.

– A więc będą z tobą handlować wiedzą.

– Cóż możesz wiedzieć, niewiasto, o tym, co jest przede mną zamknięte?

– Możesz śmiać się z pajęczyny, która pokryła moją chlamidę – odrzekła Kora. – Ale z pewnością nawet ty już wiesz, że wewnątrz człowieka nie musi odpowiadać jego szacie.

– Nie jesteś boginią! – z uporem odpowiedział Dedal. – Chcesz tylko zyskać na czasie. A to nic ci nie da.

– Proponuję ci towar – powiedziała Kora. – Co chciałbyś wynaleźć?

– To jakaś bzdura!

– Dobrze – Kora starała się wymyślić pierwszy krok, który przekonałby Dedala o jej potędze. Ale co można wymyślić, kiedy pod ręką nie ma ani komputera, ani suwaka logarytmicznego?

Potrzebne jest prawo, zrozumiałe dla Dedala... – Dobrze – powtórzyła Kora.

– Wynalazłeś skrzydła, które niosą cię nad morzem. Ale wiem, że jeszcze łatwiej można zbudować okręt powietrzny, który uniesie i ciebie, i całą twoją rodzinę.

– Ty wiesz? – Dedal nagle zmieszał się. Coś w głosie Kory przekonało go, że ona nie żartuje.

– Tak. I mogę ci to powiedzieć. To prosty wynalazek. Ale nie wpadłeś na niego.

– Powiedz.

– Nie. Coś za coś. Ty powiesz mi, co zamierzają twoi przyjaciele.

– Oni nie są moimi przyjaciółmi.

– Nie spiesz się z odmową, mistrzu. Przecież chcesz wiedzieć, jak zbudować statek powietrzny, który uniesie w powietrze dziesięciu ludzi? A kilka takich statków może wzbic się w powietrze z całą armią. Z taką wiedzą będziesz przedstawiał największą wartość dla każdego agresora.

– Dla kogo?

– Zgadzasz się?

– A czy ty mnie nie oszukasz?

– Dedalu. Jestem teraz w twojej władzy. Muszę uciekać. Jeśli mój wynalazek nie będzie ci

odpowiadał, możesz rozkazać swojemu robotowi, aby mnie przebił, możesz też związać mnie i wrzucić do piwnicy – jestem w twojej władzy.

– A jeśli to ja ciebie oszukam?

– A po co? Kto zabija kurę, która znosi złote jaja?

– Czy wiesz coś jeszcze?

– Ty możesz nie wierzyć, że jestem boginią, ale z tego powodu ja się nie zmienię.

Dedal odszedł w stronę skrzydeł, przedstawiały one dziwny widok – jak gdyby upadły anioł rozplątał się, zniknął, pozostawiając jedynie symbol eterycznej czystości.

– Ci ludzie – powiedział Dedal – wymyślili, jak wywabić króla z pałacu.

– Jak?

– Ariadna powiedziała mu, że trafiłaś do niewoli Pejritoosa, który chce się na tobie zemścić.

I wie, jak ciebie odnaleźć, pod warunkiem, że Tezeusz zapomni o przeszłości i ożeni się z nią.

– Ale sama mówiła, że wyszła za mąż za Dionizosa!

– Tezeusz o tym nie wie. On myśli, że Ariadna przez wszystkie te lata czekała na niego. Że tęskniła, okazywała skruchę... Teraz powiedz, co za wynalazek może unieść w powietrze kilku ludzi?

– Dokąd Ariadna go zabierze?

– W Góry Psie. Mało kto je zna, są tam porośnięte lasem miejsca. Nikt tam nie mieszka.

– A co zagraża tam Tezeuszowi?

– Nie tak się umawialiśmy, pani. Opowiedz mi o wynalazku.

– On nigdzie nie pójdzie! Dlaczego ma gdzieś jechać z mojego powodu? Kim ja jestem?

– Jedną z kobiet jego dworu.

– Nawet ja wiem, że tak nie jest. Co grozi mu na tej skale?

– Wystarczy. Więcej ani słowa.

– Czy masz czarny węgiel? – zapytała Kora. Zrozumiała, że więcej Dedal jej teraz nie powie.

– Gdzieś tu był.

Dedal odszedł na bok, do skrzyni z narzędziami i wyciągnął z niej pudełko, w której leżała kreda i kawałek węgla.

– Narysuję tutaj – powiedziała Kora, pokazując na kamienną gładką posadzkę obok skrzydeł.

– Tylko niech rysunek będzie jak największy – powiedział Dedal. – Tu jest ciemno, a oczy mnie już zawodzą. I to mocno... Mam na myśli to, że dobrze widzę z daleka, lecz źle z bliska, co jest niewygodne w pracy, w precyzyjnej pracy. Ale to oznaka starości... Czasami tak chciałoby się obejrzeć małą rzecz...

– Być może będę mogła ci coś doradzić – powiedziała Kora, starając się, aby jej słowa wypadły naturalnie.

– Naprawić oczu nie mogą nawet bogowie – odrzekł Dedal, ale nie ukrywał wzruszenia. Tkwiący w nim wynalazca dygotał z podniecenia.

– Pokaż!

Kora narysowała węglem koło. Pod nim coś w rodzaju kaganka.

– Wyobraź sobie, Dedalu – powiedziała. – Że uszyjesz albo skleisz ze skóry lub cienkiego materiału, przez który nie może przeniknąć powietrze, dużą kulę.

– Jak dużą?

– Być może, jak ta świątynia. Jeśli w jej dolnej części wykonasz otwór, a pod nim umieścisz mocny kaganek, który daje wiele ciepła, to kula ta zacznie się nadymać.

Kora rzuciła spojrzenie na mistrza. Ten stał, skrzyżowawszy ręce na piersi i pochyliwszy jajowatą głowę. Myślał.

– Kiedy kula zacznie unosić się do góry, powiniśś owinąć ją linami i przywiązać u dołu kosz. W koszu będą znajdować się ludzie, który wzbiją się w niebo.

Dedal milczał. Kora zrozumiała, że do świadomości Dedala nie może dojść nawet sens tego, czym jest powietrze i dlaczego nie powinno ono przenikać przez powłokę kuli powietrznej. Za chwilę wyśmiej ją i rozkaże wrzucić do piwnicy.

– Czym najlepiej pokryć powłokę? Jeśli zeszyję ją z jedwabiu, który przywożą kupcy ze Wschodu, będzie ona lekka, ale jeśli powłokę pokryję klejem, stanie się ciężka... A skóra, pani, zupełnie się do tego nie nadaje! I nie próbujcie mnie pouczać!

– krzyknął Dedal. Odtrącił Korę i, uklękawszy na środku sali, zaczął obok niej nieumiejętną kreską szkicować projekt kuli powietrznej. – Oprócz tego jest jeszcze inny problem – czym zasilać kaganek i co zrobić, aby nie zapalił on kuli, rozumiesz?

– Rozumiem – wyszeptała Kora, gotowa ucałować swojego prześladowcę.

W ciągu zaledwie pięciu minut – dla Kory minęły one szybko, gdyż z rozkoszą wykwalifikowanego gapia delectowała się widokiem Dedala, rysującego i ponownie ścierającego wersje powietrznych kul, klnąc przy tym, śmiejąc się i kogoś przeklinając. Oto zaczął zmagać się z problemem kierowania kulą, a kiedy Kora powiedziała mu, że może trzeba wypróbować tę śrubę, którą już wykorzystał w swoim okręcie, Dedal zerwał się na równe nogi, podbiegł do niej i, wspiąwszy się na palce, ucałował ją w oba policzki. Było to nieoczekiwane, a nawet wzruszające. Nagle odepchnął ją od siebie i ponownie rzucił się do szkicowania.

– Dedalu – powiedziała Kora. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

– Przecież powiedziałem ci wszystko! Możesz iść, dokąd zechcesz. Ja ciebie nie trzymam.

– Wytlumacz mi, co grozi królowi?

– Wszystko jest proste i podłe – oświadczył Dedal, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z nieuczciwości swoich przyjaciół.

– Z jakichś powodów chcą oni, żeby twój Tezeusz nie zginął tak po prostu, a by zniszczeniu uległa jego głowa. Z mojego punktu widzenia nie jest to całkiem słuszne. Ale to wasze problemy.

– I co wymyślili?

– Jest tam skała – powiedział Dedal. – Cała zwisa nad... – nagle zapomniał o Korze, powrócił do szkicu i narysował zamiast kuli coś w rodzaju cygara, aby można było zamocować po śrubie z tyłu i z przodu.

Zaczął rysować śruby.

– Dedalu! – krzyknęła Kora. – Ja cię zabiję!

– A to coś nowego – zdziwił się mistrz. – Czy czegoś ci nie powiedziałem?

– Nie powiedziałaś! Jak on ma umrzeć?

– Wykułem dla nich dużo, może z tysiąc cienkich kolców z brązu, każdy długości łokcia. Kiedy ciało twojego kochanego króla spadnie z nawisu, ostrza przebiją go w setkach miejsc. Powinienem ci powiedzieć, że zadanie odlania tych igieł okazało się niełatwe nawet dla mnie. Chcesz, to ci pokażę, jaki wymyśliłem system ciągłego odlewania i ostrzenia?

– Mój Boże, co za wspaniały wzór wojskowego uczonego dwudziestego wieku! – zakrzyknęła Kora. – Przecież ty, Dedalu, omal nie zniszczyłeś całej Ziemi, zachowując przy tym zdolność poznawania i miłość do muzyki i sztuk pięknych.

– Jestem bardzo żądny wiedzy – zgodził się Dedal. – Twoja lektyka stoi na podwórku. Możesz z niej skorzystać.

– A gdzie są konie?

– O ile zostawili chociaż jednego konia – zobacz w stajni! I zapamiętaj, że zawsze uczciwie

dotrzymuję umowy.

– Niezależnie od tego, z kim ją zawarłeś?

– Niezależnie od tego, z kim ją zawarłem. Kto zaś ma rację, a kto jest winny – nie mam w tej kwestii wypracowanych etycznych kryteriów.

I w tym momencie, kiedy Kora zrozumiała, że dłużej nie ma o czym rozmawiać z tym konformistą, w świątyni zapanowała ciemność.

Na sekundę.

Ze zgiełkiem rozbiegli się w różne strony drewniani żołnierze Dedala.

Tratując ich w nieopisanej furii, do świątyni wdarł się centaur Chejron. Oprócz odgłosów towarzyszących jego pojawieniu się, Kora usłyszała też hałas z tyłu – z półotwartych drzwi, prowadzących do piwnicy, więzienia Kory, przeklinając wszystko co żywe, wylał umazany pajęczyną, cały w kurzu i błocie sternik Feak.

– No tak – odezwał się Dedal z wyrzutem. – Zniszczyliście moich drewnianych ludzi, a ja włożyłem w nich tyle mego twórczego wysiłku!

Ale nikt go nie słuchał. Feak ujął Korę pod ramię – nagle ogarnęła ją taka słabość, że z trudem mogła utrzymać się na nogach. Centaur pochylił się nad nią.

– Czy bili cię? – Nie.

– Czy chcieli cię zabić?

– Być może. Ale jak na razie korzystniejsze było dla nich wtrącenie mnie do piwnicy. Potem, jak przypuszczam, z pewnością by mnie zabili, tak, aby nie pozostał po mnie ślad.

– To prawda – powiedział Dedal, stojący ze spokojem jak najdalej od potężnych kopyt centaura.

– Umówili się, że Korę spalą w piecu. Po tym jak skończą z Tezeuszem.

– I ty milczałeś, brudny psie? – krzyknął centaur.

– Chejronie, byliśmy przyjaciółmi – powiedział Dedal. – Nie obrażaj mnie. Zastanów się, komu miałem o tym powiedzieć?

– Mnie. Albo Folosowi.

– Nie miałem kiedy – szczerze przyznał się Dedal. – Wykuwałem igły na zgubę Tezeusza.

– Poczekajcie, nie mówmy teraz o mnie – poprosiła Kora. – Nie mamy czasu. Oni chcą zwabić Tezeusza do Psich Skał. Urządzili tam na niego zasadzkę.

– Tezeusza nie ma w pałacu i nikt nie wie, gdzie się podziewa – wtrącił się Feak.

– Czy dawno wyjechał?

– Wyjechał tuż przed naszym przybyciem, a z opisu sądząc, przyjechała po niego Ariadna.

– Czy jest z nim straż?

– Nie brał ze sobą straży.

– Tego właśnie się obawiałam – powiedziała Kora. I w kilku zdaniach opowiedziała przyjaciółom o planie Ariadny. Dedal potwierdził jej słowa. Czekał z niecierpliwością, aż centaur zabierze Korę, ponieważ chciał zająć się swym nowym wynalazkiem.

Droga do lasu – niedaleko morskiego brzegu pięły się w górę Psie Skały – pionowe urwisko z jednej strony, strome zbocze z drugiej, a wszystko wysokie na dwieście łokci – wiodła od tej bramy miasta, w pobliżu której znajdowało się schronienie Dedala. Można było, oczywiście, wrócić do pałacu, wszcząć tam alarm i nakłonić oddział strażników Tezeusza, by wyruszył na poszukiwania króla. Ale oznaczało to stratę co najmniej pół godziny. Do pałacu Folos wysłał jednego ze swoich bratanków.

Kora od razu zauważyła, że Magnetów – straży Pejritoosa – w domu i wokół niego nie ma. Oznacza to, że oddział jeźdźców jest w lesie. Po stronie Kory znajdowały się dwa stare centaury,

sternik w podeszłym wieku i ona sama. Nieduża, różnorodnej maści, lecz gotowa na wszystko armia.

Nie odczuwała najmniejszego strachu – byle tylko zdążyć. W głębi duszy była przekonana, że uratują księcia Gustawa. Powinna teraz dygotać ze strachu i niecierpliwości, galopując na grzbiecie wiernego Chejrona i poklepując go po łaciatym, ciepłym i kłującym grzbiecie. W swoim czasie będą teraz niedoścignionym mistrzem ujeżdżania centaurów.

– Zdążymy? – spytał Folos.

Miał ze sobą ciężką włócznię. Centaury preferują włócznie. Mają potężne ramiona i mogą dosięgnąć włócznią praktycznie każdego jeźdźcę, a jeśli go nie przebiją, to zrzucą z konia. W lesie śnieg leżał długo, aż do wiosny. Na wąskiej drodze widoczne były ślady wielu ludzi i koni.

– Dureń, że dał się uprowadzić – rzekł Folos.

– Obawiał się o życie pani Kory – odpowiedział Chejron. Feak jechał wierzchem na Folosie.

Miał ze sobą stary żelazny miecz o złotej rękojeści. Przywiózł go z dalekiej podróży na koniec świata. Na ostrzu miecza znajdował się pokryty złotem wizerunek dinozaura. Ale Feak twierdził, że nigdy nie widział takiego zwierzęcia.

Dwóch pijanych satyrów, którzy zapewne mocno przemarzli w nocy, wybiegło z lasu i zaczęło zapraszać w gości. Chejron srogim głosem spytał próżniaków, kiedy przejeżdżał tędy oddział obcych.

– Jechał z nimi szlachetny Tezeusz – rzekł jeden z nich. – Był pogrążony w smutku.

– A obok niego jechała piękna kobieta, tak subtelna, że nie śmiałem jej objąć – powiedział drugi.

Obaj głupio się śmiali i przytupywali kozimi nogami. Wkrótce zniknęli pośród drzew.

Młody centaur wprawnie odczytywał tropy i dlatego jechał pierwszy.

– Tu się zatrzymali, sprzeczali się i naradzali, jak jechać dalej. Oto ślady króla Tezeusza – podkova jego konia ma wizerunek węża. Król sprzeczał się... ale tamci go przekonali.

– Czy długo jeszcze? – spytała Kora.

– Teraz musimy milczeć – powiedział Folos. – Głos roznosi się tu daleko.

Centaury ostrożnie stapały po zmarzniętej ziemi. Szły kłusem obok drogi, nie spuszczać oczu ze śladów. Wtem młody centaur podniósł rękę. W tym miejscu ślady ich przeciwników oddzieliły się od głównej drogi i zagłębiły się wąską ścieżką w lesie. Ścieżka prowadziła coraz wyżej. I stawała się coraz bardziej stroma. Kora chciała powiedzieć, że zejdzie z Chejrona. Z jakichś powodów wydało się jej, że tak będzie lepiej. I w tym momencie, z gęstwiny czarnych, nagich, gdzieś tam upstrzonych brunatnymi liśćmi zarośli, wyleciała strzała. Przemknęła nad barkiem młodego centaura, który ze zdziwieniem i zbyt późno odwrócił głowę, śledząc jej lot, ześlizgnęła się z biodra Kory i wbiła w pień drzewa. Bez najmniejszego dźwięku. Jak we śnie.

Wtedy Feak sam zeskoczył z centaura i potoczył się po ziemi. Kora instynktownie poszła za jego przykładem, centaury, uwolnione od swojego ciężaru, rozbiegły się na boki; w tym ułamku sekundy kąśliwy rój przemknął nad polaną, gdzie wiła się ścieżka i strzały zastukały grotami o drzewa albo bezdźwięcznie padały na śnieg.

Gdyby któryś z Magnetów, siedzących w zasadzce i broniących swoich panów, nie pospieszył się z wypuszczeniem strzały, dziewczyna z pewnością byłaby już martwa. Inni także... Kora wyrwała niewielki miecz, który zabrała przed wyjazdem z domu Dedala, broń obnażyli również jej przyjaciele.

Tak naprawdę Magnetów nie było zbyt wielu, nieco ponad tuzin – tyłu Pejritoos mógł przyprowadzić do Aten. Byli przekonani, że zręcznie podeszli przeciwników i że ich zabiją, ale gdy strzały chybiły, okazało się, że starając się strzelać na pewniaka, podpuścili centaurów za blisko, dlatego nie mieli czasu ponownie założyć strzał na cięciwy. Nie mieli też czasu albo nawet wyobraźni, aby rzucić łuki i chwycić za zakrzywione sztylety. Rycząca lawina centaurów – dlaczegóż

trzy centaury i dwoje rozwścieczonych ludzi nie miałyby być lawiną? – runęła na długowłosych dzikusów, obaliła, rozrzuciła ich – kilka ciał zostało na ziemi i Kora nawet nie wiedziała, czy uderzyła kogoś mieczem. Pozostali przy życiu rozbiegli się, ale, o dziwo, las słynący ze swoich wzgórz, pożarł dźwięki tej krótkiej, okrutnej walki i wkrótce powróciła cisza, gdy tylko zamilknął tętent ostatniego Magneta.

Stali w pustym lesie, przed nimi była ścieżka, prowadząca pod górę. Świeciło zimowe słońce, wysoko na niebie szybował orzeł, wiatr był świeży i orzeźwiający.

„Rozumiem, jakie uczucie mną kieruje – pomyślała Kora. – To uczucie szachisty, który dostrzegł w partii pewną wygraną i chociaż rywal stawia jeszcze opór, przekonany o tym, że ma szansę się wywinąć, ty przewidujesz grę na kilka niezawodnych ruchów do przodu”.

– Idziemy? – spytała Kora.

Jeden z Magnetów jęknął. Trzymał się ręką za brzuch, a wokół niego pełno było krwi.

– Dobić go? – zapytał młody centaur.

– Tamci wrócą po niego i sami dobijają, jeśli nie będzie można go donieść do domu – powiedział Chejron.

Zaczęli piąć się pod górę, wkrótce drzewa się rozstały, a przed nimi pojawiło się pochyłe wejście na szczyt skały, która z tamtej, odległej strony urywała się w dół. Zatrzymali się. Z przodu, na krawędzi urwiska, stał Tezeusz. Pozostali także tam byli – wszyscy, włącznie z Medeą. Otoczyli Tezeusza półkolem w taki sposób, że Pejritoos stał z tyłu, Ariadna i Medea z boków, a nieznajomy w hełmie-masce rozmawiał z Tezeuszem, mówiąc do niego coś, czego z tak dużej odległości nie można było usłyszeć. Jak oni go tu zwabili?

Tezeusz z czymś się nie zgodził i opuścił rękę na rękojeść miecza, ale nie zdążył – Medea wyrwała miecz wcześniej i śmiejąc się, odbiegła. Tezeusz zrobił krok w jej kierunku, ale wykazywał oznaki niepokoju. Zapewne zorientował się, że jest w pułapce.

Nie umawiając się ze sobą, Kora i centaury szli do przodu w milczeniu, aby nie spłoszyć wrogów.

Ale człowiek w hełmie-masce coś jednak usłyszał, obrócił się szybko – jego oczy zalśniły w szparach brązu – i krzyknął do Pejritoosa. Centaury i Kora z Feakiem runęli do przodu, lecz Pejritoos zdążył popchnąć Tezeusza. Ten nie utrzymał równowagi – pchnięcie było zbyt mocne i niespodziewane. Uniósł ręce w daremnej próbie utrzymania się na krawędzi, a wtedy człowiek w masce pchnął go jeszcze raz, nawet nie za mocno...

Tezeusz z krzykiem zniknął z urwiska.

– Na boki! – zawołała Ariadna.

Czworo zabójców rozproszyło się w różne strony i tylko Kora zrozumiała powód paniki w głosie księżnej: jeśli pójdą oni w ślad za Tezeuszem, to z pewnością również zginą na zawsze, jak Tezeusz. Rozbiegli się po szczycie skały jak zające, wciskając się w krzaki, rosnące z boków skały, ale Kora i jej przyjaciele ich nie ścigali.

Biegli prosto do urwiska. Znieruchomieli tuż na krawędzi.

W dole – straszliwie daleko, dostrzegli złocisty odblask igieł z brązu.

Ale nie zauważyli ciała Tezeusza, przebitego nimi na wylot. Tezeusza nie było.

– Chejronie – błagała Kora. – Masz oczy jak orzeł...

– Tam go nie ma – powiedział centaur. – Coś musiało się stać.

– A może tam jest krzak, którego stąd nie widzimy i on się za niego zaczepił? – zapytał z nadzieją Feak.

I nagle wielki, ale lekki cień mignął nad platformą.

Duży biały ptak, ostatkiem sił machając skrzydłami, przeleciał nad szczytem wzgórza i upuścił swój duży ciężar na śnieg. To był Tezeusz. Dedal, nie składając skrzydeł, opadł wraz z nim i rzekł:

– Już myślałem, że nie dam rady go unieść.

– Jak? Dlaczego? – krzyknęła Kora.

– Zdażyłem podlecieć i zobaczyłem, jak go strącili. Mam nowe skrzydła. Trzeba było je wypróbować.

Podeszli do Tezeusza.

Otworzył oczy, odnalazł Korę, jej widok go ucieszył.

– A jednak żyjesz, bogom niech będą dzięki – powiedział.

– Dedalu, mój przyjacielu, co skłoniło cię do tak ryzykownego i bohaterskiego czynu? – spytał Chejron. – To do tego stopnia nie leży w twoim charakterze...

– Szanowna pani Koro – Dedal złapał oddech i sprawdził rzemienie, którymi skrzydła przymocowane były do jego ciała. – Zobaczcie, jak wszystko wyliczyłem. Nigdy nie powtarzam tego samego błędu.

– Dedalu – Chejron tracił cierpliwość. – Mów, dlaczego tu jesteś?

Wynalazca obrócił się ku Korze. On nie prosił, a wyjaśniał – dobrze wychowany człowiek wśród przyjaciół.

– Szanowna pani Kora obiecała mi pokazać, w jaki sposób polepszyć wzrok, kiedy patrzę na małe przedmioty. Jeśli nie skłamała, to taki dar z jej strony wart był niewielkiego lotu do skały Parteny.

– Jak zawsze, wyrachowany – powiedział Folos. – Oczywiście, mój przyjacielu. Dlatego jestem wielki i pozostanę wielkim w ludzkiej pamięci, a o tobie wkrótce zapomną.

– Nie wszyscy – rzekła Kora.

Tezeusz usiadł i potrząsnął głową, jakby porządkując to, co miał w jej wnętrzu. Feak pomógł mu stanąć na nogi. Młody centaur podniósł miecz i przyniósł królowi.

– Dziękuję, Tezeuszu – powiedziała Kora.

Jesteśmy kwita – uśmiechnął się młody król. Ale czy młody? Kora zobaczyła twarz człowieka doświadczonego surowym życiem. Ile ty masz lat, Tezeuszu?

Dedal dotknął jej łokcia. Jego wzrok przypominał spojrzenie głodnego kota.

– W tym celu – powiedziała Kora. – Trzeba wziąć kawałek szkła. Przykładowo, kulę. – Dedal słuchał jej z uwagą. – A potem szlifować je tak długo, aż powstanie soczewka. Soczewka to coś takiego – Kora palcem narysowała soczewkę na śniegu. – Patrzymy teraz z boku na rezultat twojego szlifowania. W zależności od tego, jak soczewka jest płaska, będzie ona w różnym stopniu zwiększać...

Czy Dedal podziękował jej, czy też nie zdażył, nigdy się tego nie dowiedziała.

Świat wokół stracił wyrazistość konturów i zaczął się kręcić, nabierając szybkości, aż zmienił się w szarą mdłość niekończącego się i gwałtownego wzlotu... I wszystko zniknęło.

Kora ocknęła się w klinice Centrum VR w izolatce. Otworzyła oczy i zobaczyła obok łóżka męską i nazbyt urodziwą – nawet w antycznej Helladzie takich nie robią-twarz komisarza Milodara.

– Co się stało? – spytała.

– Gratuluję wykonania pierwszej części zadania.

– Jak to? Przecież oni tam zostali! I Tezeusz też!

– VR rajd księcia Gustawa jest zakończony, tak jak zakończone jest ziemskie istnienie króla Tezeusza. Pozwólcie zacytować stosowne źródło.

Milodar włączył monitor przy jej łóżku. Głos stamtąd powiedział:

– Król Liokomedes udawał, że chce pokazać królowi Tezeuszowi jego posiadłości. I zwabił go na szczyt wysokiego urwiska, skąd zepchnął herosa w dół. Przedstawił całą sprawę tak, że Teusz spadł przypadkowo, kiedy pijany postanowił przejść się po obiedzie. Pauzaniasz „Przewodnik po Helladzie”, wydanie Rocha-Pereiry, tom pierwszy, paragraf siedemnasty.

– Dziękuję – powiedziała Kora i poczuła nieskończoną, na całe życie gorycz, ponieważ uświadomiła sobie, że już nigdy nie zobaczy Chejrona, Feaka i Folosa, z którymi nie zdążyła się pożegnać... Czyż nie można było jej uprzedzić na minutę przed końcem tamtego życia?

– Ty płaczesz? – zdziwił się Milodar. – Co z twoimi nerwami, agentko Orwat. Weź się w garść. Nie możemy się tu rozklejać.

– Nie mógłby pan wyjść, co? – poprosiła. – Chociaż na chwilę.

– Tylko na chwilę...

Milodar wyszedł, a Kora wyplakała się od razu za kilka lat.

Milodar, jak obiecał, wrócił po godzinie. Ale przedtem przysłał kosmetyczkę i masażystkę. Łajdak, nie powiedział ani słowa na temat jej wyglądu, ale tak zuchwale zademonstrował swój prawdziwy stosunek do jej dawnej urody.

Najpierw Kora zażyczyła sobie lustro i zaczęła się w nim przyglądać. Masażystka i kosmetyczka grzecznie czekały.

Obiektywny obraz strat, jakie przyniosło Korze minione oddelegowanie, niełatwo było określić, gdyż przedtem pół godziny szlochała, jej oczy i policzki zapuchły i zrobiły się czerwone. Mimo tego Kora musiała przyznać, że z lustra spogląda na nią kobieta raczej w średnim wieku, niż młoda, opalona do czerni, z wypłowiałymi do białości włosami, wśród których Kora, pokornie godząc się z losem, zauważyła i siwe...

W obecności specjalistek rozebrała się – ciało opalone było nierównomiernie, prawa ręka i nogi do wysokości kolan były ciemne. Specjalnie się nie opalała, ale te części ciała często były odkryte.

– Jaki dziś dzień? – spytała masażystkę, która zaczęła masować jej brzuch i przebiegła palcami po piersiach i ramionach.

– Ósmego marca – odpowiedziała tamta. Była jeszcze dziewczynką, czarnulka o kręconych włosach. Kora odniosła nawet wrażenie, że widziała ją wśród swoich niewolnic w Atenach. Zapewne teraz często będą jej się tu pojawiać znajome twarze.

– Którego roku?

Długo czekała na odpowiedź i okazało się, że straciła mniej niż pół roku życia. Od jesieni ubiegłego roku, od końca września do początku marca.

– Czy to wszystko zejdzie? – zapytała kosmetyczkę, przesuwając stwardniałą dłonią po spierzchniętym i jeszcze nie wyschniętym policzku.

– Znowu pani będzie młodziutka, jak... Afrodyta.

– To śmieszne – powiedziała Kora. – Afrodyta nie jest wcale młoda.

– Ale rozumie pani, co mam na myśli?

Specjalistkom nie wytłumaczono, z jakiej delegacji powróciła agentka Orwat. Zresztą w centralnej klinice IntergPolu nie zwykło się zadawać pytań. Ani tu, w dziale diagnostyki i kontroli, ani w na oddziale plastycznym, ani w sekcji zamiany ciał.

Milodar wszedł w momencie, gdy kosmetyczka i masażystka pracowały na cztery ręce. Kory jego obecność nie krępowała – w antycznej Grecji inny był stosunek do nagości. Milodar odwrócił się do okna i poprosił:

– Jeśli można, to się przykryj, co?

– Na dzisiaj kończymy – powiedziała masażystka.

– Świetnie – odparł Milodar. – Agentka będzie waszą stałą pacjentką przez kilka dni. Na razie opracujcie najszybszy i najskuteczniejszy program regeneracyjny. Zrozumiałyście?

Specjalistki pozbierały swoje walizeczki.

– Co nowego? – zapytała Kora, gdy wyszli. Milodar niemal z czułością okrył ją prześcieradłem.

– Nie wódź mnie na pokuszenie – poprosił. – Przecież mam się żenić.

– W końcu się pan zdecydował?

– Prawie.

– A z kim?

– Z obiema. W innym przypadku umrę z zazdrości. Nie wolno żenić się tylko z jedną z bliźniaczek, zostawiając drugą nie wiadomo dla kogo, w dodatku nie potrafiąc ich rozróżnić.

– Dobrze być szefem – powiedziała Kora.

– Nie wyobrażasz sobie, co to będzie za skandal!

– Nie będzie żadnego skandalu – odpowiedziała Kora. – Po prostu zmienią panu obywatelstwo na kuwejskie albo omańskie. Jeszcze zostanie panu rezerwa islamskich ślubów.

– Nie opowiadaj głupstw! – wybuchnął Milodar.

– Niech lepiej pan mówi, co nowego – poprosiła Kora.

– Nowego? – Milodar wyciągnął fajkę, chciał ją zapalić, potem zapytał, czy może to zrobić w szpitalu. Wiedział, że nie, ale i tak zapalił.

– Tezeusz jest sprawdzany w tym szpitalu. U niego wszystko w porządku.

– Czy VR wyda mu certyfikat o pozytywnym zakończeniu podróży?

– Z wyróżnieniem – szczerze odpowiedział Milodar.

– I poleci do siebie?

– Jutrzejszym rejssem specjalnym.

– A pozostali?

– Według moich informacji czekał na nich krążownik bez znaków identyfikacyjnych, który od razu wziął kurs na ich planetę.

– Jak rozumiem, dla nas ich rola w tej historii wydaje się ciekawsza niż rola Tezeusza?

– Tezeusz jest prosty jak prawda – powiedział Milodar. – Nie przeszkadza ci, że palę?

– Jak to się mogło zdarzyć, że trzech czy czterech współczesnych nam ludzi, nie biorąc skierowań na VR rajd i nie przestrzegając jego zasad, swobodnie sobie hasało po starożytnej Grecji jako nikiemna banda zabójców?

– Dlaczego twierdzisz, że nie wzięli skierowań?

– Ponieważ pamiętali, kim są, gdzie i po co! Dokładnie jak ja!

– Nie uczestniczyli w grze?

– Pan, zdaje się, spadł z Księżycy albo świadomie ktoś wprowadza pana w błąd. Czy pan nie rozumie, że...

– Stop! – rozkazał Milodar. – Więcej ani słowa. Ja otrzymałem inną wersję.

– Czy pan w nią uwierzył, komisarzu?

– Nie uwierzyłem w nią, ale powinienem był zasięgnąć informacji u ciebie.

– A więc powiem panu...

– Niczego mi nie powiesz – odrzekł Milodar. – I więcej nie otworzysz ust, dopóki nie znajdziesz się w tajnej moskiewskiej bazie.

– Ale jestem głodna jak wilk!

– Jeszcze jedno słowo i wpakuję ci igłę!

W dłoni Milodara połyskiwał paralizator. Kora z przerażeniem patrzyła na swego szefa. Jego oczy płonęły złowróżbnym, zabójczym blaskiem. Lufą paralizatora nacisnął przycisk na bransolecie i powiedział:

– Ewakuacyjny flyer specobrony... Sala numer szesnaście oddziału aklimatyzacyjnego! Zwiększyć ochronę moskiewskiej bazy zgodnie ze schematem specalarmu.

– Komisarzu... – zaczęła Kora.

Zobaczyła wąską lufę paralizatora, z której wysuwał się czubek igły. Milczała sześć minut, dopóki przed oknem nie zawisł flyer specjalnego przeznaczenia. W tym czasie Milodar zdążył przysunąć do drzwi ciężką szafę, przyciągnął łóżko. Kora stała za zasłoną. Pojazd znieruchomiał na wprost okna i Kora pierwsza wskoczyła do niego przez wąski właz. Za nią pośpieszył Milodar. Na dany przez komisarza znak maszyna natychmiast runęła w dół – w samą porę, gdyż w tym momencie ręcznie sterowana rakietą, wystrzelona z korytarza w drzwi sali, eksplodowała w szafie z przyrządami. Flyer oddalił się lotem koszącym. Druga maszyna leciała nieco wyżej z lewej...

Śmigłowiec patrolowy Centrum VR zerwał się z dachu wieżowca i zapikował na nich.

Uderzenie przyjął na siebie flyer zabezpieczenia. Milodar, który nie spuszczał oczu z przebiegu tej krótkiej walki, widział, jak fragmenty maszyny zabezpieczenia i spadochrony z katapultującymi się agentami spadają na góry. Nieprzerwanie podawał ich współrzędne do centrum reanimacyjnego, aby jak najszybciej przysłano po nich ratowników.

Do „Wąskiego” dotarli bez nowych przygód. Tam patrolowały przestrzeń jeszcze dwie bojowe maszyny, które zabezpieczały ich od góry, gdy flyer schodził do szerokiego komina, wystającego ze stawu. Milodar i Kora zeszli po sznurowej drabince szybu, zeszli pod staw, gdzie na bezpiecznej głębokości znajdował się moskiewski ośrodek zarządzania InterGpołem.

Milodar zwrócił się do Kory:

– Teraz możemy rozmawiać.

A sam przeszedł do translatora materii i włożył do niego kasetę z pełnym zapisem wydarzeń ostatniej godziny. Za sześć minut kasetę ta znajdzie się na biurku szefa-komisarza w Centrum Galaktycznym. Do niego należy podejmowanie decyzji.

Kora zapytała:

– Mogę się czegoś napić?

– Oczywiście. Otwórz barek i nalej sobie.

– Jeszcze niedawno siedział tu gość – dama Ragoza. Całkiem niedawno.

– A ty co, przeszedł na wino wytrawne?

– Tak, jakoś się przyzwyczaiłam...

Oboje się roześmiali.

– Zrozum, nie miałem z tobą łączności. Przez cały czas, gdy byłaś w tym wirtualnym rajdzie...

Twierdzisz więc, że zabójcy z łatwością przedostali się i tam?

– Być może nawet nie jeden raz.

– Kim byli?

– Trzech znam. Clarissa wystąpiła pod postacią czarownicy Medei, księżna Ragoza została Ariadną...

– To niemożliwe! – Milodar nagle poweselał. – Zachciało się jej swojego siostrzeńca?

– Nic z tego nie wyszło. Wszystko przerwałam.

– Z zazdrości?

– Nie będziemy wdawać się w szczegóły... Ratowałam mu życie.

– On wolał ciebie? Jeśli teraz powiesz „nie”, zaraz wyślę do niego najemnego zabójcę – a mój

człowiek z pewnością nie chybi!

– Czasami żałuję, że tak się nie stało – powiedziała Kora.

– Mieliście tyle czasu! Jak mi powiedzieli, subiektywnie – kilka lat.

– O tym człowiek dowiaduje się dopiero ostatniego dnia – odpowiedziała Kora.

– Zatem na samym początku powinnaś poinformować mnie w najdrobniejszych szczegółach o wszystkim, co zdarzyło się w VR rajdzie z tobą i ochranianym przez ciebie obiektem. Na dokładną relację daję ci dwadzieścia minut. Za dwadzieścia minut kasetę powinna dotrzeć do Centrum Galaktycznego. Mamy do czynienia z dostatecznie poważnym przeciwnikiem i decyzje będą zapadały na samej górze.

Podczas gdy Kora, siedząc przed komputerem, relacjonowała przebieg swojej delegacji, Milodar zrobił i przyniósł jajecznicę na szynce i słoik jej ulubionego morelowego dżemu.

– Ziemiaków! – zażądała Kora, wyłączając na sekundę nagrywanie.

Do końca przekazu Milodar upiekł kilka ziemniaków w mundurkach. Po odesłaniu kasety usiadł naprzeciw niej i z zadowoleniem przyglądał się, jak Kora je kartofelki, maczając je w soli.

– Słyszałem twoją relację. Nie odmawiaj mi kilku dodatkowych szczegółów.

– Proszę bardzo. Czy macie piwo?

– Gdzieś tu była puszka.

Milodar wyjął z lodówki puszkę. Odległy grzmot przeniknął do kazamat i ściany zadrżały. Z sufitu pociekł strumyk wody.

– Nic się nie stało – powiedział Milodar. – Wytrzymają. Od dawna obserwujemy pana Hermesa-Połńskiego. Uzyskali zbyt dużą władzę nad Grą i przestała ona dla nich być tylko grą. Zaczęli się rozzuchwalać – ze zbytnej pewności siebie i z tego powodu, że paru wielkich tego świata ma zobowiązania wobec nich. Ale skąpy płaci dwa razy. Połakomili się na miliardy, które zaproponowali im mordercy z Ragozy, chociaż gdyby siedzieli cicho, mogliby te miliardy zarobić w kilka lat – Milodar pozwolił sobie na uśmiech.

– A co z akcjonariuszami? Ze społeczeństwem?

– Przypuszczam, że mało kto, oprócz osób wtajemniczonych, dowie się o rzeczywistej istocie konfliktu. I gotów jestem dać głowę, że z Centrum Galaktycznego nadejdzie rozkaz zmiksowania dźwięku... wyciszenia całej sprawy. Spokój – to główna zasada Centrum Galaktycznego. Ktoś zniknie, o kimś zapomną...

Więcej wybuchów nie było. Milodar znów poszedł do kuchni, przyniósł stamtąd duży rondel i postawił go pod strumyk, ciekący z sufitu.

– Trzech znasz – powiedział. – Centrum potrzebowało informacji. Będą je obrabiać sami. Ja nie jestem dostatecznie mądry. Interesuje mnie twoja opinia. Zatem nie domyśliłaś się, kim jest ten czwarty?

– Nie. Ale on był najważniejszy.

– A jednak zestawienie tych marionetek wydaje mi się nienaturalne. Chociaż przestudiowałem twoje sprawozdanie o locie na Ragozę. Spróbujmy zatem zrozumieć, kto kim kierował.

– Spróbujmy – powiedziała Kora. Zjadła już tyle, że zaczął ją morzyć sen.

– Pierwszy zabójca – Medea. Clarissa.

– Ona jest tylko pomocnikiem – powiedziała Kora. – Jestem tego pewna. Mają ją w ręku. Pamiętam ją z Ragozy. Uratowała mnie przed śmiercią. Ja myślę, Clarence obiecał jej, że kiedy zdobędzie władzę, będzie dzielić z nią łożę i tron. Drugim zabójcą jest sam Clarence.

– Dlaczego nie miałby się policzyć z Gustawem w pojedynku? Tak jak uzgodnili? Honorowo i ładnie.

– A jeśli Gustaw wróci z wirtualnego rajdu jako inny człowiek? To się już zdarzało. Przecież życie, przeżyte przez człowieka w rajdzie, zostaje w jego pamięci, nawyki też. Sądzę, tak na zdrowy rozum, że Clarence postanowił nie ryzykować i kiedy Clarissie operacja nie wyszła...

– Kiedy utraciłaś operację Medei, sam wziął się do roboty.

– W międzyczasie była jeszcze Ragoza – przypomniała Kora.

– Jej gra jest do tego stopnia nielogiczna, że zaczynam się gubić... nawet o niej zapomniałem. To dziwne, ale najgorsi wrogowie połączyli siły przeciw Gustawowi ze strachu przed nowym, które on ma zamiar sprowadzić na planetę. Przypuszczam, że wszystkie rozmowy o hańbie przegranej w pojedynku, którymi karmili mnie sympatyczni agenci Kosmicznej Floty, to przypuszczenia domowego chowu. Dopuszczam nawet możliwość, że spisek przeciw niemu, na którego czele stanęła ciocia i przywódca jego własnego klanu, istniał od dawna. A kiedy madame Ragoza zjawiła się u nas z opowiadką o niebezpieczeństwie, zagrażającym Gustawowi, wiedziała już, kto zajmie się jego likwidacją.

– Nie przeczę, że pana wersja może być prawdziwa, komisarzu – zgodziła się Kora. – Gdyby nie zjawił się potem człowiek, który nie chciał pokazać swojej twarzy i który przejął dowodzenie operacją. Zanim się pojawił, dawałam sobie z nimi radę. Mam zdolność do pozyskiwania sobie przyjaciół i ci mi pomagali. Kiedy jednak zjawił się ten czwarty, Brązowa Maską, omal nie poniosłam klęski.

– A kim byli twoi przyjaciele? – spytał Milodar.

– Nie uwierzy pan, komisarzu – odpowiedziała Kora. – Dwa centaury, Feak i Dedal.

– Ten sam?

– Niestety, ten sam.

Wyczuwszy dziwną nutę w głosie Kory, Milodar ożywił się.

– Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Zahuczwała międzyplanetarna łączność grawitacyjna. Kasetą z Centrum Galaktycznego zmaterializowała się pod komputerem.

– To wszystko, a ty tak się bałaś – powiedział Milodar.

List z Centrum Galaktycznym miał czysty dźwięk, był krótki i bez wyrazu:

„Komisarz Milodar pozostaje na Ziemi, by za wszelką cenę zatrzymać, niezależnie od przeciwdziałania ze strony ziemskich rządów, prezydenta Hermesa-Polańskiego. Zatrzymanie nastąpi w dniu dzisiejszym. W razie konieczności zablokować jego wylot z Ziemi. Eskadra krążowników w drodze”.

Komisarz Milodar słuchał głosu przełożonych, wolno kiwając głową jak stara chińska zabawka – posążek bożka.

„Natomiast agentka Kora Orwat wyrusza na Ragozę z księciem Gustawem i ochrania go do momentu, aż Centrum Galaktyczne InterGpolu stwierdzi, że zagrożenie dla jego życia minęło.”

– Tego jeszcze brakowało! – zakrzyczała Kora. – Jestem na urlopie.

Nikt jej nie słyszał.

„Odpowiedzialność za odlot księcia Gustawa i Kory Orwat oraz za ich bezpieczeństwo w czasie lotu w całości spoczywa na komisarzu Milodarze. Proponujemy wykorzystać do tego celu jego osobisty krążownik.”

– Tego jeszcze brakowało! – zakrzyknął komisarz Milodar. – Mam tylko jeden krążownik, potrzebny do ważniejszych operacji!

Ale Milodara też nikt nie słyszał.

Kiedy głos szefa-komisarza zamilkł, Milodar wcisnął przycisk komunikatora:

– Poruczniku, proszę przyprowadzić tu mojego gościa.

– On jest tutaj?

– Rano zabrałem go ze szpitala. Jak widzisz, miałem rację.

Drzwi się otworzyły i wszedł książę Gustaw. W rękę trzymał długi czarny futerał.

W przeciwieństwie do Kory, która była oddelegowana do rajdu i dlatego zachowała swój wygląd, Gustaw, będący uczestnikiem rajdu, miał prawo ulepszyć siebie odpowiednio do wybranej roli. Dlatego Kora nie od razu poznała w wysokim, szczupłym młodzieńcu, herosa antycznej Hellady Tezeusza, który mógł Korę z łatwością podnieść do góry jedną ręką. Młody człowiek wyglądał tak, jakby zszedł z fotografii, które Kora oglądała w tym gabinecie pół roku temu. Te same okulary w delikatnych złotych oprawkach. Nosi je, by wyglądać na inteligentniejszego, zrozumiała Kora.

Gustaw poznał ją natychmiast.

– Dama Orwat! – zawołał i uśmiechnął się radośnie; był to uśmiech króla Tezeusza, dobry i jednocześnie łobuzerski, który zawsze przypominał tym, którzy umieją patrzeć, że przed tym człowiekiem najlepiej mieć się na baczności.

– Kora – poprawiła go. – Proszę nazywać mnie Korą, chociaż sama zupełnie pogubiłam się, jak ja mam się do pana zwracać. Czy nazywać pana zwyczajnie księciem następcą tronu i jego wysokością?

– Też potrafię żartować – odpowiedział książę. – Zna pani moje imię – Gustaw. Chociaż, zdaje mi się, byłoby pani przyjemniej nazywać mnie Tezeuszem.

– Żeby tak się stało, będzie pan musiał przez pół roku pakować na siłowni – bezceremonialnie oświadczyła księciu Kora i ten nie kontynuował sprzeczki.

– Czy napije się pan czegoś, książę? – spytał Milodar.

– Piwa – książę postawił futerał na podłodze. Futerał miał około półtora metra długości.

– Co jest w środku? – zapytała Kora.

– Kontrafagot – odpowiedział Tezeusz. – W czasie wolnym lubię grać.

Milodar nalał piwa do szklanek. Dla siebie wziął wodę.

– Zerwał pan z pićm? – spytała Kora. – Całkowicie?

– Moje podanie o nadanie kuwejckiego obywatelstwa zostało rozpatrzone pozytywnie – odpowiedział Milodar. – A prawa w Kuwejcie są surowe: żadnych napojów wysokowych.

Niewielki krążownik „Honor-2”, którego nazwa zawsze Korę bawiła, gdyż wyobrażała go sobie jako honor drugiego gatunku lub rangi, bez jakichkolwiek przeszkód wystartował z podmoskiewskiego pola.

Krążownik był nieduży i w pełni zautomatyzowany. Oprócz pasażerów znajdowało się na nim trzech nawigatorów i dziewczyna-łącznościowiec, która jednocześnie była zbrojmistrzem. Dziewczę miało energiczne ruchy, podkreślało swoją surowość, ale przy tym zazdrościło Korze i marzyło o tym, by zostać agentem terenowym. Imienia dziewczyny mimo kilku lotów na „Honorze-2” Kora nie zdołała zapamiętać, gdyż załódze krążownika za każdym lotem wydawano fałszywe dokumenty, z tego też powodu często sami nawigatorzy nie mogli przypomnieć sobie szczegółów swojego życiorysu.

Kajuty Gustawa i Kory były niewielkie, ale przytulne i doskonale wyposażone, włącznie z obficie zaopatrzonym barkiem, którego zawartość również podlegała dokładnemu sprawdzeniu i wymianie przed każdym rejssem, aby zapobiec otruciu. Można się więc domyślić, że na pokładzie tego krążownika przemierzał wszechświat sam komisarz Milodar.

Pierwszego dnia prawie nie widziała Tezeusza. Sama zajęta była dyktowaniem sprawozdania i odpowiadała na miliony komputerowych pytań, dotyczących zarówno alternatywnej starożytnej

Grecji, jak i szczegółów rajdu, na koniec, stanu spraw na Ragozie.

Przed obiadem Kora znalazła byłego Tezeusza na sali gimnastycznej. Tezeusz pedałowal na rowerze treningowym. Kora nieco się zdziwiła, ujrawszy, że pomimo szczupłej budowy jest on dobrze zbudowany, a jego mięśnie mają ładną rzeźbę, bez grama tłuszczu. Pod względem typu muskulatury Kora najbardziej zaliczyłaby księcia do długodystansowców lub nawet maratończyków, zdolnych do długotrwałego, uporczywego wysiłku.

– Zje pan obiad? – spytała Kora.

Gustaw przestał pedałowac. Uciekajaca przed nim na ekranie ściezka zgasła.

– Już nie jesteśmy przyjaciółmi? – zapytał Gustaw.

– Trudno mi tu postrzegać pana jako mojego starego protegowanego Tezeusza.

– Tamten był piękny, męzny, niepokonany i był królem – powiedział Gustaw, schodząc z roweru i narzucając na ramiona frotowy ręcznik, by udać się pod prysznic.

– Co za brednie! – szczerze oburzyła się Kora. – Był miłym człowiekiem i bardzo bym chciała, aby po nim co nieco pan odziedziczył.

– Niestety, pamiętam wszystko – powiedział Gustaw. – Całe tamto swoje życie. Dlatego czuję się tak bardzo stary.

Kora w duchu przyznała mu rację. Starość Gustawa wyczuwało się w brzmieniu jego głosu, w spojrzeniu, w ostrożnym i wyważonym sposobie poruszania się. W odróżnieniu od Kory, Gustaw nie zachował ani opalenizny, ani mięśni – były mu one przydzielone na początku Gry, jak buty piłkarskie albo rakietka tenisowa. A teraz zostały zwrócone rekwizytorowi. Kora miała rany i blizny zewnętrzne, on swoje zachował na całe życie, ale by przekonać się o tym, trzeba byłoby zajrzeć w jego duszę.

– Proszę mi powiedzieć, czy subiektywnie pan wie, ile czasu przeżyliśmy tam oboje? – spytała Kora, gdy jedli już obiad.

– Żyłem dłużej niż pani, ponieważ dorastałem w Trojzeniu.

– To też pan pamięta?

– Jak przez mgłę. A pani wtedy poznała moją ciotkę?

– I pana przyszłą małżonkę – Kora pozwoliła sobie na uśmiech. Była ciekawa, jak przyjmie jej słowa Gustaw. Czego zdołał dowiedzieć się po powrocie? Co pamięta? Co rozumie?

– Zapoznałem się z pani sprawozdaniem – powiedział Gustaw.

– I porównałem go z własnymi wspomnieniami.

– Czy się pokrywają?

– Sprawozdanie jest jak podręcznik medycyny. Szkielet.

– A fakty to kości?

– Fakty się zgadzają – Gustaw uśmiechnął się i poprawił palcem wskazującym okulary. Zupełnie jak król Tezeusz. – Uratowałem się dzięki temu, że była pani, Koro, na Ragozie i znała twarze mych wrogów.

– Nie wszystkich. Zagadką pozostaje dla mnie czwarty członek brygady.

– Nie poznała go pani? – spytał Gustaw. – Może nie widziała go pani w Ragozie.

– Czy on też ma dynastyczną świadomość?

– Dawno powinienem się był domyślić – powiedział Gustaw.

– Głowa państwa ze mnie do niczego. Nie znam się na ludziach!

– Nieprawda! – gwałtownie zaprzeczyła Kora. – Obserwowałam pana przez wiele lat! Świetnie się pan zna na ludziach!

Gustaw znieruchomiał z łyżką w ręce. Patrzył na Korę tak, jak królowie nie powinni patrzeć przy

obiedzie na swoich ochroniarzy.

– Nigdy się na tobie nie poznałem – powiedział po tym, jak Kora zobaczyła i wchłonęła to spojrzenie, poczuwszy łaskotanie pod żebrami. – Ale zawsze był we mnie niepokój, że zechcesz przerzucić mnie przez biodro.

„No i wszystko zepsuł – zdenerwowała się Kora. – Omal nie przeszliśmy na liryczną nutę”.

– Czy było to dla ciebie nieprzyjemne?

– Nie, królu Tezeuszu.

– Nie trzeba. Smuci mnie świadomość, jaki jestem żaloszny po powtórnej przemianie.

– Głupstwo! – oświadczyła Kora. – Puste wymysły. Widziałam, jak ćwiczyłeś na sali gimnastycznej. Masz normalne męskie ciało. Nawet przyjemnie było popatrzeć.

– Gdybyś nie była starożytną Greczynką – powiedział Gustaw – z pewnością ta uwaga by mnie speszyła.

– Nie jestem tylko starożytną Hellenką – odpowiedziała Kora. – Istnieje podejrzenie, że jestem wcieleniem Persefony, strażniczki królestwa zmarłych.

– Bzdura! – roześmiał się Gustaw. – To głupcy cię nastraszyli, a zapewne ty, jak przystało na agenta pracującego w terenie, nie lubisz czytać. Kora-Persefona jest opiekunką kwitnienia, rozkwitu życia. Właśnie dlatego mroczny Hades każdej jesieni zaciąga ją ponownie do królestwa zmarłych. Do następnej wiosny.

Przeszli do saloniku. Kora potknęła się o futerał z kontrafagotem. Gustaw otworzył barek z gorącymi potrawami i wyjął z niego dwie filiżanki kawy, Kora – dobry koniak z drugiego barku.

– Ten twój Milodar jest sybarytą – zauważył Gustaw. Siedzieli na niedużym tapczanie, nieprawdopodobnie miękkim i relaksującym. I Kora nijak nie mogła zrozumieć, dlaczego siedziała na tym tapczanie, skoro mogła usiąść w fotelu po drugiej stronie małego stolika.

– Nie krępują cię nasze stroje? – spytał Tezeusz.

– Jeszcze jak krępują! – przyznała się Kora. – A kim jest ten człowiek, Brazowa Maska?

– Zobaczymy go... Ja ci go pokażę. Nie ma sensu mówić teraz, jak ma na imię, skoro ono i tak ci nic nie powie.

– Szkoda. Wygląda to jak w kiepskim kryminale – główny zabójca, który dotąd stał gdzieś z boku, zjawia się w ostatnim momencie, ponieważ autor nie wpadł na to, komu oddać palmę pierwszeństwa.

– Zazwyczaj był to lokaj – przypomniał Gustaw. Przynął się nieco ku Korze, i znieruchomiał, jakby sprawdzał reakcję ptaka oczami kota.

– Ty miałaś lepiej – powiedział. – Pomyśl, widziałaś wszystkich i rozpoznałaś. A dla mnie wokoło byli tylko moi starożytni rówieśnicy. Ja widziałem ciebie, widziałem tępaka Clarence’a i polującą na tron Clarissę. Ale byli inni niż my. Nie podejrzewałem przecież, że istnieje gdzieś Ragoza, a na niej tron, na którym zapewne nie dane mi będzie zasiąść. I wszystkie moje nadzieje na to, aby odmłodzić mój kraj, runą... Czy rozumiesz, że przeżyłaś kilka subiektywnych lat obok najprawdziwszego Tezeusza? Pamiętam, jak bałem się czarów Medei, jak w środku cały się trzęsłem.

– Na zewnątrz nie było tego po tobie widać.

Ręka ateńskiego herosa sięgnęła po filiżankę kawy, ale zawisła w pół drogi nad kolanem Kory, jak helikopter, który zabłądził w złą pogodę.

Nie zwracając na helikopter najmniejszej uwagi, Kora zapytała:

– I zupełnie nic nie zadzwoniło w twojej świadomości albo, powiedzmy raczej, podświadomości? Przecież twojemu mózgowi ci ludzie obiektywnie byli więcej niż znani!

– Powiem więcej... Będziesz się śmiać – Gustaw odprowadził helikopter do lądowiska – stołu,

skąd zabrał pasażerów, to znaczy filiżankę kawy. – Będiesz się śmiać, ale przedtem, nim jeszcze wysłuchałem twojego raportu, nie do końca zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Widziałem, jak siedzisz w jakimś pokoju i z obojętną twarzą relacjonujesz, że w jakiejś sytuacji jakaś madame Ragoza przyjęła wirtualną postać Ariadny i przekazała ochranianemu obiektowi kłębek nici... Słuchałem cię i w mózgu coś zaskakiwało. I przypomniałem sobie sytuację: ryczący tłum przed wejściem do Labiryntu, oczy Ariadny, a potem – jak siekałem tego nieszczęsnego potwora.

– Minotaura?

– Oczywiście. Ale wtedy nie wydawał mi się on nieszczęsnym potworem. Był złowieszczą bestią, symbolem ciemnienia moich ukochanych Aten, pożeraczem dziewcząt! Walczyłem z nim... potem słuchałem ciebie i rozumiałem: O bogowie! Ariadna rzeczywiście jest moją odmłodzoną ciotką, która uznała w interesie zachowania klanów przyłączenie się do moich wrogów. Chociaż myślę, że jej grożono... – Kto?

– A potem słuchałem twoich słów o Pejritoosie i myślałem: ty idioto, jak mogłeś nie rozpoznać braciszka Clarence'a!

– Braciszka?

– To było jego przezwisko w szkole dla szczególnie utalentowanych dzieci, w której się uczyliśmy. W Ragozie wszyscy książęta krwi otrzymują tytuł „szczególnie uzdolnionego dziecka” i kierowani są do specjalnej szkoły. Jest to demokratyczne i jednocześnie pozwala nie tłoczyć się w środowisku plebejuszów. Tak naprawdę to straszna hipokryzja!

– Oczywiście – zgodziła się Kora, z nadzieją patrząc, jak ręka Gustawa znów postawiła filiżankę na stoliku i tym razem w braterskim geście opadła na jej ramię, więc musiała trochę przybliżyć się do księcia. Co uczyniła zresztą chętnie.

– Wtedy zrozumiała stała się dla mnie struktura spisku – powiedział Gustaw. – I domyśliłem się, kto jest tym czwartym, głównym organizatorem mojego odsunięcia od tronu.

– Czy gdy wrócisz, każesz ich wszystkich powiesić? Gustaw do tego stopnia się zdziwił, że (co za szkoda) zdjął rękę z ramienia Kory.

– Dlaczego miałbym ich powiesić? Mam przecież zamiar zbudować państwo demokratyczne.

– Pozwolą ci na to?

– Niech tylko spróbują mi przeszkodzić!

– Połóż mi zatem rękę na ramieniu, jak poprzednio. Zrobiło się tu zimno.

– Zimno ci? – zdziwił się Gustaw. – Przecież zawsze lubiłaś chłód. Pozwól, że podwyższę temperaturę w przedziale. – I pochylił się nad Korą, aby sięgnąć do wyłącznika...

Kora odrobinę przesunęła się, wyliczając, by Gustaw nie zachował równowagi i musiał dotknąć uchem jej piersi.

Słodki prąd przeniknął jej ciało, a ten idiota nagle zerwał się z tapczanu i zaczął ją przeproszać.

– Tezeuszu – zaczęła Kora – Mam już tego dość. Możemy pogadać, ile wlezie o sprawach państwowych, a nawet wybuchnąć na minie, którą podłożą nam jutro w Kosmoporcie. Ale ja już od dziesięciu czy piętnastu lat marzę o tym, aby pocałował mnie prawdziwy starogrecki heros. A ten zupełnie nie zwraca na mnie uwagi.

– Słowo honoru? – zapytał Tezeusz. „No nie, on rzeczywiście jest głupcem!”

– Okłamuję cię, znęcam się nad tobą, śmieję się z ciebie – co chciałbyś jeszcze? Czy ty chcesz, żebym ja... żebym ja..

I nagle zrozumiała, że nie wie, jak i czym mu grozić, jak go urazić, znieważać, rozruszać i zniszczyć, dlatego że pragnęła wszystkiego jednocześnie.

Wtedy Tezeusz ostrożnie, jak w zwolnionym tempie, opadł przed Korą na kolana, przewracając

przy okazji stolik na czasopisma, czego nie zauważył. Z jakichś powodów zaczął całować jej ręce, co było, rzecz jasna, bardzo miłe i sentymentalne, ale według Kory było niepotrzebną stratą czasu po wszystkich tych latach oczekiwania.

Nie pozostawało więc Korze nic innego, jak tylko ostrożnie wyjąć swoje palce z jego rąk, unieść jego głowę bliżej swoich ust. Gustaw nie stawiał oporu, zwłaszcza po tym, jak zorientował się, czego się od niego wymaga.

– Tak czekałem na tę chwilę – wyszeptał.

Kora pozwoliła, by się nad nią nachylił i pocałował ze szczerym, starogreckim entuzjazmem. Kora podejrzewała, że długi pobyt w antycznym świecie zmienił studenta z Ragozy w doświadczonego kochanka – co prawda, na razie tylko podejrzewała...

Pocałunek Gustawa stawał się coraz gorętszy, Gustaw już jakoś tak usadowił się na tapczanie obok Kory, że nastąpił ten moment, kiedy trzeba było zdecydować, czy zacząć się opierać, choćby ze względów taktycznych, czy też machnąć ręką i oporu nie stawiać.

Oczywiście komisarz Milodar odgadł jej myśli. To właśnie odróżnia go od pozostałych ludzi w Galaktyce.

– Młodzińcy – powiedział. – Szczerze wam współczuję, ale praca nie jest jeszcze zakończona, kategorycznie zatem sprzeciwiam się, aby moi agenci pozwalali sobie na uprawianie miłości w czasie pracy.

Kora wyrwała się spod osłupiałego Gustawa, zerwała się z tapczanu i z jakichś powodów zaczęła ustawiać na miejsce przewrócony stolik na czasopisma. Gustaw, oprzytomniawszy, uklęknął na dywanie, aby zebrać z niego stłuczone filiżanki i pozostałe drobiazgi. Starał się nie patrzeć na Milodara.

– Nigdy panu tego nie zapomnę, komisarzu – szczerze oświadczyła mu Kora. – I gdybym nie wiedziała, że to wcale nie pan, a pański hologram, udusiłabym pana własnymi rękami.

– Hologram! – wykrzyknął Gustaw. – A ja łamię sobie głowę nad tym, kiedy pan komisarz mógł wejść na okręt, skoro odlecieliśmy bez niego.

Po tych słowach cisnął w Milodara książką wspomnień pierwszej żony fizyka Einsteina, stojącą na fortepianie. Komisarz uchylił się instynktownie, ale książka i tak przeszła przez jego ramię.

– Rzeczywiście – powiedział Gustaw. – To tylko hologram.

– Tym niemniej stanowczo protestuję przeciw rzucaniu we mnie przedmiotami – zakomunikował Milodar. – Wykonuję swoje obowiązki, a wy wyrządziliście krzywdę moralną urzędowemu funkcjonariuszowi.

– Co pana tu sprowadza, komisarzu? – spytała obrażonym tonem Kora, która już doszła do siebie. Schyliła się i podniosła książkę z podłogi.

– Oczywiście, sprawy jutrzejsze – odpowiedział Milodar. – Spieszyłem tu, będąc całkowicie przekonany, że młodzi ludzie omawiają jutrzejszą taktykę postępowania. Wszak właśnie jutro może czekać nas zasadzka. Cała czwórka zabójców z Ragozy zniknęła jeszcze przed powrotem księcia Gustawa i agentki Orwat. Czekał na nich szybki okręt. Mieli w zapasie kilka godzin, aby przygotować spotkanie i zabójstwo księcia. To zupełnie naturalne, że odłożyłem wszystkie sprawy i pomknąłem do was. Niestety, zastałem tu gorszącą scenę erotyczną. Podejrzewam, że w antycznej Grecji w wyniku ciągłego kontaktu z satyrami, nimfami i inni kozłami, rozbestwiliście się i myślicie tylko o seksie. Zrobiło mi się wstyd... – komisarz zasepił się.

– A teraz niech pan pozwoli, że powiem dwa słowa – książkę Gustaw gestem powstrzymał gotową rzucić się do walki Korę. – Rozmawiam teraz z panem jak przywódca niezależnego państwa, komisarzu, i proszę o tym pamiętać. Dobrze?

– Dobrze – powiedział Milodar o ton niżej. Był czuły na punkcie zmian sytuacji politycznej.

– I chociaż pana zupełnie to nie dotyczy – kontynuował Gustaw głosem i tonem króla Tezeusza – mogę pana zapewnić, że choć agentka Kora Orwat co najmniej trzy razy uratowała mi życie i była u mego boku przez kilka subiektywnych lat najtrudniejszej pracy, to niczym – ani gestem, ani słowem nie dała mi nadziei na jakiegokolwiek zbliżenie z nią. I żadnych innych uczuć, oprócz najwyższego szacunku, wobec pani Kory nie żywiłem. Teraz, w naszym czasie, w bezpiecznych warunkach, nastąpiła reakcja. I pozwoliłem sobie dotknąć pani Kory. Poproszę ją za to o wybaczenie. Ale nie pana, komisarzu.

Gustaw wyciągnął ku Korze rękę, a ta powiedziała:

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Dla ciebie jestem twoim przyjacielem Tezeuszem – odrzekł książę.

– Tak, Tezeuszu. Ale powinnam ci powiedzieć, że nie było w moim życiu słodsze go pocałunku niż ten, który obojgu nam prawie się udał, ale został przerwany przez żalostną kopię tego seksualnego zbrodźcy, szemranego obywatela Kuwejtu.

– Koro! – zaczął błagać komisarz. – Bez osobistych wycieczek. Nie czepiałem się was, a że pozwoliłem sobie na żarty... Niech Bóg mnie osądzi! Jeśli kochacie się, moje dzieci, to i ja będę szczęśliwy.

Hologram pozwolił sobie stoczyć po policzku dużą łzę, która oderwała się i spadła na dywan.

– Nie zwracaj na to uwagi – poprosiła Kora księcia. – To jego zwykłe sztuczki.

– A zatem, jeśli nie macie nic przeciwko temu – powiedział Milodar. – Chciałbym przystąpić do omówienia ewentualnych wydarzeń jutrzejszego dnia i naszej taktyki. Mamy do dyspozycji niezbyt dużo czasu – jedną noc. Przed nami sporo pracy.

„Niech to diabli – westchnęła Kora. – Jedna noc! Ale dlaczego trzeba ją marnować na taktykę i strategię? Jestem w końcu tylko zakochaną kobietą”.

– Nawigatorze – odezwał się Milodar. – Proszę przynieść wszystkie materiały o sytuacji w Ragozie.

Krażownik „Honor-2” nie był duży – nawigator wszedł prawie natychmiast. Miał ze sobą walizeczkę z dokumentami i kasetami.

„Ciekawe, jak długo stał pod drzwiami? Zupełnie zapomnieliśmy, że nie jesteśmy sami na okręcie. A czy będziemy kiedykolwiek sami?” I Kora zrozumiała, że jest to w najwyższym stopniu wątpliwe. Rzuciła spojrzenie na Tezeusza, ale ten już wertował stertę wczorajszych gazet i czasopism, dopiero co teleportowanych przez Centrum Galaktyczne.

– Na razie jeszcze nie przylecieli – powiedział Gustaw. – Być może pozostaje nam szansa, że nie zdążą przygotować powstania narodowego, by godnie nas przyjąć.

– To wczorajsze gazety – zauważył Milodar. – Nie powinniśmy się łudzić.

Krażownik „Honor-2” podchodził do lądowania w stolicy Ragozy ostrożnie, przeszukując eter w poszukiwaniu niebezpieczeństwa. Ale niczego nadzwyczajnego nie udało się usłyszeć.

– Łądujcie! – rozkazał komisarz. – W końcu tego statku nie da się namierzyć bezpośrednio. Moja obecność na pokładzie pozostaje dalej tajemnicą. Będę pośrednikiem między wami a Centrum Galaktycznym. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem.

Na twarzy Tezeusza, który podobnie jak Kora zdążył zdrzemnąć się tylko dwie godziny, prześlizgnął się uśmiech.

– Kochanie – powiedziała Kora, zauważywszy uśmiech. – Nie zapominaj, że nasz komisarz Milodar zostawia na pokładzie tylko swój hologram. A jemu nic nie grozi, zatem możesz uważać, że wujek żartuje. I nie warto go nie doceniać.

– Mądre słowa – zgodził się Milodar. – Zebrałby się niezły cmentarz z bohaterów, którzy mnie nie doceniali.

– Gdzie lądujemy? – zapytała Kora, puszczać przechwałkę mimo uszu.

– Na stołecznym kosmodromie – powiedział Gustaw. – Wstyd mi się chować.

– Ale może szykuje się zamach na pana? – zaprotestował Milodar.

– Milodarze! – zdenerwował się Gustaw. – Zmarnowałem pół nocy, aby przekonać pana, że w domu, na oczach całego kraju, nie ośmielą się niczego zrobić. W innym przypadku po co mieli tracić tyle sił, aby zabić mnie w starożytnej Grecji?

– Wszystko rozumiem – odpowiedział hologram. A potem machnął ręką.

Gdyby nawet pozostały wątpliwości, zostałyby rozwiane za sprawą informacji z planety: „Do okrętu „Honor-2”, wykonującemu zadanie specjalne InterGpolu w zakresie dostarczenia księcia Gustawa. Od centralnej dyspozytorni. Proponowane lądowanie na placu Jeden” Centralnego Portu Kosmicznego. Naprowadzanie pozostaje w naszej gestii”.

– Podporządkowujemy się? – spytała sroga zbrojmistrzyni przez łączność wewnętrzną.

– Oczywiście, że się podporządkujemy – oświadczył Milodar. – Ale skłonny jestem poświęcić nawet życie, aby dowiedzieć się, kto mógł przekazać tu informację o naszym przylocie i podać współrzędne. Zniszczę ich wszystkich! Wszędzie zdrajcy!

– Przepraszam, komisarzu – odpowiedział nawigator „Honoru-2”, który usłyszał tę groźną filipikę hologramu. – Dane o naszym okręcie zgodnie z przepisami o lotach przekazałem Centralnej Dyspozytorni już dwie godziny temu na podejściu do systemu.

– A więc zwalniam cię!

– Przepraszam, a nie powie pan, za co? – spytał nawigator. Był młody, ambitny i widać było, że zamierza zrobić kosmiczną karierę.

– Za to, że zbyt prostolinijnie rozumiesz przepisy. Przepisy są dla słabych. Mój krążownik nie zamierza podporządkować się przepisom. Tym bardziej, kiedy jestem na jego pokładzie.

– Przepraszam, a kiedy to zjawił się pan na jego pokładzie?

– zuchwale spytał nawigator, który nie miał już nic do stracenia.

– Nie ma pana na liście obecnych.

– Teraz jestem na pokładzie!

– Dowódca okrętu, którym jestem – oświadczył nawigator – ponosi odpowiedzialność tylko za tych, którzy znajdują się na pokładzie okrętu i przyjmuje rozkazy od znajdującego się wyżej w hierarchii służbowej przełożonego tylko wtedy, gdy przebywa on na pokładzie. W innym przypadku traktuję pana jak samozwańca i poproszę o opuszczenie okrętu.

– Mam opuścić okręt! Wyrzuci mnie pan w kosmos? Nagle nawigator odwrócił się od ekranu.

– Przygotować się do lądowania. Utrzymywać łączność z dyspozytorem – wydał rozkaz swojemu pomocnikowi.

Na chwilę ekran zgasł.

– Nie ma potrzeby, aby pasażerowie byli obecni w przedziale nawigacyjnym w czasie lądowania.

– Co za łajdak! – krzyknął Milodar.

– On ma rację, komisarzu – uprzejmie powiedział Gustaw, ujmując w swoje dłonie palce Kory i lekko je ściskając. – A jeśli chce pan go rozliczyć, to chciałbym przyjąć go do swojej floty. Potrzebuję zdecydowanych nawigatorów, którzy nie nadskakują zwariowanym holograficznym kopiom swoich przełożonych.

– Jak pan śmie?

– Śmiał, komisarzu... No i co z tego?

W odpowiedzi hologram Milodara czarująco się uśmiechnął. Konflikt został zażegnany.

– Przygotować się do lądowania. Lądowanie za dwie minuty – zakomunikował nawigator.

Kora ucałowała Gustawa.

Pocałunek był krótki, ale czuły. Milodar odwrócił się. Był markotny.

Poszli się szykować. Wypadało właściwie pokazać się w Ragozie.

– Jakiej osłony ogniowej potrzebują pasażerowie? – zapytała Milodara zbrojmistrzyni.

– Żadnej osłony ogniowej – odrzekł komisarz. – Nasza tu obecność jest najlepszą osłoną ogniową na świecie. Najmniej liczy na rakiety, moja młoda przyjaciółko. Nieraz przyjdzie nam jeszcze ze sobą latać i dlatego radzę ci, byś słuchała człowieka z bojowym i życiowym doświadczeniem.

– Tak jest! – odpowiedziała zbrojmistrzyni.

Potem rozegrało się coś nieprawdopodobnego.

Plac kosmodromu, budzący szacunek swoimi wymiarami i ilością już nieużywanych, ale niewywiezionych z powodu chronicznego braku środków okrętów wszelkich rodzajów i podeszłego wieku, wypełniony był po brzegi wiwatującym tłumem. Tysiące mieszkańców Ragozy, pozostawiwszy swoje sprawy, od rana, kiedy to jakimiś swoimi kanałami kierownictwo państwa dowiedziało się o przylocie księcia Gustawa, zaczęły się tam gromadzić. Jedni przybyli tu z ciekawości, innych przywiodła sympatia do reform i nadzieja na wyjście z okresu historycznego marazmu. Byli tu także liczni członkowie i słudzy klanu Ragozy, którzy, jak stanowiło prawo, przygotowali się na przyjęcie przyszłego suwerena. Stali ramię w ramię zwolennicy galaktycznej wolności i braterstwa oraz stronnicy klanowych praw i całkowitej izolacji od zewnętrznych wpływów. Byli tam książęta, którzy przybyli importowanymi „mercedesami” i biedacy, trzymający w rękach gliniane zebracze miseczki w kształcie stożków, stały tam ramię w ramię drogie prostytutki z dzielnicy Waniliowych Łaźni z zamyślonymi, ale zachwyconymi studentami technikum fizycznego – ulubionego dziecięcia księcia Gustawa. Najważniejsze jednak było to, że idące za głosem serca, spieszące z ciekawości, tysięczne rzesze witających były ściągnięte i zorganizowane (nie wiedząc o tym) staraniami energicznej i niestrudzonej madame Ragozy.

Ale posunięcie to było wymuszone, gdyż madame Ragoza spędziła poprzednią noc na zaciekłych negocjacjach z przedstawicielami najznakomitszych klanów, prowadzonych w tym celu, aby wypracować jednolitą linię postępowania. Madame Ragoza i jej współtowarzysze zmuszeni byli wysłuchać niemało gorzkich słów o tym, jak zawalili polowanie na Gustawa, mimo że na przekupienie prezydenta i kilku innych oficjeli VR wydano połowę rocznego budżetu państwa, a także klejnoty świętej pamięci królowej matki.

Niektórzy co bardziej krewcy (jak donosili do Centrum Galaktycznego agenci InterGpolu) domagali się, aby natychmiast urządzić zasadzkę i niby przypadkowo wysadzić cały kosmodrom i okręt, na którym przyleci Gustaw, a jeszcze lepiej byłoby, gdyby zniszczono go w czasie podchodzenia do lądowania na planecie. Ale radykałowie zostali wyprostowani przez wpływowych przywódców klanów, rozumiejących, że podobne akcje dyskredytują państwo i mogą wywołać reakcję ze strony Centrum Galaktycznego, gdy tymczasem na przestrzeni wieków wypracowano bardziej subtelne i skuteczne sposoby rozprawienia się z przeciwnikiem.

Należy podkreślić przy tym, że na radzie klanów było niemało stronników Gustawa. W skrajnym przypadku tych posłusznych prawu wielmożów i nuworyszów, którzy rozumieli, że tak naprawdę czas już coś zmienić w państwie Ragoza. Na dobitkę sprzeciwiali się oni kryminalnym zapędem niektórych tradycjonalistów. Ci stronnicy Gustawa spełniali funkcję amortyzatorów, powstrzymując radykałów, których niczego nie nauczyły wpadki w Atenach.

W końcu postanowiono zlikwidować księcia Gustawa, ale zrobić to kulturalnie i czysto. W tym celu opracowano następujący program:

„1. Zorganizować spotkanie księcia Gustawa na wysokim szczeblu. Rozwiąć podejrzenia jego i kierownictwa InterGpolu. Lud przywita księcia Gustawa. Wszyscy się cieszą.

2. W przypadku, jeśli InterGpol przyśle z Gustawem jakąś ochronę, odciąć ją i odizolować, gdy tylko księżę Gustaw zostanie odwieziony do przeznaczonej dla niego rezydencji.

3. Przy pierwszej nadarzającej się okazji wywołać nieoczekiwaną katastrofę, w której koniecznie musi zginąć niejaka Kora Orwat, ogłoszona wrogiem numer jeden Ojczyzny. Po jej likwidacji przekazać oficjalne przeprosiny do Centrum Galaktycznego.

4. Uczestnicy nieudanego rajdu do starożytnej Grecji całkowicie wyprą się swojego udziału tej sprawie i wyjaśnią ewentualne podobieństwa nienajlepszym stanem psychicznym księcia Gustawa. Jeśli będzie się upierał, że były przeprowadzane na niego zamachy, należy przekonać go, że zabójcami byli agenci InterGpolu, z Korą Orwat na czele. Wtedy próbować sprowokować księcia do zabicia agentki Kory Orwat.

5. Następnego dnia, kiedy wszystko już się unormuje, wyznaczyć termin koronacji Gustawa i tam, w sali tronowej zorganizować przypadkowe pojawienie się księcia Clarence'a z pałką, który zażąda natychmiastowego pojedynku. Po burzliwym wyjaśnieniu radzie klanów należy przegłosować przeprowadzenie pojedynku.

6. Przybycie księcia Clarence'a, przygotowanie do pojedynku i pojedynki transmitować we wszystkich kanałach telewizyjnych na żywo, aby nie dać księciu Gustawowi swobody manewru. Jeśli zgadza się on na pojedynek, wydać mu ciężką, ale przegniłą maczugę, aby nie narażać na niebezpieczeństwo życia szanownego księcia Clarence'a. Jeśli Gustaw odmówi pojedynku, należy zdemaskować go jako tchórza i na nalegania seniorów zakwestionować jego prawo do tronu. Szczególną rolę wyznacza się przy tym damie Ragozy, która powinna ze łzami w oczach odmówić Gustawowi prawa do tronu ze względu na to, że kandydat jest go niegodny.

7. Z całą lojalnością i oficjalnie odesłać księcia Gustawa z kraju w celu kontynuowania edukacji na Uniwersytecie Moskiewskim, następnie zlikwidować go, gdy wrzawa wokół sprawy przycichnie.

8. Jeśli nie zostanie spełniony punkt 3, nie pozwolić, aby uszła z życiem agentka Kora Orwat, najbardziej niski i przestępczy element, który przenika do nas w podłych zamiarach...”

Gustaw przerwał czytanie dokumentów.

– Dalej następują podpisy – powiedział. – Moja ciocia starała się przywiązać ich wszystkich do rydwanu, aby później nie uciekli.

– Ale podoba mi się uwaga, jaką poświęcają mojej skromnej osobie – powiedziała Kora. – Jakże zależy im na mojej śmierci!

Stali w salonie i czekali, aż kopia tajnego protokołu zostanie przekazana do Centrum Galaktycznego. Hologram niezadowolonego ze wszystkiego Milodara snuł się wokół, przechodząc przez fortepian, kanapy i stoliki. Komisarz zapewniał, że z równie brudną intrygą jeszcze się nie spotkał. Łgał, ponieważ nie tylko się spotykał, ale i przeprowadzał intrygi znacznie gorsze.

Przedstawiciel Floty Kosmicznej Michel z Weroniką jeszcze w nocy dostarczyli skradziony protokół zebrania rady klanów i udało im się, nie zwracając na siebie uwagi, tuż po lądowaniu przemycić go na „Honor-2”. Byli z siebie dumni, ale opadli z sił z powodu świadomości niebezpieczeństwa, którego uniknęli. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że zatrzymani z tymi dokumentami, przypłaciliby to życiem.

Nawigator już trzy razy przekazywał pytanie z dyspozytorni: dlaczego ulubieniec ludu nie wychodzi.

– Nie przyszykowali snajpera? – spytała Kora. – Tam, na tamtym dachu?

– Teraz nic mi nie robią.

– Trzeba poczekać na decyzję Centrum! – Milodar zobaczył, że Gustaw kieruje się do wyjścia.

– Tu rządzą ja – odpowiedział Gustaw. Potem uśmiechnął się i doprecyzował: Ja tu jestem

królem, mój milordzie.

„To ciekawe”, pomyślała Kora, idąc za nim. „Jakiego Szekspira on cytuje?”

– A ty dokąd? – wpadł we wściekłość Milodar. – Chcesz, żeby cię postrzelili?

– Z Gustawem będzie mi przyjemniej i bezpieczniej – odpowiedziała Kora.

– Dziękuję – powiedział książę.

Przycisnął okulary. Potem nałożył płaszcz – lekkim i dobrze znanym ruchem króla Tezeusza.

Wziął do ręki wydłużony futerał z kontrafagotem, do drugiej ręki niedoczytaną do końca książkę wspomnień pierwszej żony Einsteina i wyszedł na plac przed pochylnią.

W tłumie, który natychmiast rozpoznał księcia, rozległy się okrzyki powitania i zaczęło się masowe wymachiwanie proporczykami i portretami pani Ragozy, a także założyciela klanu Wolknera Wielkiego. Słychać był też okrzyki: „Niech żyje wolność!”, „Niech żyje demokracja!” Nie były tak głośne jak wiwaty na cześć klanu, ale nagle w tłumie rozgorzały starcia i powstało pewne zamieszanie, które policja i wojsko zaczęło likwidować.

Przez te pierwsze minuty Gustaw stał na niewielkim placu przy pochylni, Kora pół kroku za nim. Tak chciał Gustaw. Podobało mu się drażnienie rywali.

– Co dalej? – spytała Kora.

– Będziemy grać na zwłokę.

– Ostrożniej, Tezeuszu – powiedziała Kora.

– Nie obawiaj się ich. Są straszni tylko wtedy, gdy czują siłę. Teraz brakuje im pewności siebie.

Kora miała wrażenie, że z jego ust sączy się miód.

W tłumie powstał dość szeroki korytarz, którym do okrętu zbliżała się procesja, odziana w rytualne szaty, co było według Kory absurdalne. Chociaż jeśli wspomnieć, jak sama biegała w chitonie po górach Attyki, to ona też mogłaby się wydać komuś niedorzeczna.

Na przedzie szli przywódcy trzech najważniejszych klanów. Dwaj starcy w płaszczach o niewiarygodnym fasonie maszerowali z obu stron damy Ragozy, przybranej w prostą i ciemną szatę. Dwa kroki za nimi kroczyli pozostali wyżsi urzędnicy państwa. Kora mogła rozpoznać wśród nich niektóre znajome twarze. Madame Ragoza wyciągnęła do przodu delikatne białe rączki i szerokie rękawy płaszcza zsunęły się na ramiona – widok był wzruszający, prawie helleński: Penelopa wita powracającego Odyseusza i nie wie jeszcze, czy doniesiono mu już o jej kochankach.

Mikrofony wszystkich stacji telewizyjnych kraju kołysały się nad głowami Gustawa i Ragozy. Dzięki temu wszyscy telewizzowie widzieli ich twarze. I usłyszeli głos księżnej ciotki:

– Gustawie, mój chłopcze! Powróciłeś do ojczystej Itaki! Tak bardzo na ciebie czekaliśmy!

Dama Ragoza uwiesiła się Gustawa, a na jego twarzy pojawił się dość wymuszony uśmiech, co nie uszło uwadze wszystkich widzów.

– Wróciłeś w końcu, aby zająć należny ci z mocy prawa tron twoich przodków.

Rozległ się trzask salwy honorowej – fajerwerk rozwinął się feerią gwiazd nad polem, od migania flag kręciło się w głowie. Hałas stał się nie do zniesienia. Gustaw z trudem zdołał uwolnić się z objęć ciotki. Przekazał Korze książkę wspomnień frau Einstein i kolejno uściskał wyszywane rękawiczki przywódców najważniejszych klanów.

– Zwróci się pan do narodu? – zapytał jeden z dziennikarzy, który zdołał przebić się z boku. Wskazał na drewnianą platformę, zapewne przygotowaną specjalnie na tę okazję.

Zgodnie z punktem 2 protokołu zamierzeń klanów, wszystko powinno rozstrzygnąć się po uroczystym obiedzie w sali tronowej pałacu, w świetle kamer, kiedy Pejritoos zabije swoją maczugą Gustawa. No cóż, zapewne przed śmiercią Kora sobie postrzela... Jeśli zdąży.

– Chętnie zwrócę się do narodu!

Ten pomysł wprawił wszystkich w zachwyty. I umożliwił Gustawowi przejście przez tłum znakomitości bez uścisków rąk i objęć. Clarissa próbowała Korę uszczypnąć, a Kora nie mogła sobie odmówić przyjemności walnięcia jej w nadgarstek tak, że dziewczucha zawyla z bólu. Usiłowała wykrzyczeć jakieś oskarżenie, ale w ta kim hałasie trudno było się zorientować, czy to oskarżenie, czy okrzyk zachwyty.

Ciągnąc swój futerał z kontrafagotem, Gustaw przebił się do platformy i stanął przed bukietem mikrofonów i kamer, ustawionych na wspólnej grubej nodze, jak na wiązce różg, które ciągnęli ze sobą po starożytnym Rzymie jacyś hultaje.

Gustaw uniósł do góry wolną rękę i tłum wpadł w euforię. Pozostali znakomici mężowie kolejno wchodzili na platformę i ustawiali się za jego plecami. Wszystko wskazywało na to, że na początku Gustaw przejął inicjatywę. Księżna Ragoza zdążyła jednak zwinnie zanurkować pod ręką Gustawa i wykrzyknąć do mikrofonu:

– Nasz drogi książę jest tak zmęczony podróżą. Teraz, gdy już ukazał się ludowi, uda się do swojej rezydencji. Jutro odbędzie się uroczyste przywitanie w pałacu i parada.

A potem zaczęła odciągać Gustawa od mikrofonów. Odciągnąć go od mikrofonów można było jedynie buldożerem, buldożera nie było pod ręką, a Pejritoos wykazał niezdecydowanie. Podobnie zresztą jak Brązowa Mask, który już ruszył w kierunku Gustawa, ale wrzaski oszalałego z zachwyty tłumy i żądanie, aby Gustaw powiedział chociaż kilka słów, zatrzymały go w miejscu.

– Moi drodzy współobywatele! – zaczął Gustaw. Plac zamilkł.

– Moi drodzy rodacy. Wróciłem do ojczyzny, zakończywszy edukację i gotów jestem teraz przyjąć na swoje barki ciężar władzy. Podjąłem decyzję o koronacji.

Tłum zakrzyknął: „Hura!”

Ariadna z roztargnieniem zwróciła się do Brązowej Maski, ten do Pejritoosa, lecz teraz powstrzymanie Tezeusza nie wydawało się możliwe.

– Mam nadzieję, że wspólnym wysiłkiem wszyscy razem wyciągniemy nasz ukochany kraj z tego dołu, w którym trzymają go książęta i hrabiowie, myślący tylko o swoich klanowych interesach – kontynuował Gustaw.

I wtedy na placu zapanowała grobowa cisza. W mowie powitalnej nie powinno się wypowiadać takich słów. Nikt też nie oczekiwał od mola książkowego tak zdecydowanych słów.

– Nie mam zamiaru zmieniać prawniczych praw i obyczajów naszego kraju. Szanuję nakazy przodków. Wiem, że wielu, bardzo wielu obywateli Ragozy było zdziwionych a nawet zszokowanych moją zeszłoroczną decyzją o odłożeniu pojedynku ze szlachetnym Clarence'em, przedstawicielem przyjaznego mi klanu, aż do zakończenia edukacji. Mam nadzieję, że nikt nie zacznie podejrzewać mnie o tchórzostwo i małoduszność – w innym przypadku taki król nie jest nam potrzebny!

– Nie jest nam potrzebny... – głucho przetoczyło się przez plac.

– Zanim więc przystąpimy do spraw, powinienem zwrócić długi. Przy świadkach. Mam nadzieję, że mój rywal jest tutaj.

Gustaw odwrócił się – wiedział, gdzie ma patrzeć. Clarence był wstrząśnięty słowami Gustawa i tylko potrząsał głową, starając się wykrzesać w niej jakąś rozsądną myśl.

– Ależ co wy? – zakrzyknęła, przedarłszy się do mikrofonów, madame Ragoza. – Czy pojedynek ma okryć mrokiem pierwszy dzień spotkania króla? Czyż możemy ryzykować jego życie i zdrowie?

Nie i jeszcze raz nie!

Księżna uniosła ręczki, wzywając tłum, by ją poparł, ale tłum poparł ją nie tak zgodnie, jakby tego sobie życzyła. Wielu bardzo ucieszyło się z tego, że staną się świadkami historycznego widowiska, inni nie cierpieli łobuza Clarence'a, którego wszyscy mieli po dziurki w nosie, jeszcze innym sprawiało radość, kiedy panowie i damy bili się między sobą. Byli i tacy, którzy nagle zapalali nadzieją, że król rzeczywiście będzie w stanie przeciwstawić się tej straszliwej i tępej sile klanów – ich własną bronią!

Ariadna pobiegła do Brązowej Maski po radę. Niczego nie rozumiała. Spektakl rozwijał się według niezrozumiałego scenariusza i to było niepokojące. Ale wsparcia ze strony Brązowej Maski, którego z uwagą obserwowała Kora, widząc w nim głównego przeciwnika, nie było.

– No jak, Clarence! Czy jesteś gotów do walki? Pycha wzięła górę. Clarence już doszedł do siebie.

– Niech przyniosą z „mercedesa” moją maczugę – powiedział.

– Masz ją ze sobą? – spytał łaskawie Gustaw.

– Zawsze jestem przygotowany na to, aby wycisnąć pryszcz, który bogowie dali ci zamiast głowy – zaśmiał się Clarence. Zawtórowała mu Clarissa.

Starcy, seniorzy klanów, z dezaprobatą kręcili głowami. Wszystko rozgrywało się nie tak, jak nakazywała tradycja: wszak walki na maczugi powinny odbywać się w kręgu swoich... Ale zachowanie Clarence'a również było niedopuszczalne. Starcom nie pozostało nic innego, jak tylko powtarzać:

– Co za czasy nadeszły...

Kilku policjantów niosło już jakiś przedmiot zawinięty w niebieski aksamit.

Była to maczuga Clarence'a. Pała była gruba, wyłożona guzami, z rękojeścią dla wygody oklejoną skórą rekina.

– Gdzie twoja broń, pretendencie? – zapytał Clarence Dormir, wkładając w słowo „pretendent” całą swoją pogardę wobec rywala.

I wtedy po raz pierwszy odezwał się Brązowa Maska:

– Mamy przygotowaną maczugę dla następcy.

Na dany przez niego sygnał kilku młodych ludzi w maskach wyciągnęło na platformę niezbyt grubą, powykrzywianą gałąź. W tłumie rozległy się okrzyki niezadowolenia.

– Innej nie mamy – odpowiedział, rozkładając ręce, Brązowa Maska. – Może Gustaw przyniósł ze sobą swoją broń?

I nagle zamilkł, ponieważ zobaczył, jak Gustaw otwiera czarny futerał na kontrafagot, a tam, na czerwonym aksamicie, leży dość wąska maczuga... I Kora zrozumiała, skąd Gustaw ją ma. Zabrał ją rozbójnikom! Podczas swojego pierwszego czynu herosa. I co więcej, zrozumiała Kora, Gustaw od samego początku wybrał los Tezeusza nie tylko dlatego, że ten heros mu się podobał, ale i dlatego, że tamten był mistrzem walki na kije. Pozostaje tajemnicą, w jaki sposób Tezeusz przemycił maczugę do naszych czasów.

– Sprawdzić broń, sprawdzić broń! – zakrzyczała Ariadna i umilkła, gdyż nadszedł czas, aby usunęła się na dalszy plan.

– Dawaj, bracie! – krzyknął Gustaw, znów zmieniając się w młodego Tezeusza.

– Zabiję! – wrzasnął Clarence.

Książąt, hrabiów i ministrów w okamgnieniu zmiotło z platformy.

A na podeście, dostępnym ze wszystkich stron stacjom telewizyjnym i kamerom filmowym Galaktyki, starli się w śmiertelnym boju dwaj pretendenci do tronu. Zgodnie z zasadami powinni

nałożyć stalowe hełmy, ale obowiązywało to w walce klasycznej. W walce o tron hełmów nie nakładano.

Clarence ruszył do przodu jak Minotaur.

Machał maczugą tak, że Kora zrozumiała: tak naprawdę sztuka walki na kije już dawno została tu zapomniana i Clarence w swojej wyobraźni wzorował się tylko na filmach historycznych, na których książęta i wodzowie tym się zajmowali. A Tezeusz... Tezeusz uczył się tego w dzieciństwie na dworze Pitteusa, pokonał mistrza w swoim rzemiośle – Perifetesą. A potem Kora nieraz widziała maczugę w rękach Tezeusza, przypuszczając, że ten tylko naśladuje swojego wuja i idola – Heraklesa. Ale dopiero teraz zrozumiała, że cichy, inteligentny fizyk, którego królewicz miał już powyżej uszu, przez całe lata przygotowywał się do walki.

I dlatego walka była dosyć krótka i zupełnie nie tak widowiskowa, jak wielu oczekiwało. Dwa lub trzy razy maczugi ciężko zderzyły się i zajęczały... Potem Tezeusz, wyczekawszy aż Clarence zrobi wypad, odstąpił na bok, przeciwnik mignął obok niego, i kiedy trwał jeszcze w skoku, Tezeusz solidnie grzmotnął go między łopatki. Clarence przyspieszył lot i wyorbitował poza granice platformy. Tezeusz przyjął postać wypoczywającego Heraklesa i odczekał, aż policjanci i pomocnicy pomogą Clarence'owi wrócić na platformę, czego tamten wcale nie pragnął.

Wreszcie Clarence stanął na platformie i zakomunikował wszystkim kamerom telewizyjnym:
– To nie fair!

Kora widziała, jak w poprzek jego pleców nabrzmiewa czerwony ślad. Widowisko było zadziwiające i Kora zrozumiała, że przypomina pojedynek Dawida z Goliatem. Przy czym Dawidem był dobrze zbudowany, ale szczupły, wręcz chudy fizyk, który przyleciał z Ziemi, Goliatem zaś napakowany w siłowni szpaner, kretyn i rozpustnik.

Miejscowy Goliat podniósł maczugę i ponownie ruszył na Gustawa.

Ten odczekał, aż przeciwnik się zbliży i niezbyt mocno uderzył go po palcach, wytrącając maczugę. Potem dał Clarence'owi lekkiego prztyczka w nos.

Clarence podniósł ręce i zawył:

– Przestańcie, skończcie z tym kretynstwem! Wprowadzili tu średniowiecze! Będę się skarżył!

Zasłaniał twarz, a tłum rechotał. Jeden z seniorów wszedł na platformę i powiedział do mikrofonu:

– Zgodnie z dawnym obyczajem, jako najstarszy z wodzów proszę zwycięzcę, aby darował życie rywalowi, mając na względzie jego starych rodziców. Ale jeśli ty, zwycięzco nie weźmiesz moich słów pod rozwagę, nikt nie będzie cię osądzać.

Gustaw nie miał możliwości wziąć lub nie wziąć pod rozwagę tych słów, ponieważ Clarence dotarł już do swojego „mercedesa” i natychmiast ruszył.

„Teraz pozostaje tylko mnie zabić i program zostanie wypełniony”, pomyślała Kora. Gustaw odszukał ją wzrokiem – stała tuż przy platformie, gotowa w każdej chwili wskoczyć na górę, aby pomóc swojemu Tezeuszowi. Gustaw mrugnął do niej porozumiewawczo i staranie ułożył maczugę w futerale.

Kora popatrzyła na „Honor-2”. Luk był otwarty. Stał w nim komisarz Milodar. Kora żałowała, że stoi zbyt daleko i nie można dostrzec wyrazu jego twarzy. A jakże przyjemnie byłoby popatrzeć. Poczucie wyższości nad wszystkimi żalonymi przedstawicielami ludzkości, z wyjątkiem jego bezpośrednich przełożonych, nie opuściło Milodara i nigdy go nie opuści. Jednak dostał odczuwalnego prztyczka w nos – ten student fizyki był w stanie przeprowadzić operację bez pomocy, a nawet w pewnym sensie, wbrew wytycznym Milodara. Teraz komisarz musiał opracować wersję, zgodnie z którą wszystkie zaszczyty będą przysługiwać właśnie jemu.

Kora rozumiała, że operacja bynajmniej nie jest jeszcze zakończona, bo jeśli przebywa się wśród os i zabije się jedną z nich, wcale to nie oznacza, że pozostałe owady od razu schowają się w gnieździe. Mówiąc szczerze, Kora nie miała pojęcia, jaki będzie następny ruch Gustawa.

A radość na placu nie cichła – nawet ci, co przyszli pośmiać się z następcy, który zdziwaczał na Ziemi, teraz gotowi byli nosić go na rękach. Ludzie nie ukrywali swoich nadziei na lepsze jutro, wiążąc je z objęciem tronu przez prawdziwego wykształconego demokratę z maczugą.

Tymczasem, przy akompaniamencie burzliwych okrzyków tłumu, senior oznajmił, że od teraz żadnych przeszkód w kwestii koronacji księcia Gustawa nie ma i być nie może. I odbędzie się ona, jak tylko astrolodzy ustalą najodpowiedniejszy dzień i godzinę. Następnie senior zwrócił się do księcia Gustawa z pytaniem, czy nie raczyłby powiedzieć swojemu wspaniałemu ludowi kilku słów na pożegnanie.

– Dobrze – zgodził się Gustaw. – Zatem powiem dziś to, co chciałem odłożyć do jutra.

To zdanie zabrzmiało tak dziwnie, że tłum na placu dosłownie zamarł.

I tu puściły nerwy księżnej Ragozy. Z cichym skowytem, roznoszącym się daleko po placu, zaczęła przeciskać się przez tłum jak najdalej od platformy. Kora zrozumiała, że księżna postanowiła nie czekać, aż zwycięzca wyrze na niej swą zemstę.

– Ciociu! – krzyknął wtedy Gustaw do mikrofonu. – Nie uciekaj. Wybaczylem ci. Jesteś dzieckiem swojej epoki i systemu społecznego wychowania. Możesz dożywać swoich dni w odległych majątkach, tylko nie pokazuj mi się na oczy i mniej intryguj.

Chociaż w tłumie niewielki było takich, którzy orientowali się w polityce, a jeszcze mniej zorientowanych o roli księżnej w ostatnich wydarzeniach, damę z Ragozy odprowadzano z pola gwizdami i okrzykami, gdyż lud zrozumiał już, że trafił mu się nowy władca, a starzy rządzący, sprzeciwiający się nowemu ładowi, przestali się ludowi podobać.

Ale największa niespodzianka dopiero ich czekała.

– Koro – poprosił Tezeusz, a ponieważ jego głos roznosił się przez mikrofony, ludzie zaczęli wspinać się na palce, aby zobaczyć, do kogo zwraca się książę. – Koro, przekaż mi, proszę, wspomnienia pierwszej żony fizyka Einsteina.

– Pierwszej żony... – przetoczyło się przez plac.

– Wspomnienia...

– Einsteina... Znacie Einsteina? Nie znam żadnego Einsteina! Kora podała książkę. Gustaw otworzył ją, sprawdził, czy zakładka jest na miejscu.

– A teraz – powiedział Gustaw tak władczyim głosem, że nie można było go nie usłyszeć. – Proszę, aby podszedł do mnie ten pan w masce z brązu.

Głowy wszystkich zebranych na placu zaczęły obracać się w stronę mężczyzny w niecodziennym hełmie i masce z brązu, zakrywającej twarz. Ten zbyt późno poczuł na sobie zainteresowanie tłumu i uświadomił niebezpieczeństwo, tkwiące w zaproszeniu księcia. Oczywiście, pomyślała Kora, on zwyczajnie zapomniał, że wyróżnia się w tak dziwny sposób.

– Niech pan tu podejdzie – zawołał go Gustaw. – Mówi do pana książę.

Brązowa Maską usiłował ruszyć w odwrotnym kierunku – jak najdalej od platformy.

Czując to, zebrani na placu zwarli szeregi i zaczęli popychać Brązową Maskę ku platformie, przy czym utraciwszy pewność swojej wszechwładzy, biurokraci i arystokraci a także zwykli ludzie szarpali go, popychali i ciągnęli, i po upływie dwóch minut Brązowa Maską znalazł się na platformie.

– Moi drodzy współobywatele! – zakrzyknął wtedy Gustaw łobuzerskim tonem Tezeusza, walczącego na miecze ze swoimi rówieśnikami. – Chcę pokazać wam człowieka, który w ostatnich

dniach kilkakrotnie usiłował mnie zabić.

– O-o-o-o! – przetoczyło się po placu.

– W swoim czasie, gdy zajdzie konieczność, mogę skierować sprawę do sądu i wezwać takich świadków jak księżę Clarence z rodu Dormirów, panią Clarissę i nawet moją ciotkę Amalię Ragozę.

Brązowa Maska próbował zeskoczyć z platformy, ale Gustaw mocno uchwycił go za ramię.

– Ale nie mam zamiaru karać tego człowieka – powiedział. – On sam wymyślił sobie karę, a równie wyrafinowanej i okrutnej nie znała ludzkość.

Zaintrygowany ponownie tłum zamarł, z nieba rojem opuściły się żuczki telewizyjnych kamer i znieruchomiały nad głową księcia. Brązowa Maska rozglądał się nerwowo i Kora widziała, jak gorączkowo lśnią jego oczy.

– Jeśli chcesz, Oliverze Judgesonie – powiedział Gustaw – to możesz zdjąć hełm. Bez niego lżej oddychać.

– Oj! – wykrzyknęła w duchu Kora. Jak mogła nie rozpoznać głównego zabójcy! Do tego stopnia pozostawał dla niej poza wszelkimi podejrzeniami, że nawet z nim rozmawiając, widząc jego oczy i ręce, ona, doświadczona profesjonalistka, nie zauważyła oczywistego podobieństwa. Oczywiście, że to Oliver Judgeson, on – Budda Wiecznego Życia o imieniu Amitajus, on – wyrocznia Czeluści, najznamienitsza postać w państwie Ragoza.

Ale mało kto w tłumie domyślił się, kim jest Oliver Judgeson, bowiem znano wszechwładnego wieszca, faktycznego władcę losów całego kraju. Znano Buddę Amitajusa, a nie Judgesona...

– Pomóc ci? – zapytał Gustaw.

– Nie – odpowiedział wizjoner. – Wygodniej mi w hełmie.

– To dziecinada. Cały naród chce zobaczyć ciebie na własne oczy, a ty chowasz się w miedzianym nocniku.

– Nie ośmielaj się tak mówić, chłopcze! – wykrzyknął wróżbita, sam zerwał hełm i rzucił go na platformę. Hełm potoczył się po podeście i pokiwawszy się na krawędzi, znieruchomiał.

I ludzie rozpoznali wieszca Czeluści. Jęk zgrozy przetoczył się przez plac. Tak wielka była władza wróżbity, tak silna była wiara w jego wszechpotęgę.

– Dlaczego, Oliverze – zapytał Gustaw, patrząc, jak wiatr rozwiewa rzadkie włosy wizjonera. – Dlaczego pragnąłeś mojej śmierci?

– Dlatego... – odpowiedział wróżbita, przyglądził włosy, odzyskując pewność siebie, którą stracił kilka minut temu. – Dlatego że wszystkie moje przepowiednie, bez wyjątku, spełniają się. I jeśli przepowiedziałem komuś śmierć, człowiek ten powinien umrzeć.

Wizjoner mówił bardzo dobitnie, przybliżając usta do mikrofonu, przez co jego głos, wydawało się, wypełniał całą przestrzeń nad placem i przenikał w serca tysięcznego tłumu.

– Przepowiedziałem twoją śmierć – powiedział wróżbita. – Uważaj się zatem za martwego.

– A więc się pomyliłeś, stary przyjacielu.

– Nie jestem twoim przyjacielem. Stoję ponad tobą. Znam i jestem blisko związany z mocami astralnymi, z czarną i białą magią. Wielcy wróżbici Rosji przylatują do mnie po swojej śmierci, by radzić się mnie na temat wieczności. Jak śmiesz, nikczemniku, podnosić na mnie rękę!

Wróżbita rozpedził się na całego i Kora widziała, jak tłum powoli odstepuje od platformy, ludzie nie ośmielają się stać tak blisko swojego bożyszcza.

– Skończyłeś? – nie tracąc zimnej krwi, zapytał księżę Gustaw.

Wróżbita nie odpowiedział. Oczekiwał w odpowiedzi krzyku lub kapitulacji przeciwnika, a nie takiego rzeczowego pytania.

– Jeśli skończyłeś, to zawiąż sznurówkę. Rozwiązała ci się sznurówka w prawym bucie.

To też zostało powiedziane tak, że wizjoner popatrzył na swój but, potem przykucnął i zaczął zawiązywać sznurówkę.

Ta minuta pozwoliła Gustawowi zawładnąć ponownie uwagą tłumu. A tłum zrzucił z siebie efekt burzliwej wypowiedzi Judgesona.

– Razem z Oliverem Judgesonem – zwyczajnym tonem kontynuował Gustaw – kończyliśmy szkołę specjalną. Tyle że ja skończyłem dziesięciolatkę w ciągu ośmiu lat, a nasz szanowny wieszcz postanowił posiedzieć w każdej klasie po trzy lata. I wypuszczono go ze szkoły na wolność, gdy miał już trzecią żonę i ośmioro dzieci. Co więc miał zrobić? Został wróżbitą.

Tłum roześmiał się. To zrozumiałe – śmiejąc się, ludzie usprawiedliwiali własny strach i służalczość wobec Buddy Wiecznego Życia, Amitajusa.

Wróż wstał, z trudem utrzymywał równowagę i usiłował odepchnąć księcia od mikrofonu. Ale księżę przyzwyczał się już do pojedynków i tak grzotnął kantem dłoni w wyciągniętą po mikrofon rękę wizjonera, że ten zawył na cały plac:

– Oszalałeś! Przecież to boli... To były słowa samobójcze.

I jeśli nawet Oliverowi Judgesonowi, zrozumiała Kora, uda się zachować swoje miejsce pracy nad Czeluścią, będzie potrzebował wielu lat, aby odzyskać choć część władzy nad umysłami Ragożan.

– Taka jest już ludzka natura – kontynuował Gustaw, nie patrząc na wróżbitę. – Że pamiętamy tylko spełnione przepowiednie. Można nas ogłupiać, ile wlezie i wyznaczać koniec świata co trzy miesiące, a potem przesuwając go ze względów klimatycznych. Na tysiąc przepowiedni Olivera Judgesona spełniała się jedna, ale o niej od razu zaczynały trąbić gazety i przekupieni przez wizjonera spikerzy telewizyjni. Stąd już krok do przestępstwa...

Gustaw zrobił przerwę.

Wróż podjął jeszcze jedną próbę, by niezauważenie ześlizgnąć się z platformy, ale tu zainterweniowała Kora, która z łatwością wrzuciła go z powrotem na pomost.

– Ty też tutaj? – powiedział wróż z roztargnieniem, jakby dopiero teraz poznał Korę.

Siedział więc nadal u stóp Gustawa. Podniósł swój brązowy hełm, ale nie zaczął go nakładać, a objął i przycisnął do brzucha.

– Obecnie w Centrum Galaktycznym prowadzone jest śledztwo – zakomunikował Gustaw. – W sprawie przyczynienia się wróżą do śmierci mojego ojca.

– Nikogo nie zabiłem! – powiedział wróżbita, patrząc w górę.

– Ale wiedziałeś od spiskowców o dniu i godzinie śmierci mojego ojca. I opublikowałeś tę przepowiednię, aby zdobyć sławę wróżbity! Przy pomocy siatki szpiegowskiej i swojej kochanki... – Gustaw popatrzył na Clarissę. Ta stała, z przerażeniem zakrywając dłonią usta. – ...której imię nie ma znaczenia, przenikał do domów i sypialni ludzi, poznawał brudne tajemnice, szantażował i wymuszał pieniądze – dym wychodzący z Czeluści stał się najbrudniejszym dymem naszej ojczyzny.

„Jakże wszystko na świecie jest interesujące i niesprawiedliwe, pomyślała Kora. Gdyby Clarissa-Medea nie była tak bajecznie piękna, czy Gustawowi zrobiłoby się jej żal? Zataiłby jej imię?” I tu zmitygowała się: nie bądź zazdrosna.

– Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! – wróżbita odpychał się ręką, ale nie wstawał z pomostu.

– Przypomnijcie sobie tylko, jaką władzę nad naszym państwem zdobył ten łajdak. Jak sprytnie on i jego przyjaciele wykorzystywali naszą ufność i nadmierną prostotę naszego systemu klanowego. Trzy lata temu przepowiedział on wojnę z naszymi sąsiadami Warilami. Może pamiętacie, co się wydarzyło? W dniu, przepowiedzianym przez wróżbitę nasza armia napadła na naszych sąsiadów. I nie dlatego, że tak było wygodnie tylko jednemu wróżowi. Spytajcie generałów, czy wcześniej nie

dogadali się z Oliverem Judgesonem.

Szmer oburzenia przeszedł plac. Niektórzy wielmoże, schyliwszy się, biegli z placu do swoich aut.

– A zapomnieliście, jak cały kraj głodował, kiedy wróżbita oznajmił, że nie wolno siać zboża, bo planeta temu się sprzeciwia? Ile zarobili na imporcie ziarna? I władza tego trójklasowego głupca stała się tak potężna, że jeśli przepowiedział komuś z was, że jego matka musi umrzeć w nocy, to własny syn gotów był ją zabić?!

– To oszczerstwo!

– To powiedz, powiedz, po co wyruszyłeś do starożytnej Grecji? Dlaczego chciałeś mnie zabić?

– Dlatego że wszystkie moje przepowiednie się spełniają. A jeśli nawet nie spełniają się, oznacza to, że ja tak chciałem.

– Kiedy wasz ulubiony wróżbita mówi, że kierował zabiciem mnie tylko po to, żeby spełniła się jego przepowiednia o mojej śmierci, jest to prawda – powiedział Gustaw. – Nie powinienem wrócić tu żywy. Kiedy nie udały się próby zabicia mnie przez innych zabójców, zajął się tym osobiście. Gdybym zginął, ponownie by triumfował. A wy jeszcze pokorniej podporządkowalibyście się jego rozkazom i kaprysom. Może zadam ci pytanie, Oliverze? Po co była ci potrzebna przepowiednia o mojej śmierci? Tylko z tego powodu, że prosiła cię o to moja ciocia?

– Nie prosiłam! On sam na to wpadł! I mi powiedział! – zawyła z tłumu księżna.

– Sprawa jest o wiele poważniejsza. Oliver popełnił kiedyś fatalny błąd. Błąd, którego żałuje całe życie. Pamiętasz?

Wróżbita nie odpowiedział.

– Właśnie ten błąd omal nie kosztował mnie życie. Było to pięć lat temu...

– Zamilcz! – wykrzyczał wróżbita, usiłując wstać, a Kora ze zdziwieniem zobaczyła, że nogi nie są w stanie go utrzymać – do tego stopnia był przerażony.

– Pięć lat temu, na wieczornym spotkaniu uczniów naszej klasy, wróżbita mocno się upił. Bardzo mocno. Między nim a mną powstał wtedy spór. Zapytałem go, czy wróżbita może przepowiedzieć własną śmierć. A on odpowiedział, że taka przepowiednia jest sprawą honoru każdego szanującego się wieszcz. Na przykład Nostradamus przepowiedział swoją śmierć. „A ty?” – zapytałem. „Jako wieszcz jestem najsilniejszy ze wszystkich!” „Zatem powiedz, kiedy umrzesz?” – zapytałem go.

– Zamilcz! – błagał wieszcz, ale Gustaw odsunął go silnym ruchem ręki.

– Miałem sygnet ze szmaragdem, sygnet rodowy. Judgeson, będąc plebejuszem, zawsze odnosił się z dużym szacunkiem do oznak przynależności do kręgu szlachetnie urodzonych. Był pijany, ale chciwy jak zawsze. I powiedział: „Dasz sygnet, to powiem!” Zdjąłem sygnet i poprosiłem, aby napisał datę własnej śmierci i podpisał się. Wiele razy potem prosił mnie, abym zwrócił zapisek. Ale ja rozumiałem, że zapisek ten jest groźną bronią i go nie oddałem. Więc postanowił mnie zabić za przepowiednię nie tyle mojej śmierci, co jego własnej.

– Gdzie? Gdzie jest ta przepowiednia? – ze wszystkich stron padały pytania.

– Ponieważ wielokrotnie mnie obszukiwano, przeszukano też mój dom, daczę, a nawet domek myśliwski i pokój w moskiewskim akademiku, musiałem schować przepowiednię wróżbity w takim miejscu, w którym nikt nie mógł go znaleźć – tu Gustaw uniósł książkę. – Oto wspomnienia pierwszej żony fizyka Einsteina. To moja podręczna książka, zawsze noszę ją ze sobą. W książce jest zakładka. Kto będzie zwracał uwagę na zakładkę w mojej książce, jeśli tak łatwo ją wyjąć?

Tu Gustaw otworzył książkę i wyjął zakładkę.

Kora wiedziała, co się zdarzy i jako pierwsza skoczyła na pomost, aby powalić rozpaczliwie rzucającego się na Gustawa wróżbitę.

– Poradziłbym sobie – powiedział Gustaw.

Wróżbita wił się w rękach Kory jak piskorz, potem nagle zmiękł i ucichł.

– Szanowny przywódco klanu Dormirów – zwrócił się Gustaw do seniora. – Czy będzie pan tak uprzejmy i przeczyta przepowiednię wróżbity Olivera Judgesona, który nazywa siebie wieszczem?

Senior wziął kartkę z ręki Gustawa.

I przeczytał:

„Ja, wielki i nieomylny wieszcz, wieczny Budda Wiecznego Życia Amitajus, przepowiadam, że umrę 2 sierpnia...234 roku Ery Galaktycznej”.

Nastąpiła absolutna cisza, dlatego że mnóstwo ludzi na placu poruszało ustami, starając się uzmysłwić sobie, kiedy to dzień drugiego sierpnia nadejdzie.

A potem ktoś krzyknął:

– Ależ to dziś!

– To dziś!

– Dziś! Dziś! – ryczał tłum.

– Dlatego też spieszyłem się, aby zdążyć tu właśnie drugiego sierpnia – powiedział Gustaw.

I tu nastąpiła rzecz najbardziej przerażająca. Kora niczego nie zdążyła zrobić. Gustaw również był bezsilny – nikt nie oczekiwał, że tłum z taką zaciekłością rzuci się na wszechmogącego i dlatego tak znenawidzonego wróżbitę. Setki rąk wyciągnęło się w stronę wizjonera...

Kora odzyskała świadomość na pustej platformie. Nad nią pochylał się Gustaw.

– Żyjesz?

Lawirując pomiędzy nielicznymi ogłuszonymi i oszołomionymi widzami, do platformy podjechał poobijany, odrapany, ale wciąż jeszcze solidny mikrobus Floty Kosmicznej. Michel pomógł Gustawowi wnieść Korę do środka. Doszła już do siebie na tyle, że usiadła w fotelu.

– Co było dalej? – zapytała Kora. – Ktoś na mnie wszedł i wyłączyłam się.

– Oni go zabrali... – powiedziała Weronika.

– Dokąd?

– Możemy pojechać za tłumem – zaproponował Michel.

– Nie trzeba – powiedział Gustaw. – Wiem wszystko. Przewidziałem to wcześniej.

– Co, Wasza Wysokość? – zdziwił się Michel.

– Jestem przekonany, że wspaniali obywatele mojego królestwa, zebrawszy się w tłum, spełnią ostatnią przepowiednię wieszca Olivera Judgesona.

– Nie powstrzymałeś ich? – nagle krzyknęła Kora.

– Jak miałem to zrobić, jeśli sam ledwie zdążyłem uskoczyć na bok? I mówiąc szczerze, w tym momencie o wiele bardziej niepokoił mnie twój los niż finał tego nikkzemnika.

– Jesteś okrutny.

– Nie mogę pozwolić sobie na wybaczenie tym, którzy mnie usiłują zabić.

– A pozostali?

– Dla tych ostatnich istnieją okoliczności łagodzące – uśmiechnął się Tezeusz.

Kora nauczyła się już rozróżniać uśmiechy obu tych królów. Ale na tym rozmowa się urwała, ponieważ mikrobus musiał się zatrzymać – na plac wtargnęła gwardyjska brygada na opancerzonych motocyklach, wezwana do odszukania i uratowania następcy tronu.

Gustaw wysunął się z mikrobusu i krzyknął do dowódcy, aby brygada jechała w ślad za nim do rezydencji.

Jechali podmiejską szosą. Z przodu zdezelowany mikrobus Floty Kosmicznej, przed nim i za nim gwardyjska brygada na motocyklach, przypominająca wielką eskortę honorową. Dopiero po kilku

kilometrach Kora zreflektowała się:

- Michel, zawracaj.
- Dlaczego?
- Chcę wrócić na „Honor-2”.
- Ale dlaczego? On przecież nie odlatuje dzisiaj – zdziwił się Michel.
- Szkoda – odpowiedziała Kora. – Ale wolę nocować na pokładzie „Honor-2”.
- To niemożliwe – powiedział Michel. – Załoga jest już w hotelu miejskim, wysłaliśmy ich samochodem agencji InterGpolu. Okręt jest zamknięty na klucz.

Gustaw milczał, stojąc w oknie. Rozpoznawał znajome z dzieciństwa krajobrazy i jakby na nowo poznawał aleje i gąszcze palm, rozciągające się od szosy.

- W jakim są hotelu? – spytała Kora.
- W „Syriuszu”.
- To przenocuję z nimi.
- Ale wy macie zarezerwowany pokój w „Luksie”. „Luks” jest o wiele lepszy.
- „Syriusz” – poleciła Kora takim tonem, że Michel nie ośmielił się zaprotestować.

Gustaw, jak na złość, milczał i nie mogła powiedzieć tego, co o nim myślała. Dopiero gdy samochód zatrzymał się przed „Syriuszem” i motocykle wypełniły sobą i swym niesamowitym ryciem szeroką ulicę, wysiadł z mikrobusu, aby Korze pomóc.

- Nie przyjmiesz niczego z rąk zabójcy? – spytał.
- Postaram się nie przyjąć – odpowiedziała Kora.
- Życzę ci szczęścia – powiedział Gustaw.
- Ja tobie życzę długiego panowania dla dobra poddanych. Gustaw znowu zajrzał do mikrobusu.
- Podrzucicie mnie do rezydencji? – zapytał.
- Oczywiście – odpowiedział Michel.

Weronika wychyliła się z okna mikrobusu i wyciągnęła do Kory banknot.

- To wystarczy ci na kolację i drinki – powiedziała.
- Dziękuję – Kora przyjęła pieniądze. – Oddam jutro.
- Nie trzeba. Dziękuję ci za naszego księcia.
- Gdybym wiedziała – powiedziała Kora.
- Ty niczego nie rozumiesz – powiedziała Weronika. – Może przyjedziesz do nas na kolację?
- Nie, wybaczcie, jestem zmęczona.

Motocykle ryczały tak, że Korę zmęczyła rozmowa z Weroniką. Pomachała jej na pożegnanie.

Brygada gwardzistów odebrała to jako sygnał do odjazdu i orszak opuścił plac.

Kora spotkała w holu jednego z nawigatorów, a ten zaprosił ją do baru. Nawigator nie widział, co działo się na placu – załoga odjechała natychmiast po przekazaniu okrętu naziemnej służbie. Kora opowiedziała mu, w jaki sposób Gustaw przywrócił sobie tron. Przyszedł drugi nawigator ze zbrojniczką i trzeba było powtórnie zrelacjonować przebieg zdarzeń. Wtedy zaczęły się wieczorne wiadomości w telewizji i Kora zorientowała się, że w barze zbyt wielu się jej przygląda. Pożegnała nawigatorów, umawiając się z nimi na śniadanie o dziewiątej.

Poszła do swojego pokoju, prostego i bez wyrazu, jak kajuta na okręcie, wzięła prysznic, a potem otworzyła okno i zgasiwszy światło, usiadła przed otwartym oknem, przyglądając się z trzeciego piętra wieczornemu życiu ulicy, rzecz jasna bardziej ożywionej niż zazwyczaj. To przecież taki dzień!

W końcu, jakie ma prawo osądzać Tezeusza? Tezeusz zabił wielu rozbójników. Ktoś musi rozbójników zabijać. Ty, Koro, wszystko mylisz: studenta Gustawa z wydziału fizyki z królem

Tezeuszem, którego w pewnym stopniu sama wychowywałaś. A przynajmniej wychowywałaś się razem z nim. Ale ty byłaś tam, w Helladzie, po to, aby po wykonaniu zadania pozbyć się pamięci o nim i o wszystkim, jak starej skóry, a on spędził tam życie, aby stać się nie tylko Gustawem, ale i Tezeuszem. I osiągnął sukces w tej dziedzinie.

Czarny cień zamajaczył na tle niebieskiego nieba.

Kora poznała Gustawa.

Wskoczył do pokoju.

– Wybacz – powiedział, wpatrując się w gęsty półmrok pokoju. – Wynająłem pokój obok i przeszedłem po gzymsie.

– Oszalałeś? – wystraszyła się Kora. – Przecież mogłeś spać.

Rzuciła się do niego, aby stłuc go za taką głupotę. A on niewłaściwie zrozumiał jej zryw i objął ją. Delikatnie i mocno. Tak że nie miała dokąd uciec i musiała odpowiedzieć na jego pocałunek.

– Wybacz – wyszeptał Gustaw. – Byłem okrutny.

– Nie mam prawa cię osądzać.

– Jeśli ty nie będziesz mnie osądzać, oznacza to, że mnie nie kochasz.

Po tym zapanowało dość długie milczenie, gdyż złączyli się w pocałunku. Następne zdanie należało do Kory, ale zostało wypowiedziane wtedy, gdy byli już w łóżku.

– Czy od dawna chciałeś zaspokoić swoją ciekawość, Tezeuszu?

– Jeśli nazywasz to ciekawością, to co nazwiesz miłością?

Kora wolała uwierzyć Gustawowi, dlatego że wiara była jej potrzebna, a dłuższe oczekiwanie na to spotkanie było ponad jej siły.

– Tak – wyszeptała do Gustawa, gdy jego ręka z nieśmiałym drzeniem dotknęła jej piersi, a potem ześlizgnęła się ku biodrom...

Oczy Kory drażnił niezrozumiały napis reklamy świetlnej, która co sekundę zmieniała kolor.

– Poczekaj, miły – wyszeptała Kora. Wskoczyła z łóżka i zaciągnęła story. Wtedy w pokoju zrobiło się całkowicie ciemno, na tyle, że oboje zniknęli, a zostały tylko odczucia. Kora zrzuciła pantofle i wskoczyła do łóżka. Jej ciało dokładnie wiedziało, gdzie spotkają ją chciwe ręce Tezeusza.

– Oj, Tezeuszu! – wyszeptała. – W końcu jesteśmy razem.

– O Koro! – krzyknął Tezeusz. – To chwila spełnienia!

– Zaczekajcie, zaczekajcie – usłyszeli suchy głos Milodara. – Proszę was, abyście przestali się ściskać. Zdażycie do tego wrócić. Nie mam ani jednej wolnej sekundy.

Głos komisarza słyhać było w ciemnościach tuż obok łóżka.

Kora wyrwała się z objęć Tezeusza, próbowała wstać, ale Gustaw szarpnął ją do siebie i, mocno przycisnąwszy usta do jej ucha, bezgłośnie wyszeptał:

– On nas nie widzi. Nie pomagaj mu.

– Koro, ja wszystko słyszę – odpowiedział Milodar. – Słyszę, jak zaskrzypiało łóżko. Koro, odezwij się natychmiast. Koro, zapal światło. Liczę do pięciu. Jeśli nie zapalisz światła, jesteś zwolniona. Raz, dwa, trzy, cztery, cztery i pół... cztery i trzy czwarte... Książę Gustawie, po panu, jako dojrzałym działaczu państwowym, nie spodziewałem się takiego postępowania. Przecież pan wie, że jestem hologramem. Nie mogę zapalić światła. Słyszycie mnie. Weźcie pod uwagę, że jestem od was bardziej uparty. I chociaż jestem bardzo zajęty, zostanę tu i będę czekać, dopóki nie będzie pan łaskaw wypuścić w końcu mojego pracownika. Centrum Galaktyczne oczekuje natychmiastowego raportu z dramatycznych wydarzeń. Dzisiaj w nocy. Koro, do diabła, jesteś na służbie! Najpierw złożysz meldunek, daję ci numer telefonu – tam czekają... Czy słyszycie mnie w końcu?

Gustaw pociągnął Korę za rękę do drzwi.

– Najważniejsze – wyszeptał – to oderwać się od prześladowcy. Hologramy biegają nie szybciej od ludzi, a ja znam rozkład pomieszczeń w tym hotelu.

Wybiegli bosy na korytarz i gdy dobiegali do węgła, Kora zauważyła, jak przez zamknięte drzwi pokoju na korytarz wychodzi, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem, hologram jej szefa. Ale oni schowali się już za węglem, potem windą towarową wjechali na ostatnie piętro, po drabinie przeciwpożarowej zeszli dwa piętra niżej, przebiegli przez trzy pomieszczenia służbowe, znów znaleźli się na korytarzu, a w końcu Gustaw wepchnął Korę do jakiegoś pokoju i zamknął drzwi.

– Nie zapalajmy światła. I liczymy na szczęście.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Kora.

– W moim pokoju – odpowiedział Gustaw. – W tym, który wynająłem, aby spotkać się z tobą.

Siedli obok siebie na łóżku i milczeli przez kilka minut, trzymając się za ręce. Miłosny entuzjazm powracał wolno, niespiesznie i pierwszy pocałunek nastąpił dopiero po dziesięciu minutach. Ale za to następne posypały się jak z cekaemu i złączyły się w jeden. W pośpiechu Kora nawet nie zauważyła, że jest zupełnie naga i leży w ramionach Tezeusza w jego łóżku.

– O, mój kochany – wyszeptała... i zespoliła się z nim w jedno...

Drzwi na korytarz otworzyły się i do pokoju wpadła postać, wydzielając obrzydliwy smród.

Postać namacała wyłącznik przy drzwiach. Rozbłysło górne światło.

Kora i Gustaw siedzieli, podciągnąwszy kolana i naciągnąwszy prześcieradło do brody.

Wymazany ekskrementami i jakimiś pomyjami, obwieszony brudnymi szmatami i strzępami papieru, nierozpoznawalny jak bożonarodzeniowa choinka zwariowanego złotnika, w pokoju stał całkowicie pozbawiony wszechmocy i prawie nieżywy wróżbita, Budda Wiecznego Życia, Oliver Judgeson.

– Ukryjcie mnie! – błagał, przecierając oczy brudnym rękawem, jeszcze nie zdając sobie sprawy, gdzie trafił. – Kilka godzin przedzierałem się kanałami kanalizacyjnymi, do których wrzuciły mnie te bestie.

– A teraz można go zabić? – spytał Gustaw.

– Teraz zabijać go nie wolno – odpowiedziała Kora. – Do tego stopnia wpadł ze swoimi przepowiedniami, że przez jakiś czas nie jest niebezpieczny. A potem, jak przystało na oświeconego monarchę, znajdziesz dla niego jakieś zastosowanie. Na razie wezwij tu reporterów z telewizji.

Wizjoner stracił przytomność i upadł pod drzwiami.

Gustaw wezwał ekipę telewizyjną, aby ta mogła pokazać narodowi jego znieawidzonego ulubieńca.

A Gustaw i Kora bosy zeszli po schodach przeciwpożarowych i niezauważeni przez nikogo po przebiegnięciu dwóch dzielnic skryli się w gęstym parku miejskim, o tej godzinie całkowicie opustoszałym, jeśli nie liczyć parok w krzakach.